

Martina Cole

DZIWKA



Prawda
czasem zabija...

Martina Cole

DZIWKA

Przełożył Piotr Kuś

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

*Dla Jo i Lesley.
Pnijcie się w górę, dziewczęta.
Kocham Was i mocno ściskam.*

*Dla Avril i Timmy'ego Pethericków
(oraz dla Gry Geoff i Susan P).
Z pozdrowieniami, zawsze wasza,
Minnie x.*

Także dla Adele King.

*To dla mnie wielki przywilej
mieć Ciebie jako przyjaciółkę
i matkę chrzestną Freddiego.
Nigdy nie zapomnę
dobroci i przyjaźni, jakiej zawsze
zaznawałam od Ciebie i Darleya.*

PROLOG

Gdy Joanie Brewer otworzyła drzwi mieszkania, jej wzrok od razu padł na policyjne mundury. Jeszcze pośpiesznie spróbowała zatrzaskać drzwi, ale desperacka próba się nie powiodła. Kolejna nieudana przymiarka do zatrząsnięcia drzwi przed policją, jedna z wielu, jakie przeważnie podejmowała w takich sytuacjach.

Kiedy potężny but zatrzymał się w progu i na wycieracze, ciężko westchnęła.

— Nie ma go tutaj, właśnie wyszedł. Ale był ze mną przez cały dzień, więc o cokolwiek go chcecie oskarżyć, nie zrobił tego.

— Joanie...

Funkcjonariusz w cywilnym ubraniu wpatrywał się w nią przez kilka sekund i wreszcie opuścił wzrok. Wbił go w jej drobne stopy, na które nasunęła zniszczone, stare klapki. Na wierzchu przyozdobione były różowymi strusimi piórami, miały jednak strasznie zużyte plastikowe obcasy. Zasadniczo ładna twarz Joanie wyglądała ponuro w słabym świetle żarówki elektrycznej. Wyblakłe, jasne włosy miała zaczesane do tyłu, a ostre rysy twarzy nadawały jej ponury, zdziczały wygląd. Pozbawiona codziennego makijażu, Joanie wyglądała na kobietę znacznie starszą, niż była w rzeczywistości. Wyglądała na osobę, jaką była — zmęczoną, wykorzystaną, użytą.

Pewne emocje zdradzały jedynie jej niebieskie oczy. Widniał w nich beznadziejny smutek. Już wiedziała, czego chcą policjanci. Ale wcale nie pragnęła usłyszeć tego, co za chwilę jej powiedzą, chociaż wiedziała, że musi ich wysłuchać.

— Bardzo cię przepraszam, Joanie, moja droga. Możemy wejść? — zapytał policjant w cywilnym ubraniu, detektyw inspektor Baxter.

Kiedy otworzyła poszczerbione i zdezelowane drzwi, jej zachowanie nagle się zmieniło.

— Lepiej to mieć z głowy, co?

Żaden z trzech mężczyzn nie potrafił na nią spojrzeć. Ciemnowłosa policjantka o wielkich piersiach i beznamietnym wyrazie twarzy ujęła ją delikatnie pod rękę, ale Joanie zaraz wyzwoliła się z jej uchwytu, z taką energią, że policjantka aż się zatoczyła.

Atmosfera była pełna napięcia. Nikt z policjantów nie chciał tu teraz być i wszyscy doskonale wiedzieli, że bynajmniej nie są tutaj mile widziani.

W saloniku Joanie odczuła iskierkę satysfakcji, odnotowawszy na twarzach przybyszów zbiorowe zaskoczenie. Umieblowany skromnie pokój był nieskazitelnie czysty. Ale to czterdziestośmiocalowy odbiornik telewizyjny i najnowszy system DVD zwrócił ich uwagę. Joanie uśmiechnęła się do siebie.

— Wszystko uczciwie kupione i zapłacone — powiedziała.
— W kuchni mam wszystkie rachunki.

Nikt jej nie odpowiedział.

Policjantka wyjrzała przez drzwi i zobaczyła kuchnię. Weszła do środka i zawołała:

— Zaparzę herbatę, dobrze?

Znów nikt nic nie powiedział. Joanie usiadła i gestem nakazała pozostałym, żeby zrobili to samo.

— A więc, znaleźliście ją, tak?

Detektyw inspektor Baxter pokiwał głową.

Joanie powstrzymywała teraz łzy. Żaden z mężczyzn nadal nie mógł na nią spojrzeć.

— Nie żyje?

Detektyw ponownie skinął głową.

Joanie ukryła twarz w dłoniach i przez krótką chwilę łkała bezgłośnie, ale prawie natychmiast zmusiła się do spokoju. Wy-

tarłszy oczy z łez, uniosła głowę i rozejrzała się po pokoju, znów walcząc z własnymi emocjami, tak jak przez całe życie.

Wolałaby szczepnąć, niż rozplakać się w obecności tej bandy. Jej wzrok zapłonął, kiedy popatrzyła na fotografię ustawioną na gzymsie kominka. Ostatnie szkolne zdjęcie jej Kiry, z roześmianymi niebieskimi oczyma. Była prześliczną dziewczynką, drogim dzieckiem i największą dumą Joanie. Była dzieckiem poza-mażeńskim, jak i wszystkie inne, ale kochanym bardziej niż pozostałe.

Usłyszała w uszach uderzenia własnego serca i przez krótki moment miała wrażenie, że zaraz zemdleje.

— Mówiłam wam, że nie uciekła ode mnie, ale w ogóle nie słuchaliście — zaczęła oskarżać policjantów. — Moje dziecko nigdy by mnie nie zostawiło. Nigdy. Jednak żaden z was mnie nie słuchał.

Z torby, ułożonej na kolanach, detektyw wyciągnął dziewczęcą sukienkę. Była mała, jak na ubranie jedenastoletniego dziecka. Kira wrodziła się w Joanie. Była szczupła. Drobna. Dawniej sukienka miała biały kolor i ozdobiona była drobnymi niebieskimi kwiatkami. Teraz była brudna. Joanie dokładnie rozumiała, co stało się z jej dzieckiem.

— Znaleźliśmy to razem ze zwłokami. Chcemy, żebyś...

Wyrwała sukienkę policjantowi i przytknęła materiał do nosa, jednak zdołała poczuć jedynie brud — brud i nienawiść. Nie pozostało zupełnie nic z kwiatowego, słonecznego zapachu jedena-stoletniej dziewczynki, stojącej u progu kobiecości. Dziewczynki, przed którą było całe życie. Oczyma wyobraźni Joanie ujrzała Kirę raz jeszcze, roześmianą i dowcipną. Była dobrym dzieckiem i nie sprawiała żadnych trudności wychowawczych.

Łzy popłynęły z jej oczu nagle, w tej samej chwili, w której w salonie zjawiała się policjantka z herbatą. Nawet pogrążona w głębokim bólu, Joanie ucieszyła się, że dziewczyna użyła najlepszych filiżanek, przeznaczonych specjalnie dla gości. Lubiła otaczać się ładnymi przedmiotami, było to dla niej ważne.

Szczególnie teraz.

Rozmawiali z nią, mówili coś, ale ona niczego nie słyszała. Widziała tylko, jak poruszają się ich usta. Słyszała jedynie, w głębi własnej głowy, głos dziecka, wołającego mamusię, która nie mogła już do niego przyjść.

Zacząła się kołysać, ściskając w dłoniach podartą sukienkę i szepcząc:

— Moje dziecko, moje dziecko.

Jeden z umundurowanych policjantów zapytał smutnym głosem:

— Mam wezwać lekarza?

Detektyw pokiwał głową i upił łyk herbaty.

Bo przecież, chociaż Joanie Brewer stanowiła dla okolicznych policjantów niemal legendę, teraz była po prostu kobietą, której brutalnie zamordowano dziecko.

Kiepska herbata. Powinien był wziąć ze sobą piersiówkę czegoś mocniejszego, jeżeli nie dla siebie, to przynajmniej dla tego wraku kobiety, zajmującego miejsce na kanapie.

W tej chwili nie była sobą, Joanie Brewer — prostytutką, pijaczką i matką rodzeństwa przestępców. Była pogrążoną w smutku matką, oplakującą dziecko porwane z ulicy, wykorzystane i zmalretowane, a później wyrzucone gdzieś jak śmieć.

Detektyw w milczeniu dopił herbatę.

Joanie milczała teraz, wpatrując się tępo w przestrzeń i policjant zdał sobie sprawę, że tego dnia już niczego więcej od niej nie usłyszą.

W końcu zjawił się lekarz.

KSIĘGA PIERWSZA

„Drogie panie, trochę więcej skromności, jeśli łaska”.

Sir Herbert Beerbohm Tree, 1853-1917

„Na zewnątrz są psy, guślarze, rozpustnicy, zabójcy,
bałwochwalcy i każdy, kto kłamstwo kocha i nim żyje”.

*Apokalipsa św. Jana, 22,15
Biblia Tysiąclecia*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Było gorąco, dlatego Joanie Brewer włączyła w małej sypialni wentylator i znów wtarła w siebie trochę dezodorantu. Podwójne łóżko zajmowało niemal cały pokój, dlatego musiała przez nie przejść, chcąc dostać się do toaletki i leżącej na niej paczki papierosów marki Benson & Hedges Light. Wypiła także duży łyk wódki z colą. Kwaśny smak napoju sprawił, że głośno czknęła.

W przeładowanej garderobie stroje zalegały w bezładzie. Na cały pokój unosił się z niej ciężki zapach Avon Musk. Joanie naprawdę nie miała najmniejszej ochoty wyruszać dzisiejszego wieczoru do pracy. Właściwie chciałyby posiedzieć przed domem razem z innymi kobietami, trochę popić, wypalić kilka papierosów i poplotkować. Latem było tutaj uroczy, mimo smrodu gnijących śmieci i niedomytych dzieciaków; można się było czuć prawie jak za granicą. Zaraz jednak Joanie skarciła się za zbyt bujną wyobraźnię. Teneryfa to przecież nie była.

Uśmiechnęła się do siebie i położyła na ustach kolejną warstwę cukierkoworóżowej szminki numer 7. Jeśli dzisiaj dobrze zarobi, jutro zafunduje sobie dzień wolny i się trochę zabawi. W każdym razie zrobi sobie przerwę.

Słuchała Boba Marleya, śpiewającego *No Woman, No Cry* i cicho nuciła razem z nim, nakładając na twarz gruby makijaż, zasadniczy wymóg w jej zawodzie. Ostatnio starała się, żeby na ulicy nie być zanadto podobną do siebie samej; dawno już minęły dni, kiedy naprawdę była dumna ze swojej urody. Mijający czas wyraźnie odbijał się na jej twarzy, a pieniądze, których kiedyś zarabiała całe mnóstwo, obecnie ledwie wystarczały na jako takie życie. W gruncie rzeczy, gdyby nie była leniwą babą, mog-

łaby zastanowić się nad podjęciem jakiejś normalnej pracy, chociaż pewnie było już dla niej na to za późno. Z jej przestępczą przeszłością porządnej roboty raczej by nigdzie nie dostała. Tak naprawdę tkwiła w zamkniętym kręgu.

Westchnęła ciężko i jeszcze raz zaciągnęła się papierosem. W najbardziej bzdurnych snach nie przychodziło jej do głowy, że właśnie w taki sposób będzie przebiegało jej życie, lecz jej naturalna odporność na ciosy sprawiła, że w końcu zaakceptowała ten fakt. Była już zmęczoną, zniszczoną kobietą, a na jej twarzy widniały wyraźne głębokie zmarszczki; ani śladu po ślicznej dziewczynie, jaką była kiedyś. Niespodziewanie, kiedy popatrzyła na swoje odbicie w lustrze, zachciało się jej płakać. Ale załamanie trwało tylko chwilę. Szybko dokończyła drinka i zmusiła się do uśmiechu.

Czy nie za dużo tego makijażu? Nie za dużo alkoholu? Jeśli nie będzie uważać, tylko wystraszy klientów. Słyszała Kirę, która wesoło śmiała się z czegoś, bawiąc się w salonie. Instynktownie uśmiechnęła się także Joanie, mimo że nie miała pojęcia, co jest źródłem radości córki. Jej najmłodsze dziecko zawsze było wesołe, roześmiane, szczęśliwe, skore do żartów.

Do pokoju wszedł syn, Jon Jon, z dużą wódką, zmieszaną z colą. Podał jej szklanekę.

— Nie pij więcej, mamó. Potrzebujesz jakiegoś przyspieszenia?

Joanie potrząsnęła głową.

— Nie musisz mnie podwozić. Pojadę z Moniką.

Jon roześmiał się.

— Chodziło mi o to, czy chcesz połknąć kilka tabletek valium.

Joanie skrzywiła twarz w smutnym uśmiechu.

— Coraz gorzej ze mną co? Nie, dzięki, i byłabym ci wdzięczna, gdybyś nie oferował tych tabletek na prawo i lewo. Jeszcze cię za to zamkną, synu, wspomnisz moje słowa.

Jon Jon nic na to nie powiedział. Był zbyt zajęty podziwianiem siebie w lustrze nad toaletką.

Joanie znów upiła duży łyk i czknęła.

— Do ciężkiej cholery, Jon Jon, co tutaj jest, paliwo rakietowe?

— Smimoff z czarną nalepką. Carty załatwia to w porcie.

Joanie tym razem ledwie zamoczyła usta i uśmiechnęła się.

— Tego mi właśnie było trzeba.

Mówiła prawdę, chociaż jej syn nie zdawał sobie z tego sprawy. Oddał jej uśmiech, a ona popatrzyła na niego z czułością, ciesząc się, że ma takiego przystojnego syna. Wiedziała, jak bardzo Jon Jon nienawidzi jej pracy; to dlatego, od dnia, w którym ukończył dziewięć lat, przynosił jej mocnego drinka, kiedy opuszczała mieszkanie. Mimo że zawsze naśmiewano się z niego w szkole, ponieważ miał matkę kurwę i dziwkę (bezustannie słyszał z ust kolegów, ale także od obcych ludzi, te i dziesiątki innych epitetów) i nienawidził tego, co robiła, rozumiał, że to jest konieczne i szanował Joanie jako matkę.

— Zostań dzisiaj w domu, z Kirą — powiedziała. — Dzisiaj Jeanette może wyjść wieczorem.

Jon Jon pokiwał głową.

— Nie musisz ciągle wszystkiego powtarzać, mamo. Przecież zawsze robię to, co do mnie należy. — Wyszedł z pokoju z urażoną dumą siedemnastolatka, który nie życzy sobie bezustannych napomnień matki.

Mimo wszystko był dobrym chłopakiem, nawet jeśli Joannie była jedyną osobą na świecie skłoną to przyznać. Policjanci nienawidzili go. Kiedy coś złego działo się w okolicy, zawsze był ich pierwszym podejrzanym. Fakt, że czasami, kiedy ponosiła go fantazja, zdarzało mu się coś przeskrobać, ale gdyby ci mądrale mogli zobaczyć, jak on czyta. Wprost pochłaniał każdy tekst, na którym położył ręce, a jakie mądre znał słowa! Duma Joanie z trochę zbłąkanego syna nie znała granic.

Jej duma z dzieci była naprawdę przeogromna, mimo wszystkich okropieństw, jakie ludzie wygadywali na temat Brewerów, jej samej nie wyłączając. Wiedziała o tym, jednak ignorowała ludzkie złośliwości. Wraz z rodziną po prostu starała się prze-

trwać w tym okrutnym świecie, jak wszyscy inni. A charakter miała taki, że plotki na temat rodziny pozornie puszczała mimo uszu. Nigdy specjalnie się nimi nie martwiła albo przynajmniej takie sprawiała wrażenie wobec ludzi, czasami głośno żartując ze swojego zawodu. Dała się jednak poznać w okolicy jako osoba doskonale potrafiąca poradzić sobie w każdej bójce, i to wychodziło jej na dobre. Przez ostatnie lata przywalała w szczękę niejednej sąsiadce; w rezultacie ludzie trochę się jej obawiali i mało kto miał odwagę, żeby coś złego powiedzieć jej w twarz. No bo w jakim celu? W gruncie rzeczy była bardzo miła i uprzejma, przecież zawsze ze wszystkiego każdy mógł się jej zwierzyć. Potrafiła dochowywać sekretów, dlatego też знаła większość lokalnych plotek oraz kryjące się pod nimi prawdy. Nigdy jednak się z tym nie zdradzała. Zdawała sobie bowiem sprawę, że jeśli raz otworzy jadaczkę, natychmiast wywoła mnóstwo kłótni i bójek.

W zasadzie znała sytuację finansową każdej sąsiadki. Czasami pożyczala im pieniądze i potem miała trudności z ich odzyskiwaniem. Sama szczyliła się tym, że nigdy nie była winna nikomu ani pensa i bardzo nie lubiła osób, które wykorzystywały jej uczynność.

Za drobną opłatą czytała karty tarota, dzięki czemu wyrobiła sobie w okolicy pewien status, ponieważ każdy chciał przecież wiedzieć, czy, a tym bardziej kiedy, wydostanie się wreszcie z tych slumsów, albo jak w przyszłości będzie się układało jego życie miłosne. Ponieważ większość związków nie trwała dłużej niż kilka tygodni, zapotrzebowanie na jej wróżby było ogromne. Joanie uśmiechała się na tę myśl. Kobiety zadziwiały ją — wieczne, niepoprawne optymistki. Ale cóż, czy miały jakikolwiek wybór?

W każdym razie tutaj uwiła swoje małe gniazdko i cieszyło ją ono, tak jak cieszyło ją niemal wszystko. Życie, wierzyła, zawsze było takim, jakim się je samemu kształtowało. Biorąc pod uwagę okoliczności, było więc całkiem znośne. Szczęście, zawsze powtarzała dzieciom, jest jedynie stanem umysłu.

Wsunęła się w ciasną, czarną spódniczkę mini oraz czarną,

prześwitującą bluzeczkę. Na nogi włożyła buty na nieprawdopodobnie wysokich obcasach i sztywnym krokiem, kołysząc pierśmi, przeszła do salonu. Tam poprawiła fryzurę i wtarła w siebie perfumy.

— Och, mamó, wyglądasz prześlicznie!

Głos Kiry aż drżał z podziwu. Uwielbiała makijaże i perfumy, dlatego matka, która nadużyła i tego pierwszego, i drugiego, wydała się teraz najmłodszej córce uderzająco piękna.

— Dziękuję, kochanie.

Niebieskie oczy Kiry nie mogły oderwać się od olśniewającej matki.

— Uroczo pachniesz i w ogóle...

— Jak wróci, już tak nie będzie pachniała. Będzie śmierdziała jak męski kibel w Soho.

Tę zjadliwą uwagę rzuciła druga córka Joanie, Jeanette.

Joanie wykrzywiła twarz w uśmiechu.

— Coś na ten temat wiesz, prawda, kochanie? Przecież często tam bywasz.

Jon Jon i Kira roześmieli się. Joanie śmiała się z nimi, mimo że uwaga córki bardzo ją zabolowała. Jednak, jak zwykle, natychmiast o niej zapomniała. Rozumiała lepiej niż ktokolwiek inny, przez co muszą codziennie przechodzić dzieci z powodu jej zajęcia. Zapaliła papierosa i odruchowo poprawiła włosy. Pałac, patrzyła przez okno, czy nie zbliża się Monika.

Przed domem wszystko wyglądało jak zawsze. Biegały dzieci, w powietrzu unosiły się dźwięki muzyki z małych radyjek i z wielkich wież stereofonicznych, warczały silniki samochodów — można było odnieść wrażenie, że spogląda się na ponury dzień w Bejrucie.

Ale to był dom Joanie i jej rodziny. Podobało im się tutaj, o ile w ogóle taka okolica mogłaby komukolwiek się podobać. Nie mieli wyjścia.

Joanie ciężko westchnęła.

— Monika spóźni się nawet na własny pogrzeb.

Kira roześmiała się.

— Razem z Moniką i z Bethany pójdziemy jutro do kina — powiedziała.

— To bardzo miło, kochanie. — Joanie zaczęła zapalać następnego papierosa i skinęła na syna. — Jon Jon, zrób nam jeszcze po drinku.

Jon Jon poszedł do kuchni. Po chwili, patrząc, jak na talerzu w kuchence mikrofalowej obracają się frytki, nalał matce do szklanki wódkę z colą. Był mocno naćpany i nagle poczuł się głodny. Po raz kolejny zaciągnął się jointem i wrócił do salonu z drinkiem dla matki. Otaczał go smród wypalonego narkotyku.

— Nic dziwnego, że nazywają to skunksem. Po prostu śmierdzisz jak skunks.

Jon Jon uśmiechnął się leniwie.

Jeanette, która na kilka minut znikła w sypialni, wyszła z niej i Joanie ciężko westchnęła.

— Chyba nie zamierzasz tak wychodzić do miasta?

Jeanette miała ciało dojrzałej kobiety i twarz dziecka. Była to zabójcza kombinacja. Jednak obie dziewczynki przypominały matkę. Nawet Kira miała już parę małych cycuszków, mimo że przecież była zaledwie jedenastoletnią dziewczynką. Tymczasem Jeanette ubrała się właśnie na podobieństwo swojej idolki, Britney, i wyglądała jak chodzące wcielenie seksu.

— Wyglądasz rewelacyjnie! — Kira po raz kolejny była pełna podziwu. — A tę górę to pożyczyłaś od koleżanki?

— Nie, kurwa, to moje.

Dziewczynce trochę zrzędła mina.

— Tylko pytałam.

— Więc lepiej nie pytaj, kurwa, zgoda?

Jeanette nie miała i nie chciała mieć czasu dla młodszej siostry i to było widać; jej obecność traktowała jako osobistą uciążliwość.

— Nie mów do niej w taki sposób, ty mała, przegniła maskarado. A poza tym, Kira trafiła w dziesiątkę. Jeżeli ten ciuch nie jest własnością żadnej koleżanki, to skąd go, kurwa, masz?

— Znowu kradła na bazarze — powiedział spokojnie Jon

Jon i nagle w pokoju zrobiło się cicho. — Kradłaś ze straganów, co? — kontynuował.

Jeanette odgarnęła z czoła długie, kręcone włosy.

— A nawet jeśli, to co z tego? Co ci do tego? Kurwa, nie jesteś moim ojcem!

Jon Jon postąpił krok w jej kierunku, ale Kira natychmiast stanęła pomiędzy bratem i siostrą.

— Tylko się nie bijcie, proszę!

Joanie dokończyła drinka i postawiła szklanę na zniszczonym, drewnianym stoliku.

— Dosyc tego. Dlaczego zawsze muszę wychodzić roztrzęsiona? Pozwólcie mi raz, chociaż raz, wyjść do pracy w spokoju.

Jon Jon niezbyt delikatnie stuknął siostrę wyciągniętym palcem w klatkę piersiową i warknął:

— Uważaj na siebie, dziewczyno.

Jeanette roześmiała się.

— Nie boję się ciebie, frajerze!

Jon Jon wbił spojrzenie w jej oczy i Joanie zaobserwowała, że odwaga córki błyskawicznie zamienia się w prawdziwy strach.

— A powinnaś się bać, Jen. Powinnaś bardzo się bać.

Kira była już wyraźnie smutna. Odnosiła wrażenie, że w pokoju jest pełno jadu, który atakuje wszystkich obecnych.

Otworzyły się drzwi i w progu stanęła Monika. Na głowie miała najcięższą i najbardziej dziwaczną fryzurę afro, jaką kiedykolwiek odnotowała historia.

— Wołam i wołam z dołu, a ty nic! — krzyknęła. — Jesteś gotowa, dziewczyno, czy nie? — Podrapała się po wielkiej pierśsi, poprawiając elastyczną bluzkę. — Cholerne gównno, nie mogę się do tego przyzwyczaić.

— Następnym razem kup sobie coś na swój rozmiar — powiedziała Jeanette z sarkazmem w głosie, nawet nie zastanawiając się nad tym, co mówi.

Zanim Monika zdołała odparować, Kira zawołała:

— Uważam, że wyglądasz...

Wszyscy, nawet Monika, dopowiedzieli słowo „fantastycznie” i w tej samej chwili razem się roześmieli.

Ucałowawszy dzieci, Joanie w trochę lepszym nastroju wyszła do pracy.

Kira wyszła z mieszkania i zeszła stromą, betonową klatką schodową na podwórko, tam gdzie rozciągnięte były wspólne sznury do suszenia prania. Od dawna nikt ich nie używał, dlatego mogły się tam bawić dzieci. Zaletą tego miejsca był fakt, że podczas zabawy przynajmniej z kilku mieszkań zawsze dochodziły dźwięki głośnej muzyki.

Niestety, stały tam także — zawsze przepełnione — pojemniki na śmieci, w związku z czym smród, szczególnie latem, był wprost niemożliwy do wytrzymania. Ostatniej zimy w jednym z pojemników znaleziony został noworodek, ledwo żywy. To dzieci usłyszały jego płacz, wyciągnęły niemowlę na zewnątrz, wezwały policję i przez kilka dni były bohaterami całej okolicy. Matka nieszczęsnego noworodka musiała wynieść się stąd zaraz po tym, jak została niemal zlinczowana przez sąsiadki, a niechciane niemowlę trafiło z kolei do sierocińca. Kilka miesięcy po tym wydarzeniu dzieci wciąż nie rozmawiały niemal o niczym innym, a rodzice nie mieli już nic przeciwko temu, żeby ich pociechy bawiły się przy śmietnikach.

Było to ulubione miejsce Kiry. W przeciwieństwie do innych dziewczynek nie wychowywano jej na długiej smyczy, nie mogła przesiadywać na podwórku całymi godzinami, dlatego każda chwila, jaką mogła spędzić z koleżankami, była dla niej cenna. Fakt, że nie może korzystać z takiej samej wolności jak wszyscy inni, był przedmiotem jej nieustannych sprzeczek z bratem i z matką, jednak Kira była na tyle inteligentna, by rozumieć, że w zmaganiach z nimi stoi na z góry przegranej pozycji. Matka przegrała wojnę z Jeanette i nie zamierzała poddawać się również Kirze. W efekcie pilnowała jej znacznie uważniej, a dziewczynka musiała to zaakceptować i zrozumieć przyczynę matczy-

nej troski. W zasadzie była dobrym dzieckiem i zawsze robiła to, o co prosiła matka lub starszy brat. Teraz, siedząc na niskim murku, była i tak zadowolona z tej rzadkiej chwili wolności.

„Mały” Tommy Thompson obserwował, jak dziewczynki siedzą na murku i wesoło się przekomarzają. Z jego balkonu doskonale było widać i linki do prania, i bawiące się dzieci. Lubił na nie patrzeć, śmieszyły go ich groteskowe zabawy, a szczególnie uważnie przypatrywał się Kirze i jej przyjaciółkom. Pomachał im, uśmiechając się, a dziewczynki nieśmiało odmachały do niego rączkami.

Razem z ojcem przeprowadził się tutaj przed pięcioma miesiącami. W wieku trzydziestu ośmiu lat Tommy cierpiał z powodu straszliwej, chorobliwej otyłości i jako taki był zupełnie niezdolny do pracy. Poza tym, jak mawiał jego ojciec do każdego, kto tylko chciał słuchać, Tommy także nie był najjaśniejszą lampką na bożonarodzeniowej choince.

Tommy nienawidził ojca. Każda jego uszczypliwa uwaga wiodła go prosto do lodówki.

— Chorobliwie otyły? — mawiał ojciec. — Każdy nabałby się przy nim choroby.

Tommy zawsze chciał się w końcu dowiedzieć, co znaczą te słowa, jednak nie udawało mu się; regułą było, że bardzo szybko zapominał o każdym swoim postanowieniu. Nie zamierzał również pytać o nie doktora, ponieważ podczas każdej wizyty ojciec nie opuszczał go ani na krok i Tommy musiał się przyzwyczaić, że ma tylko słuchać, a głos przy lekarzu zabiera jedynie ojciec. Zawsze tak było, nawet kiedy jeszcze żyła mama.

Poruszył na krześle swoim wielkim ciałem. Wysoka temperatura była dla niego zabójcza i zdawał sobie sprawę, że śmierdzi. Chwytał słodki odór własnego potu za każdym razem, kiedy wiatr przedmuchiwał fałdy jego brzucha. Bloki były tak usytuowane, że wiatr wiał wzdłuż ich murów i w efekcie balkony były najchłodniejszymi miejscami. W związku z tym Tommy spędzał na nim mnóstwo czasu.

— Co u ciebie, Grubasku?

Wesołe zawołanie sprawiło, że na jego twarzy pojawił się uśmiech. Tommy pomachał mężczyźnie pod balkonem, zadowolony, że ktoś go zauważył. Był wprost rozpromieniony, odkrzykując:

— Nie za gorąco dzisiaj, co?

Mężczyzna nawet się nie zatrzymał, co zafrasowało Tommy'ego. Znowu wygodnie usiadł i obserwował dziewczynki, roześmiane, wesoło szczebioczące jedna do drugiej. Z mieszkania Kiry docierały głośne dźwięki muzyki Beenie Mana i po tym Tommy poznał, że jej brat, Jon Jon, wciąż jest w domu, a matka wyszła już do pracy. Pilnowali jej czujnie jak jastrzębie — i z pewnością mieli ku temu powody.

Ta myśl wywołała na twarzy Tommy'ego uśmiech, który jednak znikł natychmiast, kiedy Tommy usłyszał trzask drzwi wejściowych.

Ojciec wrócił do domu. Tommy grzecznie czekał, aż rozpocznie swoją codzienną porcję narzekań.

— Dlaczego przyszliśmy tak wcześnie?

Monice już się plątał język. Wypiła jeszcze potężnego łyka z butelki, w której znajdowało się tanie bacardi.

— Przecież w końcu padniesz, dziewczyno. Bacardi rozłoży cię szybciej niż cokolwiek innego.

— Och, odpierdol się, Lena, daj mi spokój.

Lena, młodziutka dziewczyna ze Szkocji, westchnęła i uniosła brwi, popatrzawszy na Joanie. Ta jednak tylko potrząsnęła głową, nakazując jej w ten sposób, żeby pilnowała własnych spraw.

— Podoba mi się ten naszyjnik, Lena. Nowy? — zapytała Monika.

Dziewczyna nastroszyła się dumnie. Właśnie podłapała nowego alfonsa i prezenciki były jeszcze na porządku dziennym; przywilej młodszych dziewcząt.

— Oczywiście, wykonano go na znacznie szczuplejszą szyję — zauważyła Monika.

Monika zmierzała do kłótni i to było wyraźnie widoczne. Lena była kręłą dziewczyną i naszyjnik rzeczywiście był dla niej zbyt delikatną ozdobą. Ale Monice w gruncie rzeczy wcale nie chodziło o sam naszyjnik, lecz o to, co on oznaczał. Wszystkie dziewczyny zdawały sobie z tego sprawę. Lecz żadna nie zamierzała przejmować się głupimi dowcipami Moniki na temat nowego alfonsa Leny.

Lena wołała na wszelki wypadek się roześmiać.

— Przykro mi, ale nie znam Franka Bruno na tyle, żeby sobie pożyczać jego biżuterię — powiedziała wesoło.

Zaśmiała się nawet Monika, jednak zaraz stwierdziła napastliwie:

— I o to chodzi, ty pierdolona miss świata.

Lena potrząsnęła głową.

— Ona jest zbyt młoda. Bardzo przepraszam, ale facet powinien wyraźnie określić dolną granicę wieku dla swoich dziewcząt — powiedziała Monika.

Młoda dziewczyna doskonale zdawała sobie sprawę z zamieszania, jakie spowodowała. Na dworze powoli się ściemniało, interes powinien więc zaraz się rozkręcić i wiedziała, że ma duże szanse, by złapać klienta jako pierwsza. Wiedziała też, że wywoła przez to kolejną falę niechęci do siebie. Nie martwiła się tym jednak; miała dobrą ochronę. W wieku czternastu lat wydało się jej, że wie wszystko o zawodzie, w którym pracuje. Niestety, o niektórych sprawach wiedziała już o wiele za dużo, a była zbyt głupiutka, żeby z tej wiedzy wyciągnąć jakieś wnioski dla siebie. Uciekła z domu i dla mężczyzn, którzy polują na kobiety, żeby zmuszać je do pracy na ulicy, stanowiła łatwy cel. Szybko też została upolowana.

Monika cmoknęła z niezadowoleniem tak głośno, że Joanie roześmiała się.

— Daj jej spokój. Musi jeszcze przejść przez szkołę Todda McArthura. Wkrótce wszystkiego się nauczy.

Todd był młodym alfonsem, który koncentrował uwagę na nowych dziewczętach. Był przystojny, zawsze spokojny, ale też bezwzględny. Wszystkie jego dziewczyny były w nim zakochane, nawet wtedy, gdy otrzymywały od niego złe wiadomości. W przeciwieństwie do starszych kobiet, które nie miały złudzeń co do mężczyzn, którzy z nich żyli, młodsze dziewczęta musiały najpierw doświadczyć głębokiego upadku, zanim odkrywały, że ich przeznaczeniem jest spędzenie najlepszej części życia w upodleniu, z którego nie ma wyjścia. Dobry alfons potrafił znaleźć dziewczynę, która w ciągu dwudziestu czterech godzin usiłowała go porzucić, i zwykle tak robił. Lanie, które potem otrzymywała schwytała dziewczyna, i perspektywa powtórki, sprawiało, że w głowie już jej nie rodziły się jakiegokolwiek ucieczki. Po nauce była już uległa i zawsze stawała przed opiekunem na baczność albo po prostu kładła się przed nim na plecy, z szeroko rozłożonymi nogami; zależy jak patrzeć na kwestię uległości.

Tydzień pobytu w szpitalu był zasadniczo wystarczającą nauką, a dziewczyna, której taka lekcja mimo wszystko nie wystarczała, sama szykowała sobie zgubę. W każdym razie taka była wspólna opinia w tej kwestii, wyrażana przez kobiety pracujące na ulicy.

Przy krawężniku zatrzymał się niebieski ford escort i źle uczesany, drobny, biały mężczyzna uśmiechnął się do Moniki. Był jej stałym klientem. Kiedy podchodziła do samochodu, posłała młodej dziewczynie uśmiešek, który wystarczył za słowa. Stali klienci byli jak skarb. Czynili życie trochę znośniejszym, dawali szansę na odrobinę rozluźnienia, na jakie nigdy nie można było sobie pozwolić przy obcych, szczególnie przy dzikusach, z którymi codziennie musiały się męczyć.

— Kurwa, dzięki, że sobie pojechała, Joanie. Pije coraz więcej — powiedziała Lena ponuro.

Joanie westchnęła, ale nie skomentowała jej słów.

— Popatrz, ta mała dziewczyna jest na prochach. Spójrz tylko, jak się kołysze, do kurwy nędzy — kontynuowała Lena. —

Obie z Joanie patrzyły przez chwilę na dziewczynę stojącą kilkanaście kroków od nich, po czym obie, jak na zawołanie, się odwróciły. — McArthur to kawał skurwysyna, nie? — dodała Lena po chwili.

Joanie skinęła głową, zanim odpowiedziała:

— A skoro mowa o skurwysynach...

Roześmiały się, kiedy zobaczyły, że ich alfons, Paulie Martin, biegnie w ich stronę. Kiedy zbliżył się do nich, na jego przystojnej twarzy malowało się autentyczne niedowierzenie.

— Ten McArthur niedługo otworzy jakiś pierdolony żłobek, co?

— Tego dzieciaka zabrał chyba prosto z kołyski.

Paulie Martin wygładził poły swojej marynarki, szytej na miarę.

— Joanie, potrzebuję cię w salonie — powiedział.

Joanie uśmiechnęła się. W salonie masażu pracowało się o wiele lepiej. Paulie wzywał ją tam jednak tylko wtedy, kiedy już nie miał naprawdę nikogo innego i Joanie doskonale o tym wiedziała.

— Jasne, stary. Na jak długo?

— Po prostu wsiadaj do samochodu, dobra? Tak jakbyś pracowała dla Williama G. Stewarta. Żadnych pytań, tylko ruszaj dupskiem.

Jedno trzeba było oddać Pauliemu: był dowcipny i dziewczętom podobało się jego poczucie humoru. Poprawiał im nastrój w niejedną beznadziejną noc.

— Lena! — krzyknął Paulie przez ramię. — Powiedz temu małemu pojebowi McArthurowi, że jeśli jeszcze raz zobaczę którąś z jego dziewczynek w takiej odległości od mojego terytorium, że będę w stanie ją obszczać, złamię mu jego pierdolony kark.

— Tak jest, panie Martin.

Jadąc w fotelu pasażera w kierunku East Ham, Joanie trochę się odprężyła. Miała dziś trochę szczęścia i postanowiła się nim cieszyć.

— Wyglądasz na szczęśliwą, Joanie.

Paulie uśmiechnął się do niej i Joanie aż zacisnęła nogi. Był uderzająco przystojny, od gęstych, kruczoczarnych włosów po głębokie, niebieskie oczy i doskonale o tym wiedział. Był dość krępy i nie na tyle wysoki, jak by chciał, jednak miał w sobie coś takiego, co sprawiało, że wszystkie kobiety go pragnęły. W jego profesji stanowiło to wielki atut. Wcześniej nauczył się, że na pewne kobiety lepiej niż cokolwiek innego działa uśmiech i komplement rzucony w odpowiednim momencie.

Paulie potarł nogę Joanie nad kolanem i tym razem to ona się uśmiechnęła. Facet był draniem, ale jej draniem, dlatego wybaczała mu wszystko. Wiedziała, że daje jej dzisiaj tylko resztki, ale była na tyle mądra, by to doceniać. Obecnie nie mogła już liczyć na coś więcej, musiała się cieszyć tym, co dostawała.

Wciąż jeszcze była jednak doskonałym towarem dla pewnej grupy klientów. Miała proste i wesołe spojrzenie, które trafiało do starszych mężczyzn. Joanie była przyjaciółką emerytów oraz rencistów i bardzo ją to cieszyło. Tacy rzadko dawali napiwek, ale też nie spędzali u niej za każdym razem zbyt wiele czasu, co samo w sobie stanowiło dobry bonus. W gruncie rzeczy, praca w salonie masażu bardzo Joanie odpowiadała. Mężczyźni, którzy tam się pojawiali, albo byli leniwi, albo po prostu bali się, że ktoś ich zobaczy, jak z samochodu zaczepiają prostytutki. Byli to miejscowi faceci mający w sobie tylko tyle energii, żeby korzystać z salonu najbliżej pubu, w którym spędzali mnóstwo czasu, albo przybysze spoza miasta, pracujący niedaleko i przychodzący po to, żeby trochę pobłyszcznąć swoimi pieniędzmi i fałszywymi uśmiechami. Płacili zresztą niewiele. Lecz przecież wartość żadnej z dziewcząt nawet nie zbliżała się do ceny stu funciaków za numerek, dlatego pracy w salonach masażu nie uważały za najgorszą.

Paulie był wystarczająco rozsądny, żeby wiedzieć, jakiego typu dziewczyny będą zarabiały dla niego pieniądze w salonie: niezbyt ładne, ale też nie kompletne maskarony — dla takich najlepsze miejsce było przy krawężnikach, nie w wygodnych

wnętrzach. Zbyt ładne dziewczęta odstraszały mężczyzn; doszedł do takiego wniosku po wielu latach pracy w tym interesie. Jak powtarzał każdemu, kto go tylko chciał słuchać, mężczyźni w salonach pragnęli panować nad sytuacją, a ładniutki prostytutki wzbudzały w nich obawy, że im, a właściwie ich urodzie, po prostu nie sprostają. Mężczyźni bez pieniędzy i jakiegokolwiek prestiżu czuli się onieśmieleni przy zbyt ładnych kobietach, odnosili wrażenie, że to oni powinni być dla nich mili, nie na odwrót. Jego dziewczęta, a używał tego terminu dość luźno, powinny być zwyczajnymi ładacznicami, zaspokajającymi potrzeby klientów.

Kiedy samochód zatrzymał się przed salonem, Paulie ziewnęła.

— Zapytaj Jon Jona, czy chciałby ze mną popracować. Słyszałem, że robi się sławny w pewnych kręgach.

Joanie pokiwała głową.

— W porządku. Jak długo mam dzisiaj pracować?

— Jedną z dziewczyn wpisałem na moją listę zaginionych. Prawdopodobnie to potrwa kilka dni. — Znów ziewnęła i dodała: — Cholerna niewdzięcznica. Tyle dla niej zrobiłem.

Joanie miała własną opinię w tej sprawie. Doskonale wiedziała, co Paulie zrobił dla dziewczyny. To samo zrobił dla niej i proszę, dokąd ją to zaprowadziło.

— Nie zrób jej krzywdy, kiedy ją znajdziesz...

Nie miał zamiaru odpowiadać. Pochylił się za to nad nią i otworzył od wewnątrz drzwiczki samochodu.

— Sprawuj się dobrze, Joanie.

Pokiwała głową.

— Aha, i wyświadczyć mi przysługę, dobrze? W przyszłości zachowuj swoje pierdolone opinie na temat moich metod pracy dla siebie. Jesteś moją własnością, Joanie, jak wszystkie moje dziewczyny. Jeśli kiedykolwiek dojdę do wniosku, że chciałbym wysłuchiwać waszych opinii, pójdę do pierwszego lepszego szpitala dla czubków, żeby mi takie zamiary wybili z głowy. Jasne?

Joanie znów pokiwała głową. W jego głosie brzmiała nieskrywana złość i zdawała sobie sprawę, że jest bliska przeciągnięcia struny.

— No i?

Pokiwała głową, jeszcze energiczniej.

— Chodzi mi o to, że masz spierdalać z samochodu, Joanie. Natychmiast!

Paulie krzyczał z taką wściekłością, że jego głos przebijał nawet warkot przejeżdżających samochodów. Joanie pośpiesznie wyskoczyła z samochodu i czmychnęła do salonu masażu. Była poniżona i zraniona. Co najgorsze, było to po niej widać.

Gaynor Coleman ze smutkiem pokiwała głową i powiedziała do niej:

— Ten facet to zwykły cham.

Joanie, jak zwykle chcąc obrócić ponury incydent w żart, odparła:

— Cham wobec wszystkich. W końcu to jego zawód, jest alfonssem.

Obie kobiety wybuchły śmiechem i Joanie poczuła się trochę lepiej. Mimo to sposób, w jaki Paulie się do niej zwracał, bardzo ranił. W końcu poświęciła mu wiele lat życia.

Usiadła w salonie razem z innymi dziewczynami. W pomieszczeniu unosił się wszechobecny zapach oliwki dla dzieci i dymu papierosowego, było to jednak o wiele lepsze niż stęchły oddech i pijackie gadulstwo Moniki.

Po dziesięciu minutach miała pierwszego klienta.

Dla Joanie zaczęła się noc ciężkiej pracy.

Kira, Bethany i mała dziewczynka o imieniu Catriona, mająca dopiero siedem lat, bawiły się aż do zachodu słońca. Radosny czas upływał im niepostrzeżenie. Przed domem zgromadziło się mnóstwo mam. Siadały na kuchennych taboretach i plotkowały o tym i owym, głównie o życiu. Panowała spokojna, niemal rodzinna atmosfera. Dzieci dostały chipsy i colę, a dorośli otworzyli kilka butelek wina.

Zwijając kolejnego jointa, Jon Jon obserwował swoją małą siostrę z balkonu. Od kilkunastu sekund dzwonił jego telefon ko-

mórkowy. Wiedział, kto chce się z nim połączyć, jednak na razie nie odbierał. Zawołał za to z balkonu do siostry:

— Chodź, Kira, już czas do domu.

Dziewczynka usłyszała głos brata i aż opadły jej ramiona.

— Och, Jon Jon, jeszcze pięć minutek, proszę.

W jej głosie brzmiał błagalny ton, którego nauczyła się już dawno.

Po chwili otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, kiedy matka Catriony, dwudziestopięcioletnia brunetka, roześmiała się i zawołała:

— Przypilnuję jej, Jon Jon. Może dziś nawet u mnie spać.

Catriona bawiła się jak nigdy dotąd i gdyby Kira wróciła teraz do domu, czar z miejsca by prysnął, gdyż żadna dziewczynka nie poświęcała jej tyle uwagi, co ona. W opinii większości była za mała do wspólnej zabawy, ale Kira wprost uwielbiała młodsze dzieci.

— Bardzo mi miło, dziękuję, ale nie. Rusz dupsko na górę, Kira.

— Proszę, jeszcze pięć minut, Jon Jon.

Znów zadzwonił jego telefon i Jon Jon zawołał:

— Pięć minut i ani minuty więcej.

Jedna z sąsiadek wyszeptała:

— Możecie mówić o nim, co chcecie, ale jest dobry dla tej dziewczynki.

Inne kobiety pokiwały potakująco głowami i Kira z przyjemnością odnotowała, że chociaż raz ktoś znalazł dla jej brata miłe słowo. Zwykle na jego widok znacząco unoszono brwi, uśmiechano się głupio albo szeptano potajemnie jakieś obraźliwe zdania. Jego zła reputacja z każdym miesiącem rosła. Uważano go już niemal powszechnie za hardego zbira, a on robił wszystko, co tylko mógł, żeby tę opinię o sobie potwierdzić.

Pięć minut później Kira niechętnie pożegnała się z przyjaciółkami i podziękowała matce Catriony za propozycję przenocowania. Szybko wbiegła po schodach i znikła w mieszkaniu. Przygotowawszy sobie kanapkę z marmoladą, usiadła obok brata

na balkonie i czekała niecierpliwie, aż skończy wykrzykiwać coś do telefonu.

— No, dobra, Kira, przygotuj się do spania.

— Mogę dokończyć kanapkę?

Jon Jon roześmiał się.

— Jasne, że możesz. Ale dzisiaj nie zwracaj mi już głowy. Możesz sobie za to pooglądać telewizję, zgoda?

— Dziękuję, Jon Jon. Jesteś najwspanialszym bratem na świecie.

— Muszę być taki, żeby z tobą wytrzymać.

Kira była szczęśliwa, uwielbiała, kiedy Jon Jon zachowywał się w taki sposób i sobie z nią żartował. Był miłutki, był jej bratem, a to, co mówili o nim różni obcy ludzie, zupełnie nie miało znaczenia. Jon Jon był dla niej miły.

— A opowiesz mi bajkę na dobranoc?

— Nie przeginaj, Kira!

Ale w jego głosie było tyle ciepła, że Kira nie straciła nadziei. Jon Jon opowiadał jej przed snem wspaniałe bajki. Ale po chwili ponownie zadzwonił jego telefon i dziewczynka westchnęła. Znow zaczął coś wykrzykiwać i przeklinać, a Kira zrozumiała, że szansa na bajeczkę prysła jak bańka mydlana. Weszła do mieszkania i przebrała się w piżamę.

Ułożyła się wygodnie w łóżku i tak długo oglądała na kanale Sky *Queer As Folk USA*, dopóki nie zasnęła.

ROZDZIAŁ DRUGI

Joanie dopiero co wróciła z pracy. Właśnie przygotowywała sobie filiżankę kawy, kiedy do kuchni wszedł Jon Jon.

— Wszystko w porządku, mamó? Dobra noc?

Joanie pokiwała głową. Była zmęczona jak pies i to było po niej widać. Pod oczyma miała ciemne obwódki, a całą skórę wprost szarą. Wyglądała jak kobieta, która spędziła noc ze zbyt wieloma mężczyznami, wyłącznie obcymi mężczyznami, którzy bawili się jej ciałem. Trafiła także na cwaniaka, klienta, który zrobił swoje, a potem nie chciał zapłacić. Była to ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała kobieta licząca na stałe miejsce, przynajmniej przez jakiś czas, w salonie. Salon to jednak dobry zarobek, a poza tym było tu znacznie bezpieczniej niż na ulicy, przy kra-
wężniku.

Trzymała jednak tę mądrość wyłącznie dla siebie, ponieważ wiedziała, że syn ma zupełnie inne problemy na głowie. Jednak wspomnienie nocnej awantury wciąż ją bolało. Dobrze pracowała w salonie i doskonale o tym wiedziała. Bała się jednak, że incydent sprawi, iż Paulie nie będzie jej już tam więcej chciał. Tym bardziej, że zdawała sobie sprawę z wielkiej niechęci, jaką żywi do niej Patsy, szefowa dziewcząt w East Ham. Powód tej niechęci był prozaiczny: związek Joanie z Pauliem trwał znacznie dłużej niż jego związek z jakąkolwiek inną dziewczyną, a przecież biedna Patsy dawno sobie ubzdurała, że to ona kiedyś zostanie, już na stałe, kobietą Pauliego Martina. Głupia; Pauliemu na pewno nie było to w głowie. Ale Joanie nie miała najmniejszego zamiaru si-
kać na ognisko rywalki. A prawda wyglądała tak, że Paulie był już żonaty. Jego żona, Sylvia, kobieta z dużą nadwagą, filar miej-

scowego kościoła, była wcieleniem przyzwoitości, ale oprócz tego była też głupia i nie zauważała nikczemnych interesów i bezustannych związków swojego męża z innymi kobietami. Paulie trzymał ją oraz dwie córki w kompletnej nieświadomości co do swych poczynań i nawet go to bawiło. Wierzył, że gdyby żona wiedziała, z czego ją utrzymuje, z miejsca padłaby trupem. Choć raz lub dwa razy w życiu Joanie widziała ją niedaleko miejsca, gdzie czekała na klientów, nikomu o tym nie wspomniała, a już szczególnie Pauliemu. Doskonale wiedziała, kiedy należy trzymać gębę zamkniętą. Był to w końcu, w jej zawodzie, jeden z wymogów utrzymania się na powierzchni.

Postarała się, żeby jej głos zabrzmiał możliwie wesoło, kiedy mówiła do Jon Jona:

— Dostałam dzisiaj robotę w salonie, a więc nie było tak źle.

Jon Jon nie skomentował jej słów, ale tego właśnie się spodziewała. Nigdy nie rozmawiał z nią wprost o jej pracy, zawsze była to karuzela aluzji i oględnych komentarzy.

— Jak się sprawowała moja mała Kira? — zapytała.

Jon Jon uśmiechnął się.

— Jak zwykle, była bardzo grzeczna, mamó. Zawsze jest taka.

Zaobserwował, jak w ciągu sekundy napięcie opuszcza twarz matki. Było tak zawsze, gdy zaczynała myśleć o swoim najmłodszym dziecku.

Jon Jon z trudem zaczął rozstawiać deskę do prasowania. W małej kuchence było z tym sporo kłopotów. Joanie wiedziała, że syn zamierza wyprasować ubranie, które Kira włoży jutro do szkoły. Był w tym dobry.

— Mamó, także bym wypił kawę.

Wyczuła, że jest jeszcze zaspany. Był przystojny i miły. Zamykała umysł na wszystko inne, co o nim wiedziała lub co o nim mówiono. Nie miała wyboru. Gdyby przyjęła inną postawę, nie przespałaby spokojnie żadnej nocy — a właściwie dnia, gdyż, ze względu na swoje zajęcie, sypiała prawie wyłącznie w ciągu dnia.

Kiedy Jon Jon wsuwał wtyczkę żelazka do gniazdka, powiedziała jakby od niechcienia:

— Aha, tak przy okazji, Paulie chciał, żebym ci przekazała, że mógłbyś z nim popracować, jeżeli masz ochotę.

Kiedy słowa do niego dotarły, Jon Jon popatrzył na matkę z niedowierzaniem.

— Co takiego? — zawołał.

Jego głos był wysoki, piskliwy.

— Chce, żebyś dla niego pracował.

Joanie zdawała sobie sprawę, co za chwilę nastąpi, mimo wszystko jednak brnęła dalej. Gdyby Jon Jon pracował dla Pauliego, przynajmniej wiedziałaby przez cały czas, gdzie się znajduje i co robi.

— Wysłuchaj go chociaż, on wcale nie jest taki zły...

— Możesz mu ode mnie powiedzieć, żeby się pocałował w dupę.

Twarz Jon Jona była kompletnie pozbawiona wyrazu, gdy próbował zrozumieć, co takiego opętało kobietę, która go urodziła, że żąda od niego czegoś tak głupiego.

— Nie mów do mnie w taki sposób! Przekazuję ci jedynie to, o co prosił Paulie. A między nami mówiąc, on wcale nie jest aż takim złym gościem.

— Nie, oczywiście, że nie jest. I nie jest alfonsiem mojej matki! Kurwa mać, mammo, powinienem pójść do niego i uścisnąć mu dłoń?

Roztrzęsiona Joanie zamknęła oczy.

— Daj spokój, synu. Nie zasługuję na to, żeby tego słuchać i doskonale to wiesz. — Jej głos był cichy, łagodny, obelga jednak zapiekła ją, mimo że przecież nie było w niej ani słowa nieprawdy. — Uważaj na kliny i dodatki.

Jon Jon trzasnął żelazkiem o deskę.

— A więc, twoim zdaniem, wyglądam na jakiegoś zasranego alfonsa? No, mamuniu, odpowiedz mi!

Joanie zrozumiała, że powiedziała słowa, które z jej ust nigdy nie powinny się wydostać. Żałowała, że doszło do tej rozmowy.

— Oczywiście, że nie wyglądasz. Jedynie przekazałam ci wiadomość, nic więcej! — krzyknęła do syna.

— W przyszłości nie kłopotz się takimi przekazami.

— Daleko byś przy nim zaszedł. Paulie potrzebuje pomocnika mającego odrobinę oleju w głowie...

— Ale nie potrzebuje mnie. Cokolwiek sobie pomyślisz, nigdy nie będę pierdolonym sprzedawcą kobiet.

— Jon Jon, przecież mógłbyś przy nim nieźle zarobić i...

Chłopak przerwał jej gwałtownie:

— Wiem, mamó, że jestem bardziej czarny niż biały, ale to nie czyni mnie alfonsem. A może alfonsem był mój ojciec? Tak? Tyle że nie wydaje mi się, by ktokolwiek coś o nim wiedział. A już szczególnie ty. — Natychmiast zrozumiał, że zabrnął za daleko i zrobiło mu się przykro. — Och, mamó, po co ta rozmowa? Przecież wiesz, co czuję i co myślę o takich facetach jak Martin.

Joanie bez słowa wyszła z kuchni.

Jon Jon zaczął prasować szkolny strój Kiry, jednak nie wkładał już w tę pracę ani odrobiny serca. Wciąż przeżywał szok po tym, co powiedziała matka. Fakt, że w ogóle pomyślała, iż zechce rozpatrzeć propozycję, mocno go palił, mimo że przecież rozumiał kierujące nią motywy.

Filizanka z kawą Joanie wciąż stała obok jego własnej. Wziął ją i zaniósł do sypialni.

— Proszę, mamó. Wypij, a potem pokimaj kilka godzin.

Uśmiechnęła się do niego smutno. Wyglądała teraz jak stara, zagubiona, udręczona kobieta.

— Przepraszam, Jon Jon.

Zmierzył dłonią jej włosy, jakby to ona była dzieckiem, a on dorosłym.

— Wiem, mamó, wiem.

Oboje zdawali sobie sprawę, że przecież nie odpowiedział jej przeprosinami na przeprosiny.

*

— Ruszaj się, ty gruby draniu!

Joseph Thompson patrzył, jak jego syn z trudem przygotowuje dzbaneczek herbaty. Jego wielkie cielsko z trudem zmieniało położenie w ciasnej kuchni. Tommy pocił się. Już od dawna było tu za gorąco dla osoby o jego rozmiarach. Wyjrzał przez kuchenne okno i zobaczył dzieci wychodzące z domu do szkoły. Wyczuł, że ojciec stanął za jego plecami i skrzywił się.

— Popatrz tylko, małe dziewczynki, a ubierają się jak jakieś cholerne kurwy. To właśnie im się tak przyglądasz?

Pytanie ojca rozzłościło Tommy'ego, ale odpowiedział spokojnie:

— Nie patrzę na nie w taki sposób i doskonale o tym wiesz. Lubię po prostu, jak są wesołe i dobrze się bawią.

Joseph parsknął szyderczo.

— Oczywiście! A teraz rób szybko tę pieprzoną herbatę, gruby zboczeńcu. Za chwilę muszę iść do pracy. Przygotowałeś kanapki?

— Są w lodówce.

Później pomiędzy ojcem i synem nie padło już ani jedno słowo. Dziesięć minut po tej wymianie zdań ojciec wyszedł z mieszkania, nawet nie mówiąc „do widzenia”. Tommy poczłapał do swojej sypialni i z trudem wyciągnął spod łóżka jakieś pudełko. Otworzywszy je, uśmiechnął się.

Pudełko było pełne lalek Barbie. Niektóre były ubrane, ale prawie wszystkim brakowało główek. Pod lalkami znajdowała się cała masa kostiumów i miniaturowych przedmiotów — wszystko, czego Barbie potrzebowała, żeby wyjść do miasta, od szokujących różowych, krótkich sukienek, po perfekcyjnie wykonane małe torebki i buciki. Wszystko było jednak mokre, odkrył Tommy. Nagły odór moczu podpowiedział mu, co się z tym stało. Nie pierwszy raz. I wiedział, że nie ostatni.

Dusząc w sobie szloch, Tommy zaczął z powrotem układać lalki w pudełku, odsuwając ubranka na bok, żeby je później wyprać. Z brwi kapał mu pot. Otarł go tłustą pięścią i zmieszał ze łzami.

Układając w pudełku główki, bez przerwy powtarzał jedno słowo: „draniu”.

Kira i Bethany spędzały czas w holu klatki schodowej i bezustannie chichotały. Grały w klasy i cieszyły się każdą chwilą zabawy.

W przeciwieństwie do Bethany, Kira grała w klasy po raz pierwszy w życiu i zabawa była dla niej ekscytującą nowością. Bethany chciała jednak na chwilę usiąść, ochłonać i zapalić papierosa.

— Wiesz co? Chodźmy do biblioteki — zaproponowała Kira.

Jej przyjaciółka z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

— Jesteś pewna? — powiedziała sarkastycznie. — Dwie uczennice w bibliotece podczas normalnego dnia nauki?

Kira zrozumiała logikę jej słów i znowu zachichotała.

— Nie pomyślałam o tym.

Kiedy usiadły na schodach, usłyszały, jak w którymś mieszkaniu ktoś głośno słucha radiowej listy przebojów. Dziewczynki znowu wstały i zaczęły podrygiwać, przekonane, że nikt z dorosłych ich teraz nie zobaczy, a już na pewno nie powie niczego ich matkom. Nikt przecież nie będzie chciał psuć kobietom nastrojów opowieściami o dziecinnych wygłupach córeczek.

— Chodźmy do parku.

Bethany potrząsnęła przecząco głową i zapaliła kolejnego *console*'a, wciągając mentolowy smak głęboko w płuca. Po chwili, wypuszczając dym, spróbowała robić w powietrzu kółka.

— Zakurzysz?

Kira potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, nienawidzę papierosów.

W tym momencie otworzyły się drzwi na półpiętrze i Mały Tommy wysunął głowę zza framugi.

— Co wy tutaj robicie?

Bethany pośpieszyła z odpowiedzią, jak zwykle, pierwsza:

— A nie widać?

Tommy zmierzył ją wzrokiem. Po chwili uśmiechnął się radośnie.

— Chcecie się napić herbaty? — zapytał.

Dwie dziewczynki popatrzyły po sobie i zachichotały.

— Tak, chętnie.

Śmiejąc się, zadowolone z zaproszenia, jakie złożył im „dorosły”, dziewczynki weszły do jego mieszkania.

Paulie już z daleka ujrzał charakterystyczne dredy Jon Jona i mijając go, machnął na niego ręką. Jon Jon zignorował go i ani się nie obejrzał, ani nie zwolnił kroku. Szedł do kumpla. W kieszeniach miał pełno tabletek ekstazy i nie mógł już się doczekać, kiedy się ich wreszcie pozbędzie. Od pierwszej fali zachwytu, w połowie lat dziewięćdziesiątych, ich cena drastycznie spadła. Cztery albo pięć lat temu zarabiano się na nich dobre pieniądze, nawet dwadzieścia pięć funtów na sztuce. Teraz miał szczęście, gdy zarabiał pięćset funciaków na każdym tysiącu włożonym w towar.

Nadal jednak na nich zarabiał i w gruncie rzeczy to było najważniejsze.

Miał w dzisiejszym planie jeszcze jeden ważny punkt i zamierzał go zrealizować, zanim przystąpi do interesów.

Otworzył drzwi do budynku, w którym na dziko koczował Carty, i zawołał głośno:

— Tylko ja!

— Włóż, stary.

Carty był w kuchni, gotując porcje kraku. Zapach panował tutaj okropny, jednak jego źródło stanowił przede wszystkim przepełniony kosz na śmieci i zapchany zlew.

Carty już miał odlot i to bardzo zdenerwowało Jon Jona. Potrafił zrozumieć ludzi, którzy brali narkotyki działające na poziom serotoniny, takie jak ekstaza, ale nie akceptował mieszania ich z kokainą, która zmieniając poziom dopaminy, powodowała odloty, po których wkrótce następowała głęboka depresja. To narkotyk dla samolubów. Ekstaza albo trawka to zupełnie co inne-

go. Sprawiały, że człowiek miał ochotę bratać się z innymi, bardziej cieszył się towarzystwem ludzi. Pragnął przebywać w krainie wspólnego szczęścia, a nie w piekle samotności, które wywoływała kokaina.

W przeszłości Jon Jon i Carty wachali czasami kokainę w weekendy i potem prowadzili długie bezsensowne rozmowy, które wtedy wydawały im się bardzo ważne, a w rzeczywistości były bezładnymi wywodami dwóch kumpli na haju. Carty, od czasu kiedy zaczął zażywać kokainę w postaci wolnej zasady, bardzo się zmienił. Gdy obaj tylko ją wachali, była to dla nich jedynie zabawa, przerywnik w codzienności. Obecnie, z powodu narkotyków, całe życie Carty'ego wywróciło się do góry nogami i o tym właśnie Jon Jon zamierzał z nim dzisiaj porozmawiać.

— Chyba jest trochę wcześniej, nawet jak na ciebie, nie uważasz?

Carty westchnął.

— Odpieprz się, Jon Jon. Daj mi spokój, dobrze?

Jon Jon był już porządnie wkurzony.

— Jesteś moim kumplem i nie mogę spokojnie patrzeć, co ostatnio ze sobą wyprawiasz! Wyglądasz jak pojeb i zachowujesz się jak pojeb!

Carty zignorował jego słowa, starannie natomiast odmierzył porcję proszku, wstrzymując oddech w oczekiwaniu na to, co za chwilę nastąpi. Jego lufka do kokainy leżała pusta na blacie i Jon Jon dotknął jej. Wciąż była ciepła, zrozumiał więc, że kumpel znajduje się dzisiaj na najlepszej drodze donikąd i przez resztę dnia nie ma już co na niego liczyć.

— Masz ekstazę?

— Oczywiście, że mam. Kto ją zabierze?

— Marky Morgan. Zostawił pięćset w lodówce. Chce, żebyś podrzucił tabletki do jego mieszkania.

— Może sobie, kurwa, chcieć. Zadzwoń do niego i powiedz, żeby tu przyszedł albo zabiorę ze sobą i forszę, i narkotyki. — Jon Jon otworzył piwo i upił duży łyk, zanim dorzucił: — Bezczelny typ z niego, nie?

Ale Carty był już daleko, w swoim własnym świecie i Jon Jon ze smutkiem popatrzył na przyjaciela. Rozejrzał się po brudnej kuchni. Była pełna akcesoriów związanych z narkotykami, to rozzłościło go jeszcze bardziej. Wiedział, że kiedyś może zostać złapany za rozprowadzanie ekstazy i zniesie to po męsku, ale wstydziłby się, gdyby głupio wrobił się w jakąś sprawę z kokainą. Poza tym nie uniknąłby wysokiej odsiadki, oznaczającej dla niego praktycznie wyrok śmierci. A nie sprzedawałby przecież tego świństwa nawet najgorszym typom, którzy zasługiwaliby na całe zło, jakie by tylko mogło ich spotkać. Każdy powinien zachowywać pewne standardy, a za swój standard uważał dealerkę tabletek ekstazy i z narkotykami nie chciał poza tym mieć nic więcej wspólnego.

Wyciągnąwszy z lodówki kolejną butelkę piwa, zawołał Carty'ego po imieniu. Kiedy chłopak odwrócił się w jego kierunku, rozbił butelkę o jego policzek. Pod wpływem uderzenia Carty upadł, a gdy znalazł się na podłodze, Jon Jon kopał go tak długo, aż przestał się ruszać. Następnie starannie przeszukał mieszkanie i pozbierał wszystkie pieniądze, jakie znalazł, także trochę srebrnej biżuterii i najlepsze narkotyki. Pochował łupy po kieszeniach, jednak kokainy nie ruszył. Kiedy Carty dojdzie do siebie, będzie jej potrzebował bardziej niż kiedykolwiek. Więcej Jon Jon już nie zamierzał się o niego martwić. Ich przyjaźń była skończona.

— Dosyć go w życiu ostrzegałem, teraz niech się wali.

Zadzwoniwszy po taksówkę, Jon Jon zaczął cicho gwizdać przez zęby, a tymczasem odezwała się jego komórka. Odgadywał, że dzwoni Marky, by zapytać o swoją ekstazę. Cóż, mógłby przecież ruszyć dupę, przyjść tutaj i ją sobie odebrać. Do kurwy nędzy, za kogo on się uważa?

Kiedy taksówka stanęła przy krawężniku, Jon Jon różnym krokiem opuścił dom, w którym mieszkali wyłącznie dzicy lokatorzy. Było mu lekko na sercu, od bardzo dawna nie czuł się tak dobrze.

Nadszedł czas, żeby pozbyć się ze swego otoczenia wszyst-

kich nieudacznym, mętów. Dobrze, że zaczął od najlepszego kumpla.

Taksówkarz znał go, dlatego nie zadając zbędnych pytań, w absolutnym milczeniu zawiózł go do mieszkania matki. Jon Jon miał w okolicy reputację groźnego zbira i bardzo mu się to podobało.

— Skąd je masz?

Tommy uśmiechnął się z dumą, słysząc w głosie Kiry podziw.

— Zbieram je od lat.

— Ale to są przecież zabawki dla dziewcząt.

Bethany nie interesowała się lalkami. Już jej to dawno mięło. Kira była jednak w siódmym niebie.

— Kocham Barbie, Tommy. Uważam, że jest wspaniała.

Kira, uwielbiająca wszelki blichtr, jaskrawe ciuchy i grube makijaże, wreszcie natrafiła na pokrewną duszę.

— Jesteś trochę do niej podobna, wiesz, Kira?

To porównanie sprawiło jej niewypowiedzianą przyjemność.

Bethany westchnęła. Ważyła już blisko sześćdziesiąt kilogramów, skłonność do tycia odziedziczyła bowiem po matce, nieznosnie zazdrościła Kirze szczupłej sylwetki i miłej aparycji, mimo że jako koleżankę wprost ją ubóstwiała.

— Naprawdę? Naprawdę? Co ty na to, Beth? Naprawdę jestem do niej podobna?

Bethany pokiwała głową i uśmiechnęła się niechętnie.

— Tak, naprawdę.

Tommy wytoczył się koślawo do kuchni, żeby im przynieść herbatę.

— Ten chłopak to pierdolony dziwoląg, nie, Kira?

Kira cmoknęła z niezadowoleniem.

— Nie bądź taka okropna. Jest miły, może trochę zbyt...

Bethany zrobiła krzywą minę i odpowiedziała:

— Zbyt gruby?

Kira roześmiała się, mimo że wcale tego nie chciała, i podsunęła inne słowo.

— Zbyt smutny.

Bethany zarzuciła końskim ogonem, w jaki miała związane swoje falujące włosy i zachichotała.

— Ale bardzo cię lubi.

Kira zadrżała.

— Przestań. Słyszę, jak idzie.

Tommy wszedł do pokoju i z ulgą posadził wielkie cielsko na dużym krześle, stojącym przy łóżku. W pulchnych łapskach bez trudu trzymał trzy filiżanki z herbatą.

— Proszę, dziewczynki, doskonała herbata w śliczniutkich filiżaneczkach.

Tommy był w swoim żywiole. Kochał gości, a te dwie panieneczki były najlepszymi gośćmi, jakich mógłby sobie wymarzyć. Dziewczynki, młodziutkie dziewczynki stanowiły jego ulubione towarzystwo. Uwielbiał je słuchać, uwielbiał patrzeć, jak siedzą, jak się poruszają, a nawet sposób, w jaki gestykują drobnymi łapkami. Nie miał jeszcze pewności co do Bethany. Odnosił wrażenie, że jeśli poniosłaby ją fantazja, potrafiłaby zachowywać się jak prawdziwa wiedźma. Natomiast Kira... Cóż, Kira była młodą damą. Wcieloną Barbie.

— Uwielbiam Barbie jako Śpiącą Królową; to jedna z moich ulubionych. Przepadam też za Barbie stewardesą. Ach, ten jej liliowy kostium... — głos Kiry aż drżał z emocji.

Bethany zapaliła kolejnego papierosa, nie zwracając uwagi na to, że Tommy z niezadowoleniem zmarszczył nos. Pomachała zapalką, gasząc ją i popatrzyła na Tommy'ego wyczekująco, jakby żądała: „Popielniczka. Natychmiast”.

Tommy potrząsnął głową.

— W salonie — powiedział smutnym głosem.

Bethany wyszła z pokoju w poszukiwaniu popielniczki. Przy okazji postanowiła trochę się rozejrzeć po mieszkaniu.

— Ona tylko pali dla szpanu, Tommy. Uważa, że przez to wygląda na bardziej dorosłą.

— Zupełnie bez sensu. Przypomina z tym papierosem raczej małą prostytutkę.

Kira nie zareagowała na te słowa, bo nie bardzo wiedziała, co powinna odpowiedzieć. Wzięła natomiast do ręki Barbie Malibu i głęboko westchnęła w kompletnym zauroczeniu. Dzień układał się po prostu wspaniale.

Joanie przełożyła kolejną kartę. Siedząca przed nią kobieta wstrzymała oddech.

— No, dalej, Joanie!

— Król pałek. To on, bez wątpienia.

Kobieta z westchnieniem wypuściła powietrze.

— A więc wróci?

Joanie potaknęła, po czym obie się roześmiały.

— Nie musiałam czytać ci tego z kart, przecież on zawsze wraca.

— Wiem, ale miejmy nadzieję, że któregoś dnia nie wróci. Zostanie z babą, która lepiej ode mnie da mu dupy, i zostawi mnie wreszcie w spokoju.

Tym razem roześmiała się tylko Joanie, ale bardzo radośnie, szczerze.

— Jeśli tak się stanie, Suzy, nikt nie będzie bardziej tym zdziwiony od ciebie, dobrze wiesz.

Sąsiadka położyła na stole banknot dziesięciofuntowy i ciężko podniosła się z krzesła. Była w zaawansowanej ciąży, a tak jakoś się działo, że jej mąż, Dicky, zawsze znikał z domu, kiedy Suzy rozpoczynała siódmy miesiąc. Nosiła w sobie siódme dziecko i znowu nie miała pojęcia, gdzie podziewa się Dicky.

— Zatrzymaj te pieniądze, Suzy. Nie chcę ich.

— Nie, daj spokój. Przecież straciłaś przeze mnie całą godzinę, opowiadając mi rzeczy, o których doskonale wiem. Pieprzyć dziesięć funtów, zasługujesz na nie chociażby za cierpliwość.

Joanie roześmiała się.

— Dziękuję, kochanie, ale po prostu odejmę ci dziesięć funtów z długu, dobrze?

Suzy objęła ją niezdarnie i uściskała.

— Jeszcze raz dziękuję, kochanie. Pójdę już do domu i zajmę się moją gromadką.

Joanie wyprowadziła ją z mieszkania, po czym przeszła do małego saloniku i rozejrzała się. Było czysto i schludnie, co wywołało uśmiech na jej twarzy. Włączyła telewizor i nastawiła kanał UK Style. Właśnie zaczynał się program „The House Doctor”, jeden z jej ulubionych. Pewnego dnia, kiedy dzieci się już wyprowadzą, zrobi z mieszkania prawdziwą perełkę. To było jej marzenie.

Później, uklękawszy przed oszkloną komódką, w której wystawione były w ramach kolorowe fotografie i różne ozdoby, wyciągnęła dużą, dolną szufladę i zaczęła wydobywać swoje skarby, przeznaczone do wyśnionego wspaniałego mieszkania. Przez lata zgromadziła ich całe mnóstwo. Był tam i automat do parzenia kawy, i nawet srebrna zastawa stołowa, przeznaczone specjalnie na bajeczne przyjęcia, które kiedyś będzie wydawać.

W najskrytszych marzeniach wyobrażała sobie, jak na kolacje do niej przychodzą najróżniejsze znakomitości, z prawdziwym uwielbieniem wymyślała na te okazje menu i wybierała wina, które poda. Wyobrażała sobie wspaniałe kieliszki — a przecież trochę już ich miała — te wszystkie porcelanowe naczynia i sztuce, które kiedyś kupi. Oczyma wyobraźni widziała siebie w lśniącej sukni, wyglądającą, oczywiście, o wiele młodziej niż obecnie, siedzącą na honorowym miejscu przy stole, nad którym przez cały czas unosi się szmer rozmów, niewinnych żarcików i błyskotliwych wymian poglądów.

Oglądała to wszystko w wyobraźni, jakby to były po prostu zwykłe, nieodległe wspomnienia, coś, czego już kiedyś doświadczyła.

Trzasnęły drzwi wejściowe i Joanie w pośpiechu zaczęła składać swoje skarby, jednak Jeanette niemal natychmiast weszła do pokoju.

— Przeszkadzam ci, mamó? — zawołała głośno. — Kto dziś przychodzi na kolację? Sidney Poitier, jak zwykle?

Kiedy dzieci były mniejsze, Joanie dzieliła się z nimi swoimi marzeniami, a one dołączały do niej, zapraszając do domu własne wymarzone znakomitości, wybierając dla nich menu i zastawy stołowe. Teraz jedynie się z tego śmiały, co w głębi duszy bardzo bolało Joanie, jednak, jak zwykle, nie okazywała tego po sobie.

— Przecież wiesz, że ja i Sid...

— Mamuniu, jesteś szalona, do kurwy nędzy. Wypierdol te graty albo zacznij z nich korzystać, do ciężkiej cholery. Kitrasz je przez całe lata w szufladzie, aż dziw, że się, kurwa, nie potłukły.

Joanie zamknęła oczy i głośno zawołała:

— Kurwa mać, przestań przeklinać, damulko!

Przez chwilę matka i córka patrzyły sobie w oczy i nagle obie równocześnie wybuchły śmiechem.

— Gdzie jest Kira?

— A skąd mam wiedzieć? Pewnie z Bethany.

Nastrój znów prysł. Kira była obiektem zazdrości Jeanette i to już od dnia, gdy przyszła na świat. Wszyscy twierdzili, że Jeanette z tej zazdrości wyrośnie, ale wciąż na nic takiego się nie zanosilo. Właściwie z każdym mijającym rokiem jej zazdrość o Kirę stawała się coraz głębsza.

— Zrób mi herbaty, kochanie, ja tymczasem to posprzątam.

— Nie mogę, bo zaraz wychodzę.

Jeanette wyszła z pokoju z kapryśnym grymasem na twarzy.

Joanie westchnęła jeszcze raz i wyszeptwała:

— Dzieciaki, kto was, kurwa, zrobił?

Bethany wyszła już do domu, ale Kira wciąż z przejęciem bawiła się wszystkimi lalkami i należącymi do nich akcesoriami. W swojej garderobie Tommy miał wszystko, czego Barbie kiedykolwiek mogła potrzebować i Kira znów wpadła w zachwyty, przeglądając ubranka i drobniutkie przedmioty.

— Ale z ciebie szczęściarz, Tommy.

A Tommy cieszył się, że Bethany już sobie poszła. Lubił tę przemądrzałą dziewczynę o wiele mniej niż Kirę, która była bardzo podobna do niego samego. Nie fizycznie, oczywiście, posiadała jednak w sobie taką samą dziecięcą naiwność jak on. Doskonale oboje do siebie pasowali.

— Zawsze oszczędzam pieniądze, a potem kupuję sobie, co chcę.

— Jak urosnę, to właśnie będę robić. Będę sobie kupowała różne rzeczy.

Tommy uśmiechnął się do niej. Była naprawdę precudowna, a jej wysokie kości policzkowe i jasne włosy nadawały jej niemal nordycki wygląd. Za kilka lat z pewnością wyrosnie na wspaniałą laskę. Już teraz była subtelna i kobieca, co najbardziej go w niej pociągało. W przeciwieństwie do wielu dzieciaków z okolicy nie używała sprośnego języka i ani do głowy jej nie przechodziło, by nosić się jak pomniejszona kopia jakiejś gwiazdy muzyki rozrywkowej. Od A do Z była miłym dzieckiem.

Ubierali lalki i wesoło rozmawiali. Byli tym tak zajęci, że Tommy niemal zemdlał ze strachu, kiedy zorientował się, która już jest godzina. Było piętnaście po piątej; za dziesięć minut wracał ojciec. Jeśli zobaczy tutaj tę dziewczynkę, zrobi wściekłą awanturę.

— Musisz już iść, Kira, kochanie. Naprawdę musisz stąd iść.

Błagalny ton jego głosu wystarczył, żeby dziewczynka w mgnieniu oka podniosła się z podłogi.

— Nie ma sprawy, Tommy. Czy mogę jeszcze kiedyś do ciebie przyjść?

Twarz chłopaka przybrała rozanielony wyraz. Uśmiechnął się.

— Oczywiście, że możesz.

Kiedy wyszła, stał przez kilka sekund na środku pokoju, patrząc na bałagan, jaki po niej pozostał i mimo że zdawał sobie sprawę, jak zareaguje ojciec, kiedy przyjdzie z pracy — przecież woda nie była zagotowana, herbata niezaparzona — najważniejsze w tej chwili było dla niego to, że wreszcie znalazł przyjaciela. Pokrewną duszę.

Zaraz jednak wziął się w garść i ruszył do kuchni, by przygotować wieczorny posiłek. Przyszło mu do głowy, że przecież przez całe popołudnie nic nie jadł. Usłyszawszy odgłos klucza przekręcającego się w zamku, Tommy zamknął oczy w oczekiwaniu na nieuniknioną tyradę ojca.

Nie pomylił się.

Otrzymał kilka uderzeń otwartą dłonią w twarz. To było najtrudniejsze do zniesienia, ponieważ jak zwykle udowadniało mu, że nic nie jest wart.

Ale co mógł na to poradzić?

— Gdzie byłaś, panienko?

Kira uśmiechnęła się nieśmiało i serce Joanie jak zwykle zmiękło. Często się zastanawiała, skąd się wzięło to dziecko; dzięki Bogu, nie było ani trochę podobne do żadnego z rodziców.

— Zapomniałam o zegarku, mamusiu. Bawiłam się.

— Chodź, zjesz podwieczorek.

Wbijając zęby w odmrożoną lasagne i frytki z piekarnika, Kira rozmyślała o dniu, który spędziła z Tommym i stwierdziła, że bardzo go lubi. Był gruby i dziwaczny, ale podobał się jej spokój Tommy'ego, tak bardzo pasujący do niej samej.

Jeanette siedziała przy stole kuchennym i łapczywie pożerała swoją porcję. Po chwili do dziewczynek dołączył Jon Jon i zapytał Kirę, jak minął dzień w szkole. Kłamstwa nie przyszły jej łatwo, na szczęście Jon Jon miał wiele własnych spraw na głowie, słuchał jej tylko jednym uchem.

Rozglądając się po kuchni, Kira czuła w sobie dziwne ciepło. Miała nowego przyjaciela, który posiadał całą wielką kolekcję lalek Barbie. Czego więcej mogła chcieć od życia mała dziewczynka?

Jeanette była gotowa. Kiedy zegary pokazały dziewiętnastą trzydzieści, miała na sobie wprost wystrzałową sukienkę. Kira,

która tym razem sama wróciła do mieszkania, pokłóciwszy się o coś z Bethany, zapytała ze smutkiem:

— Wychodzisz?

Jeanette pokiwała głową.

— Ale tylko piśniesz słówko matce albo Jon Jonowi, a poza-
hujesz.

Kira przytaknęła.

— Dokąd idziesz?

Jeanette nie miała najmniejszego zamiaru odpowiadać.

Zostawszy samotnie w mieszkaniu, mała dziewczynka wysy-
pała sobie do miski trochę płatków kukurydzianych i usiadła na
balkonie wychodzącym na podwórze. Tym razem niewiele się
tam działo. W telewizji pokazywali właśnie „EastEnders” i Kira
wiedziała, że będzie tu pusto przynajmniej do wpół do dzie-
wiątej.

Patrzyła, jak ojciec Tommy’ego wychodzi z bloku, kierując się
ku głównej ulicy. Za chwilę z pewnością zniknie w najbliższym
pubie. Następnie pomachała rączką do swojego przyjaciela, który
wyszedł na balkon, żeby się tam chociaż trochę ochłodzić, bo upał
wciąż był taki, że ubrania przywierały do ciała.

Tommy wykonał gest imitujący picie herbaty i Kira z rado-
ścią pokiwała głową. Zostawiwszy drzwi do mieszkania otwarte,
szybko pobiegła do nowego przyjaciela.

Nie wiedziała, że zaledwie o kilkadziesiąt sekund rozminęła
się z policjantami wyposażonymi w nakaz przeszukania.

W salonie masażu panował coraz większy ruch.

Joanie zaprowadziła kolejnego klienta do małego pokoiku
i uśmiechnęła się do niego przymilnie. Był wyjątkowo paskudny
i nawet ona poczuła, że przewracają się w niej treści żołądka na
myśl o tym, co będzie musiała za chwilę zrobić. Gdy ochoczo
wskoczył na stół do masażu i położył się, rozebrany ze wszyst-
kiego z wyjątkiem brudnej pary bokserów, ciężko westchnęła. Jak
zwykle, na początek wyciągnęła piersi ze stanika.

— Chcę coś specjalnego. I nie śpiesz się — usłyszała.

Rozerwała paczkę z kondomem, ale mężczyzna zdecydowanie machnął ręką.

— Och, nie. Nie to! Jeżdżę na żywca.

— To sobie jeżdż z własną łapą. Nie ma kondoma, nie ma seksu.

Mężczyzna gwałtownie usiadł. Był już dobrze po pięćdziesiątce i sprawiał wstrętne wrażenie człowieka, który za długo żyje samotnie, je byle co, pije za dużo i czuje niechęć do prysznicza albo chociażby do zwykłej kąpieli w wannie. Prawdziwy przyjemniaczek.

— Posłuchaj, kurwo. Słyszałaś kiedykolwiek zdanie: „Klient nasz pan”?

Joanie pokiwała głową.

— A słyszałaś kiedyś powiedzenie: „Kondom na chuju, pizdy nie czuju”? — dodał.

Sherry usłyszała te słowa w sąsiednim pokoiku i zaczęła się głośno śmiać. Joanie, popatrzwszy na mężczyznę, siedzącego przed nią na stole z wyrazem niedowierzania na twarzy, także się roześmiała.

Facet się wściekł.

— Mówił ci ktoś kiedyś, że masz wielką jadaczkę i pewnego dnia jakiś mężczyzna ci ją zamknie?

Joanie wyrzuciła kondom do kosza. Wsuwając z powrotem piersi do skąpego stanika, powiedziała:

— Tak, mówiono mi to już setki razy. Ale widzisz, stary, trudno mi brać ciebie za mężczyznę, rozumiesz? A teraz spierdalaj.

Facet wprowadził ją w przygnębienie i nagle zobaczyła swoje życie takim, jakie rzeczywiście było. Od czasu do czasu miała takie ataki; czuła wtedy, jak obmywają ją fale niechęci do samej siebie.

Rzuciła w niego ubraniami.

— No, co jest z tobą, stary? — zawołała. — Jesteś tak samo głuchy jak obrzydliwy? Wynoś się!

— A może chociaż małe obciąganko?

— Od tego masz ręce, kochasiu. Jestem pewna, że się nimi doskonale posługujesz.

Potrzebowała aż piętnastu minut i pół butelki wódki, żeby dojść do siebie. Przy okazji wywołała awanturę z jedną z młodszych dziewcząt. W końcu jednak myśl, że w sumie dość gładko pozbyła się palanta, trochę poprawiła jej humor. Mogła być prostytutką, ale — dopóki w to wierzyła — była też żywą osobą, czującą i przeżywającą wszystko, co się wokół niej działo. Na razie jeszcze nie miała zamiaru wpaść po czubek głowy w otchłań, z której nie ma wyjścia. Zbyt dobrze znała los koleżanek, które bez reszty poddały się beznadziei.

Jej następnym klientem okazał się dwudziestolatek, niedoświadczony i bardzo nerwowy. Uspokoiła go najpierw, a potem dobrze obsłużyła i dostała pięciofuntowy napiwek. Cała jej złość na poprzedniego frajera znikła bez śladu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Była za pięć pierwsza w nocy, kiedy ciężko wszedłszy po schodach i stanąwszy przed drzwiami mieszkania, Jeanette stwierdziła, że mieszkanie jest zamknięte na klucz, a do drzwi przyczepiony jest czerwony, wręcz kłujący w oczy, druk nakazu przeszukania.

Poczuła, że serce przestaje bić w jej piersi i zdała sobie sprawę, co się stało. Przeszukanie było już wystarczającym ciosem, lecz przecież, kiedy mama i Jon Jon dowiedzą się, że zostawiła Kirę samą, wybuchnie dzika awantura. Brat jej tego nie daruje, nie mówiąc już o tym, czego będzie musiała wysłuchać od matki.

Zerwała kartkę z drzwi. Na nakazie napisano, że powodem przeszukania jest podejrzenie posiadania broni palnej i narkotyków, co oznaczało, że gliniarze mogliby tu spędzić nawet dobę, przewracając wszystko w mieszkaniu do góry nogami i byłoby to zgodne z prawem. Jeanette przyszło na chwilę do głowy pytanie, co jej brat przeskrobał tym razem.

Kiedy włożyła klucz do zamka, drzwi niespodziewanie otworzył przed nią młody posterunkowy.

— Jest pani mieszkanką tego lokalu?

Jeanette zignorowała go i przeszła całe mieszkanie, szukając Kiry. Nigdzie jej nie dostrzegła.

— Gdzie moja siostra?

Posterunkowy mówił właśnie coś do radiotelefonu i przez kilka chwil jej nie odpowiadał.

— Jaka siostra? — zapytał w końcu.

— Moja mała siostrzyczka, Kira.

Jeanette zaczynał ogarniać strach.

— Kiedy rozpoczęto egzekucję nakazu przeszukania, o siódmej trzydzieści dziewięć, nikogo tutaj nie było. Mieszkanie było puste, a drzwi otwarte. Teraz powiedz mi, gdzie jest twój brat, Jon Jon?

Jeanette wzruszyła ramionami i ruszyła w kierunku drzwi.

— Dokąd idziesz?

Jeanette zaskoczyła go, odpowiadając:

— Nie ma pan żadnego nakazu na mnie, a więc gówno to pana obchodzi!

— Czy wiesz, gdzie jest twój brat?

Jeanette nawet nie zatrzymała się; nie zamierzała też odpowiadać na to pytanie. W przedpokoju spróbowała zadzwonić na numer małego, różowego telefonu komórkowego Kiry. Usłyszała jedynie komunikat poczty głosowej. Westchnęła. Tego jej tylko było trzeba. Nie kryjąc złości, nagrała się na pocztę:

— Kira? To ja. Kurwa, zadzwoń do mnie, dobrze? I posłuchaj: kiedy mama i Jon Jon dowiedzą się, że zrobiłaś sobie wycieczkę, nic o tym nikomu nie mówiąc, będziesz w poważnych tarapatach, damulko.

Przerwała połączenie, poczuwszy się po tym wybuchu trochę lepiej.

Może Kira była u którejś z sąsiadek? Schodząc po schodach, wysłała SMS-a do brata, ostrzegając go przed czekającym na niego niebezpieczeństwem. Wysłała SMS-a także do matki. Jednak ani jej, ani bratu nie wspomniała, że utraciła z pola widzenia młodszą siostrę.

Pół godziny później musiała jednak przyznać, że sformułowanie „utraciła z pola widzenia” nie jest adekwatne do zaistniałej sytuacji. Kiry nie było po prostu nigdzie.

Teraz już naprawdę zaczęła się martwić. Zupełnie nikt ani nie widział jej siostry, ani z nią nie rozmawiał, ani w ogóle w ciągu ostatnich kilku godzin nic o niej nie słyszał. Wszyscy natomiast widzieli gliniarzy, to było oczywiste. Jeanette uspokajała się jeszcze myślą, że Kira okazała się na tyle sprytna, by zapaść się pod ziemię, ujrzawszy policję. Przecież musiała być gdzieś nie-

daleko. Telefon Bethany był wyłączony, Jeanette skierowała się więc do jej domu, kilka przecznic dalej. Kira mogła być teraz tylko tam. Och, kiedy tylko ją dorwie, skręci małej kark za to, że narobiła tyle zamieszania.

Ale tak naprawdę czuła coraz większy strach, gdyż jej młodsza siostra już od dłuższego czasu nie reagowała na nagrany wiadomość...

Szczęśliwie ani matka, ani Jon Jon nie zadzwonili jeszcze do niej po otrzymaniu SMS-ów, zatem miała jeszcze trochę czasu, żeby znaleźć zaginione dziecko. Przecież nikt jej nie zamordował! Zaczynała żałować, że nie została w domu, tak jak to było na dzisiaj ustalone. Cholera, że też akurat jej coś takiego musiało się zdarzyć.

Jon Jon znajdował się w kawalerce na Pierwszej Alei w Manor Park, zastanawiając się, jak przemycić narkotyki z Amsterdamu. Towarzyszył mu Sippy Marvell, młody Jamajczyk, dealer z Brixton.

Sippy wynajmował ten pokój od lat i tylko czasami wykorzystywał go do załatwiania narkotykowych interesów. Mieszkanie było zaniedbane, ale czyste, a Sippy zawsze trzymał w nim odpowiednie zapasy alkoholu i papierosów. Były niezbędne, jeśli cokolwiek chciało się poważnie planować. Przynajmniej tak uważał Sippy. Po drugie, telefony komórkowe musiały być w takich chwilach wyłączone. Sippy nalegał na to, a Jon Jon się zgadzał. Właściwie byli zgodni we wszystkich sprawach; już dawno przypadli sobie do serca. Sippy był autentycznym rastafarianinem. Akceptował jednak Jon Jona, który chciał stać się nim także, mimo że przecież był w połowie białym człowiekiem. Obaj chłopacy doskonale się rozumieli i to w sumie było najważniejsze.

Jon Jon zawsze interesował się, w jaki sposób Sippy przenośli swoją religię na codzienne życie. Kochał filozofię rasta, mimo że jego zajęcie, a więc handel narkotykami, niezupełnie pasowało do przekonań, które chciał uważać za swoje. Istniał też pro-

blem przemocy. Bardzo proszę, chociażby to, co zrobił dziś rano, jak to się miało do filozofii rastafariańskiej? Mógł jednak całymi godzinami słuchać opowiadań Sippy'ego o Marcusie Garveyu i jego cytatów z Pisma Świętego.

Nie był więc teraz rozczarowany, kiedy Sippy, zwijając kolejnego jointa, szeptał:

— Ziemia wydała rośliny zielone: trawę dającą nasienie według swego gatunku i drzewa rodzące owoce, w których było nasienie według ich gatunków. A Bóg widział, że były dobre*. — Uśmiechnął się do Jon Jona i dodał głośniejszym głosem: — Księga Rodzaju, człowieku. Biblia, do kurwy nędzy.

Jego ciężki jamajski akcent w uszach Jon Jona nadawał słowom dodatkowy rezonans. Te same słowa, wypowiedziane z akcentem południowolondyńskim, nie docierały już do świadomości z podobną mocą.

— Zanim zaczniemy planować szczegóły, Jon Jon, musimy rozwiązać kilka podstawowych problemów. Zadzwoń więc do mojego przyjaciela Jamesa Greya i poproś go, żeby tu wpadł na małą rozmowę.

Jon Jon lubił, kiedy Sippy powoli przeciągał samogłoski. Mówił wtedy cicho, ale jego słowa miały wówczas większą moc, niż gdyby wrzeszczał, ile sił w płucach.

— Znając ciebie, Sip, uważam, że twoi przodkowie byli pierwszymi dealerami.

Sippy roześmiał się, usłyszawszy komplement.

— Palimy, bo wtedy łatwiej się negocjuje. Pamiętaj o tym, kiedy przypadkiem znajdziesz się w Brixton. To kwestia religii.

Jon Jon roześmiał się. Włączył telefon i po chwili zobaczył tekst, wysłany do niego przez Jeanette. Z odtwarzacza dobiegały ciche dźwięki muzyki Petera Tosha. Nagle wydały mu się wstrętne i zbyt natarczywe w małym świecie obskurnej kawalerki.

Dwukrotnie przeczytał tekst, aż wreszcie popatrzył na Sippy'ego.

* Księga Rodzaju 1,12; Biblia Tysiąclecia.

— Mam cholerne kłopoty — powiedział.

Przyjaciół wrzucił ramionami.

— Razem je rozwiążemy, przecież nigdzie nie wychodzę. W końcu wieczór tak na dobre jeszcze się nie zaczął.

Joanie wróciła do domu taksówką, którą zawołała, kiedy tylko recepcjonistka z salonu przekazała jej wiadomość. Ponieważ zdesperowana Jeanette zatelefonowała w końcu prosto do salonu.

Wszedłszy do mieszkania, zobaczyła bałagan, dzieło policjantów, i w duchu ich przeklęła. Nakaz przeszukania leżał zmieyty na podłodze, zdaniem Joanie mógł sobie tam pozostać.

Natychmiast wyprosiła posterunkowego za drzwi, po czym, schwyciwszy Jeanette za poły żakietu, wrzasnęła:

— Gdzie jest moje dziecko?

Jeanette potrząsnęła głową.

— Nie wiem, mam. Nie mogę jej zlokalizować.

— Może gliniarze ją zabrali? Jak ją zostawiłaś tu samą, mogli tak zrobić. Były tu jakieś papiery z opieki społecznej?

Jeanette znów potrząsnęła głową.

— Nie, nic, jedynie nakaz rewizji. Daj mi spokój, mam!

Ale Joanie nie słuchała. Trzymając w dłoniach klapy żakietu córki, zamknęła oczy, próbując się uspokoić.

— Co powiedział ten policjant?

Znów mocno szarpnęła żakiem Jeanette. Tym razem obie nieomal upadły na ziemię.

— Gadaj, i to już!

— Jej tu nie było, mam. A teraz mnie puść.

Niezbyt delikatnie Joanie pchnęła córkę na kanapę. Następnie uderzyła ją pięścią w głowę tak mocno, że ją samą zabolęła ręka. Jeanette jednak nawet nie ośmieliła się pisnąć ani skrzywić z bólu.

Zadzwonił telefon i Joanie rzuciła się w jego kierunku.

— Halo — w jej głosie słychać było napięcie. — Halo, kto mówi? Do cholery, gdzie jest moje dziecko?

Jeanette widziała, jak troska znika z twarzy matki.

— Och, dzięki Bogu. Dziękuję. Zaraz tam jadę.

Joanie odłożyła słuchawkę i z ulgą usiadła na podłodze. Albo po prostu ugięły się pod nią nogi.

— Wszystko z nią w porządku, mammo?

W głosie Jeanette brzmiało autentyczne zatroskanie.

— Nie dzięki tobie, ty mała zaszrana wiedźmo.

Trzęsącymi się rękami Joanie zapaliła papierosa. Musiała mocno nad sobą panować, żeby ponownie nie przywalić córce z pięści. Sam Chrystus wiedział, jak niewiele było w tej chwili trzeba, żeby tak się stało.

— Jadę po nią. A ty zacznij tu sprzątać. Kiedy wrócę, jeszcze się, kurwa, z tobą policzę! Prosiłam dziś ciebie tylko o jedną, jedyną rzecz, a ty, kurwa mać, nie potrafisz nawet tego! Poczekaj tylko, niech no wróci twój brat. On przynajmniej wie, jak się opiekować młodszymi siostrami. Tobą także, ty mała, samolubna ladacznico!

— Gdzie ona jest?

Z równym powodzeniem Jeanette mogła jednak pytać głuchą. Nie zwróciwszy uwagi na pytanie córki, Joanie ruszyła w kierunku wyjścia. Wychodząc z mieszkania, z całej siły trzasnęła drzwiami.

Z punktu widzenia Jeanette wydarzenia tej nocy miały tylko jeden pozytywny aspekt: Jon Jon na pewno nie wróci do domu. Byłby głupi, wracając, skoro go szukała policja. Oznaczało to dla dziewczyny pewne wytchnienie.

— Była tutaj przez cały wieczór.

Joanie wpatrywała się w stojącego przed nią groteskowego grubasa i uśmiechała się nerwowo. Kira spała na zniszczonej kanapie za jego plecami, dzięki Bogu, czystej. Była to pierwsza myśl, jaka przyszła Joanie do głowy.

Chłopak przykrył śpiące dziecko kocem i teraz bezwiednie go poprawił, tak jakby to w podobnej sytuacji uczyniła każda matka. Na poobthukiwanym stoliku stała pusta puszka po coli, leżały

pogniecione opakowania po chipsach i resztki kanapki. Najwyraźniej grubas dobrze zaopiekował się Kirą i Joanie była mu za to bardzo wdzięczna.

Kiedy wyjaśniał sytuację, starał się mówić powoli, chociaż z pewnym trudem zachowywał spokojny ton dziwnego, wysokiego głosu. Brzmiał jak Dale Winton, który nałykał się helu.

— Widzi pani, siedziałem na balkonie. To z powodu gorąca w mieszkaniu. Widziałem, jak pani druga córka wychodzi, a potem zobaczyłem Kirę na jej balkonie, to znaczy, na pani balkonie, a więc zaprosiłem ją na filiżankę herbaty. Wtedy zjawiała się policja i nie wiedziałem, co robić. Nie miała swojego telefonu, a jedyny numer, jaki znała na pamięć, był numerem do mieszkania. Ale nie chciałem tam dzwonić, dopóki nie zobaczyłem, że pani wróciła... z powodu policji i tego całego zamieszania. To znaczy, ja dobrze widzę, co się dzieje w waszym dużym pokoju, jeśli odciągnięte są zasłony.

Ostatnie słowa wypowiedział z widoczną nerwowością, ale Joanie uśmiechnęła się.

— Dzięki, stary. Jestem ci bardzo wdzięczna. Przez cały czas postępowałaś bardzo słusznie.

Tommy wyszedł do kuchni, żeby zaparzyć herbatę i Joanie w głębi duszy podziękowała Bogu za chłopaka, który przypadkiem ocalił ją od całkowitej katastrofy. Opieka społeczna bez wątpienia natychmiast zabrałaby Kirę nie wiadomo dokąd, gdyby tylko okazało się, że dziewczynka jest w mieszkaniu sama. Grubas bez wątpienia nie wiedział, jak wielką jej oddał przysługę.

Tommy wrócił z herbatą.

— Proszę posłuchać, jeżeli kiedykolwiek będzie pani bardzo zajęta, mogę przyjść do pani mieszkania i jej popilnować. To bardzo dobre dziecko. Jest grzeczna, w ogóle nie przeklina. Ma nieskazitelne maniery, jak powiedziałyby moja mamuśka.

— Dzięki, przyjacielu, będę to miała na uwadze.

W gruncie rzeczy nie miała najmniejszej ochoty dobrowolnie powierzać mu Kiry, ale też nie chciała mu tego mówić. Wy-

świadczył jej dziś w nocy ogromną przysługę, mogła więc się zdobyć na to, żeby być dla niego miła. Poza tym herbata i spokojna atmosfera u niego w mieszkaniu działały na nią kojąco.

Już od dawna nie czuła się tak zrelaksowana jak dzisiaj. Uspokajało ją wystudiowane zrównoważenie i pogoda ducha chłopaka. Zgadywała, że przyjmował taką postawę, kompensując sobie kłopoty z wagą. Przez cały czas mówił, a właściwie przemawiał, dostojnie jak królowa, i to jak żadna spośród królowych rządzących państwami, które były znane Joanie.

Jakby czytając w jej myślach, Tommy powiedział po prostu:

— To choroba gruczołowa, ale i tak za dużo jem, więc sam sobie nie pomagam.

Jego otwarta twarz była tak szczera, że Joanie przez moment było bardzo przykro z powodu choroby chłopaka.

— Widzi pani, z Kirą doskonale się rozumiem. Naprawdę, cudownie ją pani wychowała.

Joanie uśmiechnęła się, usłyszawszy komplement. Przecież chłopak sam był zaledwie dużym dzieckiem. Bardzo dużym dzieckiem.

— Cóż, najlepiej będzie, jeżeli zabiorę ją już do domu. W każdym razie bardzo ci dziękuję, Tommy.

— Nie ma za co, pani Brewer.

— Mów do mnie po imieniu, Joanie, wszyscy się tak do mnie zwracają. A tak przy okazji, gdzie jest twój tato?

Przez ułamek sekundy na twarzy Tommy'ego gościło zmieszanie.

— Czasami wychodzi na noc. Nie wiem dokąd. Nie lubię go o nic pytać.

Bez wątpienia pod każdym względem był żółtodziobem. Joanie uśmiechnęła się do niego. Wiedziała od sąsiadek, że ojciec traktuje tego biednego chłopca jak szmatę. Czasami sama słyszała wczesnym wieczorem przez drzwi, jak mężczyzna wychodzi z domu. Nagle zrobiło jej się bardzo smutno z powodu siedzącego przed nią otyłego chłopaka.

— Wpadnij do nas jutro na herbatę, dobrze?

Tommy uśmiechnął się od ucha do ucha i, o ile było to jeszcze możliwe, aż napęczniał z dumy.

— Z radością przyjmuję zaproszenie, dziękuję.

Joanie znów się uśmiechnęła, po czym bez wysiłku podniosła córeczkę z kanapy. Kira była lekka jak piórko. Przywarła do matki całym ciałem i Joanie poczuła od niej zapach sera, masła oraz chipsów cebulowych. Przycisnęła córkę mocno do siebie, szczęśliwa, że ma ją z powrotem, całą i zdrową.

Wróciła do mieszkania szybko i po cichu. Im mniej będą wiedzieli sąsiedzi, tym lepiej. Powinni wiedzieć tylko tyle, ile same mu się powie. Matka wbijała jej tę zasadę do głowy od dzieciństwa i Joanie zapamiętała ją na całe życie.

Była ona tym bardziej oczywista, że przecież Joanie mieszkała tutaj od najmłodszych lat.

Jon Jon znajdował się w pokoju przesłuchań na komisariacie.

— Nie wiem, o czym mówicie! Jaka gwałtowna napaść?

Znowu potrząsnął głową i rzucił się plecami na oparcie krzesła.

— Daj spokój, chłopcze. Twój najlepszy kumpel znajduje się na oddziale intensywnej terapii, widziano cię, jak wchodzisz do jego nory, a teraz próbujesz mi wmówić, że nic na ten temat nie wiesz?

Jon Jon wyszczerzył zęby.

— Powiedziałem, że nie wiem, o czym pan opowiada, i to jest prawda. Byłem przez cały czas z Cherise, jedną z moich dziewcząt. Właściwie to kto mnie tam widział?

Posterunkowy zaczynał się denerwować.

— Nic ci do tego.

— Skoro ktoś rzeczywiście twierdzi, że mnie tam widział, co i tak jest oczywistym kłamstwem, już byście mnie aresztowali, zgadza się? Widzi pan, znam swoje prawa.

— Stać cię też na najlepszego papugę na rynku. Kurwa mać, adwokaci są dzisiaj bardzo drodzy. Tyle że, o ile wiem, nigdzie nie pracujesz, prawda?

Jeffrey Callington, adwokat Jon Jona, uniósł rękę i powiedział:

— Nie musisz odpowiadać na to pytanie, Jon Jon. Niczego nie znaleźli w twoim mieszkaniu i nie mają absolutnie niczego, żeby wiązać twoją osobę z miejscem popełnienia przestępstwa. A więc, panowie, jeśli nie macie nic przeciwko temu, uważam, że nadeszła najwyższa pora, żebyśmy sobie poszli. Mój klient zjawił się tutaj z własnej woli...

Posterunkowy wydał wargi i wreszcie mu przerwał:

— W towarzystwie adwokata!

Prawnik przez chwilę z pogardą wpatrywał się w młodego policjanta i powiedział, tym razem głośniejszym głosem:

— Czy prawo tego zakazuje? Jeśli tak, to nigdy nie słyszałem o takim paragrafie. Lepiej niech pan uważa na słowa. Już siódmy raz próbuje pan usidlić mojego klienta i za każdym razem marnuje pan cenny czas, zarówno mój, jak i własny. — Uśmiechnął się zimno. — Zakładam, że możemy już iść.

Posterunkowy uśmiechnął się sarkastycznie.

— Czujcie się moimi gośćmi.

Jon Jon posłał mu szydercze spojrzenie.

— Nie, dzięki, wolę iść do domu. Jednak dziękuję za propozycję.

Kiedy chłopak z adwokatem wychodzili z pokoju przesłuchań, Callington wciąż się uśmiechał.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, posterunkowy odezwał się przez zaciśnięte zęby:

— Łże jak pies.

Detektyw inspektor Baxter, weteran z dwudziestoletnim stażem w policji, odpowiedział mu z drwiną:

— Co ty, kurwa, powiesz?

— Załatwił sobie alibi, proszę pana. Dziewczyna i jej rodzice pewnie z ochotą to zaświadczą.

Policjantka w stopniu posterunkowej, siedząca dotąd w milczeniu w kącie pomieszczenia, była jeszcze na tyle zielona, że wszelkie wątpliwości tłumaczyła na korzyść podejrzanych. Teraz uśmiechnęła się.

— A pan jak uważa, kto zaatakował ofiarę? — zapytała Baxtera.

— Uważam, że zrobił to ten mały kłamczuch, który właśnie stąd wyszedł. Przypuszczam jednak, że nawet jakiś profesor Green z biblioteki, z ciężkim świecznikiem w ręku, byłby w tej chwili facetem, którego o wiele łatwiej byłoby nam przyskrzynić i oskarżyć o napad na Carty'ego. Zastraniec Jon Jon wciąż się nam wywija, ale któregoś dnia dostanę go w swoje ręce. Kiedyś pokażę mu, jakie ma pierdolone prawa, czarny zastraniec. — Przetarł zmęczone oczy. — Mam nadzieję, że ten Carty umrze. Przynajmniej upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu.

Posterunkowy znów się uśmiechnął. Na jego młodzieńczej twarzy wreszcie pojawił się wyraz nadziei.

— Kontaktuj się ze szpitalem, chcę wiedzieć o jego śmierci natychmiast, kiedy nastąpi.

Joanie po raz dziesiąty dokładnie okryła Kirę kołderką. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bała. Jeanette zdawała się wciąż otumaniona po potężnym ciosie, jaki przyjęła od matki. Gdyby opieka społeczna raz położyła na jej młodszej córce swoje łapska, nigdy by już jej nie odzyskała, Joanie to doskonale wiedziała. W przeciwieństwie do jej starszych dzieci, Kira nigdy, ani przez godzinę, nie znajdowała się pod opieką państwa. Kiedy Joanie była młodsza, sądy zwykły były aresztować prostytutki pod byle pretekstem i w efekcie jej starsze dzieciaki płaciły wysoką cenę za to, w jaki sposób zarabia na życie ich matka. A w tej chwili miała w policji taką kartotekę, że odebrano by jej Kirę pod byle pretekstem.

Nie, to się nigdy nie może wydarzyć. To dziecko wychowa na porządną kobietę, choćby miała sobie z tego powodu wypruć flaki.

Wróciwszy do saloniku, ujrzała starszą córkę, siedzącą sztywno na krześle i palącą papierosa. Ogarnęło ją współczucie wobec niej.

Jeanette, dobry Boże, była sama dla siebie najgorszym wrogiem. Jej buntownicza postawa wobec całego świata z góry skazywała ją w życiu na wszystko, co najgorsze. Nawet jako dziecko była nieusłuchaną, małą wiedźmą. Była agresywna, krzyczała, gryzła, drapała i kopała kogo popadnie, kiedy tylko nasza ją na to ochota. Jeśli z wydarzeń dzisiejszej nocy nie wyniknie nic lepszego, przynajmniej zostanie jej strach przed powtórzeniem się podobnej historii, dlatego Joanie zdawała sobie sprawę, że ta noc nie była zupełną katastrofą, ale nauką dla jej starszej córki.

Jon Jon potrafił dać sobie radę sam; nie musiała troszczyć się ani o niego, ani o Jeanette tak, jak troszczyła się o Kirę. Oboje zostali tak wychowani i byli na tyle sprytni, że doskonale dawali sobie radę na ulicy, ale jej najmłodsza córka wychowywała się inaczej. Kira miała poza tym duże kłopoty z nauką. Nie była zacofana w rozwoju, skądże, przecież chodziła do normalnej szkoły, lecz jednak z dużym trudem nadążała na lekcjach za innymi dziećmi i za programem nauczania. Jej z natury radosne usposobienie bardzo jej pomagało, Joanie zdawała sobie z tego sprawę, jednak nie można jej było nigdzie zostawiać samej. Poza tym była zupełnie nieprzystosowana do funkcjonowania na ulicach w dzielnicy, w której mieszkała. Nic nie wskazywało na to, że potrafi się dostosować i to jej matkę martwiło najbardziej.

— Jak mogłaś zostawić ją samą, Jen?

Jeanette ściągnęła twarz w pomarszczoną kulkę i wyjęczała:

— Och, mam, bądź sprawiedliwa. Nienawidzę troszczyć się o nią przez cały czas. Mam czternaście lat i lubię przebywać w towarzystwie.

— Zastrane towarzystwo długowłosych nierobów. Ja wszystko widzę i wszystko wiem, pamiętaj o tym.

Mimo grubego makijażu Jeanette wyglądała bardzo młodziutko... Matka nie potrafiła długo się na nią bocyć. Była przerażona dzisiejszymi wydarzeniami i to było po niej widać.

Joanie popatrzyła z ukosa na profil córki. Mogłaby wciąż być ładnym dzieckiem, gdyby nie starała się wyglądać jak kandydatka do „The Trisha Show”.

Spróbowała przytulić do siebie dziewczynkę, ale została odepchnięta.

— Zostaw mnie, mamó. Zachowaj uściski dla swojej najmłodszej pupilki.

Przez chwilę siedziały w milczeniu, po czym Jeanette zapytała:

— Napijesz się?

— Tak, zrób coś do picia, kochanie.

Jeanette tylko w taki sposób była skłonna okazywać skrucę. Joanie wiedziała to i akceptowała. Jedna córka była bardzo sprytna, a drugiej tego sprytu wyraźnie brakowało. Bóg lubi sobie igrać z ludźmi, Joanie nie miała co do tego wątpliwości. Żałowała tylko, że nie potrafi śmiać się z żartu, w jaki obrócił jej własne życie.

Kira zawołała coś przez sen i Joanie zerwała się z kanapy jak z katapulty, ale Jeanette znalazła się przy siostrze pierwsza i to ona zaczęła uspokajać dziewczynkę. Joanie popatrzyła na tę scenę z progu i zrobiło się jej lekko na sercu. Zdała sobie nagle sprawę, że jest bliska łez. Naprawdę, miała dosyć takiego życia. Trudno było udawać wobec świata, że się jest szczęśliwą, gdy w głębi duszy powoli się umierało.

Mały Tommy był szczęśliwy, albo prawie szczęśliwy, jak nigdy dotąd. Jak to miło było obudzić się rano, mając gotowy plan prawie na cały dzień. Miał umówione spotkanie, i to nie z lekarzem albo jakimś innym specjalistą, ale z inną osobą. Myśl ta sprawiała mu ogromną radość.

— Co się tak szczerzysz? — przerwał mu rozmyślenia ojciec. Tommy aż zadrżał.

— Po prostu cieszę się z kolejnego dnia.

Jego ojciec roześmiał się szyderczo, jak zawsze.

— A co w nim jest, kurwa, takiego, że aż się cieszysz? Czyżbyś miał nadzieję na więcej żarcia?

Tommy był załamany, ale nie okazał tego po sobie.

— Wypijesz jeszcze jedną herbatę, tato?

— Tak, nalej mi.

W sumie Josephowi zrobiło się trochę przykro. Owszem, był ostry wobec Tommy'ego, czasem bardzo ostry, ale w końcu życie przy nim zdrowo dawało mu popalić. Jego syn był takim dziwolągiem, żadnym powodem do zadowolenia, a przecież Joseph lubił być zadowolony, leżało to w jego naturze. Nikt w pracy nie wiedział o Tommym, a on starannie tego sekretu pilnował.

Joseph od dość dawna spotykał się z dziewczyną, która w końcu chciała być z nim na stałe. Co za udręka. Fakt, że czuł wstręt do własnego syna, nie ułatwiał mu rozwikłania tej sytuacji. Postanowił, że dzisiaj rano da mu już spokój. Kiedy wyszedł z domu, poczuł się trochę lepiej.

Tommy wypatrywał za ojcem z balkonu, dopóki ten nie zniknął za rogiem budynku, po czym zaczął snuć własne plany. Najpierw prysznic, potem ubierze się w najlepsze rzeczy i dokładnie o dziesiątej trzydzieści wyjdzie w odwiedziny do nowych przyjaciół. Och, jaki był szczęśliwy! Po raz pierwszy z kimkolwiek się umówił i nie chciał, że podczas odwiedzin coś poszło źle.

Żałował, że matka nie żyje. Byłaby z niego taka dumna. W końcu państwo Brewerowie to tacy mili ludzie.

— Przestań, Jon Jon, proszę!

Kirę ogarnęło przerażenie, kiedy brat wytargał Jeanette z łóżka za włosy.

— Nie mieszaj się do tego, Kira, dobrze?

Jeanette próbowała oderwać palce brata od swoich włosów. Płakała. Ale Jon Jon zaciągnął ją do saloniku, rzucił na kanapę i wrzasnął:

— Jakie miałaś polecenie, co? — Był tak rozwścieczony, że oczy niemal wychodziły mu z orbit. Najwyraźniej przyjął już jakiś narkotyk i bynajmniej nie był to skręt z marihuany. — Co ci, kurwa, powiedzieliśmy? Nie miałaś ani na chwilę, ani na krótką chwilę, zostawiać Kiry samej!

Kira była przerażona, patrząc na scenę rozgrywającą się przed jej oczyma.

— Ale nic się nie stało, Jon Jon, tak miło spędziłam czas... Tommy pozwolił mi bawić się jego lalkami Barbie, wypiliśmy z nim kilka filiżanek herbaty i w ogóle...

Zły i sfrustrowany Jon Jon złapał w dłonie własne dredy.

— Słyszysz ją, Jen? Tylko posłuchaj. Spędziła wieczór z facetem, który bawi się pierdolonymi lalkami Barbie!

— Ale on jest w porządku, Jon Jon. Szczerze mówiąc, chyba jest ciotą. — Przez Joanie, jak zwykle, przemówił głos rozsądku. Wiedziała, że jej syn może pobić przerażoną siostrę niemal na śmierć.

Znów krzycząc, Jon Jon niemal przytknął twarz do twarzy Jeanette.

— Słyszałaś? Z pierdolonymi lalkami Barbie! I co dalej? Zostawiłabyś ją z Fredem Westem, gdybyś dzięki temu mogła urwać sobie kilka godzin. — Był tak wściekły, że krzycząc, pluł śliną na boki. — Czy zdajesz sobie sprawę, że ostatniej nocy niemalże nam ją odebrano? Spędziłaby kilka następnych tygodni w jakimś pierdolonym sierocińcu! Przecież wiesz, do czego są zdolni gli-niarze. Tylko by się śmieli, wiedząc, jak byśmy za nią rozpaczali. Poza tym, gdzie byłaś, kiedy przewracali nam dom do góry nogami, co? Gadaj, chcę wiedzieć, z jakim łajdakiem spędzałaś czas, bo mam zamiar oderwać mu łeb i naszczać do szyi.

— Ale nikt jej nam nie zabrał, nie? Więc, kurwa, zamknij się wreszcie! — zawołała Jeanette histerycznie.

Jon Jon zamierzył się na siostrę, ale niespodziewanie krzyknęła Kira. Tylko ten krzyk powstrzymał go przed atakiem na płaczącą i przerażoną dziewczynę.

— Dosyc mam tego, mamó — powiedział. — Jeanette ma szlaban na wychodzenie wieczorami z domu, dopóki tego nie odwołam. — Przytknął palec do jej klatki piersiowej. — A spróbuj tylko to zlekceważyć.

Jeanette zeskoczyła z kanapy i zaczęła krzyczeć. Na myśl,

że nie będzie mogła opuszczać mieszkania, nagle cały strach ją opuścił.

— Gównu ci do tego, to mama decyduje o takich sprawach! A poza tym powiedz jej, żeby wreszcie przestała pracować. Ja opiekuję się jej dzieckiem, a ona w tym czasie podstawia się każdemu, kto tylko zapłaci! Skoro uważasz się za głowę rodziny, może sam zacznij nas wreszcie utrzymywać!

Odpowiedziała jej Joanie:

— Od żadnego z was nie biorę ani pensa i nigdy nie wezmę, doskonale o tym wiecie. I na razie to jest mój dom i ja decyduję, co się w nim dzieje.

Jeanette roześmiała się szyderczo.

— Lepiej powiedz mu to wyraźnie, bo on myśli, że to jest jego dom. — Popędziła do sypialni i krzyknęła w progu: — Muszę przygotować się do szkoły.

Jon Jon roześmiał się, mimo że wcale nie było mu do śmiechu.

— Coś takiego! Rewelacja! Idziesz do szkoły?

— Zostaw ją, Jon Jon, już ma dosyć. Chodź do mnie, Kira. Przestań płakać, kochanie. Co zjesz na śniadanie?

— Mogę poprosić o wszystko, co lubię?

— W granicach rozsądku.

Kira uśmiechnęła się przez łzy, a Jon Jon zamknął oczy, nie chcąc na nią patrzeć. Była śliczna. Blondynka z niebieskimi oczami. Wyrośnie na nieprawdopodobnie piękną dziewczynę, mimo że jej mózg na zawsze pozostanie mózgiem małego dziecka. Myśl ta przerażała go.

W kilka sekund po awanturze zainteresowana była jedynie tym, żeby dostać na śniadanie miskę coco pops. Jej uwaga skoncentrowana była na tym tak mocno, że bez najmniejszego ryzyka można było przyjąć, iż już po pierwszej łyżce na zawsze zapomni o awanturze, która przed chwilą rozegrała się przed jej oczyma.

Jon Jon poszedł za Joanie i Kirą do kuchni.

— Jeanette ma rację, mamó. Może powinnaś porzucić pracę? Mógłbym sam zadbać o nas wszystkich.

Joanie w milczeniu przygotowała miskę z coco pops. Jon Jon zdawał sobie sprawę, jakie ma zdanie na temat jego narkotyków, a ona z kolei doskonale wiedziała, jaka jest jego opinia o jej szczególnym sposobie zarabiania pieniędzy: Sytuacja była patowa.

— Dziecko się przestraszyło, ale już jest wszystko w porządku. — Joanie niespodziewanie uśmiechnęła się. — Spędziłaś czas z zabawnym chłopakiem, prawda? Bardzo miłym, ale takim strasznie grubym! Naprawdę, kawał z niego grubasa.

Kira roześmiała się.

— Czy nie mogłabym zostawać z Tommym, mamó? Ma takie urocze rzeczy w mieszkaniu, lalki Barbie i mnóstwo innych zabawek.

— Co u niego robiłaś, Kira? — Jon Jon wydawał się szczerze zainteresowany.

Dziewczynka przez kilka chwil intensywnie myślała. Na jej małej buźce pojawiły się zmarszczki świadczące o maksymalnej koncentracji.

— Ee... Bawiliśmy się lalkami Barbie, jak powiedziałam, a potem oglądaliśmy *Śpiącą Królowną*. Tommy ma tyle filmów i lubi królowny, tak jak ja. Było wspaniale. Piliśmy coca-colę, jedliśmy kanapki i słodycze. Przyjemnie się bawiliśmy.

Joanie zmierzwiła włosy córki.

— Dzięki Bogu, chłopak wydaje się całkiem miły. Poza tym, przyznaj uczciwie, Jon Jon, wyświadczył nam wielką przysługę.

— Chyba tak. Ale przecież nic o nim nie wiemy, prawda?

Joanie wzruszyła ramionami.

— A co tu wiedzieć? Spadł nam chłopak jak z nieba i to mi zupełnie wystarczy. Jest trochę mało rozgarnięty. — Wskazała głową na córeczkę. — To pewnie dlatego oboje tak dobrze się dogadują.

Jon Jon ze smutkiem pokiwał głową.

— Wiem, co masz na myśli, mamó. Cóż, postaraj się go rozgryźć. Może być przecież w znowie z naszą pannicą, nie potrafiącą jednego wieczoru usiedzieć spokojnie w domu.

Joanie otoczyła ramieniem biodra swojego syna.

— Pobież Carty'ego? — zapytała.

Pokiwał głową.

— Musiałem to zrobić, mamó. Carty to pieprzony pojebaniec. Wciąż sprawiał mi tylko kłopoty.

Joanie odgarnęła włosy z oczu i uśmiechnęła się.

— Słyszałam, że naprawdę porządnie oberwał — w jej głosie nie było cienia żadnych emocji.

Jon Jon wzruszył ramionami.

— Powinien był się z tym liczyć, prawda? Nie mam czasu dla marnotrawców, mamó. Szczególnie dla pojebanych marnotrawców.

Temat został zamknięty i Joanie pozostało jedynie zastanawiać się, co to za chłopak, ten Jon Jon, potrafiący tak dobrze dbać o siostry i w ogóle o rodzinę, a jednocześnie zdolny do fizycznego zniszczenia bliskiego przyjaciela.

Nie chciała o tym zbyt dużo myśleć, zareagowała więc tak, jak czyniła zawsze w podobnych sytuacjach. Śmiechem i głośnymi żartami. Kira wciąż zrywała boki ze śmiechu, wychodząc do szkoły, odprowadzana przez swojego dużego brata. Zostawszy sama, Joanie sięgnęła wreszcie po tabletkę valium.

Jedynie po to, żeby się trochę uspokoić. A przynajmniej tak sobie wmawiała poprzez lśniąco w oczach łzy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Monika w absolutnym osłupieniu wpatrywała się w stojącego przed nią ogromnego chłopaka. Był cholernie duży. Ale był też miłym gościem, który bardzo starał się swoim uprzejmym zachowaniem rekompensować przykrość, jaką sprawiał ludziom jego widok.

Ponieważ sama funkcjonowała na marginesie społeczeństwa, doskonale rozumiała walkę, jaką chłopak musiał codziennie staczać, nie wewnątrz siebie, ale ze światem zewnętrznym. Mimo że razem z Joanie naśmiewała się z niego, bardzo go polubiła. Tommy był miły i uczynny.

Mimo swoich potężnych rozmiarów z zadziwiającą lekkością stawiał stopy na ziemi. Była to kolejna rzecz, jaką u niego zauważyła: potrafił koordynować swoje ruchy o wiele lepiej, niż się można było spodziewać, po prostu na niego patrząc. A jednak oddychał głośno i często z wysiłkiem.

Tommy jednak przeżywał obecnie najlepsze chwile w swoim życiu. Oto siedział w towarzystwie dwóch kobiet, które rozmawiały z nim jak z prawdziwym człowiekiem. Z kimś, czyje zdanie się liczy, z kimś, kto należy do tego samego świata, co one. Był gościem w mieszkaniu Joanie już po raz trzeci, czuł się tutaj mile widziany i szanowany. To ostatnie cieszyło go szczególnie. Joanie była dla niego boginią. Widząc, że kobieta zaprasza go do swojego mieszkania, inni sąsiedzi zaczęli Tommy'ego traktować z poważaniem, szczególnie kiedy zauważyli, że dobrze się do niego odnosi nawet Jon Jon, który, tak jak matka Tommy'ego, nie zwykł sądzić książek po okładkach. A Tommy go po prostu polubił. Widział, że dla syna Joanie rodzina jest pod każdym

względem najważniejsza. Dla swoich sióstr był jak ojciec i pilnował ich jak czujny jastrząb.

Dzięki Brewerom ludzie zaczęli pozdrawiać Tommy'ego, widząc go przesiadującego na balkonie. On z kolei zebrał w sobie całą odwagę i zaczął codziennie wychodzić na długie spacerunki do sklepu. Były to dla niego trudne wyprawy, ale mitręga się opłacała, ponieważ ludzie odzywali się teraz do niego po drodze. Naprawdę się nim interesowali.

Poza tym miał niczym nieograniczony dostęp do Kiry, co było w tym wszystkim najważniejsze. Kochał ją i kochał chwile, które spędzał wspólnie z nią. Była dla niego wszystkim, a ona także go kochała. Powiedziała mu to. Powiedziała także, że czuje się zbyt mocno pilnowana przez rodzinę, ale Tommy wyjaśnił jej, że ma po prostu szczęście, iż ktoś bardzo o nią dba; odniósł wrażenie, że go zrozumiała. Przynajmniej miał taką nadzieję.

Joanie uśmiechnęła się do niego. Miała ładną twarz. Cechowało ją też pewne dostojeństwo, którego Tommy nie zauważył przy pierwszym spotkaniu, ale które biło od niej jak promienie światła z latarni morskiej. Ciężko jej się żyło, wiedział o tym i bardzo jej współczuł. Tej kobiecie było na pewno trudniej niż większości ludzi, których znał.

— Chcesz więc u mnie pracować?

Na twarzy Tommy'ego pojawił się uśmiech, szeroki od ucha do ucha.

— Och, tak, proszę. Byłoby mi bardzo przyjemnie.

Pomachał ręką tak jakoś dziwnie, że Monika znowu wybuchła głośnym śmiechem. Był to jednak przyjazny śmiech, a nie złośliwy rechot, który mógłby urazić jego dumę. Śmiech, do którego mógł się przyłączyć i on, i wszyscy dookoła.

— Musimy więc jeszcze tylko porozmawiać o pieniądzach. Tommy zasepił się.

— Och, proszę, Joanie. Nie mógłbym brać pieniędzy od przyjaciół.

Joanie znów się uśmiechnęła. Wiedziała, że chłopak mówi to

ze szczerego serca i doceniała to, jednak musiała mu trochę zapłacić. Lubiła jasne sytuacje.

— Posłuchaj, dostaniesz ode mnie kilka funciaków, synu. I nie chcę słyszeć żadnych sprzeciwów, jasne?

Tommy uśmiechnął się i pokiwał głową, zadowolony, że decyzja została podjęta za niego. Niech tylko powie ojcu, że dostał pracę! Prawdziwą pracę. Nie taką jak te, które wykonywał wcześniej — prace chałupnicze, domowe, nudne, niszczące duszę. Całe godziny spędzone na składaniu jakichś kartonowych pudełek.

Tak, to na pewno da ojcu do myślenia.

— Cóż, Joanie, skoro jesteś tego pewna...

Był wstrząśnięty tym, jak toczą się teraz jego sprawy. Joanie pozwoliła mu przygotować herbatę, bo wiedziała, jak bardzo lubi tę czynność. Nie był złym facetem, po prostu był samotny. A któż, jak nie Joanie, wiedział najlepiej, co to jest samotność?

Niespodziewanie twarz Tommy'ego nachmurzyła się. A jeśli ojciec sprzeciwi się jego pracy przy dziecku? Cicho powiedział:

— Jediną drobnostką, która może wszystko zepsuć, jest mój ojciec.

Monika roześmiała się swoim szczerym, płynącym z głębi serca śmiechem.

— Pieprz go, Tommy — powiedziała głośno. — Jeśli będzie trzeba, Jon Jon zamieni z nim kilka słów. Więc się nic nie martw, stary.

Mimo że się uśmiechnął, strach przez kilka sekund nie zniknął z jego otwartej twarzy. Nagle jednak obawa wyparowała, tak szybko, jakby ktoś uniósł kurtynę. Jon Jon załatwi sprawę. Nawet ojciec Tommy'ego nie zadrze z Jon Jonem Brewerem.

Dwie kobiety ujrzały zmianę na jego twarzy. Znowu emanowało z niej pełne szczęście.

— Porozmawiam z nim. Nie martw się, Tommy. — Mówiąc to, Joanie zrobiła na użytek Moniki taką minę, że tę znowu ogarnęły spazmy śmiechu.

— Twój ojciec to żaloszny stary drań, Tommy. Joanie, wiesz

co? Zagrajmy wobec niego jak Ojciec Chrzestny. Wygląda na zniechęconego, złożmy mu więc propozycję nie do odrzucenia.

Wszyscy roześmiali się wesoło, z wyjątkiem Tommy'ego, który śmiał się jedynie ze skandalicznej bezczelności, jaką emanowały słowa Moniki, a nie dlatego, że były śmieszne.

Gdyby ojciec tylko wiedział, że tym razem to on jest obiektem drwin! Na samą myśl o tym Tommy'ego ogarnął zimny pot. A jednak czuł się wspaniale ze świadomością, że tym razem ktoś śmieje się nie z niego, lecz z ojca.

Tommy miał przyjaciół i ojciec nie mógł nic na to poradzić, nie zdradzając sekretu.

Odepchnął od siebie tę myśl niemal w tym samym momencie, w którym przyszła mu do głowy. Było, minęło, jak mawiał ojciec. Teraz Tommy czuł się wspaniale, siedząc w kuchni z kobietami, które akceptowały go takim, jakim był i jak wyglądał. Po raz pierwszy od śmierci matki czuł się dowartościowany, potrzebny.

Było to z całą pewnością uczucie uderzające do głowy.

Paulie był w domu i kończył śniadanie. Zawsze jadał śniadanie późno i zawsze podawała mu je żona, Sylvia.

Była potężnie zbudowaną dziewczyną, umięśnioną, ale z wystającymi kośćmi. Miała uroczą twarz, ale żadnego gustu. Nie potrafiła się ubierać, co w sumie Pauliemu bardzo pasowało. Nie ganiała po sklepach z ciuchami i była filarem miejscowego kościoła. Była także przykładną matką.

Jego dwie córki, jedenastoletnia Pauline i dziewięcioletnia Jacqueline, były wzorcowymi, małymi panienkami z klasy średniej, o dokładnie ułożonych, rudych fryzurach, noszącymi skromne stroje i równie skromnie się zachowującymi. Nie było najmniejszego prawdopodobieństwa, że w przyszłości pociągną po ojcu rodzinny interes, tym bardziej że w ich staranne szkolne wykształcenie ładował co miesiąc furę pieniędzy.

Lubił swoje domowe życie, bardzo mu odpowiadało. W grun-

cie rzeczy z bólem serca opuszczał dzisiaj rodzinne łono, a to dlatego, że był zmęczony jak pies i miał dla odmiany ochotę na kilka upojnych chwil z Sylwią. Ona także nie miałaby pewnie nic przeciwko temu; odnosił wrażenie, że czuje to szóstym zmysłem.

Paulie czuł się w życiu szczęśliwy i spełniony. W pełni kontrolował wszystkich i wszystko, co go otaczało. Nalał sobie kolejną filiżankę kawy i uśmiechnął się do żony.

Sylvia obserwowała męża i z trudem tłumiła w sobie śmiech, który w każdej chwili groził wybuchem. Paulie wydawał się żonie najbardziej zadowolonym z siebie ignorantem, stąpającym po tej planecie. Wiedziała o nim wszystko, nie zamierzała jednak tego ujawniać. A jeśli myślał, że chociaż dotknie ją dzisiaj albo jakiegokolwiek innego dnia, to jeśli przyjdzie co do czego, mocno się rozczaruje. Kochała go kiedyś, wiele lat temu. Teraz zupełnie nie wiedziała, co sądzić o ich wzajemnym związku.

Wiedziała jednak, że starał się i był dobrym żywicielem rodziny, a to uważała za rzecz ważniejszą od wszystkiego innego. Nie zamierzała skończyć jak jej matka, żyjąca wspomnieniami o wspaniałej przeszłości rodziny i do końca swoich dni klepiąca biedę.

Wiodła zatem zupełnie odrębne życie, tylko dla siebie, a Paulie nie miał pojęcia, że żona stopniowo odsuwa go od siebie i od córek.

Coraz więcej czasu spędzała w ich „wiejskim ustroniu”. W rzeczy samej był to duży luksusowy dom w Kent, zbudowany w stylu georgiańskim, z czterema sypialniami, ale jako ustronie doskonale zdawał egzamin. Dzięki niemu mogła trzymać dziewczynki i siebie z dala od kretyna, który zwał się jej mężem. Na razie uważała, że to wystarcza.

Obecnie oboje odnosili się do siebie niemal jak obcy ludzie, zmuszeni do egzystowania pod jednym dachem. W domu, za którego utrzymanie Paulie płacił wszystkie rachunki, to mu trzeba było przyznać. Dlatego Sylvia przez cały czas zachowywała się wobec niego jak dobra żona. Zresztą była dobrą żoną, mimo że Paulie nie zawsze bywał dobrym mężem. W wielkim skrócie,

Sylvia doskonale wiedziała, po której stronie posmarowany jest chleb.

Odwróciła wzrok, kiedy posłał ku niej pożądlive spojrzenie. Mężczyźni, zawsze tak twierdziła, są bardzo przewidywalni. Cóż, wkrótce Paulie przeżyje ciężki szok.

Jeanette była z Jasperem, chłopakiem swoich marzeń. Jak zwykle nie mogło być mowy o pójściu do szkoły i czas wagarów spędzali w opuszczonym domu, w którym nocowali czasami kumple Jaspera. Dla Jeanette ten chłopak był wszystkim. Jego ciemnoniebieskie oczy działały jak magnes na tę jeszcze nie kobietę, a już nie dziewczynkę; doskonale sobie z tego zdawał sprawę. I to wykorzystywał.

Dziewczyny lubiły Jaspera Copesa. Był przystojny i stanowczy. Czego więcej którakolwiek z nich mogła oczekiwać po mężczyźnie?

Harmonię psuło jedynie to, że Jasper i jego kumple byli rasistami. Należeli do nowego miotu skinheadów. To, że Jeanette miała brata, którego spłodził jamajski ojciec, nie ustawiało jej w najlepszej pozycji w tym domu. Nawet inne dziewczęta popatrywały na nią nieufnie i szeptały różne nieprzychylne komentarze na temat jej związku z Jasperem.

Jeanette w głębi serca nienawidziła tego miejsca, ale Jasper najbardziej lubił spędzać czas właśnie tutaj, zatem chodziła tu za nim, jak grzeczna dziewczynka, którą w istocie dla niego była. Wiedziała, że jeśli Jon Jon dowie się, z kim siostra się tutaj spotyka, może dojść do zbrodni, jednak Jasper tak ją już opętał, że uznała, iż życie bez niego i tak nie będzie miało żadnej wartości.

Modliła się codziennie, by Jon Jon i Jasper pewnego dnia się spotkali i polubili. Byłby to jednak cud, który mógłby się okazać zbyt trudny do zrealizowania nawet dla samego Jezusa Chrystusa.

Jej oczy błędziły po plakatach BNP, a uszy dziewczyny zamknęły się na te wszystkie otaczające ją rasistowskie gadki. Czuli się tu odrzucona, jednak tak, jak kochała Jaspera, tak była z tego

odrzuć akurat zadowolona. Za nic w świecie nie chciałyby się dobrze czuć w miejscu takim jak to. Ludzie, którzy tutaj rządzą, byli ignorantami, i byli pod każdym względem okropni, zarówno duchowo, jak i fizycznie.

Bardzo by chciała zrozumieć, cóż takiego tkwiło w Jasperze, że aż tak chętnie przyjmowała jego styl życia. Prawda, był przywódcą, chłopakiem, na którym inni się wzorowali i którego słuchali. Czasami, kiedy widziała go brylującego wśród kumpli, przerażał ją. Jednak kiedy byli tylko we dwoje, stawał się łagodniejszy, czulszy i obojgu było ze sobą dobrze. Nie mógł być więc do szpiku kości przeżarty przez zło.

Jeden z jego kumpli, Polo Jenkins, po raz kolejny odezwał się głośno do Jeanette, wreszcie wyrywając ją z zamyślenia:

— Pytałem, czy gliniarze dopadli twojego brata?!

— Oczywiście, że nie.

Odezwała się do niego, jakby był ostatnim głupcem i wszyscy to zauważyli. Ze statusu siostry Jon Jona wynikała dla Jeanette jedna pozytywna rzecz: wielu chłopaków się jej obawiało. Jako dziewczyna Jaspera też miała pewne względy.

Atmosfera stała się napięta i to napięcie przerwał dopiero szeroki uśmiech, jaki wykwitł na twarzy Jaspera. Lubił, kiedy Jeanette była stanowcza wobec jego kumpli.

Westchnęła. Znow zaczęli rozmawiać o swoim idolu, Nicku Griffynie, a Jeanette ponownie włączyła w siebie autopilota. Po dziesięciu minutach powiedziała:

— Wychodzę, Jasper.

Konwersacja od pewnego czasu przerzuciła się na biednych afrykańskich imigrantów, ze szczególnym uwzględnieniem tych, którzy przybywają do Northampton, i o tym, jak od przybycia pierwszych z nich liczba zachorowań na AIDS wzrosła o trzysta procent.

Jasper uśmiechnął się do niej.

— Daj mi jeszcze minutkę, skarbie.

Potrząsnęła przecząco głową.

— Powiedziałam, że wychodzę. Natychmiast.

Wytrzymała jego spojrzenie, czując, jak chłopak walczy sam ze sobą, powstrzymując się przed gwałtowną reakcją. Wreszcie wzruszył ramionami.

— Jak sobie życzysz.

Wyszła z budynku, a kiedy znalazła się na zewnątrz, aż uderzyło w nią świeże powietrze. Wzięła kilka głębokich oddechów, jakby chcąc oczyścić płuca ze smrodu i nienawiści drażnącej kolegów Jaspera. Stojąc przed domem, usłyszała jeszcze docierający z wewnątrz głośny śmiech, będący reakcją na jakiś sprośny dowcip. Była na tyle bystra, by doskonale zdawać sobie sprawę, że dowcip mógł dotyczyć tylko jej.

Smutna, lecz z dziwnie lekkim sercem, ruszyła do domu. Ci chłopacy byli chorzy i nie chciała mieć z nimi nic wspólnego, Jaspera nie wyłączając. Chociaż trudno jej to było przed sobą przyznać, nie potrzebowała go. Właściwie nie potrzebowała nikogo. Przekonała się o tym już wtedy, gdy zaniedbywała ją matka i gdy spędzała długie lata życia, pozbawiona jej opieki. Rozsądek podpowiadał jej: odejź od Jaspera. Przecież oboje żyli w światach tak odległych od siebie! Gdyby tylko Jon Jon wiedział! Aż gorąco robiło się jej za każdym razem, kiedy o tym myślała.

A jednak, kiedy Jasper dołączył do niej po pięciu minutach, poczuła się, nie wiadomo dlaczego, ogromnie zadowolona. Przecież pobiegł za nią, a to już samo w sobie miało wielkie znaczenie. Udowodnił jej w ten sposób, że bardzo mu na niej zależy, a przynajmniej w to chciała właśnie wierzyć. Kiedy uśmiechnął się do niej, z serca Jeanette odpłynęła wszelka złość.

Wcale nie był złym chłopakiem, nie takim złym, za jakiego się uważał. Gdyby był zły, nie byłoby go teraz przy niej.

Jeanette wyszła z domu, poszła sobie, a Jasper za nią pobiegł. Chociaż raz w tym związku jej zdecydowanie przeważało. Miała nadzieję, że pierwszy taki przypadek nie okaże się ostatnim.

Dwadzieścia minut później leżała rozciągnięta na jego łóżku, wdychając znajomy smród pogniecionej pościeli. Jego matki, jak zwykle, nie było. Karen Copes większość godzin popołudniowych spędzała w miejscowym pubie w towarzystwie przyjaciółek.

Dziwne, ale seks z nim ani trochę nie cieszył Jeanette. Uważała to jedynie za swój obowiązek, za sposób na utrzymanie chłopaka przy sobie. I nic więcej.

Robiła to, czego pragnął Jasper, i robiła to z ochotą.

Kira i Tommy błyskawicznie się zaprzyjaźnili, chociaż świadomość chłopaka, że dziewczynce przez cały czas chodzi przede wszystkim o dostęp do lalek Barbie, była pewną skazą na tej przyjaźni. Dla dziewczynki miły był także ojciec Tommy'ego, chociaż Kira zdawała się wyczuwać napięcie pomiędzy nim a synem. Joseph Thompson był jednak zawsze dla niej miły i jakimś dziecięcym zmysłem wyczuwała, że kiedy przebywa u Tommy'ego, jego życie jest łatwiejsze.

Przychodziła do niego niemal każdego popołudnia po szkole, chociażby po to, żeby na chwilę zajrzeć do lalek. Tommy mógłby spędzać całe godziny, prasując im małe ubranka, które miały nawet swoje specjalne wieszaki. Kiedy obserwował, jak Kira bezustannie przebiera lalki, nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

Nalał jej do szklanki sok pomarańczowy i wyciągnął z szafy torebkę chipsów na przekąskę. Wiedział już, co Kira lubi i czego nie lubi. Z tej wiedzy także czerpał zadowolenie.

Obserwujący ich ojciec Tommy'ego potrząsnął głową.

— Musimy być ostrożni, Tommy, dobrze o tym wiesz.

Chłopak pokiwał głową.

Bardzo chciał, żeby ojciec przestał zrzędzić. Jak sam kiedyś powiedział, co było, minęło już i należało do przeszłości. Obaj rozpoczęli przecież nowe życie.

Jon Jon najpierw usłyszał Pauliego, a dopiero później go zobaczył. Westchnął i dopił drinka. Paulie znalazł się przy nim w ciągu sekundy.

— Co tutaj robisz, synu?

Głos Pauliego był przyjazny, ale zachowywał czujność. Zdawał sobie sprawę, że nie jest ulubieńcem Jon Jona, jednak mało go to obchodziło. W końcu znał go od małego dziecka i sam zawsze go lubił. Pamiętał czasy, kiedy Jon Jon lubił go także, ale było to mnóstwo miesięcy temu. Musiał oddać Joanie, że wychowała go nie najgorzej.

Ulica mówiła, że Jon Jon całkiem nieźle zarabia, nie ładując się jednak w wielkie interesy, i Paulie postanowił go wykorzystać.

— Popijam sobie — odparł Jon Jon cichym głosem.

Obaj doskonale zdawali sobie sprawę z sarkazmu, jaki zawarł w tych słowach.

— A czy nie jesteś na to zbyt młody?

Jon Jon uśmiechnął się, mimo że tego nie planował.

— Tutaj nie. Popijałem tu, kiedy miałem czternaście lat.

Paulie, tak jak wcześniej Jon Jon, nie potrafił oprzeć się chęci spojrzenia w lustro nad barem. Poprawił fryzurę i zapytał:

— Co pijesz?

Nie czekając na odpowiedź, zawołał do wysokiej blondynki bez biustonosza, ale z przyklepionym do ust uśmiechem:

— Dwie duże brandy, kochanie.

Rozejrzał się po lokalu, zatrzymując na chwilę wzrok na każdej kobiecie i oceniając każdego mężczyznę. Pomachał ręką do jednego lub dwóch, uśmiechnął się po kolei do każdej kobiety w wieku powyżej szesnastu i poniżej trzydziestu pięciu lat.

— A więc, jak się ma dzisiaj Hajle Sellasje? Żywy, zdrowy? Dobrze mu się powodzi w południowym Londynie? — zadając te pytania, pociągnął Jon Jona za dredy.

— Odpierdol się, Paulie.

Uśmiech znikł z twarzy Pauliego i tym razem odezwał się już bardzo poważnym głosem:

— Zabijałem, kurwa, za mniejsze przewinienia niż twoje „odpierdol się”. Powinieneś o tym wiedzieć. Ale, ze względu na twoją matkę, wybaczę ci. — Urwał na chwilę. — Przynajmniej tym razem.

Było to ostrzeżenie, z czego Jon Jon doskonale zdał sobie

sprawę. Milczał. Nieważne, czym zajmował się Paulie; ulica klasyfikowała go jako złego człowieka. Nie był członkiem groźnego gangu, jak lokalna legenda, John McClellan, ale zdecydowanym na wszystko człowiekiem, który potrafił pilnować swoich interesów i Jon Jon wiedział, że postąpi mądrze, jeśli będzie o tym pamiętał.

Ktoś włączył szafę grającą i w tle rozległo się brzmienie Gareth Gates. W barze, mimo wczesnej pory, było mnóstwo ludzi. O szóstej będzie tu już tłoczno. Jon Jon podniósł kieliszek i popatrzył przez szkło na Pauliego.

— Czy mama wspominała ci, że chcę się z tobą zobaczyć?
— spytał mężczyzna.

Jon Jon potrząsnął głową. Paulie wiedział, że kłamie. Przecież nawet gdyby kazał którejkolwiek ze swoich dziewcząt biegać nago po Park Lane i podpalać zapalniczką ciągnące się za nią pierdy, każda bezzwłocznie wykonałaby jego polecenie.

Chłopak patrzył przed siebie bez mrugnięcia okiem i Paulie poczuł nagle ochotę, żeby trzasnąć go w twarz, upokorzyć na oczach ludzi przebywających w barze. Gówniarz sobie za dużo pozwalał. Jego postawa dobitnie świadczyła, że lekceważy Pauliego.

Nie uderzył go jednak, lecz upił mały łyżeczek brandy. Odezwwał się dopiero po chwili:

— Posłuchaj, piździelcu, przecież nie chcę twojej dupy. Za to chcę się dowiedzieć, czym się zajmujesz i, o ile mnie ta działalność zainteresuje, być może zechcę, żebyś mi odpałał małą działkę, kapujesz? Teraz możliwość druga, muszę przyznać, o wiele łatwiejsza dla mnie niż dla ciebie. Sam się dowiem, na czym robisz forszę, ale za to pozbawię cię tego zarobku natychmiast i na zawsze. Kapujesz?

Jon Jon poczuł, jak gorączka upokorzenia przepływa przez jego twarz i szyję. Patrząc na niego, Paulie niemal mu współczuł. Podobała mu się zuchwałość tego chłopaka. Przypominał mu jego samego w podobnym wieku. Pierwszą kobietę przeleciał, kiedy miał szesnaście lat. Fakt, że była to jego własna matka, sta-

rannie ukrywał. Mieszkała wówczas w Eastbourne i wiodła ciche, spokojne życie. Unikał jej jak zarazy, ale od czasu do czasu przychodził po kilka funtów. Wiedział, co jest najważniejsze na tym świecie.

— A więc, Jon Jon, proponuję, żebyśmy usiedli przy stoliku i zaczęli tę rozmowę od początku. Tyle że tym razem ty będziesz o wiele bardziej uległy, a ja o wiele mniej agresywny. Co ty na to?

Uśmiechał się, ale Jon Jon już wiedział, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Tyle że któregoś dnia... Któregoś dnia rozgniecie temu człowiekowi jaja, doczeka takiej chwili. Na razie był młody, miał czas. Jednak gdy odpowiednia chwila nadejdzie, zedrze uśmiech z gęby tego faceta raz na zawsze.

Zabrali kieliszki i usiedli przy stoliku, który jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zwolnił się w tej samej chwili, w której okazali zamiar zajęcia przy nim miejsc.

Mimo swej nienawiści do Pauliego, Jon Jon podziwiał szacunek, jakim go wszyscy darzyli. Był zdecydowany w przyszłości osiągnąć podobny status dla siebie i swojej rodziny. Szczególnie dla matki. Wiedział, że cokolwiek Joanie robiła w życiu, nigdy nie kierowała się złymi pobudkami. Pamiętał o tym i żył z takim przeświadczeniem od dnia, w którym skończył osiem lat.

Zaczął rozmowę z Pauliem, która trwała tak długo, dopóki nie doszli do porozumienia. Naprawdę nie miał w tej sprawie żadnego wyboru.

Joanie znowu miała pracować na ulicy. Nienawidziła tego. W gruncie rzeczy na dzisiaj zaplanowała sobie wolne. Bolał ją ząb, dlatego przez cały czas ssła wełnę umoczoną w brandy i przyciskała ją do dziury.

Przez cały dzień piła też wódkę z colą, zatem kiedy usiadła z innymi kobietami przed domem, była już pijana.

Kira biegła z Bethany, a jej śmiech głośno rozbrzmiewał w letnim powietrzu. Naprzeciwko Joanie, z lewej strony tej czę-

ści podwórka, która była wydzielona na suszenie prania, siedziała rudowłosa dziewczyna. Była bardzo ładna i elegancko ubrana, co wyróżniało ją wśród bawiących się dzieci.

— Kto to jest?

Joanie już bełkotała.

— To siostra Caroline. Przyjechała na kilka dni. Zostawiła swojego starego.

— Naprawdę? Wygląda jakoś znajomo.

Barbara Moxon, sąsiadka Joanie, wzniosła oczy ku niebu i powiedziała:

— Nie pamiętasz jej? W zeszłym roku ktoś zamordował jej małą córeczkę. A może to było rok wcześniej?

— Aha! Teraz sobie przypominam. Biedna dziewczyna, a co musiało przejść jej dziecko!

— To się nie mieści w głowie, prawda?

— Właśnie. Ale cóż, ładnie wygląda i w ogóle.

Barbara pokiwała głową, zgadzając się z Joanie, że ładny wygląd od zawsze sprowadzał zło. Obserwowały, jak dziewczyna zbiera swoje rzeczy i wraca na górę, do mieszkania siostry. Idąc do drzwi, odwróciła się i przez kilka sekund patrzyła na kobiety, po czym weszła do budynku i straciły ją z oczu.

Nastrój wyraźnie się zepsuł i Joanie wypila dużą porcję drinka. Po chwili zadzwonił jej telefon komórkowy. Odebrała rozmowę.

— Co? Och, do kurwy nędzy...

— Co się stało, dziewczyno? — zapytała po chwili Barbara.

— Przyskrzynili Monikę. Chce, żebym przenocowała Bethany. Przyczepił się do niej jakiś tajniak. Cholera, ta robota jest coraz bardziej niebezpieczna.

Znów zadzwonił telefon. Włączyła go, powiedziała do słuchawki krótkie „w porządku” i skończyła rozmowę. Następnie wstała i przeciągnęła się.

— Do zobaczenia.

Idąc po schodach, zatelefonowała do Jeanette i zażądała, żeby natychmiast wróciła. Dzięki Monice, mimo bólu zęba, będzie musiała iść dzisiaj do pracy.

A tak bardzo jej zależało, żeby dzisiaj zostać w domu. I tak chwiała się już na nogach, a noc zapowiadała się na długą i intensywną. Jej zajęcie było wystarczająco podłe, kiedy nic nie dolegało. Praca z bolącym zębem zapowiadała się więc wyjątkowo koszmarnie.

Wszystko było jej tak obojętne, że przed wyjściem nawet się nie wykąpała.

Jasper był wściekły i było to po nim widać.

— Dlaczego ciągle musisz się nią opiekować? Dlaczego grubas nie może się nią zająć? — Leżeli w łóżku, oboje otumanieni narkotykami, lecz mimo to w głosie Jaspера Jeanette słyszała wielką złość. — Chcę, żebyśmy spędzili tę noc razem, Jen.

Dziewczyna podjęła decyzję.

— Pieprzyć ją. Grubas może się nią zająć. Po prostu nie wrócę do domu.

Znów się rozluźniła i całkowicie wypchnęła ze swoich myśli matkę, brata i siostrę. Pewnie znów będzie awantura, ale da sobie, jak zwykle, radę. W tej chwili była szczęśliwa u boku Jaspера.

Już po godzinie Joanie zrozumiała, że córka nie wróci do domu i zatelefonowała do Tommy'ego. Czekając na niego, przeklinała cicho Jeanette. Nie chciała zbyt często korzystać z pomocy Tommy'ego. Mimo że wiedziała, iż chłopak to uwielbia, rozumiała też, że co za dużo, to niezdrowo. Dlatego zawarła z Jeanette umowę, że jeśli chociaż od czasu do czasu zaopiekuje się młodszą siostrą, nie będzie wobec niej zbyt wymagająca.

Tymczasem Jeanette znów ją zawiodła. Chociaż wiedziała, że córka zachowuje się po prostu jak typowa nastolatka, ten brak szacunku wobec matki zaczynał działać Joanie na nerwy. Cóż, jeśli Jen tylko poprosi w tym tygodniu o jakieś pieniądze, pokaże jej figę z makiem.

Rozmyślała, z kim spotyka się jej córka i co to za chłopak. Je-

anette była ostatnio bardzo zamknięta w sobie i Joanie bezskutecznie próbowała cokolwiek od niej wyciągnąć. Postanowiła, że poprosi Jon Jona o sprawdzenie, co w trawie piszczy. Zobaczysz, czego się dowie.

Kira była już gotowa do snu i niemal ze wstrzymanym oddechem czekała na Tommy'ego. Joanie uśmiechnęła się, spoglądając na młodszą córkę. Bogu dzięki, była dobrym dzieckiem. Wiedziała, że nie będzie miała z nią nawet połowy tych kłopotów, jakie miała ze starszą.

Cóż, wypadało się cieszyć przynajmniej tym. Za żadne pieniądze świata nie chciała przeżywać z Kirą tego, przez co musiała przechodzić, wychowując Jeanette.

Paulie i Jon Jon odnieśli wrażenie, że ich układ będzie funkcjonował lepiej, niż mogliby się spodziewać. W gruncie rzeczy mieli ze sobą wiele wspólnego. Poza tym Paulie zachowywał się jak dorosły brat wobec Jon Jona, który był przecież jeszcze dzieckiem. Jon Jon rozumiał, że dzieje się tak przede wszystkim dlatego, że Paulie pragnie jak najdłużej utrzymać jego matkę w swojej stajni, ale to akceptował. Gdyby miał walczyć z każdym, kto kiedykolwiek wykorzystał matkę, nie miałby przecież czasu nawet na sen. W końcu robiła to, co robiła, z własnej woli, nawet jeśli nie oznaczało to, że lubi swoją pracę, prawda?

Tak samo, jak nienawidził chciwości Pauliego, Jon Jon podziwiał jego przenikliwość i smykałkę do interesów. Wiedział, że od tego człowieka może się wiele nauczyć. Może także, o ile tylko będzie dość sprytny, raz na zawsze uwolnić matkę od życia, jakie prowadzi.

Z rozmów z Pauliem szybko wywnioskował, że mając go u boku, szybko mógłby zwiększyć swoje dochody nawet dziesięciokrotnie. I to zbytnio się nie przemęczając.

— Załatwiłeś Carty'ego, co? — zapytał Paulie obojętnym, zdawkowym tonem.

Jon Jon wzruszył ramionami, jednak nie odpowiedział. Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

Paulie roześmiał się.

— Dobry chłopak. Po mieście niosą się szept, że marnował wszystko to, co zarobił.

Jon Jon skrzywił się z niezadowoleniem.

— Kto ci o tym powiedział?

Myśl, że jest obiektem publicznych rozmów, wywołała wściekłość Jon Jona i od razu można to było zauważyć. Aż gotował się ze złości, że jego prywatne interesy są przedmiotem powszechnej wiedzy. W tej chwili tym bardziej cieszył się jednak, że skończył z marnotrawcą Cartym. Ponieważ, jeśli ktokolwiek w mieście dowiedział się o nim czegoś, o czym wiedzieć nie powinien, z pewnością nie usłyszał tego z ust Jon Jona. Kiedy tylko Carty wyjdzie ze szpitala, natychmiast będzie musiał tam wrócić. Już Jon Jon osobiście tego dopilnuje.

Paulie znów się śmiał.

— Spokojnie, tygrysie!

Dopił brandy, po czym powiedział:

— Uspokój się. Wiem o tym, bo zaobserwował to ktoś, komu ufam.

Reakcja chłopaka zadowoliła go jednak. Był dumny, może nawet zbyt dumny, ale świadczyło to o tym, że potrafi trzymać usta zamknięte, kiedy trzeba, a to, zdaniem Pauliego, było najważniejsze. Jon Jon potrafił panować nad swoimi emocjami, dlatego mężczyzna powstrzymał się od dalszego śmiechu.

Podobał mu się ten dzieciak! Mimo że zbudowany był już jak facet i że bezsprzecznie był inteligentny, miał temperament pięcioletniego dzieciaka. Jednak będzie się uczył, a Paulie zostanie jego cierpliwym nauczycielem. Wiedział, że chłopak ma naturalny zmysł do interesów, doskonale sobie radzi już w wieku siedemnastu lat. Pracując pod kierunkiem eksperta, wkrótce stanie się siłą, z którą każdy w okolicy będzie się musiał liczyć.

Miał także gwałtowne usposobienie, jakże ważne w ich inte-

resie. Jeśli była taka potrzeba, potrafił przeciwnikowi zdrowo przywalić, dzięki czemu zyskiwał dodatkowy szacunek.

Paulie rzucił na stół pięćdziesięciofuntowy banknot.

— Załatw jeszcze jedną kolejkę, synu, i zatrzymaj sobie resztę.

Jon Jon wykonał, co mu kazał Paulie.

A ten popatrzył, jak chłopak przepycha się przez zatłoczony już teraz bar i znów się uśmiechnął. Jon Jon miał w sobie arogancję widoczną w każdym jego ruchu, we wszystkich manierach. To było wrodzone. Przez chwilę Paulie zastanawiał się, kto jest ojcem chłopca. Biedna stara Joanie nie puściła dotąd nawet pary z ust na ten temat.

Kiedy Jon Jon wrócił do stolika, Paulie zobaczył, jak do baru wchodzi jeden z jego pacholków w towarzystwie drobnej ciemnowłosej dziewczyny. W sali panował ogromny hałas, a w powietrzu unosiło się mnóstwo dymu z papierosów, dlatego musiał głośno krzyknąć, żeby zwrócić na siebie ich uwagę. Kiedy mężczyzna podszedł do ich stolika, Jon Jon właśnie siadał.

— Wszystko w porządku, Paulie? — Mężczyzna był krępy, potężnie zbudowany i nadzwyczajnie zdenerwowany. Bez wątpienia z powodu spotkania z Pauliem. — Nie spodziewałem się spotkać ciebie tutaj.

— Oczywiście, że nie. Może masz moje pieniądze?

W chwili, w której mężczyzna otwierał usta, żeby odpowiedzieć, na jego szczękę spadła pięść Pauliego i przewróciła go na plecy. Wstawszy z krzesła, Paulie zaczął go bez opamiętania kopać po twarzy, po klatce piersiowej i po każdym innym miejscu, które mu się nawinęło pod but. Wreszcie szarpnięciem poderwał mężczyznę z podłogi i pchnął w kierunku dziewczyny, z którą wszedł do lokalu.

— Masz dwadzieścia cztery godziny, piździelcu.

Jon Jon był pod wrażeniem, ale, jak zwykle w takich wypadkach, zachowywał kamienny wyraz twarzy.

Usiadłszy ponownie przy stoliku, Paulie kontynuował ich rozmowę, żadnym słowem ani gestem nie nawiązując do tego, co

się przed chwilą wydarzyło. Podjął temat rozmowy w tym samym punkcie, w którym ją przerwał, gdy Jon Jon poszedł po brandy.

Wywarł jednak spore wrażenie na chłopaku i obaj o tym wiedzieli. O tym, jak bardzo go tutaj szanowano, świadczył chociażby fakt, że nikt nawet nie próbował pomóc zmaltratowanemu przez niego mężczyźnie. Nawet drobna, ciemnowłosa dziewczyna, z którą przyszedł, pozostawiła go samemu sobie.

— No więc, o czym mówiliśmy?

Paulie i Jon Jon, nie zdając sobie z tego sprawy, stali się tego wieczoru przyjaciółmi. Na pewno żaden z nich głośno by tego nie przyznał.

Ludzie, którzy ich obserwowali, nie mieli natomiast wątpliwości, że pomiędzy nimi dwoma panuje pełna harmonia.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Carty odzyskał przytomność i po wizycie w szpitalu Jon Jona nagle zapragnął złożyć zeznanie, które całkowicie oczyściło byłego przyjaciela z zarzutów o pobicie. Carty wyglądał strasznie, ale w głębi serca Jon Jon ani trochę nie żałował tego, co zrobił. Było to konieczne i nieuniknione.

Kiedy oficjalnie jego udział w pobiciu został wykluczony, odczuł ulgę. Co policja na ten temat myślała, nie miało znaczenia, dopóki nie mogła niczego udowodnić. Tej reguły nauczył się w bardzo młodym wieku.

Carty był na tyle bezczelny, że próbował z nim normalnie rozmawiać, jak kumpel z kumplem, mając pewnie nadzieję, że Jon Jon znów wejdzie z nim w jakieś układy. Nic z tego! Nie miał u niego już żadnej szansy ani jako kolega i przyjaciel, ani jako partner w interesach. W milczeniu przyjął reprimendę, że ma za długi język i że zbyt głośno gadał o ich wspólnych interesach. Był przerażony, co dało się wyraźnie zauważyć. Mógł sobie teraz nawet umrzeć i Jon Jon nie uroniłby po nim ani jednej łzy.

Facet był teraz już tylko cieniem dawnego siebie. W szpitalu Jon Jon mógł mieć tylko nadzieję, że otrzymana nauczka wypłeni z Carty'ego wszystkie złe nawyki, zanim one staną się przyczyną ostatecznej zguby chłopaka. I tyle.

W końcu, Jon Jon nie był mściwym facetem.

Wyszedłszy ze szpitala, zadzwonił w kilka miejsc i ustawił sobie parę spotkań, po czym postanowił wrócić do matki, korzystając ze swojego ulubionego środka transportu, nielicencjonowanej taksówki.

Jon Jon wiedział, że sam będzie mógł prowadzić samochód

dopiero wtedy, gdy zda egzamin na prawo jazdy. Był wystarczająco bystry, by wiedzieć, że przy swojej reputacji w każdej chwili jest kandydatem do zatrzymania za jakieś bzdurne przewinienie drogowe, a zatrzymanie za jazdę bez prawka byłoby tak głupim powodem do odsiadki, że postanowił za żadną cenę na coś takiego się nie narażać. Nie miał zresztą szacunku dla ludzi, którzy trafiali do więzienia za przestępstwa drogowe. Jego zdaniem byli zakałą tego kraju. Wiedział, że kiedy tylko uzyska prawo jazdy, zawsze będzie prowadził auto z zapiętym pasem bezpieczeństwa i będzie na czas regulował wszystkie zobowiązania — podatek drogowy i ubezpieczenie. Czasami przestrzeganie prawa opłacało się. Nie przekroczy nawet dozwolonej prędkości, ponieważ przenigdy nie otworzy drzwiczek swojego samochodu żadnemu gliniarzowi.

Teraz, kiedy współpracował z Pauliem, szanse, że któregoś dnia siądzie za kierownicą dobrej maszyny, mocno się zwiększyły.

Zastanawiał się, jak zareaguje matka na wiadomość, że z nim pracuje. Po tym wszystkim, co na jego temat mówił, czuł się, jakby zdradził samego siebie, jednak okazja była zbyt dobra, żeby z niej zrezygnować. A znając matkę tak dobrze, jak ją znał, był pewien, że kobieta zrozumie kierujące nim motywy.

Wreszcie zaczynał w życiu do czegoś dochodzić.

Było to miłe uczucie.

Joanie śmiała się jak zwykle. Kira była ubrana w jakieś jej stare rzeczy i Jeanette, chociaż raz zachowująca się jak grzeczna dziewczynka, próbowała ozdobić twarz młodszej siostry makijażem. Mieszając duszoną wołowinę, którą przygotowywała na kolację, słuchała, jak jej córki wesoło szczebioczą. Jako mała dziewczynka Jeanette spędzała mnóstwo czasu, szperając w garderobie matki, przebierając się, próbując różnych perfum i udając, że nakłada na twarz makijaż. Kiedyś była uroczą, małą dziewczynką.

Przy małych dzieciach życie zawsze było łatwiejsze. Matka stanowiła dla nich cały świat, a one stanowią cały świat dla matki. Teraz tak naprawdę tylko Kira pragnęła jej bezustannego towarzystwa. Pozostałe dzieci tolerowały jej chaotyczną miłość, chociaż — żeby być szczerą — Jon Jon zawsze potrafił objąć ją, kiedy tego potrzebowała. Już od dawna był honorową głową rodziny i czasami był dla swojej matki jak mąż, którego przecież nigdy nie miała.

Jeszcze raz roześmiała się na tę myśl, mimo że w głębi serca nie widziała w niej nic zabawnego. Żaden z ojców dzieci nie pozostał przy niej długo po ich poczęciu, nie wspominając już o porodzie. Urodziła jednak i wszystkie zatrzymała, teraz była bardzo z tego zadowolona. W końcu, u kresu życia, pozostaną jej tylko dzieci. Nie musiała zresztą sobie przypominać, że i tak posiada niewiele więcej niż one.

Jak zwykle, uśmiechała się, kiedy odwróciła głowę i popatrzyła na Kirę, stojącą w progu kuchni.

Jednak uśmiech znikł z jej twarzy w mgnieniu oka.

Kira wyglądała jak dorosła kobieta i było to dziwnie przerażające. Na oczach miała mocny makijaż, usta pogrubione czerwona, lśniąca szminką i wyglądające na tak pełne, jakby były bezustannie wydęte. Jasne włosy Kiry związane były w kok. Sprawiały wrażenie gęstych, obfitych, niemal seksualnie podniecających. Joanie odniosła wrażenie, że patrzy na swoją córkę taką, jaka będzie za dziesięć lat. Tyle że z zewnątrz wyglądając na dorosłą kobietę, w głębi biedna Kira zawsze pozostanie dzieckiem.

Dziewczynka wyczuła nastrój matki i radosna mina znikła z jej twarzy.

— Czy zrobiłam coś złego, mamusiu?

Joanie przytuliła ją mocno i powiedziała głośno, raczej na swój użytek niż do córki:

— Nie, kochanie. Po prostu przeżyłam szok, widząc cię taką dorosłą.

Kira uspokoiła się i oddała uścisk matce.

— Czy mogę tak zostać i pokazać się Jon Jonowi i wszystkim?

Joanie potrząsnęła przecząco głową na samą myśl o tym, jak Jon Jon by zareagował, widząc siostrzyczkę w takim umalowaniu i przebraniu.

— Nie, słodziutka, zmyj to z siebie. Zaraz będzie kolacja.

Kira pokiwała głową i wróciła do swojej sypialni. Tymczasem Joanie poczuła, jak serce zaczyna szaleć w jej piersi. To, co przed chwilą widziała, zdawało się jej niemal surrealistyczne. Kira wyglądała prawie jak dorosła kobieta i to jak piękna kobieta. Najgorsze było jednak to, że Kira była niemal miniaturową wersją Joanie w tym samym wieku.

Upiła ze szklanki łyk czerwonego wina i mocno zaciągnęła się bensonem. Wyjrzawszy przez kuchenne okno, stwierdziła, że szybko zapada noc i ta obserwacja ucieszyła ją. Ciemność czyniła jej zajęcie łatwiejszym. A poza tym, po zmroku jej mała córeczka musiała przebywać tam, gdzie by ją zawsze widziała najchętniej.

W mieszkaniu.

Do kuchni weszła Jeanette, także wystrojona na lśniącego kociaka i powiedziała wesoło do matki:

— Czy ona nie wyglądała fantastycznie, mamusiu?

Duma w jej głosie wywołała taki efekt, że Joanie zachciało się płakać. Pokiwała jednak głową. Jeanette tak rzadko zajmowała się siostrzyczką, że Joanie nie chciała zepsuć tej niecodziennej sytuacji.

— Jak mała kobieta. Bądź jednak tak miła, Jen, i nie przebie-
raj jej w taki sposób zbyt często.

Jeanette odgarnęła z czoła kosmyk gęstych czarnych włosów.

— Nie martw się, mamusiu — odezwała się łagodnie. — Nie będę tego robić zbyt często. Widok był naprawdę szokujący, mimo że Kirze się to spodobało. Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Tak, kochanie. Uczciwie mówiąc, ten widok mnie prze-
raził.

— Zrobiłam jej w sypialni kilka zdjęć, żeby się cieszyła, a potem zmyłam jej makijaż. Zanim zobaczyłby ja Jon Jon. Mu-

siałabyś jednak widzieć, jak mi pozowała na łóżku, taka naturalna i w ogóle, w jednej sekundzie uśmiechnięta, a w drugiej zmysłowa i tak dalej. Niewiarygodne, prawda?

Joanie zmierzwiła włosy dziewczyny

— Chyba ją bardzo kochasz, co?

Jeanette roześmiała się, ale nie odepchnęła matki jak zazwyczaj i Joanie od razu z tego skorzystała, mocno ją przytulając. Córka oddała jej uścisk. Kiedy w drzwiach pojawił się Jon Jon, obie nadal śmiały się i ścisnęły.

— Czy można się przyłączyć, czy to tylko dla członków klubu?

— A co to jest „członek”?

Głos Kiry był wysoki i brzmiało w nim wielkie zainteresowanie. Joanie odpowiedziała jej żartobliwie:

— Zależy, kogo pytasz, kochanie.

Wszyscy, z wyjątkiem Kiry, roześmieli się. Ale i jej udzieliła się zaraz ogólna radość i także zaczęła się śmiać, mimo że w gruncie rzeczy nie wiedziała, dlaczego to robi.

Jon Jon specjalnie wprowadzał wszystkich w dobry nastrój. Joanie aż chciała go za to wycałować. Wszyscy czworo śmieli się długo i głośno. Joanie od bardzo dawna nie czuła się taka szczęśliwa.

Kiedy rozstawiła wreszcie talerze na stole i popatrzyła na swoje dzieci, ogarnęła ją duma, jaką zawsze odczuwała, gdy je miała w komplecie. Ich widok, radosnych, zadowolonych, wart był każdych pieniędzy tego świata.

We czworo nie stanowili złej rodziny. Wszyscy się kochali i dbali o siebie nawzajem. Przynajmniej przez większość czasu.

Wieczorny wiatr był chłodny, dlatego Monika i Joanie, czekając, aż zatrzyma się jakiś samochód, umilały sobie czas rozmową.

W pewnej chwili podeszła do nich jedna z dziewcząt Todda McArthura. Była w pestkę pijana albo naćpana, a jej delikatna twarz miała szarą barwę.

— Dobrze się czujesz, kochana? — zapytała Joanie.

Dziewczyna popatrzyła na nią szklistymi oczyma i ledwie skinęła głową. Zachowywała się, jakby dopiero została wybudzona z narkozy. Biedna suczka w ogóle nie wiedziała, co się wokół niej dzieje. Z pewnością nie miała dzisiaj szansy na trafienie jakiegokolwiek klienta.

— Chodź, odprowadzimy cię do domu.

Dziewczyna potrząsnęła głową, jednak niewątpliwie zupełnie bez świadomości tego, co robi. Na pewno nie interesowali jej już dzisiaj klienci po tej stronie rynku. Na seks nie miała siły.

— Zostaw ją, Joanie, bo z tego możesz tylko mieć kłopoty z McArthurem — powiedziała Monika znudzonym głosem.

Joanie złapała dziewczynę za ramię.

— Pieprzyć go! Widzisz, że ona nie nadaje się dzisiaj do niczego. Sama dla siebie stanowi zagrożenie.

Dziewczyna spróbowała się wyrwać, była jednak tak słaba, że stać ją było tylko na kilka krótkich szarpnięć.

— Złap taksówkę, Mon.

Monika kręciła przecząco głową.

— Ani mi się śni. Nie jesteś za nią odpowiedzialna, Joanie.

Joanie ruszyła razem z naćpaną dziewczyną w kierunku najbliższego pubu. Dziewczyna potykała się i kiedy Joanie mocniej złapała ją za rękę, żeby utrzymać ją w pionie, zobaczyła na niej świeże ślady po nakłuciach. Ciężko westchnęła.

Co za drań z tego McArthura! Łajdak, łajdak! Joanie pamiętała jego matkę, miłą kobietę, wzbudzającą powszechny szacunek. Nawet jego ojciec, wciąż przebywający w więzieniu z dwudziestopięcioletnim wyrokiem za morderstwo, nie przyznawał się do syna sprzedającego młode dziewczęta. Podczas gdy Joanie pomagała dziewczynie, nagle z piskiem opon zatrzymał się przy nich mercedes i po chwili drogę zagroził im osobiście Todd McArthur.

— Cholera jasna, co robisz?

Jego głos był piskliwy, pełen złości i niedowierzania.

Joanie spróbowała odepchnąć go z drogi, jednak bez powo-

dzenia, Todd stał twardo na chodniku. Jego ręcznie szyte buty wyglądały na trotuarze zupełnie nie na miejscu, między zużytymi kondomami, igłami do strzykawek i niedopałkami papierosów.

— Pytałem, kurwa mać, co robisz?

Był silny i mocno zbudowany, jak piłkarz. Chełpił się swoją siłą fizyczną i także tym, że mimo młodego wieku zajmuje w handlu kobietami poważną pozycję. Jego arogancja działała jednak na Joanie jak płachta na byka.

Monika patrzyła na niego czujnie, a dookoła zgromadziło się już kilka kobiet. Wszystkie gotowe były wziąć stronę Joanie, jeśli dojdzie do otwartego konfliktu pomiędzy nim a nią. Po raz pierwszy w życiu poczuł się niepewnie wśród własnej siły roboczej.

— To dziecko nie widzi na oczy, zamierzam więc wsadzić ją do taksówki. Nie ma szansy, żeby popracowała dziś w nocy.

Twarz McArthura przybrała wyraz kompletnego niedowierzania w reakcji na oczywistą i bezgraniczną bezczelność. Popatrzył po zafrasowanych twarzach kobiet zgromadzonych dookoła. Niemożliwe, to musiał być żart. Podświadomie spodziewał się, że za chwilę zza samochodu wyskoczy Jeremy Beadle.

— Pozwól, że ja to, kurwa, ocenię. A teraz zabieraj od niej pieprzone łapska.

W pewnej chwili do otumanionej dziewczyny dotarło, że pojawił się jej alfons i nagle ogarnęła ją fala panicznego strachu. Zaczęła się trząść, gdy Todd szarpnął ją za włosy i powłókł do samochodu. Wszystkie kobiety skierowały spojrzenia na Joanie, oczekując, że to ona podpowie im, co robić. Jakiś zabłąkany klient gwizdnął z samochodu i Monika — samolubna jak zawsze — najszybciej, jak mogła, pobiegła w jego kierunku i wskoczyła do środka.

Joanie poczuła, że ogarnia ją wściekłość.

— Lepiej ją zawieź do domu, facet.

Wszystkie kobiety pokiwały głowami, jakby się z nią zgadzając. Todd znowu popatrzył po ich twarzach i po raz pierwszy poczuł się wśród nich niepewnie. Instynkt uliczny podpowiadał mu jednak, że albo rozwiąże sytuację po swojemu, albo znik-

nie cały strach i szacunek tych kobiet, który był mu potrzebny w szczególnym zawodzie, jaki wykonywał.

Pchnął dziewczynę na samochód, po czym, zwracając się do Joanie, wrzasnął:

— Kim ty, kurwa, jesteś, że się mi stawiasz?

Joanie poczuła, jak jej wściekłość rośnie. Dziewczyna upadła na chodnik, kompletnie już nieświadoma tego, co się rozgrywa dookoła niej. Joanie niezbyt łagodnie szturchnęła McArthura w pierś i powiedziała cicho:

— Pamiętam cię, chłopcze, z czasów, kiedy biegałeś po ulicach z dupą prześwitującą spod starych spodni. Wtedy byłeś małym alfonsem i wciąż jesteś małym alfonsem. Ostrzegam cię, stary, kobieta ma na ulicy ciężkie życie, ale jeszcze ciężiej jest alfonsovi, który straci szacunek swoich kobiet. Wbij to sobie w swój zasrany mózdek, ponieważ jedna z twoich dziewcząt może w każdej chwili wyzionąć ducha. A jeśli tak się stanie, szybko poznasz ciemniejsze strony — moją i podobnych mi kobiet.

McArthur był kompletnie zaskoczony.

To mu się musiało śnić.

Wszystkie kobiety patrzyły na niego. Ciężkie makijaże na ich twarzach i lśniące stroje sprawiały w ciemnościach nocy złowieszcze wrażenie.

Po krótkiej chwili przeważyła w nim jednak naturalna skłonność do awantur. Uniósł pięść i trzasnął nią prosto w twarz Joanie. Kobieta poleciała do tyłu, a McArthur wyciągnął swoją ulubioną broń, długi nóż.

Kobiety wpadły w przerażenie. Nagle, w jednej chwili, podczas gdy Joanie, krwawiąc z nosa i z szybko puchnącym okiem wciąż leżała na brudnym trotuarze, dookoła rozpętało się piekło. Joanie z zaskoczeniem patrzyła, jak jej własny syn ciągnie Todda McArthura po chodniku i sprawia mu lanie, którego ten do końca życia nie będzie miał szansy zapomnieć.

Jedna z kobiet pomogła jej wstać i teraz wszystkie już spoglądały w nieskrywanej, chorej fascynacji, jak syn Joanie syste-

matycznie wymierza karę alfonsowi, którego ciało powoli sta-
wało się bezwładne.

Joanie była zaskoczona przede wszystkim tym, że Jon Jon znalazł się w miejscu jej pracy. Nic takiego dotąd się nigdy nie zdarzyło. Kiedy jednak dostrzegła także Pauliego Martina, wszystkie elementy układanki złożyły się w jedną całość.

Paulie swobodnym krokiem podszedł do niej. Złapał ją za rękę, za podbródek i popatrzył prosto w oczy.

— Przeżyjesz ten incydent, Joanie. Co do McArthur, nie jestem jednak pewien. Cholera, silny ten twój chłopak. — Uśmiechnął się do niej, podając nieskazitelnie czystą chusteczkę. — Aha, od jutra pracujesz już tylko w salonie.

Zgromadzone dookoła kobiety zaczęły patrzeć po sobie w niemym zaskoczeniu, kiedy zdały sobie sprawę, kim tak naprawdę jest rasta, który pojawił się, jakby spadł z nieba.

Paulie nakazał mu, żeby przestał bić i po raz pierwszy Jon Jon i matka nawiązali kontakt wzrokowy. Joanie ujrzała w oczach syna zmieszanie i zdała sobie sprawę, że to samo widzi w jej oczach Jon Jon.

Odniosła wrażenie, jakby nagle zmaląła. Jej twarz była posiniaczona i krwawiła, ciało obolałe, całą swoją istotą czuła upokorzenie wywołane tym, że syn zastał ją w takiej sytuacji. Jon Jon rozumiał ją doskonale i właśnie w tym momencie zdał sobie sprawę, jak kocha tę kobietę, która mu dała życie. Kimkolwiek była, była przecież wszystkim, co miał i czego by pragnął.

Podszedł do niej i przycisnął mocno do siebie.

— Wszystko dobrze, mamó?

Paulie patrzył na nich i nagle poczuł się dziwnie smutno, zdawszy sobie sprawę z tej oczywistej i wielkiej miłości pomiędzy matką i synem. Zorientował się, że minęły całe lata, odkąd jego dziewczynki spontanicznie go do siebie przytulały. Zwykle czyniły to, kiedy potrzebowały pieniędzy, jakiegoś nowego prezentu i tak dalej.

Powoli przejechał samochód policyjny. Paulie pomachał przyjaźnie jego załodze. Auto nie zatrzymało się.

— Chodź, zawieziemy cię do domu, dziewczyno.

Pomógł Joanie wsiaść do swojego auta, po czym, starając się przybrać żartobliwy ton, powiedział do zgromadzonych kobiet:

— Zadzwońcie po ambulans dla tej nieszczęśnicy. A dla faceta najlepiej po karawan. Zanim skończy się ten tydzień, i tak, kurwa, będzie się o niego modlił.

Monika wysiadła z samochodu klienta niemal w tej samej chwili, w której odjechało auto Pauliego. Popatrzyła na Todda McArthur'a, po czym wysłuchiwała, z coraz bardziej rozszerzającymi się źrenicami, opowieści o tym, co wydarzyło się tutaj w ciągu ostatnich kilkunastu minut.

Cóż, cuda czasami się zdarzają.

Szlag trafiał ją jednak, że straciła taki spektakl. Przecież było to wydarzenie tak nadzwyczajne, że opowieści o nim będą krążyły po ulicy jeszcze w bardzo odległej przyszłości!

Tommy był kompletnie zaskoczony, widząc Joanie tak szybko w domu, na dodatek w towarzystwie Jon Jona i jakiegoś dziwnego mężczyzny. Jej widoczne rany bardzo go zmartwiły.

— Nic pani nie jest?

Joanie uśmiechnęła się do niego najładniej, jak umiała.

— Miałam mały wypadek, ale poza tym wszystko w porządku.

Paulie z niezdrową fascynacją spoglądał na wielkiego, tłustego chłopaka.

Jak zwykle, Jon Jon poszedł prosto do pokoju Kiry, żeby sprawdzić, czy leży spokojnie w łóżku. Była tam, na swoim miejscu, śpiąca i opatulona w kołdrę. Jon Jon uśmiechnął się, pocałował ją delikatnie jej jedwabiste włosy.

Następnie wcisnął w dłoń Małego Tommy'ego dwudziestofuntowy banknot i Tommy natychmiast wyszedł z mieszkania. Zawsze wiedział, kiedy i gdzie jest niepożądany.

— Kurwa, kto to jest? — zapytał Paulie.

Joanie popatrzyła na niego i zaczęła się śmiać. Z początku był

to cichutki chichot, który stopniowo przechodził jednak w głośne rzenie. W pewnym momencie dołączył do niego Paulie.

Śmiech przyniósł im ulgę i rozluźnienie, którego bardzo potrzebowali. W ich świecie im gorsze przytrafiały się sprawy, tym więcej potrzeba było śmiechu, żeby się z nimi mierzyć. Tylko dzięki niemu udawało się przetrwać.

Paulie usiadł na sofie obok Joanie. Otoczył ręką jej ramiona, oboje śmiali się tak głośno i szczerze, że do ich oczu napłynęły łzy. Jon Jon obserwował scenę, zdając sobie sprawę, że oboje śmieją się z jakiegoś tylko im znanego żartu. Sam nic nie rozumiał.

Pojmował jednak, że jego matkę i tego mężczyznę coś łączy. Cokolwiek to było, jego, Jon Jona, nie dotyczyło. Zrobił im wszystkim po drinku i sam zamknął się w kuchni.

Kiedy niespodziewanie do pokoju weszła Kira, w piżamie z wizerunkiem Tinkerbella, Joanie otworzyła przed nią ramiona. Przypomniała sobie jednak szybko o swojej pokiereszowanej twarzy i powiedziała do córki wyjaśniająco:

— Wszystko w porządku, kochanie. Mamusia przewróciła się na wysokich obcasach.

Kira wskoczyła jej na kolana i delikatnie pocałowała opuchnięty policzek matki.

Paulie z fascynacją patrzył, jak Jon Jon najpierw podaje matce drinka, następnie zimny kompres, aż wreszcie jakieś tabletki przeciwbólowe. Podłożył Joanie pod głowę poduszkę i upewniwszy się, że jest jej wygodnie, zaprowadził małą siostrzyczkę z powrotem do łóżka, przez cały czas mówiąc coś do niej po cichu, uspokajając ją z taką wprawą, że w końcu dziewczynka wybuchła śmiechem.

Wbrew sobie Paulie był pod wielkim wrażeniem tych scen. Przecież pamiętał jeszcze dobre lata w jego własnym mieszkaniu.

— Joanie, wciąż jeszcze trzymasz te swoje starocie w kredensie? — zapytał.

Uśmiechnęła się, mimo że sprawiło jej to ból.

— Tak. Wciąż je kupuję — odpowiedziała.

— Nic ci nie jest, Joanie? Jesteś pewna?

Prawdziwe zatroskanie, jakie usłyszała w jego głosie, uszczęśliwiło ją. Przecież od tak dawna kochała tego mężczyznę. Teraz miał na swojej liście płac jej syna i dlatego zaczynał szanować ją tak, jak tego potrzebowała i pragnęła. W jej ciężkiej egzystencji była to wielka wartość.

— Oczywiście, że jestem pewna. Mam nadzieję, że nic złego nie stało się z tym głupiutkim dziewczęciem. Jest zbyt młoda do tej roboty, cholernie za młoda.

Jon Jon przysłuchiwał się rozmowie. Jego matka i Paulie rozmawiali ze sobą naturalnie, jak starzy przyjaciele. Dziwne, ale chyba nimi byli. Pamiętał, jak któregoś dnia, wiele lat temu, obudził się i zobaczył Pauliego w łóżku matki. Pamiętał także, jak wówczas była szczęśliwa. Paulie przygotował wtedy dla wszystkich wielkie śniadanie i swoim zachowaniem sprawiał, że wszyscy co chwilę głośno się śmieli. Był jednym mężczyzną, który kiedykolwiek zachowywał się wobec niego i jego rodzeństwa, do pewnego stopnia, jak ojciec.

Jednak jego wizyty u Joanie szybko się skończyły. Na swój sposób wszyscy w domu tego żalowali, ale nie tak bardzo jak Joanie. Coś w niej wówczas umarło. Teraz Jon Jon znów widział razem ich oboje i rozumiał, że matka wciąż adoruje mężczyznę, który sprzedawał ją każdemu, kto chciał, za dziesięć funtów i nawet od tych dziesięciu funtów pobierał podatek.

Świat był szalony, Jon Jon miał jednak szczęście, że wie o tym już od najmłodszych lat. Tak jak jego matka, brał z życia, co tylko się dało.

Paulie zrozumiał, że znów dobrze się czuje przy Joanie, że śmieszą go jej żarty i — nawet bardziej — jej drobne dziwactwa. Pamiętał, jak razem z dziećmi planowała baśniowe przyjęcia, w których miały brać udział najbardziej wyszukane znakomitości, począwszy od Batmana, a skończywszy na Elizabeth Taylor. Z chęcią dołączał do tej zabawy. Czasami, razem z Joanie i jej dziećmi, śmiał się tak głośno, jak nigdy nie zdarzało mu się to we własnym domu.

Joanie była przemiłą osobą i miała wielkie serce. Nagle Paulie zateęsknił za pocieszeniem, jakie znajdował pomiędzy jej nogami i w jej pełnym szczęścia domostwie. Jej dzieci, w przeciwieństwie do dzieci Pauliego, znajdowały radość w najdrobniejszych rzeczach i wprost uwielbiały kobietę, która sprzedawała własną dupę, żeby je karmić i ubierać.

Tęsknił za uczuciem przynależności do tej gromadki, do której, jakkolwiek szalone by się to wydawało, kiedyś już przecież należał. W przeciwieństwie do jego własnego domu, za którym wcale i nigdy nie tęsknił, domu, w którym zawsze musiał zdejmować buty na progu i czasami chodzić na palcach niczym jakiś pieprzony włamywacz, żeby nie robić niepotrzebnego hałasu. Uwielbiał tę filiżankę herbaty w łóżku nad ranem, odgłosy dzieci, bawiących się i kłócących pomiędzy sobą oraz głos Joanie, pokrzykujący na nie bez cienia złości. Z równą czułością potrafiła któremuś dać klapsa w tyłek, jak pocałować w czoło. Tęsknił za zapachem tego miejsca: zapachem dzieci i Joanie. Jego własny dom pachniał tylko sterylnością, płynem do zmywania naczyń i wybielaczem, tak samo zresztą jak jego żona.

Tęsknił także za sposobem, w jaki Joanie przyciskała go do swoich piersi i pieściła, oferując mu pełen relaks i bezpieczeństwo, dając świadomość, że zawsze będzie na niego czekała, niezależnie od tego, co się w życiu zdarzy. Popatrzył jej w oczy i znów poczuł, jak mocno ta dziewczyna go przyciąga. Przez wszystkie lata jej serdeczność i ogromna czułość przywoływały go do niej. Teraz zdał sobie sprawę, że wciąż jest w jej mocy. Jak wtedy, kiedy oferowała mu na tacy całe swoje życie. Skorzystał z tej oferty: skorzystał z jej domu, dzieci, wziął od niej wszystko, co mu oferowała, lecz później tym wzgardził. Naprawdę, nie zasługiwała na coś takiego. Dała mu przecież o wiele więcej, niż kiedykolwiek otrzymała od niego. Znacznie, znacznie więcej.

Później były inne Joanie: młodsze, jędrniejsze, mimo że żadna z nich nie miała w sobie tego nieokreślonego czegoś, co posiadała właśnie ona. Cokolwiek to było, uderzało mu do głowy, dawniej i teraz. Nie miał jednak najmniejszego pojęcia, dlaczego

czuje miętę do kobiety, która została przetrzepana więcej razy niż używany dywan. Cóż to było takiego, że spokój dawało mu tylko wtedy, kiedy przebywał w jej towarzystwie albo w niej, albo nawet w towarzystwie jej dzieci?

Cokolwiek to było, wciąż działało na niego z ogromną siłą. Pragnął jej, mimo że na przestrzeni ostatnich lat wyraźnie się postarzała. Ale jej uśmiech wciąż wywoływał te same drobne zmarszczki w kącikach oczu, które ciągle radośnie iskrzyły, mimo że jednym z nich mrugała częściej niż drugim, a to z powodu ciosu, który przyjęła kilka lat temu. Joanie brała od życia wszystko, co życie jej ofiarowało, oraz wszystko, czym sprawiało jej ból. Tylko instynkt przetrwania pozwalał jej wciąż utrzymywać się na powierzchni.

Czy Paulie naprawdę ją podziwiał? Sam tego nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Nagle rozważania na ten temat stały się zbyt bolesne.

Otoczył ją ramieniem i delikatnie przyciągnął do siebie. Przytuliła się do niego i przyłożywszy głowę do jego piersi, nasłuchiwała bicia serca mężczyzny. Paulie przycisnął ją do siebie mocniej, ciesząc się jej bliskością. Pocałował ją czule w czubek głowy. W tym momencie Jon Jon cicho wyszedł z pokoju, pozostawiając ich samych, tylko dla siebie.

Jon Jon miał własne plany na tę noc. Teraz, kiedy Paulie był w mieszkaniu, nie musiał tłumaczyć się z wyjścia. Uznał, że ani mama, ani Paulie do rana pewnie nawet nie zauważą jego zniknięcia.

Zamknąwszy za sobą drzwi od mieszkania, zaczął się zastanawiać, jaki będzie rezultat wydarzeń dzisiejszej nocy.

Miał nadzieję, że jakkolwiek się on okaże, uczyni matkę szczęśliwą. Zaslugiwała na to, żeby być szczęśliwą, prawdziwie szczęśliwą, chociaż raz w życiu. A jeśli jej szczęście ma wiązać się z osobą Pauliego, niech tak właśnie się stanie. Niech chociaż raz w życiu dostanie dokładnie to, czego pragnie. W końcu, kim on, Jon Jon, był, żeby udzielać jej odpowiedzi, jak postępować w życiu?

Zaznała od życia tak mało szczęścia, że przecież własny syn nie mógł odbierać jej prawa do spędzenia nocy z mężczyzną, którego sama sobie wybrała. Miał tylko nadzieję, że Paulie już nigdy nie zrani jej tak mocno, jak to zrobił w przeszłości.

Wyszedłszy z domu w chłodną noc, Jon Jon skoncentrował się wreszcie na sprawie, którą tej nocy musiał załatwić.

Jeanette i Jaspera obudziła łomotanie do drzwi mieszkania. Przez chwilę leżeli obok siebie, słuchając, jak matka chłopaka głośno przeklina, zmierzając po ciemku do drzwi, żeby je otworzyć i uciszyć niespodziewanego przybysza. Jasper zaraz poderwał się z łóżka i zaczął naciągać spodnie. Jednak w tym samym momencie drzwi jego pokoju otworzyły się szeroko i Jasper ujrzał stojącego w progu brata Jeanette.

— Co ty, kurwa, robisz w moim mieszkaniu, czarny bękaracie? — głos Karen Copes był głośny, ochryply i nie wróżył niczego dobrego. Poprzednią noc spędziła w pubie. Jasper od dawna się jej wstydził. Zamknął oczy i z kolei on krzyknął:

— Wypierdalaj stąd, mamó!

Natychmiast wypchnął ją z pokoju tak mocno, że w korytarzu przewróciła się na podłogę. Popatrzył Jon Jonowi w oczy.

— A więc; teraz wiesz, prawda?

Jon Jon spojrzał na siostrę. Była naga. Potrząsnął smutno głową.

— Wstawaj i ubieraj się — powiedział.

Był tak samo zakłopotany tą sceną jak ona. Chwila koszmarna dla nich obojga. Jon Jon odwrócił się i wyszedł na korytarz.

Jasper z przerażeniem patrzył, jak dziewczyna gramoli się z łóżka. Rzucił jej ubranie, po czym ruszył za Jon Jonem.

— Na zewnątrz!

Wyszedł za Jon Jonem z mieszkania i podążył za nim po schodach ku tylnemu wyjściu z budynku. Ciemność rozjaśniało jedynie światło ze słabej żarówki, wiszącej nad framugą. W drzwiach budynku panował niemal półmrok, jednak obaj chłopcy dosko-

nale widzieli nawzajem swoje twarze i skrzącą w oczach złość oraz wrogość.

Jasper miał krótko ostrzyżoną głowę, a wśród sterczących włosów wyciął brzytwą litery BNP. Wyglądał jak uciekinier z Trzeciej Rzeszy. Przed nim stał Jon Jon z luźnymi dreadami, o skórze koloru kawy. W tej chwili wspólną mieli tylko jedną rzecz: wzajemną nienawiść.

— Ona ma czternaście lat, a ty już nie żyjesz, śmieciu.

Jasper potrząsnął głową.

— Zależy mi na niej i nic na to nie możesz poradzić. Ona nie jest twoją własnością.

Arogancja w jego głosie działała na Jon Jona jak czerwona płachta na byka.

— Jest moją siostrą, krwią z mojej krwi i kością z mojej kości. Już nigdy więcej jej nie tkniesz, pętaku.

W chwili, w której Jon Jon uniósł pięść, żeby raz na zawsze wbić Jasperowi do głowy swe słowa, z domu wybiegła Jeanette. Stała w drzwiach.

— Proszę cię, Jon Jon! — zawołała. — Proszę... Przepraszam, po prostu chodźmy do domu.

Uczepiła się ramienia brata, a Jasper obserwował ją z dziwnym uczuciem, że go w ogóle tutaj nie ma. Bez swojego zwykłego makijażu Jeanette wyglądała dokładnie na taką osobę, jaką w rzeczywistości była: na małą dziewczynkę. W dodatku na przerażoną, małą dziewczynkę.

Jon Jon pomyślał o matce, jak wyglądała dawniej, pomyślał o jej życiu. Wiedział, że jeśli nie zrobi czegoś w tej chwili, ta dziewczynka skończy dokładnie tak jak jej matka. Jeszcze raz przesunął palcami po ostrzu noża, który miał w kieszeni, popieścił je delikatnie, po czym wy dobył broń.

Jeanette zobaczyła to i głośno krzyknęła.

Jon Jon zaatakował Jaspiera szybko i skutecznie. W chwili gdy Jon Jon przyłożył mu ostrze do gardła, przez Jaspiera przepłynęła fala wstydu.

— Mógłbym cię teraz wykończyć, ale nie jesteś tego wart.

Pieprzony dzieciójebca nie jest wart wyroku śmierci. Coś ci jednak powiem. Popatrz na moją siostrę. Jej ojciec był Turkiem. Mieszkał u nas przez kilka tygodni, a potem się wyniósł. Pamiętaj o tym, bawidamku, kiedy będziesz ją mijał na ulicy. Ale z nią nie rozmawiaj, nie zauważaj nawet jej istnienia. W przeciwnym wypadku, przysięgam, nie minie wiele czasu, a będziesz martwy jak kamień.

Skończywszy, Jon Jon odepchnął go od siebie, jakby był zupełnie niczym. Jego siła tkwiła w tym pełnym pogardy odrzuceniu przeciwnika i obaj o tym wiedzieli.

Jeanette była załamana tym, że własny brat potraktował jej chłopaka jak worek śmieci.

— Jon Jon, ty draniu! Co ty mi zrobiłeś?

Ból w jej głosie nie wywarł na nim najmniejszego wrażenia.

— To jest pieprzony dzieciójebca. Popatrz tylko na niego, Jen. Popatrz tylko, kurwa, na to, co wyrzucasz ze swojego życia. Nie potrafi nawet walczyć o ciebie. Jego życie to jedno gówno i zabawa w zgaduj-zgadulę z policją. Weź się w garść, zanim go zamorduję z twojego powodu, a mogę to zrobić, wierz mi, dziewczyno. Raczej poćwiartuję tego popierdoleńca, niż pozwolę, żeby cię jeszcze chociaż raz wykorzystał. Dzieciójebca i turecka dziewczyna? Przecież on się z ciebie przez cały czas śmiał, on i jego kolesie, ty naiwna idiotko!

Jeanette przyszło nagle do głowy, że może Jon Jon mówi prawdę? Popatrzyła na Jaspiera i serce podskoczyło jej do gardła. Chłopak nie był w stanie nawet spojrzeć jej w oczy.

Jon Jon roześmiał się.

— Pieprzony dzieciójebca! No, spróbuj, dotknij choć jeszcze raz moją siostrę! — Na jego twarzy wykwił pełen złości grymas. — Idź i popał sobie lepiej swoją czarną trawę i posłuchaj reggae, głupi, chory popaprańcu. Bo niedługo nie będziesz już miał możliwości...

Jon Jon nie wytrzymał. Kopnął Jaspiera z całej siły tak mocno, jak jeszcze nikogo nie kopnął w życiu. Bez wsparcia kolegów Jasper był w tej potyczce bez szans. Zakrył rękami głowę; nic

więcej nie mógł zrobić w swojej obronie. Wiedział, że w pojedynku jeden na jeden Jon Jon zawsze z nim zwycięży.

Lanie było krótkie, brutalne i poniżające. Po chwili Jon Jon odciągnął Jeanette od Jaspera, mimo że płakała tak żałośnie jak jeszcze nigdy w życiu.

Jasper leżał na ziemi, czując, że mimo wszystko mu się upiekło. Kopany i poniewierany spodziewał się, iż Jon Jon w każdej chwili użyje noża i myśl ta przerażała. Jego ciało ogarnięte było jednym wielkim bólem, odnosił wrażenie, że płonie, wiedział, że rano nie rozpozna w lustrze swojej twarzy, ale przecież żył.

W ciemności zapalił papierosa i poczuł żądła łez napływających do oczu. Był żywy, ale poniżony do granic ludzkiej wytrzymałości.

Joanie leżała w łóżku z Pauliem, wciąż nie dowierzając, że on naprawdę znów jest z nią. Z ostatnich godzin pamiętała tylko seks. Paulie był jedynym mężczyzną, który dawał jej radość z aktu seksualnego; wiedziała, że to się nigdy nie zmieni. Dotyk jego głowy, gdy spał na jej piersi, był czymś tak znajomym, że odnosiła wrażenie, iż tych kilku lat wzajemnego oddalenia właściwie nigdy nie było.

Delikatnie przyciskała Pauliego do siebie, ciesząc się nawet jego głośnym chrapaniem. Chłoneła w siebie każdą sekundę tej nocy, ponieważ dobrze wiedziała, że coś takiego już nigdy się nie powtórzy.

W półmroku widziała rysy jego twarzy. Tak bardzo się jej podobają... Tak bardzo go kochała i przecież dawniej tak bardzo marzyła i wierzyła, że pewnego dnia Paulie na zawsze stanie się jej jedynym mężczyzną. Widziała siebie jako jego dziewczynę, oczywiście, nie żonę, aż taka naiwna przecież nie była. W każdym razie nie jako dziewczynę numer jeden. Jego główną dziewczynę do łóżka.

Uśmiechnęła się teraz na tę myśl. Kiedyś wydawało się to możliwe, wszystko zdawało się możliwe. Pragnęła mu wtedy coś

powiedzieć. O sobie i o nim. Teraz, po tych wszystkich latach, wątpiła, czy miałyby to sens. Być może zatrzymałaby go tym przy sobie, może częściej by się widywali, ale przecież z równym powodzeniem mogła w ten sposób sprawić, że odszedłby od niej na dobre.

Lecz nie, po co to rozpamiętywać? Wiele lat temu straciła swoją szansę. Musiała to teraz zaakceptować, uznać i wziąć od mężczyzny śpiącego obok jedynie to, co mogła otrzymać. Cieszyć się każdym okruszkiem, jakim był skłonny ją obdarować. Jej problem polegał na tym, że doskonale знаła swoją wartość, aż do ostatniej obelgi, jaką usłyszała w życiu.

Jeszcze raz przycisnęła go mocno do siebie. Pocałowała delikatną skórę na czole mężczyzny, wdzięczna losowi za to przeżycie, ponieważ — gwoli prawdy — nie spodziewała się, że jeszcze kiedykolwiek znów poczuje tego faceta tak blisko siebie. Usłyszała, że dzieci wracają do domu, usłyszała, jak zamykają się drzwi ich pokoiów. Teraz mogła spróbować zasnąć na kilka godzin.

Zabawne, lecz mimo że najstarsze dzieci żyły już własnym życiem i jej wysiłki, by im pomagać, były bezużyteczne, wciąż nie potrafiła w nocy zasnąć, dopóki oboje nie wrócili do domu. Dopóki dzieci nie były bezpieczne, dopóki nie spały spokojnym snem we własnych łózkach. Taka też była ona sama tej nocy, bezpieczna w ramionach mężczyzny, którego pokochała od pierwszego wejrzenia, wiele lat temu.

Pamiętała każdą chwilę, którą razem spędzili, cieszyły ją i słodkie, i gorzkie wspomnienia, mimo że tak często z powodu tego mężczyzny płakała.

W końcu, po wielu godzinach rozmyślań, Joanie zasnęła.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Karen Copes wciąż krzyczała, kiedy wreszcie, o wpół do szóstej nad ranem, personel szpitala stanowczo nakazał jej iść do domu. Od pierwszej chwili, kiedy dotarli na oddział intensywnej terapii, szalała. Wrzeszczała, przeklinała i głośno płakała, doprowadzając do rozpaczyny lekarzy i wszystkie pielęgniarki. Do rana zdążyła zagrozić śmiercią dwóm pielęgniarkom, lekarzowi i szpitalnej recepcjonistce. Mimo że uczyniono wszystko, co leżało w ludzkiej mocy, żeby pomóc jej synowi, matce wciąż się zdawało, że opieka nad Jasperem jest zbyt słaba. Wreszcie nakazano jej, żeby sobie poszła, jednak Karen oznajmiła, że prędzej siłą wyrzucą ją ze szpitala, niż odejdzie sama.

Fakt, że to własny syn poprosił lekarzy, aby się jej pozbyli, jedynie jeszcze bardziej ją rozzłościł. Obelgi i przekleństwa kobiety słyszalne były na całym oddziale. Potrzeba było aż trzech lekarzy, ochroniarza i w końcu gniewu własnego syna, żeby wreszcie usunąć ją z terenu szpitala.

Poszła do domu tylko dlatego, że musiała wlać w siebie porządny drinka, mimo że głośno przed nikim się do tego nie przyznała. Zapijała się ostatnio do takiego stopnia, że zastanawiało to już ją samą. Najgorsze były poranki: próba nalania sobie szybkiego kieliszka, kiedy z lewa i z prawa ją obserwowano, była zawsze bardzo trudna. Wciąż wmawiała sobie, że pije jedynie dla towarzystwa, argument ten był jednak bardzo miąłki nawet dla niej.

Teraz, gdy Jasper leżał w szpitalu, ciężko pobity, była przekonana, że nikt nie powie złego słowa, jeśli matka zechce wlać w siebie kilka drinków, aby spłukać niepokoje o syna. Wciąż

jednak była wściekła na ludzi, którzy zmusili ją do opuszczenia szpitala. Bolało ją także to, że własny syn nie chciał mieć z nią nic do czynienia. Poza tym, była na tyle bystra, by rozumieć, iż jej syn ponad miłość do matki stawia to dziewczę o ciełym spojrzeniu, z którym spędzał ostatnią noc.

Jednak teraz, kiedy jej syn rozpoczął wielką walkę, czyż nie powinna obserwować jej i wspierać go do samego końca? Kobiecie nawet nie przyszło do głowy, że Jasper może umrzeć, że jest poważnie chory po tym, jak jego ciało zostało zmalretowane. Bardziej ją interesowały następstwa tego wydarzenia. Fakt, że coś się stało, oraz tego reperkusje. W głębi serca czuła, że jej syn zachował się w całej sytuacji jak ciota, mimo że przecież głośno nigdy by tego nie powiedziała. Kiedy tylko Jasper stanie na nogi, potrafi się zemścić na oprawcy. Że teraz sika krwią? Wielka rzecz! W końcu dostał porządnie w kość. To przecież nie potrwa wiecznie.

Kierowca taksówki musiał otworzyć okno, ponieważ od Karen jechał odór jak z browaru. Nie obraziła się. Ona także potrzebowała świeżego powietrza.

Jasper poczuł ulgę, kiedy matka zaczęła się wreszcie zbierać do domu. Cholera go brała, kiedy na nią patrzył. Poprosił swoją siostrę, Junie, żeby zadzwoniła na telefon komórkowy Jeanette i powiedziała, co się stało. Poinstruował ją także, żeby o całym zdarzeniu ani słowem nie wspominała nikomu innemu. Zdawał sobie sprawę, że jeśli wiadomość o jego pobiciu przedostanie się do powszechnej wiadomości, wywoła wojnę na małą skalę pomiędzy stronnictwami skupiającymi się wokół niego i Jon Jona. Problem polegał na tym, że na przeciągającym się wzajemnym wyrównywaniu rachunków Jasper zupełnie nic by nie zyskał. Co gorsza, wiedział, że gdyby znalazł się w sytuacji Jon Jona, zachowałyby się tak samo. Przeżył pewien szok, kiedy w końcu sobie uświadomił, że tym razem musi skapitulować.

Leżąc w łóżku, był w istocie jedynie przerażonym chłopcem

i ta świadomość była dla niego o wiele trudniejsza do zniesienia niż cokolwiek innego.

Nawet wiadomość, że ojciec Jeanette jest Turkiem, nie zmieniła jego uczuć wobec niej i także to, samo w sobie, było dla Jaspера zaskoczeniem. Pewnie w zakamarkach umysłu podejrzewał to cały czas. Wyglądała przecież obco, zagranicznie, zdawał sobie z tego sprawę, a mimo to nie reagował, oglądał się za nią, nie zwracając uwagi na wartości, według których był wychowywany od najmłodszych lat. Jego matka kazała swoim dzieciom nienawidzić każdego, kto nie jest Anglikiem. Kazała im czuć się najbardziej wartościowymi ludźmi na ziemi, jedynie ze względu na narodowe dziedzictwo.

Teraz już nie był pewien, czy matka miała rację. Poza kilkoma kolegami w ICF, którzy mieli pracę, pozostali jego tak zwani kumple przebywali na bezrobociu, a poza tym mieszkali w dzielnicy, która bynajmniej nie sprawiała wrażenia najpiękniejszego miejsca na ziemi. Zresztą kto by chciał uczciwie pracować na utrzymanie? Hm, może Jon Jon, który, jakkolwiek by na to patrzeć, zaharowywał się, co Jasper umiał uczciwie przyznać, mimo wydarzeń ostatniej nocy. W zawodzie Jon Jona trzeba było być twardym i zdecydowanym, chociażby dlatego, żeby przetrwać.

Lecz Jasperowi wciąż zależało na Jeanette, podobnie jak Jon Jonowi — przynajmniej tyle udowodniły wydarzenia ostatniej nocy. Jasper musiał to przyznać. Czułby się tak samo, jak wczoraj Jon Jon, gdyby jego własna siostra, Junie, zadawała się z podobnym typem.

Chociaż raz w życiu Jasper Copes był skłonny zrozumieć cudzy punkt widzenia. Ta nowość wprawiała go w wielkie zaniepokojenie.

Joanie popatrzyła na swoje odbicie w sypialnianym lustrze i ze smutkiem skonstatowała, że jej najlepsze dni już dawno mięły. Poza tym miała opuchnięte i podbite oko. Nos jednak wy-

glądał zupełnie w porządku i chociaż ten fakt mógł być pierwszym pozytywnym akcentem dzisiejszego poranka.

Usłyszała, że Kira śmieje się i rozmawia w kuchni z Pauliem. Jego głęboki, dudniący głos wyraźnie przenikał przez ściany. Paulie śmiał się razem z Kirą.

Joanie leżała w łóżku, pragnąc, aby ta chwila nigdy się nie skończyła. Żałowała jedynie, że w sypialni jest taki bałagan. Wiedziała, że mieszkanie Pauliego zawsze jest nieskazitelnie czyste i zazdrościła jego żonie, że może wydawać pieniądze na sprzątaczkę, a nawet na ogrodnika. Najbardziej zazdrościła jej własnego ogrodu, luksusu zupełnie obcego dzieciom Joanie.

Do sypialni wszedł Jon Jon, z kubkiem mocnej słodkiej herbaty i dwiema tabletkami paracetamolu. Joanie uśmiechnęła się do niego z podziękowaniem i pozwoliła mu uważnie obejrzeć swoją twarz.

— Co za kawał gówna z tego faceta! Ale jestem pewien, że w przyszłości dwa razy pomyśli, zanim jeszcze raz podniesie rękę na kobietę.

Joanie delikatnie uścisnęła rękę syna.

— Jesteś dobrym chłopcem, Jon Jon.

Bo był dla niej dobrym chłopcem. Kochał ją, a ona czuła tę miłość, tak jak i on czuł jej miłość przez całe życie. Ta właśnie miłość dawała mu pewność siebie, która pozwalała mu codziennie wstawać z łóżka. Przysiadł na skraju łóżka i westchnął.

— Paulie poszalał w kuchni. Jak za dawnych dobrych czasów, co?

Joanie radośnie przytaknęła, a Jon Jon czule się do niej uśmiechnął.

— Czy nie masz nic przeciwko temu, że zacząłem dla niego pracować?

Teraz to matka się odwzajemniła uśmiechem.

— Oczywiście, że nie. Przynajmniej będzie nad tobą czuwał. Jeśli chcesz zarabiać pieniądze, wykorzystując do tego ulicę, synu, lepiej pilnuj, żeby ktoś pilnował twojego tyłka. Szczerze mówiąc, Jon Jon, jestem z tego bardzo zadowolona.

Wreszcie Joanie będzie mogła trochę mniej martwić się o syna; oboje zdawali sobie z tego sprawę. Dziwne, ale matka i syn miewali tyle wspólnych, a niewypowiedzianych myśli, że czasami ich to onieśmiało. Niekiedy jednak musieli rozmawiać o najtrudniejszych sprawach. Zawsze rozwiązywali je w zgodzie.

Lecz nie wtedy, gdy w mieszkaniu przebywał Paulie. Potrzebowali całkowitego skoncentrowania się jedynie na rozmowie.

Ale Jon Jon wiedział, że powinien w miarę szybko ostrzec matkę przed tym, co może nastąpić w najbliższym czasie. Był zaskoczony, że do tej pory do drzwi mieszkania nie zapukała jeszcze policja. Jasper był przecież obmierzłym gnojem, a tacy szybko łapali za słuchawkę telefonu i dzwonili do gliniarzy.

Ale Joanie wyglądała w tej chwili na taką szczęśliwą, że nie miał serca, by jej obecne szczęście rujnować. Uśmiechnął się więc, prowadził beztroską rozmowę i czekał na nieuchronne pukanie do drzwi. Nie uciekał, ponieważ wiedział, że jeśli Jasper sypnął, nie ma po prostu dokąd uciekać. Oczyma wyobraźni widział Pauliego, jak poprzedniego wieczoru rozprawiał się z dłużnikiem. Kiedy Jon Jon dawał w kość McArthurowi, miał nadzieję, że jego nowy pracodawca okaże się na tyle wpływo- wy, żeby sprawie ukręcić łeb. Ale Jasper — to było coś zupełnie innego.

Zaniósł do sypialni Jeanette kubek z herbatą i wcale się nie zdziwił, kiedy jej sypialnia okazała się pusta. Po raz pierwszy w życiu był autentycznie przerażony tym, w co jego siostra mogła się wplątać.

Jak Jasper, nie chciał, żeby jego siostra popełniła życiową pomyłkę.

Kira poszła do szkoły pełna jajek na bekonie i dobrego humoru. Jej twarzyczka lśniła szczęściem.

Tommy obserwował ją ze swojego balkonu; radośnie poma- chała mu rączką.

Zdał sobie sprawę, że ją kocha. Patrzenie na nią było dla nie-

go jak narkotyk. Im więcej przebywał w jej towarzystwie, tym bardziej samotny czuł się, kiedy nie było jej w pobliżu.

Spoglądał za nią, dopóki nie znikła mu z oczu. Wtedy westchnął i wrócił do mieszkania, aby przeczekać cały dzień do chwili, kiedy znów będzie mógł ją zobaczyć i z nią rozmawiać.

Zerknął na jej fotografię stojącą na parapecie w kuchni. Kira śmiała się, a zdjęcie było naprawdę urocze. Wziąwszy fotografię do ręki, grubym paluchem czule pogłaskał dziewczynkę po twarzy.

Jego ojciec popatrzył na niego, ale nie powiedział ani słowa.

Podczas wspólnej przejażdżki po salonach masażu Paulie wyjaśnił, czego oczekuje po Jon Jonie. Obecnym numerem pierwszym Pauliego, Earlem Jonesem, należy porządnie wstrząsnąć. Z zachowaniem pewnego taktu, oczywiście. Paulie powiedział, że chce, aby Earl przyjął szersze obowiązki i nauczył się znacznie więcej, jeśli chodzi o pracę w tym interesie; tak przynajmniej miał to zrozumieć Earl. W rzeczywistości Paulie potrzebował go jedynie jako goryla i nic więcej. Earl był wspaniałym kumplem, ale nie należał do najbardziej inteligentnych osobników. Utrzymywał się w pracy jedynie dzięki swej lojalności wobec Pauliego. Jon Jon jako jego zastępca zapowiadał się o wiele bardziej interesująco. Dysponował wrodzonym sprytem i potrafił liczyć. Tego, że od zawsze lubił chłopaka, Paulie sam przed sobą nie chciał przyznać. Jeśli coś analizowało się zbyt szczegółowo, za mocno tkwiło to później w głowie. Paulie już bardzo dawno nauczył się tej lekcji.

— Musisz się nauczyć, jaka jest lokalizacja salonów masażu i ściągać z nich dla mnie pieniądze, kiedy tylko wydam ci takie polecenie. Nigdy nie stosuję w tej sprawie rozwiązań rutynowych; gdy człowiek wpada w rutynę, jest skończony. Pamiętaj o tym, Jon Jon. Pamiętaj, że nawet jako mój windyktor wciąż będziesz zagrożony przez małe gangi, którym marzą się łatwe pieniądze, dlatego — żeby nie zostać zaskoczonym przez kra-

dzień ze strony gówniarzy, którzy marzą jedynie o forsie na lody — nigdy nikomu nie zdradzaj szczegółów na temat tego, co robisz. Jasne?

Jon Jon pokiwał głową, jednak w gruncie rzeczy miał te ostrzeżenie w głęboko w dupie, jak zauważył Paulie. Dorzucił więc ze złością:

— Nudzę cię, kurwa, czy co? Przekazuję ci właśnie ważną wiedzę, wynikającą z mojej zawodowej mądrości i doświadczenia, a ty sobie siedzisz, ot tak, jak ostatnie dzieło wypychacza zwierząt.

Jon Jon otarł dłonią twarz.

— Ostatniej nocy prawie kogoś zabiłem — powiedział niespodziewanie.

Paulie roześmiał się.

— Nie martw się, Jon Jon. McArthur przeżyje, chociaż nikomu na tym nie zależy.

Jon Jon westchnął, po czym zapalił czerwonego marlboro i opowiedział szefowi historię Jeanette i Jaspera.

Paulie przez chwilę w milczeniu prowadził samochód, po czym odezwał się poważnym głosem:

— W twoim wieku postąpiłbym w tej sytuacji tak samo. Kurwa, wciąż jesteś narwańcem. Zanim coś w tej sprawie zaplanujemy, najlepiej poczekajmy, co się wydarzy. Chyba nie będzie na tyle głupi, żeby iść z tym do gliniarzy, co? Nie taki chłopak jak on?

Ostatnie słowa wypowiedział z drwiną w głosie, w głębi ducha zastanawiał się jednak, czy Jasper na pewno nie zgłosi się na policję. Jeżeli wciąż pragnął Jeanette, pewnie właśnie w ten sposób chciałby usunąć jej brata ze swojej drogi. Problemy osobiste często powodowały w ich towarzystwie największe kłopoty. Wielu dobrych ludzi wypadało z gry nawet z powodu własnych matek, które na swój naiwny sposób chciały przecież dla nich jak najlepiej.

*

Joanie od dawna nie czuła się tak szczęśliwa. Kiedy Paulie oświadczył jej, że odtąd będzie w pełnym wymiarze pracowała w jednym z salonów masażu, przyjęła, iż nadal będzie nadstawiać tyłek klientom. Okazało się jednak, że dzięki błyskawicznemu awansowi syna obejmie stanowisko recepcjonistki. Miała wkrótce kierować jednym z salonów, po krótkim przeszkoleniu u dziewczyny, znanej jako Leniwa Caroline.

Paulie zdawał się bardzo łagodny, kiedy wyjaśniał jej nową rolę, a Joanie znów poczuła, jak przeszywa ją dreszcz nadziei. Gdyby bardzo się postarała, może znów będzie z nim tak samo jak kiedyś? W każdym razie, cokolwiek się stanie, poprowadzi jego interes na takim poziomie, na jakim jeszcze nigdy nie funkcjonował. To była jej szansa, prawdziwy szczęśliwy los na loterii, i nie zamierzała tego zmarnować. Popijając herbatę, odnosiła wrażenie, że ze szczęścia za chwilę eksploduje.

Dziś rano zamierzała przede wszystkim zająć się swoją fryzurą, zrobić pasemka oraz pomalować paznokcie. Może nawet kupić sobie jakiś nowy ciuch z okazji objęcia nowego stanowiska, recepcjonistki-menedżerki w salonie masażu? Wciąż się jej zdawało, że śni.

Oko nie wyglądało już tak źle, bywało gorzej, a przecież na jakiś czas mogła skryć opuchliznę pod ciemnymi okularami i grubym makijażem. Gdy tylko ułoży sobie włosy, wszystko będzie wyglądało doskonale.

Usłyszawszy pukanie do drzwi, założyła, że to Monika. Kiedy je otworzyła, z ogromnym zaskoczeniem zobaczyła Jeanette.

— Do cholery, gdzie byłaś przez całą noc? Znowu dzwonili do mnie ze szkoły... — Nagle zauważyła na twarzy córki coś, co nakazało jej zadać głośno pytanie: — Co? Co się stało? Coś stało się z Kirą?

Jeanette była zdenerwowana i objawiło to się w jej głosie, kiedy warknęła:

— Nie, wcale nie chodzi o twoją zasraną, bezcenną Kirę!

Po wejściu do środka szybko opowiedziała matce całą historię.

Jasper Copes? Ze wszystkich ludzi na ziemi jej córka musiała związać się akurat z Jasperem, miejscowym chuliganem i rasistą?

Naprawdę, było to śmiechu warte i Joanie roześmiałyby się, ale wcale nie było jej wesoło.

Jasper czujnie spoglądał na dwóch policjantów.

— Nie wiem, o co wam chodzi. Ktoś mnie zniecka napadł.

Starszy z dwóch detektywów ciężko westchnął.

— A czy ten napastnik miał przypadkiem białą laskę i psa u nogi? I ze względu na ślepotę zapomniał zabrać ci portfel, klucze, kosztowności i narkotyki?

Jasper wzruszył ramionami.

Policjant stanął bliżej łóżka i pochylił się. Świadomy, że znajduje się w wieloosobowej sali szpitalnej, zaczął teraz szeptać:

— Nie uważaj mnie za pizdę, Jasper. Twoja matka opowiedziała mi już kilka szczegółów.

Jasper spróbował się uśmiechnąć.

— Czy, jak zwykle, była nawalona? — Roześmiał się głośno. Śmiech sprawił mu wyraźnie widoczny ból. — Przez połowę czasu nie wie nawet, jaki jest dzień tygodnia, a przez drugą połowę nie pamięta swojego własnego pierdolonego nazwiska. A ja wam teraz mówię, że zniecka na mnie napadnięto. Mam to powtórzyć? Ktoś usiłował mnie okraść. Czy teraz zostawicie mnie już w spokoju?

— A więc sam masz zamiar się z tym uporać? Czy może się mylę?

Pytanie zostało wypowiedziane szyderczym tonem i chłopak leżący w szpitalnym łóżku nie pozostał na szyderstwo dłużny. Jasper kiwnął palcem i policjant pochylił się nad nim jeszcze bardziej. Jego twarz nagle ożyła nadzieją i zainteresowaniem.

— Odpierdol się ode mnie, gliniarzu — powiedział Jasper.

Funkcjonariusz ze smutkiem pokiwał głową. Kiedy znów się odezwał, w jego głosie słyhać było rezygnację:

— Wiesz co? Ty już się nigdy niczego nie nauczysz. Nastę-

nym razem on cię zabije, ale będzie miał mnóstwo świadków, że w czasie morderstwa przebywał zupełnie gdzieś indziej. Zabije cię i wiesz co? Nie kiwnę nawet palcem, żeby go złapać. Nie warto ci pomagać, zasługujesz na wszystko, co ci się przydarzy. A znając Jon Jona Brewera, mogę ci powiedzieć, że jeszcze wiele przecierpisz.

Policjanci natychmiast wyszli z sali, ale ostatnie słowa z nim pozostały. Mimo to nie zamierzał nikogo sprzedawać glinom; nie leżało to w jego naturze. Zresztą, gdyby chociaż spróbował to zrobić, nie przetrwałby na ulicy nawet pięciu minut. Teraz chciał tylko wyjść stąd do domu. Jednak wciąż bolało go poobijane ciało, a poza tym w szpitalu czuł się mimo wszystko bezpiecznie.

Jasper Copes doskonale wiedział, że sam sobie zgotował koszmarną sytuację, w jakiej się znalazł.

Kira wyszła ze szkoły w porze lunchu. Szła sama w kierunku sklepu z chipsami. Niespodziewanie, przechodząc przez ruchliwą jezdnię, zobaczyła Jeanette i pomachała do niej. Siostra zignorowała ją kompletnie, a może jej nie zauważyła? Podłamana Kira z ponurą miną kontynuowała spacer do sklepiku, jednak po chwili i dla niej tego dnia zaświeciło słońce.

Nagle ujrzała Tommy'ego, który rozkołysanym krokiem szedł w jej kierunku. Szeroki, powitalny uśmiech chłopaka sprawił, że natychmiast zapomniała o pogardzie, z jaką potraktowała ją siostra. Dziewczynce przyszło do głowy, że przecież już od pewnego czasu spotyka Tommy'ego w porze lunchu i niecierpliwie oczekuje tych spotkań. Bethany zostawała wtedy zazwyczaj na szkolnym boisku, żeby skakać na skakance, Kira jednak bała się uczestniczyć w zabawie. Wiedziała, że mama się o nią martwi, zresztą Joanie wyjaśniła jej, że jest o nią spokojna tylko wtedy, kiedy przebywa na lekcjach, bo przynajmniej wie, co robi. Powiedziała to w taki sposób, że dziecko po zakończeniu lekcji szybko wracało do domu, nie chcąc sprawiać mamie przykrości. W efekcie Kira po szkole często była pozostawiana sama sobie.

Dzisiaj jednak uśmiechnęło się do niej szczęście. Nie tylko dlatego, że spotkała Tommy'ego, ale także z tego powodu, że w sklepie zobaczyła Bethany. Jej przyjaciółka wybiegła ze zmartwioną miną.

— Słyszałaś już?

Kira potrząsnęła przecząco głową.

— A o czym?

— O Jon Jonie.

— O Jon Jonie? Co takiego?

Kira zaniepokoiła się. Kiedy Bethany opowiadała jej kolejną wersję wydarzeń poprzedniej nocy, Tommy szybko się pożegnał. Nie, nie cierpiał Bethany. Już ją trochę znał, a Kirę chciał mieć tylko dla siebie. Tylko ona i on. Nie znosił, gdy przy nich były jeszcze inne osoby. Spotkanie Bethany tak go rozczarowało, że nawet nie nadstawił uszu, żeby posłuchać opowieści na temat Jon Jona.

Czekając na brata, Jeanette sprawiała wrażenie zagubionej. Długie włosy miała w nieładzie, nieuczesane, i nie nałożyła na twarz żadnego makijażu. Nie miałoby to i tak sensu, ponieważ co chwilę płakała. Matce potrzeba było całych dziesięciu minut, zanim namówiła Jon Jona, żeby się z nią spotkał. Dziewczyna siedziała teraz w McDonalddie, położonym najbliżej mieszkania, zdenerwowana i roztrzęsiona. Całe szczęście, że personel był już przyzwyczajony do klientek zachowujących się podobnie jak ona. Ta konkretna restauracja była też punktem spotkań różnych młodych ludzi, mających na bakier z prawem. Załatwiano tutaj więcej interesów niż w centrum Londynu, odległym o niecałe dziesięć minut spaceru.

Kiedy Jeanette wyjrzała przez okno na parking, dostrzegła wszystko, co się działo za szybą. Widziała, jak małe paczuszki i zwinięte w rulony dziesięciofuntowe banknoty w niebywałym tempie zmieniają właścicieli. Znała większość tutejszych dealerów i ich klientów. Od czasu do czasu na parking podjeżdżało

eleganckie bmw albo zx i po chwili kieszenie dealerów wypełniały się następnymi plastikowymi torebkami, pełnymi heroiny lub kokainy.

Jeśli ktoś potrzebował trawki albo czegoś trochę twardszego, sprawę załatwiał na rogu ulicy. Zalegalizowanie słabych narkotyków jedynie ułatwiło pracę dealerom. Nie musieli odbywać dalekich podróży, żeby zabierać się do pracy. Po prostu wałęsali się po ulicach, skorzy do żartów i, jak to mawiał Jon Jon, „przystępni”.

Była zaskoczona, kiedy go zobaczyła, podjeżdżającego samochodem razem z Earlem, numerem drugim u Pauliego. Skoro Jon Jon poruszał się z żołnierzem, musiał obawiać się odwetu. Jednak kogo bał się bardziej? Jaspera i jego kumpli czy policji?

Jeanette westchnęła. Gdybania nie miały sensu. Przecież i tak wkrótce dowie się, o jaką stawkę gra Jon Jon.

Earl miał nieprzyjemną przeprawę z Pauliem, ale w sumie był dość zadowolony z nowych obowiązków. W głębi duszy przyznawał przed sobą, że poprzednie zadania czasami go przerastały. Był doskonały w ściąganiu pieniędzy, jednak znacznie gorzej wychodziło mu ich liczenie. Jeżeli znajdował się w trakcie takiej pracy i akurat w zasięgu wzroku pojawiała się jakaś kurewka albo odzywał się telefon komórkowy, natychmiast się dekoncentrował i musiał wszystko zaczynać od nowa. Zabierało mu to mnóstwo czasu i było bardzo nużące.

Teraz miał opiekować się Cudownym Chłopcem, jak na własny użytek nazywał Jon Jona. Słyszał o jego wyczynach ostatniej nocy i niechętnie go za nie podziwiał. Gówniarz miał przecież dopiero siedemnaście lat, a już był niezłym twardzielem. Cóż, Paulie umiał dobierać sobie ludzi. Czy to nie on osobiście zwerbował Earla? Poza tym Earl lubił Jon Jona. Earl był czarny, zresztą podobnie jak jego rodzice. A Jon Jon, chociaż mieszaniec, był dobrym chłopakiem.

Był także kumplem Sippy'ego i chociażby to gwarantowało mu wstęp do towarzystwa, jakie tylko by wybrał. Sippy — kuzyn

Earla — był mu bardzo bliski. Powiedział Earlowi, żeby uważał na Jon Jona, który zrobi się bardzo ważny w okolicy, zanim minie rok. Ta przepowiednia już się niemal sprawdzała.

Ochroniarz puścił oko do Jon Jona, kiedy przekraczali próg McDonalda. Jon Jon był zadowolony. Początkowo obawiał się, jak Earl na niego zareaguje, kiedy się dowie, że uzyskał pozycję numer jeden, ten przyjął to jednak nadspodziewanie dobrze.

Teraz musiał skoncentrować całą energię na swojej siostrze, która, cała we łzach, wyglądała tak młodo i tak ślicznie, że poczuł nagłą ochotę, by jeszcze raz sprawić Jasperowi Copesowi solidne lanie.

Karen Copes była tak pijana, że nie potrafiła pojąć, co się do niej mówi. Uśmiechała się jedynie, kiwała głową i zastanawiała się, kiedy ci cholerni policjanci wreszcie wyjdą z jej domu.

Cały trud rozmowy wzięła więc na siebie, jak zwykle, jej córka, Junie. Jasper doskonale ją wyszkolił i świetnie wiedziała, co powinna mówić i w jaki sposób.

Policjanci, ani trochę mądrzejsi, wreszcie sobie poszli. Byli sfrustrowani, ponieważ doskonale wiedzieli, co się stało, jednak nie zdołali niczego udowodnić. Nie mieli też nic na Jaspера, który w gruncie rzeczy był tylko kolejnym drobnym chuliganem, którego chcieli wyeliminować z ulicy. Tymczasem Jasper mógł pograć Jon Jona Brewera, na którym zależało im znacznie bardziej, lecz nie zanosilo się, aby to tym razem nastąpiło.

Cholera, Jon Jon wychodził z gorszych tarapatów niż pieprzony X Men i był nieuchwytnym małym gnojkiem. Ale oni poczekają. Poczekają, uważnie nasłuchując, co w trawie piszczy.

W końcu go dopadną.

Joseph Thompson wprost nie mógł się doczekać tego, co miał mu przynieść dzisiejszy dzień. Parkując samochód przed domem swojej przyjaciółki, Delli, zobaczył ją, jak macha do niego

z ogrodu. Miał nadzieję, że zaprosi go do środka na lunch. Kiedy wszedł do domu, nastawiła wodę w czajniku i rozpakowując zakupy, zaczęła coś wesoło opowiadać. Joseph Thompson uwielbiał przebywać u niej. Było tutaj jasno, słonecznie i panowała przyjazna atmosfera.

Della niedawno przekroczyła pięćdziesiątkę, była pulchna i miała duże piersi. Jej siwiejące włosy zawsze były krótko ścięte. Bardzo lubiła chodzić po domu w długich spodniach do biegania i sportowych koszulkach. Była jednak zawsze uśmiechnięta i — kiedy się z nim spotykała — zawsze bardzo zadowolona.

— Zastanawiałeś się nad tym, o czym ostatnio rozmawialiśmy, Joe?

Wpatrywała się w niego pytającym wzrokiem. Wiedział już, że o poważnych sprawach powinien rozmawiać z nią zupełnie szczerze, bez owijania w bawelnę. Uśmiechnął się więc szeroko i z nadzieją, że gdy usłyszy to, co ma jej do powiedzenia, nie będzie na razie drażyła tematu.

— To ciężka sprawa, Dello. Wiesz, co mam z Tommym. Westchnęła.

— Wiem i rozumiem, oczywiście, że rozumiem. Ale z tego, co słyszałam, chłopak dałby sobie radę, żyjąc samodzielnie.

Joseph zmarszczył czoło.

— A co słyszałaś?

Uchwyciła w jego głosie z trudem wyczuwalne zniecierpliwienie. Wiedziała, że Joseph jest bardzo wrażliwy na punkcie syna i zdawało się jej, że rozumie, dlaczego. Joseph nie miał pojęcia, ale widziała już Tommy'ego. Jej przyjaciółka do bingo pokazała jej go w jakimś sklepie. Mieszkała w tej samej okolicy i już wcześniej opowiedziała Delli, że wszyscy tam lubią Tommy'ego, albo „Małego” Tommy'ego, jak go nazywają. Kiedy jednak zobaczyła go na własne oczy, lepiej zrozumiała uczucia Josepha. Jego syn był okrutnie otyły. Odniosła wrażenie, że dla mężczyzny o temperamencie Josepha wspólne mieszkanie z kimś tak dalece odbiegającym od doskonałości musi być bardzo ciężkim doświadczeniem.

O swoim chłopaku mówił bardzo niewiele, przez długi czas w ogóle unikał wszelkiej rozmowy na ten temat. Chociażby to świadczyło o jego uczuciach. Do Delli dotarły także pogłoski, że Joseph nie jest dla syna zbyt miły, ale nie chciała w nie wierzyć. Przecież był tak serdeczny dla niej i dla jej dzieci, bawił się nawet z jej wnuczkami. Mawiał, że to bardzo miło być częścią prawdziwej rodziny, a Della doskonale rozumiała, co on ma na myśli.

— Nie słyszałam niczego konkretnego — odpowiedziała mu teraz. — Ty stary głuptasie! Chodzi mi o to, że doskonale jest mu tam, gdzie mieszka z tobą, nic więcej.

Joseph wyraźnie się uspokoił.

— Sam nie wiem, Dello. Po prostu czuję, że nie mogę go zostawić samego.

Della uśmiechnęła się czule.

— Cóż, moja oferta jest aktualna. Kiedy tylko poczujesz się gotów...

Natychmiast zmieniła temat. Nie zamierzała teraz wkraczać głębiej w rozmowę, w której mogła się nagle pojawić prośba Josepha, aby i jego syn dziwoląg zamieszkał w jej domu. Nie mogła doprowadzić do tego, że sama za chwilę musiałaby mu wyjaśniać, dlaczego nigdy do tego nie dopuści. Della wcale nie była taka słodka i miła, jak powszechnie uważano. Potrafiła się kłócić i stawiać na swoim, kiedy było trzeba. Jej zmarły mąż szybko się o tym przekonał i równie szybko i potulnie się dostosował do jej charakteru. Była pewna, że Joseph Thompson zareaguje tak samo.

Należy zaczynać od rzeczy najważniejszych, uważała. Joseph najpierw musiał się u niej dobrze zadomowić.

Uśmiechnęła się i powiedziała:

— Co powiesz o wielkiej jajecznicy na bekonie?

Joseph wyszczerzył zęby.

— Brzmi wspaniale.

Della otworzyła drzwi lodówki, po czym wyciągnęła z niej kilka talerzy oraz tacek owiniętych w folię.

— Wczoraj ugotowałam dodatkowo trochę kapusty z tłuczo-

nymi ziemniakami. Myślę, że będzie pasowała jako przystawka do jajecznicy, co?

Wyciągnęła także pomidory, grzyby i kielbaski. Doskonale wiedziała, jak postępować z mężczyznami. Poza tym była fantastyczną kucharką, wspaniałą gospodynią domową. Była też pełna wigoru i przecież niebrzydka.

Joseph wiedział, że przed nim są trudne dni. Coraz intensywniej zastanawiał się, w jaki sposób przekazać Tommy'emu złą wiadomość.

Jasper czuł się lepiej, jednak w rozmowę ze swoim kumplem, Dessiem, nie wkładał ani odrobiny serca.

Patrzył na kolegę, jakby widział go po raz pierwszy w życiu. Był świadom, że pielęgniarki z kolei natarczywie się przyglądają jego tatuażom. Na karku chłopaka wypisano słowa „tutaj ciąć”, a wyraźna niebieska kreska oznaczała linię, w której należy ściąć jego głowę. Pewnego dnia ktoś to kiedyś zrobi; Jasper poczuł się strasznie zmęczony, kiedy ta myśl po raz już nie wiadomo który przysłała mu do głowy. Czarnoskóra pielęgniarka z szerokim uśmiechem na ustach podeszła lekkim krokiem do jego łóżka, jednak wystarczyło jedno spojrzenie w zimne, pełne nienawiści oczy Dessiego i natychmiast się wycofała. Jasper znów poczuł zakłopotanie. Cholera, w ostatnich dniach zaczynało mu to wchodzić w krew. Był tutaj gwiazdą, wszyscy się nim opiekowali. Wyczuwszy strach chłopaka, kobieta zajęła się czymś innym, byle daleko od jego łóżka. Znów odczuwał bóle, którym zastrzyk, jaki właśnie zamierzała mu zaaplikować, z pewnością by ulżył. Straszliwie pragnął, żeby Dessie sobie poszedł, ale — oczywiście — za nic w świecie głośno by tego nie powiedział.

— Potrzebujesz jej, co?

— To przecież tylko pieprzona pielęgniarka i rzeczywiście, bardzo jej teraz potrzebuję.

Dessie pokiwał głową, mimo że wyznanie Jaspера nie ucieszyło go. Było to zresztą po nim widać. Coś tu nie grało, czuł to.

Czekał, aż Jasper opowie mu przebieg całego napadu, ale kumpel najwyraźniej unikał tego tematu.

W końcu Dessie wyzbył się całego współczucia dla cierpiącego i wypalił z agresją w głosie:

— Posłuchaj, Jasper, nie mam zamiaru spieprzyć tu sobie całego dnia. Co się stało? Twoja matka twierdzi, że to sprawka pierdolonego Jon Jona.

Mówiąc, patrzył badawczo na Jaspiera, jednak po twarzy chorego nie przebiegł żaden cień, który mógłby zdradzić jakąkolwiek wskazówkę.

— Bzdury.

— Twoja mamusia twierdzi coś innego.

— A ty za kogo ją uważasz? Ni z tego, ni z owego za Panią Prawdomówną? Tylko mi nie mów, że akurat jest trzeźwa. Wyrzucili ją nawet stąd. Ona nienawidzi biednej Jeanette i nie pragnie niczego innego, jak tylko tego, żebym wyrzucił ją za drzwi. Pomyśl tylko, kurwa!

Jego głos był tak przekonujący, że Dessie odczuł ulgę. Mimo całej swojej buńczuczności wcale nie miał ochoty na konfrontacje tam, gdzie ich można uniknąć. Jon Jon był anomalią. Początkowo wszyscy go lubili, jednak teraz każdy unikał chłopaka jak ognia. Był nieobliczalny. Na przykład, jak postąpił z Cartym.

— Czy to były czarnuchy?

Jasper potrząsnął przecząco głową.

— Nie. Skinheady, jak ty.

Dessie zmarszczył czoło. Na jego wielkiej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia.

— Chcesz powiedzieć, że ktoś z nas?

— Nie, Dessie. Chcę powiedzieć, że po prostu byli podobni do ciebie. Dobrze zbudowani, prymitywni i odważni, bo mieli dużą przewagę liczebną.

Dessie zrobił obrażoną minę. Nie pierwszy raz ktoś mu sugerował, że nie jest najodważniejszym facetem, kiedy musi działać w pojedynkę. Właściwie walczył tylko w grupie.

— Miły jesteś, wiesz?

Jasper uśmiechnął się.

— Nie bądź taki obraźliwy. Wszyscy wiemy, jak szybko zwijasz żagle, kiedy przeciwnik ma przewagę.

Dessie roześmiał się, ale wcale nie było mu do śmiechu. Prawda go bolała. I on, i Jasper rozumieli, że ostatnie słowa wytworzyły pomiędzy nimi głęboką przepaść.

— Jak więc myślisz, skąd byli?

Często bili się z innymi skinheadami, bo taką mieli naturę.

Jasper wzruszył ramionami.

— Cholera wie. Nie przedstawili mi się.

Jasper odrobinę się rozluźnił. Dessie uwierzył mu i przekonał innych. Skoro zaczął kłamstwo, musiał już w nie brnąć. Miał nadzieję, że Jeanette pójdzie to równie dobrze jak jemu.

Lubił ją, a w gruncie rzeczy kochał, ale nie zamierzał nigdy powiedzieć tego głośno, oczywiście. Był na to zbyt dumny.

— Proszę, Jon Jon.

Pił kawę i uważnie wpatrywał się w twarz siostry. Była śliczna i pełna bólu, ponieważ oszalała na punkcie pierdolonego łobuza, który w soboty robił zadymy na meczach piłkarskich, a resztę czasu marnował na wywrzaskiwanie bezsensownych haseł, że Wielka Brytania ma pozostać ojczyzną jedynie dla białych.

Jakim cudem to się przytrafiło właśnie Jeanette?

W końcu byli przecież rodziną wielorasową. Te długie, ciemne włosy dał jej jakiś turecki dupek, którego ich matka przygarnęła kiedyś pod dach. Opuścił ich po pięciu miesiącach, które spędził przyssany do telewizora, wideo i torebki Joanie. Prezentem, jaki pozostawił na pożegnanie, był rosnący brzuch kobiety.

Jeanette miała w gruncie rzeczy białą skórę, ale — jeśli się dokładnie przyjrzało — można było zauważyć ślady tureckiego pochodzenia. To one przydawały niezwykłości jej urodzie. Jej nieprawdopodobnie śliczne oczy miały kolor gałązek leszczyny, były zielonobrazowe. Miała od urodzenia ciemne włosy jak Joanie, która jednak bezustannie jej rozjaśniała, chcąc być blon-

dynką. Jeanette szła w ślady matki, ale nie rozjaśniała włosów aż tak mocno, a jedynie na tyle, by złagodzić ostre rysy.

Jon Jon przetarł dłonią twarz. Był strasznie zmęczony.

Jeanette spróbowała jeszcze raz.

— Jasper niczego nie powiedział gliniarzom. Wszystkim innym mówi, że napadła go banda skinów, rywalizująca z jego grupą. Nie wsypał cię.

Jon Jon wciąż milczał.

— A ci „wszyscy inni” to przecież także skini, jego kumple — dodała.

— Nawet jeśli w to uwierzę i tak musisz przestać się z nim spotykać, chyba rozumiesz?

Jeanette pokiwała tylko głową i wbiła wzrok w stół. Jon Jon nie mógł popatrzeć siostrze w oczy, ale o to jej chodziło.

Odezwał się jeszcze raz, delikatnie, choć z naciskiem:

— Ja nie żartuję, Jeanette. I nie próbuj mnie przekonywać, żebym zmienił zdanie. Powiedziałem stop, koniec i to raz na zawsze. Albo go, kurwa, zabiję i uczynię to naprawdę z uśmiechem na ustach.

Dziewczyna znów pokiwała głową. Była bardzo bliska łez, kiedy cicho mówiła:

— Pozwól mi wszystko przemyśleć, dobrze?

Otarła oczy. W sumie uzyskała więcej, niż się spodziewała.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Joanie doskonale wyglądała i doskonale się czuła.

Włosy miała ułożone perfekcyjnie, przeplatane pasemkami, a jej makijaż był ze smakiem stonowany, wcale nie krzykliwy — dzieło pewnej ślicznej dziewczyny z Debenham's Lakeside. Ubrana była w szytą na miarę, czarną kamizelkę, a pod spodem miała białą koszulę. Wyglądała seksownie, ale zarazem inteligentnie, jak prawdziwa kobieta interesów. Długie paznokcie były starannie polakierowane, a buty wysokie i otwarte z przodu, dzięki czemu nie uwierały w palce.

Popatrzyła w lustro i ogromnie ją zaskoczyła własna przemiana. Wyglądała jak kobieta, która właśnie wychodzi do pracy, do prawdziwej pracy. A myśl, że już więcej nie będzie nadstawiała tyłka, żeby zarobić na życie, czyniła ją szczęśliwszą, niż jeszcze wczoraj mogło by to zdawać się prawdopodobne.

Pełne podziwu spojrzenie, które rzucił jej Jon Jon, kiedy weszła do jego pokoju, podziałało kojąco na jej duszę.

— Wyglądasz wspaniale, mamo!

Joanie uściskała go. Jej syn był przystojnym mężczyzną. Pasowały do niego nawet grube dredy. Miał ostrą twarz, która nadawała mu aurę artysty i człowieka inteligentnego. A przecież to prawda. Jon Jon był wyjątkowo bystrym chłopcem. Nauczyciele, kiedy jeszcze uważał za wskazane chodzić do szkoły, zawsze wymagali od niego znacznie więcej niż od innych dzieci. I potrafił wtedy sprostać tym oczekiwaniom. Wciąż był inteligentny i pracowity, jednak swoją energię poświęcał już prawie wyłącznie na nielegalne poczynania.

Joanie odepchnęła od siebie ostatnią myśl. W końcu to był

dobry dzień i nie zamierzała dopuścić, żeby ktokolwiek albo cokolwiek go popsuło.

— Czuję się, jakbym rozpoczynała nowe życie, i to dzięki tobie, Jon Jon.

Chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Nie, to nie dzięki mnie, mamó. Po prostu potrzebowałam jakiegoś nadzwyczajnego wydarzenia, żeby wreszcie załapać właściwą pracę. Paulie mówi, że wkrótce może dostaniesz zupełnie legalną pracę.

Joanie jeszcze raz się uśmiechnęła.

— Ja i legalna praca? Szkoda, że nie wiem, gdzie jest teraz moja matka. Chyba umarłaby ze śmiechu, gdyby się o tym dowiedziała.

Oboje roześmieli się.

— O ile ją znam, spotkałabyś ją tak pijaną, że w ogóle nie wiedziałyby, co do niej mówisz.

Joanie pokiwała głową, zgadzając się z synem.

— Kira się spóźnia.

Oboje automatycznie popatrzyli na zegar wiszący na jednej ze ścian; jego tarcza ozdobiona była okropną, lśniąca fotografią Tadź Mahal. Kira kupiła go kiedyś na Boże Narodzenie. Nikt nie miał serca, żeby jej powiedzieć, co naprawdę myśli o tym przedmiocie i tylko dlatego wciąż wisiał na ścianie.

Każdy, kto wchodził do pokoju, niemal automatycznie kierował oczy na zegar. Teraz oboje, matka i syn, wpatrywali się w niego, a na ich twarze wypełził cień zaniepokojenia. Zbliżała się już siedemnasta i Kira powinna być w domu od dobrej godziny.

— Może poszła do Tommy'ego?

— Zaraz sprawdzę, mamó. A ty zrób nam po herbatce, dobrze?

Jon Jon wyslizgnął się z mieszkania, zadowolony, że może chwilę odetchnąć. Kręciło mu się w głowie, ponieważ przez całe popołudnie palił trawkę, a wiedział, że później ma jeszcze trochę pracy, do której potrzebna mu będzie jasna głowa.

Myśli o Jasperze stawały się obsesyjne. Dotarło do niego, że niemal rozwalił mu wątrobę i skinhead wciąż leży w szpitalu

w ciężkim stanie. Zabawne: Jon Jon był gwałtowny i bezwzględny, z czego doskonale zdawał sobie sprawę, jednak pobicie Jaspiera było czymś zupełnie innym niż wszelkie bijatyki, w jakich dotąd uczestniczył. To była sprawa rodzinna, podchodził do niej emocjonalnie.

To nie to samo, co stłuczenie kogoś na kwaśne jabłko przy odbieraniu pieniędzy. O takich akcjach bardzo szybko zapomniał. Martwiło go, że troska o siostrę pozbawiła go zdolności do zimnej kalkulacji. Masakrując Jaspiera, stracił nad sobą kontrolę. I to właśnie go niepokoiło.

Kira była pijana.

Dzięki Bethany i jeszcze drugiej dziewczynce, o imieniu Alana, znajdowała się w stanie kompletnego paraliżu. Przedstawiała straszny widok. Bethany była przerażona, ponieważ to, co rozpoczęło się jako dobra zabawa, w końcu wymknęło się spod kontroli.

Wsunięcie pod kurtkę butelki bacardi, należącej do matki, początkowo było ekscytujące, wspaniałym pomysłem wydawało się też uczynienie miejscem zabawy cichego zakątka wśród parkowych krzaków. Ale bacardi i cola, smakujące słodko i łagodnie, gwałtownie spowodowały, że dziewczynkom zrobiło się niedobrze. A Kira piła przez cały czas. Teraz jednak wymiotowała gdzie popadło, a jej twarz gwałtownie zmieniała kolor, od czerwieni do śmiertelnej bieli. Słodki zapach wymiocin Kiry sprawił, że w końcu zaczęła wymiotować także Bethany, a Alana po prostu uciekła do domu.

Bethany zdawała sobie sprawę z tego, że jej matka i matka Kiry niezbyt się lubią. Wiedziała, że jej matka nie jest zadowolona z tego, że Joanie nagle zmieniła zajęcie. Nie była pewna dlaczego, wiedziała jednak, że najstarsza przyjaciółka matki nie jest już mile widziana w jej domu, a ona sama otrzymała polecenie, żeby się trzymała jak najdalej od Kiry.

A teraz narobiła sobie bigosu.

Kira leżała na plecach na trawie. Było chłodno, a mimo to czuła, że jest jej gorąco, jakby miała podwyższoną temperaturę. Gdyby tylko potrafiła skoncentrować na czymś wzrok, wszystko byłoby w porządku. Tymczasem widziała jednak Bethany w zbyt wielu egzemplarzach, co powodowało, że chciało jej się śmiać.

Bethany była za to bliska łez. Sama miała mdłości po wypiciu alkoholu i widząc, że Kira co chwilę wymiotuje czymś czarnym i gęstym, sama nie potrafiła się od tego powstrzymać. Obie dziewczynki wymiotowały więc tak długo, dopóki nie rozbolały ich gardła.

Wreszcie znalazł je pracownik parku.

Dwadzieścia minut później na miejscu zjawiała się policja. Bethany głośno rozplakała się, natomiast łyzy Kiry wywołał niepohamowany śmiech.

Stojąc obok pracownika parku, młoda policjantka potrząsnęła głową, z niedowierzaniem patrząc na to, czego była świadkiem. Kira chwilami nadal wymiotowała i ubranie miała całe ubrudzone. To, co zwróciła, lepiło się także do jej włosów i dłoni.

Policjantka wezwała ambulans.

Jon Jon jeszcze nigdy nie widział, by ktoś o rozmiarach Tommy'ego poruszał się tak szybko. Kiedy chłopak tylko usłyszał, że Kira nie wróciła ze szkoły do domu, włożył kurtkę i był gotów do wybiegnięcia na ulicę, żeby szukać dziewczynki. Oczywiście troska tego człowieka o jego małą siostrę wywarła na Jon Jonie spore wrażenie. Minęło trochę czasu, zanim przekonał się w końcu do Tommy'ego, teraz jednak widział go tak, jak postrzegala go Joanie — jako miłego i troskliwego chłopaka.

Kiedy Tommy podniósł słuchawkę telefonu i zapytał swojego ojca, czy widział Kirę, troska w jego głosie zaraziła Jon Jona. Teraz już i on zaczął się poważnie martwić. Tymczasem grubas pytał:

— Jesteś pewien, że jej nie widziałeś?

Odłożył słuchawkę dopiero wtedy, kiedy Jon Jon kazał mu, żeby się uspokoił.

— To jedyny numer, jaki znam, nie licząc waszego — powiedział Tommy. — A ona nie może być przecież daleko, prawda? Kira nie może się zgubić, przecież wie, jak wszyscy będziemy się o nią martwili.

Był bliski łez.

Jon Jon z ulgą wyszedł w końcu z jego mieszkania. Zdenerwowanie Tommy'ego zaczynało mu się gwałtownie udzielać, a wiedział, że musi pozostać spokojny. Tym niemniej, już poważnie martwił się o Kirę.

Joanie dotarła do szpitala prawie dokładnie o dwudziestej piętnaście. Bethany podała w końcu obsłudze szpitala nazwisko swoje i Kiry; Joanie przybyła na miejsce niemal jednocześnie z Moniką. Kobiety nie odezwały się do siebie ani słowem, dopóki lekarz nie wyjaśnił sytuacji.

Kira dostała lekkiego ataku epilepsji, a poza tym cierpiała na zatrucie alkoholem. Bethany właściwie nic się nie stało i mogła natychmiast iść do domu.

— Cholerna Bethany! — zawołała Joanie bez zastanowienia.

Monika jednak ani myślała winić swoją córkę za tę kompromitację, jak na własny użytek określała całą sytuację.

— Posłuchaj mnie, Joanie Brewer, twoja Kira jest wszystkiemu równie winna jak Bethany. Nikt jej nie zmuszał do picia tego paskudztwa.

Joanie ze złością potrząsnęła głową.

— Chrzań się. Wiesz doskonale, Mon, że nigdy by jej nawet nie przyszło do głowy, by pić coś takiego. To Bethany ją namówiła, ona była prowodyrem.

Monika, wciąż zazdrosna z powodu ostatniego awansu Joanie, nie była w nastroju do kłótni z niedawną przyjaciółką. Prawdę mówiąc, miała ochotę ją zabić.

— Do kurwy nędzy, za kogo ty się uważasz, cò?

Usłyszało ją wiele osób i Joanie na chwilę zamknęła oczy, na samą myśl o tym, co za chwilę się stanie.

— Łazisz tutaj, odstawiona jak stróż na wesele i jeszcze śmiesz się czepiać mojej małej Bethany. A ta twoja Kira to niby kim jest? To, że nie nadstawiasz już dupska, nie czyni cię wcale lepszą ode mnie, stara! Pamiętaj, kochanie, ja wiem o tobie wszystko!

— Wiesz dobrze, że moja Kira nigdy by czegoś takiego nie zrobiła, chyba że ktoś by ją namówił, Mon. Wiesz, jaka ona jest!

Joanie bardzo się starała, żeby powstrzymać nerwy na wodzy, ale było to bardzo trudne.

Monika oparła dłonie na obfitych biodrach i wrzasnęła:

— No, jaka? Dlaczego tego po prostu nie powiesz, Joanie? Może chodzi ci o to, że jest opóźniona w rozwoju, że jest najbardziej tępą uczennicą w całej klasie? Chcesz mi w końcu powiedzieć, że jest otepiała? Tyle, że większość ludzi już się o tym dawno przekonała!

Dostrzegła złe spojrzenie Joanie i natychmiast pożałowała swoich słów.

— Moje dziecko jest chore, Moniko. Jest zatrute alkoholem, miało pieprzony atak epilepsji. Można o Kirze wiele powiedzieć, ale na pewno nie to, że jest otepiała, jasne?

Dłoń Joanie zacisnęła się w pięść i w tej samej chwili Monika przypomniała sobie, do czego jest zdolna, kiedy naprawdę się wkurzy.

Obie kobiety obserwowała trzecia, potężnie zbudowana, o długich włosach, z dziwnie zaprojektowanymi okularami na nosie. Ubrana była w kolorowe spodnie i czarne buty. Obie zakładały, że kobieta przyszła tutaj w odwiedziny do jakiegoś pacjenta, ale wreszcie odezwała się opanowanym, profesjonalnym tonem:

— Nazywam się Tammy Jones, jestem w tym szpitalu pracownicą socjalną. Kiedy panie skończycie rozmowę, chciałabym zamienić z wami kilka słów.

Joanie i Monika popatrzyły na nią w nieskrywanym szoku.

To Jon Jon, który wyrósł przy nich jak spod ziemi, uratował sytuację. Ująwszy Monikę silnie pod ramię, wyprowadził ją

na zewnątrz, pozwalając, żeby Joanie spokojnie porozmawiała z Tammy Jones.

Monika była przerażona. Jon Jon z pewnością słyszał ostatni fragment kłótni i kobieta już żałowała tego, że się w nią w ogóle wdała. Jon Jon nie miał jednak na razie do niej głowy. Wypchnąwszy ją niezbyt delikatnie przez drzwi szpitalne, warknął:

— Spierdalaj, Monika. Zabieraj swoją Bethany do domu. Nie musiał tego powtarzać.

Jeanette skorzystała z chwili wytchnienia, żeby wysłać do Jaspera SMS-a. Od chwili incydentu z Jon Jonem wysyłali je do siebie nawzajem bardzo często i — jak to sami widzieli — ich miłość była w tej chwili o wiele mocniejsza niż kiedykolwiek. Gdy dziewczyna otrzymała od chłopca kolejną deklarację całkowitego oddania, miała wrażenie, że eksploduje ze szczęścia.

Musiał istnieć jakiś sposób... Była przekonana, że musi istnieć jakaś możliwość, żeby zbudować most i znowu być razem. Było to jedynie kwestią wykorzystania właściwej okazji, kiedy tylko taka się pojawi.

Jon Jonowi zdawało się, że zapanował nad sytuacją, ale Jeanette ani myślała pozwolić mu na dyktowanie, co ma robić ze swoim życiem.

Poinformowała Jaspera o ostatniej wpadce Kiry, ukochanej córki swojej matki, a zarazem jej własnego wrzodu na dupie (tego, oczywiście, nie napisała). Była wdzięczna losowi, że na jakiś czas sama znalazła się poza centrum zainteresowania.

Tammy Jones uśmiechnęła się do stojącej przed nią, dobrze ubranej kobiety. Wprowadziwszy ją do swojego zabałaganionego, małego gabineciku i poczęstowawszy ją kubkiem gorzkiej kawy, zaczęła wypytywać Joanie o incydent.

— Moja Kira nie jest głupia w powszechnie przyjętym zna-

czeniu tego słowa, w pewnym sensie jest bardzo bystra, ale, widzi pani, ma pewne kłopoty z nauką.

Tammy Jones rozumiała ją. A Joanie bardzo pragnęła wy dostać się jak najszybciej z gabinetu należącego do kogoś, kogo uważała za współpracownika policji.

— Jest też bardzo naiwna, łatwo ją na coś namówić. — Zde nerwowanie Joanie granoczyło już z desperacją. — Chcę wrócić do córki. Ona mnie potrzebuje. Nie może funkcjonować beze mnie, muszę być z nią.

Tammy nie miała wątpliwości, że Joanie mówi szczerze. W jej ocenie Kira nie była pacjentką potrzebującą jakiejś specjalnej pomocy. W tej chwili miała do czynienia z dzieckiem, któremu ktoś połamał obie nogi i staruszką, którą — jak podejrzewali lekarze — molestował seksualnie własny syn. Wiedziała, że o całym zdarzeniu napisze jedynie krótką notatkę i postara się o nim zapomnieć. Żeby mieć czyste sumienie, odwiedzi jeszcze Kirę w mieszkaniu za jakiś tydzień, odnosiła jednak wrażenie, że matka otrzymała cenną nauczkę, której szybko nie zapomni.

Fakt, że Joanie była prostytutką, nie miał dla niej większego znaczenia; dziecko było dobrze odżywione i ładnie ubrane. Nie nosiło żadnych widocznych śladów bicia lub molestowania. Po prostu Kirze zdarzyła się mała wpadka i tyle.

Joanie z ulgą wyszła po chwili z gabinetu Tammy i skierowała kroki do pokoju, w którym leżała Kira. Wewnątrz cała się trzęsła. Och, gdyby tylko dostała w swoje łapska Bethany, już to wstrętne dziewczynisko dobrze by ją popamiętało.

Monika mogła dziękować Bogu, że Kira nie dostała się na listę dzieci zagrożonych i że nie zainteresowała się nią opieka społeczna, która zaczęłaby ją obserwować dzień i noc. Gdyby tak się stało, Joanie rozprawiłaby się z Moniką raz na zawsze, a była w takim nastroju, że mogłaby nawet zabić.

Przy siostrze siedział Jon Jon. Joanie z czułością popatrzyła, jak podaje Kirze wodę. Dziewczynka wyglądała okropnie. Kiedy po kilkunastu sekundach do pokoju szpitalnego wpadł Tommy, wszyscy troje zasiedli przy łóżku Kiry. Leżała na nim chora

i otumaniona, jednak bardziej kochana niż kiedykolwiek wcześniej w życiu.

Trochę później przyszedł Paulie. To, że we czworo wpatrywali się z czułością z chorą dziewczynką, zdawało im się zupełnie naturalne, chociaż w oczach osób postronnych z pewnością stanowili zgromadzenie bardzo dziwaczne.

Bethany była bardzo zmartwiona. Matka nieomal zamordowała ją po incydencie z alkoholem. Była więc obolała od razów, które otrzymała, ale cierpiała też duchowo. Lubiła Kirę, a nawet ją kochała i w głębi duszy wiedziała, że już nigdy, pod żadnym pozorem nie poczęstuje jej żadnym alkoholem.

W tej chwili miała też kaca i mocno bolał ją brzuch. Wszyscy byli na nią wściekli, uciekła więc ze szkoły i wróciła do domu. Tam, w sypialni matki, nałożyła makijaż i wypłała trochę bacardi z colą, nalawszy sobie wcześniej z butelki, którą Monika schowała niezbyt przemyślnie. Klin, jak mawiała matka, zawsze pomagał po wielkim picciu. A ponieważ Monika piła niemal codziennie, Bethany dobrze wiedziała, co miała na myśli.

W mieszkaniu panował brud i nieład, ale to z jej winy. Kilka lat wcześniej matka właśnie ją obarczyła utrzymywaniem czystości i w ogóle wszystkimi pracami domowymi. Łóżka nigdy nie były porządnie załane. Monika zajmowała się ich porządkowaniem tylko wtedy, gdy była akurat w miarę trzeźwa i przytomna. Teraz, z powodu kłótni z Joanie przestała spędzać u niej czas w ciągu dnia, więc chodziła do pubu, Bethany wiedziała, że całe mieszkanie na długo pozostanie na jej głowie. W przeciwieństwie do Kiry czerpała przyjemność z doznań, jakie przynosił alkohol, postanowiła jednak, że już nigdy nie wypije za dużo, a jedynie tyle, żeby wprawiać się w wesoły nastrój. Żeby pozbywać się bólu drążącego ją od środka.

Wokół Kiry była cała sieć ludzi, którzy się nią opiekowali. Bethany nie miała nikogo, z wyjątkiem Moniki, która w najlepszym wypadku była matką niezorganizowaną. Jej sporadyczne

objawy czułości wobec córki pokrywała potrzeba zalewania się alkoholem, który pozwalał jej zapominać o podłym życiu, jakie wiodła.

Dzisiaj alkohol doprowadzał Bethany do płaczu, ale i to było lepsze niż nic. Rozglądała się ze smutkiem po zabałaganionym pokoju i łzy płynęły jej z oczu jeszcze szybciej. Pijąc, połykała coraz więcej bacardi z colą, z każdą mijającą minutą coraz częściej sięgając po szklanke. Alkohol zabijał w niej ból, tak jak w matce.

Tommy wciąż był śmiertelnie przerażony tym, co się stało Kirze. Joseph słuchał go, jak w kółko powtarza to samo, aż w końcu stwierdził, że ma tego dość. Wystarczająco wkurzające było już samo obserwowanie syna, jak człapie bez końca po całym mieszkaniu, co chwilę coś potracając swoim oblesnym cielskiem. A on na dodatek wciąż bredził o tej cholernej rodzinie Brewerów. Joseph zapragnął dokądś pójść. Chciał być wreszcie ze swoją kobietą i jej rodziną, cieszyć się wszystkim tym, co mogła mu ofiarować.

Taka zmiana mogła mu przynieść dziesiątki korzyści. Sprawdził, że dom należy tylko do Delli. Wiedział, że co miesiąc otrzymuje trochę funtów z ubezpieczenia po mężu i że jest doskonałą kucharką. Lubił wieczory, kiedy wypijał kilka słabych drinków, grając z nią w bingo.

Della była także bardzo porządna. Te parę chwil, kiedy uprawiali seks, kończyli tak szybko, żeby potem odczuwać wobec siebie jak najmniejsze zakłopotanie. Pasowała do niego jak ulał. To, co oferowała w łóżku, w zupełności mu wystarczało. W jego wieku seks już nużył.

Dom Delli był jasny i wesoły, a jej wnuczeta oraz Sky TV bez przerwy wypełniały go śmiechem.

Na co właściwie czekał?

Jeszcze raz popatrzył na syna i poczuł wzrastającą odrazę. Musiał się stąd wydostać. Czuł się w tym mieszkaniu jak w więzieniu, jak w pułapce.

— Zamknij się na chwilę i mnie posłuchaj, dobrze?

Mały Tommy popatrzył na ojca. W pulchnych rękach trzymał filiżankę, którą właśnie wycierał. Wyglądała w nich jak zbyt drobna zabawka w dłoniach przerośniętego dziecka.

— Wyprowadzam się, Tommy.

Syn przez kilka długich sekund patrzył na ojca bez słowa.

— Co to znaczy „wyprowadzam się”?

Joseph westchnął.

— Nadszedł czas, żebyś nauczył się dbać sam o siebie. Wyprowadzam się do mojej przyjaciółki.

Czekał na reakcję syna i był zaskoczony, kiedy Tommy lekko się uśmiechnął i powiedział:

— No i dobrze. Kiedy chcesz to zrobić?

Przez dłuższą chwilę Joseph nie mógł się odezwać. Spodziewał się wszystkiego po tej chwili, ale bynajmniej nie radości i autentycznego szczęścia, jakim w tej chwili emanował Tommy. Do diabła, przecież nawet nie zastanowił się, jak sobie dalej da radę bez Josepha.

— Poradzisz sobie, Tommy?

Ojciec nigdy przedtem nie zdał takiego pytania Tommy'emu. Teraz ogarnęło go poczucie strasznej samotności, bowiem zrozumiał, jak bardzo długo byli do siebie niemal przywiązani. O wiele za długo.

Ale uśmiechnął się bez przymusu.

— Oczywiście, że sobie poradzę, głuptasie. Kiedy będę mógł poznać tę szczęśliwą kobietę?

Joseph, lekko zakłopotany, przyjął pozycję obronną.

— Wszystko w swoim czasie. Pozwól, że najpierw się wyprowadzę.

Tommy zrozumiał, że ojciec od dość dawna coś przed nim ukrywał i w jednej chwili posmutniał. Przez wiele lat żyli przecież tak blisko, a jednocześnie tak daleko od siebie. A może powinien się z tego śmiać?

— Cóż, twoje pranie właściwie już skończyłem i wyprasuję

wszystko w mgnieniu oka. Zakładam, że chcesz stąd wyjść jak najszybciej. Czy ona jest miła?

Joseph wzruszył ramionami.

— Całkiem w porządku. Myślę, że ładna.

— Ma rodzinę?

Pytanie było na tyle niewinne, że Tommy był zupełnie nieprzygotowany na odpowiedź, którą usłyszał.

— Pilnuj swojego nosa, wścibski bałwanie! Nie ma żadnych małych dziewczynek, jeśli ci o to chodzi. Znam cię i wiem, co ci chodzi po łbie.

Tommy potrząsnął głową.

— O niczym takim nie myślałem i dobrze o tym wiesz. — Słyszał napięcie we własnym głosie. — Po prostu cieszę się twoim szczęściem, nic więcej. Myślę, że zamieszkanie z kimś innym niż ja dobrze ci robi. — Prawie rozplakał się, ale zaczął krzyczeć: — Dlaczego mnie tak cholernie nienawidzisz? Co ja ci takiego zrobiłem?

Pozwolił sobie na to, ponieważ zrozumiał, że stosunki z własnym ojcem ulegają gwałtownej odmianie. Zanim w jego życiu pojawiła się Kira i Joanie, odbierał ojca z niezmaconą cierpliwością, czy ten go obrażał, czy też kompletnie nie zwracał na niego uwagi. Teraz patrzył na tego człowieka, mężczyznę, który dał mu życie, i zastanawiał się, w jaki sposób układać się będą ich wzajemne związki w przyszłości. Ojciec jednak zignorował jego spojrzenie.

Joseph spokojnie pił herbatę, mimo że był świadomy bólu, jaki sprawił synowi. Powiedział mu wreszcie to, co miał do powiedzenia, a teraz musiał rozpocząć własne przygotowania. Rozejrzał się po ciemnej, małej kuchni i pomyślał o wygodnym domu, do którego się wkrótce wprowadzi.

Obietnica nowego życia wywołała na twarzy Josepha rzadki u niego uśmiech.

*

Paulie popatrzył na młodą dziewczynę, przechadzającą się po jego salonie masażu. Była średniego wzrostu pulchną, naturalną blondynką. Miała duże, niebieskie oczy, które zapowiadały, że pewnych klientów będą przyciągać jak magnes. Uśmiechnęła się do niego i powiedziała cichym głosem:

— Czy mogłabym porozmawiać z kimś, kto tutaj zarządza? Bardzo pana proszę...

Była grzeczna, musiał jej to oddać.

— A czego chcesz, kochanie?

Znów się uśmiechnęła.

— Szukam pracy.

Czuł, jak falami opuszcza ją wszelka pewność siebie.

— A ile masz lat?

Teraz on się uśmiechał. Dziewczyna oddała mu uśmiech, jakby spodziewała się tego pytania.

— Wiem, że na tyle nie wyglądam, ale mam prawie dwadzieścia. Mam przy sobie świadectwo urodzenia.

W swojej uczciwości była rozbrajająca. Miała też lekki obcy akcent, z pewnością spoza Londynu, nie potrafił go jednak rozpoznać.

— Chodź do biura.

Nieproszona usiadła po drugiej stronie jego biurka i założyła nogę na nogę. Jej atutem była pulchność, niemal dziecinna, i doskonale o tym wiedziała. Ubrana była prosto, ale seksownie. Wyglądała jak absolwentka szóstej klasy. Miała czarną spódniczkę, odrobinę zbyt krótką, białą bluzeczkę, rozpiętą, aby ukazywać kremowe ciało. Miała też opalone nogi i buty na grubych podszwach.

Prawdziwy klucz do osobowości stanowiły jednak jej oczy. Sprawiała wrażenie osoby, która już wie zbyt wiele o życiu i Paulie doskonale rozumiał, że to właśnie one będą przyciągały klientów całymi chmarami. Dziewczyna wyglądała bardzo niewinnie... dopóki się nie spojrzało w jej oczy. Paulie odniósł wrażenie, że doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jak wpływa na mężczyzn.

— Jak się nazywasz? Chodzi mi o twoje prawdziwe imię i nazwisko, a nie to, jakiego używasz dzisiaj, rozumiesz?

Pokiwała głową.

— Jestem Liz Parker, ale używam imienia Angel.

— Jasne. Teraz mi powiedz, czy zdajesz sobie sprawę, jak wygląda praca tutaj?

Uśmiechnęła się, absolutnie nie zbита z tropu.

— Doskonale wiem, jaka to praca. Wykonuję ją, odkąd skończyłam trzynaście lat. Czy ma pan ochotę na próbkę, oczywiście bezpłatną?

Jej wzrok nagle stwardniał. Paulie odgadł, że dziewczyna kalkuluje w tej chwili, jaką ma szansę. Musi cholernie potrzebować tej pracy, skoro zachowuje się w taki sposób. Z drugiej strony wiedział, że inni właściciele salonów tak właśnie zwykli testować przyszłe pracownice. Było to bezpłatne obciążenie druta i mało kto z tego rezygnował.

Wciąż się do niego uśmiechała. Cóż, teraz była jego kolej. Uśmiechnął się, jednak nie było w tym uśmiechu żadnej wesołości i dziewczyna od razu to zauważyła.

— Nie dotknąłbym cię, kochanie, nawet bosakiem. Pokaż mi świadectwo urodzenia i jakiś dokument tożsamości, a będziemy mogli zawrzeć porozumienie. Nie będzie ono jednak dotyczyło cielesnego kontaktu pomiędzy nami, dobrze?

Jej dziecięcą sylwetkę zakłóciła teraz harda mina, jaka pojawiła się na twarzy. Otworzyła torebkę, podróbkę Burberry'ego, i położyła na biurku wymagane dokumenty. Oboje milczeli, dopóki nie zobaczyła, że Paulie je kopiuje.

— Hej, co pan robi, do cholery?

Roześmiał się z jej zuchwalstwa.

— Troszczę się o swoją dupę, kochanie. Jeśli ktokolwiek mnie o ciebie zapyta, będę przecież musiał odpowiedzieć, coś ty za jedna.

— Nikt nie będzie pana o nic pytał, panie Martin.

Znów się roześmiał, tym razem z „pana Martina”. Wiedziała więc, kim jest, chociaż początkowo nie zorientowała się, na kogo

trafiła. Podziwiał ją jednak za to, że tak szybko potrafiła znaleźć się w sytuacji. Była teraz tylko dobrą, grzeczną dziewczyną, starającą się o pracę. Prawdziwą pracę, w przeciwieństwie do obciągania druta.

Chciało mu się śmiać, ale zachował powagę.

— Opróżnij torebkę.

Przycisnęła ją do piersi.

— Po co?

Kompletnie ją zaskoczył, ale bawiła go ta sytuacja.

— Po prostu opróżnij torebkę. Natychmiast.

Wciąż przyciskała torebkę do piersi.

— Moja torebka to moja prywatna sprawa!

— Nie w moim salonie, kochanie. Lepiej, żebyś od razu do tego przywykła.

Siłą odebrał jej torebkę i wyrzucił zawartość na biurko. Zaczęła wrzeszczeć, rozgniewana.

— Stul pysk! — krzyknął.

Torebka zawierała zwyczajne przybory do makijażu, kondomy, kilka długopisów, rurkę do marihuany i działkę narkotyku w plastikowym woreczku. Było w niej też kilka tabletek ekstazy i azotan amylu. Najbardziej rozżłościł go jednak nóż z piętnastocentymetrowym ostrzem

— Cholera, jak w małej aptece.

Dziewczyna była teraz śmiertelnie blada.

— Kogo masz zamiar zasztyletować, kochanie? Może kogoś, kogo znam?

Trzymał nóż w ręce w taki sposób, jakby starał się ocenić jego wagę.

— To do samoobrony. Pracowałam na ulicy. Wie pan, jak jest.

Jej głos był już teraz normalny i Paulie niemal zaczął jej współczuć. Cała odwaga dziewczyny gdzieś zniknęła. Była teraz tylko młodą, przestraszoną istotką.

— Nie, osobiście nie mam o tym pojęcia. A teraz mnie posłuchaj, kochanie. Twoim pierwszym błędem była propozycja,

żeby obciągnąć mi druta. Mogłem to puścić w niepamięć, ale nie ma mowy, żeby ktoś wnosił tutaj broń i narkotyki. A w każdym razie takie narkotyki. A teraz zabieraj stąd dupę.

Nie poruszyła się. Popatrzyła natomiast na niego błagalnie i po raz pierwszy Paulie ujrzał w niej dziewczynę, jaką mogłaby być, gdyby życie nie obeszło się z nią brutalnie w młodym wieku. Miała oczy podobne do oczu jego młodszej córki. I rozumny, dziecięcy wzrok dorastającej kobietki, która na najbliższym mężczyźnie sprawdza swój dziewczęcy czar — zwykle na własnym ojcu.

— Proszę, panie Martin, ja naprawdę potrzebuję tej pracy. Niczego nie będę ze sobą zabierała. Siedzę w tym interesie już od długiego czasu i przysięgam, że niczego nie przyniosę do pana salonu. Niczego.

— A co z heroiną? Nie będzie ci wolno mieć jej w nocy przy sobie. Pozwalam moim dziewczętom jedynie na trochę koki, to wszystko. Owszem, można wypalić małego jointa, ale o heroinie absolutnie nie ma mowy, moja droga.

— Ona nie należy do mnie, tylko do mojego chłopaka.

— Zdobyłaś ją dla niego?

Dziewczyna pokiwała głową.

— Milusi facet. Przypuszczam, że także zarobiłaś forszę na tę heroinę.

Znów pokiwała głową.

— Chcesz dobrej rady, kochanie? Zmień chłopaka i to szybko. Bo jak nie, po trzech miesiącach to on się od ciebie zwinie. Widziałem to w życiu już mnóstwo razy.

Paulie wygodnie usiadł i patrzył na nią przez chwilę. Coś w sobie miała. Wiedział, że w pracy będzie bardzo dobra. Joanie dałaby jej szansę, ale Joanie tutaj nie było, ze względu na zamroczenie alkoholowe Kiry. Leniwa Caroline wyjechała gdzieś i bawowała teraz ze swoją nową kochanką, więc na placu boju pozostał jedynie on sam.

— Kto jest twoim chłopakiem?

Pytanie ją zaskoczyło.

— Dlaczego pan pyta?

— Ponieważ jestem cholernie ciekawskim draniem! Dalej, gadaj, kto to jest?

Dziewczyna westchnęła, a Paulie od razu zorientował się, że zamierza go okłamać. Powiedział więc gwałtownie:

— Posłuchaj, potrafię się tego dowiedzieć sam, w ciągu dwóch godzin, kochanie. Dowiem się jego nazwiska, adresu i nawet rozmiaru chuja, powiedz mi więc prawdę.

— To Pippy Light.

Zobaczyła, jak brwi Pauliego unoszą się.

— Pippy? Jezu, słodziutka, chyba naprawdę rozpoczęłaś od samego dna! W twojej drabinie nie ma już więcej szczebli.

Wzruszyła ramionami.

— Skąd pochodzisz?

Znów wzruszyła ramionami, potem zastanowiła się nad swoją postawą i powiedziała cicho:

— Właściwie z Cardiff, ale większość życia spędziłam w różnych domach dziecka.

— Dobrze was tam tresują. Mam tutaj kilka takich dziewczyn.

Uśmiechnęła się do niego. Był to przyjazny uśmiech.

— Potrzebuję tej pracy na start, panie Martin. Dosłownie, ani trochę nie będę oszczędzała własnej dupy, jeśli tylko da mi pan szansę.

— A co z Pippym? Jest zasranym bezużytecznym łobuzem, okrutnym i chamskim. Nie życzę sobie, żeby się kręcił dookoła moich interesów.

— Nie będzie. Panie Martin, czy mogę być z panem zupełnie szczerą?

Pokiwał głową.

— Pierwszy raz ktoś chce być ze mną szczerą, ale mów dalej, kochanie.

— Wybrałam ten salon właśnie z powodu Pippy'ego. Wiem, że ma pan ludzi, którzy będą potrafili trzymać go daleko ode mnie podczas pracy. Ostatniej nocy okradł i mnie, i jednego z moich klientów, a ja nie chcę pracować w taki sposób. Chciałabym

uczciwie zarabiać, ale to trudne, kiedy ktoś odbiera mi każdego zarobionego pensa.

Uwierzył jej i w końcu poczuł dla niej współczucie. Od czasu do czasu widywał dziewczęta, będące w takiej sytuacji. Po chwili popatrzył na zegarek. Było późno, a on już zaczynał mieć dość i rozmowy, i towarzystwa dziewczyny. A Pippy był zbyt krótki, żeby w jakikolwiek sposób mu zagrozić, tego był pewien.

— Zacziesz dzisiaj wieczorem, dokładnie o szóstej. Będziesz pracowała do drugiej. Pasuje ci?

— Dziękuję, panie Martin. Nie pożałuje pan tego.

— Obym nie musiał niczego żałować, bo w przeciwnym wypadku odczujesz to na własnej skórze.

Kiedy wyszli z biura, Liz była szczęśliwa jak nigdy w ciągu ostatnich tygodni i to było po niej widać. Na zewnątrz czekał Jon Jon. Popatrzył na dziewczynę i uśmiechnął się. Oddała mu uśmiech i Paulie stwierdził, że jest on autentyczny, a nie taki, jaki przeznacza się dla klienta. Uśmiech sprawił, że przez chwilę wyglądała na jeszcze młodszą i ładniejszą, niż była w rzeczywistości.

W samochodzie Paulie popatrzył na Jon Jona.

— Zakochujemy się, co? — zagadnął od niechcienia.

Jon Jon nie odpowiedział i Paulie się roześmiał.

— Kutasy wjeżdżały w nią częściej niż pociągi w tunel pod kanałem La Manche, synu, a obecnie dosiada jej Pippy Light. Życzę ci więc powodzenia, Jon Jon, bo będziesz go potrzebował całe mnóstwo.

Jon Jon po prostu uśmiechnął się.

Lubił tę dziewczynę i właściwie tylko to się liczyło.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kira czuła się chora i wyglądała na chorą.

Jak wiele dziewcząt przed nią, przysięgła sobie, że już nigdy w życiu nie tknie alkoholu. W głowie wciąż jej coś pulsoowało i miała niesłychane pragnienie. Od incydentu minął tydzień, a ona wciąż odczuwała okropne efekty tamtego zdarzenia. Ponad wszystko jednak tęskniła za Bethany. Wiedziała, że matka i Monika są w stanie wojny, nie mogła jednak zrozumieć, dlaczego Bethany nie wolno bywać u niej. Pocieszała się myślą i nadzieją, że kiedy wróci do szkoły, wszystko znów będzie po dawnemu. Matka Bethany i matka Kiry czasami się na siebie boczyły, jednak nigdy dotąd nie trwało to tak długo i ten fakt był kolejnym zmartwieniem dziewczynki.

Leżąc na kanapie i oglądając *Coronation Street*, sprawiała wrażenie bardzo drobnej i kruchej. Współczuła jej nawet Jeanette. Podawała młodszej siostrze herbatę i w ogóle kręciła się wokół niej z troską, zadowolona, że — siłą rzeczy — jej własne problemy chociaż raz zeszły w rodzinie na dalszy plan. Widząc Kirę tak ciężko chorą, Jeanette wreszcie uświadomiła sobie, jak bardzo ją kocha. Poczucie wspólnoty i lojalności, tak wielkie u pozostałych członków rodziny, wciąż nie miało jednak dostępu do jej serca. Była u progu zrobienia czegoś tak fundamentalnie złego w schemacie pojmowania świata przez Brewerów, że w gruncie rzeczy powinna być przerażona już samymi myślami o tym, nie wspominając o planowaniu.

Teraz, gdy matka w końcu wróciła do pracy, Jeanette dobrowolnie podjęła się opieki nad siostrą, miała jednak w tym swój ukryty motyw. Jon Jon obserwował ją jak jastrząb, zamierzała

więc zachowywać się tak, by i on, i Joanie myśleli, że wciąż siedzi w mieszkaniu, gdy w rzeczywistości chciała wychodzić na spotkania z Jasperem. Był już w domu, chociaż wciąż bardzo rozbity.

Mijały już dwa tygodnie od pobicia i fizycznie z każdą godziną nabierał sił. Był jednak wciąż słaby psychicznie. Jeanette nic nie mogło powstrzymać od spotkania się z nim. Dziś wieczorem Karen zamierzała wyjść do pubu z koleżankami; Junie miała pójść za nią, żeby ją obserwować i zaalarmować Jaspera, kiedy matka zacznie się zbierać do powrotu. Jasper, chociaż wciąż chory, wracał do zdrowia szybciej, niż ktokolwiek mógłby przewidywać. Lekarz powiedział, że zawsze fascynowała go odporność ludzkiego organizmu, a Jasper nadzwyczaj szybko dochodził do zdrowia.

Ale chłopak bardzo się zmienił. Był nerwowy, wymizerowany, chudy. Jeanette czuła, że wszystko, co mu się przytrafiło, stało się z jej winy. To w końcu jej brat napadł na niego.

Za to właśnie nienawidziła Jon Jona tak mocno, jak wcześniej go kochała. Zdawała sobie sprawę, że to rasizm Jaspera stanowił przyczynę nieporozumień pomiędzy chłopakami, lecz mimo że rozumiała powody, uczynek Jon Jona zabił w niej wszelkie poczucie lojalności wobec własnej rodziny, jakie dotąd w sobie nosiła. Pragnęła Jaspera i to wystarczało.

Przesyłali do siebie SMS-y przez całe popołudnie i zamierzała go odwiedzić, nawet gdyby miała to być jej ostatnia czynność w życiu. Sama myśl o wizycie u Jaspera przerażała dziewczynę, ale nie odpychała jej od siebie. Zobaczy się z nim, bez względu na wszystko.

Patrzyła, jak Kira wypija ostatnie łyki słodkiej herbaty, a potem czekała, aż jej opadną powieki. Tabletki nasenna powinna zneutralizować małą na całą noc. Pewna przyjaciółka powiedziała Jeanette, że ciągle podaje swojej córeczce tabletki nasenne, dzięki czemu może bez przeszkód wychodzić z domu, żeby pilnować interesu, co w tym przypadku oznaczało zażywanie narkotyków albo dorywczą pracę na ulicy, żeby mieć pieniądze na ćpanie.

Przyjaciółka, o której mowa, zajmowała w hierarchii społecznej jeszcze niższe miejsce niż rodzina Jeanette. W wieku dziewiętnastu lat miała już pięcioletnie dziecko, a kolejne było w drodze. Stanowiła dla koleżanek skarbnicę mądrości we wszystkich sprawach, od związanych z seksem (daj chłopakowi wszystko, co chce, a otrzymasz w zamian wszystko, czego ty zechcesz), po szkolne (nie łaż tam, cokolwiek będą mówili, jakkolwiek będą straszili, aż w końcu dadzą ci święty spokój). Wszystkie te dobre rady doskonale się sprawdzały, a Lorna była bardzo popularną osobą.

Skoro jej córka nie cierpiała na uboczne efekty tabletek nasennych, Jeanette zamierzała spróbować jedną na własnej siostrze. Poza tym była przekonana, że po ostatnim wypadku Kiry nikt nawet nie będzie przypuszczał, iż postąpi tak głupio i pozostawi ją samą. Plan był perfekcyjny. Kiedy wszyscy już wrócą do domu, zobaczą ją siedzącą na kanapie i oglądającą program telewizyjny, jakby w ogóle nic się nie stało.

Mały Tommy zasługiwał na wolną noc, tym bardziej że ostatnio prał i prasował wszystkie ubrania ojca, przygotowując do przeprowadzki. Wszystko idealnie pasowało, można powiedzieć, że los sprzyjał Jeanette.

Jon Jon spotykał się z nową dziewczyną z salonu, a matka wyszła z Pauliem — przeglądać księgi rachunkowe, jak powiedziała.

Jeanette uśmiechnęła się. Jeszcze takich słów w tym mieszkaniu nie słyszała.

Ostatnio Paulie niemal od nich nie wychodził, a matka po prostu rozkwitała. Z jednej strony Jeanette cieszyła się jej szczęściem, ale z drugiej z zaniepokojeniem czekała, aż spadnie na nich wszystkich jakaś bomba, ponieważ była pewna, że właśnie coś takiego musi przerwać tę sielankę. Paulie pewnie zniknie, jak zawsze, i matka znów stanie się ucieleśnieniem nieszczęścia i rozpaczy.

Ale, tak jak Joanie, Jeanette nie zamierzała rezygnować teraz z własnego szczęścia, które miała na wyciągnięcie ręki. Jasper

był dla niej wszystkim i chociaż nie rozumiała, dlaczego tak jest, akceptowała to tak samo, jak jej matka akceptowała takie samo uczucie przed wielu laty.

Oczy Kiry już się zamknęły i Jeanette zabrała z jej rączek pusty kubek, po czym postawiła go na stoliku. Była tak podekscytowana, że odnosiła wrażenie, iż zaraz eksploduje; tak bardzo pragnęła spotkać się z Jasperem, dotykać go, kochać się z nim.

Dziesięć minut później po raz ostatni popatrzyła na małą siostrzyczkę, cicho oddychającą przez sen, po czym na palcach wyszła z mieszkania.

Jon Jon pożądał tej dziewczyny i doskonale to wiedział.

Liz Parker działała na niego jak magnes. Mimo że gardził jej słabością, uwielbiał myśl o seksie właśnie z nią.

Ale kiedy kończył, za każdym razem robił wszystko, żeby się jej pozbyć najszybciej, jak to możliwe.

Fakt, że była dziwką, ani trochę go nie martwił. Chciał ją przecieżyć jedynie pieprzyć, a nie wiązać się z nią do końca życia. A jednak zdobywał się na to, żeby zapraszać ją na miasto i niezależnie od tego, jak często zadawał sobie to pytanie, nie widział w swoich poczynaniach najmniejszej logiki. Był elementem firmy Pauliego Martina i jako taki mógł przebierać w jego prostytutkach. Była to jedna z wielkich korzyści jego roboty. Chwilami dochodził do wniosku, że cieszy się tym przywilejem ze względu na pozycję matki. I że także ze względu na nią traktuje tę dziewczynę z szacunkiem, na który ona z pewnością nie zasługuje.

Niczego jednak nie był pewien. Wiedział jedynie, że w tej chwili chce się jej pozbyć, i to szybko.

Naciągając majtki, powiedział od niechcienia:

— Już jest ta godzina? Muszę iść, za dwadzieścia minut mam spotkanie z Pauliem.

Liz milczała, jednak nie miał wątpliwości, że doskonale zdaje sobie sprawę z jego kłamstwa. Dał jej dziesięć funtów na tak-sówkę (nie miała to być zapłata za seks, lecz forsa na transport),

po czym opuścił małe mieszkanie niedaleko jego własnego, gdzie dziewczyna wynajmowała pokój z łóżkiem w oczekiwaniu, aż jej sytuacja się polepszy. Musiał wrócić do domu, żeby wziąć prysznic przed nocną robotą. Zawsze po tym, jak spędził czas z Liz, Jon Jon odczuwał nieodpartą konieczność wyszorowania się do czysta.

Była to następna anomalia, która nie dawała mu spokoju. Pieprzył się z nią trzy razy dziennie. Co oznaczało trzy prysznic w ciągu dnia. Miał jedynie nadzieję, że oszołomienie tą dziewczyną minie mu szybko i będzie mógł wrócić do normalności.

Bethany znajdowała się w mieszkaniu Joanie i wpatrywała się w uśpioną dziewczynkę, leżącą na kanapie. Drzwi otworzyła kluczem, który Joanie zawsze trzymała w pojemniku na węgiel, znajdującym się przy drzwiach każdego mieszkania. Obecnie do pojemników tych wyrzucano rzeczy, które trudno było trzymać w mieszkaniu, a które kiedyś jeszcze mogły się przydać, od starych puszek po farbie, poprzez puste butelki po piwie, po ozdoby bożonarodzeniowe. Większość ludzi chowała tam także zapasowe klucze, a Joanie nie była wyjątkiem. Bethany przyszła jedynie po to, żeby się rozejrzeć, co takiego dzieje się w mieszkaniu Brewarów. Absolutnie nie spodziewała się, że zastanie tutaj Kirę samą i do tego śpiącą. Kiry nigdy nie zostawiano w mieszkaniu samej, w przeciwieństwie do Bethany, która już się do takich sytuacji przyzwyczaiła i doskonale dawała sobie radę sama w domu.

Spróbowała obudzić przyjaciółkę, a kiedy jej się to nie udało, zabrała kilka przedmiotów, wśród nich pierścionek leżący na toalecie Joanie oraz pięćdziesiąt funtów w banknotach pięciofuntowych, które znalazła w szafce Jon Jona. Wyszła z mieszkania tak cicho, jak do niego weszła, niezbyt zdecydowana, co zrobić z pieniędzmi i pierścionkiem, bardzo jednak zadowolona ze zdobyczy. Tak jak matka, nigdy nie przepuszczała dobrych okazji.

*

Paulie i Joanie siedzieli w pubie w Essex. Zamówili jakieś danie barowe i rozmawiali dość luźno o sytuacji w salonie masażu. Paulie cieszył się, że Joanie wreszcie zacznie pracę, ponieważ miał już dość zarządzania interesem osobiście. Przede wszystkim w jego obecności dziewczyny stawały się trochę nerwowe, co, w gruncie rzeczy, samo w sobie nie było złe. Ale nie służyło budowaniu dobrej atmosfery w miejscu pracy. Poza tym Paulie był wyznawcą starej zasady, że nie można być kijem i marchewką jednocześnie. Tymczasem nie chciał zatrudniać w salonie nikogo na krótki czas, ponieważ wywołałoby to zgrzyty w momencie powrotu Joanie.

Leniwa Caroline miała także wrócić w tym tygodniu do pracy po wyprawie na greckie wyspy, którą odbyła w towarzystwie młodej dziewczyny, swojej nowej miłości. Paulie wzruszył ramionami: co mu w końcu do tego.

Ostatnio Joanie wyglądała wspaniale, mimo zmartwień, jakie miała na głowie. I Paulie wciąż jej pragnął, co po tylu latach zadziwiało go i jednocześnie martwiło.

Podjeżdżał, że się po prostu starzeje. Obecnie młodsze dziewczęta starały się być jak najlepsze dla opiekunów i w swoich starych zapomniały o wszelkich hamulcach. Było to czasami bardzo męczące, szczególnie że ostatnio Paulie zazwyczaj potrzebował jedynie krótkiego numerka i odrobiny czułości. Gdyby miał ochotę na seksualną gimnastykę, chodziłby do Up West i za to płacił. Ale cóż, młodsze kurewki uznawały jedynie ostre rżnięcie i wyobrażały sobie, że tego właśnie oczekują po nich opiekunowie.

Czuł się w takich sytuacjach, jakby brał udział w jednym z filmów pornograficznych, które podobały mu się, owszem, ale dawno temu. Teraz ich wręcz nie znosił. Dziewczyny odbierały go jak ogiera z takich właśnie filmów, a tymczasem on lubił jedynie krótkie jebanko i szybkie do widzenia. Czy tak trudno to zrozumieć?

Patrzył, jak Joanie zajada stek z frytkami. Dobra, stara Joanie jadła bardzo ładnie, kulturalnie. Inni mężczyźni, znajdujący się

w barze, rzucali jej ukradkowe spojrzenia. Joanie nie zdawała sobie z nich sprawy i z jakiegoś powodu fakt ten wprawiał Pauliego w zadowolenie.

Wyglądała naprawdę dobrze, nie mógł tego nie przyznać. Ale mieli przecież pogadać o interesach, przypomniał sobie. Zaczął więc rozmowę. Wiedział, że Joanie cieszy każda chwila spędzana w jego towarzystwie, obserwował, jak jej twarz opuszczają stopniowo zmarszczki, świadczące o napięciu emocjonalnym. W ciągu ostatnich kilku tygodni Joanie przeszła bardzo wiele i — jak zwykle — poradziła sobie z tym o wiele lepiej niż większość ludzi.

Joanie była dzielną dziewczyną. W głębi serca Paulie wiedział, że w taki sposób, jak ona, nie potrafiłby egzystować nikt inny. A przynajmniej nikomu innemu nie udałoby się to równie dobrze.

Później zamierzał ją wziąć w samochodzie. Lubił robić to na tylnym siedzeniu. Niewygodne, ale wesołe. Aha, i to jeszcze trzeba było przyznać starej Joanie: zawsze lubiła się śmiać.

Zresztą, czy miała inne wyjście?

Jon Jon stanął u szczytu schodów akurat wtedy, gdy do drzwi mieszkania Joanie zapukała Jean Best. Była niską, ciemnowłosą, dwudziestokilkuletnią dziewczyną i z pewnością nie mieszkała w tym budynku.

Jon Jon uśmiechnął się do niej rozbrajająco.

— W czym mogę ci pomóc?

Jean odpowiedziała temu młodemu, uczynnemu mężczyźnie grzecznym uśmiechem i odrzekła spokojnie:

— Szukam pani Brewer, Joan Brewer.

Jon Jon pokiwał głową.

— To moja matka. Obawiam się, że nie ma jej w mieszkaniu. Czy ja ci wystarczę?

Jedną częścią umysłu zarejestrował fakt, że dziewczyna bez wątplenia przyszła tu w jakimś celu, a drugą zwrócił uwagę na

teczkę, którą trzymała pod ramieniem. Bez wątpienia przysłała tu ją opieka społeczna albo podobna instytucja.

Otworzył swoim kluczem drzwi do mieszkania i zaprosił gościa do środka. Zakładał, że Jeanette specjalnie nie otworzyła drzwi obcej kobiecie i poczuł, że chociaż raz może być z niej zadowolony.

— To rutynowa wizyta po ostatnim niemiłym wydarzeniu z udziałem pańskiej siostry.

Jean Best wyraźnie określiła terytorium swojego działania i Jon Jon docenił to. W miły sposób powiedziała mu, że przyszła tylko po to, by przekonać się, czy z jego siostrą jest wszystko w porządku, i zaraz sobie pójdzie. Miała łagodny i przyjaźnie brzmiący głos, według Jon Jona bardzo wiarygodny.

Kiedy znaleźli się w saloniku, uśmiechy znikły zarówno z twarzy Jean Best, jak i z twarzy Jon Jona. Kira we śnie stoczyła się z kanapy i leżała teraz na podłodze. Jej nogi i tułów tworzyły ką prosty. Spadając, potrąciła stół i wszystko, co się na nim znajdowało, także spadło na podłogę. Było oczywiste, że dziewczynka jest nieprzytomna.

Jean Best ujrzała szok na twarzy chłopaka i zrozumiała, że na jej własnej twarzy widnieje coś podobnego.

— Jeanette? — wołał chłopak, podnosząc siostrę z podłogi. Dziewczynka na moment otworzyła jedno oko i zaraz je zamknęła. Było jasne, że zażyła coś albo podano jej środek nasenny.

— Co tutaj się dzieje?

Głos Jean Best był teraz inny. Doświadczenie, jakiego nabyła przez lata pracy, wzięło górę. Jon Jon, po raz pierwszy w życiu kompletnie zaskoczony, nie odpowiedział. Wiedział tylko tyle, ile widział i bardzo pragnął dowiedzieć się — natychmiast — gdzie jest jego druga siostra, Jeanette.

Wyprostował się i popatrzył na stojącą przed nim kobietę. Jej twarz była ściągnięta, a oczy lśniły twardo jak krzemienie. Błyszczały nawet jej rzadkie, brązowe włosy. Pochyliła się nad Kirą, badając jej puls i przykładając dłoń do czoła. Dziewczynka głęboko spała, nie reagując na dotyk.

Jon Jon podjął decyzję. Poprosił kobietę, żeby sobie poszła, wyjaśniając, że z Kirą powinna teraz przebywać jego druga siostra i on sam zajmie się wyjaśnianiem, dokąd mogła pójść. Prawdopodobnie wyszła, żeby poszukać właśnie jego, ale on — jak zdecydowanym głosem wyjaśnił pracownicy socjalnej — przebywał poza domem jedynie przez dwadzieścia minut. Wiedział, że mu nie uwierzyła, ale wiedział też, że miałyby ogromne kłopoty, aby udowodnić, iż było inaczej.

W końcu kobieta poszła, wiedział jednak, że wróci, a jej powrót oznaczać będzie kłopoty. Duże kłopoty. Ale nie takie, jakie czekają Jeanette, kiedy wróci i Jon Jon dostanie ją w swoje ręce.

Najpierw zadzwonił na telefon komórkowy do matki, a następnie do siostry. Żadna z nich nie odebrała, co go specjalnie nie zdziwiło. Wreszcie zatelefonował do Małego Tommy'ego. Powiedział mu, żeby jak najszybciej przyszedł do jego mieszkania i zaopiekował się Kirą.

Następnie wyszedł do Jaspera.

Joanie i Paulie siedzieli objęci ramionami na tylnym siedzeniu jaguara i śmiali się do rozpuku.

— Pamiętasz, Joanie, jak wiele lat temu pojechaliśmy do lasu i policjanci zaświecili nam latarką do samochodu, a ty krzyknęłaś: „Nie wysiądę z tego pojazdu, dopóki nie dostanę forsy”? — Znow wybuchnął śmiechem. — Pamiętasz ich miny? Och, jacy byli zaskoczeni!

Przyciągnął kobietę mocno do siebie, czując jej skórę na swojej ręce. Jej ciepło. Jej delikatność. W słabym świetle Joanie wyglądała jeszcze młodziej i niespodziewanie ujrzał w niej dziewczynę, którą była przed wielu laty, kiedy zjawiła się, żeby dla niego pracować. Już wtedy coś w sobie miała, chociaż tak naprawdę dla Pauliego zawsze było to coś nieokreślonego. Z całą pewnością wiedział tylko, że ją lubi, że lubi przebywać w jej towarzystwie.

— Musimy się zbierać, dziewczyno.

Wypowiedziawszy te słowa, nie wykonał żadnego ruchu, dlatego Joanie także nie zmieniła pozycji. Lubiła znajdować się przy nim tak samo, jak on uwielbiał być z nią.

— Dzięki, Paulie.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

— Za co?

Teraz uśmiechnęła się również Joanie.

— Za te ostatnie kilka tygodni ze mną.

Delikatnie pocałował ją w czoło.

— Jesteśmy dobrymi kumplami, Joanie, czyż nie? To się chyba nawet nazywa przyjaźnią, co?

Mówił raczej żartobliwym głosem, jakby nie chciał za bardzo się do niej zbliżyć ani psychicznie, ani fizycznie. Zawsze był taki w podobnych sytuacjach, a Joanie zastanawiała się, dlaczego to akceptuje.

Odsunął się, jakby się przeciągał. To z pozoru bez troskie zachowanie nie oszukało ani jego, ani jej. Joanie po cichu zaczęła się ubierać. Atmosfera w samochodzie znowu się zmieniła.

Joanie ciężko westchnęła.

Powinna była trzymać usta zamknięte na kłódkę, a nadal spokojnie by sobie leżeli w ciszy, ciesząc się nawzajem swoim towarzystwem. A tak... W pośpiechu powracali do realnego świata, i to wyłącznie z jej winy.

Och, ta jej niewyparzona gęba, zawsze wszystko psuła.

Kiedy Monika wróciła do domu, Bethany spała. Leżała skulona na kanapie, wyglądając bardzo dziecinnie. Monika, ogarnięta nagłym poczuciem winy, postanowiła przenieść ją na łóżko. Kiedy unosiła córkę, spod koca, który dziewczynka użyła jako poduszki i przykrycia, wysunął się pierścionek i pięćdziesiąt funtów.

Po nagłej pobudce Bethany szybko opowiedziała matce całą historię. Monika jednak nie przejęła się tym, że jej córka została złodziejką; bardziej zainteresował ją fakt, że Kirę, cudowne

dziecko swojej matki, zostawiono samą w domu. Cóż, cuda wciąż się jednak na tym świecie zdarzają.

Wciąż cierpiąca z zazdrości, po wysłuchaniu Bethany, Monika odzyskała humor. A więc Joanie opuściła Kirę, zostawiła dziecko mające trudności w nauce zupełnie same. Dla Moniki zabrzmiało to tak, jakby ona sama dokonała na Joanie słodkiej zemsty.

Joanie miała swoje dzieci, pracę, a teraz nawet tego tłustego bałwana na każde zawołanie. Pieprzona Joanie, kurwa nie lepsza od niej samej, Moniki. A mimo to wszyscy ją lubili, zawsze była lubiana.

Ale teraz Monika znalazła wreszcie rys na jej nieskazitelnym wizerunku i z pewnością to wykorzysta, powie wszystkim, że Joanie wcale nie jest taką idealną matką, za jaką chciała być uważana.

Do cholery, za kogo ta Joanie Brewer się uważała?

Smutnym fragmentem tych rozważań — Monika doskonale o tym wiedziała — było to, że cokolwiek by o niej powiedzieć, Joanie Brewer była dziesięciokrotnie lepszą matką niż ona sama mogła nią być teraz i w jakiegokolwiek przewidywalnej przyszłości. To bardzo bolało.

Starsza córka Moniki nie chciała z nią już mieć nic wspólnego, a wkrótce zapewne i Bethany opuści matkę i uda się w swoją stronę. Dla takich kobiet jak Monika życie było zawsze ciężkie, a ona sama czyniła je jeszcze cięższym, nie interesując się niczym poza sobą. Tak było zawsze, niestety. Jej dzieci pójdą w świat, a Monika, pozostawiona sama sobie, będzie mogła jedynie siedzieć w pustym mieszkaniu, z drinkiem w ręce.

Joanie weszła do bloku, w którym znajdowało się jej mieszkanie, szczęśliwa po wieczorze z Pauliem. Mimo że trochę ze-psuły go jej własne słowa, nieprzemyślany komentarz, wciąż miała dobry humor. Czowała na sobie zapach Pauliego i niechętnie myślała o chwili, gdy się wykąpie i go z siebie spłucze. Uwiel-

biała być z nim i świadomość, że kilka słów, zupełnie nie na miejscu, zakończyło miły wieczór, bolała ją. Powinna pamiętać, że aby być blisko Pauliego, należało udawać, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego. Paulie uwielbiał, kiedy udawała, że jest dla niej jedynie zwykłym kumplem. Dobrym kumplem, nikim więcej.

Przekroczywszy próg mieszkania, szeroko się uśmiechała. Paulie powiedział, żeby jutro wczesnym wieczorem pojawiła się w pracy. Był przekonany, że dobrze sobie poradzi w salonie, a Joanie cieszyła się z jego zaufania. Gdyby jeszcze tak dobrze szło jej z wychowywaniem dzieci i w ogóle w życiu prywatnym, naprawdę byłaby szczęśliwa. Na razie jednak miała obowiązek skoncentrować się na pracy i na tym, jak minie jutrzejszy dzień w salonie. Właściwie nie mogła się go już doczekać.

Kiedy zobaczyła twarz Jon Jona, w jednej chwili zrozumiała, że stało się coś cholernie złego.

— Co się dzieje?

W jej głosie nie było słychać rozpaczki lecz rezygnację. Patrząc na matkę, Jon Jon czuł smutek, mówiąc jej to, co musiał powiedzieć.

— Jeanette zostawiła ją zupełnie samą. Myślę, że podała Kirze jakieś tabletki, bo nie mogę jej dobudzić.

Do Joanie z trudem docierało znaczenie słów syna.

— Jeanette?! Co takiego zrobiła?!

Jon Jon westchnął i wyjaśnił jej wszystko jeszcze raz.

— Jeanette, nasza Jeanette, podała jakieś tabletki naszej Kirze? — mówiła to z niedowierzaniem, zupełnie załamany głosem. Wprost nie chciała wierzyć w to, co opowiada Jon Jon. A on powtórzył wszystko po raz kolejny, dodając więcej szczegółów.

— Gdzie ona jest? — zapytała słabym głosem, w którym jednak pojawiły się pierwsze nuty złości.

— Nie ma jej, mamo.

Joanie popatrzyła na syna z zaskoczeniem.

— Co to znaczy, że jej nie ma?

Jon Jon wzruszył ramionami.

— Wyrzuciłem ją z domu — powiedział ochryplym głosem. Joanie zacisnęła powieki.

— Co takiego zrobiłeś? — zapytała z niedowierzaniem. Jon Jon usiadł obok niej.

— Nie ma jej, mamó, i już nie wróci. Ani teraz, ani w ogóle nigdy. Dzisiaj w nocy przekroczyła linię, której przekraczać nie powinna, mała dwulicowa suka. Przyszła kobieta z opieki społecznej...

Ujrzał, jak matka blednie na twarzy. Potrząsnęła głową.

— Nie, Jon Jon, tylko mi nie mów, że ktoś z opieki zobaczył, że zostawiliśmy Kirę samą. Kurwa, tylko tego nam trzeba!

Wyjaśnił, jak opowiedział kobiecie, że nie było go w mieszkaniu jedynie przez dwadzieścia minut i że to on jest dorosłą osobą, która przez cały czas opiekuje się siostrą. Jak mógł, próbował uspokoić matkę, jednak prawdę trudno było ukryć.

— Nafaszerowała więc Kirę tabletkami?

Jon Jon pokiwał głową.

— Wszystko na to wskazuje, mamó. Znalazłem w jej szufladzie cztery tabletki temazepamu. Zakładam, że dostała je od swojej zasranej kumpeli z dołu. To kolejna pizda, której złożę wizytę.

Jego ostatnie słowa sprawiły, że Joanie zaczęła się zastanawiać, gdzie może być jej córka.

— Jasper?

Było to pytanie, jednak gdy wypowiedziała imię chłopaka, w jej głosie było słychać strach.

— Nie martw się, mamó, nic mu nie jest. Jeśli tak bardzo chce mieć Jeanette, będzie ją miał.

Joanie weszła do sypialni Kiry i popatrzyła na swoje najmłodsze dziecko. Nie wyglądała gorzej niż wtedy, kiedy ją widziała po raz ostatni. Dzięki Bogu, pech nie miał do tej dziewczynki dostępu. Wszystkie nieszczęścia, jakie się dotąd przydarzały Kirze, zwykle wychodziły jej później na dobre. Joanie miała nadzieję, że tak będzie zawsze.

Odgarnąwszy jej włosy z czoła i popatrzwszy na śliczną twarzyczkę dziewczynki, zaczęła się zastanawiać nad jej siostrą,

która potrafiła podać dziecku tabletki nasenne i zostawić samo w mieszkaniu, takie drobniutki i bezbronne. A wszystko dla tego bezwartościowego łajdaka, Jaspera Copesa.

Joanie wybaczyłaby starszej córce wiele, ale podanie Kirze temazepamu było kroplą, która przepełniła czarę goryczy. Skoro Jeanette tak mocno pragnie Jaspera Copesa, proszę bardzo. Niech sobie z nim żyje, niech bierze sobie go z całym dobrodziejstwem inwentarza, z jego wiecznie zapitą matką i rasistowskimi kumplami. Jediną odpowiedzialną osobą w tamtej rodzinie była Junie, siostra Jaspera. Biedaczka, przez całe życie musi znosić zapijaczoną matkę. Joanie współczuła jej, ponieważ sama była przez wiele lat w identycznej sytuacji. Teraz jednak śmierdzący dom Copesów i pijaństwo tej kobiety było także problemem Jeanette. Joanie miała pewność, że już nigdy nie zechce spojrzeć na swoją starszą córkę.

Czy ta dziewczyna była aż tak głupia, że nie zdawała sobie sprawy, iż jej pochodzenie zawsze będzie barierą pomiędzy nią a Jasperem? Jej ojciec był przecież muzułmaninem, miłym facetem, który jednak zbyt często wpadał we wściekłość. W każdym razie w Jeanette płynęła turecka krew i tak już będzie zawsze, czy dziewczyna będzie sobie tego życzyła, czy nie.

Jon Jon miał rację: niech Jeanette idzie sobie, dokąd chce. Joanie zrobiła dla niej wszystko, co mogła. Dziewczyna miała wkrótce skończyć piętnaście lat, a przecież już teraz trudno było sprawować nad nią kontrolę, a jeśli zastanowić się szczerze nad tym, Joanie zawsze miała z nią problemy. Jeanette od początku była egoistyczną arogantką i ignorantką, zapewne już nigdy się nie zmieni. Była też zazdrosna o to biedne dziecko, które wymagało mnóstwa pomocy. Ale to już koniec, koniec z tą pieprzoną egoistką, raz na zawsze.

Joanie zakryła twarz dłońmi i rozplakała się jak jeszcze nigdy w życiu. Przez całą noc funkcjonowała w niewytłumaczalnym przekonaniu, że jej życie znajduje się w punkcie zwrotnym. Gdy przebywała z Pauliem, była pewna, że chodzi o zmianę na lepsze. Teraz już wcale tej pewności nie miała.

Odnosiła wrażenie, że nad życiem jej rodziny zbiera się ciemna chmura. Choćby nie wiadomo jak wielką głupotą było dawanie wiary podobnym przekonaniom, chmura ta zdawała się w tej chwili bardziej realna niż którykolwiek z klientów, jacy przewinęli się pomiędzy jej nogami, a były ich przecież całe zastępy.

Gdyby teraz Jeanette stanęła przed nią, Joanie rozerwałaby ją na strzępy, dobrze więc, że córki tutaj nie było. Miała jedynie nadzieję, że Jasper Copes wart jest całego tego bólu, który zadała jej córka, ale Joanie była przekonana, że on nie był wart złamanego grosza.

Płakała przez całą noc, aż Jon Jon wreszcie na nią nakrzyczał nad ranem, ale w jego głosie usłyszała więcej frustracji i strachu niż złości.

Zmartwiona Joanie robiła wiele różnych rzeczy. Krzyczała, wrzeszczała, rzucała różnymi przedmiotami, a nawet płakała. Jednak wszystko zaczynało się od głębokiego szlochu. Jon Jon nie wiedział, jak z tym walczyć. Jak zмагаć się z którymkolwiek z elementów, składających się na smutek matki.

Paulie siedział w półmroku swojego gabinetu i popijał brandy, której co chwilę sobie dolewał z antycznej kryształowej karafki. Rozejrzał się wokół. W słabym świetle pokój wyglądał dość upiornie. Wiedział jednak, że dla większości ludzi, nawet gdyby nie uważali tego miejsca za komfortowe, byłoby to pomieszczenie godne wyłącznie podziwu. Z całą pewnością nie był to pokój, w którym należałoby siedzieć i odpoczywać. Paulie tak naprawdę nigdy nie odpoczywał we własnym domu. Zawsze czuł się tutaj jak ktoś z zewnątrz; szalone uczucie, ponieważ to on wspaniale wyposażył cały ten dom dla żony i córek. W niewy tłumaczalny sposób wszystkie się jednak od niego odseparowały. Żyły obok niego, a nie z nim. Paulie płacił za wszystko, a one uśmiechały się jedynie i od czasu do czasu za coś dziękowały. O córkach nie wiedział obecnie wiele więcej niż wtedy, kiedy były niemowlakami.

Żona i córki znów wyjechały na wieś. W ostatnich miesiącach

ciągle przebywały na wsi, jednak Paulie nie miał nic przeciwko temu. Wiedział, że powinien interweniować, ale nie miał ochoty. Kiedy były przy nim, nigdy nie wiedział, co mówić, jak się do nich zwracać. Dawniej dołączał do nich na weekendy, teraz zostawiał je same, od czasu do czasu rozmawiając z którąś przez telefon. Oczywiście, zazwyczaj wtedy, gdy jedna z nich czegoś potrzebowała. Zwykle miało to coś wspólnego z końmi albo z wycieczką, jaką planowały. Wiedział, że za plecami mówią o nim „Barclays”; kiedyś myśl o tym wywoływała nawet uśmiech na jego twarzy, teraz już nie. Było to bowiem zbyt prawdziwe.

Pomyślał o szalonym domu Joanie, a potem zaczął rozmyślać o własnym — z trzema wielkimi łazienkami i ogrodem, w którym mógłby się rozbić spory cyrk. Własny dom wydawał mu się sterylny, nieużywany. Nawet jego rodzona matka, podczas kilku okazji, kiedy pozwolił jej przyjechać, mawiała, że bardziej niż jej syn, to rodzina Borgiów nadawałaby się tutaj na gospodarzy.

Miała rację, i tyle. Nawet on czuł się tutaj jak niechciany pierd w zatłoczonej windzie, a przecież to był jego pierdolony dom, dom, do którego osobiście wszystko kupił i za wszystko zapłacił!

Nalał sobie kolejną porcję brandy i zapalił światło. Pokój niespodziewanie przybrał różową barwę i Paulie nagle postanowił pozapalać wszystkie światła, w całym domu. Śmiał się, naciskając po kolei wszystkie kontakty.

— Kurwa, a może sobie urządzę przyjęcie?

Biegał po wszystkich pokojach, po raz pierwszy oglądając je wszystkie w świetle żarówek. Lampy stojące, lampy na stolikach, żyrandole, nawet lampy w ogrodzie — włączał dosłownie wszystkie. Wreszcie wybiegł na podjazd i popatrzył na swój dom. Wyglądał naprawdę zapraszająco. Paulie jeszcze nigdy go takim nie widział.

Znalazłszy się z powrotem w środku, znów nalał sobie brandy i wychylił zawartość kieliszka jednym haustem. Zakaszłał gwałtownie, kiedy płyn, spływający do żołądka, zaczął go palić w gardle.

Zaczął się zastanawiać, co o tym domu pomyślałaby Joanie. Pokochałaby go, tyle wiedział. Ale co by powiedziała, gdyby na-

gle oznajmił jej, że w gruncie rzeczy woli jej mieszkanie, jej towarzystwo i jej szaloną kolekcję przedmiotów przeznaczonych na wspaniałe przyjęcia oraz jej hałaśliwe dzieciaki, które, chociaż bękarty, wprost przepadają za swoją matką?

Było mu przykro, że ją zostawił tak wcześnie. Wybierał się do klubu w King's Cross, którego właścicielem był jego kumpel, jednak w ostatniej chwili zrezygnował. Żałował, że nie ma przy nim teraz Joanie. Mogliby wesoło się śmiać i wspominać dawne dni.

To było naprawdę szalone. Miał wszystko, czego by pragnął ktoś inny na jego miejscu. Pieniądze, prestiż, był znany i cieszył się szacunkiem. W restauracjach siadał tylko przy najlepszych stolikach. Mimo to brakowało mu towarzystwa taniej dziwki, która miała trójkę dzieciaków po trzech różnych ojcach i która za kilka funciaków sprzedawała swoje dupsko każdemu, kto miał tylko na nie ochotę.

Poczuł, jak do oczu napływają mu łzy.

Jakie zakręty musiał pokonać w życiu, skoro syn Joanie znał w tej chwili dla niego więcej niż krew z jego własnej krwi, skoro był dla niego jak syn, którego przecież nigdy nie miał. A przecież nawet gdyby spłodził syna, wiedział, że chłopak w krótkim czasie stałby się dla ojca równie obojętny jak obie córki. Już Sylvia by tego dopilnowała.

Miłości nie było po obu stronach. Nie kochał córek, a teraz, chcąc być szczerym wobec samego siebie, musiał przyznać, że one także go nie kochają.

Paulie westchnął.

A właściwie kogo by miały kochać? Ktoś mu już kiedyś powiedział, że jest tylko oszukańczym, przebiegłym alfonsem. Ile razy tak go określano? Z pewnością zbyt wiele. Przed laty wzbudzało to w nim jedynie śmiech. Teraz jednak sprawiało ból. Czasami, jak dzisiejszej nocy, bolało tak bardzo, że cierpienie było niemal fizyczne.

Położył głowę na oparciu krzesła i zaczął bez końca powtarzać jedno jedyne słowo:

— Joanie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

— Mówię ci, coś tam się działo ostatniej nocy.

Joseph bez zainteresowania słuchał nieprzerwanych wywodów syna, zadowolony, że spędza w tym mieszkaniu ostatni dzień i — co za tym idzie — po raz ostatni wysłuchuje opowieści o nowych przyjaciółach syna, Brewerach.

Bolało go, że z ich powodu jego własne zachowanie schodziło w oczach Tommy'ego w cień. Już nie liczyło się ani to, co mówił, ani to, czego chciał. Jego gwałtowne ataki na syna stały się rzadsze, ponieważ, gdyby nie daj Boże naraził się opiekunowi do dziecka, Jon Jon Brewer potrafiłby szybko go ustawić. Joseph wprost nie mógł się doczekać, kiedy stąd odejdzie. Jego syn nie mógł się doczekać tego samego. Obaj czekali na to z różnych powodów i każdy znał motywację drugiego.

Zawarli jednak pokój i — jak dotąd — rozejm funkcjonował.

— Uważam, że Jeanette jest taką małą klaczą, chyba rozumiesz, tato, o co mi chodzi? Ta dziewczyna powoduje jedynie kłopoty.

Joseph wyłączył się, bezustanny jazgot syna nie docierał do niego, a jednak mężczyzna powrócił do rzeczywistości, kiedy usłyszał o planach Tommy'ego wobec Kiry.

— Bądź ostrożny z tą dziewczynką. Pamiętasz ostatni raz, te kłopoty?

Syn zamarł i popatrzył tym swoim, pozbawionym choćby jednego mrugnięcia, martwym spojrzeniem, jakie Mały Tommy miał już od dziecka. Było denerwujące, jakby w Josepha wpatrywały się oczy, za którymi całkowicie brakuje myśli, mózgu.

Tommy niespodziewanie poruszył się. Podparł się łokciami na stole kuchennym i popatrzył Josephowi prosto w twarz.

— Nie — wycedził. — To ty wciąż o tym pamiętasz, ciągle do tego wracasz. Kira i ja to coś zupełnie nadzwyczajnego. Ale nie w złym znaczeniu. Tego typu miłość zostawiam zboczeńcom.

— Zupełnie nie wiesz, co to jest miłość.

Tommy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— A może chcesz powiedzieć, że ty wiesz?

Ojciec opuścił wzrok jako pierwszy i obaj to zauważyli. W tej chwili Joseph pragnął opuścić to miejsce, raz i na zawsze.

Niespodziewanie nastąpiła w tym mieszkaniu zamiana ról i teraz syn był osobą, która podejmowała decyzje. Już sam ten fakt sprawiał, że Joseph czuł się w towarzystwie Tommy'ego jakby nie na miejscu. Minęło mnóstwo czasu, zanim zdołał całkowicie podporządkować sobie żonę, ale syn był łatwą ofiarą. Teraz odnosił wrażenie, że Tommy jakby wyskoczył nagle z jakiegoś kokonu i na świecie pojawiła się nowa, silna osobowość, co prawda w ohydny opakowaniu.

Tak, był już najwyższy czas, żeby Joseph sobie stąd poszedł.

— Przy okazji, powiedz swojej ukochanej, że wpadnę do was z wizytą, kiedy już się urządzicie.

Słowa zabrzmiały jak groźba i obaj mężczyźni zdawali sobie z tego sprawę. Nagle ucichli. Zapadła ciężka, nieprzyjemna cisza, strasznie oddziałująca na nerwy.

Heidi Marks uważnie czytała raport, który niedawno otrzymała. Wynikało z niego, że Kira Brewer trafiła do szpitala w stanie zatrucia alkoholem, jednak personel przyjął, że był to tylko jednorazowy wypadek. Tymczasem rutynowa kontrola wykazała, że dziecko prawdopodobnie nafaszerowano jakimiś środkami farmaceutycznymi i bez wątplenia pozostawiono zupełnie same w domu. Brat Kiry, którego już zdążyła poznać, a który miał na policji kartotekę o grubości książki telefonicznej, powiedział, że dziewczynka znajdowała się pod opieką starszej siostry (która

także miała sporą kartotekę) i że jego samego nie było w mieszkaniu tylko przez dwadzieścia minut. Przypuszczał, że starsza siostra, Jeanette, wyszła z mieszkania właśnie po to, żeby go poszukać.

Wszystko to można było przyjąć jako prawdopodobne, jednak pozostawał niezaprzeczalny fakt, że dziecko bez przytomności leżało w mieszkaniu. Opiekunka społeczna napisała wyrażenie, wielkimi czerwonymi literami, że „dziecko wygląda na odurzone środkami farmakologicznymi albo pijane, albo i to, i to jednocześnie”. Wiadomo było, że z alkoholem Kira miała już do czynienia.

Starsze dzieci znajdowały się już przed laty w kręgu zainteresowania opieki społecznej, a to w związku z oskarżeniem matki o prostytutkę. Wydawało się jednak, że Joanie Brewer była w pewnym sensie dobrą matką. Anomalia i niedorzeczność polegała w jej środowisku na tym, że większość dzieci prostitutek chodziła dobrze ubrana i dobrze odżywiona, ponieważ kobiety te uprawiały swój zawód głównie ze względu na konieczność utrzymania potomstwa.

Starsze dzieci były typowe, jeśli wziąć pod uwagę ich wiek i pochodzenie. Chodziły na wagary, dokonywały drobnych kradzieży, wydawały się jednak już na tyle dorosłe, że mogły samodzielnie przetrwać w swoim świecie. Jeanette Brewer wielokrotnie uciekała z domu i znikwała z pola widzenia opieki społecznej. Przebywała już w kilku domach opieki, niemal w całym kraju, a jednak zwykle po jednej nocy uciekała i złapana odmawiała dobrowolnego powrotu. To samo było z chłopakiem, Jon Jonem. Właściwie, co to w ogóle za imię?

Ale najmłodsze dziecko Joanie Brewer nigdy nie miało do czynienia z opieką. Ani dnia nie przebywało pod jej nadzorem i aż do teraz nie zwracało na siebie uwagi. Szkoła informowała, że dziewczynka dobrze się zachowuje, jest zadbana i dobrze odżywiona, jedynie ma kłopoty z nauką, ale to z powodu wrodzonej wady. W zasadzie chodzi znacznie porządniej ubrana i zapewne odżywiana jest lepiej niż wielu jej rówieśników. Stara się, nie opuszcza lekcji, jest lubianą i zrównoważoną dziew-

czynką. Szkoła utrzymywała też, że rodzina bardzo o nią dba, mimo że jest dzieckiem lekko cofniętym w rozwoju. Niemal zawsze odprowadzano ją do szkoły i ze szkoły, a jej matka jest opiekuńczą osobą i bezustannie interesuje się wynikami córki w nauce.

Co więc było grane?

Heidi uznała, że musi wszystko starannie przemyśleć przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji. Pomyślała jednak, że skoro pozostałe dzieci Joanie Brewer bez wątpienia muszą być uważnie obserwowane, to jedno po prostu w jakiś sposób precyzyjnie się przez wąskie oczka sieci opieki społecznej. Wielokrotnie uważnie przeczytała wszystkie zapiski na temat całej trójki. W tej rodzinie działo się coś złego, jednak mimo że się bardzo starała, nie potrafiła dojść do sedna sprawy. Miała w mózgu doskonały wykrywacz anomalii, który pracował nawet po godzinach, gdy rozmyślała nad sprawami zawodowymi.

Matka, jak zrozumiała, przechodziła właśnie na pełne legalne zatrudnienie; rzecz niemal nieosiągalna dla prostytutek, które na zawsze pochłaniał zawód przynoszący — jak wszystkie początkowo zakładały — łatwe pieniądze. Łatwo zarobione pieniądze łatwo się wydawało, ta rzecz została udowodniona raz na zawsze. Heidi często odwiedzała kobiety, które zarabiały w ciągu nocy setki funtów, a jednak wciąż nie miały w domach kromki chleba dla dzieci albo nie dbały o to, żeby kupować im jakieś porządne buty.

Później wpadały w alkoholizm lub zaczynały brać narkotyki, albo jedno i drugie równocześnie. Większość sprzedawała się coraz taniej i taniej, bo przecież nie nauczyły się w życiu żadnej innej pracy niż ta, która na początku przynosiła mnóstwo pieniędzy.

Było to brutalne, piekielne koło.

Mężczyźni byli szczęściarzami; Heidi zawsze tak uważała. Choćby popatrzeć na tę biedną kobietę: trójka dzieci i żadnego mężczyzny na horyzoncie, samodzielnie więc odpowiadała za opiekę nad nimi, a tymczasem ich ojcowie brnęli przez życie,

zapładniając kolejne kobiety, a potem przenosząc się do następnych, nie poświęcając dzieciom, które za sobą pozostawiali, ani jednej myśli. Często nawet nie wiedzieli, że coś po nich zostało, poza brudnymi skarpetkami i starą koszulą. Tymczasem rezultatem ich chuci były żywe, myślące, oddychające osoby, które musiały potem brnąć przez życie z piętnem ludzi, których ojcowie są nieznani. Życie kopało te biedaczyska bezlitośnie.

Na myśl o nich Heidi Marks ogarniał smutek, ale często bywała smutna. Cóż, taka praca.

Joanie była znowu w pracy, zadowolona z tego na tyle, na ile w ogóle mogła odczuwać zadowolenie, zważywszy na ostatnie wydarzenia w domu. Najbardziej martwiła ją własna niechęć wobec ewentualności spotkania się z Jeanette. W gruncie rzeczy straciła wszelkie zainteresowanie starszą córką.

Mieszkanie było bez niej spokojniejsze, skończyły się wszelkie kłótnie. Było zadziwiające, jaka pustka może powstać po jednej osobie w ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin. Lecz chociaż nikt nie powiedział tego głośno, od czasu kiedy Jeanette sobie poszła, życie rodziny bez jej ustawicznego zrzędzenia zaczęło układać się lepiej.

Mimo że czuła się winna wobec niej, Joanie starała się odłożyć na bok wszelkie uczucia i emocje związane ze starszą córką. Było to zabawne, lecz w pewien sposób mogła w końcu zrozumieć swoją matkę. Sama Joanie stawała się we własnych myślach Jeanette, ale nie bez przyczyny. Wiedziała, że rząd mężczyzn, którzy szybko przeszli przez jej młode życie z powodu nieustannych randek matki, na której się wzorowała, odbijał się później w jej własnym postępowaniu i w postępowaniu jej dzieci. Pamiętała liczne podrywy na jedną noc, okazjonalne, tygodniowe związki i bezustanne, nieuchronne zdrady oraz towarzyszący im ból po odejściu mężczyzn, zwykle ze wszystkimi pieniędzmi z portmonetki i jakimiś cenniejszymi przedmiotami z mieszkania. Próbowała jednak wyrzucić te myśli z głowy. Przecież Paulie zosta-

wał na dłużej, i to jako jedyny spośród wielu mężczyzn. Tak, w końcu ją porzucił, ale przecież zawsze wracał. Taka była reguła, o czym znów się przekonała w ostatnich dniach.

W przeciwieństwie do matki Joanie próbowała wskazywać dzieciom lepszą drogę i było to widoczne głównie w jej postępowaniu wobec Kiry. Dziewczynka otrzymywała wiele rzeczy, do jakich Joanie i jej pozostałe dzieci nigdy nie mieli dostępu. Joanie miała wobec niej zdecydowane plany na przyszłość i bardzo się starała, żeby je wprowadzić w życie. W chwili gdy nad jej mieszkaniem zawisła ciemna chmura zainteresowania opieki społecznej, postanowiła zająć się wynajęciem innego, ładniejszego lokum, w znacznie lepszej okolicy.

To zapewniłoby dorastającej Kirze lepsze szanse w życiu, przede wszystkim spotykałaby się ze znacznie ciekawszymi, normalnymi ludźmi. Ludźmi mającymi porządną pracę i porządnie idącymi przez życie. Jon Jon całkowicie się zgadzał z Joanie i obiecał jej pomoc. Mówił nawet o kupieniu czegoś w przyszłości. Już sama myśl o tym sprawiała, że Joanie drżała z radości.

Tak, Jon Jon mógłby to zrealizować. Ten chłopak zdolny był zrobić wszystko, co zaplanował. Wywierał wrażenie nawet na Pauliem, który teraz wszędzie go ze sobą zabierał. O Jon Jonie bardzo dobrze świadczył fakt, że nie sprzął Jaspera ponownie. Nauczył się panować nad sobą. Joanie była pewna, że to efekt wpływu Pauliego.

W jej ogródku wszystko zaczynało układać się znakomicie. Jedyny cień kładła na niego osoba Jeanette. Ale za każdym razem, kiedy Joanie myślała o tym, że Jeanette podała jej najdroższemu dziecku temazepam, jej serce twardniało; dla starszej córki nie było już w nim miejsca.

Jeanette sama wybrała drogę, sama pościeliła sobie łóżko, w którym zamierzała sypiać. I proszę bardzo, niech teraz z niego korzysta ile dusza zapagnie, nikt jej nie będzie przeszkadzał. Niech przebywa w towarzystwie Karen Copes tak długo, aż sama zostanie pijaczką. Tak, to by było dla niej właściwą karą.

*

Liz Parker wychodziła właśnie z mieszkania do pracy, kiedy dostrzegła Pippy'ego Lighta opartego o płot kilka domów dalej.

Westchnęła ciężko.

Tego jej jeszcze brakowało. Przecież była już spóźniona.

Pippy uśmiechnął się do niej leniwie — zdumiewający facet, który na swój dziwaczny sposób mógł nawet wyglądać niewinnie i przystojnie, a potrafił być równie szalony jak bajkowy kapełusznik. Tak, Pippy był szalony. Nie ułomny umysłowo, bynajmniej nie chory, ale po prostu szalony. Spoczywała na nim odpowiedzialność za znacznie więcej gwałtownych napaści na ludzi niż na Saddamie Husajnie i wszystkich jego poplecznikach razem wziętych. Nie był zbyt dobrze zbudowany, nie emanował siłą fizyczną, lecz po prostu totalnie gardził ludzkim życiem, nie wyłączając własnego. Graniczyło to z manią. Gdyby, chcąc kogoś zabić, sam musiał zginąć, żeby osiągnąć swój cel, z pewnością by się nie zawahał.

Zrozumiałe więc, że podchodząc do niego, Liz była bardzo ostrożna.

— Proszę cię, Pippy...

Szeroko się uśmiechał, wyciągając dłoń ze starannie wypielegnowanymi paznokciami. Niedawno wypalił kilka skrętów, sprawiał więc wrażenie stosunkowo rozluźnionego. Liz dziękowała Bogu chociaż za to.

— W porządku, Liz. Wiem, że pracujesz dla Martina i mogę cię jedynie pochwalić za dobry wybór alfonsa — sarkazm w jego głosie był aż nadto słyszalny. — Oddasz mi tylko przysługę, którą w końcu jesteś mi winna, dziewczyno.

Pokiwała potakująco głową, ponieważ — o czym oboje dobrze wiedzieli — nie miała innego wyboru.

Pippy znów się uśmiechnął.

— Poproszono mnie, żebym zapewnił rozrywkę kilku biznesmenom, którzy od czasu do czasu odwiedzają miasto.

Liz znów pokiwała głową, mimo że niemal zebrało się jej na wymioty. Jasne było, że to właśnie ona ma stanowić rozrywkę

dla biznesmenów, i to dla wszystkich naraz. Zapowiadał się kolejny seans grupowego seksu, obecnie bardzo popularnego. W ten sposób Pippy karał ją, osobiście jej nie dotykając. Mogła się jedynie pocieszać, znając jego temperament, że i tak nie ma z nim najcięższego życia.

— Będzie ich od siedmiu do dziesięciu i zrobisz dla nich, o co poproszą. Chcę, żebyś o dziewiątej była u Jesmonda, w porządku?

Kolejny raz skinęła potakująco.

Pippy chichotał, obserwując jej twarz.

Jesmond był potężnie zbudowanym Murzynem, który zajmował się dosłownie wszystkim. Kiedy ktoś czegoś potrzebował, Jesmond bez zbędnych słów dostarczał to niemal natychmiast. Jeśli chodzi o wszelkie zboczenia i odchyłki od normy, Pippy i Jesmond byli pokrewnymi duszami. Doskonale razem współpracowali. Jesmond był jedyną osobą, która miała jakikolwiek wpływ na Pippy'ego, a to tylko dlatego, że był równie jak Pippy szalony. Na korzyść Jesmonda trzeba jednak zapisać, że od dłuższego czasu miał tę samą dziewczynę oraz dwójkę dzieci, które po prostu uwielbiał.

Z drugiej strony, Pippy nie miał nikogo, komu by na nim zależało, i też jemu samemu nie zależało na nikim. Liz wiedziała, że będzie się musiała gęsto tłumaczyć, nie przychodząc dzisiaj do pracy, stwierdziła jednak, że skoro ma to być tylko jednorazowa sprawa, jakoś się z tego wykaraska.

Kiedys grupowy seks był jej popisowym numerem. Szybko, w wieku trzynastu lat, uciekła z domu dziecka i równie szybko pograżyła się w ohydny świat dziecięcej prostytucji. W świecie, który początkowo pochłonał ją bez reszty, ponieważ pieniądze, które zarabiała, dawały jej wolność, a mężczyźni, z którymi miała do czynienia, traktowali ją jak królową. Wkrótce jednak przestali być dla niej mili, a i płacić zaczęli coraz mniej.

Nie wiedziała, że to, co się jej przytrafiło, było właściwie regułą. Jeśli małym dziewczynkom i chłopcom na początek da się miłość i uczucie, pieniądze i pewien status, wtedy — gdy

początkowo czuli się bardzo bezpieczni — można już stopniowo traktować ich coraz gorzej, wprawiać w niepewność, że ich miejsca mogą zająć inne, ładniejsze dziewczęta i ładniejsi chłopcy. Oto doskonała recepta na katastrofę na wielką skalę, ale katastrofę bardzo dla kogoś lukratywną.

Liz wierzyła kiedyś, że uczy się życia i bardzo późno zrozumiała, że praktycznie nie umie nic. Oczywiście poza tym, jak manipulować mężczyznami dla pieniędzy i jak wykorzystywać własne ciało, żeby mieć z niego jak największe dochody.

W związku z seksem nie miewała żadnych prawdziwych doznań, a emocjonalnie mieszała seks z miłością podczas tych kilku okazji, gdy jakiś mężczyzna okazał nią jakiegokolwiek normalne, zdrowe zainteresowanie. Dawła sobie jednak ze sobą radę i życie jakoś trwało. Czasami zastanawiała się, jak to się mogło stać, że nagle została dziewczyną zdaną na niełaszkę i okrucieństwo takich Pippych i Jesmondów, największych gównien tego świata. Akceptowała jednak siebie w tej roli, w końcu kiedyś sama nieodwołalnie ją dla siebie wybrała. Bez przerwy więc powtarzała sobie, że musi do niej raz na zawsze przywyknąć i ją zaakceptować.

Miała jednak podstawy, aby przypuszczać, że wkrótce przynajmniej Pippy pozostanie jedynie jej odległym wspomnieniem. Postanowiła więc jeszcze raz dzisiaj zacisnąć zęby i przez cały czas uśmiechać się do obracających ją facetów z uzasadnioną nadzieją, że tego dnia uczestniczyć będzie w grupowym seksie po raz ostatni.

Jeśli tylko uda się jej odczepić od Pippy'ego i sprawić, że przestanie wykorzystywać ją do seansów grupowego seksu, nie będzie dzisiejszego uśmiechu ani trochę żałowała.

Tommy prezentował Kirze sypialnię, w której wcześniej sypiał jego ojciec. Kupił nowe farby do ścian, jasnoróżowe i jeszcze jaśniejsze do drzwi kredensu. Tutaj miał się znajdować pokój Barbie. Gdy o tym powiedział Kirze, ta wpadła w entuzjazm.

Od niepamiętnych czasów Tommy kupował magazyn „Barbie”. Przechowywał każdy egzemplarz i każdy plakat umieszczony na rozkładówce. Teraz postanowił, że plakaty zawisną na ścianach. W odpowiednich ramkach, oczywiście, a nie przyklepione do nich klejem albo jakąś obskurną taśmą.

Kira widziała to już oczyma wyobraźni i podpowiadała Tommy’emu, gdzie powinien układać lalki i ich ekwipunek. Spełniał się zarówno jej sen, jak i sen Małego Tommy’ego.

— Jak się czujesz, maleństwo?

Kira uśmiechnęła się.

— Lepiej niż kiedykolwiek, Tommy.

Popatrzył w jej niebieskie oczy i oddech uwiązł mu w gardle. Była naprawdę prześliczna. Wziął do ręki Barbie — Kopciuszka, przytrzymał przy jej twarzyczce i powiedział ze smutkiem:

— Jesteście do siebie tak podobne jak lustrzane odbicia.

Tommy przycisnął Kirę do siebie, a ona oddała mu uścisk.

— A teraz zejdę do sklepu i kupię dla nas coś do jedzenia. Kiedy wrócę, pomożesz mi zaplanować dla niej jakieś biuro. Barbie musi mieć przecież swoje biuro, co?

Kira pokiwała głową.

— Pomyślałam też, Tommy, jeśli nie masz nic przeciwko temu, że moglibyśmy umieścić tutaj całą jej garderobę, a wszystkie małe buciki i torby można by posegregować tematycznie.

— Doskonały pomysł, Kiro. Możesz zacząć je segregować, a ja tymczasem wyskoczę po jakiś posiłek, zgoda?

Kira uśmiechnęła się radośnie.

— Jasne.

Zostawił ją, klęczącą na podłodze w sypialni, wyrzucającą zawartość pudełek na podłogę. Do sklepu gnał jak szalony. Teraz, kiedy ojca już nie było, życie robiło się fantastyczne. Absolutnie fantastyczne. Miał teraz we własnym mieszkaniu tyle wolności! Już nie musiał się martwić, że jego ukochane Barbie zostaną obsikane, nie musiał uważać, żeby nie zobaczył ich ojciec.

Mały Tommy wprost szalał z radości.

*

Detektyw inspektor Baxter pił w policyjnej kantynie herbatę, rozmyślając o Jon Jonie Brewerze i jego ostatniej małej eskapadzie. Jak zwykle, nie miał na niego prawie nic, a przynajmniej nic konkretnego. Na dodatek teraz, kiedy skumplował się z Martinem, był niemal nietykalny. Paulie Martin był pod pewnymi względami filarem społeczeństwa, jego fotografie widywało się w gazetach, gdy podejmował kolejne inicjatywy dobroczynne, a przecież powszechnie wiadano, że jest alfonsem dla większej liczby dziewczyn, niż ich było w Sodomie i Gomorze razem wziętych.

Baxtera niemal zalała żółć, kiedy zorientował się, że i on sam kilkakrotnie skorzystał z dobroczynności Martina. Właściwie to każdy z niej skorzystał przy jakiejś okazji. Jeśli ktoś chciał zdobyć poszukiwane bilety na walki bokserskie, Martin je załatwiał, i to za wcale niewygórowaną cenę. Mógł nawet zaaranżować spotkanie z zawodnikami w szatni i wspólną fotografię, a za to już w ogóle nie brał pieniędzy. W pewnym sensie ten Martin był dobrym facetem. Nie znaczyło jednak, że po raz kolejny ujdzie mu płazem skandaliczne zachowanie.

Ale pieprzyć Martina, Baxterowi chodziło o Jon Jona Brewera. Ten oślizły, mały drań zdobywał stopniowo taką sławę, że jej smród docierał już do każdego komisariatu po tej stronie rzeki.

Ale Baxter poczeka. Będzie uważnie go obserwował i czekał. Carty wyszedł już ze szpitala, wyszedł z niego również Jasper Copes. Coś w końcu się wydarzy; takie było nieubłagane prawo ulicy.

— Co ja powiedziałam? Posprzątaj tę kabinę!

Dziewczyna była na prochach, ale nie aż tak mocnych, żeby nie wiedzieć, co się dookoła dzieje.

— Już ją dzisiaj sprzątałam, Joanie — powiedziała to przyjaznym tonem, choć w jej słowach dało się wyczuć nutę buntu. Joanie starała się utrzymywać salon w o wiele większej czystości, niż czyniła to Leniwa Caroline. Większości dziewcząt to się podobało. Jednak jedna lub dwie wciąż nie potrafiły dostosować się do nowych zasad, mimo że od czasu, gdy salon masa-

zu objęła Joanie, nawet powietrze było tu znacznie przyjemniejsze niż wcześniej.

Joanie uśmiechnęła się, rozbijając tym dziewczynę, która stała przed nią.

— Nie bądź palantem, dziewczyno. Spryskaj wszystko sprayem i przejedź jeszcze raz suchą szmatą. Chyba tak wiele nie wymagam? Nie przyślę tu ani jednego klienta, zanim tego nie zrobisz, Deirdre, zgoda?

Deirdre westchnęła i pokiwała głową.

— Już dobrze. Ale to robota głupiego, bo za chwilę będzie tu tłusto od olejków i jeszcze nie wiadomo czego.

Joanie wzruszyła ramionami.

— Zbierz także opakowania po kondomach i przetrzyj podłogę, zanim ktoś wywinie orła i zaskarży nas w sądzie za to, że złamał sobie chuja albo cokolwiek innego!

Deirdre nie miała wyjścia i zabrała się do czyszczenia kabiny. Cokolwiek by powiedzieć o Joanie, trzeba przyznać, że była dowcipną kobietą. Tymczasem Joanie wróciła do biura.

Zadzwoił telefon i podniosła słuchawkę. Ten fragment swojej pracy po prostu uwielbiała. Odbierała telefony, jakby była prawdziwą sekretarką.

Jon Jon i Sippy popijali piwo w pubie Mad Hatter na South Bank. Pub był miły i mieli tutaj gwarancję, że nie spotkają nikogo znajomego. Informując się nawzajem o szczegółach, czym się obecnie zajmują i jak zwykle, omawiając wspólne interesy, tworzyli dziwną parę. Tymczasem dwie dziewczyny, prawdopodobnie Szwedki, dawały im jednoznaczne sygnały, jednak próbowali je ignorować, dopóki nie skończyli rozmowy o interesach.

Sippy był zadowolony z nowego statusu Jon Jona, tym bardziej że sam przewidział jego awans. Ważne stanowiska przypadały w tych czasach coraz młodszym ludziom, ponieważ wysokie wyroki, jakie ferowali sędziowie, usuwały starszych z ulic szybko i skutecznie. W efekcie obaj mieli przyjaciół tylko trochę

od siebie starszych, którzy przebywali w więzieniach, a to powodowało, że z większą rozwagą musieli pilnować własnych interesów. Jeśli zostaną złapani — wiedzieli o tym doskonale — będą skończeni raz na zawsze. Sippy'ego otaczała szeroka sieć ludzi, przez których policja musiałaby przebrnąć, zanim by go dostała w łapy; radził Jon Jonowi, żeby ustawił się podobnie. A Jon Jon uważnie słuchał wszystkiego, co mówił jego mentor i przyjaciel.

— Jak się ma Liz?

Jon Jon wzruszył ramionami.

— Nie wiem. I nic mnie to nie obchodzi.

Sippy mu nie uwierzył, widać to było po jego minie.

— Słyszałem, że wciąż pracuje od czasu do czasu dla tego Pippy'ego. Uważaj na tego drania, to szaleniec.

Jon Jon znów wzruszył ramionami.

— To wolny kraj.

Sippy roześmiał się.

— Uważaj także na Liz. To jedna z tych dziewcząt, które nie potrafią albo nie chcą być lojalne. Kurwy bywają albo takie właśnie, albo lojalne aż do bólu. Szczególnie wobec swoich alfonsów. Po prostu miej się przy niej na baczności. Pippy trzyma się z tym Jesmondem, a ten jest bardzo nieprzyjemny dla kobiet, szczególnie dla białych.

Sippy w jednej chwili zdał sobie sprawę z tego, co powiedział. Matka Jon Jona była kurwą i była biała, lecz często o tym zapomniał, wiedząc, że Jon Jon nie przyjmie jego słów jako obelgi.

Jon Jon znów wzruszył ramionami, tym razem z przesadą okazując swoją obojętność.

— Pippy mnie, kurwa, nie przestraszy.

Sippy roześmiał się głośno.

— Nie? A, kurwa, powinien, bo ja też się go boję. Zabrałeś mu coś i facet robi wszystko, żeby dać ci nauczkę. Paulie Martin nie ma w tym wypadku żadnego znaczenia.

— Niech więc spróbuje. Lubię wyzwania.

Obaj się roześmieli, ponieważ Sippy wiedział, że im więcej ludzi dostanie od Jon Jona nauczkę, tym lepiej. Pozycja w ich

interesie opierała się jedynie na osobistej reputacji. To dzięki reputacji można było zarabiać ciężkie pieniądze i lojalność innych ludzi.

Paulie jadł kolacją razem z żoną. Uważnie obserwował ją, jak znosi na stół kolejne talerze. Stół podczas posiłku wyglądał, jak zwykle, fantastycznie. Serwis do kolacji kosztował go małą fortunę. Kupił go kiedyś żonie na Boże Narodzenie i wydatek wydawał się wart chociażby wyrazu radości, jaki zagościł wówczas na jej twarzy.

Upominki i w ogóle różne przedmioty Sylvię uszczęśliwiały. Miłe przedmioty.

Dzisiaj przyrządzili na grillu stek z grzybami, pomidorami i domowej roboty, grubo krojonymi frytkami. Jedli także sałatkę, kukurydzę prażoną na maśle i jeszcze trzy inne warzywa: brokuły i kalafiora w bogato przyprawionym, kremowym sosie serowym oraz groch. Jedzenia było tyle, że mogliby wykarmić małą armię. Dziewczynki spędzały noc u koleżanek, a więc większość tego, co przygotowali, miała się zmarnować.

Na jednym z talerzy znalazło się znacznie więcej potraw niż na innych. Paulie uśmiechnął się na jego widok, gdyż wiedział, że to talerz Sylvii. Jego żona była chyba najbardziej żarłoczną kobietą w całej Anglii.

— Masz już dosyć, Sylv? Jeśli nie, to powiedz, bo nie zamierzam ci pozwolić na śmierć głodową.

Żartował, oczywiście, i Sylvia doskonale o tym wiedziała, a mimo to jego słowa ją rozzłościły. Przede wszystkim na imię miała Sylvia; to bardzo ładne imię i często zastanawiała się, dlaczego Paulie ma takie opory przed wymawianiem go w całości.

— Ochrzczono mnie jako Sylvię, wyszłam za mąż jako Sylvia, na imię mam Sylvia — warknęła.

Mówiła to do niego nie pierwszy już raz. Sarkazm w jej słowach był wyraźnie wyczuwalny. Złościła go tym, bo w końcu taka była jej intencja.

Paulie rozsiadł się wygodniej na krześle i zmierzył żonę uważnym wzrokiem. Gdy z wielkim łakomstwem pakowała w siebie jedzenie, patrzył na nią, jakby widział tę kobietę po raz pierwszy w życiu. Jej szerokie usta niemal rzucały się na widelec. Joanie jadała o wiele ładniej niż Sylvia. Sylvia może była i ocytana, i inteligentna, jednak zazwyczaj jadała jak zwierzę. Nagle spojrzała na Pauliego, zauważywszy, że jest obserwowana i widelec zastygł w połowie drogi do ust.

— Co znowu? — odezwała się do niego jak do krnąbrnego dziecka.

— Chcesz mnie znów rozśmieszyć, Sylvio? — Zawsze się z niej śmiał, kiedy zapominała się i jadła żarłocznie. — Zwolnij. Każdy, kto na ciebie spojrzy, pomyśli, że jesz tak łapczywie, bo się boisz, że ktoś zaraz ci sprzątnie jedzenie sprzed nosa.

Przez długą chwilę oboje mierzyli się wzrokiem.

Sylvia potrafiła wytrzymać spojrzenie Pauliego, była w tym dobra. Kiedyś, kiedy jeszcze oboje udawali, że się lubią, taka wymiana spojrzeń zawsze kończyła się jego gromkim śmiechem.

Teraz jednak Sylvia odłożyła widelec na talerz i powiedziała obojętnym tonem:

— Naprawdę chcesz wiedzieć, dlaczego tak szybko jem, Paul?

Pokiwał twierdząco głową. Odnosił wrażenie, że dzieje się pomiędzy nimi coś, czego do końca nie jest świadomy. Coś ukrytego; gotów był postawić na to duże pieniądze. Tkwiło to w głosie jego żony i sposobie, w jaki dobierała słowa.

Głęboko odetchnęła, jakby zbierała w sobie odwagę.

— Jem bardzo szybko, ponieważ nie zamierzam siedzieć w twoim towarzystwie ani minuty dłużej, niż muszę — powiedziała cicho. — Od wielu lat nie bawi mnie twoje towarzystwo i oboje o tym wiemy, prawda? Spędzam niezmiernie dużo czasu w naszym wiejskim domu tylko po to, żeby ciebie nie widzieć, nie czuć ciebie i nie angażować się w rozmowy z tobą. W skrócie mówiąc, każdą chwilę, jaką spędzam z tobą, spędzam pod przymusem.

Wyprostowała się na krześle, triumfująca, gdyż efekt, jaki miały przynieść jej słowa, był dla niej oczywisty.

Paulie przez długą chwilę nic nie mówił.

— A dziewczynki? — odezwał się wreszcie. — Czują to samo?

Sylvia uśmiechnęła się i pokiwała głową.

— A co ty myślisz, Paul? Że cieszą się, mając za ojca londyńskiego alfonsa? Jak myślisz, co one mogą mieć wspólnego z facetem, który dla osobistych korzyści sprzedaje kobiety?

Te słowa bardzo Pauliego zaboląły. Nie miał pojęcia, że Sylvia chociażby podejrzewa, w jaki sposób mąż zarabia pieniądze. „Kupno—sprzedaż”, zawsze w ten właśnie sposób opisywał jej swoje zajęcie. Tymczasem Sylvia go po prostu przejrzała.

Zanim odezwał się znowu, oblizał wargi.

— Dlaczego to powiedziałaś?

Sylvia wzruszyła ramionami.

— Mam już dosyć tego sztucznego małżeństwa, dlatego. Chcę od ciebie odejść.

Paulie długo milczał i doszła do wniosku, że wstrząsnęła nim, i to mocno.

— Rozumiem, że zechcesz zachować domy i mieszkanie — powiedział.

— To najmniej, ile możesz mi dać. I, oczywiście, będziesz płacił za naukę dziewczynek, utrzymywał ich konie i tak dalej.

Paulie potrząsnął głową, rozważając jej słowa.

— Uważam, że to uczciwa propozycja — stwierdził.

Sylvia szybko pokiwała głową. Gdyby przypuszczała, że ta rozmowa pójdzie tak gładko, odbyłaby ją już wiele lat temu.

— A co z willą w Marbelli, Sylvio? Przepraszam cię, ją także chcesz?

Znów pokiwała głową.

Teraz Paulie się roześmiał. Sylvia siedziała sztywno na swoim krześle. Zaczynała czuć się nieswojo.

— Dużo, kurwa, chcesz, Sylvio. Czy wiesz, ile pał musiały obciągnąć moje dziewczyny, żebym mógł kupić to wszystko?

Gwałtownie cisnął przez stół swój talerz. Spadł na ziemię

i rozprysł się na kawałki. Po chwili rozległ się ogłuszający hałas, gdyż Paulie podniósł stół od spodu i pchnął go w kierunku żony. Znaczna część tego, co się na nim znajdowało, pospadała na podłogę, w jej kierunku.

Paulie pochylił się ku Sylvii.

— Czy ty masz mnie za ostatnią pizdę?

Nie odpowiedziała, chwycił więc w ręce jej twarz i zmusił, żeby na niego popatrzyła.

— Odpowiedz mi, ty gruba suko, albo wytrę twoim dupskiem całą podłogę.

Sylvia potrząsnęła głową.

— Powtarzam, odpowiedz mi!

— Nie... Nie, Paul. Proszę, przestań!

Jej panika i strach były aż nadto widoczne.

— Śmiesz zadzierać wobec mnie nosa? Twój stary był pierdolonym urzędnikiem bankowym! Myślisz, że ty jesteś jakąś królową? Jesteś nikim, jedynie zadowoloną z siebie snobką. Nie licz na to, że tkniesz chociaż złotówkę z moich pieniędzy, kochanie. Cokolwiek sądzisz o moich dziewczętach, one przynajmniej ciężko pracują na życie. A ty w przyszłości będziesz robiła to samo, co one, ponieważ, moja damulko, od tej chwili jesteś gołą jak przysłowiowa dupa!

Popchnął ją i Sylvia złapała brzeg stołu, żeby się nie przewrócić. Paulie zachowywał się teraz niczym wariat. Patrzyła w przerażeniu, jak systematycznie niszczy pokój jadalny, przez cały czas krzycząc i wrzeszcząc.

Policja przyjechała dwadzieścia minut później. Sylvia tkwiła skulona w kącie pokoju i płakała.

Tak, wniesie skargę. Życzy też sobie, żeby tego człowieka aresztowano, najszybciej jak to możliwe, powiedziała przez łzy.

Gdy go wyprowadzali, posłała mu uśmiech, pełen zadowolenia, i dopiero wtedy Paulie Martin zdał sobie sprawę z tego, że zachował się dokładnie tak, jak żona chciała.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kira i Tommy cali byli pokryci różową farbą. Kiedy popatrzyli po sobie nawzajem, głośno się roześmieli.

— Całe szczęście, że to można zmyć, inaczej twoja matka obdarłaby mnie żywcem ze skóry.

Z kolei ocenili odmienioną sypialnię i zgodnie uznali, że wygląda cudownie. Każdy punkt pomieszczenia, z wyjątkiem sufitu i podłogi, był różowy. Różowe były nawet listwy przypodłogowe.

Tommy z ogromną dumą rozglądał się po sypialni. Marzył o tym od wielu lat i wreszcie jego marzenie się spełniło. Poza tym, co najważniejsze, nie dokonał tego przemalowania sam, miał przy sobie małą pomocnicę, śliczną i do tego ciężko pracującą. Wprost nie potrafił uwierzyć w swoje szczęście.

Podczas gdy zaczął poprawiać dzieło w miejscach, które jeszcze tego wymagały, Kira popijała dietetyczną colę. Całe ich malowanie było jedną wielką amatorszczyzną, ale żadne tego nie zauważało. Dla nich był to teraz doskonały pokój dla Barbie.

— Wskakuj do wanny, Kiro, a ja przygotuję dla nas coś do jedzenia.

Dziewczynka wesoło wybiegła z pokoju. Słuchając, jak woda szumi w rurach, Tommy znów dał się ponieść fali wielkiego szczęścia.

Kira kąpała w jego łazience.

Była teraz tak wielką i ważną częścią jego życia, że chwilami martwił się, iż może nastąpić coś, co mu ją odbierze. Był jednak przekonany, że nic takiego nie może się wydarzyć, już on tego dopilnuje.

Od czasu, kiedy ojciec wyprowadził się do Delli, życie Tommy'ego stało się takim, jakiego zawsze pragnął: pełnym ludzi i przyjaciół. I małej Kiry, oczywiście, ona przecież była w nim najważniejszą ze wszystkich osób.

Nasłuchując, jak dziewczynka pluszcze się w wodzie i wesoło śpiewa, poczuł spokój, jaki ostatnio odczuwał jeszcze wtedy, kiedy żyła jego matka. Zapukał do drzwi łazienki.

— Tylko się dobrze wyszoruj, pamiętaj — zawołał.

Coś mu odkrzyknęła, a Tommy usłyszał w jej głosie szczęście, które było równie wielkie jak jego własne.

Paulie zachowywał się jak niedźwiedź, którego swędzi tyłek i Joanie zauważyła to od razu. Wszystko mu się nie podobało. Nawet ona zaczynała mieć go dosyć, co wiele znaczyło, zważywszy wszystko, czego zaznała z jego strony w ciągu ostatnich lat.

— Czy nie mogłoby tu być trochę czyściej? Śmierdzi tutaj jak z zasranej kurewskiej torebki!

Dziewczyny popatrzyły najpierw na niego, a potem po sobie nawzajem.

Były skonsternowane. Przecież jeszcze nigdy nie było tutaj aż tak czysto. I Paulie to wiedział, i one. Joanie dorobiła się ostatnio ksywy „Pani Domestos” i wprost ją uwielbiała. Akceptując ją, znakomicie poprawiła atmosferę wokół salonu, a ponadto udowodniła dziewczętom, że wciąż ma poczucie humoru.

— Chodź tylko i popatrz, Paulie.

Joanie z trudem panowała nad głosem. Paulie szedł za nią do biura. Na jego twarzy malowała się złość, a poza tym przez cały czas mamrotał coś pod nosem i co chwilę głośno przeklinał.

Joanie zamknęła drzwi.

— Do ciężkiej cholery, co ci się stało? — powiedziała do niego cicho.

Paulie wiedział, że pytanie zostało zadane szczerze i z troską o niego. W głębi duszy rozumiał, że wobec wszystkich zachowuje się okropnie. A jednak był na tyle wściekły, że eksplodował.

— Jak śmiesz zwracać się do mnie w ten sposób? I to jeszcze w moim salonie!

W jego głosie słyszalne było ostrzeżenie, zrozumiały je nawet dziewczęta zgromadzone i nasłuchujące za drzwiami.

Na Joanie jednak nie zrobił wrażenia. Za kogo on się uważał? Nie zamierzała go takiego tolerować, a poza tym była zdecydowana, że pokaże podsłuchującym dziewczętom, iż potrafi być stanowcza nawet wobec Pauliego.

— Skoro mam do ciebie pytanie, zadam ci je w takim miejscu, w jakim mam ochotę. Wbiegłeś tu, okazując maniery kamienicznika i wykrzykujesz na moje dziewczyny...

— Czyje dziewczyny? Kurwa mać, Joanie Brewer, czyje dziewczyny?

Był teraz aż siny z wściekłości, a jego oczy sprawiały wrażenie, jakby chciały wyskoczyć z głowy.

Joanie wpatrywała się w niego przez długą chwilę.

— To ja prowadzę ten cholerny interes, a nie ty! — wrzasnęła wreszcie. — A jeśli chcesz tutaj podważać mój autorytet, rezygnuję z tej pracy, wsadź ją sobie w dupę!

— Słucham?

Słowa Joanie wywołały w nim ciężki szok.

— Słyszałeś, co powiedziałam. Nie mam zamiaru wysłuchiwać tego wszystkiego za każdym razem, kiedy ci się gównem obróci! Nie jestem chłopcem do zamiatania, a już na pewno nie twoim chłopcem.

W głębi serca musiał przyznać, że Joanie ma rację, wiedział jednak także, że w tej chwili dziewczyny, stojące po drugiej stronie drzwi, w napięciu czekają na jego reakcję. Jeśli teraz ugnie się przed bezczelnością Joanie, wkrótce wszystkie będą mu skakać po głowie.

— Rób więc, jak uważasz.

Joanie roześmiała się.

— Oczywiście, Paulie, nie martw się, właśnie tak zrobię. Jej odpowiedź rozzłościła go jeszcze bardziej.

— A dokąd pójdziesz, Joanie? Z powrotem na chodnik?

Zagrał nie fair i wiedział o tym. Co więcej, wiedziała to także Joanie. Z trudem powstrzymywała łzy, kiedy krzyknęła do niego:

— Jeśli wrócę na chodnik, stary, przynajmniej nie będę pracowała dla ciebie, a to już jest coś!

Przeszła obok niego i chwyciła torebkę. Paulie szarpnął ją za ramię, nagle skruszony. Jak mógł dopuścić do takiej gorszącej sceny? Co on robi, dlaczego wyżywa się właśnie na Joanie? Przecież nie może dopuścić, żeby sobie stąd poszła.

— Przepraszam cię, Joanie, klnę się na Boga, przepraszam.

Popatrzyła w jego błękitne oczy, tym razem jednak pozostała wobec nich obojętna.

— O co chodzi, Paulie? Co się stało?

Jej naturalna dobroć znów wzięła górę. Joanie naprawdę chciała wiedzieć, co sprawiło Pauliego w tak podły nastrój.

— To sprawka Sylvii. Wyrzuciła mnie za drzwi.

Joanie uśmiechnęła się. A więc cała ta awantura spowodowana została jedną sprzeczką małżeńską? Śmiechu warte, ale dlaczego Paulie tak się przejął?

— No i co z tego, Paulie? Wkrótce obojgu wam cała złość minie. Przecież jesteście ze sobą od niepamiętnych czasów...

Paulie potrząsnął głową.

— Uzyskała nakaz sądowy przeciwko mnie i w ogóle...

Joanie była całkowicie zaskoczona. Teraz nie wiedziała już, co powiedzieć. Nakaz sądowy? Co ta Sylvia Martin sobie myślała?

— Chyba na dobre się pokłóciliście?

Kiedy Paulie odpowiadał, w jego głosie brzmiał sarkazm.

— Nie, oczywiście, że nie, ściskaliśmy się i całowaliśmy... Kurwa, oczywiście, że się pokłóciliśmy!

Znów podniósł głos. Czasami bywał taki dziecinny, że Joanie miała wrażenie, iż rozmawia z Jeanette.

— Jeśli nie potrafisz się uspokoić, idź do domu i odczekaj, dopóki znowu będziesz mógł normalnie rozmawiać z ludźmi. Albo po prostu powiedz mi grzecznie, co się stało.

Paulie ciężko opadł na krzesło.

— Ona chce odejść, chce mnie pozbawić wszystkiego, żebym znalazł się na dnie.

Joanie naląa sobie i Pauliemu po drinku. Następnie, podszedłszy do drzwi, otworzyła je szeroko i popatrzyła na zgromadzone przed nimi dziewczyny, jakby w ogóle nie spodziewała się ich tam zobaczyć.

— Chciałyście czegoś?

Wszystkie zaczęły wycofywać się w pośpiechu i w absolutnym milczeniu.

Joanie popatrzyła za nimi groźnie i dopiero po chwili zamknęła drzwi z powrotem.

— Dzięki, Joanie. Zdaje się, że myślisz o wszystkim, prawda?

Uśmiechnęła się. Przykro jej było, że widzi Pauliego w takim stanie.

— A co z twoimi dziećmi?

Wzruszył ramionami.

— A co ma być? Są bardziej jej córkami niż moimi, dopilnowała tego.

Łapczywie wypił duży łyk alkoholu.

— Tak mi przykro, Paulie. Spodziewałeś się, że coś takiego może nastąpić?

Potrząsnął przecząco głową.

— Oczywiście, że nie. Gdybym cokolwiek przeczuwał, odpowiednio bym się przygotował.

Joanie jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie. Gdzieś w głębi duszy była zazdrosna o kobietę, która potrafiła go sprowokować do takiej reakcji.

— Ten nakaz... Chyba jej nie sprąeś, co?

Paulie potrząsnął głową, ale nie potrafił spojrzeć jej w oczy, co było dla niej aż nadto wymowne.

— Gdzie mieszkasz?

— Ostatnią noc spędziłem u znajomej.

Joanie wiedziała, że oznacza to którąś z jego dziewczyn i ogarnęła ją złość, że nie przyszedł do niej. Ale, opamiętała się, dlaczego właściwie miałby tak zrobić?

— Mogłeś przyjść do nas, przecież wiesz.

Paulie powoli dochodził do siebie.

— Dobrze by to wyglądało na sprawie rozwodowej, gdyby Sylvia się dowiedziała, że byłem u ciebie, a ty jesteś...

Nie skończył.

— prostytutką? — dodała za niego. Zaśmiała się złośliwie.

— Cóż, do czasu, kiedy adwokaci Sylvii skończą grzebać w twoich interesach, przypuszczam, że w skali od jednego do dziesięciu ich wartość spadnie bardzo nisko. A ty, co o tym sądzisz?

Joanie zobaczyła, jak jego twarz blednie i zdała sobie sprawę, że to mu dotąd nie przyszło do głowy. Dopiero teraz nagle zrozumiał, co naprawdę się dzieje. Jeżeli Sylvia każe swoim prawnikom sprawdzić wszystkie jego interesy... Znowu poczuł wzbierającą w nim złość.

Podła suka!

Pomyślał o wszystkich swoich kontach bankowych, wszystkich funduszach, które wytransferował za granicę, bo nie mógł legalnie trzymać ich w bankach w kraju. O wszystkich nikczemnych interesach, które tak naprawdę stanowiły jedynie przykrywkę dla innych, jeszcze mniej legalnych praktyk, od rozprowadzania narkotyków, po lichwiarstwo. Było tego mnóstwo, a Sylvia, jeśli się uparła, mogła mu wszystko rozpieprzyć.

— Kurwa mać, Joanie, co mam robić?

Wzruszyła ramionami.

— Chyba po to właśnie ludzie mają prawników, co? Żeby im doradzali. Spotkaj się z jakimś. Zobacz, na czym stoisz.

Paulie pokiwał głową.

Nalała mu następnego drinka, a potem, kiedy pił, delikatnie położyła swoją dłoń na jego ramieniu. Po długiej chwili nakrył ją własną ręką i uśmiechnął się.

— Stara, dobra, wyrozumiała Joanie.

— W całej sprawie chodzić będzie tylko o pieniądze, a masz ich przecież mnóstwo. Zawrzyj z nią jakiś układ, lub jakkolwiek to się w takiej sytuacji nazywa, i zakończ wszystko. Im szybciej, tym lepiej.

Znowu pokiwał głową, jednak Joanie wiedziała, że ciężko będzie mu rozstać się z pieniędzmi, które, jak uważał, są jego wyłączną własnością. Pieniędzmi, które zapracował.

— Byłoby taniej, gdybym jej po prostu skręcił kark!

Joanie nie była pewna, czy Paulie żartuje, czy mówi poważnie. Miała nadzieję, że jednak żartuje.

Wyszła z biura i uświadomiła sobie, że kobiety z salonu prawdopodobnie podsłuchiwały ich rozmowę od chwili, kiedy tylko zamknęła drzwi po wydaniu im kategorycznego polecenia, żeby zajęły się swoimi sprawami. Zawsze ją lubiły, jednak teraz, po tym, jak postawiła się Pauliemu Martinowi i uszło jej to na sucho, zaczynały ją podziwiać.

Lorna Bright siedziała w kuchni z dwiema szkolnymi przyjaciółkami swojej córeczki i raczyła je opowieściami o swoich wyczynach. Jej córka, Laeticia, mnóstwo wagarowała i rada pedagogiczna wezwała matkę przed swoje oblicze. Teraz opowiadała młodzieńkom nastolatkom, jak reagowała na zarzuty rady. Jej opowieść składała się w większości z przekleństw.

Wszystkie były jednocześnie zgorszone i podekscytowane. Żałowały, że nie mogą mieszkać u Lorny, zamiast we własnych domach, gdzie nie pozwalano im palić papierosów, przeklinać ani zażywać narkotyków.

U Lorny można było robić to, co się chciało.

Mieszkanie było strasznie zapuszczone. Niepozmywane naczynia, kocie siki, nieprane ubrania i niemyte ciała tworzyły odór, który uderzał każdego, kto tylko przestąpił próg. Zastłon nigdy nie rozsuwano i salon pogrążony był w bezustannej ciemności, rozjaśnianej jedynie migotaniem ekranu telewizyjnego. Telewizora Lorna nigdy nie wyłączała, nawet gdy jej ulubiona stacja nadała głośną muzykę, co miało miejsce prawie przez piętnaście godzin w ciągu doby.

Lorna była w swoim żywiole, kiedy rozległo się łomotanie do drzwi. Otworzyła je szeroko, spodziewając się jeszcze więcej

przyjaciółek Laeticii. Jej brzuch, a była w zaawansowanej ciąży, wyskakiwał spod obcisłej, krótkiej koszulki i sponad dzinsów — biodrówek. Na brudnych stopach miała plastikowe, tanie klapki, a makijaż przygotowała tak niestarannie, że sprawiała wrażenie osoby, która przez cały czas jest czymś zdziwiona.

Jednak ludzie zauważali przede wszystkim ślady na ramieniu po ukłuciach igieł. Te ślady oraz permanentna ciąża były jej znakami firmowymi.

Szeroki uśmiech znikł z jej twarzy, kiedy zobaczyła przed sobą Jon Jona Brewera.

— Wszystko w porządku, Lorna.

Wszedł do brudnego mieszkania takim krokiem, jakby był właścicielem. Jego zmarszczony nos od razu dał Lornie do zrozumienia, co myśli o panujących zapachach i po raz pierwszy w życiu kobieta poczuła się zakłopotana. Chciałaby związać się z kimś takim jak Jon Jon. Taki facet mógłby jej zagwarantować łatwe życie, i to pod każdym względem.

Dziewczynki poczuły po kolei przerażenie i podniecenie. Bethany, która siedziała na blacie do przyrządzania posiłków, sprawiała wrażenie wręcz spanikowanej. W jej głowie utkwiała myśl o pięćdziesięciu funtach i pierścionku.

— Spieprzajcie stąd.

Głos Jon Jona był bardzo cichy, ale też nie dopuszczający nawet myśli o jakimkolwiek sprzeciwie. Dziewczynki zaczęły niezgrabnie i z hałasem zbierać się z kuchni.

— Powiedziałem, spierdalać stąd, kurwa!

Lorna szeroko otwartymi oczyma obserwowała exodus dziewczynek. Po raz kolejny Jon Jon nie musiał już wykrzykiwać polecenia. Kiedy w kuchni została z nim tylko Lorna i Laeticia, popatrzył na dziewczynkę i uśmiechnął się do niej.

— Idź pooglądać telewizję. I zamknij za sobą drzwi, dobrze?

Pokiwała głową, nieświadoma i zupełnie niezainteresowana tym, co się dzieje. Jon Jon popatrzył na jej chudziutkie ramiona, cienkie jak patyczki, i poczuł, że wzbiera w nim złość. Miała na nich siniaki, bez wątplenia od ściskania silnymi dłońmi, a z jej

głowy wyzierały martwe oczy. Była brudna, bez wątpienia ostatnie kilka dni spędziła w pidżamie, którą właśnie miała na sobie i której nie zdejmowała.

Kiedy Laeticia wyszła do salonu, Lorna spróbowała się uśmiechnąć.

— O co chodzi, Jon Jon? — rzuciła pytanie.

Jej dobry nastrój zniknął jednak w ułamku sekundy. Jon Jon wbił w kobietę spojrzenie, wiedząc, że to ją wytrąci z równowagi. Wreszcie, po sekundach, które zdawały się Lornie godzinami, cichym głosem zadał pytanie:

— To ty dałaś temazepam mojej siostrze, Jeanette?

Nie odpowiedziała, jednak dotarło do niej wreszcie, jaki jest powód wizyty Jon Jona. On z kolei niemal widział myśli kłębiące się w jej głowie, kiedy gwałtownie próbowała znaleźć wyjście ze swojego oplakanego położenia. Tymczasem chłopak, wzięwszy głęboki oddech, powiedział:

— Masz jedną i ostatnią szansę, zanim wbiję ci pięścią do klatki piersiowej twojego nie narodzonego jeszcze bachora. Pamiętaj, to twoja ostatnia szansa. Dałaś mojej siostrze, Jeanette, temazepam czy nie?

Jon Jon nie miał zamiaru zrealizować swojej groźby, ale Lorna wcale nie musiała o tym wiedzieć.

Pokiwiała głową.

— Czy wiesz, dlaczego go potrzebowała? Uważaj, co powiesz, ponieważ i tak znam prawdę.

Lorna skinęła głową jeszcze raz. Jej strach był niemal namacalny. Jon Jon czuł go, jak dociera od niej falami. Aż podskoczyła, kiedy zrobił krok w jej kierunku. Roześmiał się głośno.

— Ale nic nie miało prawa się jej stać, Jon Jon. Naprawdę! Ja sama bardzo często podaję temazepam Laeticii.

Jon Jon splunął na podłogę, co miało świadczyć o jego pogardzie, ale splunął także dlatego, że smród, który unosił się w powietrzu, był tak gęsty i wszechogarniający, iż niemal go smakował. Uniósł rękę, by odgarnąć dredy z oczu, a Lorna niezdarnie zrobiła krok do tyłu, myśląc, że zaraz ją zaatakuje.

— Nie bój się, nic ci teraz nie zrobię, Lorno. Ale jeśli się dowiem, że faszerujesz czymś takim jeszcze jakieś inne dzieciaki, wrócę do ciebie. Rozumiesz mnie?

Lorna gwałtownie kiwała głową. Jej twarz pozbawiona była wszelkich naturalnych kolorów.

— Jeśli zobaczysz jeszcze kiedyś kogokolwiek z mojej rodziny, uciekaj w drugą stronę, i to w pośpiechu! A jeżeli kiedykolwiek mnie zdenerwujesz, dokładnie się z tobą rozliczę, jasne?

Lorna skinęła.

Jon Jon zostawił ją samą sobie, stwierdziwszy, że osiągnął cel. Kobieta z pewnością mocno się zastanowi, zanim w przyszłości poda dzieciom jakieś środki farmaceutyczne.

Był jednak zdenerwowany. Jeżeli jakiegokolwiek dziecko na świecie należałoby odebrać matce, z pewnością pierwsze w kolejce byłyby dzieci Lorny. Lecz gdyby się na to zanosilo, najpierw by nad nią ze współczuciem debatowano i z pewnością otrzymałaby aż za dużo pomocy. Rodziców uzależnionych od heroiny opieka społeczna zawsze traktowała wyjątkowo.

Co za popieprzony kraj!

Biedna matka Jon Jona poruszała niebo i ziemię, żeby dobrze karmić i ubierać swoje dzieci, a przecież nikt z opieki społecznej nawet palcem nie kiwnął, żeby przyjść jej z pomocą. Jako dzieci mieli wszystko, czego potrzebowali: miłość, ciepło i w bród jedzenia. Ale ponieważ Joanie była jedynie prostytutką, w społeczeństwie klasyfikowano ją na samym dnie. Tak, ten kraj był bardzo popieprzony, Jon Jon wiedział to z autopsji.

Jeanette dowiedziała się o Lornie i oblał ją zimny pot. Jasper zdawał się twierdzić, że wizytą u kobiety Jon Jon osiągnął swój cel, jednak Jeanette wcale nie była z tego powodu spokojniejsza. Chciała, żeby Jasper nienawidził go równie mocno, jak nienawidziła brata ona sama.

W końcu przecież wygnał ją z jej własnego domu!

W rezultacie musiała znosić matkę Jaspera, której stałym po-

mysłem na wieczorny posiłek było otwarcie jakiejś konserwy albo po prostu wyjście na frytki. Była kobietą, która niedawno sprzedawała pralkę i nie potrafiła odnaleźć żelazka pod stertą brudnych ubrań. Do tej pory Jeanette nie doceniała zapachu swej matki do gotowania oraz upodobania do czystości. Zaniedbane, lecz miłe mieszkanie matki wydawało się jej teraz pałacem Blenheim w porównaniu z mieszkaniem i trybem życia Copesów.

Teraz Lorna rozpowie wszystkim o wizycie Jon Jona i z pewnością spowoduje to konsekwencje. Już nikt niczego nie da Jeanette, bo przecież każdy będzie się obawiał, że Jon Jon natychmiast skoczy mu na plecy. Starszy brat praktycznie związał jej ręce. Obszedł całą okolicę i w odpowiedni sposób pogroził każdemu, kto kiedykolwiek miał z Jeanette do czynienia.

Teraz, gdy widywała Jaspera każdego poranka, w każde popołudnie i każdej nocy, wcale się jej nie wydawał taki ekscytujący. Jej poczucie winy z powodu tego, co zrobił z nim Jon Jon, z każdym dniem malało. Była zbyt młoda, żeby ciągle o tym myśleć. A jednak przeklinała Jon Jona za tę noc, mimo że przecież jako brata nadal go kochała.

W gruncie rzeczy najbardziej brakowało jej szczęśliwych chwil na łonie rodziny. Głupiutkiej troski matki i zasad oraz regulaminów ustalanych przez zadzierającego nosa Jon Jona. Tęskniła nawet za Kirą, która przecież była przyczyną jej upadku.

Najgorsza była jednak świadomość, że nieszczęścia, jakie na nią spadły, sama na siebie sprowadziła.

Bethany zobaczyła, jak Kira idzie do sklepu, i natychmiast pobiegła w jej kierunku. Kiedy obie stały na krawężniku, czekając aż ruch na A13 nieco zmaleje, prowadziły beztroską rozmowę. Dzień był gorący i bezwietrzny. W powietrzu unosił się gęsty dym z rur wydechowych samochodów, a kurz wiszący w powietrzu był niemal namacalny. Rozpoczęło się właśnie sobotnie popołudnie i na ulicach jeździło więcej samochodów niż zwykle.

Kira doskonale wiedziała, że Bethany nie powinna z nią rozmawiać, jednak jej własna matka nie ustanowiła podobnego zakazu. Joanie przenigdy nie włączyłaby własnej córki w swoje osobiste sprzeczki i waśnie. Kirze zaledwie zapowiedziano, żeby nigdy więcej nie szukała przygód razem z Bethany; dokładnie takie były słowa matki. Znaczyło to, że może być dla niej miła i pełna przyjaźni, lecz niech nawet nie waży się brać udziału w szalonych zabawach koleżanki.

Jednak tego słonecznego sobotniego popołudnia Kira była tak zadowolona ze spotkania przyjaciółki, że szybko zapomniała o słowach matki. Ujęły się pod rękę i zaczęły chodzić razem po sklepach, zupełnie nie interesując się hałaśliwymi samochodami na ulicach i wszechobecnym brudem, unoszącym się w powietrzu. Spacerując, wesoło rozmawiały i od czasu do czasu się śmiały.

Bethany ostatnio zachowywała się zupełnie poprawnie. Wiedziała, że nie ma innego wyjścia. Teraz opowiadały sobie z Kirą swoje sekrety. Bethany szczególnie interesowała się tym, czy dzisiejszego popołudnia Tommy ma zamiar spotkać się z dziewczyną swojego ojca.

Bethany była starsza i trochę dojrzała od Kiry, która słuchała jej uważnie i dokładnie zapamiętywała niektóre zjadliwe uwagi. Bethany oczywiście naśladowała matkę, ale tego Kira nie mogła przecież wiedzieć.

— Mimo wszystko, Tommy jest bardzo miły.

Bethany była o niego zazdrosna, dlatego odpowiedziała:

— Moja mama mówi, że on jest zboczony i że nie zostawiłaby mnie z nim samej za żadne pieniądze tego świata.

Obie dziewczynki wiedziały, że to nieprawda. Matka Bethany prawie nie troszczyła się o córkę, na przykład nigdy nie zatrudniła się, aby zatrudnić dla niej opiekunkę. Dlatego dziewczynka często, od najmłodszych lat, przebywała sama w domu.

— Cóż, ja go lubię. Moja mama też go lubi.

Bethany doskonale orientowała się, że Kira jest lojalna wobec Tommy'ego. Już wcześniej wiele razy stawała murem za przyjacielem. Dzisiaj jednak zazdrość brała w Bethany górę.

— Jest zboczeńcem. Mama mówi, że wiadomo to o nim nie od dzisiaj.

Tak, jej matka rzeczywiście tak mówiła o Tommym, ale tylko w złości i obie o tym wiedziały. W oskarżeniu chłopaka o zboczenie nie było ani słowa udowodnionej prawdy.

Kira wyrwała rękę spod ramienia Bethany.

— On nie jest zboczeńcem! — zawołała.

— Jest! — Bethany była stanowcza. — Popatrz tylko na niego, Kiro, jak on dziwacznie wygląda.

— Wcale nie wygląda dziwacznie. Jest po prostu gruby, to wszystko.

— Thusty dupek!

Bethany aż się chciało płakać. Próbowwała powrócić do przyjaźni z Kirą i prosić, co się działo.

A Kira sama była zła, co rzadko jej się zdarzało. Nagle zaczęła wykrzykiwać, specjalnie tak głośno, aby słyszeli ją wszyscy przechodnie:

— Twoja mama zostawia cię samą w domu, ponieważ ma cię kompletnie gdzieś! Moja mama ciągle to powtarza. Mówi, że to wstyd — sposób, w jaki ona cię traktuje, a ty wiesz, że to jest prawda.

Bethany doskonale wiedziała, że Joanie wielokrotnie sprzeczała się z jej matką o to, jak traktuje córki. Teraz jednak źle ulokowane poczucie lojalności i chęć kłótni sprawiły, że wręcz wpadła we wściekłość.

— Ale przynajmniej nie zostawia mnie, tak jak twoja, z popieprzonym facetem, który molestuje dzieci.

Słyszając te słowa, sąsiad Joanie, akurat mijający dziewczynki, ze zdziwieniem uniósł brwi.

— On wcale nie mo... cokolwiek powiedziałaś, dzieci. — Kira nie potrafiła wypowiedzieć trudnego słowa, zaczęła więc krzyczeć: — On po prostu jest gruby! Tak jak twoja mama!

Bethany nie potrafiła już dłużej wytrzymać i trzasnęła Kirę otwartą dłonią w twarz. Następnie obie dziewczynki zaczęły

płakać, jednak tego, co się wydarzyło, nie można było już cofnąć.

— Przepraszam cię, Kira. Bardzo cię przepraszam...

Kira zaczęła uciekać, a Bethany, po której policzkach ciekły gęste łzy, pobiegła za nią.

— A więc, co o tym sądzisz, Joanie?

Verna Obadiah, dziewczyna z Indii Zachodnich, zamężna z Nigeryjczykiem, bez tchu wpatrywała się w Joanie, czekając na jej słowa.

Joanie odwróciła kolejną kartę.

— Powieszony mężczyzna! Czy on umrze, Joanie?

Joanie szeroko się uśmiechnęła.

— Nie, ty głupia krowo. Ta karta może oznaczać wiele rzeczy. Ale jedno mogę ci już teraz powiedzieć: on nie zostawi dla ciebie swojej żony.

Przyjaciel Verny był kierowcą autobusu, miał na imię Roger, uderzająco błękitne oczy i płoworude włosy. Jej mąż nie miał pojęcia, że Verna spotyka się z kimś innym i nawet narodziny dziecka o jasnej skórze nie zaalarmowały go, że dzieje się coś nie po jego myśli. Verna z kolei żyła nadzieją, a nadzieja, jak utrzymywała Joanie, jest czasami wszystkim, czym dysponują ludzie tacy jak ona sama.

— Twój stary dowie się o twoim romansie i to ty będziesz wisiała, dziewczyno!

Verna roześmiała się.

— On by nawet nie zauważył, gdybym zniknęła. Chyba że podszedłby do lodówki, a tam zabrakłoby piwa.

Joanie wybuchła śmiechem razem z nią.

— Co więc masz zamiar robić, Verno?

Było to jasno postawione pytanie i Verna zamierzała szczerze na nie odpowiedzieć. Joanie zawsze potrafiła udzielić dobrej i trafnej rady. Wszyscy o tym wiedzieli.

— Chcę odejść od mojego starego i miałam nadzieję, że mój kochaś mi w tym pomoże.

Joanie potrząsnęła głową, po czym wstała, żeby nastawić czajnik z wodą na herbatę.

— Twój mąż cię zabije, Verno, a potem zabije Rogera.

Kobieta uśmiechnęła się smutno.

— Wiem. Poza tym Roger chyba ma mnie już dość. Myślę, że jego żona choć trochę domyśla się, co się dzieje. — Verna przeciągnęła się i głośno ziewnęła. — Powiedz mi po prostu, jak sprawy się potoczą, dobrze?

Joanie nasypała cukru do kubków i powiedziała ze smutkiem:

— Kłopot w tym, że sprawy zawsze jakoś się toczą. Nie potrzeba kart, żeby to odgadnąć. Nieważne, co się stanie, wkrótce nastąpi koniec twoich problemów, tyle ci mogę powiedzieć.

W ten sposób przemawiała już do niezliczonej liczby kobiet, od swoich koleżanek z ulicy, po samą Kathy McClellan, żonę Wielkiego Johna, która odwiedzała ją regularnie, zawsze wtedy, kiedy mąż na dłużej zniknął z domu. Teraz też go nie było, zapewne przebywał u jakiejś kobiety, a Kathy ponownie była umówiona z Joanie, która — jak nikt inny — potrafiła powiedzieć, że jej problem wkrótce znajdzie rozwiązanie. Nieważne, jakie.

Inni ludzie widzieli w Joanie okaz siły. Żałowała, że sama nie może o sobie myśleć w ten sposób.

Syn Josepha całkowicie zaskoczył Dellę. Był cholernie wielki, owszem, ale był też dobrze wychowany i uczynny. Zachwycał się jej domem, tym, jaki panuje w nim porządek oraz jej gotowaniem. Podziwiał rodzinne fotografie i jadł bardzo niewiele, chociaż niewątpliwie wszystko, co brał do ust, bardzo mu smakowało.

Teraz opowiadał jej o swoim ulubionym zajęciu: o opiece nad córką sąsiadki. Della znała Joanie i lubiła ją jak wszystkich ludzi. Joanie Brewer cieszyła się dobrą opinią i powszechnie uznawano ją za dobrą matkę. Skoro Joanie, przykładna matka, uznała, że

może powierzyć Tommy'emu opiekę nad najmłodszym dzieckiem, Della nie miała już wątpliwości, że to miły i uczynny chłopak i tak go właśnie postrzegła.

Przez cały czas wyczuwała zdenerwowanie Josepha. Płynęło od niego falami. Prawie nic nie mówił, a jego syn ignorował ten fakt, wypełniając ciszę bezustannym gadaniem i kilkakrotnie sprawiając, że Della wybuchała śmiechem. Kiedy wreszcie wstał, chcąc już iść, była rozczarowana.

— Jesteś pewien, że nie wypijesz jeszcze jednej filiżanki herbaty?

Uśmiechnął się do niej.

— Dziękuję, na dzisiaj wystarczy. Muszę wracać. Moje zajęcie... wie pani, jak to jest.

Odpowiedziała uśmiechem i pokiwała głową.

— Dziękuję pani za wspaniałe popołudnie. Teraz rozumiem, dlaczego ojciec chciał się tutaj przeprowadzić. Ma pani naprawdę uroczy dom i jest pani najwspanialszą gospodynią na świecie.

Della promieniała z zachwytu, odprowadzając go do furtki. Później dała Josephowi kuksańca i dopiero wtedy, kiedy jego jedyne dziecko oddaliło się już na kilkadziesiąt kroków, ten bez przekonania pomachał mu ręką na do widzenia.

— Josephie, cóż to za uroczy chłopak.

Joseph pokiwał głową, jednak w żaden inny sposób nie zamierzał potwierdzić jej słów. Cóż, mężczyźni są czasami bardzo dziwni.

Tommy szedł do domu ulicą coraz bardziej pogrążającą się w mroku. Cieszył się z udanej wizyty, jednak nie zamierzał ukrywać przed samym sobą, że jeszcze bardziej cieszył go dyskomfort ojca.

Och, jaką miał minę, kiedy Tommy zachwycał się urodą wnuczka Delli! Chociażby dla tego widoku warto było dzisiaj odbyć tę wizytę.

Cóż, Bóg pozwala odzyskiwać długi bez używania pieniędzy.

Tommy był w swoim żywiole.

Idąc do domu, rozmyślał o czekającym go wieczorze. Dzisiaj mieli zamiar oprawiać plakaty w ramki, a Kira chciała, żeby jeszcze podklejać je drewnianymi sklejkami. Dzięki temu miały wyglądać jeszcze wspanialej. Tommy jeszcze rano kupił klej. Był pewien, że kiedy skończą dzieło, Kira będzie zachwycona.

Później przejdą do jej mieszkania, gdzie Tommy położy ją do łóżka, przytuli ją do siebie i opowie bajkę na dobranoc. Zdaniem Tommy'ego to była najlepsza część wieczoru. Uwielbiał chwile, kiedy czuł przy sobie jej drobne ciało i szeptał do ucha bajki.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jon Jon jak zwykle odbierał pieniądze z salonów. Był w dobrym nastroju, ponieważ czuł, że z każdym dniem żyje mu się coraz lepiej. Musiał tylko jeszcze ostatecznie rozwiązać sprawę Je-anette i wszystko znowu będzie poukładane tak, jak trzeba.

Wszedł do nowego salonu w Barking. W środku było cicho, spokojnie. Zmierzając w stronę biura, uśmiechnął się do kilku dziewcząt.

Ruda Carvey, pięćdziesięcioletnia prostytutka, której przezwisko pochodziło od koloru włosów, uśmiechnęła się do niego. Jej nawet ładną twarz oszpecały czarne zęby, widoczne za każdym razem, kiedy otwierała usta. Zawsze, kiedy je widział, Jon Jon mimowolnie wzdrygał się.

— Za każdym razem, kiedy cię widzę, wyglądasz lepiej, chłopcze.

Roześmiał się głośno.

— Szkoda, że nie mogę tego samego powiedzieć o tobie, Ruda.

Wyszczrzyła zęby.

— Ty mały, bezczelny pojebie.

Nalała mu whisky do szklanki. Wypił szybko, jednym haustem, zabrał pieniądze i zaraz opuścił biuro. Dziewczęta posłały mu uśmiechy. Odkąd rozeszła się wiadomość, że Jon Jon widuje się z dziwką, w każdej z nich pojawiła się nadzieja, że to może akurat ona będzie jego następną dziewczyną. Każda zgodziłaby się na taką rolę, a właściwie zgodziłaby się na wszystko, byleby życie stało się trochę łatwiejsze.

A poza tym Jon Jon Brewer był bardzo przystojny. Wyglądał

na starszego, niż był w rzeczywistości. Puścił oko do dziewcząt i ruszył do wyjścia z budynku. W tym momencie usłyszał krzyki.

Zawróciwszy, pobiegł w kierunku źródła hałasu. Jedna z kobiet kulila się ze strachu w swojej kabince, a nad nią pochylał się potężnej tuszy mężczyzna. Szarpał kobietę za włosy. Ta była niemal zupełnie naga, podczas gdy mężczyzna stał nad nią bez spodni i bez majtek. Miał wielki brzuch i mocno owłosione nogi.

Jon Jon złapał go za czuprynę i powalił na podłogę. Zapomniawszy o dziewczynie, mężczyzna zaczął przeklinać.

— Kurwa, co robisz, człowieku? — warknął na niego Jon Jon. — Dlaczego wyżywasz się na tej dziewczynie?

Mężczyzna klęczał teraz i zupełnie mu to nie odpowiadało.

— Puść mnie, ty mały zasrańcu!

Jon Jon puścił jego włosy, jednak w tym samym momencie kopnął go w krocze. Zanim mężczyzna zdołał podnieść się na nogi, Jon Jon stanął przed nim z nożem w ręce. Nie zamierzał ryzykować.

— Ty stary, włochaty kundlu, jaki masz problem?

Dziewczyna tymczasem wybiegła z kabiny i ukryła się pomiędzy innymi prostytutkami obserwującymi zajście.

— Ona ma u mnie dług. Chodź tu, powiedz mu, ty pierdolo-na dziwko. Chodź i mu powiedz.

Dziewczyna rozplakała się i Jon Jon poczuł, że ogarnia go współczucie.

— Nie, stary. To ty mi powiedz, o co chodzi.

— Jest mi winna pieniądze. Pracuję dla windykatora. Zgodziłem się, żeby część długu spłaciła mi dupą.

— Niczego więcej dupą ci nie zapłaci — nagle odezwała się Ruda. — Kurwa, wciąż robisz raban o te dwieście funciaków? Już dawno ci je spłaciła, i to dziesięciokrotnie. Czy ty się w końcu od niej odczepisz?

Jon Jon podniósł z podłogi spodnie mężczyzny i rzucił mu je w twarz.

— Ubieraj się i spierdalaj stąd. Oznajmiam, że twój dług został spłacony.

— Kurwa, wcale nie!

Jon Jon postąpił krok w jego kierunku.

— Może więc o ten dług powalczymy? Uczciwie, tylko ty i ja?

W głosie Jon Jona zabrzmiało coś, co wszystkich zaniepokoiło. Zaciśnął usta i zmrużył oczy. Stał w czujnej postawie przed mężczyzną, gotów do walki. I to walki o najwyższą stawkę.

Mężczyzna ani myślał ryzykować życia i było to po nim widać. Był tchórzem, co zdążył udowodnić agresywnym zachowaniem wobec dziewczyny. Teraz szybko naciągnął spodnie i wyszedł. Jednak mijając dziewczynę, splunął jej w twarz.

Jon Jonowi to wystarczyło, żeby zaatakować. Broniąc się, mężczyzna wystawił rękę i Jon Jon przejechał mu po dłoni ostrzem noża. Znow go kopnął w krocze, a gdy ten zgiął się wpół, przewrócił go i skopał do nieprzytomności. Wreszcie wytaszczył bezwładnego na zewnątrz tylnymi drzwiami i rzucił na asfalt na parkingu.

Wróciwszy do salonu, zamknął drzwi na klucz, umył ręce i ostrze noża, po czym powiedział do Rudej:

— Jeżeli tu wróci, zadzwoń do mnie, dobrze?

Pokiwała głową.

— Jesteś dobrym chłopcem, Jon Jon.

— Dla kogo on pracuje?

— Dla Jesmonda.

Jon Jon roześmiał się.

— A więc, mogę się spodziewać, że Jesmond wkrótce do mnie zadzwoni, co?

Teraz Ruda się roześmiała.

— Chyba specjalnie się tym nie martwisz?

Jon Jon w młodzieńczej arogancji jedynie wzruszył ramionami.

— A powinieneś. Jesmond to twardy orzech do zgryzienia.

Jon Jon puścił do niej oko.

— Cóż, ze mnie też jest twardy orzech do zgryzienia.

Wyszedł z salonu, a kiedy wsiadł do samochodu, Earl powiedział do niego:

— Twój telefon dzwoni jak oszalały.

— Dlaczego więc go nie odebrałeś?

Earl wzruszył ramionami.

— Wyświetla się „Mama”. Nie jest to więc rozmowa służbowa.

Kiedy odjeżdżali od krawężnika, minął ich samochód policji. Zatrzymali się obok, stanąwszy przed czerwonymi światłami. Earl roześmiał się, kiedy policjanci dali znak, żeby za skrzyżowaniem zatrzymał się do kontroli.

— Wy głupie chuje! — zawołał do nich.

Natychmiast jednak mina mu zrzędła, kiedy zorientował się, co najlepszego zrobił. Jon Jon westchnął ciężko, ponieważ nie miał najmniejszej ochoty na kolejne awantury, tym bardziej, że praktycznie siedział na ponad czterdziestu tysiącach funtów, ukrytych pod fotelem pasażera. Przelotnie pomyślał, że na razie nie może zatelefonować do matki.

Joanie trochę się martwiła, ponieważ już od popołudnia nie widziała Kiry. Idąc do mieszkania Tommy’ego, uśmiechała się jednak. Szaleństwo pomalowania pokoju dla Barbie ogarnęło Kirę do tego stopnia, że zapewne właśnie w tym pokoju znajdowała się w tej chwili i omawiała z Tommym najdrobniejsze szczegóły remontu.

Tommy otworzył drzwi dopiero po kilku chwilach i zdziwił się, widząc Joanie w progu. Był w szlafroku; najwyraźniej wyrwała go z kąpieli.

— Cześć, Joanie.

Nie zapraszał jej do środka i Joanie nagle poczuła się niezręcznie.

— Właśnie wyskoczyłem z wanny.

Joanie skinieniem głowy przyjęła wyjaśnienie.

— Nie potrzeba Einsteina, żeby to zauważyć, Tommy. Czy przypadkiem nie widziałeś Kiry?

Na jego twarzy natychmiast pojawił się wyraz zaniepokojenia.

— Nie. Miała się u mnie zjawić, ale jeszcze jej nie widziałem.

Zaczął szczerzej owijać się szlafrokiem, który i tak był dla niego o dwa numery za mały.

— Może powiedziała ci cokolwiek, na przykład, dokąd chce pójść?

Tommy usłyszał w głosie Joanie strach. Potrząsnął głową.

— Ani słowa. Szukałaś jej u koleżanek?

— Dochodzi już siódma, Tommy. U żadnej nie zostałaaby aż tak długo.

Tommy znowu potrząsnął głową. Intensywnie myślał.

— Posłuchaj, Joanie, szybko się ubiorę i zaraz do ciebie zejdę, dobrze?

Skinęła głową. Tommy przez chwilę patrzył za nią. Następnie, zrzuciwszy szlafrok, szybko zaczął się ubierać.

Monika niemal zemdląca, kiedy zobaczyła Joanie na progu swojego mieszkania. To, że akurat się obudziła i była trzeźwa, nie wpływało najlepiej na jej usposobienie.

— Wszystko w porządku, Mon?

Głos Joanie brzmiał przyjaźnie, dlatego Monika w końcu uśmiechnęła się do niej i zaprosiła ją do środka. W głębi serca wprost nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie zapanuje pomiędzy nimi pokój. Nigdy nie miała lepszej przyjaciółki od Joanie.

Tymczasem Joanie wyczuła w mieszkaniu smród ostatniego dania na wynos, które Monika zamówiła do domu. Unosił się on wśród kwaśnego odoru nigdy nie sprzątanego mieszkania. Wprost nie mogła uwierzyć, że wcześniej jej ten smród u Moniki w zasadzie nie przeszkadzał. Ale chociaż Monika czasami zgadzała się, żeby Bethany spała u niej w mieszkaniu, Joanie była na tyle przytomna, że nigdy nie pozwalała Kirze zostawać na noc u Bethany. Kiedyś ta zasada była kością niezgody pomiędzy Joanie a Moniką. Teraz Joanie wprost by się ucieszyła, gdyby znalazła Kirę wtuloną w pościel Bethany, nieważne, jak byłaby brudna.

— Czy Bethany jest w domu? Szukam Kiry.

Monika kilkakrotnie zamrugwała oczami, zanim dotarło do niej imię jej własnej córki, aż wreszcie wzruszyła ramionami. Skierowała się do kuchni, a Joanie poszła za nią.

— Mamy dopiero wpół do siódmej, Joanie. Kira jest teraz pewnie gdzieś z koleżankami. — Monika najwyraźniej nie przejmowała się problemem. — Kurwa, za bardzo się o nią martwisz. Powinnaś od czasu do czasu pozwolić jej na trochę niezależności. Dobrze by jej to zrobiło.

— Tak jak Bethany, chcesz powiedzieć?

Słowa te wyrwały się Joanie, zanim na dobre zastanowiła się, co chce powiedzieć i w tej samej chwili w Monikę wstąpiła agresja.

— A to co miało znaczyć? — Z jej głosu i postawy emanowała wojowniczość.

Joanie ciężko westchnęła.

— Przepraszam cię, Mon, ale martwię się o Kirę.

Przeprosiny ułagodziły Monikę.

— Posłuchaj, dzieciaki czasami lubią sobie gdzieś zawędrować. To naturalne. Kira pewnie teraz gdzieś się bawi i zapomniała, która jest godzina. Z Bethany mam tak zawsze.

Ponieważ Bethany wie, że u niej w domu nigdy nikogo nie ma. A przynajmniej nikogo, kto by się nią opiekował. Tego jednak Joanie głośno nie powiedziała.

— A może jest z Tommym?

Zostało to powiedziane z przekąsem i Joanie natychmiast zareagowała:

— Monika, wyświadcz mi przysługę, stara, i dzisiaj mnie dodatkowo nie wkurzaj. Wiem, o co ci teraz chodziło, ale naprawdę nie mam ochoty się z tobą kłócić, jasne?

Monika wyduła wargi i westchnęła.

— Coś z nim jest nie tak, Joanie. Dorosły chłopak i te wszystkie lalki... To jest przecież nienaturalne.

Powiedziała to przyjaznym tonem, ale zrobiła przy tym minę osoby, która wszystko wie najlepiej. Dlatego Joanie postanowiła,

że sobie pójdzie, zanim Monika na dobre wyprowadzi ją z równowagi.

— Jeśli zobaczysz swoją Bethany, poproś ją, żeby mi powiedziała, czy przypadkiem nie widziała Kiry, dobrze?

— Dokąd idziesz?

Joanie westchnęła ze smutkiem.

— Idę szukać mojego dziecka, Mon. A tak przy okazji, gdzie właściwie jest Bethany?

Monika milczała.

— Nie masz pojęcia, prawda? Może być gdziekolwiek, a ciebie to nic nie obchodzi.

— Potrafi zadbać o siebie.

Powiedziała to spokojnie, bez emocji. Joanie popatrzyła na swoją byłą przyjaciółkę, po czym, rozejrzawszy się po brudnej kuchni, powiedziała z sarkazmem:

— Zawsze sama musiała dbać o siebie, co?

Wychodząc na ulicę przez zarośnięty ogród, zastanawiała się nad przyczynami zupełnej obojętności Moniki wobec swoich dzieci. Biedna Bethany, nic dziwnego, że była właśnie taka, jaka była.

Postanowiła, że kiedy znajdzie Kirę, da jej nauczkę, jakiej smarkula długo nie zapomni. Później dobrze ją nakarmi i przytuli do siebie.

Paulie i Jon Jon wyżywali się na Earlu, który przyjmował ich pretensje z należną skruchą.

— Nie wierzę, że to zrobiłeś, Earl. Kurwa, czy ty jesteś głupi? Przecież gdyby oni przeszukali samochód i znaleźli pieniądze, obaj byście teraz siedzieli w pudle. Jak byś im się wythumaczył?

Earl nie odpowiadał.

Paulie wprost szalał. Jeszcze tego mu było dzisiaj trzeba.

Właśnie otrzymał pierwsze pismo od adwokata Sylvii, a kiedy przeczytał jego nazwisko na papierze firmowym kancelarii, wprost go замуrowało. Musiał kosztować fortunę, a Paulie miał

przecucie, że to on sam zapłaci co do funta cały rachunek za rozwód.

Teraz siedział przed nim Cudowny Chłopak, sprawiając wrażenie pozbawionej mózgu ameby po tym, jak gliny niemal zwały mu się na kark niczym tona cegieł.

— Wystarczyłoby, żeby poinformowali o wszystkim urząd podatkowy, bo przecież nie dałbyś rady wyjaśnić glinom, skąd wzięłeś ponad czterdzieści tysięcy funtów.

Earl nadal milczał. Jon Jon współczuł mu, ale doskonale rozumiał Pauliego. Earla należało przywołać do porządku.

Nagle zadzwonił telefon komórkowy Jon Jona, dając mu sygnał, że otrzymał wiadomość tekstową. Szybko ją przeczytał.

— Która godzina?

— Dlaczego pytasz? Czyżbyśmy cię nudzili, Jon Jon? Masz randkę z dupęnką?

Potrząsnął przecząco głową.

— Jeśli musisz, kurwa, wiedzieć, zaginęła moja najmłodsza siostra.

Earl popatrzył na zegarek.

— Jest po dziewiątej, Jon Jon — powiedział. Ucieszył się, że w końcu przestaje być głównym obiektem zainteresowania.

— Pewnie jest z tym tłustym dziadem. — Paulie powiedział to dość lekceważącym tonem, jednak Jon Jon już prawie stał w progu. Earl wstał z krzesła i ruszył za nim.

— Przepraszam cię, Paulie, ale muszę iść.

Paulie także wstał.

— A co z resztą forsy?

— Później pozbieram.

Jon Jon wyszedł, a Earl podążył za nim jak zbłąkana owca. Paulie był wkurzony, ale musiał się z tym pogodzić. Doskonale wiedział, jaki jest Jon Jon na punkcie swoich sióstr.

Bethany usłyszała wiadomości o swojej przyjaciółce, kiedy akurat znajdowała się przed blokiem, w którym mieszkała Kira.

Wszystko wskazywało na to, że nie ma jej nigdzie przynajmniej od wczesnego popołudnia. O jej zniknięciu mówiły już wszystkie matki. Bethany zaczęła pilnie przysłuchiwać się ich dyskusjom.

— Mówcie, co chcecie, ale ta dziewczynka miała zawsze dobrą opiekę.

Druga kobieta mruknęła coś niewyraźnie, lecz bez wątpienia zgadzała się z rozmówczynią. Obie, i jeszcze kilka innych matek, chodziły po wszystkich klatkach schodowych w najbliższej okolicy, szukając dziewczynki. Do poszukiwań spontanicznie włączali się ich mężowie, partnerzy i dzieci. Na razie jednak nie przyniosły one żadnego efektu, mimo że była już jedenasta wieczorem i dawno zapadł zmrok.

Bethany jeszcze nie była dzisiaj w domu i przyszło jej do głowy smutne spostrzeżenie, że jej nikt nie szuka. Matka poszła pewnie do pracy, nawet nie sprawdziwszy, czy córka jest w domu, czy jej jeszcze nie ma. Zrobiło jej się tak ciężko na sercu, że głośno się rozplakała.

Kiedy tak szlochała, podeszła do niej jedna z kobiet.

— Daj spokój, Beth, kochanie — powiedziała smutnym głosem. — Ona na pewno się znajdzie.

Słowa te sprawiły, że Bethany zaczęła płakać jeszcze żałośniej. Wkrótce wszystkie kobiety zaczęły ją uspokajać, jednak na niewiele się to zdało, ponieważ Bethany dobrze wiedziała, że to przez nią Kira zaginęła.

— Telefonowałam na policję, Jon Jon.

Pokiwał głową.

Dawno już minęła północ, a po Kirze nadal nie było ani śladu. Przeszukano wszystko, ludzie pytali o Kirę w każdym domu i mieszkaniu, poszukiwano jej w ogrodach i ogródkach, w szopach. Szukano w parku, na wysypisku śmieci, nawet w okolicznych pubach. Jon Jon posprawdzał nawet większe pojemniki na śmieci, chociaż nie powiedział o tym matce. Wszystko na nic. Można było odnieść wrażenie, że Kira zapadła się pod ziemię.

Joanie była już teraz nie na żarty zaniepokojona, doskonale wiedziała bowiem, że jej najmłodsze dziecko nigdy z własnej woli nie zdecydowałoby się na jakąś głupią ucieczkę. Kira zresztą miała raz na zawsze przykazane, że dokądkolwiek idzie, musi o tym poinformować matkę lub starsze rodzeństwo.

Rozległo się pukanie do drzwi i Joanie wpuściła sąsiadkę. Była to Mary Brannagh, niska, przysadzista kobieta o rozwichrzonych, siwych włosach i ciemnych, lśniących oczach; bez wątpienia płynęło w niej sporo krwi cygańskiej. Joanie i Mary były w pewnym sensie rywalkami, ponieważ Mary także wróżyła z kart tarota.

— W porządku, Joanie?

Joanie pokiwała głową.

— Mary, kochanie, ona się znajdzie, zobaczysz. A kiedy już ją zobaczę, to się z nią policzę. — Starła się, żeby w jej głosie nie było słycać zatroskania.

Tymczasem Mary odpowiedziała złowieszczo:

— Ona jest z kimś, kogo zna, Joanie. Z osobą o ciemnych włosach.

Mówiła to tak ponurym tonem, że Joanie, mimo iż zdawała sobie sprawę ze szczerych intencji Mary, zapragnęła nagle uduśić ją, po czym wypchnąć zwłoki za drzwi. Na szczęście zareagował Jon Jon.

— Daj spokój, Mary. Wyjdź stąd, kochanie. Nie chcemy słyszeć takiej gadki. Moja mama i tak jest już wystarczająco zdeenerwowana. W każdej chwili spodziewamy się policji.

Wypchnął Mary za drzwi, mimo jej nieśmiałych protestów. Na determinację Jon Jona nic jednak nie mogła poradzić.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Joanie popatrzyła na syna.

— Kurwa, gdzie ona jest, Jon Jon? — zapytała.

Mary już ją na dobre wystraszyła. Joanie wierzyła bowiem w karty, wierzyła w ich przepowiednie.

Jon Jon westchnął.

— Nie wiem, mamó. Ale uspokój się, Kira na pewno zapomniała, która jest godzina.

Joanie jednak nie dawała się łatwo zbyć.

— Na pewno nie zapomniała, która jest godzina, przecież ona ledwie, kurwa, zna się na zegarku. Nie ma jej, ale przynajmniej przebywa w towarzystwie kogoś, kogo zna. Chyba tak właśnie powiedziała Mary, prawda? Kto z jej znajomych przetrzymałby ją aż tak długo? Znamy kogoś o ciemnych włosach?

Jon Jon usiadł na sofie i objął twarz rękami.

— Daj spokój, mamó. Jeżeli już zaczniesz słuchać Mary Brannagh, to przecież zgłupiejesz.

— Ale gdzie jest moje dziecko?

Joanie zaczynała ogarniać histeria. Ostatnie słowa wywrzeszczała, nie panując nad sobą.

— A, kurwa, skąd mam wiedzieć? To ty pozwoliłaś jej iść na te pierdolone zakupy, nie ja!

— A więc, twoim zdaniem, to moja wina, że jej nie ma? — Już kiedy wykrzykiwała te słowa, wiedziała, że postępuje wobec syna niesprawiedliwie.

Jon Jon spróbował przytulić matkę do siebie. Wiedział, jak jest zdenerwowana i czuł się bezsilny, ponieważ nie miał pojęcia, jak polepszyć sytuację. Joanie odepchnęła go.

— Zostaw mnie, Jon Jon. Przyprowadź mi tutaj Kirę. Ani ty, ani nikt inny nie jest mi teraz potrzebny. Chcę mojego pieprzonego dziecka!

W tej chwili na dobre się rozplakała. Kiedy po godzinie w mieszkaniu zjawili się policjanci, Joanie była już na skraju załamania nerwowego. Ani na chwilę nie potrafiła powstrzymać płaczu.

Wszystkich wyjaśnień udzielił policjantom Jon Jon. Jego matka tymczasem siedziała na krześle, odpalała jednego papierosa od drugiego i piła herbatę wzmocnioną wódką.

Tommy wciąż prowadził poszukiwania, uparcie i bez chwili wytchnienia, jakby w ogóle nie docierało do niego zmęczenie. Zauważyli to wszyscy. Zanim nastał świt, większość ludzi z re-

zygnacją wróciła do domów, żeby przespać się kilka godzin przed pójściem do pracy.

W poszukiwaniach brała udział praktycznie cała dzielnica. Nawet Sippy Marvell i jego ludzie objeżdżali samochodami okolicę i szukali Kiry. Paulie posłał na poszukiwania wszystkich mężczyzn, którzy dla niego pracowali. W poszukiwaniach Kiry brał także udział sam Jasper i jego kumple.

Jeanette była zdruzgotana. Cała zapłakana, przybiegła do domu matki o pierwszej nad ranem. Teraz siedziała w pokoju razem z Tommym i Joanie, czekając na jakiekolwiek wiadomości. Coraz bardziej lubiła Tommy'ego, szczególnie że tulił jej matkę czule, żeby chociaż na chwilę przestała płakać. Ból, jaki rysował się na jego twarzy, był autentyczny.

Policjanci przeszukiwali pokój Kiry, chcąc znaleźć cokolwiek, co dałoby jakąś wskazówkę, dlaczego dziewczynka zniknęła. Joanie znosiła ich z widoczną niechęcią. Wreszcie nie wytrzymała i przeszła do pokoju córki.

— Ona nie uciekła. — powiedziała głośno. — Ile razy mam wam to jeszcze powtarzać?

Policjantka uśmiechnęła się łagodnie.

— Dzieci często zadają się z różnymi osobami, o których ani słowem nie wspominają rodzicom. Musimy się upewnić, że pani córka ani nie pisywała w sekrecie do nikogo listów, ani potajemnie nie telefonowała do nikogo. Czy w szkole posługuje się komputerem? Bywa w kawiarenkach internetowych?

Joanie potrząsnęła przecząco głową.

— Mówiłam, że ma problemy z nauką. Kira z trudem potrafi napisać swoje nazwisko. A komputery to już, kurwa, zupełnie nie jej liga. Rozejrzyjcie się tylko po tym pokoju, ona ma prawie dwanaście lat, a tu wygląda, jakby mieszkało czteroletnie dziecko. Ktoś na nią napadł, zaciągnął w jakiś mroczny kąt, a wy się tylko, kurwa, kręcicie bez przerwy po moim mieszkaniu!

— Przestań, mamo, przestań! Może ona po prostu zaginęła?

Joanie popatrzyła na syna z niedowierzaniem.

— Ludzie przeszukali już całą dzielnicę, żeby ją znaleźć, a ty

mi mówisz, że ona zwyczajnie zaginęła? Kurwa, od stu lat niktogo tutaj tak intensywnie nie poszukiwano. Wszyscy to wiemy, a więc gdzie, kurwa, ona jest? Gdzie jest moje dziecko?

Zacząła krzyczeć, jednocześnie wyrywając sobie włosy z głowy.

Policjantka wzięła Jon Jona na bok i powiedziała:

— Przykro mi, ale to chyba pora, żeby wezwać do niej lekarza.

Jon Jon ze smutkiem pokiwał głową. Strach matki powoli zaczynał przechodzić na jej starsze dzieci.

Joanie otrzymała środki uspokajające dopiero o ósmej trzydzieści pięć rano. Ponad godzinę wszyscy namawiali ją, żeby pozwoliła sobie zrobić zastrzyk. Jon Jon odetchnął z ulgą, kiedy to się wreszcie stało. O tej porze cała okolica wiedziała już z gazet i z lokalnej telewizji, że Kira Brewer nie powróciła na noc do domu. Wkrótce pletwonurkowie zaczęli przeszukiwać nurt rzeki.

Wreszcie i Jon Jon nie wytrzymał napięcia. Poszedł do swojego pokoju i rozplakał się jak dziecko.

Paulie Martin oglądał poranne wiadomości telewizyjne w mieszkaniu jednej ze swoich przyjaciółek, Jenny. Była młoda, śliczna i miała piękne, mocne, jasne włosy oraz bładoniebieskie oczy. Była też niewiarygodnie chuda, ale za to miała cycki, za jakie każdy mężczyzna byłby gotów umrzeć. Przygotowała Pauliemu kubek mocnej kawy, po czym razem z nim zaczęła wpatrywać się w ekran telewizora.

— Biedna Joanie, co?

Paulie pokiwał głową.

— Jeżeli cokolwiek się stanie temu dziecku, Joanie chyba oszaleje. Przecież tak bardzo kocha tę Kirę...

Znów pokiwał głową, niezbyt zadowolony ze sposobu, w jaki jego dziewczyna mówi o Joanie. Joanie była jego osobistą przyjaciółką. Zastanawiał się, ile Jenny wie o nich dwoje i ile jeszcze koniecznie będzie chciała się dowiedzieć. Doskonale zdawał sobie sprawę, że kurwy to przecież straszne plotkary.

— Była dla mnie taka dobra, kiedy cierpiałam po skrobance...

Paulie natychmiast nastawił uszu.

— Jakiej skrobance?

Jednym okiem patrzył teraz w telewizor, a drugim starał się skupić na Jenny.

Dziewczyna roześmiała się.

— Nie denerwuj się, to nie było twoje dziecko. Żaden zaślakany Martin nie opuścił mojej cipy w kawałeczkach.

I z pewnością żaden nie opuści. Właśnie był u niej po raz ostatni, ale nie zamierzał jej jeszcze o tym informować.

— Byłam w ciąży w zeszłym roku, a zapłodnił mnie mój facet. Nie chciał jednak nawet słyszeć o dziecku i ja zresztą też, mówiąc prawdę. Usunęłam więc płód, ale później, aż dziwne, długo byłam w dołku, płakałam i tak dalej. Joanie pomogła mi, wyjaśniła, co to są hormony i w ogóle była bardzo miła. — Przez kilka chwil na twarzy dziewczyny gościł smutny wyraz. — Joanie powiedziała mi, że rozważała aborcję, kiedy dowiedziała się, że nosi w sobie Kirę, ale jakoś nie potrafiła się na to zdobyć. Mówiła mi, że bardzo kocha jej ojca, a pewnie niczego, poza tym dzieckiem, i tak nigdy od niego nie dostanie. — Jenny roześmiała się. — To chyba nie był pan Bardzo Wiarygodny, prawda? Joanie powiedziała mi jednak, że bywała z tym facetem razem przez wiele lat, raz dłużej, a raz krócej. — Jenny wstała, przeciągnęła się i powiedziała niewinnym głosem: — Lubię Joanie. Szkoda, że ona nie jest moją matką. Jej dzieci są dla niej całym światem, a już to najmłodsze... — Westchnęła. — Jeżeli cokolwiek stanie się Kirze, to ją zabije, prawda?

— Powiedziała ci, kto jest ojcem Kiry?

Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową.

— Nie. Wykapię się. Później do niej wpadnę i zobaczę, jak się ma. Wyjdiesz sam, jak będziesz chciał, prawda?

Paulie pokiwał głową.

W głębi serca od zawsze zadawał sobie głupie pytanie, czy Kira przypadkiem nie jest jego dzieckiem. Właśnie ta wątpliwość trzymała go z daleka od Joanie, ze względu na Sylwię. Gdyby wpadło jej do głowy podejrzenie, że gdzieś na boku ma nie-

ślubne dziecko, sporo by go to kosztowało. Podświadomie zresztą przez cały czas czekał, aż Joanie powie mu coś na ten temat. Ona jednak wciąż milczała, a Paulie w sumie przyjmował to z ulgą.

Teraz w zamyśleniu zaczął potrząsać głową. Przecież by mu powiedziała, prawda? Zakładał, że to bachor któregoś z klientów; kurwom od czasu do czasu zdarzały się takie przypadki. Znajdowały mężczyzn, z którymi żyły przez kilka miesięcy, a którzy do cna je wykorzystywali, potem i tak powracały do zawodu.

Oczywiście, Paulie nie mógł zaliczyć siebie do kategorii takich facetów.

Na ekranie znów się pojawiła fotografia Kiry. Przypomniawsobie jej roześmianą twarz. Pamiętał, jak siadała na jego kolanach, kiedy jeszcze uczyła się chodzić i jak się do niego śmiała. Pamiętał, jak bardzo Joanie i inni ją kochali. Znów przypomniałsobie roześmiane oczy dziewczynki, kiedy przed kilkoma tygodniami przygotowywał w domu Joanie śniadanie. Pamiętał jej niepokój o matkę, kiedy Joanie pobił Todd McArthur.

Tak, Kira była miłym dzieckiem.

Na ekranie telewizora prezentowano szkolną fotografię Kiry. Paulie wielokrotnie widział ją w mieszkaniu Joanie, a przecież ani razu nie zwrócił na nią większej uwagi. Znał to dziecko od niemowlęcia. Widział je teraz oczyma wyobraźni, razem z pozostałą dwójką rodzeństwa, jak pomagają matce wymyślać fantazyjne prozowane kolacje i jak się śmieją z jej nedorzecznych pomysłów.

Joanie była dobrą matką. Paulie wiedział o tym od zawsze i uważał to za jeszcze jeden powód, dla którego wydawała mu się taka atrakcyjna. Jej dom był całkowitym zaprzeczeniem jego własnego.

Dzieci były w jego domu najważniejsze, co zawsze znaczyło według Sylvii, że Paulie był tam najmniej ważny i najmniej istotny. W domu Joanie dzieci też były najważniejsze, ale Joanie dawała mu wyraźnie odczuć, że on jest dla niej ważny co najmniej tak samo. Jej dzieci lubiły go z prostego powodu, że u-

szczęśliwiał ich matkę. Kochały ją tak bardzo, że zawsze mocno pragnęły tego wszystkiego, czego pragnęła i ona.

Gdyby Kira była jego dzieckiem, przecież Joanie na pewno by mu powiedziała.

Zdrowy rozsądek podpowiadał jednak, że tego by nie zrobiła, ponieważ gdyby mu powiedziała, utraciłaby go.

Kiedy Jenny wyszła z kąpieli, Paulie wciąż siedział na krześle. Bez wątpienia wcześniej płakał. Po chwili złapał za telefon i umówił jakieś spotkanie na jedenastą rano. Gdy Jenny wyszła z kuchni, już go nie było.

Żadnego „do widzenia”, nic.

Co więcej, cholera, nie zostawił jej żadnych pieniędzy! Oto cały Paulie Martin.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Detektyw inspektor Baxter popatrzył na Joanie i poczuł, że ogarnia go współczucie, którego istnienia dotąd w sobie nie podejrzewał. W ciągu jednej nocy ta kobieta postarzała się o dwadzieścia lat. W tej chwili jej twarz była szara jak popiół, a puste oczy wзираły z oczodołów. Przypatrzwszy się im jednak uważniej, dostrzegł w nich to samo przerażenie, jakie widywał w oczach każdej ofiary zbrodni, z jaką miał do czynienia podczas swojej długiej kariery policyjnej.

Nigdy nie lubił Joanie Brewer i nie lubił właściwie żadnego członka jej rodziny, ale nawet ta naturalna antypatia nie mogła go teraz odwieść od współczucia, jakie dla niej żywił. W tej chwili była już pokonana, opuściła ją cała nadzieja. Widział to w jej oczach, widział to w całej sylwetce kobiety.

Aż do teraz czuł odrazę do wszystkich Brewerów. Na przestrzeni kilku lat Joanie stworzyła po prostu kryminalną rodzinę. Jon Jon handlował narkotykami i bił każdego, kto mu się akurat nie spodobał, a Jeanette była zmorą policji od dnia, kiedy po raz pierwszy ukradła coś ze sklepu. Nazwisko Brewerów było synonimem udanej ucieczki przed policjantami. Gdy ktoś mówił „zrobiłem Brewera”, w lokalnym slangu znaczyło to, że nie dał się złapać ścigającej go policji. Teraz jednak to Joanie Brewer potrzebowała policji. Baxter patrzył na nią i przyszło mu do głowy, że kiedy Jeanette zniknęła z domu, Joanie nigdy nie była o nią niepokojna.

Po raz pierwszy usłyszawszy imię Kiry, Baxter uznał, że dzieciak wkrótce stanie się jego kolejną zmorą. Jakże się pomylił. Później wszystko zaczęło wskazywać na to, że Kira będzie

zupełnie inna niż reszta rodzeństwa. Chuchała i dmuchała na nią cała rodzina, opiekując się dziewczynką i pilnując, żeby w nic złego się nie wdawała.

Teraz Baxter strasznie żałował Joanie i współczuł nawet Jon Jonowi. Widział, jak zdruzgotane są ich twarze. Co prawda nigdy w życiu nie doświadczył tego, co oni w tej chwili przeżywali, lecz doskonale potrafił sobie wyobrazić, przez co przechodzą.

— Czy zdołasz złożyć zeznanie?

Joanie tylko pokiwała głową.

Policja komunikat o zaginięciu dziewczynki nadała na cały kraj, z nadzieją, że zgłosi się ktoś, kto widział Kirę w ciągu ostatnich godzin. Albo że ktoś, kto ją zaatakował i teraz więzi, przestraszony, szybko zwróci jej wolność. Tego jednak Joanie nie powiedział, oczywiście.

— Tak, jasne.

Joanie była gotowa zrobić wszystko, żeby tylko odnaleziono jej córkę.

— Myśli pan, że ktoś mógł ją porwać, panie Baxter?

Nie odpowiedział od razu.

— Nie spekulujmy, Joanie, dobrze? — odparł po chwili. — Wszystko będzie dobrze, kochanie.

Popatrzyła na niego smutnym wzrokiem.

— Doceniam to, co pan zrobił dla nas do tej pory. Wie pan, że mówię prawdę.

Baxter, mimo że czuł się trochę niezręcznie, pokiwał głową.

Kiedy wychodziła z jego gabinetu, zobaczył, jak zwiesiła bezradnie ramiona. Sposób, w jaki szurała nogami, nie pozostawiał wątpliwości, że Joanie Brewer nagle stała się bardzo starą kobietą.

Po rozmowie z komendantem Baxter zdał sobie sprawę, że zagadka, przed którą stoi, jest bardzo poważna, znacznie poważniejsza, niż początkowo komukolwiek się wydawało. Komendant jasno dał do zrozumienia, że ma ona priorytet przed wszystkimi innymi, a dziewczynki należy szukać tak samo, jak szukałoby się królowej, gdyby znalazła się na liście osób zaginionych.

Początkowo Baxter się zdziwił, wkrótce jednak przyjął słuszne założenie, że to Paulie Martin porządnie wstrząsnął jego szefem.

Ze względu na to, że zaginęła dziewczynka od Brewerów, początkowo policjanci przyjęli, że po prostu uciekła z domu. Podobnych ucieczek Jeanette było już tyle, iż stracili rachubę. Teraz jednak sam Baxter martwił się o zaginioną, a przy tym dręczyło go poczucie winy. Gdyby od początku zabrali się za poszukiwania z większą energią, pewnie dziecko by się znalazło.

Lecz przecież ona nazywała się Brewer!

Wszyscy Brewerowie, odkąd sięgał pamięcią, doskonale czuli się na ulicy. Tymczasem to jedno jedyne dziecko było zupełnie inne. Niewiele brakowało, a przed laty Kira wylądowałaby w zamkniętym domu dla dzieci upośledzonych, ale — do diabła — skąd Baxter miał o tym wiedzieć?

Jeśli Kira byłaby taka jak Jeanette i Jon Jon, należałoby przyjąć, że po prostu zadarła z matką. Albo że ukryła się u jakiegoś miejscowego gogusia, jak wcześniej czyniła jej starsza siostra. Jeanette zdarzyła się już wyprawa w nieznane z jakimś lokalnym narwańcem i policja straciła mnóstwo energii na jej poszukiwanie. Jon Jon sprawił później gówniarzowi takie manto, że ten na zawsze go popamiętał, a Jon Jon potrafił bić, o czym przekonało się już wiele osób, nie wyłączając jego najlepszego przyjaciela, Carty'ego.

Pobieżne przeszukanie pokoju Jon Jona również trochę szerzej otworzyło Baxterowi oczy na rodzinę Brewerów. Znajdowało się w nim mnóstwo książek. Kto by pomyślał, że Jon Jon Brewer miał w głowie mózg zdolny do czegoś tak abstrakcyjnego jak czytanie? Baxter wiedział przecież o nim, że interesuje go wyłącznie życie ulicy. Tymczasem miał na półkach rosyjską klasykę, a nazwisk autorów nie sposób było wymówić. Jeden z policjantów powiedział później, że na marginesach książek Jon Jon robił notatki, zapisywał własne myśli na temat tego, co czytał.

Z tej nowej wiedzy o Jon Jonie wynikało, że należy mu się jeszcze baczniej przyglądać, ponieważ ludzie o bystrych umysłach potrafili szybko awansować w hierarchii półświatka, a Baxter

gotów był postawić każde pieniądze na to, że pewnego dnia Jon stanie się w nim udziałowym szefem. Był błękitnookim pupilkiem Pauliego Martina. Właściwie ciemnookim, ale w końcu co to za różnica?

Opieka społeczna przysłała mu dziś rano kartotekę Brewarów. Ich zawartość Baxter przyjął z ulgą. Dokumenty nie zawierały żadnych niepokojących informacji, niczego, co mogłoby wprost sugerować, że policja powinna się nimi interesować, a tego nie zrobiła. Tym niemniej, mówił sobie, chociaż oficjalnie mógł czuć się w porządku, w głębi duszy czuł się winny.

Kira Brewer sprawiała wrażenie zwyczajnego, sympatycznego, małego dziecka.

Z tego, co słyszał, Kira była sympatycznym, małym dzieckiem.

Zresztą, nawet gdyby była ostatnim draniem, miałaby prawo do natychmiastowych poszukiwań policyjnych, zaraz po zgłoszeniu jej zniknięcia.

Baxter zapalił kolejnego papierosa i zaczął się nim szybko zaciągać. Właściwie rzucił ten nałóg dwa lata wcześniej, ale dzisiaj rano potrzebował nikotyny, żeby się uspokoić. Skoro sam komendant zajął się sprawą zaginionej dziewczynki, należało zakładać, że dla wszystkich wynikną z tego jedynie kłopoty. Szczególnie że można było odnieść wrażenie, iż osobiście mu zależy, aby poszukiwania zakończyły się sukcesem.

Baxter miał nadzieję, że jakiś klucz do zagadki przyniosą telewizyjne ogłoszenia. O zaginięciu Kiry poinformowała telewizja w całym kraju. Może — miejmy nadzieję — Kira siedzi teraz gdzieś w jakiejś restauracji McDonalda, samotna i zagubiona, albo w towarzystwie jakiejś koleżanki. Podobne przypadki miały już miejsce w przeszłości.

Chwytał się tej myśli jak tonący brzytwy, doskonale sobie zdając z tego sprawę.

Nikt Kiry dotąd nie widział. Można było odnieść wrażenie, że dziewczynka po prostu zniknęła z powierzchni ziemi i to martwiło Baxtera najmocniej.

Ponieważ zaginęła dziewczynka, której rodzina bardzo pilno-

wała, zatem ktokolwiek ją porwał, a Baxter nie miał najmniej-
szych wątpliwości, że dziewczynkę porwano, musiał ją znać. Za-
pewne też Kira знаła swojego porywacza.

Ale, wiedząc wszystko o Joanie, czy nie można było powie-
dzieć, że porywaczem jest jeden z jej klientów, a może nawet
były chłopak? Ktoś, kto potrafił doskonale się zorientować w jej
trybie życia? Dlatego policja postanowiła dokładnie ją prze-
świetlić. Zajęto się też przyjaciółmi, krewnymi i znajomymi ko-
biety, a już szczególnie tym grubym popaprańcem, który chełpił
się tytułem opiekuna Kiry. Był podejrzanym od pierwszej chwili,
w której się na niego popatrzyło. Był zboczeńcem czy popieprzo-
nym pederastą? Na razie trudno to określić, ale Baxter zamierzał
szybko się tego dowiedzieć.

Kira Brewer zaginęła dwadzieścia cztery godziny temu. Je-
żeli dziecka nie znajdowano w ciągu dwudziestu czterech go-
dzin, przyjmowano założenie, że nie wróci samo do domu.

Zwykle to się sprawdzało.

...

Po tym, jak policja skończyła wreszcie przeszukanie pokoju
Kiry, Joanie po raz kolejny dokładnie go wysprzątała. Zmieniła
pościel na nową, w stylu Barbie. Kiedy dziecko wróci do domu,
ucieszy się. Pokoik wyglądał na o wiele większy od czasu, kiedy
Jeanette przeniosła się do Jaspera. Kira tęskniła za siostrą, ale
potrafiła też cieszyć się z wolności, jaką dawał jej fakt, że obec-
nie mieszka sama.

Tommy pomagał Joanie. Prawie ze sobą nie rozmawiali, jed-
nak w jego towarzystwie kobieta czuła się o wiele lepiej niż w sa-
motności. Razem umieścili wszystkie misie Kiry na łóżku w taki
sposób, jak lubiła.

Rozglądając się po pokoju córki, patrząc na jej obrazki i za-
bawki, Joanie chciała krzyczeć ze strachu, a jednak wciąż zdo-
łała powstrzymać się od tego. Nadal była przekonana, że Kira
wróci albo że przynajmniej zostanie gdzieś znaleziona, samotna,
zagubiona i dezorientowana.

Nie, nie była martwa.

Chociaż doskonale wiedziała, że za nieobecnością córki w domu nie może się kryć nic dobrego, wierzyła — wbrew wszelkiemu rozsądkowi — że Kira przebywa teraz z kimś, kogo doskonale zna. Z kimś o ciemnych włosach, jak powiedziała Mary. Tej nadziei Joanie się trzymała. Kira jest teraz z kimś, kogo zna, a przecież każdy znajomy Kiry uwielbiał ją albo wręcz kochał. Przecież Bóg nie odbierze matce najukochańszego dziecka! Nie może być taki mściwy. Nieważne, jakie Joanie wiodła życie, na coś takiego przecież nie zasłużyła. Była tego pewna.

Tommy uśmiechnął się łagodnie.

— Myślę, że dobrze się stało, iż wiadomość o Kirze podała telewizja — powiedział. — To z pewnością pomoże.

— Dzięki, Tommy. Mam nadzieję, że ktoś ją zobaczy, może ją rozpozna i przyprowadzi do domu.

Akurat polerował szmatką mały stolik przy toalecie.

— Ja też mam taką nadzieję, kochana. Naprawdę mam taką nadzieję.

Ale Joanie wiedziała, że — jak każdy — Tommy wiele tej nadziei nie ma.

Jeżeli Kira nie powróciłaby jednak do domu, to niechby to się stało przynajmniej z powodu jakiegoś nieszczęśliwego wypadku, modliła się Joanie. Alternatywa dla wypadku była tak przerażająca, że nie ośmielała się nawet o niej myśleć. Z trudem usuwała okropne wizje z myśli.

W swoim zawodzie wielokrotnie już widziała, do czego zdolni są mężczyźni. Niektórzy klienci nawet ją szokowali wymaganiami i tak zwanymi potrzebami, nie miała więc żadnych złudzeń, co mężczyźni potrafią robić z kobietami, dziewczynkami i przede wszystkim z małymi dziećmi.

W głębi serca wiedziała, zresztą wszyscy wiedzieli, że Kira nigdy dobrowolnie by nie uciekła ani od niej, ani w ogóle od rodziny. Gdzie więc teraz była? Z kim przebywała? Czy z kimś o ciemnych włosach? Tylko tyle powiedziała Mary Brannagh, a Joanie w to wierzyła.

Był to dla niej jedyny mały racjonalny cień nadziei. Jego kruchość sprawiała, że pragnęła wrzeszczeć, krzyczeć, wykrzykiwać swoją niepewność i frustrację całemu światu. Zamiast tego jednak dokładnie posprzątała pokój córeczki i przygotowała wszystko, co należało przygotować na jej powrót.

Biorąc do ręki jej nocne koszule, przykładając do twarzy delikatny materiał, wdychając głęboko zapach swojego dziecka; oczyma wyobraźni widziała uśmiechniętą twarzyczkę Kiry, słyszała jej radosny śmiech. Dziecięcy pot pachniał tak słodko... Tęsknota za Kirą sprawiała, że Joanie czuła w piersiach tak ogromny, rwący ból, jakby ktoś rozrywał na strzępy całe jej ciało.

— Na miłość boską, Paulie, niemal przyłożyłem im do dup pistolety. Co więcej mogę zrobić? — Komendant David Smith był zdenerwowany i bynajmniej tego nie ukrywał.

— Dobrze, w porządku, nie drzyj się.

W zdenerwowaniu Smith na chwilę zapomniał, z kim rozmawia.

— Przecież mogliśmy odbyć tę rozmowę przez telefon.

Paulie także szybko tracił cierpliwość.

— Nie, nie mogliśmy. A teraz przestań pieprzyć głupoty i posłuchaj, co mam do powiedzenia. Chcę, żebyś szybko załatwił tę sprawę i żeby dziewczynka wróciła do domu, lepiej wcześniej niż później. Rozumiesz?

Smith pokiwał głową. Nagle przypomniał sobie, z kim ma w końcu do czynienia. Przez głowę przemknęły mu błyskawicznie wspomnienia ostatnich interesów, jakie prowadził z Pauliem Martinem i pomyślał, że jeśli będzie się stawiał, mężczyzna bez najmniejszych skrupułów wykorzysta przeciwko niemu wszystko, co o nim wie.

Oczywiście, w tej sprawie miał całkowitą rację.

Paulie był dla niego dodatkowym źródłem gotówki od dnia, w którym na jego sugestię postawił stopę na pierwszym szczeblu bardzo wysokiej drabiny. Przez ostatnie lata Paulie poprosił go

o kilka przysług i Smith dopilnował, aby te przysługi zostały spełnione. W sumie nie chodziło o nic wielkiego, jedynie o zagwarantowanie licencji dla salonów masażu czy zablokowanie kilku oskarżeń. Żadne tam ważne sprawy.

Smitha martwiło jednak to, co otrzymał w zamian. Oczywiście, pieniądze i luksusowe wakacje. Raz wziął samochód, nowego jaguara, za udzielenie jednemu ze współpracowników Pauliego pomocy w interesach z bankiem. Chodziło wtedy o wymagające rzekomo nadzwyczajnych stosunków wymazanie z krajowej bazy danych informacji o jego wcześniejszych wyrokach skazujących.

Smith przyjął wówczas jaguara i mnóstwo gotówki, a tymczasem kosztowało go to jedynie dwa tysiące, które wręczył pewnej dziewczynie za usunięcie z kartotek nazwiska faceta. Wówczas uważał się za wielkiego spryciarza. Teraz zastanawiał się, czy Paulie miał świadomość, że lwia część pieniędzy zatrzymał dla siebie, z chciwości i z dumy, jak jest ważny i jak wiele może załatwić.

Wspomnienie tej sprawy prześladowało Smitha. Na samą myśl, że informacje o jego machlojkach mogą wkrótce wydostać się na światło dzienne, cierpła mu skóra. Jak większość jemu podobnych mężczyzn, przerażała go perspektywa upokorzenia i publiczny wstyd. Obawiał się, jak wówczas będzie przyjmowany przez przyjaciół i kolegów.

Paulie doskonale sobie zdawał sprawę z tego wszystkiego i chciało mu się śmiać ze Smitha. Obawy Smitha o pozycję w społeczeństwie zawsze wywoływały jego wesołość. Cóż, mógł o tym pomyśleć, kiedy dopiero zaczynał brać udział w jego maćtactwach. Nikt go do niczego nie zmuszał, Smith sam wybrał swój los i sam doprowadził do sytuacji, w której teraz się znajdował. Kochał pieniądze, uwielbiał zgrywać przed kompanami zamożnego człowieka.

Czy ten Smith naprawdę sądził, że Paulie Martin go lubi albo coś w tym rodzaju? Czy uznał, że są kolegami? Czy nie wiedział, że obaj po prostu są nawzajem sobie potrzebni? Kurwa, co za głupek! Tak, Smith był głupim kutasem, jednak Paulie musiał teraz

zdać się na niego i zmusić go do użycia wszelkich środków, byleby tylko odnaleźć dziecko. Ten facet był śmiechu warty. Przez całe życie myślał jedynie o sobie. Nawet dziwki śmiały się z niego, a David Smith lubił dziwki, o tak. Najbardziej lubił młodziutkie dziwki. Niby nic nielegalnego, ale przecież ktoś mógłby się przyczepić...

Młode i takie chętne... Jego zdjęcie u boku którejś z nich na pierwszej stronie „Sun” zrobiłoby spore wrażenie. A tam właśnie Paulie by je opublikował, gdyby Smith niezbyt chętnie zabrał się do roboty. Miał go w garści, od pierwszego drinka, którego z nim wypił w podziękowaniu za drobne przysługi.

Paulie nie czuł wobec niego najmniejszej osobistej zażyłości. Facet był gliną, a co gorsza, zarozumiałym gliną na wysokim stołku. Inni gliniarze znali swoje miejsce w szeregu i potrafili Pauliego traktować nawet z szacunkiem. Tymczasem temu bałwanowi wydawało się, że jest kimś nadzwyczajnym. Cóż, wkrótce będzie trzeba wyprowadzić go z błędu, raz na zawsze.

— Posłuchaj, Dave, osobiście przejmiesz nadzór nad tą sprawą i powiesz swoim ludziom, że jeśli nie pomożesz przyjacielowi w potrzebie, ten ogłosi całemu światu, jaki z ciebie łapówkarz i przewalacz. Powiesz także Baxterowi, że Joanie Brewer ma traktować jak jej pierdoloną królewską wysokość. Już wystarczająco podpadł, zachowując się, jakby jej robił łaskę, że w ogóle słucha, co do niego mówi.

Smith ledwie dostrzegalnie skinął głową.

— Musisz teraz mi udowodnić, że pamiętasz wszystko, co dla ciebie zrobiłem przez ostatnie lata. Pamiętasz, ja zawsze dostrzymywałem słowa, prawda? Teraz więc musisz mi oddać przysługę za wszystkie moje dotychczasowe przysługi. Po prostu, teraz przyszła twoja kolej, kapujesz?

Komendant jeszcze raz skinął głową. Twarz miał bladą i niewątpliwie był spięty. W każdym razie opuściła go wszelka brawura.

— Zapytałem, czy kapujesz?

— Tak, Paulie. Tak.

— Nie próbuj być sprytniejszy ode mnie, Davie, ponieważ

jestem w taki stanie, że mógłbym kogoś zabić, a obaj nie chcemy, żebyś to ty padł ofiarą, prawda?

Smith po raz kolejny potaknął i Paulie zyskał pewność, że ponakładał mu do głowy już dosyć grózb. Z całą pewnością sytuacja, wobec której stanął, nie była Smithowi na rękę, ale nie miał obecnie wyboru. Pomyślał, że jeśli się z niej wykaraska, to przynajmniej w przyszłości będzie już postępował wyłącznie zgodnie z prawem. Wyniknie więc z niej chociaż jedna dobra rzecz.

Komendant miał już dosyć Pauliego i to na zawsze. Wiedział, że jak najszybciej musi zdystansować się od Martina. Ten mały gnój go zniszczy, jeżeli nie będzie ostrożny. Cóż, z żalem, ale dopiero teraz Smith zaczynał zdawać sobie sprawę, w co tak naprawdę się wplątał.

Kiedy po raz pierwszy przyjął coś od Pauliego, wszystko odbyło się tak dyskretnie, iż nawet nie poczuł, że tak naprawdę zrobił coś złego. Poza tym zachęcił go wówczas do tego jego szef. W gruncie rzeczy sam przedstawił Smitha Pauliemu i to było kolejną z przyczyn, dla których nic nie wyglądało na takie złe, jak w rzeczywistości. Skoro interesy z Pauliem robił szef, dlaczego nie miałby w nich uczestniczyć także on, Smith?

Jego żona uwielbiała dodatkowe pieniądze i wygodniejsze życie, a w gruncie rzeczy uwielbiał to także on. Piękne kobiety, kiedy tylko ich potrzebował, miał teraz na zawołanie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Załatwiał nawet panienki dla przyjaciół i widział niedowierzanie na ich twarzach, kiedy docierało do nich, co potrafi zorganizować poprzez jedną rozmowę telefoniczną. A Smith uwielbiał demonstrować swoją władzę.

Zachowywał się, jakby to Paulie musiał czuć przed nim respekt, lecz teraz zastanawiał się, czy kiedykolwiek w to wierzył. Aż do tej chwili Paulie bez mrugnięcia okiem zachowywał wobec niego pozory szacunku. Od tej chwili jednak Smith żałował wszystkiego, co powiedział albo co zrobił wspólnie z Pauliem Martinem. Nagle stanęła mu przed oczyma każda przechwałka, każda obietnica, którą mu złożył, i to stokrotnie wzmocniona.

— Bądź pewien, że twoje grzechy cię zawsze odnajdą.

Matka, która mu to często powtarzała, nie miała pojęcia, jak wiele prawdy jest w tym powiedzeniu.

Penny Cross pracowała w zakładzie fotograficznym Supa Snaps od pięciu lat i kochała swoją pracę. Uwielbiała oglądać fotografie wyskakujące z maszyny, przede wszystkim przyglądać się migawkom z życia innych ludzi. Była plotkarą, ale nie gardziła też zaglądaniem do życia innych, które uwieczniały fotografie. Najczęściej były na nich wspomnienia z wakacji, przyjęć urodzinowych i innych nadzwyczajnych okazji.

Na pierwszej stronie lokalnej gazety pojawiła się fotografia Kiry. Zniknięcie dziewczynki było w tej chwili przedmiotem niemal wszystkich rozmów, a szczególnie rozmów tych ludzi, którzy ją znali lub przynajmniej codziennie widywali. Penny od razu zgadła, że fotografia z gazety jest szkolnym zdjęciem, a nie żadnym z tych, które przez ostatnie lata wywołała dla Kiry w zakładzie. Joanie uwielbiała fotografować dzieci, o czym Penny wiedziała lepiej niż ktokolwiek inny.

To właśnie Joanie powiedziała Penny, że jej mąż ma romans. Jak większość ludzi z okolicy Penny lubiła, żeby czasem powróżono jej z kart. Później Joanie była dla niej bardzo miła, ale Penny i tak wiedziała, że mąż odszedł dlatego, że pewien podłotek, niejaka Pauline Garston, mogła mieć dzieci. Zdążyła urodzić mu już dwoje, kiedy Penny się o niej dowiedziała.

Pauline była od niej o dziesięć lat młodsza, no i była płodna. Teraz Penny się z tego śmiała, ale wówczas ta świadomość bardzo okaleczyła ją emocjonalnie.

Ale to działo się w dalekiej przeszłości.

Był poniedziałkowy poranek i miała zaległości jeszcze z soboty, dlatego powiedziała sobie, że musi jak najszybciej zabrać się do pracy.

Popijając kawę, nagle zobaczyła, że z maszyny wyskakują fotografie Kiry Brewer. Jej serce niemal stanęło.

Kira musiała podrzucić ten film jeszcze w sobotę, chociaż

Penny jej nie zauważyła. Kto z nią przedwczoraj pracował? Chyba praktykant ze szkoły, Maurice. Zabawne, ale nigdzie nie było nawet śladu po kopercie z danymi klienta.

Penny wzięła fotografie do ręki i zaczęła się w nie wpatrywać. To, co zobaczyła, wcale się jej nie spodobało, zwłaszcza że wiedziała już o ostatnich wydarzeniach. Dziewczynka przecież zaginęła i wszyscy jej szukali.

Nagle Penny się przestraszyła. Nie wiedziała, co robić. Czy powinna przekazać te fotografie policji, czy Joanie? Nie chciała wpaść w żadne kłopoty.

Jeszcze przez dobrych pięć minut patrzyła z zaniepokojeniem na fotografie, zanim wreszcie zatelefonowała na policję. Tak, przekaże zdjęcia policji, a oni już będą wiedzieli, co z nimi zrobić. Jednak strach nie opuszczał jej nawet wtedy, gdy wkładała je do brązowej koperty i zamykała na klucz w szufladzie. Uznała, że w oczekiwaniu na policję tam będą najbezpieczniejsze.

Della usłyszała krzyki dużo wcześniej, zanim weszła do domu. Wkładając klucz do zamka, poczuła rozdrażnienie na samą myśl o tym, że dobiegające wrzaski usłyszą wszyscy sąsiedzi.

W środku trafiła na kłótnię Josepha z synem, jednak to jedynie Joseph krzyczał. Jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić krzyczącego Małego Tommy'ego. Zawsze mówił takim zrównoważonym, spokojnym głosem. Weszła do salonu i ujrzała Tommy'ego skulonego na sofie, i Josepha, stojącego nad nim z uniesioną pięścią.

— Do diabła, co się tutaj dzieje?

Obaj mężczyźni popatrzyli na nią, jednak minęło kilka długich sekund, zanim Joseph opuścił rękę.

— A ty czemu tak wcześnie wróciłaś?

Powiedział to takim tonem, jakby uczyniła coś złego, coś niegodnego. A przecież kobieta jedynie wróciła do własnego domu!

— Słucham? Potrzebuję więc specjalnego pozwolenia, żeby wchodzić do mojego domu?

Tommy obserwował reakcję ojca, spodziewając się, że prze-

wróci Dellę jednym ciosem, tak jak postępował z jego matką, kiedy ośmielała mu się w czymkolwiek sprzeciwić.

Tymczasem Joseph uśmiechnął się i powiedział:

— Kochanie, natrafiłaś akurat na rodzinną sprzeczkę. Usiądź spokojnie, a ja przygotuję dla nas wszystkich po filiżance herbaty, co?

Jego ton trochę ułagodził Dellę, jednak wciąż była ciekawa, co się wydarzyło przed jej wejściem.

— Chciałeś go uderzyć? — Odwróciła się do Tommy'ego.
— Chciał cię uderzyć?

Tommy nie odpowiedział, ale w głębi serca lubił ją coraz mocniej, tym bardziej że ponownie zwróciła się do Josepha i zaczęła do niego mówić, z każdą chwilą głośniej.

— Mówię do ciebie, Josephie Thompsonie, nie ignoruj mnie więc!

Joseph wyszedł z pokoju, kierując się do kuchni. Dla Delli i Tommy'ego było oczywiste, że nie zamierza powiedzieć ani słowa.

Della skierowała całą swoją uwagę na Małego Tommy'ego.

— Do diabła, co tu się dzieje?

Tommy z trudem nad sobą zapanował. Było oczywiste, że przed chwilą płakał.

— Lepiej jego spytaj, Dello. Bardzo cię przepraszam, że byłaś świadkiem tego wszystkiego. Naprawdę jest mi przykro.

— Chyba powinnam się jednak dowiedzieć, co się tutaj stało. Słucham cię, Tommy.

Ze smutkiem potrzęsnał głową.

— Naprawdę, musisz porozmawiać z moim ojcem.

W tym momencie Joseph wrócił do pokoju.

— Wynoś się stąd, ty bezużyteczny draniu! Wynoś się z tego domu i z mojego życia. Jeśli jeszcze kiedykolwiek cię spotkam, zabiję cię.

Della była zszokowana. Nigdy by nie uwierzyła, że Joseph potrafi zwracać się w ten sposób do kogokolwiek, a tym bardziej do swojego syna. Tommy patrzył na ojca. Widziała w je-

go oczach nienawiść, zresztą taką samą, jaka lśniła w oczach Josepha.

— No, dalej, Tommy. Mów, pozwalam ci. — Nie wiadomo dlaczego Joseph teraz niemal się śmiał. — Pamiętaj, synu, to ty masz kłopoty, a nie ja.

Tommy powoli, bardzo ciężkim krokiem zaczął wychodzić z pokoju. Każdy krok stawiał tak uważnie, jakby stapał po wodzie.

— Myślałeś, że zrzucisz to na mnie, co? Zastanów się nad tym i to zastanów bardzo poważnie. Ja nic nie zrobiłem, pamiętasz? Nic. Według wszelkich znaków na niebie i na ziemi to ty byłeś przyczyną, nie ja. I to twoja matka sama podjęła decyzję. Pamiętaj o tym, kiedy jeszcze raz przyjdzie ci ochota, żeby otworzyć tłustą jadaczkę. To była decyzja twojej matki, nie moja.

Della patrzyła, jak Tommy wychodzi z jej domu i nagle poczuła się, jakby w jej życie strzelił piorun. Kiedy chłopaka już nie było, odezwała się cicho:

— Co się tutaj, do diabła, dzieje?

Joseph ze smutkiem potrząsnął głową i zaczął jej odpowiadać:

— Tommy nigdy nie pogodził się z odejściem matki i ciągle rozmyśla nad przeszłością. Przyznaję, Dello, że nie zawsze byłem dla niego miły, ale dla mężczyzny dostatecznym ciężarem jest już sam fakt, iż prawie przez całe małżeństwo ma żonę przykutą do łóżka. A ja przecież musiałem zмагаć się jeszcze z nim, i w ogóle. — Znowu potrząsnął głową i szeroko rozwarł ramiona, żeby ogarnąć nimi Dellę oraz cały ten pokój. — Nawet nie wiesz, co to wszystko dla mnie znaczy, Dello. To życie, które teraz wiodę z tobą. Nie muszę gotować i sprzątać dla chorej kobiety, nie muszę znosić dzieciaka, który by tylko nasłuchiwał każdego złego słowa z jej ust na mój temat. Zbudowała pomiędzy nami tak wielką przepaść, że sam Jezus Chrystus miałby kłopoty, żeby ją przebyć. Była zazdrosna, a Tommy jest teraz pod tym względem taki sam jak ona. Wie, że po raz pierwszy w życiu jestem naprawdę szczęśliwy. Nie może się jednak pogodzić z faktem, że żyję z piękną kobietą, którą podziwiam i kocham. Nie może tego znieść, więc przyszedł tutaj i znowu zaczął roztrząsać

przeszłość. Przeszłość, którą ja chciałbym raz na zawsze pogrzebać i o której chciałbym po prostu zapomnieć.

Wyglądał na rozbitego, załamane go, jakby się skurczył i Delli nagle zrobiło się go żal. Poza tym, zadziały komplementy.

Czyż nie podziwiał jej i nie kochał?

Porzuciwszy złe przeczucia, podeszła do niego, otoczyła ramionami i mocno do siebie przytuliła.

— Tak, zapomnij o tym. Przecież teraz masz mnie.

Joseph uśmiechnął się.

— Wiem, Dello — powiedział. — I każdego dnia dziękuję za to Bogu.

Idąc do domu, Tommy czuł, że zbiera mu się na wymioty. Nie znosił, kiedy ten szmaciarz wspominał jego matkę. Matka była bardzo dobra, nawet wtedy, kiedy słaba leżała w łóżku, a on musiał znosić kręactwa tego faceta, dopóki nie umarła.

Cóż, kota można obedrzeć ze skóry na mnóstwo sposobów. Już Tommy dopilnuje, żeby ojciec zapłacił za swoje słowa i za całe zło, które wyrządził w przeszłości.

Zawsze spoglądał na Tommy'ego jak głodny jastrząb. Nawet dzisiaj bezlitośnie przypominał mu o pewnych rzeczach, które lepiej, żeby na zawsze pozostały zapomniane.

Ale w końcu miarka się przebrała. To już była wojna. I skoro został na nią wyzwany, Tommy tę wojnę wygra. Już Della się dowie, kogo przyjęła pod swój dach.

Policjantka popatrzyła na fotografie i westchnęła. To nie wyglądało dobrze. Wyglądało wręcz cholernie niedobrze. W gruncie rzeczy stawiało wszystko w zupełnie nowym świetle.

Zapakowała fotografie i zanotowała numer telefonu oraz adres Maurice'a Delraya. Następnie, przycisnąwszy torebkę ze zdjęciami do piersi, wyszła z Supa Snaps.

Patrząc za nią, Penny Cross zastanawiała się, czy postąpiła

właściwie. W pewnym sensie Joanie była jej dobrą kumpelą i Penny miała pewność, że te okropne fotografie nie mogą mieć nic wspólnego z Joanie. Jednak niemal natychmiast wzięła w niej górę naturalna skłonność do plotek. Może, rozmyślała, może Joanie jest w to jakoś zamieszana? W jej zawodzie takie rzeczy przecież się zdarzały.

Złapała za słuchawkę i zaczęła telefonować po przyjaciółkach, żeby je popytać, co o tym wszystkim sądzą.

W końcu i tak w niedługim czasie wszystkie te fotografie zobaczy mnóstwo ludzi.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Maurice Delray był zdenerwowany. Jego matka, Oleta, wpatrywała się w niego tak, jakby nagle wyrosła mu druga głowa. Jej szok był bezgraniczny. Czowała, jak ją oblewa gorący pot, a to wszystko z powodu policjanta, który stał w ich salonie. Zdawał się zupełnie nie na miejscu, w groźnie wyglądającym mundurze, w ich czystym, schludnym mieszkanku. Oleta zdenerwowała się na myśl, że Maurice wpadł w jakieś kłopoty.

Patrząc na syna, widziała również na jego twarzy napięcie, a w oczach przerażenie. Nie wierzyła w to, ale jeżeli jednak zamierzał wyruszyć w życie tą samą drogą, którą podążył jego brat, Wendell, postanowiła być dla niego twardszą niż do tej pory. Nie miała bowiem zamiaru pozwolić temu dziecku wstąpić na złą ścieżkę.

Wendell odsiadywał osiemnastoletni wyrok za napad z bronią w rękę i był dla niej równie stracony jak wtedy, kiedy mieszkał w St. Lucia ze swoim ojcem, który w życiu nie przeżył uczciwie ani jednego dnia.

Kiedy znaleźli się w Anglii, starała się zapewnić im dobre życie, chociaż było to bardzo trudne. Wendell był chłopakiem, który nigdy nie słuchał niczyich poleceń. Pod tym względem wrodził się w ojca.

Obecnie Oleta pracowała dwanaście godzin dziennie w kancynie pewnej fabryki w Barking. Zdołała wykupić na własność małe mieszkanko i nawet udało się jej posłać najmłodszego syna, Maurice'a, do college'u. Razem z nim wiodła spokojne, uczciwe życie, w przeciwieństwie do tego, które wybrał jej mąż. Owoce swojej ciężkiej pracy chciała pozostawić Maurice'owi. Co więc

srowadzało tutaj tego policjanta? Niemal wyrywała sobie palce ze stawów, przerażona i zawiedziona.

— Czego pan chce?

Głos Maurice'a drżał ze strachu i z napięcia. Słysząc w nim było akcent z Indii Zachodnich, trudno wyczuwalny, ale z pewnością obecny. Policjant przypuszczał, że to z powodu zdenerwowania chłopaka.

— Chcemy z tobą porozmawiać o Kirze Brewer.

Maurice zobaczył, że twarz matki blednie.

Powiedział, że nie wie, co to za dziewczyna i nigdy w życiu jej nie widział. Policjant pokazał mu wówczas fotografię.

— To mała dziewczynka, która niedawno zaginęła. Czyba widziałeś jej fotografię w telewizji czy w gazetach?

Dopiero w tej chwili posterunkowy zdał sobie sprawę, że w saloniku nie ma telewizora i stoi tu tylko małe przenośne radio. Wszystko było nieskazitelnie czyste, tak wypucowane, że niemal lśniło. Sofę i krzesła wciąż oklejały plastikowe przykrycia, pochodzące jeszcze ze sklepu, a na dywanie leżał specjalny bieżnik, żeby go nie brudzono.

Na wszystkich ścianach wisiały reprodukcje religijnych obrazów, ładnie umieszczone w pastelowych ramach. Wszystkie ukazywały przystojnego, jasnowłosego Jezusa ze wzrokiem wzniesionym ku niebu.

Chłopak lekko skinął głową.

— Widziałeś ją w Supa Snaps w sobotę?

Chłopak zastanawiał się przez dłuższą chwilę, zdawszy sobie sprawę, że to ważne pytanie. Całkowicie się na nim skupił.

Wreszcie potrząsnął przecząco głową.

— Nie, nie widziałem jej. Zapamiętałbym. Ale nazwisko osoby, która przyniosła film do wywołania, powinno być na kopercie.

Policjant pokiwał głową.

— Ale, widzisz, nie znaleźliśmy żadnej koperty. Zastanawialiśmy się, czy może to nie ty zrobiłeś odbitki jako przysługę dla kogoś znajomego, może krewnego.

— Nie. Nigdy bym się na coś takiego nie odważył. Straciłbym pracę.

Policjant uwierzył; od tego chłopaka wprost biła uczciwość. Może był doskonałym aktorem, ale funkcjonariusz wątpił w to. Ujrzawszy go, chłopak nieomal dostał zawału serca.

Większość dzieciaków, z którymi miał do czynienia, kłamała, bo tak wypadało. Naprawdę byli z nich dobrzy łgarze. Widział jednak, jak stopniowo matka Maurice'a odpręża się, słysząc zwięzłe i logiczne odpowiedzi syna. Ucieszył się, że kobieta nie będzie miała kłopotów. Wyglądała na miłą osobę.

— Mógłbyś udać się ze mną na komisariat, synu? Tylko po to, żeby wyeliminować twoje odciski palców.

Chłopak przytaknął, ale bez wątpienia nie był zadowolony z propozycji.

— Możemy przysłać po niego nieoznakowany samochód, jeśli pani sobie życzy. — Policjant zdał sobie sprawę, że matka nie ma najmniejszego pojęcia, o co mu chodzi. — To znaczy, pani Delray, że możemy po niego podjechać normalnym samochodem, a nie policyjnym radiowozem. W ten sposób nikt nie będzie wiedział, dokąd Maurice się udaje.

Ujrzał wdzięczność na jej twarzy. Opinia sąsiadów była dla niej bardzo ważna i doskonale ją rozumiał. Kobieta wciąż próbowała otrząsnąć się po przejściach z Wendellem. Policjant wiedział o nim wszystko, lecz był na tyle taktowny, by o tym nie wspominać.

Maurice uśmiechnął się do matki, a ona odpowiedziała mu podobnym uśmiechem.

Czasami posterunkowy nienawidził swojej roboty, ale kontakty z ludźmi, z którymi miał w niej do czynienia, starał się czynić jak najmniej kłopotliwymi. Pod tym względem należał do mniejszości w swoim komisariacie i nie był facetem najbardziej lubianym przez kumpli z pracy. Większość kolegów uznawała, że ich zawodowa misja polega na tym, by każdemu, kto nie jest gliniarzem, jak najbardziej utrudniać życie.

Ale wyraz twarzy tej kobiety zasługiwał na każdą sekundę,

którą poświęcił, żeby przekonać samego siebie, iż nie warto być takim policjantem.

Della martwiła się jednak zachowaniem Josepha wobec własnego syna. Kiedy później o tym rozmyślała, doszła do wniosku, że nie usłyszała od mężczyzny całej prawdy. Zapewne nie opowiedział jej nawet małej części tego, co wydarzyło się pomiędzy nim a Tommym. Nabrał ją i uspił jej czujność swoją opowieścią o miłości i podziwie. Uznała, że musi się dowiedzieć, co naprawdę jest grane między ojcem a synem.

Kiedy zaczęła go o to nagabywać, znów się zdenerwował. Widziała, jak rośnie w nim gniew.

— Daj spokój, Dello. To sprawa rodzinna.

— Teraz ja także jestem twoją rodziną, prawda?

Westchnął i wielką dłonią otarł spoconą twarz. Sprawiał wrażenie nerwowego i rozzłoszczonego. U Josepha Thompsona była to śmiercionośna kombinacja, ale Della jeszcze tego nie wiedziała. Wciąż natrętnie powracała do tego samego tematu, nieświadoma, co ryzykuje.

— Co miałeś na myśli, wołając do niego: „No, dalej, Tommy. Mów, pozwalam ci”? — Della za wszelką cenę chciała dotrzeć do sedna zagadki.

— Nic nie miałem na myśli.

Della nie dawała się zbić z tropu.

— To przecież musiało coś znaczyć. Nie kazałbyś mu czegoś mówić, gdyby nie miał nic do powiedzenia.

Joseph złapał ją za ramię i pchnął na sofę.

— Nic nie miałem na myśli! Byłem po prostu zdenerwowany. Czy możemy wreszcie o tym nie rozmawiać? Kurwa mać, dziewczyno! Jaką pracę ostatnio wykonywałaś? Rozdawałaś jedzenie w Auschwitz?

Jeszcze nigdy w życiu nikt do niej tak nie mówił. Leżąc wbrew swojej woli na sofie, pomyślała, że Joseph wcale nie jest taki łagodny i uległy, jak jej się początkowo zdawało. W gruncie

rzeczy był niebezpieczny, wyglądał teraz na faceta, który może zrobić jej poważną krzywdę.

Podczas gdy wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, przez tylne drzwi do pokoju weszła jej najstarsza córka. Della jeszcze nigdy w życiu nie ucieszyła się tak jak teraz na czyjś widok.

Patricia była podobna do swojego ojca: niska, przysadzista i bardzo potulna. Jej trzy córki wrodziły się z kolei w babcie: otwarte, towarzyskie i na tyle głośne, że nie sposób ich było nie usłyszeć, kiedy im na tym akurat zależało.

— Co się dzieje, mammo?

Joseph zmroził ją wzrokiem i wbrew rozsądkowi Della postanowiła ukryć przed córką scysję. Nie chciała, by ktokolwiek wiedział, że w jej ogródku nie zawsze panuje ład i harmonia.

— Nic, kochanie. Nastaw wodę w czajniku.

Pat wykonała polecenie, jednak doskonale wyczuła, że coś jest nie w porządku. Jeszcze lepiej wyczuły to jej dziewczynki.

Stały przed nowym dziadkiem, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczyma, z wyjątkiem najmłodszej, Aurory, która wskoczyła mu prosto na kolana, chcąc się do niego przytulić. Dzisiaj jednak ten widok nie napełnił Delli szczęściem. Ogarnęła ją niepewność, której przyczyny sama nie była do końca pewna.

Joseph nagle zaczął pokazywać swoje prawdziwe oblicze i to ją martwiło.

Bardzo martwiło.

Lorna stała przed blokiem Jon Jona, kiedy ten wyszedł i minął ją, nawet jej nie zauważywszy. Jej ciężki brzuch zdawał się pochylać dziewczynę do przodu. Ciężko dysząc, w zaawansowanej ciąży, ruszyła biegiem za chłopakiem, próbując go dogonić.

— Jon Jon!

Zatrzymał się przy krawężniku i zczekał, aż do niego dołączy.

— Czego?

Było to zarówno pytanie, jak i powiedzenie „spadaj”. A Lor-

na nie była pewna, czy w tej chwili postępuje właściwie. Jon Jon popatrzył na jej twarz, powoli tracącą wszelką urodę.

— Co jest? Nie mam dla ciebie całego pieprzonego dnia, Lorna.

Zanim się odezwała, przygryzła wargę i to sprawiło, że jej twarz nagle wydała mu się bardzo młoda. Przez sekundę pod grubym makijażem widział dziewczynę, ładną pomimo zaawansowanej ciąży. Pomyślał o swojej siostrze: też taka się stanie, jeśli nie będzie na siebie uważała. Jeanette wybrała taką samą drogę jak ta szmata, ale była zbyt głupia, żeby to zrozumieć.

— Słyszałam plotki... Pomyślałam, że powinieneś wiedzieć...
Roześmiał się.

— Kto ja jestem, jakaś pierdolona przekupka? Czy jestem podobny do ciebie?

Potrząsając głową, Lorna odpowiedziała:

— Chodzi o twoją siostrę. To znaczy, o twoją siostrę Kirę.
Jon Jon nagle nastawił uszu.

— Co takiego?

Lorna wciąż nie była pewna, czy postępuje właściwie. Chciała żyć z Jon Jonem na jak najlepszej stopie, jednak być może to nie jest najlepszy sposób. Earl machał już do niego z samochodu i rozumiała, że Jon Jon się śpieszy. Musiała powiedzieć swoje jak najszybciej.

Wmawiała sobie, że jej kuzynka nie ma wybujałej fantazji i to, o czym opowiedziała jej, Lornie, jest przynajmniej na tyle bliskie prawdy, że można to powtórzyć Jon Jonowi.

— No i co, gadaj.

— Chodzi o Małego Tommy'ego Thompsona — powiedziała przerażonym głosem.

Jon Jon westchnął i syknął niecierpliwie:

— No i?

— Miał sprawę dotyczącą zboczenia seksualnego.

Jon Jon przetarł dłonią twarz.

— Rozmawiałaś z Moniką?

Lorna potrząsnęła przecząco głową.

— Nie. Jon Jon, ja słyszałam o tym od mojej kuzynki, nazywa się Carly Lanesborough. Zna go z czasów, kiedy mieszkał w Bermondsey.

Jon Jon szarpnął ją za ramię.

— Wsiadaj do samochodu!

Wepchnął ją do środka. Lorna niezdarnie opadła na tylną kanapę. Wielki brzuch utrudniał jej ruchy.

— Jedź! Prosto do Bermondsey.

Earl ruszył.

Nie zapytał, co się dzieje, bo wiedział, że wkrótce się tego dowie. To była dobra strona pracy z Jon Jonem: żadnych długich dyskusji, musiał jedynie jeździć tam, dokąd Jon Jon mu kazał.

Carly mieszkała w miłym mieszkanku ze swoim mężem, Colinem. Była przeciwieństwem swojej kuzynki, co Jon Jona niezmiernie ucieszyło. Gdyby miał natknąć się na jeszcze jedną Lornę, jego z trudem zachowywana cierpliwość mogłaby nie wytrzymać. Podawszy kawę, Carly opowiedziała mu wszystko, co wiedziała.

— Byłam w okolicy z wizytą, kiedy dowiedziałam się o twojej siostrze. I tak zresztą wszyscy o niej wiedzą, wiadomości w telewizji jest tyle, że nie można ich przegapić.

Jon Jon pokiwał głową.

Próbowała usprawiedliwiać swoje plotkarstwo, doskonale to czuł.

— W każdym razie dowiedziałam się o tym Tommym i jeśli to jest ten sam facet, którego znałam wcześniej, to był oskarżony o jakieś nieprzyzwoite zachowania wobec dziewczynki. Od razu mówię, że go nie skazano. — Kontynuując, uniosła rękę. — Oskarżyła go jednak rodzina dziewczynki i musiał potem wyprowadzić się, razem z ojcem. Nikt nie wiedział dokąd, obaj po prostu zniknęli. Ale jeśli to on, mielibyśmy do czynienia z dużym zbiegiem okoliczności, nie uważasz?

Jon Jon znów skinął głową.

— Powiedz mi, co jeszcze o nim wiesz, Carly. Jak wyglądał?

— To była wielka, gruba łajza. Mieszkał z ojcem. Zresztą nie zabawili tutaj długo. Chłopak miał mnóstwo lalek i czasami dzie-

ciaki przychodziły do niego do mieszkania i się z nim bawiły tymi lalkami.

Jon Jon poczuł, że serce zaczyna szaleć mu w piersiach.

— W końcu jakaś dziewczynka powiedziała, że ją dotykał i zabawy nagle się skończyły — ciągnęła kobieta. — Możesz sobie wyobrazić, jak na to zareagowali sąsiedzi. Nieco później dowiedzieliśmy się jednak, że oskarżenie zostało wycofane, chłopak się wyprowadził i nigdy nikt z nas już więcej o nim nie słyszał. Aż do teraz...

— Czy wiesz, dlaczego oskarżenie upadło?

Potrząsnęła przecząco głową.

— Słyszałam, jak ktoś mówił, że dlatego, iż to była wnuczka przyjaciółki ojca, ale wiesz, jakie są plotki. W każdym razie ta rodzina żyje teraz w mieszkaniu komunalnym przy Canary Warf. Nazywają się Rowe i tylko tyle wiem.

Baxter patrzył na fotografię i czuł, że serce bije mu mocniej. Wielu rzeczy by się spodziewał, ale nie czegoś takiego. Patrzył na Kirę, jakiej by nigdy nie chciał widzieć. Była tak inna od dziewczynki ze szkolnej fotografii, że zdawało się to wprost niewiarygodne. Z twarzą całą w makijażu wyglądała jak dorosła kobieta, ale to jej oczy zwracały uwagę Baxtera.

Mądre, jakby ich właścicielka wszystko o wszystkim wiedziała.

Wyglądała, jakby zapraszała do zabawy, jak jedenastoletnia dojrzała kobieta.

Wyglądała jak jej własna matka.

Podobieństwo do Joanie było łudzące i to szokowało Baxtera. Czuł się, jakby ktoś go uderzył w żołądek, trudno mu było oddychać. Nie, czegoś takiego nie oczekiwał. Najbardziej martwiła go jednak perspektywa nieuchronnej rozmowy z Joanie.

Jeśli te fotografie znaczyły to, co uważał, że znaczą, świadczyły, iż Joanie albo nie wiedziała, co się dookoła niej działo, albo była aktorką godną Oscara.

Jeszcze raz popatrzył na zdjęcia. Wciąż nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

Jeanette pakowała swój skromny dobytek, wyprowadzając się z powrotem do matki. Szczerze przed sobą przyznawała, że cieszy się z powrotu. Jasper wiedział, co ona czuje i — trzeba mu to oddać — rozumiał ją. Gdyby mógł, sam także przeprowadziłby się gdzieś indziej. Karen nie była osobą, z którą można by mieszkać w miłości i zgodzie. Wiecznie zalana, była koszmarem dla całego otoczenia.

Podczas gdy Jeanette się pakowała, matka Jaspera głośno komentowała wszystkie opinie, jakie roznosiły się wśród ludzi na temat zniknięcia jej siostry. Nie zastanawiając się nad własnymi słowami, powiedziała wreszcie:

— Ona nie żyje, kochanie. To jest tak pewne jak dwa razy dwa cztery.

Roztrzęsiona dziewczyna na chwilę zamknęła oczy.

— Przestań, Karen, dobrze? Mówisz o mojej malutkiej siostrzyczce.

Karen Copes była jednak w takiej fazie upojenia alkoholowego, że śmierć dziecka przyjmowała jako wydarzenie rozpraszające na kilka chwil nudę codziennego bytu.

— Powtarzam ci tylko to, co słyszałam.

Jej słowa zlewały się w bełkot i z trudem ją można było zrozumieć. Z wielkim trudem koncentrowała wzrok i bezustannie mrugała oczyma, chcąc wyłowić Jeanette z otaczającej mgły. Od czasu do czasu przypominała sobie, że w pokoju jest teraz czysto jak nigdy. Fakt, że Jeanette wysprzątała go, denerwował ją. Odbierała to jak policzek wymierzony jej samej i domowi.

— Zadzierasz nosa, co?

Jeanette nie odpowiedziała. Zdawała sobie sprawę, że to nie miałyby sensu.

— Myślisz, że twoje gówno nie śmierdzi? Słyszałam, że twoja matka dostała dokładnie to, na co sobie zasłużyła, damulko. Sły-

szalałam, że ta twoja mała siostrzyczka była molestowana, a matka o wszystkim doskonale wiedziała.

Częścią umysłu Jeanette wiedziała, że słowa dyktuje Karen wypity alkohol, znała ją od tej strony już dość dobrze. Szukała zaczepki jak zawsze, kiedy wypila. Zazwyczaj konsekwencje ponosiła biedna Junie.

Ale wiedziała też, że w każdej plotce jest ziarnko prawdy. Plotki, jakie krążyły wśród miejscowych ludzi, zawsze były mocno przesadzone, dlatego je tak uwielbiano. Jeanette sama je lubiła i powtarzała, jeżeli nie dotyczyły jej albo rodziny. W tej chwili na szali leżał jej własny honor, gotowa była jednak, dla Jaspera, puścić zaczepki Karen mimo uszu. Kontynuowała pakowanie, mimo że wzbierała w niej wielka ochota, by przyłożyć tej kobiecie.

Karen przyjęła milczenie dziewczyny za dowód, że ma rację.

— No i co, nie masz nic do powiedzenia? Prawda boli, moja panno, co?

— Zamknij wreszcie mordę, Karen.

Karen roześmiała się tak gwałtownie, że upadłaby, gdyby nie przytrzymała się klamki u drzwi.

— Wracamy do Matki Roku, co? Do Joanie, starej kurwy.

Jeanette znów zamknęła oczy, rozpaczliwie pragnąc nad sobą panować. Ona sama mogła mówić o swojej matce, co jej się podobało, jednak nie miał do tego prawa nikt inny. Przynajmniej w jej obecności.

— Gdybyś była chociaż w połowie tak dobrą matką jak moja, byłabyś dobrą kobietą, Karen.

Przynęta wreszcie chwyciła i Karen była w siódmym niebie. Koniecznie chciała, żeby Jeanette powiedziała do niej coś złego i wreszcie to usłyszała. Obie zaczęły wpatrywać się w siebie wrogim wzrokiem, a powietrze w pokoju stało się ciężkie od nienawiści.

— Może mam wady, ale zawsze jestem przy moich dzieciach.

— Twoje dzieci gardzą tobą. Jesteś miejscową pijaczką, po-

śmiewiskiem całej okolicy. Pijany mężczyzna wzbudza politowanie, ale wiecznie pijana kobieta stanowi widok po prostu niesmaczny.

Słowa te Jeanette wycedziła powoli i z zajądłością. Karen nie mogła mieć wątpliwości, że dziewczyna wypowiedziała je z pełnym przekonaniem.

— Moja mama, mimo swoich braków, jest dobrą kobietą i przyzwoitą osobą. I wiesz co? W przeciwieństwie do twoich dzieci, my kochamy swoją matkę. Wszystko, co kiedykolwiek zrobiła w życiu, zrobiła dla nas, dla naszego dobra i wiemy o tym, nawet jeśli ty nie potrafisz tego pojąć.

— Jeżeli twoja matka jest tak kurewsko wspaniała, to dlaczego twoja siostra znajduje się na liście zaginionych?

Karen w głębi duszy rozumiała, że jest niesprawiedliwa, że jej słowami kieruje tylko zło i nienawiść, lecz mimo wszystko je wypowiadała. Ta dziewczyna nie mogła opuścić jej domu bez awantury, już ona tego dopilnuje. Była jak inne podlotki. Wszystkie uważały się za bystre, nie wiadomo jak kurewsko wspaniałe, a tymczasem były takie same jak ona, tyle że młodsze.

Oni wszyscy w końcu mieszkali w tej nędznej, zapomnianej przez Boga dzielnicy i ledwie wiaźali koniec z końcem, marząc o dniu, w którym władze przekwaterują ich w jakieś lepsze miejsce. Wiedzieli jednak, że zanim ten dzień nadejdzie, zepsucie, jakie się w nich dokona, będzie nieodwracalne. Dzieci tutaj właściwie nikt nie wychowywał, a dorośli tak już przywykli do wszawego otoczenia, że w innym środowisku nie potrafiliby żyć.

Śmiechu warci byli ci, którzy wciąż zachowywali pozory, spędzający wieczory przed telewizorami o płaskich ekranach i starannie pielęgnowający swoje przydomowe ogródki. Mieszkali w najbardziej zapadłej dziurze tego świata i im szybciej to pojną, tym lepiej.

Karen słyszała, że Jon Jon zamierza kupić dom. Kurwa, za kogo on się uważał? Za kogo w ogóle uważali się ci wszyscy Brewerowie, tej małej latawicy nie wyłączając?

— Lepiej odwołaj te słowa, Karen.

Kobieta jednak tylko się roześmiała.

— Prawda boli, co? Twoja siostra zaginęła, czy nie? A może coś źle usłyszałam, może jedynie na chwilę gdzieś zabłądziła?

Jeanette oblizwała usta, patrząc, jak stojąca przed nią wiedźma wypluwa wobec niej całą swoją żółć. Odnosiła wrażenie, że ropa zalewa jamę ustną Karen i ta, poprzez wycharkiwanie z siebie nienawistnych słów, jakby chce oczyścić usta.

Zdała sobie sprawę, że obiektem napaści jest tylko przypadkiem. Że Karen po prostu chce kogoś zaatakować i pechowi może przypisać, iż dzisiaj trafiła akurat na nią. Jej słowa były jednak obrzydliwe i niesprawiedliwe wobec matki, która na swój sposób zawsze dobrze opiekowała się swoimi dziećmi.

— Czy karty nie powiedziały twojej matce, gdzie jest jej mała dziewczynka? Ze wszystkich ludzi z okolicy zdziera fortunę, podobno czytając im z nich przyszłość. Czy nie może z kart tarota wyczytać, gdzie jest w tej chwili jej biedne dziecko?

Jeanette trzymała się dzielnie, choć wymagało to od niej najwyższego wysiłku. Matka Jaspera wciąż stała pionowo na nogach tylko dlatego, że była matką Jaspera. Inny powód nie wchodził w grę. Gdyby była kimkolwiek innym, Jeanette zamiatałaby już nią podłogę.

A Karen Copes jeszcze nie skończyła. W gruncie rzeczy dopiero się nakręcała.

— Jestem zdziwiona, że jeszcze cię nie przymknęto za sprzedawanie dupy na ulicy. W końcu to zajęcie dziedziczne, prawda? Kurwienie się to u ciebie interes rodzinny, nawet twoja babcia nadstawiała cipsko, komu popadło. I ty stawiasz się ponad mną? Ani ty, ani nikt z twojego rodzeństwa nie ma zielonego pojęcia, kto jest waszym ojcem. Wszyscy jesteście pierdolonymi kundlami, mieszańcami, śmieciami, co do jednego!

Wzięła ze stolika papierosy i zapaliła jednego. Długo się zaciągała, aż wreszcie odezwała się konwersacyjnym tonem:

— A więc to właśnie przydarzyło się Kirze? Ktoś ją zgarnął z ulicy i bzyknął tak dobrze, że potem zapomniała wrócić do domu?

Bynajmniej nie słowa Karen, a głupi uśmieszek, jaki im towarzyszył, przelał czarę goryczy i ostatecznie pozbawił Jeanette samokontroli. Cios, jaki spadł na twarz kobiety, był znacznie mocniejszy niż jakiegokolwiek uderzenia, które przyjęła w przeszłości.

Karen Copes była od czasu do czasu poniewierana i bita niemal przez każdego, kto ją znał. Mąż, dzieci, znajomi i rodzina sprawiali jej lanie, doprowadzani do rozpaczony jej niewyparzony językiem. Jednak nikt nie przygotował ją na to, co działo się w tej chwili.

Można było odnieść wrażenie, że Jeanette opętał szatan. Za każdym uderzeniem, za każdym kopniakiem kryły się jej wszystkie obawy i strach o Kirę. Każde słowo, jakie zostało wypowiedziane w ciągu ostatnich minut, doskonale pamiętała, atakując kobietę, która jak na tacy podała jej tysiąc powodów, żeby mogła wyładować emocje. Kiedy Jeanette skończyła, popatrzyła na zakrwawione ciało leżące na podłodze i zaczęła płakać. Co ona zrobiła? Jak ma teraz wrócić do domu Joanie i przywlec ze sobą kolejny problem? Nie, nie może i nie robi tego, jeśli jest wobec matki uczciwa. Nie teraz. Właśnie skazała się na kontynuację swojego wygnania. Nienawidziła siebie za to.

Nagle zobaczyła Junie obserwującą ją i błagalnie wznoszącą ręce ku niebu. Dotąd nie miała nawet pojęcia, że dziewczyna jest w domu.

— Ona mnie do tego zmusiła, Junie. Sprowokowała mnie.

Siostra Jaspera nonszalancko pokiwała głową. Widywała już w swoim domu takie sceny.

— Nic jej nie będzie. Na razie uciekaj stąd, a ja zawołam pogotowie. Zajmę się nią, nic się nie martw.

W gruncie rzeczy Junie nienawidziła w tej chwili swoją matkę bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Słyszała bowiem każde z jej słów, które poprzedziły atak Jeanette.

*

Sylvia miała już wszystkie dokumenty dotyczące interesów Pauliego. Otworzyła trzy sejfy znajdujące się w domu i teraz traktowała papiery, które w nich znalazła, jak złoty proszek. W końcu były dla niej o wiele cenniejsze od złota.

Już od wielu miesięcy kazała śledzić swojego męża i wiedziała o nim dosłownie wszystko. Jednak jego związek z tą całą Brewer zadziwił ją. Znając jego pociąg do młodszych kobiet, na krótko nawet poczuła zazdrość o tę prostytutkę, która pracowała dla niego, ale — jak wszystko na to wskazywało — miała na męża Sylvii duży wpływ. Pracował dla niego nawet jej syn.

Teraz zaginęło dziecko tej kobiety i to było straszne.

W końcu Sylvia, cokolwiek by o niej powiedzieć, także była matką.

Swoje własne dzieci uważała za inwestycję w przyszłość. Dopóki je miała, była bezpieczna. Stosunkowo niezależna od Pauliego. Dzieci stanowiły przynajmniej dobry pretekst, służący do wyciągania od niego pieniędzy.

Wiedziała już wszystko, czego mogła się dowiedzieć o mężu. Stare powiedzenie, że wiedza to władza, zdawało się sprawdzać. Jeśli Paulie będzie grzeczny, a nie miała wątpliwości, że będzie, Sylvia zawrze z nim porozumienie, potem zapomni i o nim, i o tych wszystkich jego sprawkach, o których się dowiedziała. Jeśli będzie niegrzeczny, informacje przekaże stosownym władzom i *zagra va banque*.

Ta perspektywa jednak jej zanadto nie martwiła. I ona, i Paulie byli zbyt inteligentnymi osobami, aby doprowadzić do takiej sytuacji. Oboje zbyt wiele by stracili. Potrząsnęła głową, po raz kolejny przejrzawszy dokumenty i odsunęła je od siebie. Dziewczynki były obecnie u jej matki; wysłała je tam, dopóki wszystko się nie uspokoi.

Zrobiła sobie kąpiel i długo leżała w gorącej wodzie, ciesząc się samotnością i aromatem olejków do kąpieli.

Leżąc, zamknęła oczy i zaczęła nucić jakąś melodyjkę. Uwielbiała ten dom, jednak podobał się jej najbardziej, kiedy przebywała w nim sama. Było to coś, czego Paulie nigdy nie rozumiał.

Nie pojmował jej potrzeby samotności, potrzeby spędzania czasu sam na sam ze sobą.

A jednak wiele go nauczyła. Na przykład postanowiła nauczyć go ogłady, dobrych manier i odniosła sukces. Gdyby nie to, gdyby nie jej upór, skończyłaby jak jedna z tych okropnych kobiet, z którymi byli pożenieni jego partnerzy w interesach — były głupiutkimi blondynkami z wielkimi cycami, bezustannie zdradzany i potrafiącymi rozmawiać jedynie o swoich willech, letnich domach i głupich dzieciach.

Nie, takie życie nie było dla Sylvii. Nie zamierzała dopełnić swoich dni u boku mężczyzny, który nie miał żadnego statusu społecznego, a jeśli chodzi o osobowość, miał jej mniej niż ich wspólny labrador, ku jej radości zakopany w kącie ogrodu przed dwoma laty. Sprawa psa była jedynym przypadkiem, kiedy mąż się jej postawił, ponieważ zwierząka pragnęły dziewczynki, a ona za nic go nie chciała w domu. Przekonywali Sylvię długo, a ona wciąż mówiła „nie”, aż wreszcie pewnego dnia Paulie wrócił od jakiegoś pracującego na złomowisku kumpla, ze szczeniakiem w kartonowym pudełku.

Tego dnia dziewczynki wprost uwielbiały ojca, a Sylvia otrzymała bardzo cenną lekcję. Nie wolno było doprowadzać do tego, żeby dziewczynki wierzyły, iż to ojcu leżą na sercu ich zachcianki i problemy, wszystko, co dobre powinno wychodzić od niej. W efekcie dziewczynki uwierzyły później, że ojciec ani myślał kupić im koni i tylko matka go do tego namówiła.

Uśmiechnęła się do tego wspomnienia.

— Wszystko w porządku, Sylv?

Usłyszawszy głos męża, otworzyła szeroko oczy. Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że to halucynacje. Ale nie, Paulie we własnej osobie stał na progu łazienki. Wyglądał na zrelakowanego i czuł się raczej swobodnie we własnym domu, mimo że sąd zakazał mu nawet zbliżania się do niego. Sylvia usiadła tak gwałtownie, że trochę wody z wanny przelało się na podłogę.

— Och, Sylvio, robisz bałagan. To przecież do ciebie niepodobne.

Była oszołomiona.

— Proponuję, żebyś wydstała swoją tustą dupę z kąpieli i zesła na dół, ponieważ musimy porozmawiać.

Na jej twarzy pojawiły się zmarszczki, ewidentna oznaka wielkiego napięcia.

Paulie lustrował wzrokiem jej ciało, kiedy wychodziła z wanny i nie dał jej złudzeń co do swojej opinii na jego temat.

— Kurwa mać, Sylv, wyglądasz jak tusta krowa.

Roześmiał się z własnego dowcipu, wiedząc, że ją skrajnie rozwścieczył, jednak cieszył się każdą sekundą jej wielkiego niezadowolenia.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Stara kobieta, która otworzyła drzwi, popatrzyła na swojego gościa z otwartą niechęcią. Jon Jon wyczuł instynktownie, że ma do czynienia z osobą, która stoczyła więcej walk niż sam Mike Tyson i prawdopodobnie większość z nich wygrała.

— Przepraszam, szukam rodziny Rowe. Ktoś mi powiedział, że mieszkają właśnie tutaj.

Uśmiechał się swoim najlepszym uśmiechem, ale z miny kobiety wyczytał, że jego przyjazny wyraz twarzy może nie wystarczyć. Odnosił wrażenie, że ona nie wie, co to jest polityczna poprawność. Zobaczyła przed sobą czarnego człowieka i tyle. Prawdopodobnie wzięła go za potencjalnego bandytę.

— A kto pyta?

Miała głęboki głos, naprawdę cockneyowski. Fakt, że wydo był się z gardła stojącej przed nim drobnej kobiety, sprawił, że Jon Jonowi zachciało się śmiać. Miał do czynienia z przedstawicielką starej, dobrej szkoły cockneyowskiej, bez wątpienia z tego dumnej.

Jon Jon wiedział więc, że najlepiej będzie potraktować ją tak, jak ona potraktowała jego. Dlatego powiedział prosto z mostu:

— Ja chcę wiedzieć, pani Rowe. — Takie było prawo ulicy i Jon Jon doskonale to rozumiał. Po chwili dodał, już ciszej i z pewnym szacunkiem w głosie: — Jestem Jon Jon Brewer. Zaginęła moja mała siostrzyczka, Kira. Było o tym w wiadomościach i tak dalej...

Kobieta powoli pokiwała głową, wciąż patrząc na niego bawdawczo. Nadal jej coś nie pasowało.

— A co my mamy z tym wspólnego?

Była tak podejrzliwa, że Jon Jon zaczął się zastanawiać, jakim, kurwa, cudem ktokolwiek zdoła odczytać liczniki zużycia gazu i energii elektrycznej u niej w domu. Odniósł wrażenie, że łatwiej by mu było dostać się do Bank of England w niedzielne popołudnie, niż przekroczyć próg mieszkania tej starej baby. Ale odniósł też wrażenie, że to wszystko z powodu koloru jego skóry. Był już do takich sytuacji przyzwyczajony, choć wciąż go denerwowały.

Starał się jednak panować nad sobą i znów się odezwał, najspokojniejszym głosem:

— Powiedziano mi, że mieliście państwo do czynienia z jakimś Małym Tommym.

Drzwi nagle posunęły się w jego kierunku i musiał szybko pchnąć je ramieniem i postawić nogę na próg, żeby powstrzymać kobietę przed ich zatrzęsnięciem.

— Proszę, pani Rowe, to jest bardzo ważne.

— Zabieraj tę nogę z mojego progu, syneczku.

Musiał przyznać, że była stanowcza i odważna. Ale zaczynała go też denerwować.

Gdyby wiedziała, co mogło się przydarzyć Kirze, pewnie by zaczęła odpowiadać na pytania, nawet gdyby miał je wspomóc solidnym laniem. Zrobiłby to, bo w tej chwili nie obchodziło go, że ma do czynienia ze starą kobietą. Musiał się od niej czegoś dowiedzieć i to szybko. Wciąż panował nad emocjami, jednak z każdą godziną, jaka mijała od zniknięcia Kiry, przychodziło mu to coraz trudniej. Z westchnieniem, używając siły, otworzył szeroko drzwi.

W tej chwili w polu widzenia kobiety znalazł się także Earl. Zmierzyła go agresywnym spojrzeniem. Jon Jon mimo wszystko zaczynał ją lubić. Założyłby się o duże pieniądze, że w swoim czasie stanowiła siłę, z którą każdy się liczył. Pewnie do dzisiaj w swoich kręgach cieszyła się sporym mirem.

— Niech nas pani wpuści — głos Jon Jona był niski, cichy, niemal proszący.

— Nie zamierzam wam nic powiedzieć.

Stała przed nim z szeroko rozłożonymi rękami, tarasując wejście. Język jej ciała wystarczył za wszelkie słowa.

Jon Jon jeszcze raz westchnął. Teraz jego głos był już głośniejszy i znacznie bardziej władczy.

— Myślę, że jednak coś pani powie. Pani córka albo wnuczka, albo w ogóle jakakolwiek dziewczynka z pani rodziny, była zapewne przez tego piździelca molestowana i chcę wiedzieć, co się wtedy wydarzyło. Nie odejdę, dopóki się tego nie dowiem.

Postawił sprawę jasno, doskonale zdając sobie sprawę, że nie było sensu dochodzić do tego żądania bocznymi drogami. Kobieta natychmiast wbiła spojrzenie w jego oczy, a on ich nie spuścił. Była drobną chudzińką. Siwe włosy, które kiedyś były kruczoczarne, miała spięte w kok, do uszu włożyła kolczyki — duże, złote koła. Obwieszona była taką liczbą świecidełek, że mogłaby otworzyć sklep jubilerski. Błyszczała niezliczonymi pierścionkami, bransoletami i naszyjnikami. Tych ostatnich miała tyle, że przypominała małą siostrzyczkę Mr T.

Ubrana była w długi fartuch bez rękawów, dzięki któremu nie brudziła ubrania podczas pracy w kuchni. Najbardziej jednak zafascynowała Jon Jona jej twarz: miała zmarszczki w miejscach, w których ludzie normalnie nigdy ich nie mają. Wyglądała jak mały czepiak, a z jej brązowych oczu bił albo lisi spryt, albo i inteligencja. Jon Jon nie wiedział, na co w tej chwili postawić, ale był pewien, że niedługo się dowie.

— Pani Rowe, możemy być dla pani mili albo bardzo nieprzyjemni. Zależy to tylko od pani.

Przyjął postawę wystarczająco agresywną, aby kobieta dokładnie zastanowiła się, jakie postępowanie będzie dla niej najlepsze. Znów wpatrywała się w niego przez kilka sekund, aż wreszcie niechętnie ustąpiła z drogi, wpuszczając go do mieszkania.

— On nie wejdzie. — Skinęła na Earla, który jedynie się uśmiechnął.

— Bo też wcale nie chcę. — Earl popatrzył na Jon Jona. — Poczekam w samochodzie, dobrze?

Jon Jon pokiwał głową.

- Tylko uważaj na siebie. Tak kobieta wygląda na diabolicę.
- Ty pierdolony mądralo!

Pani Rowe uniosła się, ale raczej nie było już w niej złości. Słowa Earla przyjęła raczej jako komplement. Weszła do mieszkania, nie wypowiadając już ani słowa więcej. Wciąż była sztywna, czujna i nieufna.

Jon Jon podążył za nią, zaszurawszy w wycieraczkę i delikatnie zamknąwszy za sobą drzwi. W środku natychmiast rozpoznał zapach pieczonych babeczek; domowy zapach, dobrze pasujący do okolicy.

W małym saloniku stała sofa, na której mogły jednocześnie siedzieć dwie osoby, oraz proste krzesło. Ujrzał też kominek wyłożony płytkami, z bardzo starym palnikiem gazowym i ręcznie wykonaną otwartą szafką w kolorze czerwonej cegły, z kilkoma półkami mieszczącymi stary przenośny telewizor i radio, najprawdopodobniej sprzed drugiej wojny światowej.

Stały na nich również fotografie trzech roześmianych dziewczynek. Wszystkie były blondynkami o niebieskich oczach. Jon Jon odgadł, że jedna z tych dziewczynek jest właśnie tą, o którą mu chodzi. Nad kominkiem wisiał obraz przedstawiający płaczącego chłopca. Ściany wyklejone były jasną tapetą, żółknącą w okolicy kominka.

Jon Jon wyczuł w tym pokoju bezsilność wieku starczego i posmutniał. Biedna stara kobieta przetrwała wojnę, żeby tutaj skończyć — liche mieszkanie było wilgotne i kiepsko wyposażone w zniszczone sprzęty, które już dawno należałoby wyrzucić, a tymczasem magazyny, położone zupełnie niedaleko, codziennie sprzedawały artykuły wyposażenia mieszkań za setki tysięcy funtów.

Z wysiłkiem uśmiechnął się do kobiety. Strach o siostrę wypchnął z jego życia wszystkie inne uczucia. Nie poddał się jeszcze tylko ze względu na matkę. Był na skraju załamania i stanu tego nie mogła zmienić żadna ilość marihuany.

Stara kobieta znowu na niego popatrzyła. Niemal fizycznie czuł, jak ocenia go wzrokiem, ale — co zdawało mu się zabawne

— kiedy go taksowała, z każdą chwilą coraz bardziej ją lubił. Z pewnością była kobietą o dobrym sercu i Jon Jon nie miał już wątpliwości, że kiedy zacznie odpowiadać na jego pytania, powie tylko prawdę.

— Napijesz się herbaty? — zapytała.

Mówiła z niechęcią, dobre maniery przeważały jednak nad wrodzonym rasizmem. Jon Jon pokiwał głową. Gotów był na wszystko, byleby tylko zaczęła opowiadać, nie zmuszając go do wypowiedzania gróźb ani do stosowania przemocy. Miał silne wrażenie, że jest pierwszym czarnym, który przekroczył progi mieszkania tej kobiety.

— Z cukrem i z mlekiem?

Znów skinął głową. Odezwał się dopiero wtedy, kiedy kobieta usiadła wreszcie przy kominku w kubkiem herbaty w ręce.

— Naprawdę potrzebuję pani pomocy, pani Rowe. Słyszała pani o mojej siostrze, Kirze Brewer, prawda? Ma tylko jedenaście lat i niedawno zniknęła. Słyszałem od jednej z pani dawnych sąsiadek, że pewien facet, który teraz mieszka niedaleko mnie, został oskarżony o molestowanie kogoś z pani rodziny. To jest bardzo ważne, pani Rowe, bo ten facet może wiedzieć, co się stało z Kirą... Być może wie, gdzie ona jest.

Kobieta zmierzyła go wzrokiem. Znów brała w niej górę wrodzona niechęć do kolorowych. Wreszcie po chwili, która zdawała się trwać wieczność, powiedziała:

— Mój najstarszy syn, mój pierworodny, odsiaduje trzydzieści lat: narkotyki i napad z bronią w rękę. Jego żona, Leigh, la-dacznica pierwszej wody, mieszkała niedaleko stąd. — Upiła łyk herbaty, chcąc dać sobie czas na staranne sformułowanie następnych zdań. — Zaczęła zostawiać dziewczynki z tym Małym Tommym Thompsonem. Potem nagle się dowiedzieliśmy, że jest kobietą jego starego, Josepha.

Znów upiła herbatę, chciała zyskać na czasie. Jon Jon czuł, że ciężko jej jest opowiadać obcemu o własnej rodzinie.

— Jej druga dziewczynka, Caitlin, bardzo często przychodziła do mnie — uwielbiała to moje mieszkanko, nie mogłam się

od niej opędzić. Któregoś dnia powiedziała mi, że była dotykana w taki sposób, że się jej to nie podobało. Widzisz, jednak nigdy nie dotarliśmy do sedna. Nigdy nikomu nie powiedziała, kto ją dotykał, ojciec czy syn, wiedzieliśmy tylko tyle, że coś takiego miało miejsce. Leigh nie chciała, żebym się tym interesowała, widzisz, z powodu mojego chłopaka. Był już wtedy za coś zapuszkowany, ale Leigh wiedziała, że jak wyjdzie, będzie chciał poznać prawdę, dlatego zwała z dziewczynkami. On je uwielbiał... cokolwiek złego by o nim mówić, kochał swoje dziewczynki. Ale ich matka? Chłopak za pierwszym razem nie miał wysokiego wyroku i kiedy wyszedł, stwierdził, że Leigh właściwie nigdy nie ma w domu i w ogóle prowadzi się gorzej niż niejedna prostytutka. Myślę, że powodował nią strach, iż on się dowie, jak jego żona beztrosko traktowała dzieci. Pewnej nocy zniknęła i zniknęli także Thompsonowie. Wiedzieli, że kiedy sprawa się wyda, nie będzie tu dla nich miejsca. Od tego czasu nikogo z nich nie widziałam. Po prostu zwiali, chłopcze. — Pani Rowe westchnęła ciężko. — Nikt nie wie, dokąd pojechała Leigh i moje wnuczki. Według mnie uznała, że to dla niej jedyne wyjście. Zresztą, zawsze chciała się stąd wyrwać. W pewnym sensie ją rozumiem. Mój syn nie był najlepszym z mężów, właściwie to był nieokrzesanym sadystą, jak jego ojciec, ale — jak ci powiedziałam — jeśli chodzi o Caitlin, nigdy nie dowiedzieliśmy się prawdy. Jedynymi ludźmi, którzy wiedzą, co się stało naprawdę, są Leigh, jej córeczka i dwaj faceci zamieszani w sprawę. W tej sytuacji musimy spojrzeć prawdzie w oczy: nikt z nich niczego nie powie.

Usiadła trochę wygodniej, jakby nagle zmęczona długą wypowiedzią. Jon Jon trafnie przypuszczał, że rzadko miewa tu jakichkolwiek gości. Życie upływało jej na odwiedzaniu syna albo na czekaniu na listy od niego. Była to strasznie trudna egzystencja, szczególnie dla kobiety tak dumnej jak pani Rowe.

— I nie ma pani pojęcia, gdzie jest Leigh?

Stara kobieta potrząsnęła głową.

— Mogę ci jeszcze powiedzieć, że nigdy nie lubiłam ani tego

ojca, ani jego grubego syna, choć syna było mi czasami bardzo żal. Ojciec traktował go jak szmatę, a on to wszystko przyjmował ze spokojem. Jednak niewiele więcej mogę o nich powiedzieć, bo moja synowa starała się trzymać mnie od swojej rodziny jak najdalej. Musiałam przy niej uważać na każde słowo, ponieważ byle pretekst był dla niej dobry do dzikiej awantury. Cóż, straciłam syna, straciłam także wnuczki. Co jeszcze mi pozostało, co?

Dostrzegła w oczach chłopaka, że prawdziwą odpowiedź na jej pytanie byłaby zbyt ponura, dlatego postanowiła chociaż jemu dać trochę nadziei.

— Mam adres jej matki. Nie wiem, czy wciąż tam mieszka, ale jeśli tak, będzie wiedziała, gdzie jest córka. Obie są ze sobą bardzo blisko. Prosiłam ją wielokrotnie, ale nie dała mi adresu córki, w końcu więc zrezygnowałam. Myśli, że przekazałabym go synowi, co, szczerze mówiąc, pewnie bym zrobiła. Proszę cię więc, jeśli uzyskasz jakąś wiarygodną informację, daj mi znać.

Jon Jon pokiwał głową.

— Oczywiście, droga pani. Jak pani sobie daje radę bez syna?

Wzruszyła ramionami.

— Staram się, co więcej mogę?

— Jego kumple pomagają pani?

Takie było prawo ulicy: należy się opiekować rodzinami zapuszkowanych kolegów, szczególnie tymi, którzy stracili żywicieli.

— Rozejrzyj się po mieszkaniu, chłopcze. Jak sądzisz?

Wyszła do sypialni i po chwili wróciła z kopertą, na której starannym pismem zapisany był adres.

— Nie mam do niej numeru telefonu i nie wiem, czy wciąż tam mieszka, ale możesz spróbować. — Usiadła i po chwili dodała bardzo cicho: — Jeżeli znajdziesz moje wnuczki, powiedz mi, co się z nimi dzieje, dobrze?

W tej chwili gotów był dla niej zrobić wszystko. Bez wątpienia bardzo tęskniła za dziewczynkami.

— Powiem, obiecuję pani.

Wstał. Ujmując jej dłonie w swoje, Jon Jon dodał:

— Dziękuję, pani Rowe. Bardzo mi pani pomogła. Doceniam to.

Wreszcie się do niego uśmiechnęła, po raz pierwszy. Zrozumiał, że wreszcie ją do siebie przekonał.

— W niczym ci nie pomogłam, synu. Jednak mam nadzieję, że znajdziesz swoją siostrę.

Wyciągnął z kieszeni plik banknotów i odliczył pięćset funtów. Pani Rowe wbiła w pieniądze głodny wzrok.

— Proszę, to dla pani.

Ścisnęła banknoty w szponowatej dłoni.

— Nie zmarnuję ich, synu, dzięki.

Napisał na kartce numer swojego telefonu komórkowego i podał jej.

— Jeśli jeszcze będzie coś pani wiedziała, proszę do mnie zadzwonić.

Pokiwała głową.

— I jeśli kiedykolwiek będzie pani czegoś potrzebowała, też proszę skorzystać z tego numeru.

Znów pokiwała głową, co było jednocześnie akceptacją jego słów i podziękowaniem.

— Życzę ci powodzenia w poszukiwaniach.

Jon Jon westchnął.

— Gdybym oparł się na glinach, wciąż byłbym ciemny jak tabaka w rogu.

— Z nimi tak zawsze.

Ostatnie słowa zabrzmiały tak, jakby pani Rowe miała z policją bogate doświadczenia. Odprowadziła Jon Jona do drzwi frontowych.

— Niech się pani trzyma, pani Rowe.

— I ty także, najlepszy z Brytyjczyków.

Nie zamknęła drzwi za nim od razu, lecz patrzyła, jak wsiada do samochodu, pomachała mu na pożegnanie i dopiero wtedy zniknęła w mieszkaniu. Miły chłopiec, uznała. Ułożony. Podczas następnej wizyty w więzieniu będzie musiała opowiedzieć o nim Haroldowi.

Przycisnęła pieniądze do piersi i popatrzyła na zegar. Jeśli tylko się pośpieszy, będzie mogła obstawić zakłady przed pierwszym wyścigiem.

Paulie napawał się strachem widocznym na twarzy jego żony. Minęły całe lata, odkąd po raz ostatni czuł choć trochę przewagi nad nią. W zasadzie podczas całego ich małżeństwa Sylvia była matką jego dzieci. I szanował ją za to, bo nie miał powodu, żeby szanować ją za coś innego.

Teraz jednak Paulie nienawidził jej. Kimkolwiek w życiu był, zawsze się nią opiekował i powinna była wiedzieć, że już zawsze będzie sprawował opiekę i nad nią, i nad swoimi dziećmi. Jeśli jednak Sylvia tak bardzo chciała go opuścić, nie robiłby jej przeszkód. Interesowałby się, jak jej się powodzi, płaciłby za naukę dziewczynek i za wiele innych rzeczy. Zamiast jednak spokojnie odejść, Sylvia narobiła mu mnóstwo kłopotów. Poważnych przykrości. Czy uważała Pauliego za aż takiego głupka, który byłby gotów to przełknąć?

Zobaczył stół nakryty dla jednej osoby. Jak zwykle zamierzała urządzić sobie lunch długi niczym maraton. Jadała codziennie więcej niż niektóre kobiety w ciągu całego tygodnia. Otworzył lodówkę. Była pełna żarcia. Od samego patrzenia na nie zachciało mu się śmiać.

Kiedy Sylvia wreszcie przysła do kuchni, Paulie wciąż się śmiał. Ubrana była w gruby szlafrok, przewiązany dokładnie i ciasno w talii. Brakowało jej tylko tabliczki „zakaz wstępu”, ale patrząc na nią, Paulie wcale nie uważał tego za konieczne. Twarz natarła jakimś świństwem i teraz jej oliwkowa cera błyszczała niezdrowo w jasnym, dziennym świetle.

To niewiarygodne, że kiedyś jej pragnął. Chyba miał bielmo na oczach. Czuł, że jest mu tak obca i tak odległa jak księżyc w pełni, był jednak zdeterminowany, by powstrzymać żonę przed egzekwowaniem jej tak zwanych „praw”.

— Nie masz już nic do powiedzenia, prawda, Sylv?

— Czego chcesz?

A więc odzyskała głos. Ale odezwała się do niego, jakby był służącym albo sprzedawcą w sklepie. Kimś znacznie poniżej jej pozycji.

Paulie pochylił się nad granitowym stołem kuchennym i nonszalancko skrzyżował ramiona na piersiach.

— Do kogo ty, kurwa, się zwracasz?

Nie odpowiedziała. Ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, że w każdej chwili może stracić panowanie nad sobą. Dlatego trzymała język za zębami, wpatrywała się w niego i czekała, aż odezwie się ponownie.

— Lepiej zacznij ze mną rozmawiać, Sylv, ponieważ nie mam dla ciebie całego dnia. Musimy wyjaśnić sprawy pomiędzy nami, raz na zawsze.

Zrobił kilka kroków w kierunku zlewozmywaka. Jego ruch sprawił, że Sylvia mimowolnie podskoczyła. Ucieszył się, że jest przestraszona. Tak, trzeba jej napędzić porządnego stracha. Potrzebowała tęgiego lania, zdaniem Pauliego, i mogła doczekać się tego jeszcze dzisiaj, jeżeli by go odpowiednio mocno wkurzyła.

Nastawił wodę w czajniku.

Sylvia ruszyła powoli w kierunku tylnych drzwi, ale Paulie zaraz ją ostrzegł cichym głosem, nawet na nią nie patrząc:

— Jeżeli tylko podejdziesz do przycisku alarmowego, rozerwę ci na strzępy oba cycki. — Dopiero teraz podniósł głowę i popatrzył na żonę. Potaknęła w milczeniu. — A teraz usiądź i normalnie ze mną rozmawiaj. Jeśli będziesz bezczelna albo spróbujesz jakichś sztuczek, wolałbym nie znajdować się w twojej skórze, rozumiesz?

Znów przytaknęła i usiadła przy stole.

Paulie postawił na nim dzbanek z herbatą i dwie filiżanki. Nalewając herbatę, rzucił pytanie:

— Gdzie są moje córki?

— W wiejskim domku.

Uśmiechnął się z sarkazmem.

— To nie jest wiejski domek, Sylv, ale pałacyk w stylu Tudorów, który przypadkiem stoi na wsi. Kto jest z nimi, twoja matka?

Sylvia potwierdziła.

— Wspaniale. Czy, jak zwykle, wykonuje swoją dobrą robotę, polegającą na nastawianiu ich przeciwko mnie? A właściwie przeciwko wszystkim mężczyznom. Tak jak zrobiła to z tobą.

Nie odpowiedziała i Paulie postanowił zostawić ten temat. Co go to w końcu obchodziło?

— Teraz więc — głośno siorbiąc, upił łyk herbaty — przejmiesz ode mnie w użytkowanie ten dom i posiadłość na wsi, a nawet uzyskasz ode mnie sympatyczną rentę, która pozwoli ci nadal funkcjonować w warunkach, do jakich jesteś przyzwyczajona. I jeszcze zgodzisz się na kwotę, którą zaproponuję. Bo jeśli nie, Sylv, zamierzam sprawić, że dokonasz żywota gdzieś na poboczu najbliższej szosy. Ja nie żartuję. Tym razem przekroczyłaś wszelkie granice. A najbardziej boli mnie podła, podstępna metoda, jaką zastosowałaś, żeby wyrzucić mnie z tego domu — a to jest mój dom — i z życia dziewczynek. I wiesz co, Sylv? Ja nawet tych dziewczynek nie lubię. Kocham je, ale ich nie lubię. Stanowią parę pieprzonych, nudnych damulek, ale to ty sprawiłaś, nie ja. — Podnosząc filiżankę, rozlał herbatę, tak był rozzłoszczony. — Od lat chciałem z tym skończyć, Sylv. Wystarczyło mi tylko poprosić, moja droga, i z ochotą bym od ciebie odszedł.

Jego słowa zaboląły ją, chociaż sama nie wiedziała dlaczego. W każdym razie zranił ją do żywego.

— Dokąd zamierzasz pójść, do jednej ze swoich kurew?

Naprawdę była zazdrosna! Zaskoczyło go to równie mocno, jak zasmuciło.

— Do tego się wszystko sprowadza? Chodziłem do nich, Sylv, ponieważ zerwałaś wszelki kontakt pomiędzy nami już całe lata temu. A ja potrzebują odrobiny uczucia, miłości, chociaż pewnie tego nie wiesz. W każdym razie przez cały czas cię utrzymywałem i to na całkiem niezłym poziomie.

— Robiłeś to z myślą o sobie, o swoich potrzebach. Nigdy nie myślałeś o mnie.

Słyszac to, Paulie roześmiał się.

— A jakie ty masz potrzeby? Na nie składa się wyłącznie pełna lodówka, kredens pełen słodocy i chipsów oraz dwójka dzieci, którymi mogłabyś manipulować i które mogłabyś ubierać. Chciałaś odpiardolonego domu i właśnie taki miałaś. Chciałaś wypasionego merca i go miałaś. Chciałaś kuchni na zamówienie i ją dostałaś. To były twoje potrzeby, a ja zapewniłem ci ich spełnienie, kochana. A co za to dostałem? Powiem ci, co dostałem, dobrze? Wielką obojętność. Ani jednego miłego słowa od dzieci, a to są przecież moje dzieci! Jak usilnie byś je przeciwko mnie nastawiała, one są moje.

Słyszac te słowa, Sylvia zamknęła oczy. Paulie niemal jej współczuł. Prawda to potężna broń i wiedział, że jego żona nie ma praktycznie nic, żeby się tej broni przeciwstawić.

— Nie jestem twoim pieprzonym ojcem i nie dam się przedwcześnie wpędzić do grobu, jak on, biedny zasraniec. Po jego śmierci twoja matka przelała całe swoje rozczarowanie życiem na ciebie, a ty chciałabyś przelać je dalej, na dziewczynki, Boże, miej je w opiece. Ale ja na to nie pozwolę. Będę was dalej utrzymywał, wszystkie trzy, lecz jeśli jeszcze kiedykolwiek wytniesz mi numer podobny do obecnego, bez chwili zastanowienia puszcę cię z torbami. Wierz mi, potrafię i jestem w stanie to zrobić. Powinnaś mnie już na tyle znać.

Jeszcze nigdy w życiu nie widziała go takim. Dotąd zawsze traktował ją z szacunkiem. Chwilami go za to nienawidziła, wkuzał ją ten jego respekt i ufność we wszystkie jej słowa. Nie podobało się jej także to, że ludzie lubili Pauliego. Na spotkaniach i przyjęciach, w których uczestniczyła u jego boku, podchodziło do niego mnóstwo ludzi. Miał w sobie coś takiego, co ich do niego przyciągało.

Wiedziała, że ludzie zastanawiali się, co on w niej widzi, a im bardziej czuła się obserwowana, tym więcej jadła i tym dalej go od siebie odsuwała, aż wreszcie jej niechęć przerodziła się w nie-

nawiść — do własnego męża. Nie mogła przecież rywalizować z dziewczynami, z którymi sypiał. No bo niby jak? Przecież robił z nimi rzeczy, na jakie ona przenigdy by się nie poważyła. Lecz czy nie mógłby jej po prostu zwyczajnie poprzytulać od czasu do czasu? Czy każde dotknięcie kobiety i mężczyzny musi zaraz prowadzić do seksu? Czasami czuła, że na jej miejscu tak naprawdę mogłaby być dla Pauliego jakakolwiek inna kobieta. W każdej kobiecie widział bowiem nie więcej, jak jedynie dziurę, do której mógłby wsuwać swoją pałę.

Te jego kobiety sypiały z mężczyznami przez całe dni, ponieważ w ten sposób zarabiała pieniądze. Paulie to wiedział, odbierał od nich dolę, a mimo to był jeszcze zdolny do spędzania w ich towarzystwie intymnych chwil. Potrafił je całować, pragnąć. A teraz ośmielał się pytać żonę, dlaczego nie chciała, żeby jej dotykał!

Obserwował zmiany zachodzące w wyrazie twarzy żony.

— O co chodzi, Sylv? — spytał zgryźliwie. — Zabieram ci cenny czas, który zamierzałaś przeznaczyć na jedzenie? Minęło całe dziesięć minut, odkąd po raz ostatni wsunęłaś coś do dzioba, prawda? Musisz więc pewnie już czuć straszne ssanie w żołądku.

Wiedział, że rani ją boleśnie, ale nie potrafił się powstrzymać. Kiedy doprowadziła do tego, że z własnego domu usunęła go policja, nagle zniknęły wszelkie uczucia, jakie do niej żywił. Przyszedł czas, żeby mu zapłaciła za tamten dzień i cieszył się każdą chwilą jej udręki.

— Moje całe życie to dziewczynki...

Jeszcze raz przybrała świętoszkowaty ton. Stara, znana mu Sylvia powracała.

— Dziewczynki mają się doskonale i dobrze o tym wiesz! Kurwa, właśnie je zostawiłaś z żeńskim ekwiwalentem pierdolonego Frankensteina. Uważasz, że jesteś taką wspaniałą matką, Sylv? Znam kobietę, która nie ma drobnej części przywilejów, jakimi ty dysponujesz, a potrafiła wspaniale wychować swoje dzieci. Na miłe osoby, kochające ją z głębi serca. Teraz jedno z tych dzieci zaginęło i kobieta odchodzi od zmysłów. Nie potra-

fisz nawet na moment sobie wyobrazić, jakie w tej chwili jest jej życie. Jak na nią wpłynęło zaginięcie córki. Dla ciebie problemem jest jedynie, gdy jedna z dziewczynek nie dokończy zadania domowego. Powinnaś zobaczyć cholerny, prawdziwy świat, taki, z którym zmagają się wszyscy normalni ludzie.

— Mam pójść na ulicę?

Słyszając te słowa, Paulie głośno się roześmiał. W jej ustach zabrzmiały, jakby mówiła o czymś zupełnie nierealnym.

— To byłby dobry start, Sylv. Dowiedziałybyś się przynajmniej, jak to jest zarabiać na siebie pieniądze.

Ujrzał w jej oczach łzy, jednak wciąż był niewzruszony, mimo że powoli miał już dosyć tej rozmowy, nawet bardziej niż ona.

— Nawet nie zadałaś mi prostego pytania o zaginione dziecko. Nie zapytałaś, czy ta dziewczynka została znaleziona, nie obchodzi cię, czy nic się jej nie stało. Jesteś matką, powinnaś się interesować podobnymi sprawami. Kurwa, nawet ja się tym interesuję!

Nagle Sylvia wzruszyła ramionami.

— Znajdzie się, bez obaw — powiedziała beznamiętnym tonem. — Tego typu dzieciaki zawsze się znajdują.

— Co znaczy „tego typu dzieciaki”? — Paulie rzucił to pytanie bardzo cichym, ale groźnym tonem i Sylvię ogarnęła złość, że tak bardzo interesuje go dziecko jakiejś prostytutki. Przecież słyszała o jej matce. W końcu, kto o niej nie słyszał?

Mówiła gniewnie, z każdą chwilą coraz bardziej podnosząc głos:

— Tego typu dzieci, których matka sypia z mężczyznami za wynagrodzenie. Dzieci, które zażywają narkotyki. Dzieci, które nawykły do biegania po ulicach o dowolnej porze dnia i nocy. Dzieci, które najwyraźniej bardziej przypadają ci do gustu niż twoje własne córki. A jeśli ta dziewczynka jednak nie wróci, przecież jej matka po prostu postara się o następną, prawda? Ci ludzie chyba właśnie tak się zachowują, co?

Paulie wciąż nie mógł ochłonąć po usłyszeniu słowa „wynagrodzenie”. Tylko Sylvia potrafiła go użyć w takim kontekście.

— Kurwa, jesteś chora, Sylv, wiesz? To dziecko być może już nie żyje, ale twój snobizm nie pozwala ci się nad tym nawet przez chwilę zastanowić. Powiem ci, że Joanie Brewer jest dobrą kobietą, osobą o wiele lepszą, niż ty kiedykolwiek będziesz, no i dobrą matką. Jej dzieci są jej przyszłością. I powiem ci coś jeszcze. O wiele lepiej czuję się w jej mieszkaniu komunalnym, niż kiedykolwiek czułem się tutaj, przy tobie.

Wstał. Wiedział, że musi wyjść, zanim zaatakuje.

— Możesz wracać do swojego hobby.

Otworzył lodówkę i całą jej zawartość wyrzucił na podłogę, ciesząc się bałaganem, jaki zrobił, ciesząc się ponizieniem własnej żony.

— Pakuj to w siebie, dziewczyno, śmiało. Zjedz ciastko także za moje zdrowie. Pamiętaj jednak, co ci powiedziałem, Sylv: jeśli mnie wkurzysz, nie daruję ci.

Zostawił ją w kuchni. Trzasnąwszy drzwiami, poczuł się tak lekko, jak się nie czuł od wielu lat.

Joanie słuchała, jak detektyw inspektor Baxter wyjaśnia, że musi jej zadać dodatkowe pytania dotyczące zaginionej córki. Pokiwała w końcu głową. Jej twarz była pozbawiona wszelkiego wyrazu, ale przez cały czas uważnie wsłuchiwała się w każde słowo policjanta.

— Czy ją znaleźliście, panie Baxter?

Ze strachem czekała na odpowiedź.

Baxter potrząsnął przecząco głową.

— Muszę cię zapytać o fotografie, które ostatnio otrzymaliśmy. Chcemy, żebyś nam powiedziała, kto je zrobił oraz dlaczego, o ile, oczywiście, wiesz.

Znów pokiwała głową, niepewna, o czym on mówi.

Kładł fotografie na stole, jedną po drugiej, po kolei. Joanie wbiła wzrok w wizerunki swojego dziecka, przypominając sobie, kiedy te zdjęcia były robione i ile radości przyniosło samo fotografowanie Kiry. Przypomniała sobie swój nagły strach, kiedy

zobaczyła Kirę taką nagle dorosłą, dojrzałą. Przyszło jej do głowy, że właśnie ze względu na tę inność dziewczynki Baxter pyta o zdjęcia. Może policja uznała, że molestowała własne dziecko!

— Dawno temu zrobiła je moja córka, Jeanette. Od tego czasu minęło chyba kilka miesięcy. Ubrała Kirę i nałożyła jej makijaż. Jak pan widzi, Kira wyglądała po tym na o wiele lat starszą niż w rzeczywistości.

Jeszcze przez chwilę, zdezorientowana i zaskoczona, paplała w tym stylu. Wiedziała już, że Baxter zobaczył w fotografiach coś grzesznego. Uznał, że mają w podtekście coś, o czym Joanie w ogóle nie chce rozmawiać.

— Panie Baxter, Jeanette zrobiła te zdjęcia dla żartu. Chyba pan nie myśli, że powstały z jakiegokolwiek innego powodu?

Nie odpowiedział. W końcu w całym śledztwie były to na razie jego jedyne materiały. A kto mógłby przysiąc, że w zniknięciu Kiry nie maczała palców druga córka Joanie?

Joanie była prostytutką, a co za tym idzie, kobietą zdolną do wszystkiego, żeby zarobić kilka funtów. Już wystarczająco długo sprzedawała się na ulicach. Należało postępować ze zdjęciami bardzo ostrożnie, znaleźć w związku z nimi coś ważnego, istotnego. Obejrzał je już psycholog, który specjalizował się w tego typu rzeczach, jednak prywatnie Baxter wątpił w jakikolwiek sens roboty faceta, którego zajęcie polegało na oglądaniu podobnych świństw całymi dniami. Baxter dostawał mdłości już na sam widok uśmiechniętej, wymalowanej twarzy Kiry. Dziecko najwyraźniej podczas tej sesji doskonale się bawiło.

— Musi mi pan uwierzyć, panie Baxter, to był tylko żart, nic więcej. Moja Kira uwielbiała się przebierać. Kochała makijaż i nowe, błyszczące stroje, takie tam upodobania małej dziewczynki. Byłam zaszokowana, kiedy ją zobaczyłam po tym, jak Jeanette zrobiła zdjęcia. Kira wyglądała zupełnie jak dorosła.

Joanie znowu się rozplakała. Baxter przez chwilę przyglądał się jej badawczo.

— Kto zaniósł film do Supa Snaps w sobotę?

Joanie potrząsnęła głową.

— Nie mam pojęcia. Może sama Kira?

Tym razem zaprzeczył Baxter.

— To nie była ona. Film nie znalazł się nawet w kopercie. Nie był opatrzony nazwiskiem, adresem, niczym.

Joanie sprawiała wrażenie kompletnie zaskoczonej — albo była dobrą aktorką, albo rzeczywiście nie miała pojęcia, o co chodzi z tymi zdjęciami. Baxter nie mógł w tej chwili odgadnąć, jak jest w rzeczywistości, jednak zamierzał się tego dowiedzieć.

Czy Joanie znajdowała się w tak tragicznym stanie dlatego, że zaginęło jej dziecko, czy dlatego, że przyłożyła do tego rękę? Baxter już wiele razy w życiu był świadkiem podobnych sytuacji. Kiedy kogoś zabijesz, celowo albo przypadkiem, poczucie winy wprost cię będzie zżerało, a jeżeli osoba, którą zabijesz, jest twoim bliskim krewnym, kryjesz się za tarczą z łez, których ludzie się po tobie spodziewają. I współczujesz nawet sam sobie.

Fotografie ustawiły całą sytuację w nowym świetle. Dzieci raczej nie mordowali zupełnie obcy im ludzie. Statystycznie szanse na to były małe, chociaż, oczywiście, istniały. Zwykle jednak dzieci ginęły gwałtownie z rąk krewnych lub znajomych, przyjaciół, z rąk kogoś, kogo znali i komu ufały.

Baxter był już pewien, że Kira nie żyje. Teraz należało tylko znaleźć jej ciało i zdjąć odciski palców osób wytypowanych jako potencjalni sprawcy zbrodni. Cóż, morderczynią mogła z powodzeniem okazać się pogrążona w żałobie matka.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

— Oni myślą, Jon Jon, że mieliśmy coś wspólnego z jej zniknięciem — głos Joanie był pełen niedowierzania.

— Nie bądź głupia, mammo.

Ze smutkiem potrząsnęła głową.

— Ty tam nie byłeś. Musiałam siedzieć przed tym alfonsem Baxterem i wysłuchiwać pytań o fotografie Kiry, wykonane wiele miesięcy temu. Pamiętasz? Któregoś wieczoru, przygotowując się do wyjścia na miasto, Jeanette wystrzałowio ją ubrała, nałożyła jej na twarz makijaż i strzeliła kilka fotek. Poczekaj, aż je zobaczysz. Kira wygląda na nich, jakby miała ze dwadzieścia lat. W każdym razie Baxter i jego banda uważają, że zdjęcia powstały po to, żeby rozpałać czyjaś wyobraźnię. Zajmował się nimi nawet jakiś psycholog. — Upiła łyk herbaty. — Pracuję na ulicy, gliny więc myślą, że jestem całkowicie pozbawiona skrupułów, i tak dalej. Według nich jestem więc także zdolna do tego, żeby molestować albo narażać na molestowanie własną córkę. Kurwa, co oni o mnie wiedzą? Powiedziałam im wprost: gdyby zabrali się do roboty natychmiast po moim pierwszym telefonie, pewnie do tej pory już by Kirę znaleźli. A tymczasem musiałam czekać w domu na tych pierdoleńców ponad dwie godziny, zanim się wreszcie zjawili.

Znowu wybuchła płaczem. Jon Jon niemal fizycznie odczuwał ból matki.

— Widzisz, oni nawet nie wiedzą, w jaki sposób te zdjęcia znalazły się w Supa Snaps. W każdym razie nikt ich nie przyniósł tak normalnie, zwyczajnie, jak to robi klient. Nie ma nazwiska odbiorcy, nic. Mówiłam Baxterowi, że gdybyśmy to my mie-

li coś z nimi wspólnego, przecież, kurwa, nie łazilibyśmy tam, żeby porobić jakieś cholerne odbitki. Wiesz, co mi na to powiedział ten bezczelny kutas? Zapytał mnie, w jakim innym miejscu bym je wywoływała.

— Oni muszą pytać, mamó.

Jon Jon ciężko zwałił się na sofę. Jego przystojna twarz była szara ze zmartwienia.

— Ty będziesz przesłuchiwany jako następny.

Westchnął.

— Chyba nie musimy się specjalnie martwić tymi zdjęciami, co? Skoro Jeanette zrobiła je dla żartu, w końcu będą musieli to przyznać.

Joanie dopiła herbatę i zapaliła następnego papierosa.

— Jak oni w ogóle mogą myśleć, że mieliśmy coś wspólnego ze zniknięciem Kiry, Jon Jon?

Objął matkę ramieniem.

— Muszą na sprawę patrzeć pod każdym kątem. Taką mają pracę.

Nie wspomniał Joanie, że na własną rękę prowadzi odrębne śledztwo. Stwierdził, że najpierw musi osiągnąć jakieś rezultaty. Wolał nie kłopotać matki, zanim nie dowie się czegoś pewnego. W domu matki Leigh był już dwa razy i nikogo nie zastał, zamierzał jednak wrócić tam dzisiaj wieczorem, spodziewając się zastać rodzinę w piżamkach. W takich okolicznościach najlepiej wyciągało się z ludzi wiadomości, uderzając, kiedy się najmniej spodziewali.

Ani na myśl mu nie przyszło, żeby chociaż częścią swojej wiedzy podzielić się z policją. To była sprawa osobista, a poza tym nie zamierzał pozwolić, żeby gliniarze wszystko spieprzyli. Przecież gdyby namierzyli kogoś podejrzanego, od razu by go zamknęli i co dobrego by z tego wynikło dla Jon Jona? On pragnął zemsty i zamierzał jej dokonać. Także dlatego o niczym nie wspomniał matce. Na wszystko przyjdzie właściwy czas. Znał swoją Biblię, czytał ją wystarczająco często dzięki Sippy'emu i jego naukom. „Oko za oko”. Tak, bez wątpienia wydubie oczy

pierdoleńcowi, który porwał Kirę. Biblia jednoznacznie zapowiadała karę boską za grzechy i bardzo ją lubił za tę prostotę. Okazałeś się skurwysynem, musisz za to zapłacić. Zapragnałeś mojego wołu, rozwalę ci głowę. W rzeczy samej na ulicy do dzisiaj obowiązuje takie prawo. Po dwóch tysiącach lat można było odnieść wrażenie, że Biblia jest dla ludzi takich jak on znacznie ważniejszym kanonem postępowania niż mądrości głoszone przez wszystkich polityków świata.

— Pozwól, że ci zrobię kanapkę, mamó. Musisz przecież jeść. Potrząsnęła przecząco głową.

— Zrób tylko dla siebie. Ja nie jestem głodna.

Mimo wszystko przygotował kanapkę także dla matki i próbował zachęcić ją do jedzenia. Potem razem z nią czekał, aż przyjdzie Paulie, żeby być przy niej w nocy. Od kilku dni zjawiał się co wieczór. Jon Jon znał matkę wystarczająco, by wiedzieć, że czuje się o wiele lepiej, kiedy jest przy niej Paulie. Nie mógł jej zostawić w domu z nikim innym, bo nikogo innego po prostu nie zauważała.

Paulie utrzymywał ją przy życiu. Słyszał, jak się kochają i był z tego zadowolony. Seks odciągał jej myśli od ostatnich wydarzeń i właściwie Jon Jon nie miałby nic przeciwko temu, gdyby mężczyźni brali ją teraz tuzinami. Ale Paulie troszczył się o nią. Próbował zachowywać się, jakby wcale tak nie było, jednak robił to nieudolnie. Jon Jon współczuł i jemu, i matce. W innych warunkach pewnie zamieszkaliby kiedyś razem, a potem żyli długo i szczęśliwie.

Po raz kolejny popatrzył na fotografię Kiry i poprosił Boga, żeby przyprowadził ją do domu. Nie miał jednak wielkiej nadziei, że jego prośba zostanie wysłuchana.

Wkrótce zostawił ich samych. Joanie leżała na sofie, a Paulie Martin siedział u jej stóp, czuwając. Sielankowy widok.

Jasper Copes i jego koledzy wciąż uparcie szukali Kiry. Można było odnieść wrażenie, że z uporem realizują jakąś nadzwyczajną

czajną, życiową misję. Jasper uznał za punkt honoru konieczność udzielenia wszelkiej pomocy w poszukiwaniach siostry Jeanette.

Szukali jej także Sippy oraz jego kumple. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin podwoiła się liczba bmw jeżdżących ulicami z niewielką szybkością. To jeszcze inni przyjaciele Jon Jona włączyli się do poszukiwań. Całe zamieszanie cieszyło policję, która przydzielała nawet poszczególnym ekipom konkretne obszary do przeszukiwań. Niektórzy młodzieńcy po raz pierwszy w życiu robili to, co im kazali gliniarze.

Dziennikarze lokalnych serwisów informacyjnych byli wniebowzięci. Oto skinheadzi i rastafarianie pracowali razem ze złodziejaskami i najzwyklejszymi mętami. Zapominawszy o waśniach i różnicach, w pełnej harmonii poszukiwano małej dziewczynki. Kira Brewer w krótkim czasie zrobiła więcej dla poprawy stosunków rasowych w dzielnicy niż którykolwiek z rządów na przestrzeni wielu lat.

W tej chwili poszukiwacze byli już jednak w pełni świadomi tego, że raczej szukają zwłok, a nie żywej osoby. Nikt jednak nie mówił tego głośno.

Kiedy Sippy zapalił skręta, przeszukując park Victoria, żadnemu policjantowi nawet nie drgnęła powieka. Wszyscy przecież pracowali teraz razem, mając jeden wspólny cel. Nic innego się nie liczyło.

Do poszukujących dołączyli bywalcy nocnych klubów. W miarę jak wieści o poszukiwaniach roznosiły się, pustoszały puby. A przed mieszkaniem Joanie ludzie składali kwiaty i listy z życzeniami oraz słowami otuchy i nadziei. Czas jednak biegł nieubłaganie, a świadomość tego była cierniem w sercach wszystkich osób, które szukały Kiry.

Matka Leigh Rowe była dużą kobietą o wypłowiałych blond włosach. Pomiedzy wargami wciąż trzymała papierosa. Kiedy usłyszała pukanie do drzwi, przyjęła, że to znowu wygłupy niegrzecznych dzieciaków. Te, które tutaj mieszkały, były draniami,

stawiającymi sobie za cel życia bezustanne wkurwanie wszystkich dorosłych.

Otworzyła drzwi w krótkiej, czarnej, koronkowej nocnej koszuli, oczywiście z papierosem dyndającym z ust. Kiedy zobaczyła Earla i Jon Jona, ani nie mrugnęła okiem. Była północ, a ona otworzyła drzwi i zachowywała się, jakby to było wczesne popołudnie.

— Czego?

Twarz miała ściągniętą i czujną.

Earl popatrzył na Jon Jona i wzruszył ramionami.

— Słucham? Co wy za jedni, z opieki społecznej, czy co? —

Wyciągnęła z ust papierosa i wyćwiczonym ruchem wyrzuciła go na ulicę.

— Czy pani nazywa się Mandy Costner?

Zmierzyła Jon Jona takim spojrzeniem, jakby niespodziewanie zobaczyła szczura stojącego na progu jej domu.

— A kto chce, kurwa, wiedzieć?

Jon Jon miał już dosyć mądrali z East Endu. Pchnąwszy ją do holu, wrzasnął:

— Ja! Ja chcę, kurwa, wiedzieć!

Earl wszedł za nim do domu, cicho się śmiejąc.

— Jego tu nie ma!

Kobieta próbowała wypchnąć na zewnątrz obu gości, a Jon Jon i Earl zdali sobie sprawę, że bierze ich za egzekutorów długów męża.

— Nie przyszliśmy tutaj po pieniądze, próbujemy tylko znaleźć twoją córkę...

Z wysiłku ciężko oddychała.

— A do czego ona wam jest potrzebna? Czy to ten Harold was przysłał? A nawet jeśli, i tak nie wiem, gdzie ona jest.

Frontowe drzwi niespodziewanie otworzył potężnie zbudowany mężczyzna z łysą głową. Miał szerokie ramiona, wielki brzuch i kiedy stanął w wąskim holu, zajął w nim dużo miejsca.

— Kurwa mać, co się tu dzieje?

Jon Jon miał już tego wszystkiego dosyć.

— Włóż do środka. Earl, zamknij za nim jebane drzwi. A ty... — wskazał na kobietę — zamknij cholerną jadaczkę i włóż do salonu. Im szybciej to zrobisz, tym szybciej przejdę do rzeczy.

Kobieta i mężczyzna patrzyli na niego z głupimi minami tak długo, aż Earl odezwał się łagodnie:

— Róbcie, co mówi. Facet naprawdę nie ma nastroju na pierdoły.

— Weszliście do naszego domu i zaczynacie się rządzić...

Masywny mężczyzna był wkurzony, a Earl i Jon Jon mogli go zrozumieć. Jon Jon uznał jednak, że i tak stracił już dosyć czasu. Niemal wepchnął oboje do pokoju. Earl przekręcił klucz w drzwiach wejściowych i ruszył za nimi. Teraz mieszkańcy domu zdali sobie sprawę, że zostali w nim uwięzieni przez dwóch facetów sprawiających wrażenie szaleńców. Był to niewątpliwie element przewagi psychologicznej, jaką intruzi mieli nad domownikami.

Znalazłszy się w pokoju, para wciąż patrzyła z wyraźną trwogą na młodych. Jon Jon ciężko westchnął.

— Nie przyszedłem tutaj w imieniu Harolda, ale i tak chcę znaleźć waszą córkę.

Kobieta popatrzyła sceptycznie na niego i na Earla.

— Naprawdę? — zapytała spokojnie. Nagle uleciał cały jej strach. — Czy ta świnia poleciała wreszcie z dymem na tamten świat? — Powoli zapaliła następnego papierosa, zaciągnęła się głęboko i dopiero wtedy odezwała się ponownie: — Cholemy gnój z niego. Uwielbiał ją bić, często do nieprzytomności, bo sprawiało mu to wielką przyjemność. Przez co ta dziewczyna przeszła... — Znów się zaciągnęła. — Nieważne, czy macie broń. Możecie mnie zastrzelić, a ja i tak nie powiem wam ani słowa. Traciecie czas.

To było jej ostateczne postanowienie.

Mężczyzna siedział w milczeniu na krześle przy kominku i zaczął skręcać papierosa dla siebie.

— Ona dobrze mówi. Moja córka swoje wycierpiała, kiedy

ten sadysta był na wolności. Nic wam o niej nie powiemy, choć-
byście nie wiem jak się o to starali.

Jon Jon usiadł na sofie i odezwał się głosem, któremu starał
się nadać jak najbardziej przyjazne brzmienie.

— Przysięgam ci, człowieku, ja nawet nie znam Harolda.

— O co ci więc chodzi? — zadawszy pytanie, mężczyzna
polizał bibułkę. Było jasne, że odpowiedź Jon Jona w ogóle go
nie interesuje.

— Moją siostrą jest Kira Brewer. Zaginęła.

Zobaczył, że małżeństwo wymienia spojrzenia.

— Bardzo nam przykro, ale co to ma wspólnego z nami? —
zapytała Mandy. Jej głos brzmiał o wiele łagodniej niż wcześniej.

Jon Jon głęboko odetchnął i zaczął odpowiadać:

— Wasza córka oskarżyła pewnego faceta o molestowanie
jej córki, Caitlin. Ten sam facet, Mały Tommy Thompson — tak
się składa — sprawował opiekę nad moją siostrą.

Małżonkowie znów popatrzyli po sobie. Wreszcie mężczyzna
warknął do żony:

— Mandy, zrób nam herbatę.

Skinęła głową i wyszła z pokoju, a Earl za nią. Był czujny,
nie zamierzał umożliwić jej nawiania z domu.

— Co masz więc do powiedzenia?

Jon Jon odczekał, aż mężczyzna w końcu uważnie mu się
przyjrzy. Rozumiał jego obawy. Wiele słyszał o Haroldzie Rowe
i nie były to przyjemne rzeczy. Zdawał sobie sprawę, że musi
wzbudzić zaufanie gospodarzy, jednak konieczność podejmowa-
nia kolejnych złudnych podchodów w stosunku do starych ludzi
zaczynała go irytować.

— Caitlin miała dziewięć lat, kiedy go oskarżyła. Widzisz,
chodziła tam razem z innymi dziewczynkami. Leigh skorzystała
z okazji i przygruchała sobie jego ojca, chociaż, słowo honoru,
nie wiem, co w nim widziała. Przecież był w moim wieku! Cho-
ciaż po Haroldzie, tak mi się wydaje, każdy zdawał się jej lepszy.
To był kawał piździelca. Złamał jej nos, rękę, kiedyś nawet odbił
jej płuco. Zazdrosny skurwysyn, niemal codziennie oskarżał ją

o zdradę i w ogóle o wszystko, co najgorsze. Ale Harold był także spryciarzem, zarabiał pieniądze, a kiedy został zapuszkowany, poziom życia rodziny nagle się pogorszył. Do Leigh wydzwaniali też tak zwani przyjaciele Harolda, o każdej porze dnia i nocy. Chyba wiesz, dlaczego. Zamierzali dotrzymać słomianej wdowie towarzystwa, czy tego chciała, czy nie.

Jon Jon pokiwał głową.

— Ten cały Joseph miał jednak odłożonych parę funtów, otrzymał forszę jako rekompensatę za coś, już nie pamiętam, za co. Postanowił wyprowadzić się z Leigh i jej dziewczynkami. Nagle wybuchła afera z Caitlin, też już nie pamiętam, w jakich okolicznościach. W każdym razie Leigh nie chciała już mieć ze starym nic wspólnego, a i ja dołożyłem swoje, bo skopałem go jak psa. Nagle Leigh wyjechała, a Thompsonowie niemal w panice musieli się stąd ewakuować, bo cała okolica aż huczała od plotek i robiło się tu dla nich zbyt niebezpiecznie.

Jon Jon pokiwał głową.

— Kogo jednak ta dziewczynka oskarżyła?

— O ile pamiętam, najpierw ojca, a potem syna, po czym okazało się, że właściwie obaj się do niej dobierali. Co za para kanalii, co? A już ten grubas, który nie tracił ani grama tłuszczu w największe upały, działał mi na nerwy od samego początku. Te jego pieprzone lalki! Co za chłopak bawi się lalkami? Tylko pojebany chłopak! — Chcąc podkreślić znaczenie swoich słów, przytknął palec wskazujący do skroni. — Nigdy właściwie nie dotarliśmy do sedna tej sprawy. Leigh nie powiedziała nam wiele, co chyba zrozumiałe, kiedy się nad tym głębiej zastanowić. Kto chciałby opowiadać ludziom, że jego dziecko było molestowane?

— Gdzie ona teraz jest?

Mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Przykro mi, synu, ale tego ci nie powiem. Przeżyła ciężki czas z Haroldem Rowe i nie zamierzam ryzykować, że drań ją kiedykolwiek odnajdzie. Zabiłby ją albo po prostu zleciłby komuś zabójstwo. Przepraszam, lecz nic z tego.

Jon Jon doskonale go rozumiał. Sam w identyczny sposób strzegłby w takiej sytuacji swojej córki lub siostry.

Wróciła Mandy z herbatą, uśmiechnięta od ucha do ucha. Najwyraźniej nie nudziła się z Earlem w kuchni.

— Ile pieniędzy rzekomo miał ten Joseph? — Jon Jonowi przyszło do głowy, że zarobił je na handlu pornografią dziecięcą albo innych bezceństwach.

— Zaoferował naszej Leigh sporą sumkę, żeby nie szła na policję i poradziłem jej, by przyjęła te pieniądze. Bierz je, dziewczyno, tak powiedziałem, i uciekaj stąd. Dokładnie tak postąpiła. Może źle, może dobrze, ale właśnie tak.

Earl uznał to za zupełnie logiczne, ale Jon Jon trafił w sedno, mówiąc:

— Ale skoro on był zboczeńcem, dlaczego nie zrobiła niczego, żeby uniemożliwić mu uprawianie obrzydłego procederu w przyszłości? Zaginęła moja siostra, może nawet jest już martwa, a to dlatego, że pana córka nikomu nie powiedziała o molestowaniu Caitlin. Praktycznie puściła na wolność zboczonego przestępcę.

Mandy uczyniła pewien wysiłek, żeby przybrać na twarz wyraz wstydu, ale kiedy odezwała się, jej głos był zupełnie spokojny.

— Nie znasz Harolda. Kiedy Joseph zaproponował jej pieniądze, zdawało się to darem od samego Boga. Potrzebowała ich, żeby raz na zawsze odciąć się od swojego męża, a nawet od wszelkiego wspomnienia po nim.

Jon Jona zszokowało to w widoczny sposób.

— I zdobyła je, wykorzystawszy fakt, że ktoś molestował jej córkę? — Potrząsnął z niesmakiem głową. — Wiecie co? Ludzie tacy jak wy doprowadzają mnie do mdłości. Gdyby wasza córka poinformowała o wszystkim władze, mojej siostrze pewnie nic by się nie stało.

Czuł, jak wzbiera w nim gwałtowna złość.

— Przecież nie mogliśmy tego przewidzieć, prawda?

— Skoro zrobił to raz, można było przypuszczać, że dopuści się tego ponownie, o ile już wcześniej nie molestował żadnego

dziecka. Z takimi ludźmi nie robi się interesów. Wasza córka mogła wziąć pieniądze i mimo to zadenuncjować go.

Teraz także Mandy się rozzłościła.

— Ale tego nie zrobiła — powiedziała cierpko. — Skąd miała wiedzieć, że on znowu kogoś zaatakuje?

— Bo dobierał się do jej dziewczynki! — wrzasnął Jon Jon. — Czy to nie wystarczyło, by zrodzić podejrzenia? Myślicie, że wasza wnuczka była jego jedyną ofiarą? Zboczeniec pozostaje zboczeńcem przez całe swoje pierdolone życie. Przecież to jest jak choroba, prawda?

Nikt się nie odezwał.

Ojciec Leigh z trudem zwinął następnego papierosa. Jego ręce drżały.

— Wszyscy myśleliśmy wtedy jedynie o tym, żeby wyrwać ją ze szponów Harolda i jego rodziny — mruknął.

Mandy podjęła jego słowa.

— Nie wiesz, jak to wszystko wyglądało. Nawet my musieliśmy się przeprowadzić. Dlatego mieszkamy teraz tutaj. Ten człowiek nie dawał nam spokoju, śledził nas, zaczepiał na ulicach... To był koszmar. Moja córka żyła jak w malignie, nie mogła jeść, nie mogła spać. Nawet z więzienia Harold sprawował kontrolę nad jej życiem. Zupełnie nie interesował się dziewczynkami, były tylko pomostem, dzięki któremu mógł zatruwać życie Leigh. Wzięła więc pieniądze i uciekła. Czy można mieć do niej pretensje?

Jon Jon czuł, że jest mu niedobrze.

— Nikt nie ma do niej o to pretensji, powinna była jednak doprowadzić do przyskrzynienia Thompsonów.

— I wmieszać we wszystko gliny? Wtedy Harold bez trudu dotarłby do jej adresu; nie ma nic prostszego niż wyciągnięcie informacji od glin, powinieneś to wiedzieć, synu. Większość tych bałwanów zrobi niejedną przysługę za postawienie prostego drinka, a co to w końcu jest zdobycie jakiegoś adresu, co? A Harold bez wątpienia kazałby zabić moją dziewczynę. Zrobiliśmy, wówczas to, co uważaliśmy za najlepsze.

Jon Jon roześmiał się cynicznie.

— W każdym razie najlepsze dla was. — Wstał. — Chodź, Earl. To miejsce działa mi na nerwy.

Zdawał sobie sprawę, że mimo wszystko musi się dowiedzieć, gdzie przebywa Leigh. Ale bynajmniej nie poprzez wypytywanie jej rodziców. Wyszedłszy z ich domu, wyciągnął podsłuch radiowy, który trzymał w samochodzie i tak długo przestawiał jego pokrętła, aż usłyszał głos Mandy rozmawiającej przez stacjonarny telefon. Obaj z Earlem założyli, że Mandy natychmiast zechce poinformować o ich wizycie swoją córkę, no i mieli absolutną rację.

Podsłuch był w ich robocie wręcz skarbem. Dzięki niemu można było podsłuchiwać dosłownie wszystko, w tym radiostacje policyjne, a także rozmowy prowadzone przez telefony komórkowe i stacjonarne, ale przez te ostatnie pod warunkiem, że wyposażone były w słuchawki bezprzewodowe. Mandy miała, jak zresztą już większość ludzi, właśnie taki telefon.

Kobieta wyjaśniła córce sytuację. Jon Jon odniósł wrażenie, że ta mocno się przeraziła. Matka jednak szybko ją uspokoiła.

— Oni byli nawet mili, kochanie. Nie sędzę, żeby akurat takich osobników przysłał do mnie Harold, w końcu wiesz, jaki był. A większy z tej pary, Earl... Mówię ci, dziewczyno, nie wyrzuciłabym go z łóżka.

Kobiety roześmiały się, a zakłopotany Earl wzniosł oczy ku niebu.

— No, no, zrobiłeś na babie wrażenie — zauważył Jon Jon. Earl jedynie wzruszył ramionami.

— Mamo, jesteś okropna.

Obie kobiety zaśmiały się jeszcze raz.

— Ta mała Kira... Jak myślisz, mamo, znajdą ją?

— Kto to wie, dziewczyno? Mam nadzieję, że ją znajdą. Boże błogosław jej małe serduszko... Wiesz, Leigh, ona wygląda zupełnie jak Caitlin. Te jasne włosy i niebieskie oczy...

— Biedactwo.

— No i jeśli zamieszani są w to Thompsonowie! Nie chcia-

łabym być w ich skórze, jeśli ci dwaj faceci, którzy byli u mnie wieczorem, dostaną ich w swoje łapska.

Mandy nie wspomniała, że brat Kiry jest zły na Leigh za ukrycie faktu molestowania Caitlin, jednak ten niewypowiedziany zarzut zawisł w powietrzu pomiędzy kobietami. Leigh szybko zmieniła temat rozmowy.

— A co u ciebie i u taty? Wszystko w porządku?

— Tak, miewamy się doskonale. A u ciebie?

— Wszystko gra. Wciąż jesteśmy w Pevensey Bay, próbujemy łapać ostatki tegorocznego lata. Wracam w niedzielę. Dziewczynkom się tu podoba, mamó, i mnie chyba też.

— Jak się spisuje przyczepa kempingowa?

— Była mocno zapuszczona. Komukolwiek ją ostatnio pożyczłaś, niezbyt o nią dbał, ale wypucowałam ją, więc nie musisz się martwić. Przy okazji, wymieniłam terakotę na zewnątrz.

— Dzięki, kochanie. Zadzwoń jeszcze jutro.

— Dziękuję, mamó. Za wszystko. Dobranoc.

W słowach Leigh zabrzmiało szczere uczucie i Mandy zakończyła rozmowę.

— Kocham cię, dziewczynko.

Jej córka wcześniej jednak odłożyła słuchawkę.

Earl szukał już w atlasie samochodowym Pevensey Bay.

— Nic się nie martw, Earl, usłyszałem dosyć. Niepotrzebna nam mapa.

— Pojedziemy tam teraz?

Jon Jon potrząsnął głową.

— Nie, najpierw załatwimy sobie alibi.

Earl wzruszył ramionami.

— Jak uważasz.

— Chcesz, żebym zdobył dla ciebie numer telefonu komórkowego mamuśki? — zapytał Jon Jon.

Earl wyszczerzył zęby.

— Odpierdol się, Brewer.

Kiedy odjechali, Jon Jon powiedział:

— Jak oni mogli wziąć te pieniądze, Earl, wiedząc, że pozwalają zbrodniom uniknąć kary. Moja mała Kira...

Earl zwolnił.

— Słyszałem o Rowe i, uwierz mi, to cholernie niebezpieczny piździelec. One naprawdę próbowały siebie ratować. Na ich miejscu tak samo pewnie postąpiłby każdy rozsądny człowiek. Poza tym, ci ludzie mieli rację w sprawie glin. W końcu sam najlepiej wiesz, ile adresów zdobyliśmy od nich w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Rowe bez trudu uzyskałby interesującą go informację. Myśl logicznie, Jon Jon.

— Ale to nie twoja mała siostra była molestowana, prawda?

— Moja mała siostra wygląda jak Pamela Anderson na amfetaminie i ma usta dwa razy większe od niej. Nikt o zdrowych zmysłach nie dobierałby się do niej.

Jon Jon nie uśmiechnął się, mimo że już wiele razy miał do czynienia z Renee. Renee miała lat trzynaście, a wyglądała na dwadzieścia dziewięć.

— Poza tym, Jon Jon, jakkolwiek zabawnie to zabrzmiałoby, ale ty przecież wcale nie jesteś pewien, że za zniknięciem twojej siostry stoją Thompsonowie, prawda?

— To na pewno zrobili oni.

— Myślisz, że molestowaliby twoją siostrę, wiedząc, kim jesteś?

Jon Jon westchnął.

— Takie rozważania w ogóle nie mają sensu. Molestowali dziewczynkę Rowe, a przecież Harold wcale nie jest sympatycznym włamywaczem, prawda?

Earl przytaknął.

— Punkt dla ciebie.

Jon Jon zaczął zwijać skręta z marihuana; coś, czego nigdy dotąd nie robił publicznie.

— Wracamy! Czegoś zapomniałem! — rozkazał nagle.

Earl posłusznie wykonał polecenie.

*

Mandy właśnie oglądała film, a mąż nalewał jej i sobie po dużym kieliszku brandy. Mieli za sobą trudny wieczór.

— Źle się czuję, a ty, Mandy?

Pokiwała tylko głową.

— Skąd mogliśmy wiedzieć, że zdarzy się coś takiego?

Mandy nie mogła znieść myśli, że któreś z nich może mieć coś wspólnego ze zniknięciem dziewczynki.

— Ile forsy Thompson dał Leigh?

— Dwadzieścia pięć tysięcy.

Jej mąż aż zachłysnął się brandy, zaskoczony.

— O, kurwa! Niezła kasa. Nie zdawałem sobie sprawy, że tego było aż tak dużo.

Mandy pokiwała głową.

— To się facet wykosztował. Przyznam szczerze, Mandy, że chwilami miałem wątpliwości, czy facet przypadkiem nie został we wszystko wrobiony. Sama chyba wiesz, jaka potrafi być nasza Leigh...

Żona natychmiast mu przerwała.

— Nie tym razem. No i to było całe lata temu, kiedy była dzieckiem.

Przez chwilę w milczeniu popijali koniak, wreszcie mężczyzna odezwał się:

— Nigdy w to nie wierzyłem, Mandy, w ani jedno słowo.

Jego żona odwróciła się i zmierzyła go uważnym spojrzeniem. Nagle zapomniała o filmie.

— Co powiedziałaś?

Wzruszył ramionami. Od tego ruchu zatrzęsł się jego wielki brzuch.

— Pytałem Caitlin, a ona mi powiedziała, że Leigh dokładnie ją poinstruowała, co ma mówić ludziom.

— Oczywiście, że jej powiedziała, co ma mówić! Chyba nie chciałbyś, żeby twoja wnuczka opowiadała Bóg wie komu różne bzdury. Twoja własna zasnana córka i ty także wciąż nie wierzyacie w ani jedno jej słowo.

— Dobrze, już dobrze, przymknij jadaczkę. I bądźmy oboje

szczerzy, przez ostatnie lata Caitlin naopowiadała nam mnóstwo różnych fantazji. A ja nigdy nie widziałem, żeby ci Thompsonowie zachowywali się jakoś niestosownie, i to ci muszę powiedzieć.

— No i co z tego? — warknęła Mandy ze złością. — Spodziewasz się, że zdecydowaliby się realizować swoje zboczone zachcianki na twoich oczach? To chcesz mi wmówić?

— Mówię tylko, że moim zdaniem nie mieli szans na skryte molestowanie dziewczynki. W końcu Leigh u nich nie mieszkała, prawda? Przychodziła jedynie w odwiedziny, czasami wychodzili razem na spacer do parku i tak dalej...

Skonsternowana Mandy potrząsnęła głową.

— Dlaczego nie powiedziałeś tego Thompsonowi, kiedy mogłeś? Dlaczego nie powiedziałeś, skoro jesteś taki pewien, że obaj są niewinni, a twoja własna córka jest pieprzoną kłamczuchą.

— Właśnie dlatego, że to moja córka.

W tym momencie usłyszeli przed domem jakieś hałasy i przez otwarte frontowe okno wpadł do domu jakiś kamień. Wyjrzawszy na ulicę przez okno, zaczęli bezradnie się przyglądać, jak Jon Jon wielkim kijem bejsbolowym rozbija ich samochód.

— Zawołajcie gliny, no już! Aha, ale wy nigdy nie wzywacie glin, prawda? Nawet do ludzi, którzy molestują dzieci ani do morderców — wołał do nich Jon Jon.

Oboje milczeli.

Przecież nie mieli nic do powiedzenia.

— Jesteś teraz zadowolona, Mandy? — zapytał jej mąż.

Mandy usiadła na sofie, rozejrzała się po pokoju i rozplakała się. Jednak, tak jak przepowiedział Jon Jon, ani ona, ani mąż nie zawołali policji. Nie byli tacy głupi.

Joanie już nie spała, jak zwykle. Wysunęła się z łóżka najdelikatniej, jak potrafiła, żeby nie przeszkadzać Pauliemu. W kuchni przygotowała sobie filiżankę herbaty i szczerze wzmocniła ją szkocką whisky. W ciągu dnia butelkę przyniosła jej Mary Bran-

nagh, a że był to teraz jedyny alkohol w domu, pomyślała o niej z wdzięcznością.

Wyciągnęła karty tarota i leniwie je potasowała, wreszcie położyła talię przed sobą na stole. Wpatrzyła się w karty, jakby były jej wrogiem i przecież w tych okolicznościach rzeczywiście nim były. Noc po nocy chciała odczytać z nich los swojej córki, sprawdzić, co karty mają o niej do przekazania. Od dnia, kiedy Mary powiedziała jej, że Kira przebywa w towarzystwie osoby o ciemnych włosach, Joanie miotła się pomiędzy nadzieją a desperacją.

Wiedziała już, że wszyscy uważają, iż Kira nie żyje. Teraz była przerażona, że karty to potwierdzą. Upiła łyk letniej herbaty; znajdująca się w niej szkocka dodawała jej energii, mimo że nie cierpiała smaku whisky. Następnie położyła głowę na stole i znów zaczęła płakać. Płakała cicho, nie był to już głośny szloch jak wcześniej, zaraz po zniknięciu dziewczynki. Po policzkach spływały jej łzy strachu i gorzkich pretensji wobec samej siebie.

Za nic nie powinna była pozwolić, żeby Kira tego dnia wyszła z domu, miała jednak wówczas tyle spraw na głowie, że straciła zwykłą czujność. Od czasu kłótni Joanie z Moniką biedna Kira błąkała się po świecie niczym zagubiona owca, chyba że przebywała z Tommym. Tego dnia również wyszła z domu sama.

Co też w Joanie wstąpiło, że pozwoliła jej samej pójść do sklepu? Czy to z tego powodu jej dziecko teraz leży gdzieś umęczone albo już sztywne? Czy może ktoś więzi Kirę? Może jest zamknięta w jakiejś lodówce i z trudem walczy o każdy oddech?

Możliwości pojawiały się nieskończone, a Joanie wiedziała, że z ich roztrząsania nie wyniknie nic dobrego. Jęknęła głośno, a jej jęk dziwnie zabrzmiał w pustym mieszkaniu. Tej nocy nikt nawet nie nastawił głośno muzyki, która była największą zmorą mieszkańców komunalnego bloku. Ta cisza była zewnętrzną oznaką żałoby po Kirze.

„Czy ja też to w tej chwili robię?” — zapytywała Joanie samą siebie. „Opłakuję już swoją córkę?”

Nagle zebrało się jej na wymioty. Zakryła dłonią usta, żeby

nie pobrudzić całej kuchni i z trudem zdążyła stanąć nad zlewem. Zaczęła wymiotować i trwało to tak długo, że w końcu od napięcia mięśni rozboleły ją boki.

Nagle poczuła czyjąś dłoń, głaszczącą ją po plecach.

To był Paulie.

Znów bluzgnęła wymiocinami, lecz Paulie nie cofnął dłoni. Przybliżył usta do jej ucha i szeptał jakieś słowa uspokojenia.

Ale Joanie tak naprawdę wcale go nie słyszała.

Słyszała tylko małą Kirę, wołającą mamę, ale mamy nigdzie w pobliżu nie było.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Mały Tommy stojąc przed blokiem, rozmawiał z tłumem kobiet i mężczyzn. Poszukiwania Kiry trwały, jednak minęły już trzy dni, a w związku z tym stygł zapach poszukiwaczy. Poza tym wszyscy, łącznie z policją, byli już nastawieni tylko na znalezienie zwłok.

W każdym razie poszukiwania Kiry zbliżyły ludzi do tego stopnia, jaki nigdy dotąd nikomu się nie śnił. Wszyscy nagle mieli wspólny cel, a tym celem było dziecko, Kira Brewer. Choć kamery telewizyjne już odjechały, dzięki bombie podłożonej w centralnym Londynie, nadal wśród ludzi kręcili się reporterzy z gazet. Blok, w którym mieszkała Kira, wciąż był pełen oczekiwania i chociaż nadzieja znalezienia dziewczynki żywej malała w oczach, mieszkańcy byli podekscytowani perspektywą znajdowania swoich wypowiedzi czy fotografii na pierwszych stronach gazet.

Czytając własne słowa, cytowane przez gazety, nie widzieli niczego niestosownego w tym, że zbliżyło ich właśnie zniknięcie Kiry. W tej społeczności wszyscy wiedzieli o wszystkich niemal wszystko, łącznie z najbardziej intymnymi szczegółami. Każdy wiedział, co się dzieje w domu sąsiada. Ludzie znali cudze rodziny, dziwactwa, wiedzieli, kto zażywa prochy, a kto w ogóle nie ma z nimi nic wspólnego. Wiedzieli, kto z kim sypia, kto jest zdradzany przez współmałżonka i kto akurat nawiał z domu. Znali nazwiska i wiek cudzych dzieci oraz wnuków. Niemal zaglądali sobie nawzajem do kieszeni, a wszystko dlatego, że ich domy zaprojektowano i wybudowano w sposób ułatwiający wszelkie wścibstwo. Zresztą w latach sześćdziesiątych, kiedy je

wznoszono, absolutnie nikt nie myślał o zapewnieniu prywatności mieszkańców. Mieli tutaj zamieszkać ludzie, którzy już się nie mieścili w slumsach East Endu. Kazała te domy postawić ówczesna Wielka Rada Londynu i jedno spojrzenie na budynki nie pozostawiało wątpliwości, że są własnością miasta. Od dawna nie remontowane nadawały się teraz jedynie do tego, żeby je szybko zburzyć i na ich miejsce postawić coś zupełnie nowego.

A jednak ta dzielnica była autentycznym domem dla wielu. Ludzie starali się jak najlepiej układać sobie życie w miejscu, gdzie rada kazała im zamieszkać i pozostawiła samym sobie. O tym, jak należy się zachowywać w tej okolicy, stanowiły niepisane prawa.

Ostatnio nikt nigdzie nie widział Moniki. Właściwie nikt nie zauważył jej zniknięcia do dnia, kiedy ktoś otworzył „Sun”. Była tam jej fotografia, smutna i fałszywie skromna, a nad nią wielki tytuł: „Pracowałam na ulicy z matką zaginionej dziewczynki”.

W dwustronicowym artykule wyjaśniała, jak spotkała Joanie, jaka była Kira i jak Joanie pracowała na ulicy i w salonach masażu.

Jej wynurzenia nie były kłamstwem, ale nikt nie pochwalał tego, że Monika zdradza tajemnice Joanie, żeby wypchać sobie kieszeń, bo do tego sprawa się sprowadzała. Była to zdrada tak haniebna, że Monika nie miała już najmniejszych szans, by jeszcze kiedykolwiek chodzić ulicami swojej dzielnicy. Zaczepiłby ją każdy przechodzień i powiedziałby, co o niej myśli. Ludzie byli tutaj bardzo życzliwi, a ona okazała się czarną owcą społeczności.

— Pierdolona suka! Jakby na biedną Joanie nie spadło już dosyć nieszczęść! — wołała sąsiadka, która przez lata systematycznie kłóciła się z Joanie, zazwyczaj z powodu jej dzieci. W obliczu tragedii te sprzeczki poszły jednak w zapomnienie.

— Doigrała się, ladacznica. Już ona dostanie za swoje.

W tej sprawie nastąpiło milczące porozumienie i wkrótce ludzie rozpierzchli się. Każdy śpieszył, żeby kupić własny egzemplarz gazety i przedyskutować zawartość artykułu z rodziną oraz znajomymi. Od tego dnia imię Moniki miało być powtarzane z pogardą i obrzydzeniem.

O Joanie wcześniej można było powiedzieć wiele złego, jednak była dobrą, a nawet przykładną matką, i każdy o tym pamiętał. Była powszechnie lubiana, to było najważniejsze dla wszystkich ludzi w sąsiedztwie. Monika nie miała więc najmniejszej szansy.

Mały Tommy wolnym krokiem wrócił po schodach do mieszkania. Zamknąwszy za sobą drzwi, nastawił czajnik z wodą na gaz, chcąc przygotować sobie kubek kawy. Przyniósł do domu wszystkie dzisiejsze gazety. Teraz rozłożył ja na stole i zaczął przeglądać, szukając wzrokiem fotografii Kiry.

— Moja uroczą małą księżniczka.

Wypowiedział te słowa głośno i rozejrzał się, jakby miał nadzieję ją tutaj zobaczyć. W chwili gdy zagotowała się woda w czajniku, ktoś zapukał do drzwi. Tommy ruszył do przedpokoju, żeby je otworzyć.

Miał dzisiaj mocno opuchnięte nogi. W ciągu ostatnich dni zrobił tyle kilometrów, że teraz płacił za to wysoką cenę. Był bardzo zasmucony tym, co się stało. Smutek ten widoczny był na jego obwisłej twarzy i w ogóle w całej postawie, kiedy otwierał drzwi.

Jeanette była już na komisariacie. Zabrano ją tutaj za napaść na Karen Copes. Karen nie wniosła oskarżenia, ale przetrzymali Jeanette przez noc, żeby nad ranem porozmawiał z nią ktoś z opieki społecznej. Dziewczyna pozostawała poza wszelką kontrolą, o czym było powszechnie wiadomo, jednak w żaden sposób nie można było temu zaradzić.

Jeanette powiedziała pracownicy opieki społecznej, żeby poszła się pierdolić, po czym kobieta natychmiast ją opuściła. Oczywiście, dodała do jej teczki kolejną notatkę, którą pośpiesznie sporządziła. Dziewczyna miała czternaście lat i mieszkała z osiemnastoletnim chłopakiem, już notowanym. Jego matka była alkoholiczką i tak jak syn była już wielokrotnie zatrzymywana przez policję.

W myśl prawa Jeanette mogła jednak robić z życiem, co jej się tylko podobało, a jeśli chciała mieszkać z Copesami, nikt nie miał prawa się do tego wtrącać. Nawet gdyby Joanie chciała ją siłą zabrać do siebie, nie miałyby takiego prawa.

Baxter nie mógł się nadziwić dziewczynie, która niepotrzebnie pakowała się w kłopoty, gdy tymczasem jej siostra leżała nie wiadomo gdzie, zamordowana.

Nie dotarł do niego fakt, że to Karen Copes sprowokowała ją do tego, co się w końcu stało. Widział w Jeanette jedynie małą dziwkę, która poszła w ślady matki. Cała ta rodzina składała się wyłącznie z szumowin. Uznał wreszcie ten fakt, kiedy zobaczył fotografie małej dziewczynki z grubym makijażem na twarzy. Według niego Kira Brewer była elementem interesu rodzinnego i nie obchodziło go już, ile razy komendant zadzwoni do niego, żeby zmienił o nich opinię. Wątpił, czy w ogóle coś może go do tego zmusić.

— Czy to ty zaniósłś te fotografie do wywołania?

Jeanette potrząsnęła przecząco głową.

— Nie. Dlaczego niby miałabym to zrobić i nie zostawić w zakładzie fotograficznym swojego nazwiska i adresu? Użyj szarych komórek, człowieku, to z pewnością zgadniesz, kto je tam zaniósł. — Jej głos nie pozostawiał złudzeń — uważała, że jedno z nich jest idiotą i z pewnością nie jest to ona. — Niech pan posłucha, już wcześniej powiedziałam, że zrobiłam te zdjęcia dla żartu. Przebrałam ją i pstryknęłam kilka fotek, wielka mi sprawa. Prawo chyba tego nie zabrania, co?

Rozparła się w krzesło, a Baxter jeszcze raz uważnie się jej przyjrzał. Od krótkiej czarnej spódniczki, po bluzeczkę do talii, w każdym calu była dziewczyną faceta, który nigdy nie będzie miał zamiaru splamić się jakąkolwiek pracą. Włosy miała wysmarowane jakimś lśniącym żelem, nadającym im wygląd, jakby wymagały natychmiastowego mycia. Na drobnych, chudych nóżkach miała zacięcia po goleniu, a ciężkie buty wyglądały na jej stopach jak saboty.

Na twarzy miała gruby makijaż. Naturalny kolor policzków

był wzmocniony na różowo. Powierzchnia wokół oczu przykryta była jaskrawymi kolorami. Jasnoróżowa szminka podkreślała kształt ust i nadawała wygląd dziewczyny, która już pozjadała wszystkie rozumy. Podobny makijaż miała na fotografiach jej siostra, Kira Brewer.

Baxter patrzył na Jeanette niemal z desperacją. Wiedział, że jeżeli nawet jeszcze nie zaczęła pracować w rodzinnym zawodzie, wkrótce i tak to nastąpi. Wielokrotnie już się z tym spotykał: dziewczęta wychodziły na ulice za przykładem matek. To działało niemal jak powołanie.

— Przyznajesz się więc, że zrobiłaś siostrze te fotografie?

Pokiwała głową.

— Oczywiście, że tak. A co tu jest do przyznawania się? Już mówiłam, chyba żadne prawo nie zabrania robienia zdjęć, prawda?

— Takich zdjęć, owszem, zabrania.

Wskazał na fotografię, uderzając w nie palcem jak sztyletem.

Jeanette uniosła oczy do sufitu.

— Widzi więc pan w nich coś złego. I to pan w ten sposób przypisuje im coś, czego absolutnie w nich nie ma. Zrobiłam te zdjęcia, żeby sprawić Kirze radość. Ona lubiła się stroić, lubiła makijaż i szeleszczące ciuchy. Wszystkie małe dziewczynki to lubią. A teraz, czy mogę już iść?

— Gdzie znajdował się ten film, kiedy go widziałaś ostatni raz?

Jeanette zastanawiała się przez chwilę.

— W sypialni, w sypialni Kiry. To ona musiała zabrać ten film do zakładu, nikt inny nie miał do niego dostępu. Mogę już iść?

Zbywała Baxtera byle czym, a on zdawał sobie z tego sprawę. Arogancja dziewczyny nie znała granic. Czasami odnosił wrażenie, że tkwi w tutejszych ludziach od urodzenia i że jej zapasy bezustannie się uzupełniają z każdym wypitym litrem wody, która płynie z kranów w ich domach.

Musiał ją jednak puścić. Niczego na nią nie miał, o nic jej nie mógł oskarżyć.

Tommy otworzył drzwi Jon Jonowi i Earlowi.

Uśmiech na jego twarzy ustąpił miejsca przerażeniu, kiedy Jon Jon złapał go za kołnierz, trzasnął Tommym o ścianę, a następnie zataszczył do salonu. Pchnął go na podłogę.

— Wiesz, dlaczego tutaj jesteśmy, prawda?

Tommy nie odpowiadał. Sponiewierany przez Jon Jona, ciężko oddychał, jednak jego oczy świadczyły, że wie doskonale.

— Co zrobiłeś mojej siostrze, ty pierdolony zboczeńcu?

Jon Jon mówił dość cicho, nie krzyczał, w jego głosie nie było agresji, a jedynie obrzydzenie. Kopnął Tommy'ego kilka razy, czując na bucie miękkość jego tłustego ciała. Dopiero to wrażenie rozwścieczyło go na dobre. Był przekonany, że ten bezużyteczny drań w ogóle nie czuje żadnego bólu i śmieje mu się w żywe oczy.

— Myślałeś, że się z tego wywiniesz, razem z twoim pierdolonym ojczulkiem, co? Wiem wszystko o Caitlin, widziałem się z jej babcią. Opowiedziała mi o tobie.

Usłyszawszy imię dziewczynki, Tommy zbladł.

— To nie była prawda, Jon Jon, przysięgam! Ta dziewczynka to kłamczucha. Nigdy nawet jej nie dotknąłem.

Tommy był przerażony i było to po nim widać.

Jon Jon z trudem poderwał go z ziemi i splunął mu w twarz. Natychmiast rzucił go z powrotem na podłogę.

— Zabiję cię, jeśli nie powiesz mi całej prawdy, słyszysz?

— Zrób to, Jon Jon — powiedział cicho Earl obserwujący całą tę scenę. — Zadźgaj go. Kurwa, zabij go od razu.

Jon Jon odwrócił nieznacznie głowę, słuchając przyjaciela. Nagle zobaczył, że Tommy zemdłał. Zemdłał ze strachu.

— Kiedy się boją, zawsze tak reagują — skomentował Earl spokojnie. Nie pierwszy raz znajdował się w takiej sytuacji.

Jon Jon wyszedł do kuchni. Ujrawszy czajnik z parującą wodą, znów włączył pod nim gaz. Kiedy woda jeszcze raz się zagotowała, wrócił z czajnikiem do salonu i wylał Tommy'emu całą jego zawartość na brzuch i pomiędzy nogi.

Tommy miał na sobie wełniane spodnie i cienką koszulę, dlatego wrzątek natychmiast dotarł do jego skóry. Otworzył szeroko oczy, a z jego ust wydobył się dziki okrzyk bólu.

— Teraz mów wszystko, co chcę wiedzieć. — Jon Jon podał czajnik Earlowi. — Zagotuj, kurwa, jeszcze więcej wody. Mam zamiar ugotować tego zasańca.

Z powodu bólu oczy Tommy'ego zasły mgłą.

— Proszę, Jon Jon. Błagam cię...

— Boli, co, ty tłusty zboczeńcu? Co z nią zrobiłeś? Czy błagała cię, żebyś przestał sprawiać jej ból? Błagała?

Tommy potrząsnął przecząco głową. Strach sparaliżował go tak mocno, że nie był w stanie mówić.

— Ona nie żyje, prawda? — Jon Jon uderzył go pięścią w głowę. — Gdzie jest moja siostra? Powiedz mi, gdzie ona jest?

Tommy rozplakał się. Na jego twarzy pojawiły się grube krople potu i łzy.

— Ja nie wiem, przysięgam... Zapytaj mojego ojca... To on, nie ja... — Ból tak nim zawładnął, że nie zastanawiał się już nad tym, co mówi. — To on lubił małe dziewczynki, nie ja. Nie tak jak on. Nie ja...

Charczał z bólu i zdenerwowania, jednak wciąż starał się przekonać Jon Jona.

— Gdzie jest moja siostra? Co z nią zrobiłeś?

Tommy już niemal bredził.

— Ja nic nie wiem. Przysięgam na grób mojej matki.

Płakał, głośno i rozpaczliwie szlochał, przez co jego słowa była niemal niezrozumiałe. Jon Jon patrzył na niego beznamiętnie.

— Ona była taka słodka. Taka słodka, moja Kira...

Nieziemski skowyt Tommy'ego osiągnął crescendo.

— Kochałem ją... kochałem. Nigdy nie chciałem, żeby się stało coś złego.

Kiedy słowa chłopaka przeniknęły do mózgu Jon Jona, zaczął go dziko kopać. Nie myślał już, co robi. Kopał, dopóki się nie zmęczył.

— Kochałeś ją, co? — Jon Jon dyszał z wysiłku. — Zabiję cię, ty piździelcu. Ciebie i twojego ojca.

Ale było już za późno, żeby cokolwiek mówić do Tommy'ego. Tommy niczego nie słyszał.

Przed wyjściem Jon Jon wylał mu na twarz czajnik zagotowanej ponownie wody. Zanim opuścił mieszkanie, jeszcze raz na niego splunął.

Pojechali prosto do domu przyjaciółki jego ojca. Obaj z Earlem głośno przeklinali zabójców dzieci. Jon Jon ładował śrutówkę i płakał, ponieważ teraz był już pewien, że Kira nie żyje. Z żalu po siostrze ogarnęła go niemal histeria. Można było odnieść wrażenie, że potok łez, które zaczął wylewać, nie będzie miał dna.

Wyobrażał ją sobie, wyobrażał sobie jej przerażenie, ból, jakiego zaznała przed śmiercią. Wszystko to niczym film toczyło się przed jego oczyma.

A on gościł zdrajcę we własnym domu.

Jon Jon czuł, że to, co się stało, jest jego wyłączną winą.

Nie przyszło mu do głowy, żeby zatelefonować po policję. To była sprawa osobista, sam da sobie z nią radę.

Sąsiadka Tommy'ego, pani Carling, odczekała, aż napastnicy sobie pójdą i dopiero wtedy zawołała policję. A i tak jej telefon był anonimowy. Nawet jej do głowy nie przyszło, żeby zadzierać z Jon Jonem Brewerem, gdy był na wojennej ścieżce. Podjęła to postanowienie już w sobotę i tego się trzymała.

Della i Joseph przebywali w domu Patricii. Wracając, zatrzymali się w Upminster i wstąpili na lunch. Della sprawiała wrażenie szczęśliwszej niż kiedykolwiek. Joseph przekonał ją, że jego kłótnia z Małym Tommym była zwyczajną sprzeczką rodzinną. Jego syn był najwyraźniej zazdrosny, że ojciec się wyprowadził, chociaż — co podkreślała Della — należało mu oddać, że dotąd zazdrość nie odbierała mu zdrowego rozsądku. W gruncie rzeczy zdawał się nawet zadowolony, że ojciec zamieszkał gdzieś indziej.

Teraz, po niespodziewanym zaginięciu Kiry Brewer, Della martwiła się, że w jakimś stopniu wpłynie to na ich życie. Policja była już w u nich w domu i przesłuchiwała Josepha. Chociaż Della wiedziała, że to w zasadzie jedynie formalność, że każdy, kto znał dziecko, będzie przesłuchiwany, niepokoiła się. Wciąż mówiła o małej Kirze, a Josepha powoli zaczynało to denerwować. To co się wydarzyło, było jednak tak straszliwe, że przecież należało o tym rozmawiać. Tak przynajmniej uważała Della.

— Uważasz, że Kira знаła swojego oprawcę?

Joseph upił łyk piwa, ale nie odpowiedział. Nie zamierzał o tym rozmawiać nawet w gościnie u córki Delli, a przecież Patricia interesowała się zniknięciem Kiry jak każdy inny. Mogła mieć wiadomości niemal z pierwszej ręki, tymczasem musiała się zadowolić informacjami z telewizora, bo Joseph siedział jak struty i milczał na ten temat. A przecież jego syn znał zaginioną dziewczynkę jak mało kto. Był jej opiekunem, niemal niańką, na miłość boską. Mimo to z Josepha nie można było wyciągnąć ani słowa.

Zamiast zaspokajać ciekawość Patricii, zabrał wnuczki Delli do parku i pozostawił kobiety, żeby same sobie porozmawiały. Teraz siedział przy kuflu piwa i sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie wiedział, że wydarzyło się coś nadzwyczajnego.

Zachowywał się co najmniej dziwnie.

— Odpowiedz na moje pytanie, Joe?

Potrząsnął przecząco głową.

— Nie chcę wciąż o tym rozmawiać. Nawet myślenie o zniknięciu tej dziewczynki przyprawia mnie o dreszcze.

Zabrzmiało szczerze, jednak Delli nie wystarczyło. Tak jak jej zmarły mąż, Joseph musiał się w końcu dowiedzieć, jaka potrafi być jego nowa dziewczyna, kiedy się na coś uprze.

— Można by pomyśleć, że masz coś do ukrycia.

Ręka z kuflem zastygła w połowie drogi do ust i Joseph wbił w Dellę ostre spojrzenie.

— Co to miało znaczyć?

Della wzruszyła nonszalancko ramionami, po czym powiedziała z sarkazmem w głosie:

— Cokolwiek chciałbyś sobie wyobrazić. Każdy człowiek, każda normalna osoba interesowałaby się tym wszystkim. Tylko nie ty.

Joseph parsknął szyderczo.

— A więc dlatego, że nie jestem plotkarzem, budzę w twoich oczach podejrzenie?

Starał się, żeby jego głos brzmiał w miarę przyjaźnie, ale z każdą sekundą coraz trudniej było mu zachować spokój. Miał wielką ochotę trzasnąć Dellę w tłusty policzek, zerwać jej z twarzy minę wielkiego zadowolenia z siebie.

Della znów wzruszyła ramionami.

— Odbierz to, jak chcesz.

Prowadziła prosto do kłótni, do cholernej, gwałtownej kłótni. Zamierzała dać mu jasno do zrozumienia, kto jest kim w tym związku.

Joseph upił duży łyk piwa.

— Wyświadczyć mi przysługę, Dello, dobrze? — jego głos był przyjazny i spokojny.

Pokiwiała głową.

— Zamknij, kurwa, jadaczkę.

Zrobiła taką minę, że Joseph uznał, iż ostatnie słowa warto było wypowiedzieć chociażby po to, żeby zobaczyć jej bezgraniczne osłupienie.

— Jak śmiesz?!

Powiedziała to niskim, przyciszonym głosem. W końcu byli w pubie, a Della nie zamierzała urządzać przedstawienia dla ludzi.

— Wiesz co? Chodźmy stąd. Nie zamierzam kłócić się tutaj.

Powiedział to, jakby chciał ją zapewnić, że będzie bardzo chętny do kłótni w zaciszu samochodu. To było dla Delli coś nowego. Do tej pory całkowicie nad nim panowała.

W samochodzie natychmiast zaczęła sprzeczkę w punkcie, w którym ją przerwali. Joseph nie zdążył nawet wycofać auta ze stanowiska parkingowego.

— Nie mogę niczego ci zarzucić z całą pewnością, ale coś mi się jednak nie podoba...

Nie odpowiedział, ponieważ wjeżdżał akurat na wąską wiejską drogę. Kiedy wreszcie samochód się na niej znalazł, odezwał się:

— Czy tak musi być, Dello? Czy ty dobrze się czujesz tylko wtedy, kiedy wiesz wszystko o wszystkich, do ostatniego szczegółu? Chyba źle ci się z tym żyje, ponieważ trudno o perfekcję w tej dziedzinie. Prędzej czy później trafisz pod opiekę psychiatrów.

Takiego Josepha nigdy nie słyszała i nie była pewna, jak zareagować. Milczała, więc on mówił dalej:

— Właściwie z jakiego powodu zmarł twój mąż, powtórz mi, bo zapomniałem. Chyba dlatego, że go zanudziłaś i zagałdałaś na śmierć. Przecież ty nigdy nie zamykasz jadaczki, czy to w południe, czy w nocy.

Trafił celnie.

— Jak śmiesz, Josephie Thompsonie...

Uniósł rękę, żeby ją uciszyć. I stał się cud, bo osiągnął cel.

— Śmiem, kurwa, śmiem, bo przecież inaczej nie dałabyś mi spokoju, prawda? Czy ty wiesz, przez co przechodzę? Znałem to dziecko, znałem bardzo dobrze. Bywała w moim domu, ze mną i z moim synem. Lubiłem ją.

Nagle głos Josepha stał się zupełnie spokojny i Della zaczęła się zastanawiać, czy dobrze zrobiła, rozpoczynając awanturę. Bo była mu skłonna uwierzyć.

— Posłuchaj, Joe...

— Och, nie, nie, daj spokój, Dello. Zamknij się po prostu. Ja już cię nie mogę słuchać. Mam cię w dupie. — Wiedział, że w ten sposób przebrał miarkę, ale ani trochę się tym nie zmartwił. — To by było na tyle, dziewczyno. Wracam do domu, do siebie i do mojego biednego syna.

Zadzwoił telefon Delli, dzięki czemu nie musiała odpowiadać. Przez chwilę słuchała uważnie, a Joseph dostrzegł, że na jej twarzy pojawia się szok i przerażenie.

— O mój Boże! — niemal pisnęła.

— Co się stało, Dello?

— Ktoś napadł na Małego Tommy'ego w mieszkaniu. Jest w szpitalu, Joe. Wygląda na to, że w bardzo złym stanie.

Joseph zwolnił, wprawiając we wściekłość kierowcę samochodu jadącego za nim.

— Kto to zrobił?

Zatrzymał wóz na poboczu, pozwalając innym kierowcom minąć go. Przez kilka minut siedział za kierownicą w milczeniu i bez ruchu. Wreszcie, pochyliwszy się nad Della, otworzył drzwiczki po jej stronie.

— Wsiadaj.

— Co?

— Słyszałaś, Dello. Wsiadaj z samochodu.

W jego głosie zabrzmiało coś takiego, co nakazało jej opanować własną złość i go posłuchać. Bez słowa wysiadła. Joseph zaraz odjechał, pozostawiając ją zdaną tylko na własne siły.

Della wyciągnęła komórkę i wybrawszy numer, zaczęła szlochać do słuchawki. Z jej bełkotu Patricia nie zdołała zrozumieć, o co, do diabła, chodzi.

Baxter zastanawiał się, czy może nie powinien przejść na wcześniejszą emeryturę. Ostatni napad na Małego Tommy'ego znów wywołał powszechne oburzenie ludzi, a prasa była w swoim żywiole. Co gorsza, wszyscy wiedzieli, kto był sprawcą, a tymczasem Jon Jon Brewer miał za sobą cały pub świadków, którzy właśnie w nim widzieli go wtedy, kiedy miał miejsce napad.

Baxter zainteresował się plotkami, że Tommy'ego kiedyś oskarżono o molestowanie dziecka. Kazał sprawdzić całą krajową kartotekę, jednak Tommy'ego w niej nie znalazł. Prześwietlono chłopaka na wszystkie strony, lecz bez skutku: Tommy Thompson był szarym obywatelem, pod żadnym względem nie rzucającym się nikomu w oczy. Plotka jednak pozostawała plotką, chłopak walczył teraz ze śmiercią na oddziale oparzeń Billericay Hospital, a Baxter miał kolejny problem na głowie.

Poza tym Joseph Thompson niespodziewanie zniknął. Czy

dlatego, że miał coś na sumieniu, a może bał się, że spotka go to samo co syna? Żeby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba go było najpierw znaleźć.

Tymczasem Jon Jon niespodziewanie stał się bohaterem całej okolicy. Tym mocniej więc Joseph pragnął go przyskrzynić.

Joanie nie chciała wierzyć w to, co opowiadał jej własny syn. Nie chciała wierzyć, że sama wpuściła do domu łotra, który dopełnił losu Kiry.

— Posłuchaj mnie, mamó, to pierdolony zboczeniec. On i jego ojciec. Już wcześniej ich oskarżono o molestowanie dziecka, jednak uniknęli oskarżenia, bo dali matce jakąś większą sumę pieniędzy, żeby jej zamknąć jadaczkę. Mąż tej kobiety, okrutny skurwysyn, siedział akurat w więzieniu, wzięła więc pieniądze i wyjechała w córkami w nieznane. Wciąż szukam dziwki, a kiedy ją znajdę, już jej uświadomię, jaki popełniła błąd. Teraz jednak najważniejsze jest to, że jeden z tych Thompsonów wie, gdzie znajduje się Kira, gdzie jest jej... — Urwał, żeby nie wypowiedzieć słowa „grób”, lecz Joanie odgadła bezbłędnie, co ma na myśli.

Zabawne, ale nie potrafiła już płakać. Można było odnieść wrażenie, że wypłakała wszystkie łzy.

Nalała sobie wódki do szklanki i wypła jednym haustem. Następnie wzięła butelkę, weszła do swojej sypialni i zatrzasnęła drzwi.

— To ci, kurwa, nie pomoże, mamó!

Jon Jon płakał.

Joanie otworzyła drzwi, popatrzyła na syna i wreszcie powiedziała smutnym głosem:

— A masz jakiś lepszy pomysł?

Poddała się już i Jon Jon to widział. Rozejrzał się po mieszkaniu. Wszystkie jej ubrania i ulubione przedmioty powyrzucane były z szaf na podłogę. Przeglądała je, zanim Jon Jon wrócił do domu. Przypominała sobie szczęśliwe chwile z dziećmi oraz te wyszu-

kane przyjęcia dla sławnych ludzi, które wymyślała, a o których dzieci tak lubiły słuchać. Powróciła teraz do tych fantazji, żeby choć trochę poprawić sobie nastrój. Tylko tyle jej zostało. Nagle zrozumiała i z bólem zaakceptowała ponurą myśl, że kobieta może mieć trójkę dzieci i za sobą długie życie, a na koniec pozostaną jej i tak tylko wspomnienia, warte marnych kilkaset funtów.

Uklękała na podłodze i podniosła z niej srebrny nóż do tortów. Przycisnąwszy go do piersi, rozplakała się jak dziecko.

Mały Tommy Thompson znajdował się w stanie krytycznym. Był ciężko poparzony i bezlitośnie pobity. Wszyscy dookoła już wiedzieli, że jest zbrojcem seksualnym i nawet pielęgniarki, które wcześniej okazywały mu wielkie współczucie, teraz — kiedy musiały go dotykać — z trudem oddalały od siebie stając im przed oczami wizerunek Kiry Brewer.

Twarz dziewczynki pamiętał każdy.

Kiedy patrzyły na człowieka, którego powszechnie uważano za sprawcę jej zniknięcia, nie mogły powstrzymać się od pytań, czy przypadkiem nie kurują mordercy. Musiały jednak wykonywać swój zawód.

Policjant, który siedział przy jego łóżku, spoglądał na rzecz inaczej. Jeśli chodziło o niego, Jon Jon Brewer i jego kumple mogli w każdej chwili przyjść do szpitala i dokończyć rozpoczęte dzieło. On by w tym czasie chętnie patrzył w drugą stronę. Dla niego ta tłusta karykatura człowieka, leżąca na łóżku, mogła umrzeć w najstraszliwszej agonii. Nie miałby nic przeciwko temu.

Z krążących plotek wynikało jednoznacznie, że albo Mały Tommy, albo jego ojciec, albo po prostu obaj byli winni tragedii Kiry Brewer.

Gazety prześcigały się w rozważaniach, dlaczego policja popełniła tak straszny błąd, nie odnosząc się do pogłosek o pedofilskich skłonnościach Thompsonów, o których szeptali przecież

sąsiedzi. Joseph Thompson zdążył już zniknąć, wzmacniając przekonanie ludzi, że cała ta rodzina jest co najmniej podejrzana.

Dla straszliwie okaleczonego Małego Tommy'ego jedynym ratunkiem pozostawała na razie morfina. Jeśli wygrałby walkę o życie, mógł się spodziewać tylko przenosin ze szpitala do więzienia i wyroku skazującego na dożywocie.

Oczywiście, należało wątpić, czy inni skazani pozwoliliby mu odsiedzieć chociaż kilka lat z tego wyroku.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Baxter już po raz nie wiadomo który czytał po kolei wszystkie raporty. Westchnął ciężko. Nienawidził tej sprawy. Interesowały się nią gazety, a jemu samemu bez przerwy patrzono na ręce.

Pierdolony Jon Jon Brewer.

Do diabła z nim, kurwa.

Był teraz narodowym bohaterem. Wszyscy wiedzieli, że to on pobił Thompsona, ale nikt nie potrafił tego udowodnić. Baxter miał bardzo ograniczone możliwości manewru. Gdyby go mimo wszystko oskarżył, opinia publiczna by się wściekła. Fotografie słodkiej twarzyczki Kiry, wyeksponowane w wielu oknach, nie pozostawały co do tego złudzeń.

Baxter najchętniej poszedłby teraz do domu, położył się do łóżka i już nigdy się nie obudził.

Miał wrażenie, że Joanie Brewer czuje się tak samo, ale z zupełnie innych przyczyn.

Monika była w swoim żywiole. Jej złośliwe oskarżenia okazały się prawdziwe. Jon Jon ujął więc prawo w swoje ręce i potraktował tego grubego drania dokładnie tak, jak na to zasłużył.

Siedziała w kuchni i popijała kawę. W pewnej chwili usłyszała pukanie do drzwi.

— Bethany, otwórz.

Nie musiała już się obawiać sąsiadów. Jon Jon udowodnił, że miała rację. Teraz uważała się niemal za bohaterkę. Samozadowolenie Moniki nie miało granic.

Bethany zobaczyła w lufciku gościa stojącego przed drzwia-

mi i natychmiast naszła ją ochota, żeby uciec z mieszkania. Nie potrafiła spojrzeć w twarz tej kobiecie.

— Mamo, to Joanie Brewer.

Monika poczuła, że filiżanka wysuwa się jej z dłoni. Ale nic to, Joanie pewnie przyszła ją przeprosić, przyjmie więc przeprosiny z łaskawą miną. W końcu były przyjaciółkami przez wiele lat, a przyjaciółce — nawet Joanie — wybacza się błędy.

— Otwórz więc drzwi, bo przez zamknięte z pewnością nie wejdzie do środka.

Zwykle taka uwaga wywołałaby wesołość u Bethany, jednak od zniknięcia Kiry dziecko było w głębokiej depresji. W przeciwieństwie do Moniki, Bethany zareagowała na tę sprawę bardzo źle. Niemal tak, jakby dotknęło to ją osobiście. Teraz dzień i noc siedziała jak przyklejona do telewizora, oglądając Sky News. A przecież wiadomo, jakie to jest niezdrowe.

Bethany wpuściła Joanie do środka i od razu posmutniała, widząc, w jakim jest stanie. Gwałtownie się postarzała, wyglądała teraz naprawdę bardzo marnie. Niezadbana, brudna, była cieniem samej siebie sprzed zaledwie kilku dni.

— Cześć, Joanie, kochana. Wszystko w porządku?

Głos Moniki był pełen przyjaźni. Tak jakby pomiędzy oboma kobietami nie wydarzyło się absolutnie nic niemiłego. Jakby nigdy nie zdradziła swojej najlepszej i w gruncie rzeczy jedynej przyjaciółki.

Joanie pokiwała głową, niemal niedostrzegalnie.

— Napijesz się herbaty?

Joanie bardzo powoli potrząsnęła przecząco głową.

— Masz coś mocnego?

Jej głos brzmiał martwo, grobowo, jakby go nie używała od wielu miesięcy. Monika naląła jej dużą porcję bacardi i dołąła odrobinę coli.

— Proszę cię bardzo, dziewczyno, poczęstuj się.

Joanie wypiła duży łyk, po czym przysiadła na skraju kanapy.

— Joanie, jak ty strasznie wychudłaś! — zawołała Monika. Lecz kobieta tylko popatrzyła obojętnym spojrzeniem.

— Ale doskonale ci z tym do twarzy, wyglądasz dziesięć lat młodziej.

Joanie przerwała jej idiotyczną paplaninę. Jedyne Monika potrafiła w takich chwilach bredzić na temat wagi i wyglądu. Za chwilę zaczęłaby pytać, czy nie ma przypadkiem za dużej pupy.

— Kłamałaś, kiedy powiedziałaś to wszystko o Tommym?

Tego się zupełnie nie spodziewała. Zaskoczenie na jej twarzy nie pozostawiało wątpliwości.

— O co ci chodzi? — Jej słowa zabrzmiały, jakby miała zamiar się obrazić.

— Chcę wiedzieć, czy wymyśliłaś sobie tę opowieść, że Tommy jest zboczeńcem? — Wzrok Joanie stał się nagle twardy, ostry i Monika zdała sobie sprawę, że będzie musiała bardzo uważać na każde słowo. — Chcę, żebyś mi powiedziała prawdę — dodała Joanie.

Monika przybrała minę śmiertelnie obrażonej osoby.

— Nic sobie nie wymyśliłam. A jeśli nawet trochę coś ubarwiłam, to wciąż mówiłam prawdę, jasne?

Przyjęła postawę osoby, której dumę całkowicie bezpodstawnie zraniono.

— Czy ty wiesz, co zrobiłaś, Moniko? Zdajesz sobie sprawę, do czego doprowadziłaś?

Monice absolutnie nie podobał się kierunek, w którym zmierziała ta rozmowa.

— Gliny połączyły z tym mojego chłopaka i już mu nie odpuszczą, choćby nie wiem co. — Joanie opróżniła szklankę. — Wiesz, jaką mają o nim opinię, a dzięki tobie zdobyli już doskonały pretekst, żeby go wreszcie zamknąć. — Niemal płakała.

Kiedy przyszli do Jon Jona i kazali mu iść z nimi na komisariat, serce Joanie niemal przestało bić ze strachu. Była przekonana, że go więcej nie zobaczy. Baxter już dawno się na niego zawziął i wydawało się, że wreszcie go dopadł. Szczęście Jon Jona nie mogło przecież trwać wiecznie.

Zniknięcie Kiry zapoczątkowało całkowity rozpad jej rodziny. Wyciągnęła palec wskazujący w kierunku byłej przyjaciółki.

— Pogodziłam się z gazetowymi opowieściami o tym, jak razem stałyśmy na ulicy, w końcu były prawdziwe. Ale tego z Tommym ci nie wybaczę. Jeśli z tego powodu odbiorą mi chłopaka, nie będę miała już nikogo, a wtedy zabiorę się za ciebie. Rozumiesz, co mówię? Jeśli ja nie będę miała w domu Jon Jona, ty będziesz miała wojnę.

Monika doskonale rozumiała. Oto miała przed sobą dawną Joanie, kobietę, której każdy wolał unikać, jeżeli tylko nadepnął jej na odcisk. Joanie, zdolną do wszystkiego w obronie przyjaciółki, dziecka czy też siebie samej. Monika musiała wybić jej z głowy myśl o tym, że kłamała, i to szybko.

— Ale to naprawdę jest sprawka Tommy'ego, wszyscy wiedzą. Joanie wznów wzruszyła ramionami.

— Kto niby wie? Bo ja za nic w świecie nie uwierzyłabym w ani jedno słowo Lorny albo jej kuzynki. Tobie też nie wierzę. Wszystkie jesteście pieprzonymi kłamczuchami. — Wbiła w nią wzrok. — Gadasz bzdury, Moniko. Przez cały czas kłamiesz, a teraz na dodatek pogrążyłaś mojego chłopaka, który dał się nabrać na twoje kłamstwa. Mogą go zamknąć na długie lata. Jeśli tak się stanie, jedynym moim celem w życiu będzie sprawienie ci cierpienia. Będziesz, kurwa, cierpieć, jak sobie nawet nie wyobrażasz. — Wstała. — Straciłam jedno dziecko, Moniko, a jeśli stracę drugie...

Pozostawiła zdanie niedokończone.

— Nie stracisz go, Joanie. Jon Jon jest bohaterem. Nikt nie ośmieli się go teraz przyskrzynić. Oddał glinom przysługę. Oni nienawidzą zbrojców tak samo jak my.

Joanie westchnęła.

— Miałyśmy do czynienia ze zbrojcami przez całe życie na ulicy, byłyśmy tylko zbyt głupie, żeby to dostrzec. Pomyśl o tych wszystkich młodych dziewczynach, które pojawiały się między nami i pewnego dnia znikaly. Nie byłyśmy w niczym lepsze od naszych alfonsów, ponieważ — przede wszystkim — nie powinnyśmy nigdy zaczynać pracy jako uliczne kurwy. Seks kryje się za wszystkim, co kiedykolwiek się wydarzyło w tym

kraju. Ja i ty byliśmy jedynie cząsteczkami tego dna, kiedy przychodziło za wszystko płacić.

W tym, co powiedziała Joanie, Monika nie widziała żadnej logiki. To rozpacz sprawiała, że Joanie uważała się za winną czegoś, nad czym nie miała najmniejszej kontroli. Była już stracona dla świata, na dobre i na zawsze.

— To nie ma nic wspólnego z nami ani z tym, co robimy, moja droga. — Monika na swój sposób starała się uspokoić przyjaciółkę, odwieść ją od poglądu, że świat jest nieodwracalnie zły.

— Nie? To dlaczego bezustannie dotykają nas te nieszczęścia? Przecież wszystkie dziewczyny, które pracują na ulicy, są nieszczęśliwe. Co rusz obserwujemy jeden dramat za drugim. Pomyśl tylko, Moniko, chociaż raz w życiu użyj mózgu.

— Joanie, gdybyś tylko siebie słyszała...

— Przestań pierdolić. Przestań też udawać, że jesteś moją koleżanką. Nie zastanawiałabyś się nad ludzkim nieszczęściem, nawet gdyby jakieś spadło z drzewa i uderzyło cię w głowę. Zajmij się wreszcie swoją rodziną. Zaopiekuj się tą małą dziewczynką, nieszczęśliwą i z nadwagą, twoją Bethany. Bo na razie rozwija się na twoje podobieństwo i skończy tak jak ty, Boże, nie dopuść do tego. Jesteś pieprzoną szmatą, Moniko, szmatą. Nie jesteś warta porządnego kapucyna i doskonale to wiesz. Pamiętaj tylko, dziewczyno, uważaj teraz na siebie i to dobrze uważaj.

Z tymi słowami na ustach Joanie wyszła, a Bethany patrzyła tępo na matkę, która rozplakała się, dotknięta do żywego niesprawiedliwymi słowami swojej tak zwanej przyjaciółki.

Bethany miała własne zdanie o Joanie, jednak wciąż zżerało ją nie mające granic poczucie winy.

Przecież okłamała policję, okłamała wszystkich.

Lecz w końcu kto się nią interesował? Z pewnością nie matka, która przecież łatwo mogłaby odgadnąć, że coś jest z nią nie w porządku. Joanie od razu by się zorientowała, gdyby Kira chciała ukrywać przed nią jakiś sekret.

Poszła do sypialni i nalała do szklanki coli i bacardi z własnej butelki. Co rano podkradała trochę z zapasów matki, a Monika

zakładała zawsze, że to ona sama wypita poprzedniego wieczoru. Alkohol sprawiał, że dziewczynka czuła ciepło w brzuchu, a poza tym było jej bardzo fajnie. Dzięki niemu chociaż trochę zapomniała o swojej samotności i poczuciu winy.

Kiedy wyszła z sypialni, matki już nie było. Poszła gdzieś sobie, nie troszcząc się nawet, żeby powiedzieć córce „do widzenia”.

Pani Carling była w rozterce.

Widziała Kirę Brewer przy sklepach w sobotę, w którą dziewczynka zniknęła, ale do tej pory nie podzieliła się tym z nikim. Widziała ją z tą bezczelną gówniarą, Bethany, ale jako kobieta, która nie lubi się wtrącać w cudze sprawy, postanowiła zachować informację dla siebie.

Zakładając, że dziecko w końcu się znajdzie, uznała, że najlepiej będzie trzymać się od całej sprawy z daleka. Głównie dlatego, że dotyczyła Brewerów. Nie życzyła sobie, żeby którekolwiek z nich stanęło kiedyś na progu jej mieszkania. Dla podtrzymania postanowienia wystarczyła jej sama myśl o tym, co stało się z Tommym. Chociaż, co prawda, bynajmniej nie uważała Joanie za złą osobę. W końcu Joanie starała się żyć jak najlepiej, a nie było to łatwe z ciężarem, który Bóg złożył na jej ramionach. Jej pranie zawsze było bielutkie, a pani Carling osądzała ludzi właśnie po tym, jak wyglądało ich pranie. I po tym, jak utrzymywali czystość na klatce schodowej przed drzwiami do mieszkania.

Teraz jednak wszystko zaczynało wskazywać, że dziecko zaginęło na dobre i panią Carling zaczynały dręczyć wyrzuty sumienia. Biedny Tommy przebywał w szpitalu i walczył o życie. Ale ona przecież nie mogła iść na policję, prawda? Już nie teraz. Poza tym Tommy i jego ojciec nie bez powodu byli podejrzewani o porwanie dziewczynki. Cokolwiek by teraz powiedziała albo zrobiła, z pewnością nie zmieniłoby ich sytuacji. Poza tym wcale nie była stuprocentowo pewna, że widziała, jak te dziewczynki wsiadają do samochodu...

Zachowała więc swoją wiedzę dla siebie, przekonana, że postępuje właściwie. Tommy i jego ojciec zostaną oskarżeni i to będzie koniec całej sprawy. Co dobrego by się stało, gdyby wplątała się w to wszystko, wywołując jedynie fałszywy alarm?

Przygotowała sobie kolejną filiżankę herbaty. Postanowiła, że dziś wieczorem pójdzie na bingo. Chociażby po to, by zapomnieć o dręczących ją wątpliwościach.

Siedząc naprzeciwko Baxtera, Jon Jon wyglądał strasznie. Sprawiał wrażenie kogoś, kto dusi w sobie sekret i nie zamierza się z nikim tym podzielić.

— Przez cały dzień byłem w Ship and Shovel, panie Baxter, przecież pan wie. Trzydziestu ludzi już to panu powiedziało. Czego pan jeszcze chce? Zeznania jakiegoś sędziego? Czy wtedy będzie pan miał już dość? Tyle że do Ship and Shovel nie chodzi wielu sędziów, ha, ha!

Jon Jon roześmiał się, a Baxter poczuł nagłą ochotę, żeby zerwać chłopakowi ten uśmiech z twarzy raz na zawsze.

— Jak ci poszło z Tommym?

Jon Jon wzruszył ramionami, jednak z coraz większym trudem zachowywał pozory niewinności.

— Panie inspektorze, ja przecież nie miałem najmniejszego pojęcia, że on jest zbrojcem.

— A kto ci powiedział, że jest zbrojcem? Dokładnie go sprawdziliśmy i niczego nie znaleźliśmy.

Jon Jon uśmiechnął się.

— Z całym szacunkiem, panie Baxter, wy nie znaleźlibyście nawet wielkiego meteorytu, gdyby spadł na sam środek Roman Road Market.

— Posłuchaj mnie, Jon Jon...

Chłopak potrząsnął z oburzeniem głową. Jego dredy rozbiegły się przy tym na wszystkie możliwe strony.

— Nie, to ty mnie, kurwa, posłuchaj. Moja siostra leży gdzieś prawdopodobnie nieżywa, a ty pozwalasz sobie wypytywać mnie

o napad na jakiegoś pierdolonego zboczeńca! Drwiesz sobie ze mnie, czy co? Marnujesz czas, który powinieneś poświęcić na szukanie jej, nie uważasz? Ale ona ciebie przecież gównem obchodzi, prawda? Nazywa się Brewer, a kogo, kurwa, obchodzą Brewerowie? Przecież to szumowiny, najgorsze męty. — Przetarł dłonią twarz, która zaczęła mu błyszczeć od potu. — Gazety wprost się rzuciły na naszą historię, jednak my w ogóle z nimi nie rozmawiamy. Dziennikarze to pierdolone ścierwa. Ale odezwę się, jeżeli się w końcu ode mnie nie odpierdolisz i nie zaczniesz robić tego, czego oczekują od ciebie podatnicy. A oczekują, że znajdziesz moją siostrzyczkę i dowiesz się, co się z nią stało. Ma jedenaście lat i zniknęła. Przypomnę ci, że każda gazeta i stacja telewizyjna się nią zajmują, a mimo to jakby się zapadła pod ziemię, nikt się nie przyznał, że ją widział. Poza tym, czy przypadkiem zamierzasz w końcu znaleźć Josepha Thompsona, czy nadal masz zamiar czepiać się mojej rodziny?

Baxter westchnął. Znowu przypominał mu o sobie wrzód żołądka. Ból był taki, jakby ktoś co chwilę dźgał go sztyletem. Co gorsza, w głębi serca wiedział, że to, co do niego mówi chłopak, jest prawdą.

— Przecież nie możesz wziąć prawa w swoje ręce, Jon Jon.

— Ja tego nie zrobiłem, do cholery. Ktoś mnie wyręczył. Spójrzmy prawdzie w oczy, panie Baxter. Zawraca mi pan głowę, a prawdziwy przestępca śmieje się teraz z pana w kułak. — Znowu przetarł twarz dłonią. Był mocno wzburzony. — I niech się pan nie ośmiela opowiadać, że biorę prawo w swoje ręce. Przez ostatnie lata wręcz czyhaliście, żeby mnie zapuszkować za byle co i nic wam z tego nie wyszło. Cokolwiek więc się przydarzyło temu grubasowi, wisiało to nad nim nieuchronnie i mam nadzieję, że jego ojca czeka to samo.

Baxter wyprostował się na krześle, długo mierzył Jon Jona wzrokiem, aż wreszcie odezwał się:

— Czy mógłbym ci w pewnej sprawie zaufać, Jon Jon?

Jon Jon nie był pewien, dokąd to pytanie zmierza, dlatego milczał. Baxter wiedział, że to, co teraz robi, jest złe, musiał

jednak powiedzieć chłopakowi, co się dzieje. Jon Jon był przecież inteligentny i na swój sposób uczciwy.

Położył na biurku przed Jon Jonem akta z dokumentami.

— Przyniosę ci filiżankę herbaty — powiedział cicho. — A jeśli ty przejrzysz tę teczkę, kiedy mnie tu nie będzie, nic na to nie będę mógł poradzić, jasne? Nawet nie będę wiedział, że ją przeglądałeś. Przecież nie będzie mnie w pokoju, prawda?

— Dlaczego niby miałbym to przeglądać?

Baxter wzruszył ramionami.

— Może z ciekawości? — podsunął.

— Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, prawda?

— Dasz sobie radę nawet w piekle, Jon Jon.

Baxter wstał.

— Z cukrem i z mlekiem?

Jon Jon pokiwał głową i patrzył, jak policjant wychodzi z pokoju. Przez chwilę zerkał na leżące przed nim akta, zastanawiając się, co robić. Jeśli to pułapka, nie zamierzał ułatwiać Baxterowi zadania. W końcu jednak ciekawość wzięła górę i otworzył tekturową teczkę. W środku zawierała jedną kartkę. Znajdowała się na niej dokumentacja medyczna Małego Tommy'ego.

Jon Jon przeczytał tę kartkę dwukrotnie, powoli, po czym odłożył ją na miejsce. Wstał i szybko wyszedł z pokoju. Kiedy Baxter wrócił z herbatą i stwierdził, że Jon Jona już nie ma, uśmiechnął się. Sam jeszcze raz przeczytał informację o Tommym.

Wszystko wskazywało na to, że Mały Tommy Thompson jest niezdolny do uprawiania seksu, z nikim. Jego genitalia nigdy się w pełni nie rozwinęły, a lekarstwa przeciwko otyłości, które zażywał, ich stan jeszcze pogorszyły.

Oczywiście, nie należało z tego wywodzić, że nigdy w życiu nie mógłby pomyśleć o seksie. Fizycznie jednak nie mógł w tej dziedzinie niczego zwojować. Zresztą wszystkie badania psychiatryczne, którym został poddany, kończyły się jedną konkluzją: Tommy ani nie interesował się seksem, ani nie miał o seksie pojęcia.

Biedny, zbity i poparzony Mały Tommy Thompson był po prostu eunuchem.

Della pojechała na policję, żeby powiedzieć, co się jej przytrafiło. Bardziej niż wszystko inne bolało ją to, że została wyrzuciona z samochodu. Jednak fakt, że Joseph zabrał z jej domu wszystkie swoje rzeczy, też nie był jej obojętny.

Nigdy jej nie przyszło do głowy, że pewnego dnia Joseph się czegoś tak mocno przestraszy, iż będzie musiał się salwować natchmiastową ucieczką. W tej chwili gotowa była go oskarżać o każdą zbrodnię pod słońcem. I nie zamierzała tego przekonania trzymać wyłącznie dla siebie.

Wiadomości zaczęły się rozchodzić po okolicy mniej więcej o wpół do szóstej po południu. Joseph Thompson był skończony. Każdy człowiek, który by go spotkał, wiedziałby od razu, z kim ma do czynienia. Jego fotografię pokazywano w każdym kanale telewizyjnym, drukowała ją każda gazeta. Po dwudziestu czterech godzinach Josepha będą wypatrywać nawet brytyjscy turyści, rozsiani po Europie.

Ale, tak jak Kira Brewer, Joseph Thompson jakby zapadł się pod ziemię.

Liz Parker leżała obok Jon Jona i cieszyła się jego obecnością. Przyszedł do niej przed kilkoma godzinami i sprawili sobie radosną sesję krótkiego, lecz intensywnego seksu. Później, zamiast zniknąć jak zwykle, Jon Jon pozostał przy niej i palił skręta za skrętem.

— Napijesz się piwa, Jon Jon?

Pokiwał głową.

Wyciągnęła z lodówki bud ice i zaczęli na zmianę popijać z jednej butelki. Jon Jon podał jej skręta.

— Nic ci nie jest, Jon Jon?

Roześmiał się.

— Skądże. Czuję się doskonale. Moja mała siostrzyczka zaginęła i najprawdopodobniej jest martwa, a poza tym, kurwa, chyba ślepnę. A ty?

Liz westchnęła.

— Pytałam tylko. Nie musisz reagować sarkazmem.

Niewiarygodne, ale zdenerwował ją. Nigdy nie przypuszczał, że zdarzy się coś takiego. Popatrzawszy na drobną dziewczęcą twarz, nagle poczuł się głupio.

— Przepraszam, Liz.

Powiedział to bardzo cicho i po chwili żadne z nich dwojga nie wiedziało, kto jest jego słowami zszokowany — ona czy on.

Liz uśmiechnęła się prawdziwym uśmiechem, a nie zwykłym profesjonalnym grymasem, który nigdy nie wpływał na wyraz jej oczu.

— To ja przepraszam. Twoja siostrzyczka wydawała się bardzo miła.

Jon Jon mocno się zaciągnął, po czym rzucił pytanie:

— Widziałaś ją kiedyś?

Liz przybliżyła twarz do twarzy Jon Jona.

— Widziałam ją kilka razy. Z tobą i z twoją mamą. Wiesz, w okolicy.

Jon Jon pokiwał głową.

Dziewczyna znów do niego przyłgnęła. Dotyk jej pulchnego ciała działał na chłopaka dziwnie kojąco. Czuł się przy niej spokojny i bezpieczny.

Rozejrzał się po małym pokoiku. W sumie był czysty, chociaż pościeli dziewczyna nie zmieniała już od kilku tygodni. Dawało mu to przynajmniej pewność, że poza nim nie sypiali tutaj żadni inni mężczyźni. Poza tym pokój był wyklejony okropną tapetą w kwiatki, a na podłodze leżał zielono-pomarańczowy dywan. Można było odnieść wrażenie, że jest to wydzielony pokój w taniej noclegowni.

Tym niemniej spełniał swoje zadanie. Był miejscem, gdzie można przyłożyć do poduszki zmęczoną głowę. „Gdzie ja to przeczytałem?” — te i podobne myśli nawiedzały i opuszczały Jon Jona w nanosekundach. Ostatnio niczego nie potrafił zachować w głowie na dłużej. Uznał, że to kwestia okoliczności i nie próbował dalej analizować tego zjawiska.

Liz położyła pulchną białą nogę na jego brązowej i Jon Jon zwrócił uwagę na kontrast barw. Podobał mu się. Dziewczyna podrapała go po brzuchu dłonią o starannie wymanikiurowanych paznokciach, przesunęła ją pomiędzy jego uda i znów zaczęła go pieścić.

— Więcej życia znajdziesz teraz w teledysku, dziewczyno.

Poczuł jednak pierwsze dreszczyki podniecenia, a z uśmiechu na twarzy dziewczyny wyczytał, że ona wyczuła je w nim także. Co w niej było takiego, że wciąż działała na Jon Jona podniecająco? Przecież obsługiwała dziennie z dziesięciu mężczyzn, a on zupełnie o to nie dbał. Czy coś z nim było nie tak?

Pocałował ją w usta i zassał do swoich ust jej język. Po raz pierwszy ją normalnie i namiętnie pocałował.

Zaraz jednak dopadły go wizje Liz ssącej członki innych mężczyzn i szybko odepchnął dziewczynę od siebie. Uderzyła w ścianę za łóżkiem i usiadła, masując ramię, które przyjęło pełen impet uderzenia.

— Kurwa, o co chodzi, Jon Jon? Co ja zrobiłam?

Leżał na plecach, z głową na poduszce, wpatrując się w sufit.

— Dzisiaj są moje urodziny — powiedział.

Nagle zaczął płakać, głośnym, prawdziwym płaczem. Gdy szloch nie ustawał, Liz niezdarnie wzięła go w ramiona, przytuliła i starając się najlepiej, jak umiała, próbowała go uspokoić.

Paulie i Joanie znajdowali się w jej sypialni. Wcześniej się kochali, a teraz Paulie postanowił przygotować dla niej pachnącą kąpiel.

— Nie chcę!

Paulie to zignorował.

— Śmierdzisz jak skunks, musisz się wykąpać.

— A gówno!

Paulie jednak nie zamierzał ustąpić i po chwili wsypał do wanny jakieś pachnące sole.

— Rusz dupę i wskakuj do wanny.

Paulie nie zamierzał tolerować sprzeciwu. Joanie jednak wciąż się nie ruszała. Na razie poszedł więc do kuchni i zaczął wypakowywać żywność, którą ze sobą przyniósł. Otworzył butelkę wina. Było zimne, więc od razu nalał do dwóch szklanek. Nie było to najlepsze wino, ale jedyne porządne, jakie akurat znajdowało się w sklepowej chłodziarce.

— No i co z tą kąpielą?

Mówiąc te słowa, ruszył do sypialni, spodziewając się, że Joanie już się będzie pluskać w łazience. Ona jednak wciąż leżała na łóżku, zupełnie ignorując jego polecenia.

Ściągnął z niej kołdrę i dopiero wtedy usiadła, oburzona. Miała na sobie jedynie tanią, białą bieliznę. Wziął ją na ręce i zaniósł, mimo że się opierała, do łazienki. Tam bez większych ceregieli wrzucił kobietę do pachnącej wody.

Jej głowa zanurzyła się na chwilę pod wodą, jednak kiedy Joanie usiadła, plując wodą z pachnidłami, Paulie już stał nad nią, wróciwszy z pokoju z dwoma szklaneczkami z winem. Joanie położyła się w wannie, w końcu godząc się z losem.

Podał jej szklankę. Przyjęła ją z wdzięcznością, trochę wypila i westchnęła.

— Może do mnie dołączysz? — zapytała.

Nagle zaczęła głośno się śmiać. Nie był to normalny śmiech, lecz wysoki, piskliwy, niemal histeryczny.

Paulie opuścił klapę toalety i usiadł na niej. „Niech dziewczyna się śmieje” — pomyślał. Jeśli śmiech miałby poprawić jej stan, niech się śmieje jak najdłużej. W tej chwili dosłownie kołysała się ze śmiechu, wino rozlewało się prosto do wanny i na jej ciało. Paulie pochylił się i odebrał jej szklankę, po czym wstał i zamknął drzwi łazienki na klucz.

Rozebrał się do bokserek. Joanie patrzyła na niego, śmiejąc się coraz mocniej. Kiedy Paulie wszedł do wanny, jej śmiech osiągnął apogeum.

— A może ściągniesz także bokserki? — zapytała z trudem.

I znów zaczęła się śmiać. Paulie usiadł obok niej w wannie i przytulił ją do siebie, mimo że nie było to łatwe. Histeryczne

rozbawianie sprawiało, że Joanie ciągle się trzęsła, podskakiwała, wciąż była w ruchu. Nagle śmiech ustał tak gwałtownie, jak się zaczął. Joanie oparła się o Paulie'ego, lekko się odwróciwszy, żeby przytulić twarz do jego piersi.

Teraz płakała, łkała, a Paulie jedynie czule ją całował i przyciskał do siebie. Szeptał jej do ucha słowa miłości, jakich nigdy dotąd z jego ust nie słyszała i jakich nigdy nie spodziewała się usłyszeć.

— Kocham cię, Joanie Brewer. I zawsze będę cię kochał, dziewczyno.

Rozkoszowała się tymi słowami, wiedząc, że Paulie wyowiada je tylko dlatego, że pogrążona jest w wielkim bólu. Czuła, że ten ból może ją zabić. Miała zresztą nadzieję, że ją zabije i nie będzie już musiała doświadczać kolejnych dni bez swojego dziecka. Uwalniającej ją z udręki śmierci pragnęła niemal równie mocno jak powrotu swojej dziewczynki do domu.

Ale Kira już nigdy nie wróci, Joanie wiedziała to już na pewno. Pewnej nocy zdała sobie z tego sprawę i nie liczyła na nic.

Swój strach i obawy skoncentrowała na pozostałych dzieciach.

Jeanette, wiedziała, zawsze będzie już chodziła własnymi ścieżkami i świadomość tego przerażała Joanie bardziej niż dotąd. Teraz największym zmartwieniem był Jon Jon, jej pierworodny.

Był jedynym z trójki dzieci, na którego mogła zawsze liczyć. Zawsze będzie stał przy niej, niezależnie od okoliczności. Był uczciwym mężczyzną honoru, i to w nim cenila. Czasami miała poczucie winy, że źle go traktuje i obiecywała sobie poprawę. Zadawała też sobie pytanie, dlaczego nie spotkała w życiu jednego właściwego mężczyzny i nie zamieszkała z nim, tak jak to czynią wszyscy normalni ludzie? Dlaczego żyła, świadcząc wszystkim chętnym usługi seksualne i zarabiając na życie właśnie w ten sposób? Za to, co się stało z jej najmłodszą córką, winała siebie i swoją pracę.

I teraz Paulie, mężczyzna, którego od tak dawna kochała, mówił, że i on ją kocha, lecz tak naprawdę to nic nie znaczyło.

Już było za późno.

Nie było już w niej miejsca na miłość, nie mogła już ani jej ofiarować, ani przyjmować. Jednak dotyk rąk Pauliego sprawiał Joanie przyjemność. Potrzebowała kogoś, kto byłby dla niej czuły. Ktoś taki mógłby sprawić, że czułaby się chociaż mniej samotna.

Kiedy Paulie rozpiął jej stanik, nie powstrzymała go. Był jak większość mężczyzn. Każdy objaw emocji w ich mniemaniu musiał prowadzić do seksu. Wziął ją szybko i delikatnie, jak zwykle. Później leżeli bez słów w szybko stygnącej wodzie. Radość przynosił im fakt, że się po prostu dotykają. Ich ciała były śliskie, co chwilę musieli zmieniać pozycję.

Wreszcie Paulie pocałował Joanie w czubek głowy.

— Kocham cię, Joanie.

Mówił to z pełnym przekonaniem. Wiedziała o tym. Czekwała na te słowa przez wszystkie te lata, a teraz — kiedy je wreszcie usłyszała — nie miała ochoty na nie odpowiadać. Jedynie pokiwała głową, po czym zamknęła oczy i leżała oparta o Pauliego. Z uchem przyciśniętym do jego piersi słuchała, jak bije mu serce.

Było już dla nich za późno i oboje zdawali sobie z tego sprawę.

Leżąc w wannie, zapadli w drzemkę. Nawet we śnie Paulie tulił do siebie Joanie, jakby była stworzona z najcenniejszej porcelany. Świadomość, że naprawdę kocha tę kobietę, zawładnęła nim całkowicie. Nieważne, kim lub czym dotąd była. Wiązało go z nią coś, czego nigdy w życiu z nikim nie zaznał. Nawet z własnymi dziećmi.

Joanie otworzyła oczy i popatrzyła na Pauliego. Dziwne, ale znów wyglądała młodziej niż zaledwie przed godziną. Wystarczyło kilka minut drzemki, żeby z jej twarzy zniknęło wiele zmarszczek.

— Czy Kira była moim dzieckiem, Joanie?

Popatrzyła mu w oczy i pokiwała głową.

Oboje byli świadomi tego, że Paulie powiedział „była”, a nie „jest”.

Jakby ostatecznie pogodził się z losem Kiry.

Oboje głośno zapłakali.

KSIĘGA DRUGA

„Życie za życie,
oko za oko, ząb za ząb, rękę za rękę,
nogę za nogę, oparzenie za oparzenie, ranę za ranę,
siniec za siniec”.

*Księga Wyjścia, 23-25
Biblia Tysiąclecia*

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Zadziwiająco, jak życie potrafi leczyć rany. Czasami Joanie odnosiła wrażenie, że Kiry nigdy nie było na świecie, że jej córka była tylko snem, który śniła wiele lat temu.

Innymi dniami czuła się przytłoczona ciężarem smutku. Miewała nocne koszmary, w których widywała córkę błagającą ją o życie. Były to żywe, realistyczne wizje. Budziła się z nich spoccona i przekonana, że to nie sen, lecz że wszystko działo się naprawdę.

Minęły już jednak trzy miesiące od zniknięcia Kiry i żaden dzień nie przyniósł od niej wiadomości. Gazety dawno zapomniały o córce Joanie. Wszyscy w tej małej społeczności, którą Joanie zwykła nazywać swoim domem, zdawali się nie pamiętać już o Kirze. Czasami tylko natrafiała na współczujące spojrzenia przyjaciół i sąsiadów, czuła, jak im bardzo jest jej żal.

Nie pojawiali się już dziennikarze, o Kirze nie pisała już żadna gazeta. Dziewczynka była teraz już tylko fotografią w aktach policyjnych, chociaż któryś z przyjaciół Jaspera założył stronę internetową Kiry Brewer. Joanie była za to wdzięczna, chociaż, kurwa mać, nie miała zielonego pojęcia, do czego taka strona mogłaby służyć. Jej córki już nie było. Gniła gdzieś w ziemi. Nie żyła. W przeciwnym wypadku byłaby w domu, wesoło szczebiotała, wszystkich obdarzając pięknym uśmiechem. Kiry już nie było, lecz w sercu matki wciąż tkwił ten sam ból. I złość.

Ktoś zapukał do drzwi i Joanie poszła otworzyć. Przywołała na twarz uśmiech, który jej samej wydawał się fałszywy. Być może takie samo wrażenie odniesie za chwilę przybysz. Serce nie biło jej już mocniej na każde pukanie, nie spodziewała się już

zobaczyć na progu mieszkania Kiry, która opowiedziałaby, jak się zgubiła i w jaki sposób, po długich poszukiwaniach, znalazła wreszcie drogę do domu.

Joanie otworzyła. Na progu stał detektyw inspektor Baxter. Wbrew wszystkiemu w oczach kobiety znów błysnęła nadzieja. Popatrzyła na niego, jednak policjant jedynie uśmiechnął się smutno.

— Mogę wejść, Joanie?

Ton jego głosu powiedział jej, że nie ma żadnych nowych informacji, a przynajmniej nie takie, jakie chciałyby usłyszeć.

Baxter wszedł za nią do mieszkania.

— Chodzi o Tommy'ego Thompsona.

Westchnęła ciężko. Tommy był dla niej wrogiem numer jeden. Jon Jon przekonał ją, że tak być musi i tak już zawsze będzie.

— Co z nim?

Gestem nakazała Baxterowi, żeby usiadł, przysiadł więc ostrożnie na skraju sofy. Czuła, że przyszedł do niej z czymś, co go strasznie krępowało.

Z pewnością nie miał natomiast żadnych dobrych wiadomości.

— Czy on nie żyje? — W jej głosie znowu pojawiła się nadzieja.

Detektyw potrząsnął przecząco głową.

— Joanie, posłuchaj mnie, kochana. Zrobiliśmy wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby dojść do prawdy i wszystko wskazuje na to, że Tommy nie zrobił nic złego. — Odczekał, aż Joanie przetrawi informację, dopiero potem kontynuował: — Prawdę mówiąc, nic nam nie wiadomo, by wcześniej byli o coś posądzeni, i Tommy, i jego ojciec. Ta dziewczynka, która, jak twierdzisz, oskarżyła go, ta Caitlin Rowe, wszystkiemu stanowczo zaprzeczyła. Powiedziała, że to była tylko plotka. Jej matka złożyła wniosek o zamianę mieszkania, ponieważ nie chce, żeby jej rodzinę w cokolwiek wplątywano. Jest przerażona, że Caitlin zostanie powiązana z czymś, z czym nie ma żadnego związku.

Baxter popatrzył na ściągniętą twarz Joanie. Od czasu, kiedy ją widział po raz ostatni, wokół jej oczu i ust przybyły nowe

zmarszczki. Zmarszczki będące efektem nieprzespanych nocy i nadmiaru wypitego alkoholu.

— A więc mu się upiecze? A co z pieniędzmi, które dał tym ludziom Joseph? Czy nie możecie udowodnić, że to zrobił? Nie możecie się dowiedzieć, dlaczego?

Baxter ciężko westchnął.

— Mogę liczyć na filiżankę herbaty, Joanie?

Przeszła do kuchni i nastawiła wodę w czajniku. Policjant wszedł za nią. Było mu równie ciężko jak jej.

— Do niczego nie dotarliśmy, Joanie, do niczego, co mogliśmy wykorzystać. W mieszkaniu Thompsonów nie było niczego, co mogłoby ich obciążyć, moja droga. Przeszukaliśmy je dwa razy. Nie natrafiliśmy na ani jedną rzecz, która by nie miała prawa tam się znajdować.

— Dlaczego więc ojciec Tommy'ego zwiął? — Joanie zmierzła do kłótni.

— Może się bał, Joanie? Ty byś się nie bała?

Jedynie w myślach przyznała mu rację. Widząc wyraz jej twarzy, Baxter mówił dalej:

— Bo ja bym się bał, gdybym miał przeciwko sobie Jon Jona.

— Niczego więc nie znaleźliście? A co z matką tej dziewczynki, tą Leigh Rowe?

— Wszystkiemu zaprzeczyła. Dopóki się przed nami nie otworzy, mamy związane ręce. Nie możemy nikomu stawiać zarzutów na podstawie plotek, Joanie.

Roześmiała się szyderczo.

— A to coś nowego! Dawniej nie mieliście tego rodzaju zahamowań.

— To nie fair z twojej strony i doskonale to wiesz. Ta sprawa jest zupełnie inna niż wszystkie pozostałe.

Zalała wodą torebki herbaty ekspresowej na dwie szklanki, ale tak naprawdę miała ochotę rzucić czajnikiem prosto w Baxtera. Sprawić mu co najmniej taki sam ból, jaki on sprawiał jej.

Jakiś głos szeptał do niej: „Niech cierpi tak jak Mały Tommy”.

— On to zrobił, wiem, że to zrobił. On i jego ojciec. Para zboczonych piździelców.

W jej głosie brzmiała nietłumiona agresja i policjant zrozumiał, że Mały Tommy już nigdy nie będzie bezpieczny.

— Bez dowodów, Joanie...

Znów się roześmiała. Głucho, ponuro.

— Chce pan powiedzieć, bez zwłok. O to panu chodziło, prawda?

Tak, o to mu chodziło, ale nie zamierzał powiedzieć tego głośno.

— Posłuchaj, z głębi serca bardzo współczuję tobie i twojej rodzinie, naprawdę. Nie mam jednak żadnych podstaw, żeby oskarżyć Tommy'ego Thompsona. Plotka nie wystarczy, moja droga, nawet jeśli jest w niej mnóstwo prawdopodobieństwa. Potrzebuję mocnych, twardych dowodów.

— Nigdy ich pan nie potrzebował, ścigając mnie i moje koleżanki, prawda? A w nocy, kiedy Kira zniknęła, czekałam na policję całymi godzinami.

Joanie była bliska łez. Baxter wyciągnął ku niej rękę w geście współczucia, ale ją odepchnęła.

— Kurwa, czekałam tu na was masę godzin.

Rozejrzała się po mieszkaniu, jakby chciała sobie przypomnieć nocne godziny, spędzone na wyczekiwaniu.

— Czekałam, a żaden zasraniec od was się nie pojawiał. Bo co was to w końcu obchodziło? Przecież to tylko któreś z Brewerów, prawda? Po co się, kurwa, śpieszyć do kogoś takiego?

Baxter widział na twarzy Joanie rosnącą złość. Jeszcze nigdy w życiu wobec nikogo nie czuł się tak fatalnie.

— Bo Brewerowie są nikiem, to tylko szumowiny, zupełnie zbędne na tym świecie, prawda? Matka daje dupy, komu popadnie, dzieciaki są jak zwierzęta... Czy naprawdę pan uważa, że ja nie wiem, co sobie wyobrażaliście tej nocy?

Nie mógł na nią patrzeć. Wiedział, że kobieta mówi prawdę i że on sam był wobec niej tak samo winien jak wszyscy inni policjanci. Jednak zaprzeczył. Musiał.

— Nieprawda, Joanie. Zrobiliśmy wszystko, co leżało w naszej mocy, nadal się staramy...

— Och, wsadź pan to sobie w dupę, panie Baxter.

Uznał, że musi powiedzieć jej prawdę.

— Joanie, Tommy Thompson jest niezdolny do jakiegokolwiek aktywności seksualnej. Jon Jon o tym wie. Widział jego dokumenty medyczne.

— Powiedział mi, ale tak jak on, ja w to nie wierzę. Tommy może nie jest zdolny do uprawiania seksu, ale to nie znaczy, że o tym nie myśli, prawda?

Baxter znów westchnął.

— Robisz wszystko, żeby sobie utrudnić życie. Przecież nie wiesz, czy w ogóle Kira doświadczyła napadu na tle seksualnym. Może wpadła do rzeki... Przecież mogło się jej przydarzyć cokolwiek. Ty zaraz zakładasz najgorsze.

Joanie wzniosła oczy ku sufitowi.

— Niech pan da spokój, panie Baxter, przecież myśli pan tak samo jak ja. Tak jak ja uważa pan, że na moją Kirę napadł ten zboczeniec i jego ojciec. — Próbowwała przetrząsnąć na niego część swojego poczucia winy i część bólu. — Gościłam go w moim własnym domu! Byłam dla niego jak najlepszy przyjaciel. Troszczyłam się o niego... ufałam mu. — W jej oczach znowu pojawiły się łzy. — Czytałam o takich zboczeńcach. To się nazywa „przygotowanie ofiary”. Wkradają się w łaski rodziny. Spójrzmy prawdzie w oczy, kto by się spodziewał, że ktoś będzie na tyle miał jaja, żeby zrobić coś takiego właśnie mnie, ba, Jon Jonowi? Wiem, że Kira nie wpadła do rzeki. Gdyby coś takiego się stało, już dawno znaleźlibyście zwłoki. Nikt jej nie widział, nikt! A przecież była doskonale znana w tej okolicy, wciąż jest znana. Trzeba ją tylko znaleźć. Albo to, co z niej zostało. A wszystko, co się z nią stało, zaplanował ten kawał gówna i jego ojciec. No właśnie, gdzie jest ten ojciec? Dlaczego zniknął bez śladu, skoro ma czyste sumienie? Nawet przestępcy, których szukacie, niechętnie zaszywają się po kątach na dłuższy czas.

Baxter rozumował dokładnie tak samo, ale tego nie powiedział.

— Może skończył ze sobą, Joanie? — zasugerował. — Musimy rozważyć wszystkie możliwości.

Joanie pokiwała głową. Przez krótką sekundę wyglądała jakby na szczęśliwszą, bardziej zrelaksowaną.

— Oby pan miał rację, panie Baxter. I mam nadzieję, że Mały Tommy pójdzie w ślady ojca. Dopóki nie znikną z powierzchni ziemi, nie prześlę porządnie ani jednej nocy.

— Nie powinnaś mówić w ten sposób w mojej obecności, Joanie...

Wydęła wargi.

— Pierdołę to i pierdołę, co się ze mną stanie.

Wkrótce Baxter wyszedł. Joanie została sama i paliła papierosa za papierosem. Ostatnio nie mogła się bez nich obejść.

Paulie złapał dziewczynę za tyłeczek, a ta aż pisnęła z zadowolenia.

— Paulie!

Roześmiał się i wyskoczywszy z łóżka, zaczął się ubierać. Miał nową dupeczkę, o imieniu Linette. Była naturalną blondynką i miała zielone oczy. Gdyby od wczesnej młodości nie pracowała na ulicy, teraz pewnie byłaby zameżna i podziwiana z tytułu nieprzeciętnej urody. Tymczasem korzystał z niej mężczyzna na tyle wiekowy, że mógłby być jej ojcem. Bo Paulie korzystał z niej, wykorzystywał ją tak, jak wykorzystywał wszystkie kobiety w życiu.

— Będę więc pracowała w nowym salonie?

Pokiwał głową. Tak, z pewnością ją tam zainstaluje. Nowy salon będzie się specjalizował w młodych, ładnych dziewczętach. Ta specjalizacja będzie widoczna w cenach i jego nazwie: Angel Girls (Młode Aniołki). Będzie się mieścił w King's Cross, niedaleko Spearmint Rhino i zapewni rozrywkę przede wszystkim facetom z City. Paulie dawał temu miejscu sześciomiesięczny okres próby. Jeżeli nie zacznie w tym czasie przynosić zysków, zrezygnuje z niego. Na szczęście Jon Jon, który miał go

nadzorować, już dawno poodrabiał zadania domowe i Paulie z przyjemnością obserwował, że nie tylko rzuca się w wir pracy, ale też podchodzi do niej z pełnym profesjonalizmem. Gdyby tylko chłopak potrafił przez cały czas skupiać się na robocie.

W ciągu ostatnich trzech miesięcy zmienił się na tyle, że Paulie z trudem w nim rozpoznawał chłopaka, któremu tak niedawno dał szansę. Wyglądał teraz doroślej i poważniej. Jego chłopięca sylwetka była już odległym wspomnieniem, zdążył ją pożreć smutek i żałoba.

Jon Jon był bezwzględny i brutalny, lecz zachowywał nad swoją brutalnością kontrolę. Podczas gdy wcześniej znany był z gwałtownych wybuchów, teraz bezustannie poszukiwał powodów do konfrontacji. Podchodził do nich jednak z rozwagą i wszystkie wygrywał.

Na myśl o tym Paulie westchnął. Dobrą stroną takiej postawy chłopaka było to, że pracował bez wytchnienia i zarabiał pieniądze.

Najbardziej martwiła go Joanie.

Można było odnieść wrażenie, że całkowicie zamknęła się w sobie, jakby dla otoczenia wciąż jeszcze była żywa, ale w rzeczywistości, dla samej siebie, już martwa. Tylko w taki sposób Paulie potrafił opisać zmiany, jakie w niej nastąpiły. Chodziła, mówiła, od czasu do czasu coś jadła, ale sprawiała wrażenie, że wszystko robi w zwolnionym tempie. Że udaje. Pragnęła być ze swoją córką i starała się dożyć jedynie tej chwili, w której się dowie na pewno, że jej dziecko jest martwe. Wtedy — Paulie nie miał wątpliwości — szybko podąży za nim.

On sam z przerażeniem myślał czasami o tym, co mogło się przytrafić Kirze. Współczułby tego straszego losu każdemu dziecku, które znał. Teraz jednak wiedział, że Kira była jego córką. Wciąż był tą wiadomością wstrząśnięty, chociaż bezustannie i bez powodzenia odsuwał od siebie tę myśl. Czasami pocieszał się, że przecież potwierdzeniem jego ojcostwa są tylko słowa Joanie. A czy ona mogła być tego zupełnie pewna?

Przelatywała ją bez ustanku niezliczona wataha mężczyzn.

Zatem czy mogła mieć pewność, że Kira jest jego dzieckiem, czy też po prostu jedynie bardzo tego pragnęła? Paulie wiedział tylko, że Joanie mocno w to wierzy, nie był już jednak pewien, czy może w to uwierzyć on sam. W każdym razie rozmyślał o tym niechętnie, a w zasadzie w ogóle nie chciał o tym myśleć.

Kiedy Linette wyszła z mieszkania, uśmiechnął się na myśl o wspólnej z nią nocy. Kiedy była ubrana, w ogóle go nie interesowała. Dziwny był pod tym względem i o tym wiedział.

Przez cały czas szukał okazji, żeby zająć się Thompsonami. Musiał obu ich znaleźć i ściąć im głowy. Dopadnie ich; chociaż tyle mógł zrobić dla Kiry i dla Joanie.

Mały Tommy wciąż leżał w bólach, jednak z każdym mijającym dniem czuł się coraz lepiej. Przebywał w sanatorium w Sheffield na koszt rządu, ponieważ w więzieniu mógłby być obiektem zemsty lub ataków ze strony współosadzonych, czyniących więzienne życie pedofilów piekłem. W Sheffield nikt nie wiedział, kim jest, a umieszczono go tam pod nazwiskiem Jeffrey Palmer. Nawet mu się podobało.

Już po raz setny rozważał, co robi jego ojciec i dokąd mógł pojechać. Joseph miał z dawnych czasów mnóstwo koleśków, Tommy zakładał więc, że zamelinował się u któregoś z nich. Podał policjantom wiele nazwisk, jednak do niczego to nie doprowadziło. Bo nie mogło.

Ponieważ nie podał im wszystkich nazwisk, aż taki głupi nie był. Nie chciał ponownie spotkać się z ojcem.

Twarz Tommy'ego wyglądała strasznie. Personel pilnował, żeby nie miał w pokoju żadnego lustra, ale w ten sposób nie dało się go oszukać. Doskonale zdawał sobie sprawę ze swojej szpetoty, nie był jednak jeszcze gotowy, żeby stawić jej czoło.

I nie stawiał. Dzięki temu jakoś się trzymał.

Podczas większości nocy śnił o matce, znów czuł, że obejmuje go tak, jak to czyniła, kiedy był małym chłopcem. Gdyby żyła, żadna z tych okropnych rzeczy by się nie wydarzyła, tego był pewien.

Znów mógł jeść, więc jadł, i to dużo.

Żałował, że kiedykolwiek spojrzął na Kirę Brewer. Ojciec miał rację pod każdym względem. To musiało spowodować kłopoty. Tak mówił, i po raz kolejny miał rację. Dlaczego Tommy go nie słuchał?

Pielęgniarka przyniosła mu karafkę ze świeżą wodą, ale ją zignorował. W rzeczy samej, oczywiście, to ona ignorowała jego. Żadna z pielęgniarek się do niego nie odzywała bez potrzeby. Wiedział, że dotykanie go nie sprawia żadnej z nich przyjemności. Lecz przecież takie było całe jego życie.

Nikt nigdy nie chciał przebywać w jego towarzystwie.

Z wyjątkiem Kiry, oczywiście.

No i proszę, jakie z tego zrobiły się kłopoty.

Westchnął i otworzył kolejny batonik Marsa. Przeżuwając go, rozmyślał bez emocji, ile jeszcze minie czasu, zanim go znowu przeniosą. Bo miejsce jego pobytu zmieniano bez przerwy.

Czy musiał przed kimś uciekać? Przypuszczał, że chyba tak. Bezustanne przenosiny wiele dawały mu do myślenia.

Jon Jon spotkał się z pewnym facetem z północnego Londynu. Był rastafarianinem, pochodził z Jamajki, a w Anglii osiedlił się w Newcastle, w hrabstwie Tyne. Kiedy podali sobie ręce, facet się do niego uśmiechnął. Wzajemny szacunek był aż nadto widoczny w postawach i minach na twarzach obu chłopaków.

— Cieszę się, że cię w końcu spotkałem.

Sippy uśmiechnął się do nich obu. Cieszył się, że zetknął ich razem. Sippy wprost kochał Jon Jona. Panowała pomiędzy nimi naturalna harmonia, mieli zgodne poglądy na interesy i sprawy osobiste. Od czasu zniknięcia siostry Jon Jona stali się sobie jeszcze bliżsi. Sippy miał siostrę, która została ciężko ranna w strzelaninie pomiędzy gangami na Jamajce. Teraz umysłowo była dzieckiem, natomiast ciało miała rozwinięte jak kobieta. Płacił co miesiąc mnóstwo pieniędzy na jej utrzymanie i opiekę w porządnym ośrodku w Surrey, chociaż nikomu o tym nie opowia-

dał. Zwierzył się tylko Jon Jonowi, żeby zapewnić go, jak dobrze rozumie jego ból po utracie Kiry.

Teraz, patrząc na Errola i Jon Jona, cieszył się, że doprowadził do tego spotkania. Jeżeli ktokolwiek potrafił odnaleźć Tommy'ego, to właśnie Errol. Miał w kieszeni mnóstwo gliniarzy, mógł dosłownie dowiedzieć się wszystkiego o wszystkich. Teraz miał szukać człowieka, który — jak uważał Sippy — był odpowiedzialny za zejście Kiry. Właśnie, zejście, to było jego zdaniem najlepsze słowo.

Kira nie żyła, przecież wszyscy to wiedzieli.

Chcieli się tylko dowiedzieć, w jaki sposób umarła.

Sippy pochylił się lekko do przodu i powiedział cicho:

— Gdyby Jon Jon miał zwłoki, mógłby ją pochować i połowa bólu by go opuściła, Errol. Bo najgorsza jest niewiedza.

Errol pokiwał wielką głową. Był przystojny i doskonale sobie z tego zdawał sprawę. Przywiązywał uwagę do ubioru. Zazwyczaj nosił białe koszulki i niebieskie dżinsy. Wyglądał jak ucieleśnienie wzorcowego rastamana, dopóki, rzecz jasna, nie wsiadł do swojego sportowego mercedesa, wyprodukowanego w limitowanej serii.

Rzadko nosił normalne buty, wolał sandały. Jego ciało było dobrze umięśnione, gdyż często trenował na siłowni.

Errol wyprostował się i ze smakiem upił z kufła łyk guinnessa.

— Cóż, być może wkrótce będziemy mieli dobre wiadomości. W tej chwili mam informacje o dwóch potencjalnych klientach. Jeden leży w Sheffield, drugi w Birmingham. Obaj są poparzeni i obaj otrzymali fałszywe nazwiska. Wiem to od chłopaka z policji miejskiej, którego praktycznie mam w kieszeni. Dobry gość. Pracuje w Crown Prosecution Service, ale także dla mnie. — Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się, dodając: — Zawsze mu mówiłem, że daleko zajdzie.

Sippy i Jon Jon roześmieli się razem z nim, chociaż Jon Jon nie rozumiał, co w tym jest, kurwa, śmiesznego. Wiedział jednak, że musi rozgrywać grę zgodnie z regułami, a poza tym lubił Errola. W innych okolicznościach pewnie śmiałyby się z nim do rozpuku.

Errol podał mu kartkę papieru z zapisanymi adresami.

— Tutaj są dwa numery. Jak zadzwonisz, bez ceregieli możesz poprosić o eskortę wyspecjalizowanych ludzi, którzy cię wesprą, dobrze?

Jon Jon pokiwał głową.

— Dzięki, Errol. Doceniam to.

Errol wzruszył ramionami, zakłopotany.

— Mam nadzieję, że go znajdziesz. I mam nadzieję, że znajdziesz swoją siostrę. Pewnie jest ci ciężko, człowieku, bardzo ciężko.

Jon Jon znów skinął głową.

— On musi się zemścić, chyba wiesz, o czym mówię — powiedział cicho Sippy.

— Jasne, że musi. Pomożemy mu w tym.

Później rozmawiali jeszcze trochę o wszystkim i o niczym. Oczywiście i Sippy, i Errol doskonale sobie zdawali sprawę, że Jon Jon nie może się doczekać końca spotkania, ponieważ jak najszybciej chce sprawdzić otrzymane informacje. Z grzeczności został jednak z nimi. W końcu Errol wyświadczył mu życiową przysługę.

Jeanette rozmawiała z Liz Parker. Dziewczyny od samego początku przypadły sobie do serca.

— Ile więc zarabiasz podczas przeciętnej nocy? — pytała Jeanette.

Liz westchnęła i przechyliła głowę, zastanawiając się. Intensywne myślenie sprawiało, że wyglądała jeszcze młodziej niż zwykle.

— Przeważnie jakieś trzysta funciaków. Jeśli zdarzy mi się specjalna impreza, zarabiam więcej, oczywiście.

Jeanette była zaintrygowana.

— A co to takiego, taka „specjalna impreza”?

— Hm... To imprezy, na których koniecznie trzeba wyglądać bardzo młodziutko. Rozumiesz, żadnego makijażu, białe

skarpetki do kostek... — Roześmiała się. — Niektóre dziady są gotowe zapłacić fortunę, żeby zobaczyć coś takiego. Za dwie godziny pracy może wtedy wylądować w kieszeni i pięćset. Trzeba udawać nieśmiałą dziewczynkę, chyba że chłopcy chcą coś innego. Niektórzy faceci chcą, żebyś udawała dziewicę, inni z kolei wolą rozpustnicę, zawsze jednak płacą cholernie dobrze. No i, poza tym, to się zawsze dzieje u nich w domach, rozumiesz?

Jeanette rozumiała i podobał jej się wywód Liz.

— Kiedyś byłam w domu u takiego dupka i jego żona wróciła...

Oczy Jeanette zrobiły się okrągłe jak talerze.

— Niemożliwe! I co zrobiłaś?

— Wybiegłam tylnymi drzwiami. W ciągu kilku sekund musiałam zabrać oliwkę dla dzieci, mój mundurek, dosłownie wszystko. Wypchnął mnie z domu, jakbym się paliła. I, cholera, byłam już w połowie drogi z powrotem, kiedy sobie zdałam sprawę, że mi nie zapłacił.

Jeanette wytrzeszczyła oczy.

— I nigdy tam nie wróciłaś?

Liz wyszczerzyła zęby.

— Nie, ale wrócił mój alfons, po pieniądze. Mówię ci, facet zapłacił mu bez słowa i dorzucił jeszcze górką.

— A Paulie Martin ciągle zajmuje się dziewczynami? Jest bardzo wymagający?

Liz nagle stała się czujna. Wiedziała, że dziwny układ pomiędzy matką Jeanette a Pauliem trwa od wielu lat. Nie miała zamiaru spieprzyć swojej sytuacji poprzez wypowiedzenie w tej chwili kilku słów zupełnie nie na miejscu. Faceci tacy, jak Paulie Martin, mieli sposoby, żeby bezzwłocznie się dowiadywać, co mówią o nich ich panienki.

— Och, Paulie to ostatnio taki facet, że tylko go do rany przyłóż. — Roześmiała się. — Dlaczego się nim interesujesz?

Jeanette wzruszyła ramionami.

— Bez żadnego powodu. Ot, tak.

A interesowała się dlatego, że rozmyślała już o tym, aby zacząć jakąś dobrze płatną pracę. Chciała zarobić na własne mieszkanie, miejsce, w którym mogłaby być tylko z Jasperem, bez Karen i jej jadaczki nie zamykającej się przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

— Kto organizuje te specjalne imprezy?

Liz przez kilka sekund milczała.

— A dlaczego chcesz wiedzieć?

— Po prostu jestem ciekawa.

— Pewien gość, na którego wołają Pippy Light. Ale to kawał gnoja. Twój brat go nienawidzi.

— Naprawdę? Dlaczego?

Liz powiedziała już za dużo i zdała sobie z tego sprawę. Jon Jon nie byłby zachwycony, gdyby się dowiedział, że opowiada o jego sprawach, tym bardziej jego siostrze.

— Nienawidzi chamowatych alfonsów i tyle.

— A gdzie można spotkać tego Pippy'ego?

Liz roześmiała się.

— Czyżbyś chciała pod jego opieką nadstawiać dupsko za pieniądze?

Jeanette roześmiała się razem z nią.

— Oczywiście, że nie! Po prostu jestem ciekawa, a ciekawość to zdrowa rzecz. Jon Jon zawsze to powtarza, kiedy mnie wypytuje, gdzie byłam i co robiłam. Jakbym nie wiedziała, że usiłuje mieć mnie na oku.

— Bo mu na tobie zależy, Jeanette.

Dziewczyna w geście pogardy zarzuciła długimi, brązowymi włosami.

— Chcesz powiedzieć, że najchętniej przeżyłby całe moje życie za mnie.

Jej twarz pociemniała z gniewu, kiedy sobie przypomniała, pod jaką kuratelą znajdowała się przez tak wiele lat. Matka była zresztą równie zła jak Jon Jon. A teraz nie chciała, żeby Jeanette wróciła do domu, nie chciała już, żeby u niej mieszkała. Powtarzała, że potrzebuje przestrzeni i czasu, by oswoić się ze stratą.

Znów wszystko przez Kirę, sprawiała przykrość starszej siostrze nawet teraz, kiedy odeszła na zawsze.

— Nie mów głupstw, kochanie. Chciałabym, żeby ktoś się mną tak opiekował. Chociaż przez kilka dni — powiedziała Liz tęsknym głosem.

Jeanette skrzywiła się.

— Wcale byś nie chciała, gdybyś wiedziała, jak to jest. Wrzód na dupie.

— Po tym, co się stało z twoją siostrą...

Nagle Jeanette podskoczyła.

— To już jest ta godzina? — zapytała gwałtownie. — Matka czeka na mnie. Obiecałam, że do niej wpadnę.

Kiedy ludzie wspominali jej siostrę, zawsze zmieniała temat. Wprost nie znosiła myśli o Kirze i nie chciała, żeby przez powracające wspomnienia jej poczucie winy, że tak źle traktowała to dziecko, ciągle do niej wracało.

Idąc do mieszkania Joanie, po raz kolejny jednak rozważała, co się przydarzyło młodszej siostrze. Kiedy była sama, nie potrafiła się od tych myśli uwolnić. Dlatego bardzo pragnęła towarzystwa, cierpiała, będąc zdana sama na siebie. Jasper był dla niej dobry, ale tak naprawdę chciałyby bezustannie przebywać w towarzystwie matki. Ostatnio tęskniła za nią niemal w każdej chwili, kiedy Joanie nie było przy niej. Nikomu jednak o tym nie mówiła.

Jon Jon patrzył, jak zmienia się wyraz twarzy matki. Oddałby jej własne serce, ale tak naprawdę cóż mógł zrobić?

— Myślisz, że on naprawdę tam jest? — zapytała natarczywie.

Jon Jon pokiwał głową.

— Uważam, że przebywa w Sheffield. Nie wiem dlaczego, ale po prostu mam takie przeczucie. Najpierw sprawdzę adres w Birmingham i jeśli okaże się zły, pojedę na północ. Ten Errol to miły i porządny gość. Nadal prowadzi dla nas poszukiwania i nie chce za to nawet złamanego pensa.

Joanie pokiwała głową.

— Dopiero w takich sytuacjach poznaje się, jacy są ludzie naprawdę.

Wypowiedziawszy te słowa, naląła sobie kolejnego drinka. Jon Jon tylko westchnął. Bardzo się starał, żeby nie powiedzieć nic na temat alkoholu i nie sprowokować kolejnej kłótni. Powoli Joanie zaczynała bowiem tracić jakąkolwiek kontrolę nad swoim pijaństwem. Czuł, że powinien jakoś ją powstrzymać i wiedział, że matka musi wreszcie się czymś zająć, ponieważ alkohol po prostu wypełniał jej pustkę bezbarwnych, monotonnych dni, podczas których tylko tęskniła, cierpiała i wspominała Kirę. Może kiedy na dobre rozprawi się z Tommym, matka wreszcie weźmie się w garść?

Sprawiała wrażenie boleśnie zadowolonej z wiadomości, które przyniósł. Pomyślawszy, że to jedyna przyjemność, jakiej zaznała od dłuższego czasu, Jon Jon niemal się rozplakał. Oto Joanie dowiedziała się, gdzie przebywa bestia, która zamordowała jej córkę. Jon Jon zdołał powstrzymać płacz, za to mocno przytulił matkę do siebie. Joanie oddała mu uścisk, ciesząc się zapachem syna i zastanawiając się, jakie kolejne nieszczęście życie wkrótce rzuci jej pod nogi.

Jon Jon wyszedł z mieszkania piętnaście minut później. Kiedy tylko zniknął za drzwiami, Joanie wykonała jeden szybki telefon. Następnie zaczęła szybko pakować swoje rzeczy. Gdy narzuciła na siebie płaszcz, usłyszała sygnał klaksonu taksówki, która po nią podjechała. Zbiegła szybko po schodach i wrzuciła na tylne siedzenie torbę podróżną. Sama też usiadła z tyłu. Kazała kierowcy, żeby najszybciej, jak to tylko możliwe, zawiózł ją na dworzec kolejowy.

— Śpieszysz się, kochanieńka?

— Nic ci do tego, wścibski draniu.

Ton jej głosu nie pozostawił taksówkarzowi wątpliwości, że lepiej będzie, jak całą drogę przemilczy. Tak też uczynił.

Joanie otworzyła torbę i sprawdziła, czy zabrała ze sobą wszystko, co będzie jej potrzebne. Uśmiechała się przy tym.

Ale Jon Jon robi minę, kiedy się zorientuje, że dotarła do

Sheffield przed nim. Do Birmingham miał zamiar wyjechać dopiero następnego dnia, ponieważ jeszcze dzisiaj musiał być w pracy; otwierał się właśnie nowy salon i nawet nie było mowy, żeby mógł w tym nie uczestniczyć.

Joanie dysponowała oboma adresami. Jeżeli nie znajdzie gnoja w Sheffield, pojedzie do Birmingham. Po prostu wpadnie tam w drodze powrotnej do domu.

Czuła, że unosi ją euforia.

Gdyby mogła, od razu zaczęłaby szukać córeczki, jednak przede wszystkim zamierzała odpłacić Małemu Tommy'emu za to, co zrobił jej i jej rodzinie. Radość i podniecenie dodawały kobiecie skrzydeł. Jon Jon nie mógł wrócić do domu wcześniej niż nad ranem. Do tego czasu Joanie będzie daleko. Zabierała się za coś, co koniecznie musiała załatwić sama.

Jeanette weszła do ciemnego, opuszczonego mieszkania. Nie było śladu po Joanie, nie licząc niemal pustej butelki i przepelnionych popielniczek. Zrobiła sobie więc coś do jedzenia i wyszła. Poczowała się urażona, było to po niej widać.

Ostatnio wszyscy ją olewali. A matka — wiedziała to — wciąż winała ją za zniknięcie siostry. Co gorsza, Jeanette i tak czuła się temu winna.

Niepocieszona, ruszyła do mieszkania Jaspera. Nie znała żadnego innego miejsca, do którego mogłaby teraz pójść.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Jon Jon dobrze się bawił na otwarciu Angel Girls. Właściwie aż sam w to nie wierzył, jeśli rozważyć wszystko, co się wydarzyło w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

Uruchamianie nowego salonu oderwało wreszcie jego myśli od siostry. Potrzebował tego i cieszył się z okazji.

Salon już od pierwszych chwil tętnił życiem, atmosfera była wspaniała. Zanosilo się, że będzie przynosił wielkie dochody, a to liczyło się najbardziej. Jon Jon był dumny z tego, co osiągnął w bardzo krótkim czasie.

W przeciwieństwie do innych salonów masażu, otwarcie Angel Girls uzyskało porządną, wręcz huczną oprawę. Zazwyczaj nowe salony otwierali po cichu i dyskretnie, żeby do minimum ograniczyć pojawiające się zwykle w takich przypadkach protesty gospodyń domowych i zrzędliwych bab, którymi wcale nie kierowała obawa, że z salonu będą korzystać ich mężowie, lecz raczej widzące w takich lokalach symbole upadku ich dzielnicy.

Dopóki wokół salonu panowała cisza, nie było problemów. Licencję na działalność uzyskiwała w jego imieniu szanowana firma prawnicza, która później sprawowała opiekę nad przybytkiem. Należało jednak pilnować, żeby dookoła nie było bijatyk, czy to pomiędzy dziewczętami, czy dziewczętami i klientami. Nie wolno było używać plugawego języka, zakazane było pijaństwo.

Tej nocy jednak wino i szampan lały się strumieniami. Grała głośna muzyka. Jon Jon pilnował, żeby wszystko grało jak w zegarku, ponieważ Paulie utopił w tym salonie mnóstwo własnych pieniędzy.

W ciągu minionych siedmiu tygodni powstający salon był po

prostu pasją Pauliego; został otwarty w rekordowo krótkim czasie. Jon Jon pracował nad jego uruchomieniem jak szalony, wiedząc, że dzięki temu, jeśli nie dzięki czemuśkolwiek innemu, zdobędzie u Pauliego dodatkowe punkty. Paulie zawsze chciał mieć wszystko na wczoraj, a Jon Jon był pod tym względem bardzo do niego podobny.

Angel Girls miał wszystko: najbardziej wyszukane kabiny do pracy, wyposażone w najlepsze olejki do masażu i pachnące świece. Bielizna i ręczniki były najwyższej jakości; nie oszczędzono na niczym. Na wszystkich ścianach wisiały lustra, klienci mogli oglądać swoje figle pod każdym kątem. Poza tym kabiny były dźwiękoszczelne, można było więc podczas zabawy wydawać z siebie nawet najdziksze odgłosy bez obawy, że usłyszy je ktoś na zewnątrz. W każdej z nich znajdował się odtwarzacz CD i DVD, klienci mogli oglądać soft porno lub słuchać muzyki, co kto wolał. Całe miejsce robiło wrażenie i Jon Jon aż puchł z dumy jako jeden z pomysłodawców.

Razem z Pauliem wysłali osobiste zaproszenia praktycznie do wszystkich bogatszych biznesmenów z okolicy. Zaproszeni goście pojawili się po prostu tłumnie. Potencjalni klienci salonu byli bogaci, a dziewczyny, które na nich czekały, więcej niż ładne. Wszystkie zostały nauczone, jak rozmawiać z ewentualnymi przyszłymi klientami — miały być szczere i inteligentne, a przynajmniej udawać inteligentne. Był to zabieg marketingowy, jakiego Paulie dotąd nie stosował.

Jon Jon przypatrywał się twarzy szefa, gdy ten z uśmiechem rozglądał się po zatłoczonym salonie recepcyjnym. Czuł się coraz spokojniejszy. Paulie doskonale oszacował ilość środków finansowych, jakie należało zainwestować w celu ściągnięcia do salonu bogatych klientów. Razem z Jon Jonem postanowili też, że będą od nich kasować po czterysta funtów za pół godziny zabawy. Wkrótce należało się więc spodziewać poważnych pieniędzy i dużych obrotów.

Lokal powinien się zwrócić i zacząć na siebie zarabiać nie później niż po trzech miesiącach. Nic innego się nie liczyło.

Tak, to musiało zaskoczyć. Gentlemani z City posiadali już kluby, w których tańczące panienki siadały im na kolanach, jednak salon Pauliego miał ambicję rozładowywać stresy nawet najbardziej zapracowanych i spiętych biznesmenów. Dziewczyny miały pokończone kursy z zakresu aromaterapii, różnych form masażu, a także udzielania pierwszej pomocy. Jedna miała nawet tytuł wykwalifikowanej terapeutki sportowej, przynajmniej taki dyplom kupił jej Jon Jon. Sport, którym w rzeczywistości się zajmowała, wymagał o wiele większej aktywności niż udział w meczu piłki nożnej, papier jednak miała.

Dziewczęta gotowe były spełniać najbardziej nawet wyszukane życzenia klientów. Jednak dla wścibskich salon miał sprawiać wrażenie doskonale wyposażonego zakładu terapeutycznego, przypadkiem zatrudniającego wyjątkowo ładne terapeutki.

Dzisiejszego wieczoru gośćmi były także kobiety i wcale nie było ich mało. Na taki pomysł wpadł Jon Jon, który zadbał także o to, żeby kręciło się kilku przystojnych i dobrze zbudowanych młodzieńców, których wynajął z pewnej dyskretnej agencji. Postanowił, że jeśli sprawy potoczą się we właściwym kierunku, zatrudni kilku z nich w pełnym wymiarze i pozwoli im zarabiać znacznie więcej pieniędzy, niż zarabiają do tej pory. Jeśli którykolwiek z męskich klientów wolałby mężczyzn, takie zapotrzebowanie też mogło być realizowane.

Ponieważ Paulie uważał wszystkich mężczyzn z bogatszych klas za zboczeńców, nie dziwiło go żadne zamówienie z ich strony i Angel Girls mógł w każdej chwili przeistoczyć się w Angel Boys. Z kolei obserwacje Jon Jona potwierdzały, że ostatnio nie tylko mężczyźni, ale także wiele kobiet było zdecydowanych płacić za seks. Gotów był więc dostarczać im takich sposobności, byleby tylko zostawiały w salonie odpowiednio dużo pieniędzy.

Przepychając się przez tłum gości, Jon Jon zobaczył swoje odbicie w lustrze naprzeciwko. Ubrany był w czarny garnitur od Versacego, białą koszulę ze sterczącym, otwartym kołnierzykiem, a na nogach miał ręcznie szyte buty. Wyglądał jak człowiek interesów i doskonale sobie z tego zdawał sprawę.

Kira patrzyłaby na niego z przyjemnością. Uwielbiała, jak ludzie „błyszczeli”. Jon Jon nieświadomym ruchem poprawił dredy i w tym samym momencie uchwycił spojrzenie Pauliego, który frywolnie pomachał rękę, wywołując na jego twarzy uśmiech. Następnie nakazał mu wejść do biura i Jon Jon szybkim krokiem podążył za nim po schodach wyłożonych grubym dywanem. W tle grała muzyka rhythm and bluesowa.

Biuro było urządzone oszczędnie, surowo, ale funkcjonalnie. Stały tu stalowe przeszklone szafy, biurko miało szklany blat, podłoga była wyłożona błyszczącym, dębowym parkietem. Wszystko nowoczesne, lecz proste, a pokój klimatyzowany i dźwiękoszczelny. Po luksusach kabin znajdujących się piętro niżej można było odnieść wrażenie, że jest niemal tak ubogo jak w klasztorze.

Paulie wyszczerzył zęby.

— To strzał w dziesiątkę, synu, jestem z ciebie dumny.

Pochwała niemal wprawiła Jon Jona w ekstazę, ponieważ była szczerą i płynęła z głębi serca.

— Cieszę się, że to mówisz, Paulie. Przez ostatni tydzień pracowałem jak wół.

Paulie roześmiał się.

— Znam to uczucie, stary. Możesz mi jednak wierzyć, nasz nowy przybytek spodobał się gawiedzi. Będą jeszcze o nim długo rozprawiać i polecać nas kumplom. W pubach zaczną krążyć soczyste historie o tym, jak dobierali się do naszych ślicznych masażystek. A przecież za wszystko będą płacić, głupi piździelcy. Gdyby to było za darmo... Cóż, nikt tak do końca nie zrozumie faceta, który płaci za seks.

W ten sposób Paulie dokładnie określił, w jakiej pogardzie ma swoich klientów. Nienawidził mężczyzn uczęszczających do jego salonów, uważał ich za groteskowych życiowych nieudaczników. Nieważne, ile mieli pieniędzy, dla niego zawsze pozostawali bezużytecznymi szmatami.

— Wiesz, jakie będzie kolejne stadium rozwoju, co?

Jon Jon potrząsnął przecząco głową.

— Jakie?

Paulie wydał wargi i odpowiedział mu cierpko:

— Stracimy kilka dziewcząt, bo zwiążą się z naszymi klientami. A właśnie takie kutasy będą się tu kręcić. Będą się, kurwa, zakochiwali! Widywałem już w życiu podobne rzeczy, chociaż nigdy nie zrozumieję faceta, które decyduje się poślubić kurwę. Przecież kurwy dają dupy wszystkim, taka już jest ich natura. Tylko po to je mają.

Jon Jon milczał, jedynie wbił wzrok w Pauliego i patrzył na niego tak długo, aż ten zdał sobie sprawę, co powiedział. Nie miał zamiaru przeproszać, szczególnie kogoś, kogo zatrudniał, jednak zrozumiał, że nagle strasznie zepsuł atmosferę pomiędzy sobą a chłopakiem.

Zapadła ciężka cisza. W końcu Paulie wyciągnął rękę.

— W każdym razie gratuluję — powiedział cicho. — Odwaliłeś dobrą robotę, chłopaku.

Jon Jon dopiero po chwili wahania uściśnił wyciągniętą do niego dłoń. Owszem, cieszyło go uznanie mężczyzny, jednak lojalny był przede wszystkim wobec matki i wiedział, że Paulie bardzo go za to ceni.

Stosunki pomiędzy nimi były bardzo dziwne, a pod wieloma względami była to wręcz miłość. Jon Jon był dla Pauliego jak syn i obaj to akceptowali, nie wdając się w szczegóły.

Nagle do biura bez pukania wpadła Linette. Popatrzyła natarczywie na Jon Jona, oczekując, że wyjdzie, ponieważ ona tu jest.

— Chciałabym porozmawiać z Pauliem...

Wypowiedziała te słowa sztucznym, dziecięcym głosem. I Paulie, i Jon Jon zdenerwowali się tym tonem, ponieważ pobrzmiwał z niego fałsz. Przed chwilą wyszła ze swojej kabiny i pod nosem wciąż miała biały proszek. Pauliemu nie mogło się to spodobać, jednak Jon Jon uznał, że nie zwróci jej uwagi. Niech sama na to wpadnie.

Po chwili milczenia dorzuciła chropawym głosem, który w założeniu miał brzmieć namiętnie:

— Sam na sam.

Jon Jon uśmiechnął się do Pauliego i uniósł znacząco brew. Widać było, że nic sobie nie robi z Linette, kiedy rzucił pytanie:

— Czy ona jest tego, kurwa, pewna?

Paulie podszedł do skapo ubranej dziewczyny, która uśmiechnęła się do niego najlepszym zawodowym uśmiechem. Był to już jej drugi błąd tego wieczoru.

Odezwał się do dziewczyny spokojnie i beznamiętnie. Zabrzmiało to znacznie straszniej, niż gdyby na nią krzyknął.

— Jeśli jeszcze kiedykolwiek zachowasz się w podobny sposób, osobiście dopilnuję, żeby już żaden mężczyzna nie przeleciał cię za darmo, nie mówiąc o tym, że nie znajdzie się taki, który za to zapłaci. Ty pierdolona, bezczelna jędzo.

W jednej chwili uległa zmianie cała jej postawa. Przestraszyła się i było to po niej widać. Dotąd wierzyła, że ma władzę nad Pauliem, ale jak wiele kobiet przed nią, właśnie się dowiedziała, że wcale tak nie jest.

— Wynoś się! Wynoś się natychmiast i nie wracaj tutaj, dopóki cię wyraźnie, kurwa, o to nie poproszę.

Wybiegła z pokoju, bliska łez. Paulie popatrzył na Jon Jona, wzniósł ręce do góry i powiedział z udawanym zniecierpliwieniem:

— Dać im palec, a zapierdoliłyby całą rękę.

Jon Jon zaczął się śmiać, a po chwili już obaj zanosili się wesołym, głośnym rechotem. Znów powróciła pomiędzy nich wesoła atmosfera. Wrócili na imprezę i z radością obserwowali wartko płynący strumień pieniędzy. Kierujący się prosto do ich kieszeni.

Joanie znajdowała się w bezpiecznej taksówce. Skontaktowała się ze starym przyjacielem, który kiedyś był jej klientem, a ten załatwił dla niej taksówkę z King's Cross do Sheffield. Kierowca nie zadawał żadnych pytań. Był zresztą Bośniakiem i słabo znał język angielski, co Joanie bardzo pasowało. Właściwie w ogóle nie powinien być taksówkarzem, a to oznaczało, że

po spotkaniu z Joanie nie pójdzie na policję i nie wyklepie ani słowa na jej temat.

W Anglii odmówiono mu azylu i praktycznie przez cały czas się ukrywał. Chociażby z tego powodu, bo przecież z żadnego innego, Joanie bardzo go polubiła.

Kiedy jechali autostradą M1, przyjęła wygodną pozycję na tylnym siedzeniu taksówki i starała się trochę zdrzemnąć, jednak szybko zdała sobie sprawę, że to niemożliwe. Była zbyt podekscytowana tym, co ją wkrótce czekało. Znowu sprawdziła zawartość torby podróźnej i jeszcze raz się uśmiechnęła.

Była przygotowana na każdą ewentualność. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy zrobi wreszcie to, co miała zrobić.

Przez całe życie starała się chronić swoje dzieci najlepiej, jak tylko potrafiła. Teraz musiała nauczyć Małego Tommy'ego, co potrafi zrobić matka, jeśli ktokolwiek ośmielił się wyrządzić krzywdę jej dziecku. Bo to ona musiała się zemścić, Joanie Brewer, a nie Jon Jon albo policja. Ona, Joanie Brewer, matka zamordowanego dziecka. Pragnęła kary dla Tommy'ego i sama zamierzała mu ją wymierzyć.

Gdyby to pozostawiła policji — oczywiście, gdyby w ogóle potrafili połączyć jego osobę ze zniknięciem Kiry — Tommy poszedłby do więzienia i zostałby umieszczony na oddziale dla więźniów szczególnie chronionych. A tam śmiałyby się ze wszystkich. Jego życie z gruncie rzeczy prawie nie zmieniłoby się w stosunku do tego, jakie wiódł do tej pory. Miałby dostęp do komputerów, piłby tyle herbaty, ile by chciał i kiedy by chciał. Więźniów takich jak on klasyfikuje się jako biernych. Tommy bierny? Po tym, co zrobił?

Joanie popytała trochę znajomych i sąsiadów, rozmawiała z mężczyznami, którzy siedzieli kiedyś w więzieniach i dokładnie wywiedziała się, jaki był los kanalii skazanych na podstawie paragrafu 43. Mogli robić w więzieniu wszystko, co im się, kurwa, podobało, ponieważ klasyfikowano ich jako więźniów biernych! Znowu to samo słowo.

Wszystkich innych gnojów trzymano pod kluczem przez dwa-

dzieńca cztery godziny na dobę, ale nie ich! Niestety, zboczeńcy mieli w więzieniu niemal radosne życie. Opowieści, które Joanie usłyszała na ten temat, były wprost niewiarygodne!

Świadomie wprawiała się w złość. Potrzebowała jej jak najwięcej, żeby wykonać zadanie, które przed sobą postawiła. Podgrzewała, pielęgnowała swoją złość, starając się, żeby już jej nie opuściła, być może w najmniej odpowiedniej chwili.

Oczywiście, wiedziała, co więźniowie ogólnie sądzą o zboczeńcach. Tym bardziej nie godziła się z tym, że przebywają oni na oddziałach dla szczególnie chronionych więźniów. Mieli tam bowiem niebiańskie życie. Natura ich przestępstw i zbrodni była taka, że odsuwali się od nich dosłownie wszyscy. Budzili nienawiść i agresję, stąd ich błogie życie na odrębnych oddziałach. Dla bezpieczeństwa.

Większość spośród nich nigdy w życiu nie spotkała się, przed zamknięciem w więzieniu, z żadnym innym przestępcą seksualnym. I nagle trafiali na podobnych sobie, jakby do raju, jakby w jednej chwili spadały im na głowy wszystkie prezenty bożonarodzeniowe tego świata. Nie musieli już ukrywać swoich zboczeń, nie czuli się już ani wyizolowani, ani samotni. Otaczali ich ludzie tacy jak oni sami. Dzięki temu czuli się wreszcie normalni, wprost wniebowzięci, gdyż nagle ich skłonności, przez długi czas wstydliwie skrywane przed światem, okazywały się dla otaczających ich ludzi czymś tak zwyczajnym jak wypicie filiżanki herbaty.

Cóż, Joanie musiała dopilnować, żeby Mały Tommy zapłacił za wszystko, co zrobił. Musiała zadabć o to, żeby już nigdy nie miał okazji zrobić tego, co uczynił Kirze, również komuś innemu. Joanie nuciała pod nosem jakąś melodyjkę, jadąc taksówką i zastanawiając się nad tym wszystkim. Taksówkarz popatrzył w lusterko i uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała mu uśmiechem. Zapaliwszy kolejnego papierosa, znów powędrowała myślami ku czekającemu ją zadaniu.

*

Kiedy Jeanette zaczęła nieśmiało rozpytywać o Pippy'ego Lighta, wszyscy odpowiadali tak samo, nawet Karen Copes i Jasper. Że najlepiej pytać o niego Lornę Bright, która zna go od wielu lat, a nawet była kiedyś jego dziewczyną. Lorna bała się jednak ostatnio Jeanette jak ognia, a to dzięki Jon Jonowi i jego groźbom. Nie chciała z nią choćby rozmawiać.

Jeanette była jednak zdeterminowana, żeby w końcu dopiąć celu i dowiedzieć się, czego chciała. Gotowa była poruszyć niebo i ziemię, by to osiągnąć.

Weszła po schodach pod drzwi dwupoziomowego mieszkania Lorny i zapukała. Było już późno i ciemno, dlatego czuła się w miarę bezpiecznie. Miała nadzieję, że w środku nie ma kręcących się zwykle przy Lornie obiboków. Któryś z nich mógłby przecież zechcieć zapunktować u Jon Jona i donieść na nią do brata. Był przecież dla nich niemal bogiem. Wszyscy w okolicy go szanowali, szczególnie od czasu, gdy wziął prawo w swoje ręce i rozprawił się z Małym Tommym.

Poparzenie zboczeńca uczyniło Jon Jona w oczach ludzi wielkim bohaterem. Zawsze był twardzielem, nawet jako mały chłopiec, teraz jednak stał się szanowanym twardzielem, czyli miał pozycję, o jakiej w tym świecie marzył każdy mężczyzna.

Lorna otworzyła drzwi i na korytarz natychmiast wydostał się smród z jej mieszkania. Jeanette od razu spostrzegła, że dziewczyna jest pijana jak bela. Uśmiechnęła się jednak ostrożnie i zapytała:

— Wszystko w porządku, Lorna? Jak się ma dziecko?

Lorna bynajmniej się nie zdziwiła ani późnowieczorną wizytą, ani pytaniem przy tej okazji o dziecko. W jej towarzystwie była to praktycznie norma.

— Może mnie zaprosisz do środka? — dodała Jeanette.

Lorna cofnęła się i minąwszy ją, Jeanette weszła do ciemnego i cuchnącego kwaśnym odorem mieszkania. W salonie jedynym źródłem światła był odbiornik telewizyjny, włączony jak zwykle. Na podłodze leżało niemowlę. Dziecko było brudne, leżało we

własnych śmierzących odchodach. Na kanapie leżał jakiś mężczyzna i chrapał. Jego nagie ciało lśniło od potu.

Dziecko zaczęło płakać i Lorna trąciła je brudną nogą. Następnie przyklęknęła na dywanie i powiedziała wesoło:

— Kto jest małą cipeczką mamusi, no kto?

Jeanette westchnęła.

— Chcesz, żebym ją przewinęła?

Ujrzała w oczach pijanej Lorny błysk zastanowienia. Oto mogła uniknąć kolejnej nieprzyjemnej roboty. Lorna była leniem i zwyczajnym zerem.

— Jutro przyjdą po nią z opieki społecznej. Mają już zresztą moją drugą dziewczynkę, Laeticję. Była tak zazdrosna o niemowlaka, że chciała spuścić maleństwu lanie. — Lorna roześmiała się. — I tak potrzebuję trochę odpoczynku od tego wszystkiego. Niech ją zabiorą na kilka tygodni. Ja w tym czasie przynajmniej się wyśpię.

Kilka tygodni zamieni się w kilka miesięcy. I Jeanette, i Lorna zdawały sobie z tego sprawę. Kiedy Lorna urodziła pierwszą córkę, okazało się, że dziecko ma zniekształconą stopę i znaczną niedowagę. Krążyły opowieści, że gdy Lorna przyszła do szpitala, żeby zabrać ją do domu, dziecko miało już cztery miesiące i pielęgniarki nie chciały go wydać, ponieważ nie wiedziały, kim kobieta jest. Nie odwiedziła córki w szpitalu ani razu.

Matka Lorny, która była razem z nią, opowiadała później, jak była zakłopotana, kiedy pielęgniarki mówiły:

— Nigdy wcześniej pani nie widzieliśmy, przecież może pani być kimkolwiek.

W sprawę należało zaangażować aż dwie pracownice opieki społecznej i potrzebne było postanowienie sądu, żeby dziecko mogło w końcu wrócić do domu, do matki, o której można by powiedzieć wiele, ale nie to, że jest opiekuńcza. Trzymała je później tylko po to, żeby mieć prawo do zasiłków i zapomóg, a Laeticja wyrosła na ładne, choć bardzo nerwowe dziecko. Taki sam los czekał kolejną dziewczynkę.

— Jakie imię jej nadałaś?

Lorna westchnęła.

— Trelayne Sioux.

Jeanette uśmiechnęła się.

— Znów Jerry Springer?

— Strzał w dziesiątkę! — Lorna roześmiała się głośno. — Ci Amerykanie mają wspaniałe nazwiska, nie uważasz? Chciałam, żeby była jakaś inna, sama rozumiesz. Imię dziecka jest bardzo ważne, prawda? — To smutne, ale Lorna była o tym szczerze przekonana.

— Będzie inna od wszystkich, bez dwóch zdań!

Jeanette nie miała pewności, czy Lorna jest zbyt pijana, czy zanadto gruboskórna, żeby zrozumieć tę zniewagę.

— Co cię do mnie sprowadza? — spytała Lorna.

Patrzyła, jak Jeanette szybko i umiejętnie przewija jej dziecko.

— Zaraz ci powiem.

Jeanette umyła Trelayne, ubrała ją, po czym wzięła na ręce, kołysząc do snu.

— Jest głodna. Masz dla niej jakieś jedzenie?

Lorna aż podskoczyła.

— Ciągle zapominam, że trzeba ją przez cały czas karmić. Dlatego będzie najlepiej, jak ją na jakiś czas zabiorą. Sama rozumiesz, dopóki nie będzie łatwiejsza do opiekowania się.

Wyszła na chwilę z pokoju i wróciła z jakimś jedzeniem dla dziecka, które bez wątpienia otrzymała jeszcze w szpitalu i które z całą pewnością wyciągnęła właśnie z lodówki. Ale dziecko i tak rzuciło się na jedzenie łapczywie, głośno ssąc gumowy smoczek na butelce. Odgłos ssania wypełnił cały pokój. Pod paznokciami dziewczynki nabierało się już mnóstwo brudu, a na policzku miała niewielką szramę. „Zapewne to sprawka Laeticii” — pomyślała Jeanette, chociaż nie byłaby zaskoczona, gdyby szrama była dziełem samej Lorny. Później mogła łatwo zrzucić winę na starszą dziewczynkę.

Jeanette przypomniała sobie, jak jej własna matka karmiła Kirę. Kira zawsze słodko pachniała, była zadbana i czysta. Dziwne,

ale dopiero niedawno Jeanette zaczęła uzmysławiać sobie, jak dobrą matką była Joanie.

— Jesteś już duża, powinnaś sprawić sobie własnego dziecka — powiedziała Lorna.

Miał to być komplement, co Jeanette doskonale rozumiała. Mimo wszystko zdenerwowała się. Lorna nie miała żadnych ambicji poza tym, żeby rodzić dzieci i korzystać z przyznawanych na nie zasiłków. Co za życie! Nie tylko dla samej Lorny, ale dla jej biednych dziewczynek, które w dzieciństwie będą bezustannie przechodziły spod opieki matki pod opiekę państwa, a później i tak zaczną zarabiać na życie tak, jak nauczy je matka. Czyli w zawodzie, który poznają od niej. Na razie były uprawnione do korzystania z opieki państwowej i Lorna pilnowała, by otrzymywały wszystko, do czego miały jakiegokolwiek uprawnienia.

Właśnie słowo „uprawnienia” najbardziej denerwowało matkę Jeanette, kiedy rozmawiała o tym z Moniką. Monika nie potrafiła przyjąć do wiadomości, że zanim coś się otrzyma od państwa, trzeba temu państwu płacić podatki. Nie rozumiała logiki Joanie, że zasiłki i inne korzyści można przyjmować tylko tak długo, dopóki się nie stanie na nogi, nie znajdzie pracy, że nie mogą one być sposobem i stylem życia.

Teraz, patrząc na Lornę, Jeanette rozumiała, dlaczego jej własna matka tak bardzo naciskała na nią, żeby nie lekceważyła nauki w szkole.

Cóż, i tak było już jednak za późno.

Lorna otworzyła dwie puszkę red stripe'a i jedną z nich postawiła przed Jeanette. Z drugiej szybko upiła kilka łyków, po czym głośno beknęła.

Mężczyzna, leżący na kanapie, jęknął i przewrócił się na drugi bok. Lorna nawet nie popatrzyła w jego kierunku. Jego członek miał półerekcję, widoczną przez brudne majtki. Jeanette poczuła ciarki na skórze.

— Kto to jest?

Lorna wzruszyła ramionami.

— Peter jak-mu-tam. Spotkałam go wczoraj w pubie. Wygrał

jakąs forszę u bukmacherów. Nie powinnam jeszcze, no wiesz, ale dałam się przelecieć, że aż miło. — Roześmiała się głośno ze swojego dowcipu. — Czego chcesz, Jeanette. O ile wiem, twój brat nie jest moim najwierniejszym sympatykiem, prawda?

— Posłuchaj, Lorno, Jon Jon nie ma prawa dobierać mi przyjaciół.

— A więc to nie on cię tutaj przysłał?

Jeanette energicznie potrząsnęła głową i zobaczyła ulgę w oczach Lorny.

— Oczywiście, że nie! Kurwa, on nie jest moim właścicielem, dziewczyno! — Lepiej zachować się nie mogła. — Gdzie mogę położyć dziecko?

Poszła za Lorną do małej sypialni. Obok łóżka na podłodze leżał tu mały materac, przykryty narzutą, a na niej stał koszyk dla niemowlaka. I to wszystko, dziecko nie miało nawet jednej zabawki. Na materacu leżało trochę brudnych pieluch, będących źródłem wstrętnego odoru. Jeanette zgadywała, że materac jest mokry.

Układając dziewczynkę w koszyku, powiedziała łagodnym głosem:

— Jest prześliczna. Czy to prawda, że jej ojcem jest Pippy Light?

Lorna wzruszyła ramionami.

— Przypuszczam, że może być. Dziewczynka jest biała, dlatego przynajmniej wiem, kto nie jest tym cholemym ojcem.

Wybuchła głośnym śmiechem, a dziecko poruszyło się w koszyku.

Usłyszawszy słowa Lorny, Jeanette nie mogła się powstrzymać od grymasu niechęci. Szczęśliwie, dziewczyna źle go odczytała i kiwając głową, powiedziała konspiracyjnym szeptem:

— Masz rację, ostatnia rzecz, jakiej teraz chcemy, to jej przebudzenie.

Na palcach wyszły z sypialni. Jeanette bardzo współczuła dziecku, które musiała zostawić w koszyku na brudnej podłodze obok brudnych i śmierdzących pieluch. Pocieszała się tym, że

dziewczynka jest chociaż czysta i nakarmiona, jeśli nie przez własną matkę, to przynajmniej przez nią. Może kiedyś Lorna okaże się chociaż w miarę poprawną matką, taką miała nadzieję, bo ludzie tacy jak Jeanette byli w ten sposób wychowani, że przenigdy nie zadzwoniliby ani na policję, ani do opieki społecznej, żeby donieść na podobną matkę. Ale będąc u Lorny, Jeanette nagle zrozumiała, po co istnieje policja, po co istnieje opieka społeczna i uprzytomniła sobie, że te instytucje mogą pomóc samotnej matce, a nie zaszkodzić.

Widywała dzieciaki hasające po podwórkach do późnych godzin nocnych, brudne i zaniedbane. Wiedziała jednak, że są kochane i karmione, chociaż nie zawsze regularnie. Tymczasem dziecko Lorny, już się tego spodziewała, stanie się jej sennym koszmarem. Była tego tak pewna jak swego nazwiska.

W kuchni Jeanette pociągnęła z puszki łyk red stripe'a, obserwując, jak Lorna bez powodzenia próbuje zrobić trochę porządku.

— Powiedz mi więc, dlaczego nagle tak cię interesuje Pippy Light?

— Tak po prostu zapytałam.

— Czy twój brat wie, że się nim interesujesz?

Jeanette wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

— On nie wie o mnie wszystkiego. Jedynie lubi myśleć, że wie.

Słyszając to bluźnierstwo, Lorna szeroko otworzyła oczy.

— Ale z ciebie jest kawał krowy, wiesz? Posłuchaj, Pippy'ego przeważnie można znaleźć w jego mieszkaniu. Ostrzegam cię jednak, Jeanette, wyżej własnej dupy nie podskoczysz. Jeżeli chcesz pracować na ulicy, wolę ci dać nazwiska ludzi znacznie mniej wrednych od niego, jeśli mnie rozumiesz. — Podrapała się po głowie. — Czasami robię coś dla niego. Stary, dobry Pippy mnie lubi. Jest dla mnie dobry. Czasami mam z nim problemy, ale daję sobie radę. Uważaj na siebie. Wystarczy jedno spojrzenie Pippy'ego i będzie chciał, żebyś dla niego pracowała. Poza tym lubi wiązać swoje dziewczyny i wtedy je obracać. To jego ulubiona rozrywka. Lubi też uczennice...

— Dobrze płaci?

Lorna popatrzyła Jeanette w oczy.

— Chyba nie zastanawiasz się nad tym poważnie?

Jeanette wzruszyła ramionami.

— I tak pewnie się okaże, że za bardzo boi się mojego brata.

Lorna potrząsnęła głową.

— Nie Pippy Light, kochanie. Pomysł od razu mu się spodoba. On i Jesmond uznają go za fascynujące wyzwanie. Ta dwójka nie boi się nikogo.

Ostatnie zdanie wypowiedziała z pełnym przekonaniem. W końcu ci dwaj chłopacy byli jej przyjaciółmi.

— Gdzie więc jest to jego mieszkanie?

— Mówisz poważnie?

Jeanette pokiwała głową.

— Oczywiście.

— Zadzwoń do niego w twoim imieniu. Poczekaj.

W ten sposób Lorna mogła zarobić u Pippy'ego na dużego drinka i za jednym zamachem pokazać Jon Jonowi, jak bardzo go lekceważy. Rano ludzie z opieki wezmą dziecko, później Pippy da jej pieniądze za Jeanette i jeszcze przed lunchem będzie mogła nawalić się jak autobus.

Cóż, czasami życie przynosiło także miłe niespodzianki.

Joanie dotarła do Sheffield krótko po dziesiątej wieczorem. Zatelefonowała na numer telefonu komórkowego, który Jon Jonowi zostawił Errol i skierowana została do jakiegoś budynku komunalnego na samym skraju centralnej części miasta. Wchodząc po schodach do mieszkania osoby, która powinna zaprowadzić ją do Tommy'ego, rozejrzała się. To miejsce mogło znajdować się wszędzie. Gdyby nie akcent, z jakim ludzie mówili na ulicach, nie potrafiłaby odróżnić, czy się znajduje w Londynie, Cardiff, Manchesterze czy Glasgow. W dowolnym mieście, w którym rada miasta zbudowała dom dla zapomnianych ludzi. Do jej nozdrzy docierały znajome smrody: uryny, potu i sma-

zonego jedzenia. Smród biedy utrwały zapachy narkotyków i alkoholu. Bez trudu rozpoznawała znajomy, piżmowy zapach ludzi uzależnionych od heroiny; dwoje takich minęła w holu, przy schodach. Gdy zaczęła iść po stopniach, odprowadzali ją spojrzeniami. Kobieta była wściekła i hałaśliwa. Głośno, nie przebierając w słowach, wykrzyczała do Joanie, co myśli o tym, że musi się przesunąć, by ją przepuścić. Mężczyzna był od niej młodszy, nieogolony, o zmierzwionych włosach. Nie zauważyłby niczego nawet wtedy, gdyby przez obskurny hol przedefilowała orkiestra dęta. Już dawno odleciał z tej planety, a kiedy na nią wróci, roztrzaska się o jej powierzchnię z większym hałasem niż prom kosmiczny. Na razie jednak go tu nie było, ale był bez wątpienia szczęśliwy.

Joanie ostrożnie zapukała do drzwi właściwego mieszkania. Otworzyła je kobieta o rzednących, rudych włosach i szerokim uśmiechu na ustach.

— Joanie?

W odpowiedzi pokiwała głową.

— Wejdz do środka, kochanie. Znalazłaś nas bez trudu?

Znów skinęła głową, niepewna, co powinna teraz zrobić. Była przestraszona sytuacją.

Kiedy weszła w głąb mieszkania, nagle jakby znalazła się w innym świecie. Ściany z gustem pomalowano różnokolorowymi farbami. W mieszkaniu było nieskazitelnie czysto i jasno, paliły się wszystkie znajdujące się tutaj lampy. W powietrzu unosił się fantastyczny zapach jaśminu i lawendy. Przedpokój miał jasnoróżowe ściany, a naprzeciwko drzwi wejściowych wisiał oprawiony w ramki plakat Marilyn Monroe.

Ściany w salonie pomalowano głęboką, ciemnozieloną farbą, a wszystkie meble były tu jasnozielone. Stoliki miały szklane blaty. Widząc to wszystko, Joanie trochę się uspokoiła. Gdyby było brudno, zapewne odwróciłaby się i wróciła do domu. W gruncie rzeczy przez chwilę i tak się nad tym zastanawiała. Może tak właśnie dla wszystkich byłoby najlepiej?

Wiedziała jednak, że musi już zostać. Wszystko zaszło prze-

cięż za daleko, zdała sobie z tego sprawę z pewnością, która ją przeraziła. Kobieta uśmiechnęła się, ukazując nierówne, ale bardzo białe zęby, i Joanie stwierdziła, że jest o wiele starsza, niż wyglądało na pierwszy rzut oka.

— Herbata, coś mocniejszego, czy i to, i to? — zapytała.

Joanie uśmiechnęła się nieśmiało.

— Może być wódka?

— Jasne. Naleję ci porcję ze szczerego serca.

Pięć minut później obie kobiety siedziały na wygodnej sofie z dużymi szklankami z wódką zmieszaną z colą.

— Wyglądasz na zdenerwowaną, moje maleństwo — powiedziała kobieta.

Joanie uśmiechnęła się.

— To pewnie dlatego, że rzeczywiście jestem zdenerwowana.

Kobieta wyciągnęła do niej rękę i przedstawiła się.

— Jestem Marie Drinkwater, chociaż właściwie powinnam się nazywać Drinkvodka.

Joanie zaśmiała się głośno.

— Moją córkę także zamordowano — powiedziała Marie poważnym tonem. — Kiedy zniknęła, miała siedem lat. Znaleźli ją trzy dni później w mieszkaniu sąsiada. Był miłym facetem i w ogóle, przynajmniej tak o nim przez wiele lat myśleliśmy. Zgwałcił ją i zapakował do worka na śmieci. Została znaleziona w szafie jego sypialni. Okazało się, że wcale nie była jego pierwszą ofiarą. Dostał dwa lata za molestowanie i osiem za morderstwo. A po jej zniknięciu nawet pomagał nam w poszukiwaniach. Widzisz, nikt wtedy nie przypuszczał, że przytrafiło się jej coś złego. — Dwoma dużymi łykami Marie wypła swoją wódkę. — Minęłaś to mieszkanie, kiedy szłaś na górę. Jego matka wciąż tam mieszka, przyzwoita kobieta, która w głębi serca jest martwa z powodu syna.

Marie naląła sobie kolejną dużą porcję wódki.

— Dopóki to się nie wydarzyło, nigdy w życiu nie miałam w ustach alkoholu. Teraz wciąż rozmyślam, co ja robię, wciąż żyjąc, skoro jej już nie ma, skoro światło mojego życia już zgasło.

Widzisz, Joanie, ludzie potrafią współczuć, ale nie potrafią zrozumieć, dopóki nie przydarzy im się coś podobnego. Ile razy czytałaś gdzieś albo słyszałaś, że zaginęło dziecko, i myślałaś, jakie to straszne, a potem przyciskałaś do piersi własne dzieci i cieszyłaś się, że są przy tobie? Były przy tobie, więc zamykałaś gazetę albo wyłączałaś telewizor i zapominałaś o cudzym nieszczęściu, aż do następnego razu. — Wyjrzała przez okno i powiedziała ze smutkiem: — Nikt, poza nami, nie wie, jakie są dla nas noce, gdy przypominamy sobie twarze naszych dzieci i zastanawiamy się, czy broniły się, czy może wykrzykiwały słowo „mama” w ostatnich chwilach życia. A przecież wiemy, że tak krzyczały, ponieważ byłyśmy ich mamusiami, a mamusie są dla małych dzieci takie ważne. One wierzą, że matki mogą wszystko. Tymczasem nie mogłyśmy zrobić dla nich nic akurat wtedy, kiedy byłyśmy im najbardziej potrzebne. — Ujęła dłoń Joanie. — A potem sprawa sądowa, kiedy patrzysz na drania, który jest sprawcą śmierci dziecka i zdajesz sobie sprawę, że wykręci się ledwie kilkoma latami odsiadki. Czy wiesz, że większość pedofilów powraca do swojego ohydneho procederu po około sześciu tygodniach od wyjścia z pudła? Składam to na karb arogancji prze-mądrzałych psychiatrów, wierzących, że potrafią wyleczyć kogoś, kogo wyleczyć nie można. Mężczyzna, który lubi seks z blondynkami, zawsze będzie lubił seks z blondynkami. Mężczyzna, który woli brunetki, zawsze będzie wolał brunetki. A taki, który pragnie seksu tylko z dziećmi, zawsze będzie pragnął seksu z dziećmi. Zabij go, kochanie, albo ja to zrobię za ciebie, jeżeli chcesz. Wiem, co przeżywasz, co czujesz. Widzę to w twoich oczach. — Ścisnęła dłoń Joanie i powiedziała łagodnie: — W tym kraju nie ma sprawiedliwości, przynajmniej sprawiedliwości dla ofiar. Pieniądze i własność, tylko o to dbają sądy. Złodziej, który okradnie bank, dostaje dłuższy wyrok niż pedofil, pomyśl tylko o tym.

Joanie poczuła, że wreszcie natrafiła na pokrewną duszę. Bez wątpienia tak było. Marie lepiej, niż ktokolwiek inny, wiedziała, przez co przechodzi Joanie. Przecież sama była w takiej sytuacji.

Przyszła kolej na jej ruch.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Jon Jon popatrzył na dziewczynę leżącą obok niego w łóżku. Była czarna, miała potargane włosy i wspaniałą, kształtną dupcię. Piękna, inteligentna i droga. Bardzo droga. Na imię miała Candace. Przez kilka godzin należała do niego i warta była każdego pensa. Była zgrabna, gibka i doskonała w seksie.

Prawdziwa profesjonalistka.

Zanim przeszli do rzeczy, poinformowała Jon Jona, że rzadko daje dupy za nic. Że cała idea jej zawodu polega na zarabianiu dupą pieniędzy, a puste przebiegi nie są jej specjalnością. Właściwie to nigdy nie pierdoliła się za darmo. Jon Jon uwierzył jej.

— Płacisz albo spieprzaj z podkulonym kutasem — powiedziała. Jej słowa bardzo go rozbawiły.

Tej nocy był jednak pijany i oszołomiony narkotykami. W zimnym świetle poranka słowa Candace nie wydawały mu się już zabawne, chociaż, rozglądając się po jej mieszkaniu, musiał przyznać, że ideę swojego zawodu pojęła doskonale. Żałował, że matka nie zarabiała tyle pieniędzy, co ona. Być może wówczas odłożyłaby trochę na stare lata, kiedy już nie będzie zdolna do pracy.

Candace była bystra i sprytna, ale była także chłodna i wyrachowana. Czuł, że za pieniądze sprzedałaby własną matkę. Forsa była jej bogiem, przyznawała to bez większych ceregieli. Jon Jon rozmawiał z nią o wszystkim i o niczym przez dobrą godzinę, zanim wyjechali z imprezy. Teraz był na siebie zły, ponieważ mógł sobie przecież wybrać jedną z wielu pizdeczek, które by mu przecież dały za darmo. Dziewczyny garnęły się ostatnio do niego nieprawdopodobnymi gromadami.

Teraz Candace zaczęła coś zrzędzić, że ma uregulować rachunek, a Jon Jonowi wcale się to nie podobało.

Wczoraj jej pragnął, dzięki narkotykom i alkoholowi, teraz jednak postanowił przekazać jej złą wiadomość: nie była warta pieniędzy, których żądała. Pieprzyła się z nim na odczepnego i go tym zdenerwowała. Pod tym względem był jak Paulie: uważał, że powinien być traktowany o wiele lepiej niż przeciętny klient. Tymczasem dla Candace mógł być kimkolwiek. Właściwie, zastanawiał się, czego od niej naprawdę chciał? Czy dlatego, że jest czarny, spodziewał się, że nie będzie go traktowała jak pierwszego lepszego palanta?

Candace jednak zaraz go wyprostowała. Dla niej każdy klient zawsze był pierwszym lepszym palantem.

Nagle Jon Jona ogarnęła wściekłość. Miał wielką ochotę na kłótnię. Z równym powodzeniem mógł się kłócić z Candace jak z kimkolwiek innym. Ale dziewczyna była doskonałym przeciwnikiem do zwady, ponieważ twardo stała na swoim stanowisku.

— Właściwie, do czego zamierzasz mnie przekonać, chłopcze? — zapytała groźnym szeptem.

Patrzyła na niego dużymi, brązowymi oczami. Widział, że jest autentycznie urażona jego zachowaniem. Wzruszył jednak ramionami i powiedział z silnym londyńskim akcentem:

— Ja za to nie płacę.

Roześmiała się i wciąż się śmiejąc, wyciągnęła w jego kierunku wskazujący palec. Niemal dźgnęła go w twarz, mówiąc:

— Teraz zapłacisz. Zanim wskoczyliśmy do pościeli, powiedziałam ci, jakie są moje stawki. Nawet zabrałam cię do mojego domu, nie musisz więc płacić za hotel, chłopcze. Dotrzymaj swojej części umowy, bo ja dotrzymałam swojej.

— Nic z tego, damulko. Już ci powiedziałem, że nie płacę.

Podparła się na łokciu i popatrzyła mu głęboko w oczy.

— Ty pierdolony onanisto.

— Nazywano już mnie gorzej.

Powoli wyszedł z łóżka, przez cały czas czując na sobie jej wzrok. Sądził, że Candace chce go zaatakować, ale wiedział, że

tego nie zrobi, ponieważ zasadniczo był jej pracodawcą. Czuł jednak, że przynajmniej werbalnie będzie walczyła o swoje. Albo miał taką nadzieję.

— Powiem wprost: jesteś marnym jebaką, możesz mi wierzyć — odezwała się stanowczym głosem.

Wypowiedziawszy te słowa, odwróciła się do Jon Jona tyłem i zamknęła oczy, jakby chciała jeszcze spać.

Jon Jon poszedł do kuchni i przygotował sobie filiżankę kawy. Spodziewał się, że dziewczyna w każdej chwili, jak dzika kotka, przyjdzie za nim, jednak nawet się nie ruszyła z sypialni.

Mieszkanie bardzo mu się podobało. Wszystko było tu piękne, starannie dobrane i w najmniejszych detalach pasowało do samej Candace. Ściany były białe, dywany kremowe, wokół okien wisiały pięknie udrapowane zasłony.

Wszystko było poza tym tak sterylne, jakby nikt tutaj nie mieszkał. Dom na pokaz, dla ludzi na pokaz, udających, że naprawdę żyją. Doskonałym życiem. Jak w reklamie. Taka właśnie była Candace, czy sobie z tego zdawała sprawę, czy nie. Jak wiele dziwek, miała swoją kryjówkę akurat tutaj. Tutaj żyła, udając przed samą sobą, że wykonuje zwyczajny zawód. Tak jak udawała, że lubi mężczyzn, którzy jej płacą, że wiedzie wspaniałe życie, ponieważ może sobie pozwolić na dobre ubrania i miłe mieszkanie. Dziwki z niższej półki przynajmniej nie siliły się na takie udawanie.

Mężczyźni, którzy wydawali na nią małe fortuny, chcieli jednak czuć, że dziewczyna naprawdę ich pragnie, a pieniądze są tylko sprawą uboczną. Płacili, by udawała, że podziwia ich zwijsające brzuchy, nogi sine od żyłaków i pomarszczone kutasy. Musiała być jak aktorka, tyle że nikt nie zamierzał dawać jej żadnych nagród, poza pieniędzmi wynegocjowanymi przed pójściem do łóżka, ewentualnie jeszcze kilkoma dodatkowymi funtami jako premią. Jon Jon zamknął oczy, rozważając zniszczenie, jakiemu ulega życie uroczej, młodej dziewczyny.

Pomimo posiadania ładnych ciuchów i pięknego mieszkania Candace nie miała niczego, była emocjonalnym bankrutem. Nic

dziwnego, że jego własna matka tak chętnie okazywała wobec niego i rodzeństwa wielką macierzyńską miłość. Było to w jej życiu jedyne prawdziwe uczucie.

Wypił kawę i przez kuchenne okno wyjrzał bezmyślnie na Londyn, obserwując, jak świat powoli budzi się do życia. Wzdłuż Portobello Road sunęło kilka czarnych limuzyn, do których dopiero co załadowali się ostatni nocni hulacy. Zapalił jointa i głęboko się zaciągnął.

Zaczął się zastanawiać, co właściwie tutaj robi. Wyszedł z łóżka, dlaczego więc nadal tkwi w mieszkaniu Candace? Co więcej, dlaczego podobne sytuacje przydarzają mu się ostatnio coraz częściej? Zachowywał się tak, jakby po prostu chciał czuć się zraniony i nieszczęśliwy, jakby chciał czuć się wykorzystany. Tak, chyba właśnie dlatego zachowywał się w ten sposób.

Uczucie niechęci do samego siebie było przynajmniej jakimś uczuciem. Od czasu zniknięcia Kiry bał się, że stracił wszelką zdolność do przeżywania zwyczajnych, ludzkich uczuć i to go przerażało. Wydmuchując dym za okno, przypomniał sobie twarzyczkę siostrzyczki i się uśmiechnął.

Wtedy wrócił do sypialni. Candace wciąż leżała tak, jak ją zostawił. Położył więc delikatnie dłoń na jej ramieniu, żeby ją odwrócić. Spodziewał się, że będzie nadąsana, wciąż zła z powodu jego odmowy zapłacenia za usługę i zamierzał jednak dać jej pieniądze, nawet więcej, niż żądała. Nie chciał jej skrzywdzić, zasadniczo była przecież dobrą, młodą dziewczyną. No i była uczciwa, stawiała kawę na ławę.

W końcu układ był układem. A Candace dotrzymała swojej części i nie miało znaczenia, że jej stawki były bardzo wysokie.

Niespodziewanie Jon Jon zdał sobie sprawę, że dziewczyna naprawdę śpi, ponieważ odepchnęła jego rękę i ponownie odwróciła się, cicho chrapiąc i pogrążając się we śnie jeszcze bardziej.

Wprost nie mógł w to uwierzyć.

Zaczął się łagodnie śmiać.

W gruncie rzeczy Candace pokazała klasę. Przełknęła jego

słowa i to też było godne podziwu. Wiedziała, że z nim nie wygra, więc nie rzucała się w wir z góry przegranej wojny. Nie zdała sobie jeszcze z tego sprawy, ale jej wartość w oczach Jon Jona wzrosła stukrotnie, chociażby ze względu na jej pragmatyczne zachowanie.

Przysiadł na skraju łóżka i śmiał się tak długo, aż jego śmiech zaczął powoli, stopniowo przechodzić w płacz. Czuł się samotny, tak bardzo samotny, zraniony i nieszczęśliwy. Były to uczucia, do których wciąż nie potrafił się przyzwyczaić. Zniknięcie Kiry pozostawiło w jego życiu wielką dziurę, której już nikt nigdy nie będzie w stanie zasypać. Gdy ktoś ginął tak młodo jak ona, najbliżsi zawsze mieli podobne problemy. Zaginioną osobę zawsze już będzie się pamiętało jako istotę bez żadnych przywar i win, ponieważ takie dziecko jeszcze ich na swoim sumieniu nie miało. Pozostawało w pamięci niezepsute, dobre na zewnątrz i wewnątrz.

Jon Jon złożył głowę na dłoniach i głośno załkał. Candace wciąż leżała obok i spała.

A on jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak samotny jak teraz.

Dla matki i dla sióstr zawsze robił wszystko, co było w jego mocy. Gdy raz go zabrakło, spadła na nich wielka tragedia. To była jego wina. Nie dbał o Kirę tak, jak powinien, nie było go przy niej, kiedy go najbardziej potrzebowała. Już do końca swoich dni będzie musiał żyć z wielkim poczuciem winy.

.....Gdyby tamtego dnia czuwał przy siostrzyczce, nic złego by się jej nie przytrafiło. Wciąż by była razem ze wszystkimi. Nadał by prasował jej szkolny fartuszek, przygotowywałyby śniadania. Każdej nocy byłby w domu, zamiast spędzać je w towarzystwie typów spod ciemnej gwiazdy i prostytutek, w poszukiwaniu czegoś, czego pewnie nigdy nie będzie mu dane znaleźć. Rozleciała mu się cała rodzina, rozbita w drobny mak przez kogoś, komu — jak sądził i on, i matka — mogli ufać. Ale mu jeszcze za to zapłaca, Tommy i jego ojciec. Dziś rano miał zamiar pojechać do Birmingham, a zaraz potem do Sheffield, jeżeli to się okaże konieczne.

Niespodziewanie poczuł czyjąś rękę otaczającą jego ramiona.

— Dobrze się czujesz?

Wreszcie Candace się obudziła.

— Tak, dobrze.

Delikatnie pocałowała go w czoło.

— To było za darmo, jeżeli chcesz.

Uniosła jedną starannie wyczesaną brew. Wyglądała bardzo pięknie i bardzo młodo.

Jon Jon z trudem uśmiechnął się do niej.

— Myślisz o swojej siostrze, Jon Jon?

Odniósł wrażenie, że dopiero teraz słyszy prawdziwą Candace. Wreszcie była sobą, odrzuciła pozę luksusowej prostytutki.

W odpowiedzi pokiwał głową.

— To musi być straszne, niewiedza, co się z nią stało. Ten facet, który zwiął... czy za jego głowę jest jakaś cena?

Jon Jon znów skinął głową, uważnie teraz patrząc na dziewczynę.

— Oczywiście, że jest.

— A jeżeli ktoś wiedziałby coś, co mogłoby... — Zakaszłała nerwowo. — Powiedziałam „wiedziałyby” o jakimś śladzie, który mógłby cię doprowadzić... Czy pieniądze można by wypłacić w absolutnej tajemnicy? To znaczy tak, żeby nikt nigdy się nie dowiedział, skąd uzyskałeś informacje?

Znowu pokiwał głową, zastanawiając się, do czego Candace zmierza.

Uklękła na łóżku i objęła dłońmi jego szyję. Poczuł jej małe piersi, przyciskające się do jego pleców i go to poruszyło. Nawet w takim stanie, w jakim się znajdował w tej chwili, reagował na jej dotyk natychmiastowym pożądaniem.

— Chyba wiesz, że są ludzie, którzy potrzebują dzieci, prawda? Ludzie, którzy gotowi są zapłacić za dziecko. I którzy płacą.

Jon Jon odwrócił głowę, żeby popatrzeć na dziewczynę.

— Właściwie o czym mówisz?

Candace westchnęła. Następnie usiadła obok niego i oparła się kołdrą. Kiedy odezwała się do niego poważnym głosem na jej ślicznej twarzy malowała się szczerłość i zmartwienie.

— Ale to będzie tylko pomiędzy tobą i mną, dobrze? To, o czym ci powiem, nie wyjdzie z tego pokoju, zgoda?

Pokiwał głową. Strach dziewczyny był niemal namacalny. Nie chciał, żeby w tej chwili jeszcze bardziej się denerwowała.

— Oczywiście. Mów.

Robił się niecierpliwy. Joint, którego wypalił, wprawiał go w stan paranoi. Odnosił wrażenie, że za chwilę eksploduje mu głowa.

— Ale mi obiecaj. Musisz przyrzec, że nigdy nikomu nie powiesz, że usłyszałeś to ode mnie.

Miał już tego dosyć. Czuł się, jakby rozmawiał z wywiadem.

— Do kurwy nędzy, Candace, przyrzekam. A teraz mów, co wiesz.

Patrzyła na niego, jakby wciąż się decydowała, czy może mu zaufać. Wreszcie odezwała się:

— To Jesmond. Zakładam, że go znasz?

Jon Jon pokiwał głową. Intensywnie myśląc, zmarszczył czoło.

— No i co z tym Jesmondem?

Candace westchnęła. Jon Jon zdawał sobie sprawę, że jest przerażona, ale wiedział też, że chce wyciągnąć od niego pieniądze. Candace była jedyną z niewielu spotkanych przez niego prostytutek, które naprawdę oszczędzały forszę i myślały o przyszłości.

— Słyszałam od jednej z dziewczyn, wiesz, jak czasami sobie rozmawiamy, że zaspokajał potrzeby pewnego klienta, który gustował w dzieciach. Zazwyczaj chodziło o chłopców, ale kilka małych dziewczynek także przewinęło się przez jego dom. Dahlia mi o tym opowiadała. Jedna z jej sióstr jest na tyle uzależniona od kokainy, że aby ją zdobyć, chętnie wypożyczała swoją córkę, Mirabell. Dziecko jest teraz co prawda w sierocińcu, ale wcześniej wydawała ją na imprezy do tego faceta. Ładne mi imprezy. Wcale nie dostawała na nich lodów i galaretki. A Dahlia... Kurwa, człowieku, ona teraz nienawidzi Jesmonda. Obgaduje go przy każdej okazji. Mała, wtedy dziewięcioletnia dziewczynka to sama niewinność. A dziecko było naprawdę śliczne.

Widzisz, Jesmond sam lubi małe dziewczynki. Plotki mówią, że im takie dziecko jest młodsze, tym dla niego lepsze.

Jon Jon wpatrywał się w kobietę, starając się szybko przetrwać znaczenie jej słów.

— Jesmond? Nigdy nie słyszałem na jego temat niczego takiego.

Candace wyczuła w jego głosie niedowierzenie. Pokiwała więc głową.

— Niczego nie usłyszałeś ode mnie, zgoda? — powiedziała szybko. — Ale jeśli się okaże, że Jesmond coś wie, jesteś mi winien forszę, jasne? Jeśli ci Thompsonowie tak uwielbiali małe dzieci, są szanse, że mieli z nim wspólne interesy. Mieszkali w tej samej okolicy i dzielili wspólne upodobania. Jesmond może wiedzieć, gdzie oni teraz są. On wszystko wie o swoich klientach, ma w głowie wszystkie informacje o nich i sypie nimi bezbłędnie, kiedy tylko trzeba. Nigdy sobie nic na ich temat nie zapisuje, ale potajemnie kręci ich na wideo. Poza tym zajmuje się pornografią dziecięcą w Internecie. Kilka lat temu dla niego pracowałam. Jako dziewczynka w szkolnym mundurku... Sam rozumiesz.

Jon Jon wpatrywał się w nią, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu.

— Uczestniczyłaś w tych pedofilskich, zboczonych seansach?

Candace westchnęła.

— Nie, głuptasie. Byłam już dużą dziewczynką, przebraną za małą dziewczynkę. Wiesz, jak to jest. To opłacalna robota, a poza tym tak naprawdę nikt wtedy nie widzi twojej twarzy.

Z trudem, ale powoli dostrzegał w jej słowach logikę. Jeśli Tommy i jego ojciec brali w tym wszystkim udział, było całkiem logiczne, że mieli związki z podobnymi sobie zboczeńcami. A Jesmond musiał przechowywać informacje o klientach jedynie w głowie. Nikt o zdrowych zmysłach niczego takiego przecież by nie zapisywał.

— Jeśli coś z tego wykorzystasz, dostanę nagrodę? — naciskała Candace.

Jon Jon pokiwał głową.

— Tak, bez wątpienia dostaniesz nagrodę.

Po chwili wyszedł od niej, a po kolejnej chwili zupełnie zapomniał, że planował dzisiaj pojechać na północ. Musiał się natychmiast zająć sprawami, o których przed chwilą usłyszał.

Marie i Joanie stały przed domem opieki Sunny Day. Marie obserwowała to miejsce od wielu dni i wiedziała, że wielki, gruby pacjent z okropnymi poparzeniami codziennie po lunchu wyprowadzany jest na spacer. Jeffrey Palmer, tak go tutaj nazywali. Ona nazywała go śmierdzącym gnojem. Wystarczyło jedno spojrzenie na niego, a od razu zbierało się na wymioty. Dlatego, że wyglądał wprost ohydnie, ale także dlatego, że wiedziała, co zrobił dziecku, czego się dopuścił. Cóż, w tej sprawie nie tylko zarabiała najłatwiejsze pieniądze w życiu, ale był to także najbardziej satysfakcjonujący zarobek.

Teraz prowadziła do niego matkę ofiary. Stanowiło to dla niej przeżycie niemal religijne. Także słodką zemstę za to, co stało się z jej własnym dzieckiem. Zmiecenie z powierzchni ziemi wszelkich drapieżców uważała za swoją życiową misję.

Lorna i Pippy byli razem w pubie. Godzina była ledwie jedenasta, a oboje mieli już dobrze w czubie. Pracownica opieki społecznej pojawiła się u Lorny po dziecko bardzo wcześnie rano i dziewczyna została uwolniona od obowiązków macierzyńskich znacznie wcześniej, niż się spodziewała. Krótco potem sprawnie przygotowała się do wyjścia, co znaczyło u niej szybkie przepłukanie wodą pachwin, wyperfumowanie się, niedbałe przeczesanie włosów i włożenie ostatniej pary brudnych dżinsów oraz bawełnianej koszulki. Teraz siedziała w pubie i piła wino jabłkowe zmieszane z brandy, negocjując dla siebie jak najlepszą wypłatę za skierowanie do Pippy'ego młodocianej siostrzyczki Jon Jona Brewera. Co za wspaniały dzień!

— Jej matka pracuje na ulicy, prawda? — wypytywał Pippy.
Lorna pokiwała głową.

— Prawdę mówiąc, stara Joanie to porządna babka. Nie słyszałam, żeby kiedykolwiek powiedziała na kogoś złe słowo.

— Co zatem sprawia, że mała Jeanette chce się dostać w moje łapy? Przecież jej alfonsiem może być z powodzeniem Jon Jon.

Lorna ze zniecierpliwieniem wzniosła wzrok ku sufitowi.

— Och, Pip, rusz, kurwa, łbem. Ona nie chce pracować w ten sposób i nie na stałe. Dziewczyna chciałaby to robić tylko od czasu do czasu i zarabiać trochę większą forszę. Poza tym wcale nie jest najbrzydsza.

— Ile ma lat?

— Czternaście albo coś około tego. Próbuje wyglądać na starszą.

Pippy wyszczerzył zęby.

— Uczennica!

Lorna roześmiała się głośno razem z nim.

— Powiedziałam jej, że cię nią zainteresuję.

Pippy przetarł brudną ręką nieogolony policzek.

— Oczywiście za forszę?

— Oczywiście. Chcę sto funciaków. — Lorna znowu się uśmiechnęła. — Płatne z góry, bo za dobrze cię znam. Jeżeli dasz mi forszę teraz, doprowadzę ją do ciebie, kiedy tylko będziesz chciał.

— Jasne, ty żalosna dziwko.

Usłyszawszy jego słowa, Lorna aż pisnęła z zadowolenia.

— Uważaj, do kogo, kurwa, mówisz! Sam nie jesteś bynajmniej pierdolonym Justinem Timberlake'em!

— Dopóki nie skończę z tą małą Brewer, nie będzie miała, kurwa, pojęcia, kim jestem, kochanie. Jeśli jej każę, będzie się pierdoliła z nogą od stołu.

Lorna wiedziała, że to prawda. Pippy przerażał swoje dziewczęta, a jedynym powodem, dla którego sama trzymała z nim tak długo, było jej uzależnienie od narkotyków i fakt, że z jakiegoś powodu ją lubił. Pippy nie musiał grozić; od początku do końca

była gotowa robić dla niego wszystko, byleby tylko dostać od niego swoją działkę. Zresztą wyglądała ostatnio okropnie, dlatego zatrudniał ją jedynie, gdy trafił się jakiś mało wymagający klient albo kiedy już nie miał naprawdę nikogo innego pod ręką. Ale ostatnio, od kiedy zaczęła się roznosić plotka o jego zainteresowaniu dziećmi, klientami byli wyłącznie ludzie najgorszego autoramentu. Zdegenerowana piętnastoletnia dziewczynka ze śladami po nakłuciach na ramionach już nie nadawała się do pracy przy nich. Tymczasem Jeanette mogła się okazać doskonała do tych celów, mogłaby się pieprzyć z facetami zainteresowanymi młodziutkimi ciałami przez całe tygodnie.

Do tego czasu Jon Jon stracił na nią resztki wpływu.

Ale Lorna była na tyle bystra, by rozumieć, że Jon Jon bez wahania wyprawi ją w przestrzeń kosmiczną, jeżeli tylko się o tym dowie. Równie groźna mogła się dla niej okazać matka Jeanette.

Zastanawiała się więc, czy nie przegina, czy nie igra z ogniem, jednak czuła już paczkę heroiny w kieszeni spodni, a jej magia była o wiele silniejsza niż strach przed Jon Jonem Brewere. Tak długo, dopóki będzie trzymała usta zaciśnięte na kłódkę, nic złego się nie zdarzy.

Wyszła do toalety, żeby dać sobie w żyłę i się ożywić. Kiedy igła trafiła w żyłę, nagle odczuła wielką ulgę, zapomniała o trawiącym ją bólu. Usiadła na zniszczonym sedesie i stopniowo zaczęła przechylać się na brudne rury kanalizacyjne, przez cały czas wdychając odór cudzych fekaliów. Znów było jej dobrze. Oby tak zawsze.

Jesmond miał właśnie spotkanie ze swoim księgowym, który w gruncie rzeczy był windykatorem jego długów. Ksywę „księgowy” nosił dlatego, że dokładnie zapisywał wszystkie transakcje Jesmonda. W przeciwieństwie do kilku innych mężczyzn, którzy dla niego pracowali, Bernard Lee nigdy nie ograbił żadnego dłużnika nawet z jednego pensa, którego ten by nie był winien. Każdy, kto mu zapłacił należną kwotę, dostawał w zamian

spokój. Ale jeśli się ociągał albo próbował oszukiwać, Bernard był znacznie groźniejszy niż wszyscy inni windykatorzy razem wzięci.

Sposobem Bernarda na odzyskiwanie pieniędzy było sprawianie bólu członkom rodziny, a nie osobom, które rzeczywiście były winne pieniądze. Myślał następująco: nie warto kierować do szpitala osobnika, który wisi forszę, bo przecież ze szpitala trudno mu będzie ją zbierać, żeby uregulować dług. Lepiej niech w szpitalu poleży jego żona. Poczucie winy i przerażenie sprawia, że facet zapłaci należne pieniądze jeszcze szybciej niż w jakiegokolwiek innej sytuacji.

Była to, jak mawiał Bernard, czysta ekonomia.

W kręgu znajomych był bardzo lubiany. Zawsze był dobry dla ludzi, o których się troszczył, mieszkał z przyjemną dziewczyną i jej dwoma milutkimi chłopcami. Dziewczyna naprawdę sądziła, że jej chłopak jest księgowym.

Bo w rzeczywistości miał kwalifikacje księgowego, jednak zajmowanie się skomplikowanymi księgami rachunkowymi klientów i zwrotami podatków zupełnie mu nie odpowiadało. Mieszkał w Surrey, w okolicy zamieszkiwanej głównie przez maklerów giełdowych i sprawiał wrażenie typowego przedstawiciela klasy średniej. Jednak Bernard miał w swojej naturze pewne dziwactwo, z czego zdał sobie sprawę już jako bardzo młody człowiek. Lubił po prostu zadawać ludziom ból i lubił patrzeć, jak cierpią, bynajmniej nie mając z nimi jakichś osobistych zatargów czy urazów. Po prostu to lubił. Nie miał też żadnych zahamowań w zadawaniu cierpień, szczególnie jeśli stawkę stanowiły jakieś pieniądze.

Był dobrze zbudowanym, przystojnym mężczyzną o jasnych włosach i magnetyzującej osobowości. Pracę poborcy długów przyjął, żeby jakoś opłacić naukę na uniwersytecie i przypadkowo wówczas odkrył w sobie prawdziwe powołanie życiowe. Skończył studia i doskonale wiedział, że będzie po nich potrzebował jakiejś przykrywki dla zajęcia, które miało być zasadniczym źródłem dochodów. Dwadzieścia lat później był bogaty i szano-

wany. Między innymi doskonale zainwestował pieniądze w nieruchomości, dzięki czemu żył w luksusie i w świętym spokoju.

Jesmond szanował go, a on szanował Jesmonda. Nie odwiedzali się w domach; nie musieli. Rzadko widywano ich razem, ale doskonale współpracowali jako zespół i wzajemne towarzysztwo zawsze sprawiało im przyjemność. Ich związek przynosił obu mężczyznom wielkie korzyści finansowe.

Teraz popijali kawę cappuccino na zapleczu klubu wynajmującego hostessy, a należącego do Jesmonda, i rozmawiali.

— Co więc chcesz, żebym zrobił?

Jesmond wzruszył ramionami. Był mocno zbudowany, silny i w miarę, jak się starzał, obrastał tłuszczem, pił bowiem za dużo guinnessa i białego rumu oraz jadł za dużo baraniny i smażonych bananów.

— Obecnie facet jest mi winien piętnaście tysięcy, chcę więc, żeby cierpiał. Albo powiem inaczej, chcę, żeby cierpiał ktoś mu bliski. Ma nastoletniego syna, bardzo miłego i bystrego, zdaje się, że wybiera się do Oksfordu. Może nim się zajmiesz?

Bernard pokiwał głową.

Dzieciaki zawsze były dobrym popychaczem, jeśli ktoś odmawiał płacenia. Można było więc założyć, że ojciec chłopaka pożyczycy pieniądze od pierwszego lepszego lichwiarza, byleby tylko zapłacić Bernardowi, a potem będzie się martwił, co dalej. Bernarda to już zupełnie nie obchodziło, o ile tylko dostał to, czego chciał. Jeszcze się nie zdarzył nikt, kto by nie zapłacił długu Bernardowi Lee.

Dopisał tę ostatnią instrukcję do listy spraw do załatwienia. Zanosilo się, że przez kilka najbliższych dni będzie bardzo zajęty, ale zarobi przynajmniej czterdzieści tysięcy. Całkiem sympatyczna kwota.

W tym momencie, zakłócając domową sielankę, do mężczyzn podszedł Jon Jon, miły i wesolutki, z serdecznym uśmiechem na twarzy. Znał Bernarda, który czasami pracował także dla Pauliego, dlatego specjalnie się jego obecnością nie przejął, ale

zwiększył czujność. Bernard wpływał w ten sposób na każdego, kto go znał.

— Cześć, Jon Jon. — Zobaczywszy go, Bernard zdawał się autentycznie zadowolony. — Jak leci?

— Nieźle. A co u ciebie?

Bernard zdał sobie sprawę, że z nadejściem Jon Jona atmosfera lekko się popsuła, jednak nie zmartwiło go to. W końcu pracował dla Pauliego. Jesmond o tym wiedział i nic nie mógł poradzić, bowiem Bernard Lee był panem samego siebie. Alè, niestety, Bernard lubił Jon Jona Brewera, ponieważ widział w nim siebie samego jako młodego człowieka.

Jesmond uważnie przyjrzał się swojemu nowemu gościowi.

— Co mogę dla ciebie zrobić?

Pytanie zadane zostało bardzo przyjaznym tonem i Jon Jon uśmiechnął się rozbijając.

— Chciałbym, żebyś mi wyświadczył przysługę. Potrzebuję pewnej informacji.

Wysunął spod stołu krzesło i usiadł nieproszony, co nie uszło uwadze pozostałych mężczyzn. Ujrzawszy totalne zaskoczenie na twarzy Jesmonda, Bernard z trudem zdusił śmiech.

— Czego chcesz? To Paulie cię przysłał?

Jon Jon potrząsnął przecząco głową. Jego dredy wyglądały bardzo dziecinnie w porównaniu z bujną czupryną Jesmonda.

— Mów więc — zażądał Jesmond. — Na co czekasz?

Był już porządnie wkurzony. Miał niemal pewność, że Jon Jon sobie z niego drwi, lecz wciąż nie wiedział, na czym te drwiny polegają.

Jon Jon z szacunkiem popatrzył na Bernarda Lee i lekko uniósł jedną brew. Teraz Jesmond uśmiechnął się, ukazując usta pełne drogich, złotych zębów.

— Cokolwiek masz do mnie, Jon Jon, możesz to powiedzieć przy Bernardzie.

Nawet Jesmond niechętnie musiał przyznać, że jest pod wrażeniem sposobu, w jaki chłopak poprosił go o możliwość zamienienia kilku słów na osobności. Większość ludzi znających Ber-

narda nie miałyby na tyle twardych jaj, żeby w ten sposób się zachować. Poza tym Jesmond zauważył, że Jon Jon zadziwił samego Bernarda, co także było niezwykle.

— Wiesz, Jesmond, że moja siostra zaginęła?

I Jesmond, i Bernard natychmiast przybrali smutne, pełne współczucia miny, po czym z powagą pokiwali głowami.

— Cóż — kontynuował Jon Jon. — Słyszałem skądinąd, że dostarczasz dzieciaki pedofilom.

Zszokowany Jesmond popatrzył na Jon Jona, po czym jego wzrok przesunął się na Bernarda. W następnym ułamku sekundy rzucił się na Jon Jona jak oszalały niedźwiedź grizzly. Jednak minimalna zwłoka w ataku sprawiła, że chłopak się na niego przygotował. Odpowiedział skutecznym kontratakiem.

Zanim Bernard zdołał wykonać jakikolwiek ruch, Jon Jon wykręcił rękę Jesmonda i celnym kopniakiem odebrał mu ochotę do jakiegokolwiek oporu. Jesmond padł na kolana, skulił się i przez chwilę starał się jedynie nie zwymiotować na podłogę.

— Narobiłem już dosyć, żeby rozpocząć z tobą wojnę, Jesmond. Twoim ludziom na zewnątrz powiedziałem, że mamy ważne spotkanie i że nie powinni nam przeszkadzać. Zresztą, nie wystraszysz mnie nimi, przyjacielu. Teraz chcę, żebyś mi odpowiedział na kilka pytań. Najpierw powiedz, czy dostarczasz towar dla zboczeńców?

— Lepiej powiedz mi, czego żąda, Jesmond. Twoją odpowiedzią jestem równie zainteresowany jak Jon Jon.

Oczy Bernarda były śmiertelnie zimne, kiedy patrzył na mężczyznę powalonego na podłogę tuż u jego stóp. Jon Jon pomyślał, że wolałby się znaleźć w klatce pełnej tygrysów, niż być obiektem, na który pada takie spojrzenie.

Jesmond oddychał ciężko. Wiedział, że następne kilka zdań, które wypowie, zadecyduje o jego być albo nie być w układzie z Bernardem Lee. Zastanawiał się, skąd Jon Jon uzyskał wiadomość o ich spotkaniu, ponieważ obecność Bernarda podczas ich starcia rzucała na całą sytuację zupełnie inne światło. Wszyscy trzej o tym wiedzieli.

A już nikt lepiej od' samego Bernarda.

Nagle Jesmond przypomniał sobie, że to właśnie Bernard poprosił go o spotkanie. Czyżby to więc była jakaś cholerna pułapka? Jeżeli tak, on, Jesmond, mógł już się uważać za martwego.

Jon Jon usiadł na krześle. Wyciągnąwszy jointa, zapalił go i głęboko się zaciągnął. Dopiero wtedy posłał Bernardowi uśmiech i stwierdził:

— Uważam to za odpowiedź twierdzącą. Czy się mylę?

Marie patrzyła, jak Mały Tommy wyjeżdża na wózku na świeże powietrze. Wyglądał wstrętnie. Już sama jego tusza nie zjednywała mu u nikogo sympatii, a ciężkie poparzenia uczyniły go niemal zupełnie łysym, cała skóra na głowie była pomarszczona i fioletoworóżowa. Ucierpiały także ręce. Palce sprawiały wrażenie, jakby były pokryte jakąś wstrętną, oślizgłą błoną. Żaden pacjent z nim nie rozmawiał, ale w gruncie rzeczy Tommy z nikim nie miał raczej wspólnego języka.

Był jasny, słoneczny dzień. W powietrzu unosił się jednak chłodny wiatr, chwilami dość porywisty. Marie mocniej otuliła się płaszczem, wiedząc, że to wcale nie pogoda powoduje jej drzenie, lecz świadomość tego, czego za chwilę ma być świadkiem.

Popatrzyła ponad trawnikiem i ujrzała Joanie, uważnie przyglądającą się swojej ofierze. Jedna z pielęgniarek popatrzyła w tamtym kierunku i Marie poczuła, że jej serce zabiło żywiej. Jednak Joanie w porę cofnęła się za osłonę z krzaków.

Podczas gdy pielęgniarki chodziły po parku, roznosząc herbatę i ciasteczka, Marie obserwowała, jak Joanie pewnym ruchem rozsunęła zasłaniające ją krzaki. Szybkim krokiem ruszyła w kierunku ścieżki prowadzącej do ogólnie dostępnej części parku i po chwili zrobiła szybki zwrot, jakby właśnie wyszła z domu opieki, ze świetlicy dla osób odwiedzających. Przez ramię miała przewieszoną dużą torbę, na jej głowie tkwił szeroki, niebieski kapelusz przeciwsłoneczny, ubrana była w długi płaszcz z czar-

nej skóry i czarne rękawiczki. Stroju dopełniały wielkie, czarne okulary przeciwsłoneczne od Armaniego.

Tommy ujrzał ją, zanim ktokolwiek zorientował się, że zaczyna się dzieć coś nadzwyczajnego. Krzyk jego strachu był za ledwie niskim jękiem. Kiedy zobaczył Joanie tuż przed sobą, ogarnęła go panika.

Otworzywszy torbę, Joanie wyjęła z niej szklaną butelkę. Kiedy zdejmowała nakrętkę, Tommy patrzył na nią z przerażeniem w oczach.

— Proszę, Joanie...

— Nie ośmielaj się wymawiać mojego imienia, ty piździelcu!

Jej głos był tylko cichym sykiem i Tommy ostatecznie zdał sobie sprawę ze śmiertelnego niebezpieczeństwa, w jakim się znalazł. W tym samym momencie zainteresowała się nimi jedna z pielęgniarek. A więc wreszcie ktoś odwiedził Jeffreya Palmera? Nie wydawał się jednak zanadto z tej wizyty zadowolony. Ruszyła w kierunku grubasa na wózku i kobiety.

— Przepraszam, czy zgłosiła się pani do siostry oddziałowej?

Prawie już zrównała się z Joanie i widziała, jak pan Palmer nadludzkim wysiłkiem stara się ruszyć wózek. A przecież sama zablokowała w nim hamulce. Był to stary, niewygodny model, ale tylko ten egzemplarz zdołał udźwignąć ciężar Palmera.

— Cześć, Tommy. A może powinnam powiedzieć „Jeffrey”?

Joanie popatrzyła na pielęgniarkę i uśmiechnęła się szeroko, ale pielęgniarka spoglądała jedynie na brudną butelkę po lemoniadzie, którą Joanie trzymała w ręce.

— Jestem jego starą przyjaciółką, kochanie. Coś mu przyniosłam.

Joanie znów popatrzyła na Tommy’ego i nawet mimo całej swojej złości poczuła iskierkę współczucia. Jon Jon porządnie go załatwił. Ale to jednak za mało, drań musi zapłacić znacznie więcej. Właściwie nie było ceny za to, co zrobił.

— Dobrze się pan czuje, panie Palmer?

Tommy wpatrywał się w Joanie. Bał się oderwać od niej wzrok, obawiał się, że niespodziewanie uczyni mu coś złego.

— Gdzie jest moje dziecko? Powiedz mi tylko, gdzie ona jest, a nic się nie stanie.

— Proszę państwa, co właściwie się tutaj dzieje?

Joanie odwróciła się do pielęgniarki i wysyczała przez zaciśnięte zęby:

— Odpierdol się, kochana. Nie mieszaj się w nie swoje sprawy. Uwierz mi, z całą pewnością nic dobrego z tego nie wyniknie. — Znowu popatrzyła na Tommy'ego. — Gdzie ona jest? Muszę wiedzieć.

Zaczęła powoli ściągać wieczko z butelki i w powietrze uniósł się z niej specyficzny odór. Tommy aż skulił się ze strachu. Pielęgniarka zaczęła rozglądać się gwałtownie dookoła, a tymczasem jakiś sanitariusz przypatrywał się tej scenie z wyraźną fascynacją.

— Pomóż, na Boga, człowieku!

Tommy uniósł do góry rękę, jakby próbował się przed czymś zasłonić.

— Nie wiem, gdzie ona jest, przysięgam! Myślisz, że bym ci nie powiedział, gdybym tylko wiedział? Kochałem ją równie mocno jak ty...

Joanie rozplakała się.

— Ty w ogóle nie wiesz, co to jest miłość. Twoja miłość jest chora...

W chwili, w której uniosła rękę z butelką, żeby rozbić szkło o głowę Tommy'ego, pielęgniarka złapała za nią i wykręciła ją.

Butelka wypadła z rąk Joanie i zanim rozbiła się o ziemię, część kwasu solnego chlusnęła na nogi Tommy'ego i buty pielęgniarki. Joanie walnęła pielęgniarkę pięścią w twarz, siłą uwolniła ramię i biegiem zawróciła tam, skąd przyszła.

Odwróciła się jeszcze i wrzasnęła do zwijającego się z bólu, łkającego chłopaka:

— Ja jeszcze wrócę. Nie wywiniesz się. Nie tym razem.

Marie już czekała z włączonym silnikiem w białym fordzie sierra, ukradzionym poprzedniej nocy.

— Kurwa, spieprzyłam to.

Adrenalina i nerwy sprawiły, że Marie się roześmiała.

— On już teraz wie, że potrafisz go znaleźć, kochanie. Już nigdy nie zaśnie spokojnie w łóżku, do końca życia będzie się bał, że wrócisz. Ale skoro raz znalazłyśmy drania, znajdziemy go po raz kolejny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

— Czego więc chcesz, Jeanette?

Pippy uśmiechał się do stojącej przed nim dziewczyny. Wyglądała szalowo! Mimo grubego makijażu na twarzy wciąż doskonale widoczne były jej dziecięce rysy. Jak na gusta większości klientów Pippy'ego miała trochę za duże piersi, ale to wcale nie znaczyło, że nie można jej jeszcze wykorzystać.

Nalał kolejną filiżankę herbaty. Kiedy sypał cukier, Jeanette uważnie rozglądała się dookoła. Zupełnie nie spodziewała się po Pippym takiego mieszkania. Wygodne, chociaż trochę zagraco-
ne. Wszystkie meble były stare, ale w wiekowym fotelu siedziało się jej bardzo wygodnie. Ściany w mieszkaniu pomalowano na bladocytrynowo, a zasłony przy oknach wykonane były z grubego perkalu. Całe to miejsce wyglądało jak dekoracje ze starego, czarno-białego filmu z lat pięćdziesiątych.

Sam Pippy też był inny niż zwykle. Wciąż sprawiał wrażenie niechlujnego, jednak na ręce miał drogi zegarek Tag-Heuer, a na małym palcu pierścionek z brylantem. Joanie czuła, że stara się wyrzeć na niej wrażenie i była tym dziwnie podekscytowana.

Podał jej filiżankę i Jeanette uśmiechnęła się, przyjmując ją. Starła się jak mogła, żeby wyglądać na osobę dorosłą i obytą w różnych sytuacjach.

— Po prostu chcę zarobić trochę forsy na drobne wydatki, to wszystko.

Pippy wyszczerzył zęby.

— Zaraz, chciałbym dobrze zrozumieć. Dobrowolnie postanowiłaś zająć się prostytutką, mam rację? — jego głos ociekał

sarkazmem. — I mówisz mi, że to dlatego, iż potrzebujesz forsy na drobne wydatki?

Jeanette pokiwała głową.

— Może pójdziesz jednak do Tesco, żeby uzupełniać towar na półkach w sobotnie popołudnia?

Dziewczyna opuściła wzrok i zobaczyła, że dywan przed kominkiem jest niemal całkowicie przetarty.

— Potrzebujesz jakiegoś chodnika, żeby to przykryć — powiedziała, wskazując na miejsce, o które jej chodziło.

Na twarz Pippy'ego wy płynęła furia. Nastąpiło to w mgnieniu oka i nagle Jeanette zdała sobie sprawę, dlaczego nazywają go Szalonym Pippym.

— A ty potrzebujesz wizyty u psychiatry, jeśli ci się wydaje, że cię przyjmę do pracy.

Jeanette wbiła w niego wzrok, niepewna, co teraz powiedzieć. Wszystko do tej pory dobrze szło, wiedziała, że mu się spodobała, ale oto nagle ogarnął go dziwny szal. Obnażył brązowe zęby w złośliwym półuśmiechu. Jego uśmiech był bardzo podobny do uśmiechu Jon Jona, bo grymas na jego twarzy w ogóle nie docierał do oczu.

Nagle dziewczyna się przeraziła. Na dobrą sprawę w ogóle nie rozumiała, dlaczego znalazła się w tym pokoju z Pippym; jedynie jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, że właśnie tutaj musi w tej chwili być. Powinna teraz zapłacić za wszystkie dni, kiedy lekceważyła Kirę, kiedy ją od siebie odpychała i była dla niej okropna. Jeanette wiedziała, że popełniła grzech zaniedbania i chciała teraz siebie ukarać.

Za każdym razem, kiedy zamykała oczy, przypominała sobie inny klaps, którym kiedyś poczęstowała małą siostrzyczkę, kolejną uszczypliwą uwagę, a przecież Kira chciała od Jeanette tylko tego, żeby siostra ją lubiła.

Najgłupsze było to, że Jeanette naprawdę lubiła Kirę, kochała ją, tylko nie wiedziała, jak to okazać. Teraz na wszystko było już za późno i Jeanette zasługiwała właśnie na to, na poznanie czło-

wieka, którego tak samo się bano, jak nienawidzono. Człowieka, który mógłby dla niej znaleźć łatwą pracę, gdyby tylko nie grymasiła.

Tymczasem była chyba bardziej wybredna, niż sama przypuszczała. Z każdą sekundą, która mijała w tym klaustrofobicznym pokoju, Jeanette zdawała sobie sprawę z nowych rzeczy.

Od dnia, w którym jej siostrzyczka została przywieziona ze szpitala do domu, Jeanette pożerała wszechpotężna i wszechogarniająca zazdrość. Jon Jon natychmiast zakochał się w Kirze, w jej blond włosach i dużych, niebieskich oczach. Traktował ją jak małą, porcelanową laleczkę. Każdy, kto ją chociaż raz zobaczył, chciał się do niej przymilać, coś dla niej zrobić. Kira nigdy nie musiała się starać, żeby ludzie ją zauważali, żeby się o nią troszczyli. Jeanette znalazła się w zupełnie innej sytuacji. W dniu, w którym Kira zaginęła, pomiędzy nią a Jeanette była przepaść, zawiniona przez starszą siostrę i wynikająca z jej zazdrości. Bardzo wówczas cierpiała z tego powodu, a teraz cierpiała jeszcze bardziej i zdawała sobie sprawę, że zasługuje nawet na najgorsze katusze. Ale to? To mieszkanie i ten facet? Teraz już nie była taka pewna.

Pippy obserwował ją. Czytał myśli z twarzy dziewczyny, jakby w formie liter pojawiały się na jej czole. Przez lata spotkał mnóstwo dziewcząt podobnych do Jeanette, taki już miał zawód. Zazwyczaj dla własnych celów wykorzystywał ich nienawiść do samych siebie, jednak gdy patrzył na tę konkretną, wciąż miał przed oczyma twarz Jon Jona Brewera. Działo mu to na nerwy.

— Jak właściwie chciałabyś pracować? Brać jednego klienta na tydzień? Dwóch na tydzień? A może czterech albo pięciu dziennie? Właściwie chodzi mi o to, co jest u ciebie forszą na drobne wydatki.

Jeanette nie była przygotowana do takiej rozmowy. W tej chwili bała się, że Pippy ją zaraz uderzy. Kiedy starała się o to spotkanie, nie spodziewała się żadnych przeszkód. Teraz, kiedy na nie napotkała, była zadowolona, jednak pilnowała się, żeby mężczyzna tego nie zauważył. Instynktownie wiedziała, że w tej

chwili każda oznaka słabości, jaką okaże, może być jeszcze większym błędem niż samo przyjście tutaj, do Pippy'ego.

— Jak rozumiem, dysponujesz tyloma dziewczętami, że możesz wśród nich przebierać — celowo starała się nadać głosowi sarkastyczne brzmienie.

— Być może, kochanie, ale możliwe, że po prostu starannie dobieram towar, który dostarczam klientom? Nie pomyślałaś o tym?

— Bardzo zabawne, Pippy.

Wstała, żeby odejść. Jej nogi drżały, ale bardzo się starała, żeby Pippy tego nie zauważył.

— Cóż, straciłeś — rzuciła.

Pippy wciąż siedział na krześle, uważnie ją obserwując.

— Czy Jon Jon cię tu przysłał? Gadaj prawdę.

Jeanette westchnęła, jakby Pippy powiedział właśnie najgłupszą rzecz, jaką usłyszała w życiu.

— Tak, jasne. Jon Jon wprost nie może się doczekać chwili, w której zostaniesz moim alfonsem. Zaczynaj myśleć, człowieku!

Nie zrobił żadnego ruchu, żeby ją wypuścić z mieszkania. Jeanette zmusiła się, żeby obejść jego krzesło i powoli ruszyła do przedpokoju, w kierunku wzmocnionych, stalowych drzwi. Spodziewała się, że Pippy w każdej chwili może ruszyć za nią.

Odciągnęła obie zasuwę, w zdenerwowaniu łamiąc paznokcie. Chciała jak najszybciej opuścić to okropne miejsce. W zamku wciąż tkwił klucz, który Pippy tam zostawił. Przekręciła klucz i ze szlochem wyszła za próg. Znalazłszy się na zewnątrz, zaczęła biec i zatrzymała się dopiero przed domem Copesów. Jej klatka piersiowa i gardło były ściśnięte ze strachu, w ustach czuła okropny smak.

W mieszkaniu była tylko Karen i po raz pierwszy w życiu Jeanette ucieszyła się na jej widok.

Kiedy wybiegła z mieszkania Pippy'ego, chłopak jeszcze przez kilka minut siedział na krześle, ssąc kciuk, po czym wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i zadzwonił.

— Myślę, że zostaliśmy przejrzeni.

Przez kilkanaście sekund słuchał odpowiedzi, po czym wyłączył telefon. Zaaranżował na wieczór spotkanie i miał nadzieję, że do tego czasu zdoła uniknąć Jon Jona Brewera.

Joanie wciąż drżała po spotkaniu z Tommym. Częścią umysłu żałowała, że nie zdołała wykonać planu, jednak jakaś jej część cieszyła się, że coś ją przed tym powstrzymało.

Cokolwiek Tommy zrobił, sprawiał wrażenie tak osamotnionego, tak przerażonego, że w pewnej chwili poczuła coś w rodzaju współczucia wobec niego. Zdenerwowało to Joanie i zarazem sprawiło, że ogarnęły ją mdłości. Dlaczego niby miałyby się przejmować taką szumowiną? Jeśli miała rację, a była przekonana, że ma, ten drań był przecież winny śmierci jej dziecka!

— Dobrze się czujesz? — zapytała Marie cichym głosem.

Joanie pokiwała głową.

— Chyba tak.

— Musisz jak najszybciej wracać do Londynu. Chłopaka rychno przeniosą w inne miejsce, a ty na pewno nie unikniesz przesłuchań. Czy jakoś przykryłaś swoją dupę?

Joanie nie przykryła dupy ani w ogóle żadnej innej części swojego ciała.

— Nie. Nie przypuszczałam...

Marie westchnęła.

— Bierz więc dupę w troki i zorganizuj sobie jakieś porządne alibi, dobrze?

Joanie jeszcze raz skinęła głową.

— Wracaj do Londynu. Mamy trochę czasu, żeby przygotować ci jakąś rozsądną historię. Jesteś głodna?

Joanie zaprzeczyła.

— Ale chętnie bym się napiła.

Marie roześmiała się.

— Napijmy się obie!

*

Jesmond był w potrzasku i doskonale to rozumiał, ale bronił się dzielnie. Gdyby nie było tutaj Bernarda, nawet by się nie starał odpowiadać na pytania Jon Jona. Bez sekundy wahania każałby go załatwić. Teraz jednak patrzyło na niego nachalnie aż czworo oczu, a on musiał wybrnąć z tej sytuacji w aureoli niewinnego człowieka.

— Nie mam z czymś takim nic wspólnego i nie życzę sobie wdzierania się do mojej posiadłości oraz wykrzykiwania obelg, plotek, i to w obecności mojego przyjaciela.

— Plotki mają czasami w sobie coś z prawdy, Jesmondzie — powiedział Bernard. Można było odnieść wrażenie, że razem z Jon Jonem przeciwiczyli tę scenę.

Jesmond z trudem wstał, znieważony i obrażony, po czym odezwał się gromkim głosem, zdecydowany szybko wyjaśnić sytuację:

— O co tu chodzi? Co z tego, że czasami dostarczę towar dla klientów, którzy gustują w uczennicach? Przecież tak naprawdę nie używam dzieci, tylko dziewcząt, które wyglądają na znacznie młodsze, niż są w rzeczywistości. To wszystko. I nie powinieneś się mnie czepiać Jon Jon, pracujemy w końcu w tym samym pierdolonym biznesie. Może chcesz mi powiedzieć, że nie masz żadnych piętnastolatek w swoich salonach?

Jon Jon zdawał sobie sprawę, co próbuje osiągnąć Jesmond, dlatego odpowiednio zareagował.

— Tylko nie zmieniaj tematu. Świetnie cię znam i doskonale wiem, do czego jesteś zdolny. W naszych salonach pracują tylko pełnoletnie dziewczęta, wiesz o tym, dlatego nie próbuj ściągać Pauliego w dół, do swojego poziomu. Co natomiast powiesz o twoich sympatycznych imprezkach, na których role gwiazd odgrywają dzieci? Wiem już o nich wszystko.

Bernard sprawiał wrażenie kompletnie zaskoczonego. Wszystko to najwyraźniej było dla niego absolutną nowością.

— O czym ty mówisz, Jon Jon?

— Zapytaj jego. — Jon Jon potrząsnął dredami w kierunku Jesmonda.

Bernard i Jesmond przez chwilę patrzyli sobie w oczy, aż wreszcie Jesmond wzruszył ramionami, jakby całą tą sytuacją był znudzony.

— Nie wiem, o czym on gada — powiedział. Stopniowo odzyskiwał pewność siebie i równowagę. — Nie możesz — kontynuował, zwracając się do Jon Jona — przyłazić jak intruz do mojego domu i wykrzykiwać pod moim adresem jakieś pierdolone obelgi i oskarżenia, nie mając na nie żadnych dowodów. Nie masz ich i twoje oskarżenia w ogóle nie trzymają się kupy.

Kątem oka popatrzył na Bernarda, bo tak naprawdę właśnie jego próbował przekonać o swojej niewinności.

— Słyszałem o tobie zupełnie coś innego — warknął Jon Jon.

— Od kogo? — Jesmond uniósł do góry ręce w błagalnym geście. — No, dalej, powiedz, tyle przecież możesz zrobić. Kurwa, chłopaku, jestem winny wielu rzeczy, ale z pierdolonymi zboczeniami nie mam nic wspólnego.

— Chciałbym jedynie wiedzieć, czy kiedykolwiek miałeś jakieś wspólne sprawy z Tommym Thompsonem albo jego ojcem?

— O, kurwa! W co ty chcesz mnie wrobić?

Nagle stał się stanowczy i wymowny. Jego strach przed Bernardem powoli ustępował miejsca prawdziwej złości. Za kogo ten pierdolony Jon Jon go uważał? I co więcej, gdzie zdobył takie informacje?

— Posłuchaj mnie. Możesz sobie być brązowookim chłopakiem Pauliego Martina, ale to ci nie daje prawa do przychodzenia tutaj i obrażania mnie. Powiem ci coś, obszczekujesz złe drzewo, synu, zatem dopóki nie możesz udowodnić mi zaangażowania w coś takiego, jak wykorzystywanie seksualne dzieci, lepiej stąd zaraz spierdalaj.

Ostatnie słowa przeznaczone były dla Bernarda i wszyscy trzej to rozumieli.

Jon Jon czujnie przyglądał się Jesmondowi i Bernardowi. Po między nimi działo się coś, czego nie potrafił do końca pojąć. Jesmond był bliski paniki.

— Czy odwróciłbyś się ode mnie, Bernardzie, po tylu latach

wspólnych interesów, tylko ze względu na to, co wygaduje ten nieodpowiedzialny piździelec?

Bernard pokiwał głową.

— Oczywiście, że odwróciłbym się. Gdybym się dowiedział, że jesteś zboczeńcem. — Wyszczrzył zęby. — Osobiście wziąłbym do ręki szczypce i wyrwałbym ci nimi wszystkie włosy, a to byłby dopiero początek, synalku.

Bernard najbardziej bał się tego, że cień podejrzenia, jakie padło na Jesmonda, dotknie także jego. Ludzie bez wątpienia pomyślały, że miał coś do czynienia z jego sprawkami, ponieważ od dawna pracowali razem i musieli znać wszystkie swoje sekrety. Tymczasem Bernard miał własne standardy i uważał, że każde wykorzystanie do seksu dzieci zasługuje wyłącznie na wyrok śmierci, nawet jeżeli nie przewiduje tego prawo.

Jesmond został przyskrzyniony i zdawał sobie z tego sprawę, jednak nie zamierzał oddawać pola, o ile miał jeszcze jakiegokolwiek szanse na zachowanie pozycji.

— Czy Paulie wie, że tutaj jesteś, Jon Jon?

— To nie ma znaczenia, Jesmond. I przestań wreszcie zmieniać pierdolony temat.

— Coś ci powiem, idź do niego i porozmawiaj z nim o tym wszystkim. A potem tu wróć i rozmów się ze mną.

— On chyba żartuje! — Jon Jon popatrzył na Bernarda, śmiertelnie oburzony. — On chyba żartuje, co? — powtórzył.

— Mnie wcale nie jest do śmiechu i tobie też radzę, żebyś nie żartował. Gadaj, kogo masz na zewnątrz? — odezwał się Bernard.

— Earla i kilku innych ludzi. Dlaczego pytasz?

— Przyrowadź ich tutaj, zorganizujemy sobie imprezkę.

Jesmond wprost nie dowierzał swoim uszom.

— Kurwa, nie ośmielisz się!

— Cóż, albo ty nam powiesz to, co chcielibyśmy wiedzieć, albo to z ciebie wydusimy. Co ty na to, Jon Jon?

Po raz pierwszy w życiu Jesmond usłyszał groźbę pod swoim adresem. Nawet już w szkole był zbyt mocny, żeby ktoś ośmielał

się mu grozić. Teraz wydawało się, że nadszedł wreszcie kres jego powodzenia. Mógł mieć tylko nadzieję, że z tej sytuacji wyciągnie dla siebie jakieś inne, uboczne zyski.

— Nie spodoba ci się to, co usłyszysz, Jon Jon, ostrzegam cię. — Wzruszył nonszalancko ramionami, mimo że serce szalało mu w piersiach ze strachu.

— Jestem już dużym chłopcem, dam sobie radę — odrzekł Jon Jon.

Jesmond potrząsnął głową.

— Nie byłbym tego taki pewien — rzucił.

Lorna szeroko się uśmiechnęła, kiedy znowu ujrzała Jeanette przed swoimi drzwiami. Teraz była jedną z dziewcząt ulicy i Lorna właśnie tak ją traktowała.

— Wejdz, stara.

Jeanette pamiętała, że przed wejściem do mieszkania Lorny należy wziąć głęboki oddech. Kiedy weszło się już do salonu, smród nie był taki straszny. Najgorszy był odór z toalety i łazienki, do których drzwi znajdowały się w przedpokoju.

— No i jak ci poszło?

W mieszkaniu Lorny nie było nikogo poza nią, panowała zupełna cisza i nagle Jeanette poczuła się bardzo dziwnie. Zaczęła się rozglądać, jakby przyszła tutaj po raz pierwszy w życiu. W ostrym świetle dnia było tutaj jeszcze gorzej niż zwykle.

Na blacie przy zlewozmywaku w małej kuchni leżała czarna torba na śmieci. Ruszała się, ponieważ w jej wnętrzu buszowały robaki żywiące się resztkami. Jeanette poczuła, że w jej gardle rośnie wielka kula.

— Pippy mnie olał, nie chce mnie. Powiedziałaś mu o mnie coś złego?

— Słucham?

Lorna nie mogła uwierzyć w słowa Jeanette. Czy to oznaczało, że Pippy będzie chciał swoją setkę z powrotem? Przecież tej forsy już dawno nie miała, wszystko wydała na heroinę.

Wpadła w panikę.

— Posłuchaj, Jeanette, przestań się martwić. Pogadam z nim jeszcze raz, to wszystko pewnie przez pierdolonego Jon Jona. Pogadam, a ty się uspokój, wszystko będzie dobrze.

Jeanette uśmiechnęła się.

— Szczerze mówiąc, nawet się cieszę, że tak się stało.

Lorna spojrzała na nią tak, jakby dziewczyna była szalona.

— Patrząc teraz na ciebie, oglądając twoje mieszkanie, zdaję sobie sprawę, że tak właśnie mogłoby wyglądać moje życie. Jestem już i tak dosyć zła, sprawiam ludziom mnóstwo kłopotów, ale powiem ci jedno, dziewczyno: kimkolwiek w życiu będę, nigdy nie będę taka zła jak ty. Jesteś pieprzoną szmaciarą, nie dbasz nawet o swoje dzieci, które zasługują na o wiele lepszy los, niż mają przy tobie. Mój los też nie będzie taki, zasługuję na więcej.

Obelgi dotarły wreszcie do mózgu Lorny. Wyprostowała się.

— Spierdalaj stąd — powiedziała.

Jeanette uśmiechnęła się szeroko.

— Zaraz mnie tu nie będzie, Lorna, nie bój się. Poczułam po prostu potrzebę, żeby ci powiedzieć kilka słów prawdy.

Wyszła z mieszkania. Kiedy opuszczała budynek, zobaczyła, że czeka na nią Jasper.

— Co takiego miałaś do powiedzenia Lornie?

Wzruszyła ramionami.

— Po prostu przekazałam jej wiadomość. Pójdiesz ze mną do mojej mamy? Chciałabym posprzątać jej mieszkanie. Pojechała gdzieś wczoraj, i to w dużym pośpiechu. Pomyślałam, że mogę zrobić dla niej coś dobrego.

— Jasne, pójdę z tobą.

— A potem, Jasper? Może wybierzemy się do kina albo dokądkolwiek?

— Znowu jest między nami zgoda?

Jeanette ujęła go pod ramię i uśmiechnęła się.

— Chyba tak.

*

Paulie podpisywał w biurze swojego prawnika ważne dokumenty majątkowe. Chociaż było mu trochę przykro, że nie pozostawia Sylvii zupełnie nic, wiedział, że w tej chwili postępuje rozsądnie i dobrze. Wybierał mniejsze zło, zatem wziął głęboki oddech i złożył podpis.

Jego prawnik, Szkot w średnim wieku, ubrany w garnitur od Versacego, o ramionach pokrytych tatuażami, był spryciarzem specjalizującym się w obsłudze klientów podobnych do Pauliego Martina. Danny McBane doskonale potrafił ukrywać pieniądze swoich klientów. Nie miał żadnych zasad, nie miał skrupułów, a dodatkowo szczerze gardził wszystkimi ludźmi, z którymi się stykał. To, w połączeniu z agresywną osobowością, czyniło go doskonałym reprezentantem prawnym porno imperium Pauliego.

Nie chwalił się tym, jednak o Martinie wiedział dosłownie wszystko.

Uważał za rzecz pierwszorzędnej wagi uzyskiwanie wszelkich możliwych informacji o swoich klientach. Jeżeli któremuś z nich powinęła się noga, dzięki swojej wiedzy Danny McBane nie tonął razem z nim. Dużo zarabiał, ale miał też duże koszty, na utrzymaniu rodziny i dwie przyjaciółki.

— Kobiety to pizdy, Danny. Kiedy po raz pierwszy spotkałem Sywzię, klepała biedę razem z tą swoją pierdoloną matką. Obie żyły z zasiłków. A teraz bez mrugnięcia okiem zachciewa się jej moich ciężko zarobionych pieniędzy i dwóch domów. — Paulie upił łyk brandy, po czym dodał: — Ale nic z tego, moja droga.

Ostatnie słowa wypowiedział cicho i zjadliwie.

— Właściwie dlaczego się z nią ożeniłeś, Paulie? Ja sam nigdy nie widziałem w niej nic atrakcyjnego.

Paulie wzruszył ramionami.

— Uważałem ją wówczas za ekskluzywną, wyszukaną kobietę, a poza tym była zupełnie inna od mojej poprzedniej. Interesowała się wszystkim i wszystkimi. Lubiłem to w niej, chociaż jak teraz myślę, to za chuja nie wiem, dlaczego. Wkrótce zaczęła wściubiać kinol również w moje sprawy. Teraz myślę, że od zawsze uważała mnie za kogoś marniejszego od niej samej. Za-

wsze musiała być górą. Kurwa, nawet w łóżku rzadko kiedy pozwałała mi kłaść się na sobie. A kiedy już się tak zdarzyło, to w ogóle się nie poruszała! Chwilami, kiedy ją bzykałem, nachodziła mnie wielka ochota, żeby zmierzyć jej puls, tylko po to, by się upewnić, czy baba jeszcze żyje.

Obaj mężczyźni roześmieli się.

— Mówię ci, Danny, więcej seksu jest w niejednej kostnicy, niż było w moim domu.

— Coś w tym jest, Paulie. Moja żona też jej nie lubiła. Mówiła, że jest jakaś zimna.

— Miała rację. Sylvia jest zimniejsza niż cycek Eskimoski. Danny uśmiechnął się.

— Wkrótce znowu będziesz wolnym strzelcem i znajdziesz sobie nową żonę.

— Nigdy więcej. Do końca życia zamierzam już pozostać kawalerem.

— Znowu jakaś cię złowi, zobaczysz. Najpierw wszyscy sobie obiecujemy, że już nigdy więcej, a potem... A tak przy okazji, jak się miewa Joanie?

Paulie wzruszył ramionami.

— Uczciwie mówiąc, niezbyt dobrze. Masz jakieś wiadomości?

Danny potrząsnął przecząco głową. Jego grube, rude włosy i byle jaki wygląd przywoływały na myśl wiejskiego weterynarza, a nie prawnika.

— Nic. Ale wszystkie możliwości są nadal otwarte. Baxter jest piździelcem, ale to przecież nic nowego.

— Jon Jon wyjechał dzisiaj do Sheffield. Dostał cynk przed nami, jednak weź pod uwagę, że sobie nie zdaje sprawy, ile ją wiem.

— Tak, tak, pamiętam. Ten Jon Jon to dobry dzieciak. Trafiłeś z nim w dziesiątkę.

— Chwilami ogarniają mnie co do tego wątpliwości. Ale zdaje się, że jego nowy klub przyniesie mi mnóstwo forsy.

— Czy on o tobie wie?

Paulie potrząsnął głową.

— Nawet połowy — powiedział.

— Powiesz mu?

— Wątpię.

Paulie wstał, zdenerwowany kierunkiem, w jakim zaczęła zmierzać rozmowa.

— Pójdę już.

Danny nie wstał z krzesła, a jedynie się leniwie uśmiechnął. Nigdy nie szkodziło przypomnieć komuś, ile się o nim wie. Taki klient przynajmniej nigdy nie podskakiwał.

Baxter patrzył, jak Joanie wyciąga z taksówki torbę podróżną. Musiał ją dzisiaj ostro przesłuchać i było mu z tego powodu bardzo smutno.

Kiedy płaciła kierowcy, zobaczył jej córkę, Jeanette. Wybiegła z domu wprost w ramiona matki. Baxter patrzył, jak matka ją przytula, całuje w czoło i trzyma twarz córki w rękach, mówiąc coś do niej. Zobaczył, że Jeanette podnosi z ziemi torbę i wnosi ją do domu.

— Ruszamy, sir?

Baxter spojrział na siedzącego obok niego młodego człowieka. Był wysoki, niemożliwie chudy i mówił przez nos. „Cholera, czy to śmietanka naszej policji?” — pomyślał. „Boże, miej nas w swojej opiece, jeżeli tak jest”.

— Zamknij się, Ritter. Niech kobieta wypije chociaż herbatę, zanim do niej wtargniemy i zaczniemy ją przesłuchiwać.

— Zrezygnujemy z przewagi psychologicznej?

Baxter przymknął oczy, zirytowany.

— Nie, Ritter, po prostu pozwolimy jej wypić filiżankę herbaty, bo wygląda, jakby tego bardzo potrzebowała. Jeżeli, powtarzam, jeżeli wraca właśnie z Sheffield, prawdopodobnie jest do cna wypalona. Nie mamy żadnego dowodu, że tam była, a w tym kraju człowieka, któremu nie udowodniono winy, jeszcze uważa się, jak wiesz, za niewinnego. Kapujesz czy mam ci to wyłożyć jaśniej?

Ritter pokiwał głową.

— Wszystko zrozumiałem, sir.

Nie podobał mu się ten apodyktyczny i wojowniczy przełożony. Czasami sprawiał wrażenie, jakby sam znajdował się po niewłaściwej stronie prawa i porządku.

Baxter wyciągnął telefon komórkowy i wywołał numer Pauliego.

Nic.

Zapalił papierosa i zaczął go palić, bardzo powoli.

Odmierzał czas potrzebny na przygotowanie i wypicie herbaty. Właściwie to i on by się teraz napił.

Joanie i Jeanette znajdowały się już w mieszkaniu. Było uprządkowane i znacznie czystsze niż wtedy, kiedy Joanie z niego wyjeżdżała.

— Dzięki ci, kochanie. To uroczo wracać do takiego czystego mieszkania — powiedziała do córki.

W mieszkaniu unosił się zapach smażonego kurczaka, pracowała pralka automatyczna. Jeanette zwykle niechętnie brała się za wszelkie prace domowe, dlatego Joanie wzruszyła się, zdawszy sobie sprawę z tego, ile córka włożyła wysiłku, żeby ją zadowolić. Czystość w mieszkaniu była dla Joanie bardzo ważna nie tylko dlatego, że osądzały ją po niej sąsiadki i koleżanki z pracy, ale też dlatego, że w chaosie jej życia jedyną rzeczą, jaką mogła kontrolować, stanowiło właśnie mieszkanie.

Popatrzywszy na córkę, która zrobiła te porządki dla niej i tylko dla niej, poczuła, jak z barków spada jej wielki ciężar. Wciąż miała dwoje dzieci, miała swoją rodzinę. Spoglądając na Jeanette, dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo kocha to trudne i skomplikowane dziecko.

— Przepraszam, mamó.

Joanie przycisnęła ją do siebie, ciesząc się jej dotykiem. Od tak dawna jej nie ścisnęła, a przecież tak bardzo tego chciała.

— Gdzie byłaś, mamó? Martwiłam się o ciebie — w głosie dziewczyny brzmiało autentyczne zatroskanie.

— Musiałam wyjechać na noc. Miałam pewną sprawę do załatwienia. Powiedziałabym ci wcześniej, ale spójrzmy prawdzie w oczy, Jeanette, ciebie prawie nigdy tu nie ma.

To nie była reprimenda, lecz skarga i Jeanette zaczęło zbierać się na płacz. Opanowała się jednak, zwalczyła też w sobie ochotę do sprzeczki.

— Zrobię herbatę.

Kiedy była zajęta w kuchni, rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyła z zadowoloną miną. Ale kiedy na progu zobaczyła Baxtera, spróbowała zatrzasać mu drzwi przed nosem. Coś w jego postawie mówiło jej, że przynosi złe wiadomości.

— Niech pan stąd idzie, panie Baxter.

Pchnął jednak drzwi i powiedział głośno:

— Mogę wrócić z całym oddziałem policji, jeśli chcesz, ale na razie wolałbym, żeby nikt inny z wami nie rozmawiał. Joanie, nastaw wodę na herbatę, dobrze? — Wszedł do kuchni. — Coś tu ładnie pachnie. — Uśmiechnął się smutno do Joanie. — Mam na dole w samochodzie niekumatego kumpla, który za chwilę będzie się niecierpliwił, więc załatwmy sprawę szybciotko. Dziś rano byłeś w Sheffield, Joanie, i potrzebujesz dobrego alibi. Dlatego właśnie tutaj jestem.

— Czy to jakiś żart, panie Baxter?

Baxter popatrzył wymownie na torbę podróżną i płaszcz.

— Wyświadczyć mi przysługę, Joanie, i nie rób ze mnie idioty.

Joanie nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

— Mówi pan tak, jakbym kiedykolwiek tego próbowała.

— Próbuję ci teraz pomóc, zrozum. Poczęstuj mnie herbatą, a ja ci powiem, co wiemy i co musisz zrobić.

Powoli zaczęła przygotowywać herbatę, przez cały czas intensywnie myśląc.

— Mój komendant bardzo cię lubi, Joanie. Wygląda na to, że oboje macie wspólnego przyjaciela.

Postawiła przed nim kubek z herbatą. Popatrzywszy na Jeanette, powiedziała do niej cicho:

— Zostaw na samych, dziecino.

Chociaż ten jeden raz w życiu jej córka wykonała polecenie matki, nie sprzecząc się.

Joanie usiadła naprzeciwko Baxtera.

— Niech pan więc zaczyna.

— To ty napadłaś wczoraj na Tommy'ego Thompsona. — Baxter uniósł do góry rękę, nie pozwalając Joanie zaprotestować. — Nie przerywaj mi, dobrze? Do cholery, Joanie, jesteś gorsza niż moja stara, a ją naprawdę trudno przebić. Potrafiłaby przerwać samej Joan Rivers w środku zdania. — Upił łyk gorącej herbaty i kontynuował: — Wszyscy wiemy, że to byłaś ty, ale pielęgniarka nie potrafi cię dobrze zidentyfikować. Mały Tommy wskazał na ciebie, ale zaraz się z tego wycofał, dzięki mojemu kumplowi z miejscowej policji, który potrzebuje pieniędzy na hazard, była żoną i przyjaciółką w ciąży. Ale to dygresja. Masz alibi od Grubej Moniki i jeszcze kilku dziewcząt z twojego salonu. Wszyscy oświadczyli, że byłaś tam przez całą noc i jeszcze dzisiaj rano.

Joanie słuchała tego wszystkiego w kompletnym zaskoczeniu.

— Porządnie przyłożyłaś tej pielęgniarce, Joanie, ma teraz czarne oko — mówił Baxter. — Dostaniesz teraz ode mnie kopie zeznań swoich koleżanek, żebyś się ich dobrze nauczyła i żeby twoja opowieść o ostatniej nocy brzmiała wiarygodnie. Jak już powiedziałem, czuwa nad tobą mój szef, co oznacza, że tym razem się wywiniesz z kłopotów. Ale pamiętaj, Joanie, następnym razem Paulie Martin nie będzie już mógł ci pomóc, a także ja nie przyłożę do tego ręki. Miej to na uwadze w przyszłości i do brudnej roboty raczej kogoś zatrudniaj. Nie bierz się za nią sama, bo nie potrafisz.

Joanie pokiwała głową.

— Jasne, panie Baxter. Nie wiem, jak mam panu dziękować.

Policjant uśmiechnął się smutno.

— Wyświadcz mi przysługę, dziewczyno. Nie ładuj się przez jakiś czas w kłopoty. To mi wystarczy.

Joanie wzięła do ręki paczkę z papierosami. Baxter zobaczył, jak mocno trzęsą się jej ręce.

— Daj, pomogę ci — powiedział.

Zapalił papierosa i wsunął go do ręki Joanie. Następnie zapalił jeszcze jednego, dla siebie.

— Jakim cudem Monika zeznała na moją korzyść? Ostatnio nie jesteśmy w najlepszych układach.

— Za kilka funtów Monika zeznałaby pod przysięgą, że widziała, jak sam Jezus Chrystus robił zakupy w Londynie. Wszystkie dostały zresztą po kilka funtów, chociaż były gotowe ci pomóc i bez dodatkowej zachęty, Joanie. Teraz musisz się jednak opamiętać, bo na dłuższą metę nie możemy cię chronić.

— Ma pan wiadomości na temat ojca Tommy'ego?

— Wczoraj nam się zdawało, że go znaleźliśmy. Ktoś natknął się na zwłoki w Epping Forrest. Niestety, to nie był on. Szkoda. Któregoś dnia w końcu się znajdzie. Gównno zawsze wypływa na wierzch. — Baxter ziewnął. — Poważnie mnie przerażałaś, Joanie. Cholemnie nie chciałbym cię aresztować za coś, co w gruncie rzeczy uczyniłaś dla dobra publicznego.

Joanie uśmiechnęła się.

— Jeżeli może to być dla pana jakkolwiek pociechą, powiem panu, że bardzo się cieszę, iż z nim nie skończyłam. Nie zniżyłam się do jego poziomu. Jednak kiedy myślę o mojej Kirze...

Baxter westchnął ciężko.

— Posłuchaj, Joanie, my nadal nie wiemy z całą pewnością, czy dziewczynce przytrafiło się właśnie coś takiego.

Joanie potrząsnęła głową.

— Wiemy, panie Baxter — powiedziała smutnym głosem. — I pan wie to równie dobrze jak ja.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Jesmond palił jointa. Długo go skręcał, chcąc zyskać jak najwięcej czasu, ale Jon Jon panował nad swoim zniecierpliwieniem. Mógł czekać. Chciał znać prawdę i wiedział, że wkrótce ją pozna.

Przypuszczenie, że przyszedł tu, bo chciał uprawiać seks z prostytutką, lecz zamiast tego wyładował się na Jesmondzie, było po prostu szalone.

Nawet niewiarygodne.

Wiedział jednak również, że to, co niewiarygodne, jest dla ludzi z jego środowiska normą. W końcu ich całe życie jest całkowicie sprzeczne z normami, według których żyje przeciętny John. A Jon Jon powoli zaczynał rozumieć, co czują ci przeciętni ludzie. Żałował, że nie jest jednym z nich. Zniknięcie Kiry nauczyło go właśnie tego, że ich normy wcale nie są takie głupie i nudne, jak kiedyś uważał. W gruncie rzeczy uważał je w tej chwili za bardzo pożądane i atrakcyjne.

Całe jego życie było zupełnie inne, niżby chciał, niż się by spodziewał. Rozumiał to teraz tym bardziej, że zdał sobie sprawę, jak bardzo jego styl życia nie odpowiada dążeniom większości ludzi, którzy za nic w świecie nie chcieliby podobnie żyć. Byli na to zbyt rozsądni.

Kiedyś zdawało mu się, że żyje inteligentnie i sprytnie, postępując wbrew wszelkim normom, a tymczasem po prostu wpadł w pułapkę egzystencji, która okazała się trudna, niebezpieczna i pozostająca w sprzeczności ze wszystkimi zasadami moralnymi. Czy było w tym choć trochę sprytu?

Może wreszcie zaczynał dorośleć, kto wie? Patrząc jednak na mężczyzn, którzy znajdowali się z nim w pokoju, zdał sobie

sprawę, że nie chce spędzić reszty swoich dni w towarzystwie takich zaprzysięgłych kryminalistów jak oni.

Szczęśliwie Jon Jon miał dopiero osiemnaście lat i przed sobą jeszcze mnóstwo czasu. W szkole mówiono, że jest nad wyraz bystry, otwarty na wiedzę. Jeszcze mógł zostać w życiu tym, kim by chciał. Na razie był tylko wojownikiem; nauczył się walczyć o swoje, bić się, kiedy obrażano jego matkę, pięściami torować sobie drogę przez życie. Tylko w jakim kierunku?

Matkę kochał zawsze, odkąd sięgał pamięcią. Cokolwiek by w życiu robiła, była warta setki razy więcej niż wszelkie inne kobiety, jakie Jon Jon znał. Była dobrą, przyzwoitą kobietą i tylko to się liczyło. Była uczciwa, lojalna, wierna, a on chciał i musiał w nią wierzyć, bo przecież — jeżeli głębiej się nad tym zastanowić — nikogo poza nią nie miał. Cokolwiek robiła, czyniła to z dobrych pobudek.

Powtarzał to sobie jak mantrę.

Znów zacisnął pięści. Wściekłość walczyła w nim ze spokojem, który z trudem zdołał sobie narzucić.

Wkrótce dowie się prawdy, musiał w to wierzyć.

Niewykluczone, że pod koniec dnia okaże się ona dla niego nic nie warta, że jego przypuszczenia są bezpodstawne. A jednak, jeśli zniszczy przy okazji jednego zboczeńca, nie będzie musiał uznawać czasu za stracony.

Chociaż w ten sposób zemści się za krzywdę Kiry.

Dzisiaj wreszcie Jon Jon po raz pierwszy ujrzał całe swoje życie i interes, w którym pracował, z wielką jasnością. W pewnym sensie jego matka nigdy w życiu nie miała wyboru. Mogła pójść tylko na ulicę, przeznaczone jej było wyłącznie zarabianie pieniędzy prostytutką. Prostytucja stała się esencją jej egzystencji zbyt szybko, żeby mogła później coś zmienić. Natomiast on, Jon Jon, sam wybrał drogę dla siebie, znając już jej wszystkie najbardziej mroczne strony, ponieważ poznawał je praktycznie od pierwszych miesięcy swojego życia.

Jak o nim mówili wszyscy, którzy go znali? Ciągłe słyszał te słowa: „Znasz Jon Jona Brewera? Jego matka jest kurwą (prosty-

tutką)”. Przyzwyczał się do tego, ale wciąż go to bolało, raniło. Życie przy takiej matce sprawiło, że znalazł się w bagnie. Bardzo pragnął się z niego wydostać, jednak najpierw chciał ujrzeć, jak pęta przed nim Jesmond.

Cieszył się, że Bernard został z nimi, ponieważ Jesmond o wiele bardziej bał się Bernarda niż Jon Jona.

Zresztą każdy osobnik przy zdrowych zmysłach bałby się Bernarda, windykatora, który potrafił spalić dom za nędzny, siedemdziesięciopięcioletni dług. Nie chodziło o pieniądze, jak kiedyś powiedział, lecz o zasadę. Dłużnik próbował go wykiwać, a przecież nikt jeszcze nie wykiwał Bernarda Lee. Niemal upiekł całą rodzinę żywcem. Uratował ich jedynie drogi czujnik dymu, zamontowany w domu oraz fakt, że żona dłużnika cierpiała na bezsenność. Zapewne związaną z problemami finansowymi rodziny. Długi mają taką cechę, że odbierają sen. Może rzucić cię żona, mogą ci umrzeć rodzice, ale to dług nie pozwala zasnąć długo w nocy. Dług zrównuje ludzi, ponieważ ściga wszystkich z taką samą intensywnością. Każdego prześladowuje tak samo, dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez siedem dni w tygodniu.

Bernarda jednak zupełnie to nie interesowało. On po prostu odbierał należne pieniądze, nic więcej. Skoro podpalił dla siedemdziesięciu pięciu funtów, co może uczynić zboczeńcowi?

Jon Jon odgadywał, że identyczne myśli przebiegają przez głowę Jesmondowi i że z tego powodu stara się zyskać na czasie.

— Dalej, nie mamy, kurwa, całego dnia — powiedział Bernard głosem ściśniętym ze złości.

Tymczasem Jesmond starał się choć przez chwilę zapomnieć o jego obecności. Potrzebował spokoju, żeby przemyśleć swoją sytuację, lecz spokój nie przychodził. Zaczynał panikować. Kiedy polizał brzeg bibułki, chcąc ją skleić, na jego prawym uchu wylądowała potężna pięść Bernarda.

— Drwisz sobie ze mnie, czy co, kurwa? Jak długo można skręcać jointa? Musisz odpowiedzieć na kilka ważnych pytań i lepiej zacznij już gadać.

Bernard się pocił, jego złość zaczynała osiągać niebezpieczny

poziom. Myśl, że mógł być związany ze zboczoną bestią, była dla niego wprost nie do zniesienia.

Bernard Lee, windykator znany ze spokoju i zimnej krwi, nagle się zniecierpliwiał.

Jesmond był zszokowany i to nie z powodu bólu, jaki mu sprawił cios w ucho, ale dlatego, że jeśli ktokolwiek by się o tym dowiedział, byłby skończony. Zakładając, że wykaraska się z kłopotów, w jakich nagle się znalazł. Liczył, że swoje zrobią pieniądze, jednak najpierw musiał przełknąć zniewagę, a dopiero potem mógł otworzyć pułapkę. Był to dla niego jedyny ratunek.

Pocił się i, co gorsza, czuł swój własny smród, odór człowieka, który się śmiertelnie boi. Jeszcze nigdy w życiu nie odczuwał takiego strachu.

— To się zaczęło kilka lat temu... — Głęboko zaciągnął się dymem dla uspokojenia nerwów.

Ten widok rozbawił Jon Jona. Oto wielki i potężny Jesmond pali marihuanę. Znak jego upadku. Marihuana razila nijakim odorem. Słodkawym smrodem pubów Amsterdamu z lat siedemdziesiątych. Jesmond palił byle co, nawet nie Lebanese czy Aca-pulco Gold.

— Co się zaczęło kilka lat temu? — głos Bernarda był cichszy niż głos Jesmonda i Jon Jon przystawił sobie krzesło bliżej, żeby go słyszeć. Wiedział, że postąpi rozsądnie, jeżeli pozostawi całe przesłuchanie właśnie Bernardowi.

Jesmond nerwowo bawił się swoimi dredami.

— Kiedyś podszedł do mnie jakiś rumuński przybłęda. Facet, który miał dziewczyny na sprzedaż. — Był tak zdenerwowany, że niemal się jąkał. — Nie, właściwie, żeby powiedzieć całą prawdę, ten Rumun dotarł do mnie za pośrednictwem jednego z moich dłużników. Spłacił go, a poza tym sprawiał wrażenie, że dobrze mu się wiedzie. W gruncie rzeczy, zbyt dobrze. Zapytał mnie, czy nie wziąłbym do pracy kilku jego dziewczyn.

Jesmond popatrzył na Jon Jona, szukając w jego oczach usprawiedliwienia dla siebie i swoich poczynań.

— A one pracowały praktycznie przez cały dzień za nic. Za-

brałem im paszporty i powiedziałem, że muszą odpracowywać for-
sę za to, że wjechały do tego kraju. Widzicie, większość z nich nie
była w stanie beze mnie egzystować. Potrzebowały mnie i ufały mi.

Bernard roześmiał się.

— Kurwa, samarytanin się znalazł. Ty piździelcu! Przecież
wszystkie te dziewczyny z Rumunii mają syfa aż po rzęsy! Każ-
dy to wie. A już nie wspomnę o tych z HIV-em albo z AIDS.

— Nie wszystkie...

— Och, przestań pierdolić. Z zadawania się z nimi nigdy nic
dobrego nie wynikło, wszyscy to wiedzą. — Bernard był wi-
docznie zdęgotowany. — No i gdzie one teraz są?

Jesmond wziął głęboki oddech. Narkotyk sprawił, że zaczy-
nał go ogarniać obłąd. Wyraźnie słyszał bicie swojego serca.

— Większość jest w Londynie i w okolicach, w moich do-
mach. — Westchnął w taki sposób, w jaki wzdycha ktoś bardzo
znudzony. — Te dziewczyny to łatwe pieniądze, najłatwiejsze,
jakie kiedykolwiek zarobiłem. Kurwa, fortuna.

Niespodziewanie zaciekawił Bernarda, a nawet wywarł na
nim pewne wrażenie. Bernard lubił łatwe pieniądze.

— Co to znaczy, fortuna?

Jesmond uśmiechnął się, a jego złote zęby zaśniły w świetle
fluorescencyjnym. Cieszył się, że wreszcie zmienia temat.

— Sześćdziesiąt tysięcy na tydzień.

Przechwalał się teraz, taka już była jego natura. Lubiał się po-
pisywać.

— I to wszystko miałeś dla siebie? — Niechęć w głosie Ber-
narda była wyraźna.

— A co myślałeś?

— Za tę forsę nawet nie postawiłeś mi drinka? Co za kurew-
ski brak szacunku! — Bernard z niedowierzaniem kręcił głową.
— No, ale przynajmniej obaj wiemy w tej chwili, na czym sto-
imy. Ty chciwa, czarna małpo.

Jon Jon wstał. Miał tego dość.

— Niechętnie szczam na wasze ognisko, ale chciałbym wie-
dzieć, co to wszystko ma wspólnego z dziećmi?

Jesmond i Bernard popatrzyli na Jon Jona, który podjął próbę naprowadzenia rozmowy na właściwe tory. Jesmond znów poczuł, jakby miał w gardle betonową kulę, tak wielki był jego strach. Poza tym zdawał sobie sprawę, że kiedy już zacznie opowiadać o tych strasznych rzeczach, ich świat nieodwracalnie ulegnie całkowitej zmianie.

Bynajmniej nie miał w sobie poczucia winy, jednak wiedział, że musi ich przekonać, iż jest dokładnie odwrotnie. Gdyby chociaż w najmniejszym stopniu przeczuwał, że zostanie w taki sposób przyskrzyniony, dałby drapaka w siną dal i ci dwaj już nigdy w życiu by go nie zobaczyli. Teraz jednak mógł swoją dupę uratować tylko przez wyznanie im tego, co chcą usłyszeć i przyjęcie pozy co najwyżej niewinnego obserwatora.

— Widzicie, dzieciaki były częścią układu...

— Co ty mówisz? Jakie dzieciaki? Chcesz powiedzieć, że trzymasz gdzieś pod kluczem jakieś dzieciaki? — Bernard eksplodował. Jego głos, cała jego postawa emanowała skrajnym obrzydzeniem. Korciło go, żeby znów przyłożyć Jesmondowi.

— Dzieciaków tu nie ma. Były, ale w końcu wyjechały za granicę. — Jesmond westchnął. — To naprawdę długa historia. Najpierw chciałbym się napić.

Bernard skinął na Jon Jona.

— Wszyscy musimy się napić. Przynies jakąś butelkę, synu. Chyba będzie nam potrzebna.

Jon Jon przytaknął i wyszedł z pokoju. Znajdujący się na zewnątrz ochroniarze Jesmonda sprawiali wrażenie zdenerwowanych. Uśmiechnął się do nich.

— Dajcie mi butelkę szkockiej i butelkę brandy. Natychmiast.

Numer jeden w obstawie Jesmonda, potężny rudzielec o nieprawdopodobnie wielkich bicepsach i wykręconej nodze, także zmusił się do uśmiechu.

— Wszystko tam w porządku? O co właściwie chodzi?

Jon Jon rozłożył szeroko ręce.

— Kurwa, a ty czego jesteś taki ciekawski? Dawaj flaszki

i spierdalaj z tą swoją białą dupą, jeżeli jeszcze nie straciłeś instynktu samozachowawczego.

Jon Jon potrzebował gwałtownego starcia i ten facet mu w zupełności wystarczał, żeby się wyładować. Rudzielec popatrzył na kumpli, wyczuwając w stojącym przed nim młokosie wzrastającą furję. Czuł, że za drzwiami, za którymi jest Jesmond, coś się dzieje, i to coś takiego, co będzie miało wpływ na jego losy. Postanowił więc, że będzie wobec młokosa przyjazny, lecz stanowczy. Bo któż mógł teraz wiedzieć, co przyniosą następne tygodnie? Przecież niewykluczone, że zanim skończy się miesiąc, będzie musiał pracować dla tego chłopaka od Pauliego. W tym środowisku ludzie szybko pojawiali się i znikali. Rudzielec miał przeczucie, że Jesmond zniknie.

— Tylko mi tu nie pyskuj — powiedział.

Jon Jon roześmiał się sarkastycznie.

— Na pewno nie ty mnie powstrzymasz. A teraz ruszaj się, nie będę czekał do późnej nocy na głupie dwie flaszki.

Zrobiło mu się wesoło. Cokolwiek wyniknie z całej tej sytuacji, na pewno przyniesie mu korzyści. Był tego tak pewien, jak własnego nazwiska. Będzie mógł, na przykład, wziąć sobie dziewczyny Jesmonda, jeżeli tylko zechce. Wystarczy, że zmieni ich miejsca pracy, a pociągnie z nich krociowe zyski.

Zaraz jednak przywołał się do porządku.

Przecież przyszedł tutaj w sprawie swojej siostrzyczki. Nie wypadało snuć podobnych rozważań. Zganił się za to, że na kilka minut zupełnie zapomniał o Kirze. Jak mógł?

Był ulubieńcem i najbardziej zaufanym człowiekiem Pauliego, a świadomość tej sytuacji zaczynała go przerażać.

Oto szukał dla siebie korzyści w momencie, w którym powinien mieć przed oczami jedynie bestię.

Monika otworzyła drzwi i uśmiechnęła się, ujrawszy na progu Joanie. Bardzo za nią tęskniła, a fakt, że odkąd ich przyjaźń pękła, w ogóle nikt nie odwiedzał jej w ciągu dnia, nie popra-

wiała stanu jej ducha. Zarówno znajomi, jak i sąsiedzi starali się jej nie zauważać.

Joanie powszechnie lubiano i tak było od zawsze. Bez niej Monika byłaby całkowitym odludkiem. To dzięki Joanie miała przyjaciółki, pewien prestiż, miała też miejsca, do których mogła pójść, w dzień czy w nocy. Tęskniła za codziennymi wizytami u Joanie, tęskniła za jej dobrocią i przyjaźnią. Tęskniła za nią szczególnie teraz, gdy straciła już wszystkie pieniądze, jakie dostała od gazety.

— Joanie, wejdz do środka, kochana.

Joanie uściskała ją.

— Jesteś boska, Moniko. Nadstawiłaś dla mnie głowę, nie wiem, co powiedzieć. — Prawie zbierało się jej na płacz.

Monika wzruszyła ramionami.

— Jesteś moją przyjaciółką. Właściwie jedyną przyjaciółką. Przepraszam cię za wszystko, Joanie. — Uśmiechnęła się.

— Posłuchaj, Mon, nadstawiłaś dla mnie głowę i tylko to się liczy.

— A pamiętasz o Leniwej Caroline? Wprost nie mogę uwierzyć w to, co zrobiła. Ostatnią przysługą, jaką kiedykolwiek komuś dobrowolnie oddała, było zrezygnowanie z noszenia minispódniczek, przez co oszczędziła wielu ludziom koszmarnych widoków. Te jej pieprzone nogi. Niczym pnie drzew...

Joanie roześmiała się serdecznie. Śmiała się radośnie, bez przymusu, po raz pierwszy od bardzo długiego czasu. Dobrze się czuła, będąc znów u Moniki. Przyjaciółka miała duszę komika, sprawiała, że Joanie mogła przy niej zapomnieć na trochę o kłopotach, a to znaczyło dla niej w tej chwili bardzo wiele.

Tak, Monika miała wady, ale była zabawna.

Przeszły do salonu, a Monika naląła dla siebie i Joanie po drinku.

— Jak się ma Bethany? — zapytała Joanie.

Monika roześmiała się nerwowo.

— Nie zaczynajmy znów kłótni.

Wyszczrzyła zęby, maskując zakłopotanie. Obie zawsze kłó-

ciły się o dzieci. Teraz jednak Monika postanowiła przemienić załazek kłótni w żart.

— Bethany ma się dobrze, Joanie. Jest moim wrzodem na dupie, jak zawsze.

— U ciebie zatem żadnych zmian?

Znów mogły sobie, jak dawniej, beztrzesko rozmawiać o wszystkim i o niczym. Żadna z nich nie wiedziała, jak długo taki stan potrwa, cieszyły się więc po prostu chwilą. Za tydzień pewnie znów się pokłóca, ale na razie burzy nie było nawet na horyzoncie.

— Gdzie ona jest? — zapytała jednak Joanie.

Była tego naprawdę ciekawa. Jej własne dzieci zawsze miały jej mówić, dokąd idą. Z drugiej strony Monika nigdy nawet o to nie pytała swojej córki.

— Kto to wie, Joanie? Od dnia, kiedy zniknęła Kira, Bethany jest nie tym samym dzieckiem. — W głosie Moniki wreszcie zabrzmiało zaniepokojenie spowodowane dziwnym zachowaniem dziecka.

— One były sobie bardzo bliskie, Mon. Cieszyłam się, kiedy przebywały razem. Kira uwielbiała towarzystwo Bethany i chyba z wzajemnością.

Po raz pierwszy od bardzo dawna Joanie mówiła o swojej córce, nie płacząc. Nie wyobrażając sobie jej twarzyczki, wykrzywionej w grymasie przerażenia w chwili, gdy umierała. Ta niewiedza, czego Kira doświadczyła bezpośrednio przed śmiercią, była najgorsza, ponieważ Joanie nie miała najmniejszych wątpliwości: Kira już nie żyła. Gdyby znajdowała się wśród żywych, Joanie by wiedziała. Czułaby to.

Monika wyczuła rosnące napięcie, dlatego powiedziała głośno:

— Kto by pomyślał, że Baxter zorganizuje dla ciebie pomoc, co? Normalnie to z niego jest mamy, stary piździelec.

Joanie roześmiała się razem z nią.

— Raczej nie miał wielkiego wyboru. Paulie tego dopilnował.

Monika usiadła obok przyjaciółki na brudnej kanapie i objęła ją niedźwiedzim uściskiem.

— Cieszę się, że wszystko powraca do normalności, Joanie. Bardzo, bardzo się o ciebie martwiłam.

Joanie czuła zjełczały odór potu Moniki i ten szczególny smród fast foodów, zawsze od niej bijący. Dzisiaj jednak te zapachy ani trochę jej nie przeszkadzały, wręcz przeciwnie. Znała je i dobrze pamiętała, kojarzyły się jej ze spokojną przeszłością sprzed zaledwie kilku miesięcy. Na swój sposób tęskniła za sprzeczkami z Moniką. Mimo że Monika była największą egoistką i najbardziej wstrętną babą na świecie, czasami bywała też szlachetna i wspaniałomyślna.

Niezbyt często, ale jednak.

Monika potrafiła także uważnie słuchać, a tego właśnie Joanie potrzebowała w tej chwili. Potrzebowała kogoś, komu mogłaby z głębi serca zwierzyć się ze swoich trosk.

— Ile forsy dostałaś od gazety, Mon?

Monika przestała się uśmiechać, a jej twarz przybrała swój zwykły wyraz urażonej damy.

— Niezbyt wiele, ale przynajmniej tyle, że życie na krótko stało się trochę łatwiejsze.

Joanie uśmiechnęła się.

— Miałam nadzieję, że skasowałam fortunę.

Teraz uśmiech wrócił na twarz Moniki. Odetchnęła z ulgą. Temat został zamknięty, zyskała wybaczenie, zresztą nie miała wątpliwości, że jeśli ktokolwiek kiedyś zrozumie motywy jej postępowania, tą osobą może być tylko Joanie.

— Odłożyłam kilka funtów, jeżeli potrzebujesz. Mogę zapłacić za twoją taksówkę do Sheffield, jeśli chcesz.

Obie roześmiały się jak szalone.

— Muszę ci powiedzieć, Joanie, że zrobiłaś wrażenie nawet na Baxterze. — Monika naląła sobie następnego drinka. — Chyba piję ostatnio więcej, niż sobie z tego zdaję sprawę. Wczoraj wieczorem ta flaszka z pewnością nie była taka pusta. — Roześmiała się. — Dziwne, ale odnoszę wrażenie, jakbyśmy nigdy się nie rozstawały. Cieszę się, że tu jesteś, Joanie, naprawdę. A ty? Też się cieszysz?

Joanie ze smutkiem pokiwała głową.

— Oczywiście, moja droga. Czuję to samo co ty.

— Pojechałabym z tobą do Sheffield, gdybyś tylko poprosiła.

— Wiem, Mon.

— Dobrze ci to zrobiło, prawda?

Joanie uśmiechnęła się i przytaknęła. Nie chciała mówić Monice, jak czuje się naprawdę po tej wyprawie, ponieważ wiedziała, że Monika nigdy by tego nie zrozumiała.

Nie rozumiała tego zresztą także ona sama.

Od udzielenia odpowiedzi wybawiło ją przybycie Bethany. Joanie przypomniała sobie, że w pokoju Kiry znalazła kilka lalek Barbie. Postanowiła część z nich przekazać Bethany. Kira z pewnością by tego chciała. Oczywiście, inną kwestią było, czy Bethany zależało na takim prezencie.

— Oto dziewczyna, do której specjalnie tutaj przyszedłam.

Dziecko gwałtownie pobladło.

— Po co do mnie przyszedłaś, ciociu Joanie? Ja nic nie wiem, przysięgam.

Bethany była przerażona. Joanie i Monika popatrzyły na siebie, aż wreszcie Monika wzruszyła ramionami, jakby chciała rzucić pytanie: „Co tu się dzieje?”

— Uważaj, do kogo mówisz, mała kanalio.

Jeszcze przed chwilą wszystko układało się jak najlepiej, ale ta żalosna gówniara musiała przyleźć i wszystko zepsuć. Monika aż gotowała się ze złości.

— Nie mów tak do niej — zareagowała Joanie. — Chodź, kochanie. Bethany, podejdź do mnie.

Joanie wyciągnęła rękę, żeby przytulić dziewczynkę. Bethany bardzo to lubiła, ponieważ Monika rzadko uszczęśliwiała ją taką czułością. Teraz jednak dziewczynka pozostała w miejscu, jakby wpuściła korzenie w podłogę.

— Ja nic nie wiem, naprawdę.

Rozpłakała się.

— Po co właściwie przylazłaś? Nie chcę cię widzieć! — wrzeszczała Monika.

Joanie popatrzyła na przyjaciółkę kompletnie oszołomiona. Musiała ją natychmiast uspokoić. Gdy kobieta ruszyła w kierunku córki, złapała ją za ramię i zatrzymała. Bethany miała ze strachu szeroko otwarte oczy. Nie był to jednak strach przed matką, Joanie doskonale to rozumiała.

— O co chodzi, Bethany? Powiedz mi, kochanie.

— Nie, nigdy! Nie przychodź tu, ciociu, bo jeśli będziesz nas odwiedzała, oni pomyślą, że ci powiedziałam.

Monika zaczęła krzyczeć.

— Do cholery, o co chodzi, Bethany?! — Popatrzyła na Joanie. — I zobacz tylko, co ja muszę znosić. To piżdziaste dziecko doprowadza mnie do szaleństwa.

— Zamknij się, Moniko — głos Joanie był bardzo ostry.

Dziewczynka wyglądała strasznie i Joanie zaczynała się o nią martwić. Podeszła i uklękła przed nią. Z Bethany działo się coś dziwnego. Ale co? Tego jeszcze nie wiedziała, ale zamierzała się dowiedzieć.

— Kogo się boisz, Beth? No, mnie możesz powiedzieć. Przywołam tego kogoś do porządku, przecież wiesz. A jeśli ja nie dam rady, uczyni to Jon Jon. Nie bój się więc, słoneczko, po prostu powiedz mi, kogo się obawiasz? — Uśmiechnęła się do dziewczynki, próbując ją uspokoić i jednocześnie starając się dociec, co ją gryzie. — Nie będziesz miała żadnych kłopotów, obiecuję ci. Zgoda?

Bethany wciąż była oszołomiona. Na pulchnej buzi nadal malował się strach, w oczach lśniły łzy. Miała takie same nieuczesa-
ne włosy jak jej matka, ponieważ Monika bardzo rzadko zajmowała się fryzurą córki. Jeśli już, to układała jej kok afro na czubku głowy. Joanie bardzo współczuła dziewczynce.

— Powiedz mi, proszę, co cię gnębi?

— Nie mogę, Joanie. Nie każ mi mówić, proszę. Bo wtedy przyjdą po mnie, wiem, że tak będzie. Nie masz pojęcia, jacy oni są.

Rozpłakała się głośno, ciasno splatając pulchne rączki. Joanie spostrzegła, że dziewczynka ma paznokcie poobgryzane niemal

do krwi. Chociaż nadal była masywna, ostatecznie musiała stracić sporo na wadze. Joanie doszła do wniosku, że to dziecko jest jednym kłębkim nerwów, ale Monika — jak to Monika — ani niczego nie zauważyła, ani nie zapytała własnej córki, co złego się dzieje.

Joanie delikatnie przycisnęła małą do siebie.

— Powiedz mi wszystko, a ja już się tym zajmę. Obiecuję.

Od Bethany czuć było alkohol. Joanie wyczuła to dopiero po kilku sekundach. Znała jednak dobrze ten zapach. Stała przed nią Monika w dziecięcym ubraniu.

— Idź do sypialni, Bethany. Przyjdę do ciebie.

Dziewczynka wybiegła, niemal szczęśliwa, że konfrontacja wreszcie się zakończyła.

— Ona śmierdzi alkoholem, Mon.

Monika roześmiała się.

— Wcale mnie to nie dziwi, moja droga. Przecież wiesz, jaka jest. Pamiętasz, jak napiły się z Kirą bacardi?

Joanie potrząsnęła głową, zdenerwowana.

— Moniko, ona ma pijacki oddech. Myślę, że tego pociąga.

Monika nadal nic sobie z tego nie robiła. W gruncie rzeczy, mało ją interesowało, co jej córka robi, a czego nie robi. Bethany była bowiem ni mniej, ni więcej, tylko niechcianym dodatkiem do życia matki. Była jakby fotografią, wspomnieniem dawno przebrzmiałej przeszłości. Będzie się kręciła wokół matki, dopóki zgodnie z prawem nie pójdzie sobie w świat, a wtedy Monika jedynie pomacha jej na pożegnanie. Była zresztą święcie przekonana, że większość ludzi właśnie tak postępuje ze swoimi dziećmi. Opiekują się nimi, dopóki nie nadchodzi czas rozstania, a potem jedynie wzdychają z ulgą.

Wiedziała jednak, jaka jest Joanie, dlatego zaczęła udawać, że interesuje ją los córki. Przywołała na twarz niepokój, mając nadzieję, że to wystarczy.

— Mon, ta dziewczynka jest pijaczką — nie ustępowała Joanie.

— Taka córka, jaka matka, co?

Monika była już znudzona, ponieważ nigdy nie skupiała nieprzerwanie myśli na córce przez zbyt długi czas. Nawet kiedy była niemowlęciem, Monika opiekowała się nią tylko wtedy, gdy akurat miała na to ochotę. A ta ochota zawsze trwała bardzo krótko.

Joanie przymknęła oczy w poczuciu bezsilnej złości. Oto stała przed nią kobieta, która miała wszystko, a o tym nie wiedziała. Miała córkę, która ją kochała, a ona tymczasem zupełnie się nią nie interesowała. Nie miała pojęcia o przerażeniu po zniknięciu dziecka, a nawet gdyby w jej rodzinie coś takiego się przydarzyło, zapewne szybko by się z tego otrząsnęła, jak po wszystkim, co zdarzyło się w jej życiu.

Joanie starała się zapanować nad swoim gniewem, ponieważ w gruncie rzeczy wiedziała, że Monika traktuje swoje dziecko dokładnie tak, jak była traktowana ona sama.

Matka Moniki wciąż żyła i miała się dobrze, jednak zupełnie nie interesowała się własnymi dziećmi. I żadne z nich w najmniejszym stopniu się tym nie przejmowało. Dla nich było to normą, szli przez życie ze świadomością, że taka norma obowiązuje. Monika nie była zdolna do okazywania głębszych uczuć. Po prostu nikt jej tego nie nauczył.

— Pójdę zobaczyć, co się dzieje z Bethany. Dobrze, Mon?

Ale Monika nie słuchała. Uzupełniała alkohol w szklankach. O Bethany już zapomniała.

— Powiedz jej, że ma do rana szlaban na wychodzenie z domu. Pieprzona, bezczelna zdzira.

— Jak myślisz, Mon, o czym ona mówiła? Kto ją przestraszył do tego stopnia, że zachowuje się w taki sposób?

Monika popatrzyła w sufit.

— Przecież wiesz, jaką zgrywuską jest moja córka. Trzeba ją ignorować i tyle. Pewnie jak zwykle niepotrzebnie coś komuś nagadała i boi się konsekwencji. Zawsze wdepnie w jakieś gówno. — Wypiła łyk alkoholu. — Kręci się przy tej pieprzonej Lornie, kolejnej specjalistce od wszelkich kłopotów. Niechby się do niej wprowadziła, ostatnio i tak rzadko bywa u mnie.

Joanie odwróciła się, chcąc pójść do dziewczynki.

— Och, daj jej spokój, Joanie. Mówię ci, najlepiej ignorować jej fochy.

— Ale przecież z tym dzieckiem dzieje się coś bardzo złego, Moniko. Nalej mi, a ja na chwilę pójdę do Bethany. Wrócę, zanim się spostrzeżesz.

— Jak sobie życzysz.

Monika była wściekła. Przecież tak bardzo chciała być sam na sam z Joanie, a tymczasem Bethany skupiła na sobie całą uwagę przyjaciółki. Zresztą jak zwykle. Popatrzyła na puste butelki i zawołała:

— Wyjdę na chwilę do sklepu i dokupię wódki.

Joanie jedynie pokiwała głową i weszła do sypialni Bethany. Dziewczynka leżała na łóżku, zwinięta w kłębek. Jej okrągłe policzki były brudne i lśniły od łez. Na gwałt potrzebowała kąpieli i czegoś czystego do ubrania. Joanie zawsze w podobnej sytuacji chciała ją wykąpać i kilkakrotnie nawet już to zrobiła.

Teraz usiadła na skraju łóżka dziewczynki i delikatnie położyła dłoń na jej ramieniu. Bethany nie spojrzała na nią, delikatnie pocałowała więc czubek jej głowy i dopiero wtedy się odezwała:

— Nie wyjdę stąd, dopóki mi nie powiesz, co się z tobą dzieje.

Bethany milczała, jednak spokój głosu Joanie i bijąca od niej dobroć sprawiły, że zaczęła płakać jeszcze głośniej.

Joanie była jedyną osobą, która kiedykolwiek okazała jej ciepłe uczucia i która interesowała się jej losem. Jedynie ona dawała jej prezenty na Boże Narodzenie. W Wigilię zawsze pozwalała jej być z Kirą i zostawała z przyjaciółką aż do następnego popołudnia, kiedy u Joanie zjawiała się Monika, niechlujna i ledwo trzymająca się na nogach. Bethany jednak zupełnie wtedy matka nie interesowała, ponieważ, przebywając u Kiry, była najedzona, było jej ciepło i miała swoje prezenty. Joanie zawsze kupowała jej coś do ubrania — piżamę, pantofle, ale także zabawki.

A ona odpowiedziała na dobroć zdradą.

— Proszę cię, powiedz, co się z tobą dzieje, Bethany. Ja po prostu chcę ci pomóc, dziecino.

Łkając, dziewczynka usiadła. Przyłgnąwszy do Joanie, wyszeptała:

— Jeżeli ci powiem, obiecujesz, że nikomu nie zdradzisz, że wiesz to ode mnie? Obiecujesz mi, ciociu Joanie?

Joanie odgarnęła z twarzy dziewczynki potargane włosy i odrzekła:

— Najpierw powiedz, o co chodzi. Nie mogę ci niczego obiecać, zanim się nie dowiem, jaki masz kłopot.

— Możemy pójść do twojego mieszkania?

Joanie pokiwała głową.

— Ale mama niech z nami nie idzie, dobrze? — dodała dziewczynka.

— Czy chodzi o Kirę? Tak?

Bethany pokiwała głową. Jej oczy znów zasnuły się łzami. Była zaledwie jedenastoletnią dziewczynką, a o życiu wiedziała więcej niż niejedna zamężna kobieta. Mógłby to stwierdzić każdy, kto zadałby sobie trud, żeby popatrzeć w jej wielkie, brązowe oczy.

— Włóż płaszcz, Bethany. Ja zajmę się mamą, dobrze?

Wyszła z Bethany na ulicę. Dziewczynka trzymała ją za rękę tak mocno, że wręcz sprawiała jej ból.

Wcale nie chciała słyszeć, co ma jej do powiedzenia córka przyjaciółki, ale wiedziała, że nie ma wyboru, musiała jej wysłuchać. Obie szły w milczeniu, obie równie przerażone, jednak trochę spokojniejsze z tego powodu, że są we dwie, razem,

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Monika wróciła do pustego mieszkania i znalazła kartkę od Joanie z informacją, że zaraz przyjdzie, ponieważ musiała wyjść w pilnej sprawie. Monice nawet nie przyszło do głowy, że Bethany mogła pójść razem z przyjaciółką. Była już zbyt pijana, żeby myśleć logicznie. Nie kłopotowała się, by sprawdzić, czy córka wciąż przebywa w swoim pokoju.

Nalała sobie natomiast kolejnego drinka i włączyła telewizor. Rozsiadłszy się na kanapie, zaczęła wyciągać z torby zakupy, które przed chwilą zrobiła w sklepie monopolowym.

Poczuła się szczęśliwa. Znów była na jak najlepszej stopie z Joanie, a tylko to się liczyło.

Właściwie to Joanie była jej coś winna za ostatnie zadzieranie nosa.

Popatrzyła na zegar. Wiedziała, że za chwilę powinna wyjść do pracy, na ulicę, jednak zupełnie się tym nie troskała. I tak wypita już dziś za dużo, więc gdyby nawet trafił się jej klient i tak sprawa skończyłaby się pewnie jedynie na kłótni. Teraz, kiedy Joanie znów była w pracy, Monika postanowiła skorzystać z jej wstawiennictwa i znaleźć sobie miejsce w salonie. Było to marzenie Moniki, a jak już sobie wmówiła, Joanie Brewer miała wobec niej wielki dług wdzięczności i znalezienie dla niej miejsca w salonie masażu pokryłoby ten dług przynajmniej w części.

Postanowiła poczekać, aż Joanie wróci, a potem nad nią popracować.

W końcu była jej przyjaciółką.

*

Jesmond dostał kieliszek brandy. Wypił zawartość jednym haustem, zastanawiając się, co wyniknie z jego rewelacji. Przez wszystkie lata zacierał za sobą ślady, a teraz, gdy już prawie witał się ze swoją nagrodą za czas oczekiwania, okazywało się, że najprawdopodobniej wybuchnie mu ona prosto w twarz. Stał się być na to przygotowany.

Popatrzył na Jon Jona i powiedział:

— Po dziewczynach z Rumunii pojawiły się Czeszki, tyle że one były jeszcze prawie dziećmi. Chociaż zanim tu przyjechały, już doskonale znały się na robocie. Były dobrze wyszkolone. Zazwyczaj jednak nie korzystamy z nich tutaj, raczej przekazujemy je dalej...

— Co to znaczy „przekazujemy je dalej”?

Jesmond postarał się sprawić wrażenie zawstydzonego.

— Sprzedajemy je.

Jon Jon zmarszczył czoło, zastanawiając się nad znaczeniem jego słów.

— Komu?

Jesmond wzruszył ramionami. Ciężkie dredy zatrzęsły się.

— Pippy Light... to on był pośrednikiem. Z tego, co mi wiadomo, część dziewcząt wykorzystywano tutaj do filmów, a część jechała dalej, do Amsterdamu. Nie wiem dokładnie, co się z nimi stało, musielibyście jego zapytać.

— W jakim wieku były te dziewczęta?

Głos Bernarda świadczył dobitnie nie tylko o tym, że jest rozwścieczony i zaszokowany, ale że jest gotów natychmiast dać upust swojej wściekłości. Widać to zresztą było w całej postawie mężczyzny. Co chwilę zaciskał dłonie w pięści, jakby czekał na najlepszy moment, żeby zaatakować siedzącego przed nim.

W rzeczy samej, właśnie do tego się przymierzał.

Jesmond nie potrafił spojrzeć w twarz ani Bernardowi, ani Jon Jonowi.

— W różnym. W gruncie rzeczy nie pytałem żadnej o metrykę urodzenia.

Bernard z całej siły kopnął go w kolana, niemal strącając faceta z krzesła.

— O jakich dziewczętach rozmawiamy? Piętnastoletnich? Dziesięcioletnich? Młodszych?

Jesmondowi tak zaschło w ustach, że z trudem wycharczał następane zdanie:

— Człowieku, już ci powiedziałem. Były w różnym wieku.

Jon Jon i Bernard wpatrywali się w niego. Obaj wiedzieli, że wiek dziewcząt nie grał dla Jesmonda żadnej roli. Nie wahałby się wykorzystywać nawet najmłodszych dzieci.

— Ty kupo gnoju, mało cię to obchodziło, co?

Jesmond nie śmiał podnieść wzroku.

— To nie jest kwestia tego, czy mnie coś obchodziło, czy nie. Po tym, jak zawierałem wstępną umowę, właściwie się nimi nie zajmowałem. A dzieciaki to poletko Pippy'ego, nie moje. Ja się opiekuję starszymi dziewczętami.

Bernard roześmiał się sarkastycznie.

— Starszymi dziewczętami? W jakim więc są wieku? Czy mówisz o wyrosniętych dziewięciolatkach? Są dość dojrzałe?

Jon Jon musiał użyć wszystkich swoich sił, żeby przytrzymać Bernarda w miejscu. Jesmond wstał z krzesła i wykonał krok w kierunku drzwi.

— Natychmiast siadaj! A ty się, kurwa, uspokój, dobrze? — Jon Jon próbował zapanować nad sytuacją. Zdecydowanym ruchem ramienia odepchnął Bernarda od Jesmonda. — Uspokój się, Bernard. Kiedy dowiem się wszystkiego, czego chcę, będziesz mógł z nim zrobić, co sobie zażyczysz, jasne? Na razie, do cholery, zachowaj jasny umysł.

Z trudem zmusił go, żeby usiadł z powrotem na krześle i nalał mu kolejnego drinka.

— Kurwa mać, przez ten cały czas robiłem interesy z pierdolonym Garym Glitterem z Barking i Dagenham! Dasz wiarę? Przepraszam, Jon Jon, ale to jest aż kurewsko nieprawdopodobne. — Bernard potrząsnął głową i jednym łykiem opróżnił z brandy

kieliszek. — Kurewsko niemożliwe! Znam tylu ludzi, gdyby to był ktokolwiek inny, a nie on... Przez tak długi czas z nim pracowałem, byliśmy kumplami... — Znowu nalał sobie brandy. — Ja po prostu nie mogę tego pojąć. To dla mnie za dużo jak na jeden dzień. Czekaj, aż powiem wszystkim, że przez cały czas robili interesy ze zbożem, z pierdoloną bestią! Kurwa, nie wiem, czy ktoś uwierzy.

— Spróbuj. A na razie pozwól mi z nim rozmawiać.

Jon Jon skierował uwagę znowu na Jesmonda, który sprawiał teraz wrażenie, jakby nagle zmałał. Bez zwykłej opryskliwości i arogancji, w tej chwili wyglądał nawet w połowie nie tak groźnie jak zawsze.

— Co się stało z moją siostrą? Czy masz cokolwiek wspólnego z jej zniknięciem? Czy kiedykolwiek przychodził do ciebie Mały Tommy albo jego ojciec?

— Lepiej zadaj te pytania Pippy'emu Lightowi, Jon Jon. Cała ta część biznesu leżała w rękach jego i jego kumpli. Kiedy już sprawy zaczęły się kręcić, nigdy nie miałem z tym nic do czynienia.

— Ale pieniądze brałeś, co?

Jesmond popatrzył Bernardowi prosto w oczy.

— Musisz to zrozumieć. Jak już ci powiedziałem, forsa jest z tego astronomiczna, nigdy tyle nie zarobisz na marihuanie, kokainie i co tam jeszcze byś wymyślił. To żywy towar. Jeśli trzeba, potrafi się ruszać, przemieszczać.

Jesmond przetarł dłonią twarz. Starał się uzmysłwić Bernardowi trudną rzeczywistość finansową. Wiedział, że pieniądze są jego bogiem. Przez te wszystkie lata, odkąd się poznali, Bernard zawsze zmierzał prosto ku nim. Poza tym jednym przypadkiem.

— Powiedz prawdę, Jesmond. Chociaż raz w swoim pierdolonym życiu powiedz mi prawdę.

— Twoja siostra, Jon Jon, nie była nigdy zagrożona, nie miała szansy, żeby znaleźć się w kręgu naszych zainteresowań. Nigdy nie zajmowaliśmy się angielskimi dziećmi, a jedynie zagranicznymi. A kiedy do nich docieraliśmy, dawno już były złamane i wiedziały, czego się po nich oczekuje.

Bernard i Jon Jon nie dowierzali własnym uszom. Mroziło ich samo słuchanie Jesmonda. O najbardziej podłych rzeczach na świecie mówił tak, jakby w ogóle nie widział w nich podłości. I tak rzeczywiście było, co w tym wszystkim stanowiło największe zło.

— Gdybym był zboczeńcem i poszedł do Pippy'ego, co by mi zaproponował?

Jesmond potrząsnął głową.

— Nie wiem. Już ci powiedziałem, musisz sam z nim porozmawiać. Miał ludzi do pomocy, gdy otrzymywał różne specjalne zamówienia. Nigdy mi ich nie przedstawiał. Mówił, że nie muszę ich znać.

— Niewiele wiesz, co, kutasie?

Bernard znów ruszył na Jesmonda i tym razem Jon Jon nie zrobił nic, żeby go powstrzymać.

— Przysięgam na życie mojej córki, nic nie wiem o twojej siostrze, Jon Jon, ani o piździelcach, którzy ją skrzywdzili.

Jon Jon popatrzył mu w oczy i wyczytał z nich najważniejsze: Jesmond najprawdopodobniej mówił prawdę.

— Proszę cię, Jesmond, jeżeli cokolwiek wiesz... cokolwiek.

— Nic nie wiem. Może powinieneś zapytać Pauliego Martina?

Jon Jon westchnął.

— Paulie cię, kurwa, poćwiartuje już choćby za to, że jednym tchem wymieniłeś jego i Pippy'ego — powiedział to lekceważącym tonem, co rozzłościło Jesmonda, który uśmiechnął się szyderczo i głośno wypuścił powietrze pomiędzy zębami. Z kolei Bernard uznał, że milczał już wystarczająco długo.

— Mam zamiar cię zabić, Jes. — Na chwilę zamknął oczy.

— Nigdy bym nie przypuszczał, Bernie, stary przyjacielu. Ale najpierw idź do Pauliego i zapytaj go o jego interesy z Pippym Lightem, dobra?

Jesmond pogodził się już ze swoim losem, a teraz jedynie starał się pomagać swoim prześladowcom. Dostrzegł to nawet Jon Jon. A jednak wciąż nie dowierzał jego słowom. Nie Paulie, tylko nie on.

— Mógł nie wiedzieć, z czym ma do czynienia...

— Kogo chcesz przekonać, Jon Jon? Siebie czy mnie?

Jesmond nie dbał już o nic. Wiedział, że w zasadzie jest już martwy.

— Mógł nie wiedzieć. Paulie inwestuje w różne przedsięwzięcia, kontaktuje się tylko z ludźmi, którzy obracają pieniędzmi. Nie zawsze wie, co właściwie z nimi robią...

— Nie wie? A może zapytaj go o strony internetowe, a także o imprezy w pewnym domu w Clerkenwell. Zapytaj go, kurwa, człowieku, i powiedz, że to ja ci podpowiedziałem, żebyś to zrobił.

— On cię zabije — warknął Jon Jon.

Nagle roześmiał się Bernard, zacierając ręce, jakby było mu zimno.

— Powiedz mu, Jon Jon, że będzie musiał stanąć w kolejce. Ten zboczek należy do mnie. Wyświadczyć mi przysługę i zawołaj do mnie Jimmy'ego, kiedy będziesz wychodził. Niech weźmie ze sobą gaz do zapalniczki i szczypcę. Zabawimy się z tobą w starym stylu, Jesmond, jak w latach siedemdziesiątych.

Pragnął zemsty, a Jon Jon nie zamierzał mu jej odmówić. Poza tym zdawał sobie sprawę, że Bernardowi zależy na informacji, gdzie Jesmond przechowuje pieniądze.

Kiedy zbierał się do wyjścia, Bernard wyszeptał do niego:

— Powiedz mi, czego się dowiesz od Pauliego. Zawsze chciałem trochę się z nim zabawić.

Jon Jon roześmiał się.

— On plecie bzdury, Bernard. O Pauliem można wiele powiedzieć, ale żeby był taką bestią? Przenigdy.

— Zobaczymy, synu. I, Jon Jon...

Jon Jon odwróciwszy się, stanął twarzą w twarz z windykatorem.

— Jesteś dobrym chłopakiem. Jeżeli kiedykolwiek będziesz chciał zmienić zajęcie, zatelefonuj do mnie.

Jon Jon pokiwał głową i wyszedł z pokoju. Kiedy dotarł do ochroniarzy Jesmonda, zza drzwi usłyszał pierwsze wrzaski.

— Co się dzieje, Jon Jon?

Zauważył, że jeden z ochroniarzy rusza, by pomóc szefowi. Niepotrzebnie. Król był już martwy. Niech żyje nowy król!

Bethany leżała skulona na kanapie, ze szklanką mleka i paczką czipsów. Joanie przygotowywała dla niej kąpiel. W jakimś momencie dziecko posikało się i ubranie było przesiąknięte moczem. Joanie nie mogła więc dziewczynki tak zostawić. Dała jej do ubrania jeden ze swoich za małych T-shirtów. Kiedy odbierała od dziewczynki brudne ubrania, wstrząsnął nią widok bielizny. Była w okropnym stanie, a na majtkach znajdowały się stare ślady zakrzepłej krwi.

Joanie westchnęła z frustracją. Biedna, mała samiczka. Monika najwidoczniej nie zadała sobie trudu, żeby poinformować córkę, czym jest menstruacja i jak sobie z nią radzić. Bethany pewnie się mocno przestraszyła. Joanie nalała do wanny płynu do kąpieli, którego kiedyś używała Kira, i zażawionymi oczyma patrzyła, jak na powierzchni wody tworzą się bąbelki. Wprost nie mogła uwierzyć, że jej przyjaciółka traktuje swoje dziecko tak, jakby w ogóle dla niej nic nie znaczyło.

— No, kochanie, wskakuj do wanny.

Bethany weszła do łazienki i Joanie ściągnęła z niej koszulkę. Na pulchnym ciałku dziewczynki zobaczyła szramy i pręgi. Nie rozwinęły się jej jeszcze piersi; była zupełnie płaska. Kiedy usiadła w wannie, skrzywiła się z bólu.

— Coś cię boli, kochanie?

Bethany pokiwała głową.

— Czy ktoś ci zrobił krzywdę, Bethany?

— Nie mogę o tym nikomu powiedzieć, ciociu Joanie, bo wtedy oni przyjdą i mnie załatwią. Tak powiedzieli. — Bethany zazwyczaj lubiła się zgrywać, teraz jednak w jej oczach lśniły prawdziwe łzy.

— Kto ci tak powiedział, najdroższa? Powiedz o tym cioci Joanie, a zobaczysz, zajmę się tym.

Widziała, że Bethany chce jej uwierzyć. Czasami jednak strach jest silniejszy niż miłość, a zdawała sobie sprawę, że kluczem do tej sytuacji jest strach. Jeżeli więc chciała czegokolwiek się od dziewczynki dowiedzieć, musiała postępować powoli, z rozważką. Bethany z pewnością powie jej prawdę, ponieważ — widać to było po niej — bardzo tego pragnęła. Jednak natarczywa próba wymuszenia z niej tej prawdy będzie musiała skończyć się niepowodzeniem.

— Mogę tutaj zostać?

Była to raczej prośba niż pytanie. Patrząc w wielkie, brązowe oczy dziewczynki, Joanie czuła, jak gwałtownie reaguje jej serce. To dziecko było piękne mimo okrywającej je warstwy brudu i tłuszczu. Należało poświęcać mu mnóstwo uwagi, a tymczasem nikt go nie kochał. A przecież Joanie mogłaby dać Bethany wszystko, czego by potrzebowała. Wiedziała ze swojego doświadczenia, co zwykle się dzieje z dziewczynkami takimi jak Bethany. Ludzie wykorzystywali je i nimi poniewierali.

Joanie też tego zaznała w młodości.

— Oczywiście, że możesz tu zostać, jak długo będziesz chciała. Ale nie możesz tu pić alkoholu, chyba rozumiesz?

Bethany pokiwała głową.

— Tutaj wcale nie będę musiała pić, prawda? Nie będę ciągle sama.

W jej głosie zabrzmiało wielkie poczucie samotności, widać je było także w zgarbionej sylwetce i opuszczonych ramionach dziewczynki. Joanie zaczęła delikatnie myć jej włosy. Przy skórze w wielu miejscach były poklejone i zmatowiałe. Żeby je rozdzielać, musiała użyć odżywkki.

— Skąd masz te szramy? — zapytała zdawkowym tonem.

Bethany leżała spokojnie w wodzie, ciesząc się dotykiem dłoni Joanie, masujących jej skórę na głowie. Oczy miała zamknięte i przez długą chwilę nie reagowała na słowa kobiety. Joanie poczuła nagle ochotę, żeby pójść do Moniki i jednym kopniakiem wysłać ją w przestrzeń kosmiczną za kompletny brak zainteresowania dzieckiem. Monika nigdy nie powinna była mieć dzieci.

Dlatego że jest, zawsze była i będzie samolubna. Kiedy dawniej przyjaciółki o tym rozmawiały, powtarzała zazwyczaj, że postępuje dokładnie tak, jak jej własna matka. Lecz przecież matka Joanie nie była lepsza, a ona tymczasem robiła wszystko, co tylko było w jej mocy, żeby jej dzieci wychowywały się w jak najlepszych warunkach. Gotowa była zrobić wszystko, byle tylko nie zaznały takich nieszczęść i niedoli, jakie były udziałem jej samej. Doskonale wiedziała, w jakich warunkach wychowuje się Bethany, jednak po zniknięciu Kiry jakoś zapomniała o tym biednym dziecku.

— Powiedz mi, kto cię skrzywdził. Ja nie żartuję, Bethany, muszę to wiedzieć.

Bethany nadal nie odpowiadała, a jedynie wpatrywała się w Joanie wielkimi, smutnymi, brązowymi oczyma.

— A co z mamą, ciociu Joanie? Czy powiesz jej, czego się ode mnie dowiedziałaś?

— Jeśli nie będziesz chciała, nic jej nie powiem. Pozwól, że najpierw wypłuczę ci włosy, a później zaczniesz mówić, zgoda?

Bethany pokiwała głową, leżąc w ciepłej wodzie, ciesząc się chwilowym spokojem i komfortem. Zawsze zazdrościła Kirze jej życia domowego i teraz, kiedy przypominała sobie, co jej zrobiła, znowu ogarniało ją wielkie poczucie winy.

Czasami brała w niej górę zazdrość. Kira zawsze była kochana, opiekowano się nią, przez całe życie była oczkiem w głowie swojej rodziny. A Bethany wiedziała, że jest dla kogoś coś warta tylko w tym małym mieszkanku, kiedy Joanie robiła wszystko, żeby ona także czuła się częścią jej rodziny.

Teraz, leżąc w wodzie, czuła, jak otacza ją miłość Joanie. Czuła, że może jej zaufać. Skoro Joanie powiedziała, że się nią zaopiekuje, tak właśnie się stanie.

Leżała więc, ciesząc się z troski, jaką jej okazywała najlepsza przyjaciółka matki.

Paulie miał akurat spotkanie z Wielkim Johnem McClellanem. John był doskonale znany w południowym Londynie cho-

ciażby z tego, że miał tu udziały w niemal każdym brudnym interesie. Odsiedział długi wyrok, dwadzieścia trzy lata w więzieniu, i wyszedł z niego bogatszy niż w chwili, gdy zamykały się za nim drzwi celi. Jego interesów przez cały czas, kiedy odsiadywał wyrok, pilnowali synowie.

Największą zaletą Johna było to, że w ogóle nie miał sumienia. Od swoich najwcześniejszych dni, od samego początku działalności pilnował, żeby każdy, kto okazał mu brak szacunku albo z jakiegoś powodu mu się nie spodobał, płacił za to wysoką cenę. Po ulicach wciąż chodziło wielu starszych mężczyzn z okropnymi szramami na policzkach, ciągnącymi się od brwi do ust. W latach sześćdziesiątych właśnie w taki sposób karano podobne „przewinienia”.

Teraz potrzebował Pauliego, chcąc zawrzeć z nim umowę dotyczącą przewiezienia kokainy z Amsterdamu do Harwich w plastikowych pojemnikach na owoce. Owoce w rzeczywistości wypełnione były białym proszkiem, a ponieważ pojemniki spryskano jakimś środkiem zabijającym zapach narkotyków, psy nie miały najmniejszych szans, żeby je wykryć.

John zdążył już zorganizować kilka mniejszych przerzutów i gotów był już wejść do wyższej ligi. Potencjalni odbiorcy skłonni byli płacić fortunę, a on potrzebował ludzi, którzy pomogliby mu w zabezpieczeniu transportów. Stąd jego wizyta u starego kumpla, Pauliego Martina.

Paulie ze swojej strony cieszył się na myśl o wspólnych interesach z Wielkim Johnem, ponieważ zawsze dawały pewny i stabilny zarobek. Wielki John nigdy nie zainwestował nawet pensa, nie sprawdzwszy, czy potencjalny interes jest tego wart, i zawsze mnóstwo na każdym z nich zarabiał.

Paulie pamiętał, jak wiele lat temu siedzieli we dwójkę na plaży w Sussex, czekając, aż małe łódki z ładunkiem marihuany dobiją do brzegu. Kiedy je wreszcie zobaczyli, weszli do wody i bosakami przyciągnęli na piasek.

Jakież życie było wtedy wesołe i pełne emocji!

Tamto życie połączyło dwóch mężczyzn na zawsze. Teraz

Wielkiemu Johnowi przedstawiony został Jon Jon, który ledwie kilkakrotnie o nim wcześniej słyszał, ale od razu poczuł za-fascynowanie tym człowiekiem. Czekał, aż Wielki John skończy omawiać interesy z Pauliem. Wiedział, że dopiero wtedy będzie mógł opowiedzieć Pauliemu o swoim ostatnim spotkaniu z Jesmondem.

Słuchał, jak dwaj przyjaciele rozmawiają o dawnych czasach i trochę zazdrościł im tych doświadczeń, mimo że wiedział, iż przecież, kiedy tylko ich rozmowa się skończy, natychmiast będzie musiał położyć na szali swoje życie, nieodwołalnie.

W normalnych warunkach byłby podekscytowany, znalazłszy się w towarzystwie żywej legendy, teraz jednak miał zbyt wiele problemów, żeby się tym cieszyć. Rozejrzał się po biurze Pauliego i właściwie po raz pierwszy zauważył, jak drogie jest jego wyposażenie. Musiało kosztować mnóstwo forsy i warte było swojej ceny.

W naturze Pauliego leżało, żeby wybierać tylko to, co najlepsze, a Jon Jon wiedział, że w jego sytuacji byłby taki sam. Wiedział też, że cieszyłby się z każdej drogiej rzeczy, którą udałoby mu się kupić. Tymczasem Paulie nigdy nie był zadowolony, nigdy nie miał dosyć, był po prostu nienasycony. Poza tym uważał, że każdy wydany pieniądz jest zawsze pieniądzem straconym, nawet gdyby się szybko zwracał.

Jon Jon powrócił do rzeczywistości, słysząc, jak Paulie mówi do Wielkiego Johna:

— Weź więc ze sobą Jon Jona. To dobry chłopak i ma już dość spore doświadczenie. — Paulie uśmiechnął się do niego. — Będiesz towarzyszył Johnowi. Będiesz go słuchał i się uczył, dobrze? Ponieważ to będzie twoja działka w naszych wspólnych interesach. A w rzeczy samej zawsze należy się uczyć od najlepszych.

Uśmiechnął się do niego także Wielki John i Jon Jon odpowiedział uśmiechem. Wielki John był archetypem złoczyńcy: miał kwadratową twarz i był zupełnie łysy, a w ustach nosił błyszczące złote zęby. Był dobrze zbudowany. Trochę obrastał już tłuszczem, ale wciąż miał taką posturę, że każdy, kto chciałby z nim zadrzeć

— oczywiście nie wiedząc, z kim ma do czynienia — musiałby najpierw dobrze się zastanowić, zanim wdałby się z nim w awanturę.

Najbardziej jednak uderzały obserwatora oczy mężczyzny. Były pozbawione wszelkiego blasku, matowe i bladoszare. Nie pozostawiały wątpliwości, że ich właściciel jest kompletnie wyprany z ludzkich uczuć. Budziły obawę nawet wtedy, kiedy Wielki John się uśmiechał lub zwracał do kogoś szczególnie do brotliwie.

Jon Jon wyszedł razem z nim po dziesięciu minutach, żeby nauczyć się najistotniejszych zasad szmuglowania kokainy. Umówił się jednak z Pauliem na dziewiątą jeszcze tego wieczoru w klubie w King's Cross.

Sprawa więc się odwlekała, jednak Jon Jon postanowił czekać. Właściwie nie miał wyboru.

Joanie wytarła Bethany do sucha i znów ubrała w koszulkę. Następnie przygotowała jej trochę jedzenia. Dopiero wtedy położyła dziewczynkę w łóżeczku Kiry, a sama usiadła obok. Jedząc z apetytem, Bethany próbowała ubrać w słowa to, co chciała powiedzieć, jednak nie za bardzo jej to wychodziło.

Z rozkoszą smakowała masło z kanapek. Minęło mnóstwo czasu, odkąd ostatnio jadła coś tak dobrego. Jej całe pożywienie stanowiły dania na wynos z barów szybkiej obsługi i słodycze, kanapki z masłem były więc dla niej wielką, radosną nowością. Cieszyła się też, że przebywa w towarzystwie Joanie. Czuła się u niej bezpieczna, było tu ciepło i miło.

Ale czy Joanie nadal będzie ją chciała zatrzymać u siebie, kiedy jej powie, co się stało? Przeczowała, że kiedy tylko ujawni prawdę, piękny sen się skończy.

— No, Bethany? Narobiłaś już dosyć problemów jak na jeden wieczór. Twoja mama pewnie tu przyjdzie, zanim się obejrzymy, więc musimy się śpieszyć. Pewnie już się zastanawia, dokąd poszłam i dlaczego ciebie też nie ma w mieszkaniu. — Jo-

anie przycisnęła dziewczynkę do siebie. — Jak najszybciej powiedz mi więc, co ci leży na sercu. Nieważne, co myślisz, kochanie. Nic, co powiesz, nie wstrząśnie mną na tyle, żebym się na ciebie rozżłościła.

— Jesteś tego pewna, ciociu Joanie?

Kobieta pokiwała głową.

Bethany odstawiła talerz na nocny stolik, powoli oblizała palce i dopiero wtedy zaczęła mówić:

— A jeśli ci powiem, że widziałam Kirę tego dnia, kiedy zniknęła? — Wypowiedziawszy pierwsze słowa, Bethany poczuła, że ciężar winy zaczyna się zsuwać z jej barków. Zobaczyła pełną napięcia twarz Joanie i poczuła też, że musi coś zrobić, żeby to napięcie odeszło.

— Co to znaczy, że ją widziałas? Gdzie?

— Pokłóciliśmy się na głównej ulicy. Byłam dla niej okropna, ale przecież zupełnie niechcący. Zaczęła biec, a ja za nią... Joanie starała się pojąć znaczenie słów dziecka.

— Dlaczego nikomu o tym nie powiedziałaś?

Bethany opuściła wzrok na łóżko i powiedziała ze smutkiem:

— Byłam zbyt przestraszona. Bałam się.

— Kogo się bałaś, kochanie? Powiedz mi, kogo się teraz boisz?

Bethany znowu zaczęła płakać.

— Pippy... Kiedy dogoniłam Kirę, wziął nas obie do swojego samochodu i powiedział, że pokaże nam, gdzie bawią się inne dzieci. Ale ja wiedziałam, że nie zamierza niczego takiego pokazać, bo... — Zakrztusiła się własnym szlochem. Nie potrafiła wydobyć z siebie ani jednego słowa.

Joanie czuła, że kręci się jej w głowie.

— Bo miałaś z nim już wcześniej do czynienia, prawda? To właśnie próbujesz powiedzieć?

Bethany pokiwała głową, niezdolna do ubrania odpowiedzi w słowa. Przyswajając sobie to, co przed chwilą usłyszała, Joanie ujrzała na twarzy dziewczynki rozpacz i poczucie winy. Nagle poczuła nieodpartą ochotę, żeby zabić Pippy'ego.

— Dokąd on zabrał Kirę, kochanie?

— Nie wiem, cióciu Joanie. Wysadził mnie przed domem w Ilford, przy Mortlake Road. — Bethany znowu płakała. — On mnie chyba lubi, wiesz? Dawał mi różne rzeczy.

— Och, na Boga, Bethany? Co to wszystko ma znaczyć?

Bethany odebrała te słowa jako dowód własnej winy. Od-
sunawszy się od Joanie, padła na łóżko i zanurzyła twarz w po-
ścieli, łkając wniebogłosy.

Po długiej chwili Joanie wyciągnęła ku niej rękę. Musiała
użyć siły, żeby wziąć dziewczynkę w ramiona, bo ta próbowała
ją odepchnąć.

— Tak mi przykro, ciociu Joanie. Nigdy nie myślałam, że
zrobią jej jakąś krzywdę. Powiedziałam im o niej, ponieważ
miała długie włosy i śliczną buzię. Widzisz, Pippy urządza takie
spotkania... Ja też na nie chodziłam. Kiedyś mnie zapytał, czy
znam kogoś, kogo mogłabym przyprowadzić, jakąś dziewczyn-
kę, koniecznie bardzo ładną. Tam robią dzieciom makijaż, po-
zwalają pić i palić papierosy. Dają takie tabletki, że każdy się
czuje po nich zabawnie i nie może przestać się śmiać... — Najle-
piej, jak potrafiła, starała się usprawiedliwić swoje postępowan-
ie. — Mnie się to nawet podoba. To miłe, wiesz? Wszyscy są
przez większość czasu bardzo mili dla dzieci, sprawiają nam ból
tylko wtedy, kiedy staramy się ich odpychać...

I znowu się rozplakała. Joanie była oszołomiona. Nie potra-
fiła uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała. A jednak brnęła
dalej, ponieważ musiała się dowiedzieć, jaki los spotkał Kirę.

— Wiesz, dokąd on mógł ją zabrać, kochanie? Czy wiesz,
gdzie może teraz być Kira?

Bethany potrzęsnęła przecząco głową.

— Po tym dniu już nigdy więcej jej nie widziałam. A kiedy
o nią pytałam, Pippy mnie bił i mówił, że jeśli kiedykolwiek ko-
muś wspomnę o tamtym dniu, to mnie zabije.

— Czy to ma coś wspólnego z Tommym i z jego ojcem? —
Joanie musiała poznać odpowiedź na to pytanie.

A Bethany rozplakała się jeszcze mocniej. Cała jej twarz była
mokra od łez. Joanie zaczęła podejrzewać, że to, co usłyszała od

niej do tej pory, to dopiero wierzchołek góry lodowej i dziewczynka mogłaby opowiedzieć jeszcze mnóstwo innych strasznych rzeczy. Dusiała je w sobie bardzo długo, ale wreszcie się złamała.

— Proszę cię, ciociu Joanie. Nie chcę już o tym rozmawiać.

— Powinnaś mi wszystko opowiedzieć, kochanie. Ja muszę wiedzieć, co się stało z moim dzieckiem.

Starła się usunąć przerażenie ze swojego głosu i mówić spokojnie, żeby nie przestraszyć Bethany i nie spowodować, że zamilkłaby na dobre. Myśli o tym, przez co to dziecko przeszło, oszałamiały ją. Kiedy Bethany molestowano, wykorzystywano seksualnie, jej własna matka nie zauważała niczego dziwnego w zachowaniu córki. Praktycznie w ogóle nie interesowała się, co się z nią dzieje.

Joanie przypomniała sobie krew i siniaki pozostawione na ciele dziewczynki w wyniku zbyt mocnego uciskania palcami. Miała ich pełno na ramionach i na udach. Kierując się własnym doświadczeniem życiowym, nie musiała zastanawiać się zbyt intensywnie, żeby zdać sobie sprawę, w jakich okolicznościach powstały wszystkie szramy i siniaki na ciele Bethany.

Przytuliła ją do siebie. Wyczuwała szybko zachodzące w dziecku przemiany, dla których powstania wystarczyło zaledwie kilka godzin nieobecności matki. Wiedziała już, że będzie się tą dziewczynką opiekowała, może nawet częściowo zajmie w sercu Joanie miejsce Kiry. Czowała się współwinna niedoli Bethany. Powinna była lepiej widzieć, co się z nią działo przez tyle czasu. Zastanawiała się, jak okropny jest współczesny świat, w którym bezbronne dziecko pozostawiano samemu sobie, mimo że przecież przez cały czas przebywa i w szkole, i wśród sąsiadów; ktoś musi przecież zauważyć, kiedy dzieje się z nim coś niedobrego.

— Kira opowiedziała mi o fotografiach, które zrobiła jej Jeanette. Wzięłam film z tymi zdjęciami do zakładu fotograficznego i dałam go Maurice'owi. Pracuje tam, czasami wywołuje filmy dla Pippy'ego, robi dla niego odbitki... Ukradłam ten film razem z pieniędzmi i z pierścionkiem.

Joanie pokiwała głową, mimo że nie miała najmniejszego pojęcia, o czym dziewczynka mówi. Wiedziała jednak, że w końcu się tego dowie. W tej chwili chciała jedynie, żeby Bethany w ogóle coś mówiła, żeby wyrzucała z siebie po kolei to, co ją tak bardzo gnębiło. Na pojedyncze pytania decydowała się bardzo rzadko, nie chciała być natarczywa ani bombardować dziecka zbyt częstymi pytaniami. Na to przyjdzie czas, kiedy zda relację Jon Jonowi. Razem z nim dojdzie do ostatecznej prawdy i dowie się wreszcie, co spotkało jej córkę.

Bethany była straszliwie przerażona tym, o czym mówiła. Joanie zdawała sobie jednak sprawę, że im więcej dziewczynka opowie, tym lepiej zdoła sobie uporządkować jej wynurzenia. Zanim cokolwiek przekaże Jon Jonowi, musi się od niej dowiedzieć tyle, ile możliwe. Najlepiej w ogóle wszystko.

— Kto cię przedstawił Pippy'emu?

— Lorna. To ona powiedziała, że możemy zarobić trochę pieniędzy, i to łatwych pieniędzy. Nie będzie przy tym trzeba chodzić do szkoły.

Joanie uśmiechnęła się do dziewczynki z bólem.

— Czy Lorna знаła Tommy'ego i jego ojca?

Bethany znów zamknęła się w sobie.

— Ciociu Joanie, mogę poprosić o szklankę wody? Jest mi niedobrze.

Joanie pokiwała głową.

— Poczekaj, zaraz ci przyniosę.

W kuchni oparła się o blat do przyrządzania posiłków, czując, jak serce łopocze w jej piersi.

W końcu dowie się, co stało się z jej córką, jednak nie była pewna, czy z tą świadomością da radę dalej żyć. Puściwszy wodę z kranu, podłożyła pod jej strumień przeguby rąk, pragnąc odeprzeć własne, coraz bardziej ją ogarniające uczucie mdłości. Jej dzieciątko, jej mały aniołek, oddany został okrutnym ludziom jak jagnię na rzeź. Ta świadomość, ta pewność była nie do zniesienia.

Kira nie potrafiła zrozumieć zagrożenia, kiedy widziała wo-

kół siebie wyłącznie uśmiechnięte twarze i kiedy słyszała obietnice, że spotka ją coś miłego. Nigdy by jej nie przyszło do głowy, że ktoś chce jej zrobić krzywdę.

Joanie nalała wody do szklanki i wróciła z nią do sypialni. Bethany wyglądała żałośnie. Kobieta postawiła szklankę na stoliku. Następnie, usiadłszy przy dziecku, Joanie delikatnie potarła dłonią jego ramię.

Bethany przywarła do Joanie całym ciałem.

— Tak mi przykro, ciociu Joanie. Obiecuj, że nie powiesz, że to moja wina.

— Nigdy o nic cię nie będę winić, moja droga. Jesteś tylko małą dziewczynką. Musisz mi jednak powiedzieć wszystko, co wiesz, dobrze? Wtedy postanowię, co z tym począć.

— Zawołasz policję?

Joanie nie odpowiedziała. To zależało od tego, co jeszcze usłyszy. Przypuszczała, że ogarnie ją ochota, by samodzielnie dokonać zemsty. Znow z pełną siłą wróciła do niej nienawiść i pogarda wobec Tommy'ego. Dziecko nie chciało powiedzieć o nim ani słowa, a to mogło oznaczać tylko jedno.

Głaszcząc Bethany po ramieniu, szeptała jej do ucha kojące słowa i jednocześnie wyobrażała sobie Małego Tommy'ego i jego ojca. Obu w trumnach.

Jedynie to wyobrażenie trochę poprawiało jej samopoczucie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Wielki John McClellan otworzył drzwi swojego mieszkania i skinął na Jon Jona, żeby wszedł do środka. Chłopak rozejrzał się dookoła w najwyższym zdumieniu. Jeszcze nigdy w życiu nie widział czegoś takiego, to było fenomenalne.

Całe mieszkanie pomalowane było na biało, a w wielkim przed-sionku znajdował się imponujący, kamienny kominek i ogromnych rozmiarów kanapa, obita kremową skórą. Na jednej ze ścian wisiał samotny obraz, gmatwanina ostrych kolorów, o którym Wielki John powiedział Jon Jonowi, że jest autorstwa Jacksona Pollocka.

— Żadna tam podróbka, synu. Oryginał. Ale mnie, kurwa, kosztował!

Wielki John wybuchnął gromkim śmiechem.

Jon Jon wbrew sobie był pod wrażeniem.

Zaglądając do szerokiej wnęki kuchennej, wyposażonej w najnowszą, długą na metr osiemdziesiąt chłodziarkę do wina i na blaty z nierdzewnej stali, nie potrafił ukryć podziwu. Znajdował się w domu bogatego człowieka, ale chodziło nie tylko o to. Całe mieszkanie było niemalże jedną agresywną wystawą wielkiej pewności siebie i władzy. Od każdego, kto tutaj wszedł, wymagało szacunku wobec mężczyzny, który był jego właścicielem.

I do Jon Jona przemawiało właśnie w ten sposób. Przez całe życie cenił to, jak jego matka starała się, by prowadzić dla dzieci odpowiedni, schludny dom. Czysty, uporządkowany, a najlepsza porcelana, szkło i srebrne naczynia wystawione były w kredensie za szybą, bo uważała je za zbyt „dobre” do codziennego użytku.

Nigdy się nie wstydził Joanie ani tego, jak żyli, jak mieszkali, ale zawsze wiedział, że są ludzie, którzy żyją inaczej, w świecie

zasadniczo odmiennym od ich niewielkiego mieszkanka w podłej dzielnicy. Marzyło mu się mieszkanie, do którego mógłby kogoś przyprowadzić, nieważne kogo, i zobaczyć szok na twarzy tego kogoś, podziw dla jego stylu życia i bogactwa. Tymczasem Wielki John ujrzał to właśnie na twarzy Jon Jona. Niemal zarechotał, widząc podziw połączony z niedowierzaniem.

— Tutaj sprowadzam moje laseczki, synu. Mój prawdziwy dom, gdzie mieszkam z żoną, jest większy, ale nie aż tak wyszukany, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Moja stara zupełnie by nie pasowała do czegoś takiego.

Jon Jon doskonale rozumiał, co Wielki John ma na myśli.

— Ale Kathy to dobra kobietka. Jestem z nią od trzydziestu czterech lat i mamy siedmiu synów. To dobrzy chłopcy, złego słowa nie mogę o nich powiedzieć. Kłopoty sprawia jedynie najmłodszy. — Uśmiechnął się. — Wpadł w jakieś złe towarzystwo, związał się z tym Szalonym Pippym Lightem. Ostrzegałem go przed nim już więcej razy, niż jestem w stanie pamiętać. Nikt inny nie wystawił mojej cierpliwości na tak wielką próbę, a już z pewnością nikt tego nie przeżył. Jednak Kieron... Co za bachor, jego życie to jedna wielka kupa gówna.

Mówiąc, Wielki John otworzył dwa piwa i Jon Jon zrozumiał, że czeka go długi wieczór. Mimo tego, że gorączkowo szukał zabójcy Kiry, nie mógł machnąć ręką na Wielkiego Johna i sobie pójść. Byłoby to bezsensownym narażeniem własnego życia. Gospodarz miał dzisiaj nastrój do zwierzeń, zadaniem chłopaka było więc trzymać usta na kłódkę i słuchać.

— Wiem o twoje siostrze, synu. Ludzkie szmaty chodzą po ulicach w dzisiejszych czasach. Żadnemu piździelcowi nie można ufać. — Wielki John upił spory łyk piwa. — Kiedyś molestowana była nawet moja własna wnuczka i to, wyobraź sobie, przez ojca mojej synowej!

Jon Jon zrobił odpowiednio niedowierzającą minę.

— Kurwa mać, i jak pan zareagował?

Wielki John roześmiał się.

— Powiedzmy, że od bardzo dawna nikt go nie widział i nikt

go nie zobaczy, chyba że Osama bin Laden postanowi wysadzić w powietrze część autostrady M25. — Roześmiaawszy się z własnego dowcipu, jednym długim łykiem opróżnił zawartość butelki. — Ale ci zboczeńcy... Są jak rak w dzisiejszych czasach. Trzeba ich wszystkich zabijać, tyle ci powiem. — Otworzył kolejną butelkę z piwem. — To jedyny sposób na tych drani! Trzeba ich ścierać z powierzchni ziemi. Są zasranym rakiem i tylko zabijając ich, można się ich pozbyć raz na zawsze.

Jon Jon uśmiechnął się do mężczyzny, w pełni rozumiejąc jego emocje. Wielki John otworzył szafę i wyjął z niej pudełko z macicy perłowej. Było prześliczne i wyglądało na bardzo drogie.

— Częstuj się z niego, synu, nie wątpię, że jesteś w tej dziedzinie ekspertem. Ja tymczasem na chwilę cię opuszczę i ściągnę z siebie ten przeklęty garnitur, jasne?

Jon Jon otworzył pudełko, niechętnie myśląc o czekającym go skręcaniu jointa, jednak to, co zobaczył, zdumiało go. W środku znajdowało się wszystko, co tylko można było palić, a ponadto mnóstwo kokainy. Był tu nawet srebrny zestaw do odmierzania działek i wciągania ich przez nos; cóż, w tym domu z pewnością nie używano do tego zrolowanych banknotów pięciofuntowych! Bez wątplenia jego właściciel wiedział, jak korzystać z życia, a przecież był bliższy sześćdziesiątki niż dwudziestki. W kategoriach Jon Jona był starcem, jednak John McClellan miał pieniądze i mógł żyć jak król. W sumie tylko to się liczyło.

Jon Jon wziął do ręki mały flakonik żywicy z konopi indyjskich, wciągnął nosem ostry aromat i westchnął. Było to coś, o czym jedynie słyszał, a czego nigdy nie próbował. Uznał jednak, że dzisiaj wieczorem potrzebuje czegoś bardziej miękkiego. Był pewien, że kokaina szybko obniży jego sprawność, dlatego zdecydował się na łagodną trawkę. Wprawnymi, nie śpieszącymi się ruchami skręcił jointa. Mimo że miał o sobie wysokie mniemanie, doskonale rozumiał, że niełatwo mu będzie wywrzeć wrażenie na swoim gospodarzu.

Ze zdumieniem zauważył, że już w tej chwili lubi go i szanuje. Przez lata, tak jak wszyscy, słyszał o nim wiele opowieści.

Tam, gdzie Jon Jon mieszkał, Wielki John stanowił legendę, a Paulie był jednym z niewielu ludzi z okolicy, którzy prowadzili z nim jakieś interesy. Legenda jednak ledwie dotykała całej prawdy o tym człowieku. Jon Jon nie miał co do tego wątpliwości.

Kiedy zapalił jointa, mężczyzna wszedł do kuchni, ubrany w dżinsy i bawełnianą koszulkę. Wyglądał teraz na młodszego i budził swoją postacią jeszcze większy szacunek. Jon Jon zauważył, że mimo widocznej nadwagi John jest mocno umięśniony, a jego bicepsy wciąż są wyraźnie widoczne pod skórą. Bez wątplenia, jak tylko mógł, starał utrzymywać się w formie. Tym, co nieodwracalnie stracił, była młodość. Dlatego powiedział Pauliemu, że do interesów z Amsterdamem potrzebuje świeżej krwi. Teraz zamierzał pewnie od razu przejść z Jon Jonem do rozmowy o biznesie. A przecież Jon Jon musiał jak najszybciej porozmawiać z Pauliem, i to zupełnie o czymś innym.

— Jak się ma twoja matka? — zapytał Wielki John.

Jon Jon westchnął i bezradnie wzruszył ramionami.

— Prawdę mówiąc, jest całkiem rozbita.

Wielki John popatrzył na niego ze współczuciem.

— W końcu to nic dziwnego, prawda? Według Pauliego, to dziecko było światelkiem jej życia. — Zakaszczał i splunął flegmą do kuchennego zlewu. — Dziwki zawsze tak mają, wiem coś o tym.

Zobaczył, że Jon Jon sztywnieje i roześmiał się serdecznie.

— Spokojnie, synu, wiem, o czym mówię. Moja matka też była dziwką. Żaden sekret, chociaż dzisiaj nikt mi nie powie tego w twarz, oczywiście, w obawie przed tęgim laniem. — Westchnął ciężko i wyjrzał na zewnątrz przez okno kuchenne, wspominając jakieś chwile ze swojej przeszłości. Lata, kiedy nie miał ani pieniędzy, ani prestiżu. — Kiedy byliśmy dziećmi, moja mamuska wystawała na ulicy. Ojciec od nas uciekł, a ona musiała żywić całą ósemkę. Ciężko jej było, bez dwóch zdań. Kochałem ją jednak z całego serca. Kiedy doszła do pięćdziesiątki, była wrakiem człowieka. Starego nie widziałem, dopóki nie zaczęło mi się w życiu powodzić. Wtedy się pokazał. Nagle przyssał się

do mnie jak rzep do psiego ogona. — Znowu roześmiał się głośno, tyle że teraz był to śmiech pełen żalu.

— I co pan z nim zrobił?

Twarz Wielkiego Johna ściągnęła się.

— To samo, co ty byś zrobił, gdyby twój stary nagle przyszedł do ciebie z wyciągniętą ręką. Dałem mu tysiąc funtów i powiedziałem, że jeśli kiedykolwiek go jeszcze zobaczę, to go zabiję. — Zaciągnął się jointem. — Wziął forszę i zniknął jak kamfora, piździelec. Miałbym dla niego więcej szacunku, gdyby rzucił mi tą forszą w twarz, ale facet ulotnił się tak jak wtedy, kiedy byłem dzieckiem. Po prostu zniknął. Jak wtedy, kiedy zostawił mnie, najstarszego syna, żebym razem z matką wychowywał swoich braci i siostry, żebym się nimi opiekował. Co zresztą czyniłem. A jemu krzyżyk na drogę, nie?

Jon Jon z rozważą pokiwał głową. Lekko oszołomiony marihuaną, ale panujący nad myślami, poczuł kłopotliwą chęć, żeby się rozplakać.

— Ja nigdy nie poznałem mojego starego — przyznał.

Wielki John podał mu jointa.

— No i dobrze, synu, tylko by cię rozczarował. Tacy, co się spuszczają, a potem uciekają przed konsekwencjami, nigdy nie są inni. Powiedz mi jednak, o czym rozmawiałeś dzisiaj z Je-smondem.

— Co?

Jon Jon nie potrafił ukryć ani w głosie, ani w wyrazie twarzy szoku i zaskoczenia. Takiego pytania w żadnym wypadku się nie spodziewał.

Wielki John roześmiał się, przykładając dłoń do ucha i podkreślając w ten sposób znaczenie swoich następnych słów:

— Ja zawsze wszystko słyszę, synu. Jeden z ludzi, który pracuje dla niego, pracuje także dla mnie. Donosi mi więcej ludzi, niż jest źdźbeł trawy na korcie centralnym w Wimbledonie. Dzięki temu wszelka opozycja siedzi cicho. — Wyszczrzył zęby, a Jon Jon przypomniał sobie, że kiedyś czytał o grobowym uśmiechu. Teraz już wiedział, jak taki uśmiech wygląda. — Gin-

ger... wiesz, jego główny ochroniarz... Nosi też przydomek Man-ky Foot. Jest trochę zdeformowany, ale jakby co, potrafi walczyć. W każdym razie płacę mu już od kilku lat. Powiedział mi, że ty i Bernard ostro się wzięliście za jego szefa. — Znowu zaciągnął się jointem i rzucił do Jon Jona lekceważącym głosem: — A więc, synu, będziemy się teraz w najlepsze raczyli moim najlepszym towarem, a ty opowiesz mi wszystko, co chciałbym wiedzieć. — Uśmiechnął się. — I jak mówię „wszystko”, to rzeczywiście znaczy wszystko, chyba rozumiesz?

Była to oczywista groźba, wyartykułowana jednak bardzo ostrożnie. Tylko od Jon Jona zależało teraz, czy się obrazi, czy nie. Oczywiście, ani mu w głowie było się obrażać na Wielkiego Johna, nie był przecież taki głupi.

Był tylko zaskoczony i zdziwiony nagłymi zmianami sytuacji, w jakie obfitował ten dzień.

— Kiedy Paulie powiedział mi, żebym tutaj przyszedł, myślałem, że będziemy rozmawiali jedynie o wspólnych interesach. W końcu, w tej sprawie się dzisiaj spotkaliście, prawda?

Wielki Jon patrzył prosto w twarz Jon Jona, zastanawiając się nad jego ostatnimi słowami. Cóż, był bystry i miał jaja. Za kilka lat będzie zapewne stanowił siłę, z którą każdy już będzie musiał się liczyć. Był też lojalny, co stanowiło oczywistą konieczność w organizacji Wielkiego Johna.

Postanowił grać wobec niego uczciwie. A przynajmniej tak uczciwie, jak to tylko możliwe, dopóki dokładnie nie prześwietli chłopaka.

— Posłuchaj mnie, synu, odwiedziłem dzisiaj Pauliego, ponieważ chciałem, żeby mnie skontaktował z tobą. Interes z Amsterdamem może wypalić, ale nie musi. Prawdę mówiąc, mam obecnie ważniejsze sprawy na głowie. Ale dzisiaj zaskoczył mnie fakt, że zabrałeś się za Jesmonda. Może za kilka lat uważałbym to za naturalną kolej rzeczy. Oto ktoś będzie miał ochotę przejąć jego interesy i właściwie dlaczego nie miałbyś to być ty? Masz już dobrą reputację, muszę ci to oddać. Ale w chwili obecnej jesteś w naszym środowisku wciąż uczniakiem. Wywnioskowałem

więc, że masz jakiś osobisty powód, by przeciwko niemu wystąpić. I chcę ten powód poznać.

Ostrożnie, jakby z szacunkiem, otworzył następne pudełko i odmierzył porcję narkotyku. Jednocześnie wskazał palcem na Jon Jona.

— Mam towar, którego jeszcze nie znasz. Przepraszam, powiem inaczej. Którego nie możesz jeszcze znać. Ale poznasz, jeżeli usłyszę od ciebie to, co chcę usłyszeć.

Jon Jon obserwował, jak Wielki John wprawnym ruchem modeluje dwa pasemka białego prochu, starając się nie uronić ani odrobiny. Większość ludzi chełpiła się, jak świetny jest ich towar. Swój Wielki John importował spoza Anglii, a przecież i tak nikt o zdrowych zmysłach nie kwestionowałby jakości. Mimo to go zachwalał. Była to lekcja dla Jon Jona, który i tak chłonał wszystko, co mógł, z tego wieczornego spotkania.

Z drugiej strony uważał, żeby nie powiedzieć ani zbyt dużo, ani zbyt szybko. Postanowił zmienić temat rozmowy, a tymczasem zastanowić się nad dalszym postępowaniem.

— Skąd pan zna moją mamę?

Wielki John wyszczerzył zęby.

— Pamiętam ją z minionych lat. Miła kobieta z tej Joanie. Nikt nigdy nie powiedział o niej złego słowa, bo niby dlaczego? Jest miła, różnym ludziom oddała wiele różnych przysług. Był czas, że moja stara nie poszła się wysrać, zanim twoja matka nie wyłożyła jej kart tarota. Kiedy siedziałem w pudle, były z Kathy jak papużki-nierozłączki. Kathy wręcz kocha twoją matkę.

Było to bardzo miłe, jednak Jon Jon nie pozwalał się ogłupić.

— Jakie przysługi oddawała znajomym?

Trafił tym pytaniem bardzo dobrze, bo Wielki John uśmiechnął się. Był już pewien, że lubi tego chłopaka. Mimo dredów na głowie i dziwacznych jamajskich łachów, był sympatycznym małym cwaniakiem, a John McClellan lubił sympatycznych małych cwaniaków. Zarabiali dla niego mnóstwo pieniędzy.

— Nieważne, sam ją o to zapytaj. Wiem, że Paulie zawsze czuł do niej miętę. Oczywiście, nigdy się nie chciał do tego przy-

znać. On i dziwka! Powiem ci coś jednak, jest warta pięćdziesięciu grubych bab jak ta, z którą się ożenił.

Jon Jon nie zamierzał na ten temat dyskutować. Wciągnął do nosa strugę białego proszku i niemal natychmiast poczuł kopa.

— Ten towar potrzyzyma cię na fali dłużej niż irlandzka orkiestra wojskowa. — Wielki John znowu się śmiał. — No więc, mów, czego się dowiedziałeś.

Jon Jon popatrzył na niego, zastanawiając się, czy to wszystko nie jest po prostu pułapką. Postanowił odpowiadać tak zdawkowo, jak to tylko możliwe. Najpierw chciał wy badać, co właściwie jest grane.

— Widzi pan...

— Mów mi po prostu po imieniu, synu.

Wielki John trafnie odgadł, że Jon Jon właściwie nie jest pewien, jak się powinien do niego zwracać.

— To dosyć trudne.

Wielki John uśmiechnął się łagodnie.

— Bo życie w ogóle jest trudne, synu. Najlepiej udowodniło to zniknięcie twojej siostry. Przy okazji, słyszałem, że Joanie chciała wykopać w kwasie tego grubego zboczeńca.

— Można odnieść wrażenie, że wiesz wszystko, John.

Wielki John na dłuższą chwilę zawiesił wzrok na chłopaku. Starannie zastanawiał się nad słowami, które chciał teraz wypowiedzieć. Wreszcie odezwał się:

— Sprawdźmy, czy śpiewamy z tych samych nut, synu. Doszły do mnie pewne plotki na temat Jesmonda, Pauliego i Pippy'ego Lighta. Cały ten Pippy Light nie jest uosobieniem angielskiego inteligenta. Kiedy wszyscy przestawiali się na komputery, on kupował sobie pierwsze liczydło. Ale mniejsza z tym. Tak naprawdę interesuje mnie Paulie Martin. Dotarło do mnie, że zarabia pieniądze na małych dzieciach. Myślę, że mógłbyś bardziej oświecić mnie w tym temacie. — Urwał, ale zaraz kontynuował: — Przynajmniej mam taką nadzieję. Za kilka piw Jesmond sprzedałby własną matkę. Szmaciarze jemu podobni po prostu są już tacy i nic nie mogą na to poradzić, ale przynajmniej nie pod-

skakują wyżej własnej dupy, o ile mnie rozumiesz. — Głośno wciągnął przez nos powietrze. Miało to podkreślić jego stanowisko, ale też wprowadzić jeszcze głębiej kokainę. — Z kolei Paulie to zupełnie inny koleś. Zachowuje się, jakby z urzędu należało mu się miejsce w wyższych sferach. A powinieneś wiedzieć, że Paulie to dla mnie obecnie jeden wielki kłopot.

— Nie, nie wiem. Na czym polega ten kłopot?

Jon Jon wiedział, że stapa po kruchym lodzie. Niechęć do Pauliego płynęła już od Wielkiego Johna gęstymi falami, a przecież u sedna sprawy leżało to, że Jon Jon pracował dla Pauliego Martina. Byli przyjaciółmi. Tymczasem coraz bardziej niepokoił go fakt, że dzisiaj słyszał wiadomości o swoim szefie już z wielu różnych ust, i były to niezbyt miłe rzeczy.

— Jego kłopot, synu, polega dokładnie na tym, że jeszcze nigdy w życiu nie został przymknięty. A ja jestem bardzo ostrożny wobec ludzi, którzy robią szemrane interesy tak długo jak Paulie, i nie spędzili dotąd ani jednej nocy w więziennej celi. Rozumiesz, do czego zmierzam?

Jon Jon doskonale rozumiał, chociaż nie był pewien, czy chce to pojąć. Tak, to dziwne, że Paulie jeszcze nigdy nie miał poważnych kłopotów z prawem. Złego diabli nie biorą, zawsze mawiał. Ale może nie w tym tkwiła istota sprawy?

— Kurwa, nawet mnie kiedyś złapali i odsiedziałem w pierdлу ponad dwadzieścia lat! — Wielki John zaczął odmierzać sobie kolejną działkę kokainy. — Ale takie jest życie, prawda? Któregoś dnia okazuje się, że masz wyjście: albo wydasz kumpli, albo będziesz kiblował. Ludzie tacy, jak my, zawsze muszą się liczyć, że przytrafi się im podobny dylemat.

Jon Jon miał suche usta, gdyż nie był przyzwyczajony do kokainy. Odszedł od niej przed kilkoma miesiącami. Zdawał sobie jednak sprawę, że suchość ust wynika także z tego, że jest coraz bardziej nerwowy. Wielki John miał najwyraźniej jakąś osobistą urazę wobec Pauliego. Jon Jon nagle zrozumiał, że ten człowiek spodziewa się po nim, iż po prostu zdradzi Pauliego, poda go mu jak na talerzu.

— Może Paulie miał po prostu szczęście?

Wielki John znów się roześmiał, tym razem głośniejsz. Nagle, w mgnieniu oka, zupełnie się zmienił. Już się nie śmiał. Patrząc Jon Jonowi prosto w twarz, powiedział:

— Kurwa, nikt nie miewa w życiu takiego szczęścia, chłopczku. Zastanów się tylko nad tym.

I Jon Jon zaczął się zastanawiać, bo nie miał wyboru. Wściekłość Wielkiego Johna na Pauliego mogła się skupić na nim i nie wiedział, jak temu zapobiec. Mógł jedynie siedzieć i starać się wymyślić coś na poczekaniu. Nie miał najmniejszej szansy, żeby Wielkiemu Johnowi zwać. Przy próbie ucieczki dobiegłby pewnie co najwyżej do drzwi windy.

Tym niemniej, gdy o tym rozmyślał, stawało się dla niego coraz jaśniejsze, że Wielki John wcale nie mówi od rzeczy. Paulie był zbyt wielkim szczęściarzem.

Jeanette weszła do mieszkania cała w uśmiechach i w doskonałym humorze. Joanie natomiast wcale nie była w najlepszym nastroju. I w gruncie rzeczy Jeanette była ostatnią osobą, którą by się spodziewała zobaczyć dzisiejszego wieczoru.

Dawnymi czasy powrót starszej córki bywał dla matki powodem do wielkiej radości. Jednak nie teraz. Joanie próbowała powstrzymać nerwy na wodzy, kiedy Jeanette nalewała sobie drinka i informowała matkę, że tę noc zamierza spędzić u niej w domu. Powiedziała to takim tonem, jakby oddawała matce życiową przysługę.

Joanie uśmiechnęła się z trudem.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu, kochanie, wołałabym być tutaj dziś sama.

Jeanette wyszczerzyła zęby.

— Naprawdę? Umówiłaś się z kimś?

— Można tak powiedzieć.

— Och, mamó! Powiedz mi, z kim?

Ujrzała w oczach córki autentyczną radość. Wiedziała, że

z tych ciężkich przejść; jakie stały się udziałem całej rodziny, Jeanette wyszła jako lepsza osoba, ponieważ czegoś takiego potrzebowała, potrzebowała udręki, która by jej otworzyła oczy na otaczającą rzeczywistość. Ale czy widok uśmiechniętej, kochającej ją córki wart był ceny, jaką Joanie musiała zapłacić?

— Nie ma wiele do opowiadania, kochanie. — Joanie odebrała jej butelkę z wódką, wypita niewielki łyk i powiedziała cicho: — Zrób to dla mnie i wróć do Jaspera, dobrze?

Jeanette wyczuła w głosie matki zdenerwowanie.

— Co tu się dzieje? — Nagle nabrała jakichś podejrzeń, z natury bowiem była nieufna.

— Nic, kochanie. Po prostu chcę być dzisiaj sama.

— Och, daj spokój, mamó. Czy ja wyglądam na idiotkę?

Joanie za wszelką cenę chciała uniknąć sprzeczki z córką, ale pragnęła też, żeby Jeanette poszła, zanim zobaczy Bethany i zacznie zadawać pytania. Nie miała dziś na to ochoty. Jeanette mogła całkowicie zagmatwać sytuację.

Kiedy córka ruszyła do sypialni, którą dzieliła z Kirą, Joanie krzyknęła zdenerwowana:

— Kurwa mać, czy nie możesz chociaż raz zrobić tego, o co cię, kurwa, proszę?

Jeanette odwróciła się i popatrzyła na matkę.

— O co ci chodzi?

Joanie wzięła głęboki oddech i dopiero wtedy odpowiedziała:

— Proszę cię, Jeanette. Idź po prostu do Jaspera, dobrze?

Miała zmęczony głos. Bardziej niż kiedykolwiek dotąd sprawiała wrażenie zniechęconej i sponiewieranej przez życie.

— Mamó, proszę, powiedz, co się dzieje?

Joanie wyprostowała się i krzyknęła tak głośno, jak tylko mogła:

— Odpierdol się ode mnie, dziecko. Mówię ci, chociaż raz w życiu zrób to, co ci każę, dobrze?

Jeanette patrzyła na nią przez kilka długich sekund.

— Jasne, mamó — powiedziała wreszcie ze złością. — Stokrotnie ci, kurwa, dziękuję.

Była śmiertelnie obrażona i Joanie pomyślała, że powinna trochę załagodzić sytuację, jednak nie potrafiła. Jeszcze nie teraz. Niczego nie umiała zrobić, dopóki nie dowie się tego, czego dowiedzieć się musiała. Jeanette źle by wpłynęła na dziewczynkę, która leżała teraz w jej pokoju. Towarzystwo Jeanette było ostatnią rzeczą, jakiej Bethany teraz potrzebowała. Mimo tego Joanie musiała zmobilizować w sobie wszystkie siły, jakimi dysponowała, żeby nie powiedzieć córce, o co tak naprawdę chodzi. Jeanette w podobnej sytuacji by się nie zastanawiała. Ona zawsze reagowała gwałtownie, a dopiero później zastanawiała się nad tym, co zrobiła.

Miała to zresztą po matce.

Jeanette wybiegła z mieszkania jak burza, trzasnąwszy drzwiami. Joanie usiadła na podłodze, w miejscu, w którym do tej pory stała. Nie wiedziała, co, u diabła, powinna teraz zrobić. Po raz pierwszy w życiu nie miała pojęcia, jak postąpić.

W sypialni Bethany zakopała się głęboko w pościeli, zastanawiając się, co to była za awantura. Wiedziała tylko tyle, że dotyczyła właśnie jej.

Wielki John miał odlot i wyglądał, jakby latał. Czerwony na twarzy, plótł coś piąte przez dziesiąte, ale jego myśli były jasne i przejrzyste jak woda morską, omywająca tropikalną plażę.

Kokaina jednak uczyniła go agresywnym i nie miał już więcej ochoty przymilać się do Jon Jona. Postanowił przejść do ataku.

— Czy Jesmond i Paulie współpracują ze sobą? To jest łatwe pytanie i masz tylko powiedzieć „tak” lub „nie” i nic, kurwa, więcej. Nie mam nastroju na jakieś pierdolone przekomarzanie się.

Jon Jon pokiwał głową.

— Chyba tak.

Uznał, że nie powinien się sprzeciwiać Wielkiemu Johnowi, lecz postępować zgodnie z jego poleceniami. W głębi duszy zresztą rozumiał, że nie ma wyboru i musi robić to, co ten mężczyzna mu każe.

Było to jedną z największych korzyści, jakie dawał status legendy, posiadany przez Johna McClellana. Ludzie w ostatecznym rozrachunku zawsze wykonywali jego polecenia. Takie było prawo ulicy, a Jon Jon miał zawsze szacunek dla tego prawa.

Paulie stał się nagle jednostką niepewną. Aż do tego dnia był dla chłopaka wzorcem postępowania, a Jon Jon był mu wdzięczny za przewodnictwo. Tymczasem powoli docierało do niego, że zadawał się z bestią, i to z bestią najgorszego rodzaju. Czyżby Paulie był przysłowiowym wilkiem w owczej skórze?

Wszystko zaczynało na to wskazywać. Chociaż nie wiadomo jak intensywnie starał się uporządkować sobie w głowie dzisiejsze wydarzenia i informacje, wszystko wskazywało na to, że Paulie jest splamiony strasznymi czynami. A w ich świecie smrodu, jaki pozostawiał za sobą zboczeniec, nikt nigdy nie mógł i nie chciał tolerować.

Westchnął ciężko, czując w sobie kompletną pustkę.

— Jesmond powiedział mi, że pracował z Pauliem i Pippym. Mieli dziewczęta i dzieci ze Wschodniej Europy, które później sprzedawali dalej. — Wciągnął pasek kokainy i dopiero potem mówił dalej: — Chcę teraz spotkać się w tej sprawie z Pippym, jednak według ciebie twój chłopak gra razem z nim, dlatego chciałbym się dowiedzieć, w jakiej dokładnie stawia mnie to sytuacji. Czy powinienem uzyskać twoją zgodę na takie spotkanie, John?

Popatrzył starszemu mężczyźnie w oczy, prosto, otwarcie.

Wielki John oparł się o granitowy blat. Na jego twarzy pojawił się grymas gniewu. Ukrył ją w dłoniach. Jego wielkie ręce zaczęły się trząść, sprawiał wrażenie, jakby z trudem powstrzymywał się od płaczu. Stał w takiej pozycji przez kilka minut, a atmosfera napięcia w mieszkaniu stawała się z każdą chwilą coraz gęstsza.

Wreszcie jakby doszedł do siebie i popatrzywszy na stojącego przed nim chłopaka, odezwał się poważnym tonem:

— Możesz robić, co zechcesz, ale musisz raz na zawsze usunąć z tej gry mojego syna. — Na moment przykrył usta starannie wymanikiurowanymi palcami, jakby zbierało mu się na wymio-

ty. — To zabije moją Kathy — dodał ze smutkiem w głosie. — To jej najmłodsze dziecko, ale ja nie mogę go chronić, chłopcze. Nie chcę, jeżeli brał się za zboczone interesy z dziećmi. Ale ty to musisz zrobić, ponieważ ja nie mogę. Gdybym ja się za to wziął, nigdy bym nie mógł spojrzeć w twarz mojej kobiecie. A mimo wszystkich moich przewin wobec niej kocham ją, tak jak kiedyś kochałem Kierona. Mimo że był słaby i głupi, kochałem go.

Znowu zabrał się za kokainę, ale tym razem Jon Jon zobaczył, że ręce mu się trzęsą. Kiedy skończył, popatrzył na Jon Jona.

— Lepiej, żebyś to zobaczył — powiedział ponuro.

Wyszedł z pokoju i Jon Jon usłyszał go, jak idzie po schodach do sypialni znajdującej się na galerii. Miał wrażenie, że to, co w tej chwili przeżywa, jest jakimś nierealnym snem. Czy to wszystko dzieje się naprawdę? Czy ten mężczyzna naprawdę się spodziewa, że Jon Jon zgładzi mu syna, i to na jego żądanie?

Kiedy John wrócił do pokoju, podał mu papierową teczkę, taką, jakich dzieci używają w szkole.

— Otwórz ją, zajrzyj do środka.

Jon Jon z trwogą zaczął otwierać teczkę. Teraz, gdy stopniowo docierał do sedna rzeczy, nie był pewien, czy chce się w nie zagłębiać jeszcze dalej. Czuł się trochę jak Pandora, tyle że on wiedział, iż cokolwiek znajduje się w pudełku, z pewnością nie jest to nadzieja. Nadzieja uciekła wiele lat temu i nie było już szansy, że kiedykolwiek powróci.

— Jesteś tego pewien, John?

Mężczyzna położył na jego ramieniu ciężką rękę.

— Twoja matka kurewsko dobrze cię wychowała. Wszyscy to mówią. Mówią, jak wspaniale się opiekujesz i nią, i swoimi siostrami. Jaką jesteś silną postacią. Muszę przyznać, że cię podziwiam. Tacy są też moi starsi synowie. Jebani ważniacy, bez dwóch zdań, wiedzą, o co chodzi w życiu. Jednak mój najmłodszy, Kieron, to piździelec. Nie wierzyłem w to jednak, dopóki nie zobaczyłem tych fotografii. Sam wyciągnąłem je z jego komputera. Nie mam wątpliwości, co robił. Musiałem się jednak do-

wiedzieć, czy był tylko klientem, czy również to wszystko aranżował. — Niemal dźgnął Jon Jona palcem wskazującym. — Nigdy nikomu nie powiesz, co tu dzisiaj zobaczysz, dobrze? Moi pozostali synowie dowiedzą się o wszystkim, ale dopiero po fakcie. Nie będą jednak wiedzieć nawet połowy, a jedynie tyle, żeby trzymali gęby zamknięte na kłódkę. Zrozumiesz, dlaczego chcę wszystko załatwić po cichu. Sam pozbędę się ciała. Zasadniczą robotę musisz wykonać za mnie i dla mnie. Później będę twoim dłużnikiem, synu, dłużnikiem do końca życia. — Odchrząknął i po chwili dodał: — A teraz zajrzyj do tej pierdolonej teczki, zgoda?

— Czy zobaczę w niej moją siostrę?

Jon Jon musiał wiedzieć to z góry. Zanim zajrzy do teczki i zanim spali za sobą wszystkie mosty raz na zawsze.

— Nie, nie zobaczysz jej i kiedy obejrzysz te fotografie, będziesz do końca życia dziękował Bogu, że jej na nich nie było. Ja muszę żyć ze świadomością, że mój syn jest wszawym zboczeńcem, a nawet gorzej. Że jest kimś, kto ułatwiał i umożliwiał innym chorym zboczeńcom wykorzystywanie i niszczenie małych dzieci.

Jon Jon niechętnie otworzył w końcu teczkę i wyciągnął z niej fotografie wydrukowane na komputerowej drukarce. Wpatrzywszy się w nie, poczuł, jak w gardle rośnie mu wielka kula.

Oto zobaczył Kieroną McClellana na pięknych kolorowych zdjęciach, w towarzystwie małych dzieci, dziewczynek i chłopców. To wystarczyło, żeby kula wyskoczyła mu z żołądka i gardła prosto do ust. Zwymiotował do pięknego kuchennego zlewu i wymiotował tak długo, aż zaczęły go boleć zębra. W ustach czuł jedynie smak piwa i kokainy. W pewnym momencie Wielki John zaczął mu masować plecy i masował tak długo, aż torsje ustąpiły.

Jon Jon popatrzył mu w twarz.

— Przepraszam, przyjacielu.

Wielkiemu Johnowi było i przykro, i głupio. Pokazawszy chłopakowi to, co przed chwilą obejrzał, i mając świadomość, że

główny model na fotografiach jest krwią z jego krwi i kością z kości, nie mógł czuć się inaczej.

Otworzył wielką amerykańską lodówkę, po czym wyciągnął z niej butelkę burbona i miskę z lodem.

— Wciąż się nie mogę po tym pozbierać. Ciagle o tym myślę i nie widzę w tym żadnego sensu. A wiesz, co jest najgorsze? Że to Paulie Martin finansuje większość tych zboczonych seansów. — Potrząsnął z niedowierzaniem głową nad niecnością swojego byłego przyjaciela. — No i co, wchodzisz w to, synu?

Jon Jon wziął do ręki butelkę burbona i nalał sobie oraz Johnowi po dużym drinku.

— Wchodzę.

Wielki John uśmiechnął się pierwszym niewymuszonym uśmiechem tego wieczoru.

— Dobry z ciebie chłopak. Wiedziałem, że nie skrewisz. Na zdrowie, Jon Jon. Podjąłeś prawidłową decyzję.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Joanie zapaliła papierosa, próbując się uspokoić. Jakaś część jej osobowości pragnęła wyjść z mieszkania i zostawić gdzieś daleko całą tę przykrą sytuację. Jednak jej druga część rozumiała, że nie ma żadnego wyboru. Musiała przez wszystko przebrnąć, co więcej, rozwiązać to najlepiej, jak tylko możliwe.

Ale mimo że nienawidziła Małego Tommy'ego nienawiścią, która zmusiła ją do wyrządzenia mu krzywdy, w głębi serca wcale nie była pewna, czy chce do końca poznać straszny los swojej córki.

Przecież nawet nie znając go, miała ogromne trudności z zasypianiem. A jeśli się dowie wszystkiego do końca? Poza tym, biedna Jeanette... Cóż, niełatwo przebaczyć matce wieczorny występ, szczególnie gdy w końcu się dowie, jaka była przyczyna. Poczuje, że została odepchnięta, że nie została uznana za na tyle godną zaufania, by być wtajemniczoną w najtrudniejsze sprawy. Nie będzie to prawda, ale dziewczyna właśnie takie odniesie wrażenie.

Wreszcie Joanie weszła do sypialni i ujrzała, że Bethany włączyła mały, przenośny telewizor i ogląda kreskówki na kanale dla dzieci.

— Wszystko w porządku, kochanie?

Dziewczynka odwróciła się i popatrzyła smutnymi, niemal martwymi oczami.

— Możemy teraz porozmawiać, ciociu Joanie?

Joanie skinęła głową i usiadła na łóżku obok Bethany. Ta przytuliła się do niej, a kobieta instynktownie objęła dziecko ramieniem.

Jeszcze przez kilka sekund Bethany układała się wygodnie

i wpatrywała w ekran, aż wreszcie, kiedy znalazła dla siebie właściwą pozycję, powiedziała ze smutkiem:

— Kira była dobrą dziewczynką. Nie taką jak ja.

Joanie znowu poczuła, że serce zaczyna szaleć jej w piersi.

— Opowiedz mi wszystko, kochanie. powiedz cioci Joanie, jak było.

— Widzisz, ja i Kira chodziłyśmy czasami do Lorny. Kirze się tam jednak nie podobało, mówiła, że jest zbyt brudno i że ty byś ją zabiła, gdybyś się dowiedziała o tych wizytach. Wtedy pojawił się Mały Tommy i Kira zaczęła spędzać cały czas razem z nim. Byłam zazdrosna. Bez przerwy o nim opowiadała. Ale ja wiedziałam wszystko o Thompsonach, a Tommy wiedział, że ja wiem.

Joanie z trudem przełknęła ślinę, zanim zapytała:

— O czym wiedziałaś?

Dziewczynka wbiła wzrok w ekran telewizora, nie chcąc patrzeć Joanie prosto w twarz.

— O jego ojcu.

— O jego ojcu? Co takiego?

— Zawsze patrzył za nią, ale, widzisz, za bardzo bał się Tommy'ego. Muszę mu to przyznać, Tommy nigdy nie pozwalał, żeby jego ojciec zbliżył się do Kiry.

— Skąd to wszystko wiesz? — zapytała Joanie suchymi ustami.

Dziewczynka wzruszyła okrągłymi ramionami.

— Chodził do jednego z domów, do którego zabierał mnie Pippy.

Joanie zamknęła oczy, żeby odegnąć od siebie wizję, którą wywołały te słowa.

— Rozmawiamy o Tommym czy o jego ojcu?

— Nie Tommy. To był jego ojciec, Joseph. Trzymał się jednak z daleka ode mnie, a ja zawsze zachowywałam się tak, jakbym go nie znała. — Bethany popatrzyła z ukosa na Joanie. — Ale on nigdy nie zbliżył się do Kiry, już Tommy tego pilnował. Wiem to z całą pewnością.

A więc to ojciec był zboczeńcem! A co z Tommym? Kim był, w gruncie rzeczy? Joanie powoli prowadziła rozmowę w tym kierunku.

— A więc on cię nigdy nie dotknął? To znaczy Joseph Thompson?

Bethany potrząsnęła przecząco głową.

— Jak powiedziałam, za bardzo się mnie bał. Widzisz, Lorna знаła go już od dawna. Ona dostarcza dzieci dla Pippy'ego i jego kumpla, Kierona. To u Kierona odbywają się te imprezy dla takich ludzi jak Joseph. On je uwielbia i, w przeciwieństwie do Pippy'ego, jest naprawdę miły. Ale ojciec Tommy'ego lubił, kiedy jego dziewczynki są małe; małe i chude. Najlepiej blondynki. Dlatego ja nie byłam w jego guście. Ale Kieron... on mnie kochał...

Joanie usłyszała już dosyć, zmusiła się jednak, żeby kontynuować dopytywanie.

— Gdzie jest dom, do którego chodziłaś?

— Najczęściej bywałam w tym w Ilford, już ci mówiłam, przy Mortlake Road. — Bethany uśmiechnęła się. — Chodziłam także do domów innych ludzi, kiedy wszystkiego dobrze się nauczyłam. Pippy mówił mi, że jestem bardzo naturalna.

Dziewczynka wypowiedziała te słowa z dumą, która wywołała ciarki na skórze Joanie. Bethany w życiu usłyszała pochwałę tylko od jednego człowieka, i był to akurat zboczeniec. Cóż za zbrodnicze nadużycie dziecięcej niewinności i zaufania.

Joanie poczuła taką złość na Monikę, że zaczęła wątpić, czy ich przyjaźń, która miała więcej wzlotów i upadków niż kursy na japońskiej giełdzie, przetrwa również to.

Tymczasem Bethany kontynuowała rozmarzonym głosem:

— W kilku z tych domów było naprawdę ślicznie. Były takie, jak się widuje w telewizji. Dawali mi tam drinki, szlugi i wszyscy razem się śmieliśmy. Lubili mnie tam, ciociu Joanie. Tak mówili. I dawali mi pieniądze. A mama myślała, że kradnę ze sklepów i potem sprzedaję towar.

Joanie popatrzyła dziewczynce prosto w oczy. Jej miękkie włosy już schły, tworząc bezładną, nieuporządkowaną fryzurę.

Dzięki niej wyglądała na jeszcze młodszą, niż była w rzeczywistości. Jednak duże, brązowe oczy pozostawały dorosłe i smutne, jak oczy niezliczonych kobiet, z którymi na przestrzeni wielu lat Joanie pracowała.

To dziecko wiedziało już wszystko, co wie o życiu dorosła kobieta. Ale najgorsze było to, że minie kilka dobrych lat, zanim w pełni zrozumie znaczenie tej wiedzy. Tymczasem zostanie narkomanką i pijaczką, bowiem tylko w narkotykach i w alkoholu będzie mogła topić ból spowodowany okrutnymi przeżyciami dzieciństwa. Jej własnością pozostanie jedynie wszechogarniająca złość; Joanie doskonale to знаła z własnego doświadczenia.

Musiała zadać jeszcze jedno pytanie.

— Co wiesz o Kirze? Co się z nią stało?

Bethany upiła łyk coli z puszki stojącej obok łóżka i dopiero wtedy się odezwała. Joanie widziała, że dziecko z trudem bierze się w garść.

— Widziałam ją, jak szła do sklepu, zresztą już to mówiłam. Pokłóciłyśmy się, z mojej winy. — Bardzo łatwo obwiniła siebie. — Kira zaczęła uciekać, a ja pobiegałam za nią. Wtedy zatrzymał się Pippy Light w samochodzie i zaczął coś do niej mówić.

Joanie poczuła, że robi jej się słabo ze strachu.

— Mów dalej, kochanie.

— Pippy zobaczył mnie i zawołał. Chciał zabrać Kirę na imprezę. Zażądał, żebym powiedziała Kirze, że Pippy cię zna, to znaczy, żebym powiedziała, że Pippy zna jej mamusię. — Po raz pierwszy podczas tej rozmowy popatrzyła Joanie w twarz. — Widzisz, ciociu, ja nie mogłam tego nie zrobić. Pippy by mnie wtedy skrzywdził, wiem, że by to zrobił. Więc mimo że chciałam powiedzieć Kirze, żeby uciekała, nie zrobiłam tego, bo za bardzo się bałam. — Znowu zaczęła płakać. — Ty nie wiesz, jak to jest, ciociu Joanie. Pippy w jednej chwili jest bardzo miły, opowiada, jaka jestem ładna, a zaraz potem gwałtownie się zmienia. Jeśli ktoś nie robi tego, co on każe, zamienia się we wściekłego psa. Bije, pluje, ciągnie za włosy i robi jeszcze inne straszne rzeczy. Dlatego trzeba robić wszystko, co on każe. Tak jest łatwiej.

Pippy Light budził przerażenie wśród dorosłych. Pewnie więc tylko śmiał się z naiwności i prostoty tych biednych dzieci. Ale przecież Kira nie była naiwna. Joanie dokładnie ją nauczyła, czym jest jej ciało i do kogo ono należy.

Bethany popatrzyła Joanie w oczy, wzrokiem błagając o zrozumienie.

— Jemu nie można odmówić, Joanie. Po prostu nie można.

Rozległ się dźwięk dzwonka i Joanie westchnęła. To musiała być Monika, ostatnia osoba, którą by chciała teraz widzieć.

— Czy to moja mama?

Strach Bethany był aż nadto widoczny. Monika wpadnie we wściekłość, jeżeli ją tu znajdzie. Najgorsze, że wpadnie w tę wściekłość z zupełnie bezsensownego powodu.

— Zostań tutaj i bądź cicho. Ja to załatwię, dobrze?

Z ciężkim sercem Joanie wyszła z sypialni. Teraz już nie miała żadnych wątpliwości, że jej dziecko nie żyje. I wiedziała, kto jest za to odpowiedzialny.

Ani na moment nie przyszło jej do głowy, by zadzwonić na policję.

To była sprawa osobista, po co więc ich w to mieszać? Żeby wszystko spieprzyli?

Pippy Light miał pieniądze na wynajęcie dobrych adwokatów i na zorganizowanie fałszywych świadków obrony, których mógł albo kupić, albo zastraszyć. Nie, ta sprawa nie mogła trafić do sądu. Czy w sądzie była chociaż najmniejsza szansa na sprawiedliwość?

Jon Jon zwijał kolejnego skręta, słuchając, jak Wielki John opowiada mu w szczegółach o swojej tragedii. Wiedział, że mężczyzna musi się wygadać, musi komuś o wszystkim głośno opowiedzieć, chociażby po to, żeby zrzucić z piersi tłamszący go ciężar. I doskonale to rozumiał. Na jego miejscu pewnie odczuwałby taką samą potrzebę.

Wielkiemu Johnowi nic gorszego nie mogło się przytrafić.

Zniósłby dzielnie wszystko, poza świadomością, że jego własny syn jest bestią. W ich świecie było to coś, czego po prostu nie można przełknąć. To było skazą, ujmą i hańbą dla całej rodziny.

— Widzisz, kiedy był dzieckiem, matka dawała mu wszystko, czego tylko chciał. Zresztą tak samo jak jego braciom. — Jak wielu ojców przed nim John próbował wytłumaczyć zachowanie swojego dziecka. — Miał zaledwie dziewięć miesięcy, kiedy zostałem zapuszkowany, widywał mnie więc tylko w więzieniu. Kiedy wreszcie wróciłem do domu, miał dwadzieścia jeden lat. Właściwie nigdy go dobrze nie znałem, teraz dopiero to widzę. No bo jak go mogłem poznać, skoro przez cały czas siedziałem za kratkami? Muszę szczerze oddać mojej starej, że robiła co w jej mocy, by nie zauważał braku ojca. Rozpieszczała go ponad wszelkie rozsądne granice. I co z tego wynikło? Jakieś dziwactwo natury, i to tylko przez to, prawda?

Jon Jon pokiwał głową. Wiedział, że Wielki John musi w to uwierzyć, bo w przeciwnym wypadku nie prześpi już w życiu spokojnie ani jednej nocy.

— Chłopak ma teraz dwadzieścia cztery lata i lubi uprawiać seks z małymi dziećmi. Kurwa jego mać, skąd mu się to wzięło?

Wielki John był autentycznie oszołomiony.

Jon Jon nie wiedział, jak reagować na jego rozpacz.

— Mówią, że coś takiego to wybryk natury, że natura czasem płata figle — powiedział chłopak. — Na szczęście dowiedziałeś się o tym w porę, żeby to powstrzymać. Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby ludzie się dowiedzieli, John?

Wielki John pokiwał głową. Na samą myśl oblewał go zimny i gorący pot.

— I powiem ci coś jeszcze...

Wielki John zmierzył Jon Jona pytającym spojrzeniem.

— Trzeba się pozbyć ich wszystkich, prawda? Trzeba usunąć każdego, kto wiedział o Kieronie. Dopiero wtedy gra będzie skończona, ani chwilę wcześniej.

Wielki John odetchnął z ulgą.

Chłopak dokładnie rozumiał, czego się od niego oczekuje.

Wielki John nie musiał się męczyć, żeby mu to dokładnie wyjaśnić. I ufał mu, naprawdę ufał. Ten fakt dziwił go w tej chwili bardziej niż cokolwiek innego. Jon Jon Brewer był dokładnie takim chłopakiem, jakiego szukał. Kiedy skończy stojące przed nim zadanie, już John się o niego zatroszczy. Ten chłopiec to królewski kasek. Osobiście przypilnuje, żeby się nie zmarnował. Zorganizuje mu takie życie, o jakim większość mężczyzn jego pochodzenia może tylko marzyć. W rzeczy samej ofiaruje mu olbrzymią część imperium Pauliego.

W końcu Paulie nie będzie go już potrzebował, przynajmniej tam, gdzie wkrótce się znajdzie.

Na pewno nie da mu wszystkiego, aż takiej wdzięczności wobec chłopaka nie czuł. Był mu jednak na tyle zobowiązany, że postanowił przypilnować, aby Jon Jon nie przeżył w nędzy już ani jednego dnia więcej ze swojego życia. Poza tym chciał trzymać go bardzo blisko siebie. Uważać na niego. W końcu Jon Jon Brewer miał nosić w sobie jego największy sekret, nie mógł więc się za bardzo oddalać.

Jon Jon na tyle się rozluźnił, że tym razem zaordynował sobie porcję kokainy, nie pytając już o zgodę.

Wciągnął ją nosem i powiedział:

— Przestań już się zadręczać, John. Kieron był wybrykiem natury, przyjacielu, pieprzonym mutantem. Skoncentruj się teraz na zminimalizowaniu szkód, i to nie dla siebie, ale dla twoich pozostałych synów. Ostatnią rzeczą, jakiej byś chciał, jest aresztowanie go i zamknięcie w więzieniu za zбочzone praktyki seksualne, prawda? Musisz więc zrobić wszystko, by jak najszybciej trafił do piachu. W ten sposób wszyscy zwyciężą. Jego już praktycznie nie ma, twoja staruszka będzie miała grób, który będzie odwiedzać, a ty uratowałeś nazwisko dla całej rodziny. To bardzo proste.

— Jesteś przebiegłym małym draniem, chłopcze.

Jon Jon uśmiechnął się.

— Ja też mam rachunek do wyrównania, pamiętasz? Zrobię to także dla mojej biednej, małej siostry. Była trochę inna niż

wszystkie dzieci. Nie miała mongolizmu ani nic z tych rzeczy, ale też nie była najbardziej bystrym dzieckiem pod słońcem. Jednak kochałem ją z całego serca. Pokochałem ją w tej samej chwili, w której po raz pierwszy ją zobaczyłem i wziąłem na ręce. — Westchnął, jak zwykle, gdy mówił o Kirze, bliski łez. — Zetrę w proch piździelca, który ją zabił. Będę to robił powoli i nacieszę się każdą sekundą jego cierpienia. Nawet jeśli mnie za to zamkną na dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści lat, nie będę żałował ani chwili jego męki. — Podał Wielkiemu Johnowi lusterko ze strugą kokainy i dodał bardzo cicho: — Właśnie. Co zamierzasz zrobić z jego fotografiami? Nie możesz być pewien, że wciąż się znajdują tylko na twardym dysku. A być może krążą już po Internecie? — Głośno wciągnął nosem powietrze, zanim podjął monolog. — Te zdjęcia wydrukowałeś z jego komputera. Któż wie, kto miał do niego dostęp? Komu je Kieron porzysyłał? Pedzie i inni zboczeńcy tak właśnie robią, przecież wiesz. A Internet jest większy od całego świata, kolego. Te zdjęcia mogą pojawiać się codziennie na ekranach komputerów różnych ludzi przez następnych pięćdziesiąt lat.

Wielki John, mimo że pełen już kokainy i burbona, nagle dojrzał pełną skalę problemu.

— O dobry Boże, Jon Jon! Że ja wcześniej o tym nie pomyślałem! Będzie trzeba jeszcze kogoś wynająć. Któregoś z tych geniuszy komputerowych. Będę musiał trochę poszukać, znajdę kogoś takiego, bez dwóch zdań. Boże, co ja mam za problemy!

— Jednak najpierw chcę zobaczyć wszystkie zdjęcia, które Kieron umieścił w swoim komputerze. Chcę też zobaczyć komputery jego kumpli, ponieważ mam przeczucie, że mógłbym natknąć się na fotografię członka mojej rodziny. W przeciwieństwie do ciebie, nie będę się jednak tego wstydził. W dniu, w którym zniknęła, Kira nie oddaliła się daleko od domu, jestem o tym przekonany. W głębi serca zawsze byłem pewien, że porwał ją ktoś, kogo znała. Nie poszłaby nigdzie z kimś pierwszym lepszym, nauczyliśmy ją tego. Początkowo myśleliśmy, że to sprawka Tommy'ego albo jego ojca, ale teraz już nie jestem tego tak

kurewsko pewien. Ta grubaśna, mała czarnucha, dziecko Moniki, tej, co to chciała być gwiazdą brukowców. Pewnie ją znasz, mieszka niedaleko mnie. Pracuje dla Pauliego. Moja mama jest jej najlepszą przyjaciółką, kiedy akurat ze sobą rozmawiają, a największym wrogiem, gdy panuje między nimi wojna. W każdym razie rozpoznaję na tym zdjęciu Bethany, która była z kolei najlepszą przyjaciółką mojej siostrzyczki. Jaki z tego wniosek, co?

Wielki John wpatrywał się w swój kieliszek. Był to piękny kryształ z Waterford. Każda sztuka warta była przynajmniej sto funtów, a miał ich dwanaście. Różne szkło absorbowowało światło z punktowych żarówek na suficie, mieniając się całym spektrum ślicznych, ciepłych kolorów.

Z ogromną siłą rzucił kieliszkiem, wraz z zawartością, przez cały pokój. Spodobał mu się dźwięk, z jakim szkło rozprysło się na setki małych kawałeczków.

— Porozmawiam z Kieronem i wszystkiego się dowiem. A ty tylko wykonasz swoją robotę, dobrze?

Jon Jon pokiwał głową.

— Będę zaszczycony, przyjacielu. Ale muszę być przy waszej rozmowie. Muszę dowiedzieć się wszystkiego i o Pauliem Martinie, i o zniknięciu mojej siostry. Chyba to rozumiesz, prawda?

Wielki John skinął potakująco głową.

— Lepiej, niż myślisz, synu. Uważałem go za dobrego kumpla. Myślałem, że jest w porządku, a tymczasem... Co za świat, prawda, Jon Jon?

Uśmiechnęli się do siebie, zjednoczeni w przygnębieniu.

Nagle Wielki John wstał.

— No, ruszmy w końcu dupy — powiedział z powagą. — Przypadkiem wiem, gdzie może być teraz mój chłopak.

Jon Jon także się podniósł. Przez chwilę czekał, a tymczasem Wielki John wyciągnął z kuchennych szuflad kilka niewielkich zawiniątek.

— Jeszcze dziś w nocy wszystkiego się dowiemy, obiecuję ci. Kopniakami, a wydobędę to z niego, jeżeli tak będzie trzeba.

Jon Jon milczał.

Milczał, ponieważ właściwie nie wiedział, co powinien w takiej chwili odpowiedzieć.

Jedna rzecz była pewna: rodzony ojciec Kierona uważał go za zdolnego do zamordowania Kiry, co było ni mniej, ni więcej tylko podpisem na jego wyroku śmierci.

Paulie wprost kipiał energią. Stanąwszy na progu mieszkania, jednocześnie uśmiechał się i zacierał ręce. Kiedy wszedł do mieszkania Joanie, poczuła jego znajomy zapach.

— Wszystko w porządku, dziewczyno?

Pocałował ją w usta, a ona zareagowała na to jak zwykle.

— Mam szansę na szybką herbatkę i kanapkę z bekonem?

Tak w gwarze cockneyowskiej witali się ludzie, od wielu lat żyjący w związku małżeńskim. Joanie roześmiała się, jednak Paulie dostrzegł, że nie jest to śmiech zupełnie szczery.

— Nic ci nie jest?

Joanie zaprzeczyła.

— Czuję się tylko trochę zmęczona, a poza tym w każdej chwili spodziewam się Moniki.

— Baxter mi powiedział. Ale miała gest, co?

Joanie uśmiechnęła się.

— Dzięki, Paulie. Wiem, że to ty wszystko ustawiłeś.

Paulie przyciągnął ją do siebie.

— Przynajmniej tyle mogę zrobić dla mojej najlepszej dziewczyny, prawda?

Cudownie było słyszeć od niego takie słowa. Oto był prawdziwy Paulie. Paulie, którego jednak bardzo, rzadko można było takim zobaczyć. Nieczęsto był tym uprzejmym, dobrym człowiekiem, którego Joanie kochała od tak dawna.

— Przecież tyle razem przeżyliśmy, Joanie. Nikt nigdy nie miał na mnie takiego wpływu jak ty.

Jego słowa nagle ją onieśmieliły. Zazwyczaj mówił to jedynie w ciemnościach sypialni.

— Gdzie jest Jon Jon? Próbowałem go złapać na komórkę, jednak nie odpowiada.

Joanie potrząsnęła głową.

— Nie wiem. Nie widziałam go dzisiaj i jestem trochę zaskoczona.

— Jeanette w domu?

Znowu potrząsnęła głową.

— Wydawało mi się, że słyszałem jej telewizor. — Paulie uśmiechnął się, mówiąc te słowa. Jego oczy penetrowały jednak mieszkanie, jakby czegoś szukał.

Z jakiejś przyczyny Joanie postanowiła mu nie mówić o tym, co robi, przynajmniej jeszcze nie teraz. Mógłby się skupić na Bethany i wyniknęłyby z tego jedynie krzyki oraz wzajemne oskarżenia.

— To ja tam byłem — powiedziała spokojnie. — Czasami kładę się w łóżku Kiry i wtulam się w jej pościel. Czuję wtedy, że jestem bliżej niej.

Paulie uśmiechnął się złośliwie.

— Jesteś wstrętną, pierdoloną kłamczuchą, Joanie.

Z fascynacją patrzył, jak jej źrenice rozszerzają się w szoku wywołanym jego słowami.

— Co takiego?

— Czy Jon Jon jest tutaj? — głos Pauliego ostrzegał wystarczająco dobitnie, że nie zniesie kolejnego kłamstwa.

— Co się dzieje, Paulie?

— Co się dzieje?! Drwisz ze mnie, Joanie? Ten mały drań Jon Jon niedawno odwiedził Jesmonda i go zaszlachtował na śmierć, w najlepszej komitywie z pierdolonym Bernardem Lee. Może teraz rozumiesz, dlaczego kiedy go tylko spotkam, zamierzam go sprać, dopóki będę miał czucie w rękach? Co on sobie, kurwa, myśli? O co mu chodzi?

— Nie wiem, Paulie. W ogóle nie wiem, o czym mówisz.

Odepchnął ją od siebie.

— Och, daj spokój tym bredniom, Joanie. Twoje dzieciaki nie są w stanie się wysrać, zanim tego z tobą nie skonsultują.

A teraz ten twój Jon Jon przebywa gdzieś w towarzystwie Wielkiego Johna McClellana i chuj jeden wie, o czym rozmawiają, ponieważ żaden z nich nie raczy odbierać moich telefonów! Co jest, kurwa, czy ja nagle zostałem marionetką z Muppet Show?

Wiedział już jednak, że Joanie, tak samo jak on, nie ma pojęcia, gdzie jest jej syn. Miała to wypisane na twarzy.

Mimo wszystko ruszył do sypialni dziewczynek, a kobieta za nim, ciągnąc go za rękę i chcąc, żeby odwrócił się twarzą do niej.

— Do diabła, jaki masz problem? Wszedłeś do mnie uśmiechnięty i zadowolony, a nagle zamieniłeś się w chama! Wypierdalaj, Paulie. Nie mam ochoty znosić twoich fochów, przynajmniej nie dzisiaj w nocy.

— A co takiego nadzwyczajnego dzieje się dzisiejszej nocy? — warknął.

Joanie patrzyła na niego, jakby go jeszcze nigdy w życiu nie widziała. W gruncie rzeczy takiego, jakim był teraz, obserwowała pewnie po raz pierwszy. Miał dzikie oczy, szalał z powodu gniewu i niecierpliwości oraz czegoś, co można była zakwalifikować jako strach. Ale dlaczego? Przecież nawet jeśli Jon Jon wpadł w kolejne, jeszcze większe kłopoty, Paulie nie musiał się tak zachowywać, bo w gruncie rzeczy jego to nie dotyczyło. Jon Jon nigdy nie wydałby ani nie powiedziałby na swego szefa ani jednego złego słowa, zbyt go szanował.

Jak burza wpadł do małej sypialni.

Była pusta.

Wtedy zdemolował mieszkanie, wyrzucając ubrania z szaf, zrywając nawet zasłonę prysznicą.

Kiedy skończył, stanął twarzą w twarz z Joanie i popatrzył na nią uważnie. Wbił w jej pierś palec wskazujący i ryknął:

— Powiedz temu swojemu synalkowi, że chcę z nim pogadać. Mądrze zrobi, jeżeli szybciotko się do mnie zgłosi, bo jeśli sam go znajdę, rozmowa może się dla niego okazać znacznie trudniejsza. Byliśmy umówieni na dziewiątą, a gówniarz nie przyszedł. Mam nadzieję, że znajdzie dobre wytłumaczenie, bo inaczej...

Wyszedł bez pożegnania, trzasnąwszy za sobą drzwiami.

Joanie stała w miejscu, cała w szoku, wpatrując się w drzwi. Coś podobnego! To niesłychane. Za kogo on się uważał? A poza tym, gdzie był teraz Jon Jon i co znowu kombinował? Skoro nie z Pauliem, to z kim?

Z ciężkim sercem wróciła do sypialni i pomogła Bethany wydostać się spod łóżka. Świat oszalał, nie miała co do tego wątpliwości.

— Już dobrze, kochanie, tak naprawdę on jest zupełnie inny. Teraz był tylko strasznie zdenerwowany.

Joanie nie była pewna, kogo bardziej chce przekonać: siebie czy dziewczynkę.

Kieron miło spędzał czas z Pippym Lightem w prywatnym klubie w Holborn, do którego wstęp mieli jedynie członkowie. Właśnie pojawili się jego dwaj starsi bracia. Uśmiechnął się, kiedy zobaczył, że idą w jego kierunku.

Właściciel klubu nienawidził i Kierona, i Pippy'ego. Kiedy się pojawiali, zawsze wynikały z tego kłopoty. Robili mnóstwo hałasu. Gdy więc zobaczył dwóch kolejnych braci McClellanów, odetchnął z ulgą. Kieron i Pippy zawsze uspokajali się, kiedy na horyzoncie ujrzeli braci tego pierwszego. Zachowywali się wówczas jak nie ci sami faceci. Automatycznym ruchem nalał dwie wódki. Będą już na nich czekały, kiedy bracia dotrą do baru.

Dobra tradycja nakazywała im po drodze do baru przywitać się z pozostałymi gośćmi klubu. Zadośćuczynienie tej tradycji gwarantowało, że kiedy usiądą przy drinku, nikt już nie będzie im przeszkadzał.

Właściciel wiedział także, że Pippy Light był równie miły oczom pozostałych McClellanów jak kondom w kościele, zatem Pippy bezzwłocznie sobie stąd pójdzie. Jedno trzeba było mu oddać: potrafił wyczuć, kiedy jest niechętnie widziany w towarzystwie.

Gerald, najstarszy z braci i niemal klon swojego ojca, uśmiechnął się przyjaźnie do brata.

— Wszystko w porządku, Kieron?

Kieron odpowiedział uśmiechem. Miał wyższy odlot niż jumbo jet nad Atlantykiem i było to po nim widać.

— Tak. A u ciebie?

Miał szklany wzrok i z trudem utrzymywał głowę w górze. Gerald zgadywał, że to efekt połączonego działania kokainy i tabletek ekstazy. Jak zwykle. Stan brata wkurzył go, ale nic nie powiedział. Pippy'ego ignorował, ale Pippy był już do tego przyzwyczajony. Bracia McClellanowie stanowili siłę, z którą musiał się liczyć. Planował, że wkrótce się z nimi policzy, ale na razie swoje zamiary trzymał dla siebie.

James McClellan prowadził rozmowę przez telefon komórkowy. W pewnej chwili zmarszczył czoło i popatrzył na Pippy'ego. Skinął głową i zaraz skończył rozmowę. Odwrócił się do Geralda, który podał mu kieliszek. Wypił wódkę jednym haustem, po czym powiedział coś po cichu do brata. Jego słowa sprawiły, że na twarzy Geralda pojawił się wyraz zastanowienia.

Mimo że klub był wypełniony zaledwie w jednej czwartej, muzyka grała pełną mocą. Pippy, który szczycił się tym, że na odległość wyczuwa kłopoty lepiej niż radar w myśliwcu F-14, uznał, że czas opuścić towarzystwo i udać się w nieznanym kierunku. Kieron doszedł do identycznego wniosku.

Najgorsze obawy Pippy'ego potwierdziły się, kiedy został zaproszony do uczestnictwa w następnej kolejce. W tym towarzystwie takie zdarzenie jeszcze nie miało miejsca. Uśmiechnął się jednak i przyjął zaoferowanego mu dużego jacka danielsa z colą. W końcu kiedyś musi być ten pierwszy raz.

Kieron kołysał się w rytm muzyki. Akurat odtwarzano jeden z jego ulubionych kawałków, *Jak tutaj gorąco*, w wykonaniu niejakiej Tigi. Była to prowokacyjna piosenka i Kieron poruszał ustami, bezgłośnie artykułując jej treść i spoglądając jednocześnie na młodą dziewczynę, bawiącą się w pobliżu w towarzy-

stwie czarnoskórego chłopaka. Była blondynką, miała małe pierśi i z pewnością nie więcej niż szesnaście lat, o ile w ogóle osiągnęła już taki wiek.

Nagle zaczął śpiewać głośno:

— Jak tutaj gorąco... I będzie goręcej... Rozbieraj się prędko... Rozbieraj się prędzej...

Była to oczywista zniewaga wobec dziewczyny i jej towarzysza.

Gerald spostrzegł, że sytuacja grozi awanturą, machnął więc ostrzegawczo do czarnoskórego, nakazując mu zignorować prymitywa. Chłopakowi to wystarczyło, nie miał bowiem ochoty na bijatykę, choć z drugiej strony nie mógł spokojnie przełknąć zniewagi.

— Daj spokój, Kieron. Dopijaj swoje, dostaniesz jeszcze jednego, a potem pojedziemy do naszego starego. Chce was widzieć obu, jasne?

Kieron pokiwał głową, jednak jego mina nie pozostawiała wątpliwości, że nie jest bynajmniej ucieszony tą perspektywą.

— Właśnie chciałem wyjść. Mam umówione spotkania.

Słyszając słowa brata, James szczerze roześmiał się.

— Cóż, chyba będziesz je musiał odwołać. — Ruchem ręki przywołał barmana, a do Kierona powiedział jeszcze: — I przestań zaczepiać spokojnych ludzi. Ten czarny to mój kumpel z klasy, Easton, porządny, przyzwoity facet, jasne?

Kieron potrząsnął przecząco głową. Normalnie w takiej sytuacji by przytaknął. Najwidoczniej dzisiaj naćpał się i napił znacznie powyżej swojej codziennej normy.

— A czego stary chce od Pippy'ego?

Mimo stanu, w jakim się znajdował, potrafił wykoncypować, że skoro ojciec chce się zobaczyć z Pippym Lightem, może to oznaczać tylko kłopoty.

James wzruszył ramionami.

— Sam go za chwilę zapytasz. Zaraz tutaj wpadnie albo do mnie zadzwoni, żeby mi powiedzieć, gdzie się spotkamy. Zobaczmy, co mu będzie pasowało. Wypij więc sobie jeszcze jednego, bo stary i tak, i tak się wkurzy, kiedy cię zobaczy w takim

stanie. Wyglądasz kiepsko i już tego dzisiaj nie zmienisz, dlatego więc miałbyś sobie odmówić jeszcze tej jednej przyjemności? Może uzna cię jedynie za pijanego, a nie zaćpanego?

Była to dobra braterska rada, bowiem mimo że ojciec sam wciągał kokainę i palił trawkę, nie znosił, kiedy robili to jego synowie. Pokusie narkotyków nie oparł się tylko Kieron i jeden z jego braci, Dennis. Pozostała piątka jedynie piła.

James włączył Eastona i jego dziewczynę do rodzinnego kręgu. Uśmiechnął się do nich, wywracając oczy do góry i wskazując na najmłodszego brata. Easton podziękował mu skinieniem. Zdołał zachować twarz i na razie jeszcze nie zdarzyło się nic złego. Jednak na coś się zanosilo. Problem z McClellanami polegał na tym, że gdy zadarło się z jednym z nich, zaraz miało się na głowie całą siódmkę i wielu innych. Klan stanowili nie tylko ojciec i synowie, ale także kuzyni, których było więcej niż w saudyjskiej rodzinie królewskiej.

Przez cały czas czujnym wzrokiem śledził Kierona. Gdyby najmłodszy McClellan go zaatakował, nie miałby wyboru i musiałby się bronić. Z ulgi niemal zemdłał, kiedy po pięciu minutach zobaczył, że do klubu wchodzi Jon Jon Brewer ze starym McClellanem.

Jon Jon podszedł do Eastona i obaj wymienili uścisk dłoni. Mimo że Jon Jon był młody, Sippy bardzo go lubił, a to Eastonowi w zupełności wystarczało.

Jon Jon zbliżył się następnie do McClellanów. Gerald i James przywitali się z nim ciepło, zgodnie z instrukcjami, jakie otrzymali przez telefon.

Wielki John wszystko to obserwował.

Następnie popatrzył na Kierona i Pippy'ego Lighta. Znów poczuł znajome uczucie mdłości. Przecież Kieron miał życie ułożone jak na talerzu. Samo nazwisko dawało mu dostęp do wszystkich i do wszystkiego, czego zapragnął. Mógł bezkarnie popełnić nawet coś gorszego niż morderstwo.

Ale kto by przypuszczał, że jeden z chłopaków Wielkiego Johna McClellana stanie się ludzką bestią? Aż bał się myśleć, jak

wydarzenia potoczyłyby się dalej, gdyby pozwolił Kieronowi nadal żyć tak, jak do tej pory.

W więzieniu dosyć napatrzył się na zboczeńców, widział, jak byli bici, podpalani, sam nawet włączał się do zabawy... A w tym samym czasie ktoś taki wyrastał w jego własnej rodzinie. Znów zobaczył w wyobraźni sceny maltretowania podobnych ludzi w więzieniu i z trudem przełknął gulę strachu, rosnącą mu w gardle. Popatrzył na zegarek. Jeszcze kilka drinków i będzie na tyle otumaniony, że da sygnał do rozpoczęcia akcji.

Jon Jon mrugnął do niego i Wielkiemu Johnowi nagle zachciało się płakać. Czyżby miękł na stare lata? Nie potrafił sobie teraz odpowiedzieć na to pytanie. Ufał jednak, że da radę to zrobić, zanim nastanie świt.

Pippy siedział i z uwagą patrzył na całe przedstawienie. Widział, w jaki sposób traktowany jest Jon Jon. Spostrzegł, że Wielki John patrzy na chłopaka, jakby ten był co najmniej jego synem, a nie jakimś tam pierwszym lepszym, przebrzydłym czarnuchem. I doskonale rozumiał, że bardzo szybko pozna cel tej maskarady.

Szybko wypił drinka i zaczął rozglądać się za ewentualnymi drogami ucieczki. Rozum szybko mu jednak podpowiedział, że na to nie ma żadnych szans. Bez McClellanów nigdzie stąd nie wyjdzie. Już oni tego dopilnują.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Gerald i James obserwowali swojego ojca i brata. Nie mieli już wątpliwości, że uczestniczą w czymś cholernie poważnym. Kiedy wyszli z klubu, Jon Jon Brewer potrząsnął w ich kierunku głową, jakby chciał ich przestrzec, żeby się nie wtrącali.

Obaj pomyśleli o tym samym.

Cóż takiego, niewiadomego dla nich samych, wie ten obcy na temat ich rodziny?

Pippy także uważnie przypatrywał się wszystkiemu, co się działo.

Nagle McClellanowie zobaczyli, jak ojciec szarpie ich najmłodszego brata za gardło i instynktownie ruszyli w tym kierunku.

Wielki John spojrzał na nich ostrym wzrokiem. Zazwyczaj jego duma z synów nie miała granic. Gdyby kiedykolwiek ktoś im powiedział, że jeden z nich jest bestią w ludzkiej skórze...

Złość wzięła w nim górę.

— Wsiadajcie do samochodu i spierdalajcie stąd, chłopcy. A tego piździelca zostawcie mnie.

Gerald położył dłoń na ramieniu ojca.

— Daj spokój, tato. Puść go dzisiaj do domu, a jutro razem porozmawiamy i wyjaśnimy wszystkie problemy, jakie z nim mamy, zgoda?

Kieron spojrzał na ojca i stwierdził, że jego sytuacja wygląda bardzo niewesoło.

— Tato — powiedział cicho. — Nie wygłupiaj się. Przecież jutro będą o nas plotkować wszyscy ludzie. Po co nam to?

Była to wyraźna groźba i zauważył ją nawet Gerald. Odwrócił się i popatrzył groźnie.

— Co ty takiego znowu zrobiłeś, Kieron?

Zabrzmiało to jak oskarżenie, ponieważ Kieron bynajmniej nie po raz pierwszy wkurzał ojca.

Tymczasem Wielki John wyszczerzył zęby.

— No, powiedz mu. Upoważniam cię, możesz to zrobić. Ale ty nie masz do tego, kurwa, jaj, co?

Kieron nie podjął wyzwania i Wielki John wiedział, że nigdy go nie podejmie. Nie był w stanie. Ponad wszystko inne, miał naturę tchórza.

— O co tutaj chodzi? Czyżbym o czymś nie wiedział?

Gerald co chwilę przerzucał spojrzenie z ojca na brata. Jego potężne ramiona i dłonie przypominały Kieronowi, z czym może mieć za chwilę do czynienia. Przyszło mu do głowy, że tym razem matka z pewnością mu nie pomoże, a to dlatego, że nie ma najmniejszego pojęcia o tym spotkaniu. Brakowało mu jej teraz, ponieważ ojciec zazwyczaj robił wszystko to, o co go prosiła, a to z poczucia winy, które wynikało z faktu, iż od początku do końca właściwie spieprzył całe ich życie rodzinne.

Kiedyś powiedział mu o tym James. Ojciec traktował matkę w ten sposób dlatego, że tak długo siedział w więzieniu i teraz musiał sobie to odbijać, chłonąc z życia pełnymi garściami. James dał mu nawet do zrozumienia, że matka o wszystkim wie, ale mało ją to obchodzi.

Stosunki w rodzinie nie miały jednak w tej chwili znaczenia. Kieron zdawał sobie sprawę, że znajduje się w śmiertelnym zagrożeniu i jeżeli chce z niego wybrnąć, będzie musiał bardzo ostrożnie rozmawiać ze swoim starym.

Wielki John wskazał na Geralda i powiedział:

— Wsadź Pippy'ego do samochodu i jedźcie za nami, dobrze? Wkrótce się wszystkiego dowiesz.

John śmiało zdecydował, że synowie muszą wiedzieć. Gdyby ich brat po prostu zniknął, zapamiętaliby tę noc i zaczęliby się zastanawiać. Chcieliby bez wątpienia pomścić jego śmierć, zatem najlepszym rozwiązaniem dla ogółu zainteresowanych było wprowadzenie ich we wszystko od początku do końca.

Poza tym nie chciał, żeby cała wina za dzisiejsze wydarzenia spadła jedynie na niego i na Jon Jona. W końcu to była sprawa rodzinna. Ale przede wszystkim musiał być absolutnie pewien, że sam nie wycofa się w ostatniej chwili z raz podjętego postanowienia. Przed obliczem synów zawsze grał bowiem twardego mężczyznę. Z żoną była zupełnie inna historia. Na razie nawet nie ośmielał się myśleć, jak sobie z nią poradzi, kiedy usunie Kierona.

Kieron tymczasem, jak zawsze, zaczął się odwoływać do matki.

— Czy mama wie, że tutaj jesteś? — zadając to pytanie, patrzył beczelnie prosto w twarz ojca.

— Wsiadaj to tego pierdolonego samochodu, ty piździelcu!

— Spokojnie, tato. Co on, do kurwy nędzy, tym razem narozrabiał? Może ja dam radę jakoś to naprawić? — poprosił Gerald.

— Nikt nie jest w stanie tego naprawić, synu. Zdasz sobie z tego sprawę, zanim nadejdzie świt. Twój tak zwany brat przekroczył pewien próg i jeśli mam w tej rodzinie coś do powiedzenia, dzisiaj w nocy rozwiążemy jego problem raz na zawsze.

Gerald nie chciał wierzyć w to, co słyszał.

— Daj spokój, tato, chyba oszalałeś! Zaczekaj ze wszystkim do rana. Zabiorę go do domu, przecież mama będzie się martwiła...

— Stul pysk, do cholery, i jedź za mną na złomowisko do Romford. Tam jest całkiem sympatycznie i nikt nam nie będzie przeszkadzał. Uważaj, pod żadnym pozorem nie możesz pozwolić, żeby Pippy zwiął. On także jest mi potrzebny, jasne?

Energicznym ruchem wepchnął najmłodszego syna do samochodu. Jon Jon siedział już na tylnym siedzeniu.

Gerald przeszedł do swojego samochodu. Wiedział, że nie ma sensu kłócić się z ojcem, kiedy ten jest w tak podłym nastroju.

— O co chodzi, Ger? — James był równie zaniepokojony jak on.

Wzruszył ramionami.

— Jeden chuj wie. — Popatrzył na Pippy'ego i powiedział: — Ale on bardzo mądrze postąpi, jeśli oświeci nas podczas jazdy.

*

Joanie i Bethany rozmawiały, dopóki dziewczynka nie zasnęła. U dzieci było to najbardziej zabawne: nieważne, co się działo, kiedy przychodziła ich pora, zawsze zapadały w głęboki sen. Kobieta dokładnie okryła dziewczynkę kołdrą, po czym nalała sobie dużego drinka. Usiadła na kanapie i powoli popijając, usiłowała sobie ułożyć w głowie wszystko to, o czym opowiadała jej Bethany.

Dwie dziewczynki pojechały samochodem z Pippym Lightem i facetem o imieniu Kieron. Cała trójka namówiła Kirę, żeby pojechała z nimi. Bethany wypuszczono z samochodu przed domem w Ilford, a dziecka Joanie już nikt więcej nigdy nie widział.

Nie trzeba było umysłu Sherlocka Holmesa, żeby wydedukować, co się z nią dalej stało. W głębi serca Joanie od dawna wiedziała, że jej córka została zamordowana. Przypuszczała, że podpowiada jej to instynkt macierzyński. Teraz najbardziej martwiła się tym, jak zareaguje Jon Jon, kiedy się dowie o wszystkim. Myśl o spodziewanej reakcji syna wypychała z jej umysłu straszne wizje tego, co działo się z Kirą, zanim umarła.

Wreszcie osuszyła kieliszek do dna i poczuła, jak ciepło rozplywa się falą po jej żołądku. Uklękła na podłodze i otworzyła szafę ze swoimi skarbami. Wystawiła wszystko na podłogę i znów zaczęła oglądać, wiedząc doskonale, że te przedmioty już nigdy nie dadzą jej takiej radości, jaką wywoływały jeszcze zupełnie niedawno. Już nigdy nie będzie snuć fantazji o uroczym domu z ogrodem i basenikiem dla Kiry, o ślicznych talerzach, na których podawałaby kolację, o wieczornych przyjęciach, jakie wydawałaby dla bogatych i sławnych ludzi.

Już nigdy nie będzie mogła pomyśleć o czymś takim, nie wspominając jednocześnie najmłodszej córki. Już nigdy w życiu nie zazna ani jednego szczęśliwego dnia.

W wyobraźni zobaczyła twarz Małego Tommy'ego i szybko ją od siebie odsunęła. Czuła wszechogarniające poczucie winy na myśl o tym, co przecierpiał. Nie miała teraz ani czasu, ani dość energii, żeby się z tym mierzyć.

Weszła do kuchni, wyciągnęła z szuflady czarny worek na śmieci i zaczęła wypełniać go swoimi skarbami, jak zwykł je nazywać Jon Jon.

Kira uwielbiała oglądać je razem z nią, spędziły na tym wiele magicznych chwil. Joanie cieszyła się, kiedy jej córka upajała się ich widokiem. Wspólnie planowały wtedy przyjęcia dla gwiazd. Omawiały po kolei wszystkie dania, jakie znajdują się na stołach, decydowały o markach win, a nawet o kolorach serwetek i w jaki sposób ułożone zostaną sztucce.

Teraz wszystko przeminęło, w siną dal odeszła każda chwila niewinnego szczęścia.

Odeszła także jej córeczka i nie miała już nigdy wrócić.

Joanie płakała, wychodząc z domu i zmierzając do śmietnika. Kiedy stanęła na półpiętrze, zamyśliła się jeszcze na chwilę, rozmyślając o życiu, które już od dłuższego czasu nie przyniosło jej niczego dobrego. W tych rzadkich chwilach, kiedy życie zdawało się układać w miarę normalnie, zawsze podświadomie wyczekiwała jakiejś bliskiej katastrofy. Wreszcie się stało, jej życie rozpadło się w drobny mak. Nadawało się tylko do tego, żeby napisać o nim kilka głupich artykułów w brukowcach, było też doskonałą pożywką dla sąsiedzkich plotek.

Zeszła na dół i popatrzyła w okna mieszkań. Zobaczyła światła, ściany wyklejone różnymi tapetami, migotanie ekranów telewizyjnych. Nashuchiwała dźwięków muzyki i krzyków oraz śmiechów nastolatków bawiących się na ulicach. W tej chwili zazdrościła każdemu człowiekowi na ziemi prostego, nieskomplikowanego życia.

Jej matka zwykła mawiać, że dla większości ludzi życie jest głównym. Cóż, niemal każdy, kto przewinął się przez życie Joanie, postarał się, żeby jej życie było właśnie takie — główniane. To nie ona sama sobie, lecz inni ludzie obrzydzili jej życie. Aż do dzisiejszego wieczoru Joanie nie rozumiała znaczenia słów matki. Dzisiaj wiele pojęła. Zrozumiała też, że każdy ból w życiu jest w jakiś sposób związany z miłością. Wystarczyło chociażby spojrzeć na sytuację takiej Bethany. Tak mocno kochała Monikę,

a przecież nie miała u niej najmniejszej szansy na wzajemność. Najgorsze było jednak to, że młodziutka Bethany doskonale już sobie z tego zdawała sprawę.

Joanie przycisnęła do siebie worek i, opadłszy na kolana, rozplakała się jak dziecko. Dopadł ją ostry ból w klatce piersiowej. Przyszło jej na myśl, że za chwilę może umrzeć.

— Proszę cię, tato, posłuchaj mnie chociaż przez chwilę, dobrze?

Kieron zaczynał już panikować. Ojciec wszystkie jego słowa zbywał lekceważącym milczeniem albo przedrzeźniał go:

— „Tato, posłuchaj mnie, dobrze?”. A gównie, nie posłucham cię.

Jon Jon popatrzył na Kierona. Mimo widocznego strachu, jakiego ogarnął już chłopaka, nie miał dla niego ani odrobiny współczucia.

— Zamknij się, ty zboczony piździelcu — odezwał się.

Zapomniawszy na chwilę o strachu, Kieron zapytał ojca:

— Tato, pozwalasz mu w ten sposób się do mnie zwracać? Na co pierdolony czarnuch sobie pozwala? Gdzie jest ten Wielki John McClellan, którego znam i tak szanuję?

Wielki John roześmiał się.

— Zdenerwował cię, co? Ty pierdolona, zboczona szmato.

Jon Jon pochylił się ku Kieronowi siedzącemu z przodu obok ojca.

— Czy zabawiałeś się z moją siostrzyczką, Kirą? Bo z tego, co zobaczyłem na fotografiach, które pokazał mi twój ojciec, wywnioskowałem, że intymne stosunki łączą cię jedynie z jej przyjaciółką, Bethany.

Wielki John znowu się roześmiał.

— A to dobre, Jon Jon. „Intymne stosunki”. Umiesz dobrać właściwe słowa. Ile ona miała lat, Kieron? Dziewięć, a może dziesięć?

— Chciałbyś wiedzieć? — Roześmiał się głośno z ojca, któ-

ry, mimo że prowadził samochód, zamierzył się na niego, chcąc walnąć syna pięścią w twarz.

— Ty bezczelny draniu! Zabiję cię za to, co mi zrobiłeś...

Zatrzymał samochód na środku drogi i wyskoczył na zewnątrz. Otworzywszy drzwi po stronie pasażera, zaczął okładać Kieron pięściami po całym ciele. Tracił nerwy. Po tym, co musiał przełknąć w swojej świadomości, wreszcie zaczął tracić nerwy.

Jon Jon użył wszystkich swoich sił i długo do niego przemawiał, zanim zdołał z powrotem umieścić Johna na fotelu kierowcy.

Tymczasem różni ludzie przyglądali się im z chodników, zastanawiając się, co się dzieje, jednak nikt nie zamierzał się wtrącać. Nic dziwnego, ponieważ głównym bohaterem zajścia był potężnej postury, rozłoszczony mężczyzna.

— Uspokój się, John, na miłość boską, zanim nas wszystkich przymkną! Zjedź do krawężnika, ludzie się na nas gapią.

Kieron siedział skulony w fotelu, wreszcie spokojny. Mocno krwawił.

Jon Jon zobaczył, że samochód Geralda i Jamesa stoi za nimi, a dwaj bracia w milczeniu obserwują całą scenę. Ponieważ nie mógł dostrzec Pippy'ego, musiał założyć, że już sobie z nim właściwie porozmawiali.

Podszedł do ich samochodu. Osłoniwszy oczy od góry, popatrzył do wewnątrz przez tylną szybę. Pippy leżał na tylnej kanapie. Cały był zakrwawiony i nie ruszał się, jednak z pewnością wciąż żył, a tylko to interesowało Jon Jona.

Gerald opuścił szybę po stronie kierowcy.

— Czy to prawda, Jon Jon?

Pokiwał głową.

— Jezu Chryste, to niemożliwe... Kieron to skurwysyn, ale nie zrobiłby czegoś takiego...

Jon Jon wyciągnął z kieszeni fotografie i wsunął je przez okno do samochodu. Wskazał na Pippy'ego Lighta.

— Tylko nie ważcie się go zabić. Muszę z nim porozmawiać o mojej siostrzyczce, jasne?

Skinęli głowami.

— Kiedy tylko się dowiem tego, co potrzebuję, będzie wasz.

Gdy wracał do samochodu Wielkiego Johna, z dużą prędkością minął ich wóz policyjny. Błyskał światłami, głośno wył syreną, w poszukiwaniu — bez wątplenia — zgłoszonego przed chwilą incydentu.

Jednak Jon Jon, jak i pozostali, zignorowali go.

Jak zwykle, policja przybywała na miejsce za późno.

Paulie znajdował się w biurze w Angel Girls. Ostatnio lubił tu przebywać, ponieważ było to miejsce, w którym udawało mu się odpocząć. Tej nocy ani mu w głowie był jednak odpoczynek. Palił właśnie papierosa, co zdarzało mu się bardzo rzadko, a pomiędzy kolejnymi zaciągnięciami niszczył dokumenty. Zdążył już zniszczyć wszystkie dyski i dyskietki oraz te komputery, w których mogły być zarejestrowane jakieś obciążające go informacje. Czuł, że Jon Jon błyskawicznie zbratał się z McClellanem i wiedział już, że ten potężny człowiek zdołał go w końcu przejrzeć. To nie był zbieg okoliczności, że przyszedł tak znienacka i zwrócił się do Pauliego z prośbą o wskazanie młodego człowieka, który poprowadzi mu doskonały interes. Jednak dopiero wtedy, gdy Jon Jon nie stawił się na umówione spotkanie, Paulie dodał dwa do dwóch, a wynik, który otrzymał, postawił mu wszystkie włosy na głowie.

Dlaczego, do cholery, w ogóle zdecydował się z wiązać z kimś takim jak Jesmond i Pippy? Właściwie dlatego, że nigdy mu nie przyszło do głowy, iż w interes, który współfinansował, zostanie wplątana niewinna dziewczynka, Kira. I wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć, że sprawy zaszły aż tak daleko. Mówili, że będą używać tylko dzieci z zagranicy. Doskonale znające swoje zadania. Akurat!

Mnóstwo ludzi namawiało go, żeby finansował ich pomysły, a on często to robił za odpowiedni procent od dochodu. Szybko zbijał w ten sposób fortunę. I tak samo było z Pippym, przecież zgodził się jedynie być u niego udziałowcem. Wyszedł z założeń

nia, że to, o czym w zasadzie nic nie wie, nie może mu zaszkodzić. Och, jak mocno się wtedy pomylił.

Pieprzony Pippy Light był po prostu szaleńcem. W głębi serca Paulie zawsze zdawał sobie sprawę, że nie powinien wchodzić w żadne interesy ani z Pippym, ani z Jesmondem, szmaciarzami najgorszego autoramentu. Jednak kiedy Jesmond dokładnie mu wytłumaczył wszystkie założenia finansowe przedsięwzięcia, uznał, że to zbyt dobra okazja na zarobienie mnóstwa szmalu, by pochopnie ją stracić.

Tylko dzięki tej okazji dał w sumie Sylvii wszystko, czego chciała. Dzięki tej szansie stan jego konta był taki, że ani on sam, ani jego prawnik nie uważali, iż musi oszczędzać każdego pensa.

Najgorsze w całej sytuacji było teraz to, że bardziej bał się schwytania przez dawnych kumpli niż przez policję. Przecież kiedy tylko ujawnią jego związki z pedofilami, będzie skończony. Co prawda Jesmond już nie żył, ale kto wie, co zdążył wygadać przed śmiercią?

Wcześniej tego wieczoru Paulie był już u Pippy'ego. Zabrał ze sobą Earla do pomocy. To, co zobaczył tam w komputerach, przeraziło go. Rozbił wszystkie w drobny mak, a pobojuwisko podpalił, wcześniej, oczywiście, pozabierawszy forszę i różne wartościowe przedmioty.

Ale tak jak Wielki John, bał się, że dowody jego nieczej działalności krążą już w niezliczonych komputerach na całym świecie. Jego nazwisko mogło się pojawić chociażby w jakimś e-mailu wysłanym na przykład do Rumunii albo do Czech. Pippy mógł się okazać na tyle przebiegłym draniem, by ujawnić, kto finansuje jego działalność.

Sama myśl o tym sprawiała, że Pauliego oblewał gorący pot.

Kiedy zdał sobie sprawę, że także Kieron jest w to wszystko zaangażowany, wpadł niemal w panikę. Jednak Pippy przysiągł mu, że Wielki John absolutnie o niczym nie wie i Paulie uwierzył. W końcu dobrze znał Johna.

Paulie nie wiedział jednak o Kirze. Nigdy nie pytał Pippy'ego ani Jesmonda o szczegóły, dotyczące ich klienteli ani, hm... pra-

owników. Nawet mu nie przyszło do głowy, że okażą się na tyle szaleni, by zabrać się za miejscowe dzieciaki. Przez cały czas głęboko wierzył, że zniknięcie dziewczynki jest sprawką jakiegoś przypadkowego wariata, nie międzynarodowej szajki pedofilów, którą finansował, mając nadzieję na osiągnięcie sporego zysku.

Wiedział już doskonale, że do tego wszystkiego doprowadziła jego pieprzona pazerność. Doprowadziła do sytuacji, w jakiej się znalazł i do śmierci niewinnego dziecka, którego — jak się okazało — był ojcem. Uśmiercił własną córkę, i to córkę, której matką była Joanie. Nie potrafił o tym myśleć. Musiał usunąć to z głowy i skoncentrować się na ratowaniu własnej dupy.

— Kira. — Złapał się na tym, że głośno myśli, przypominając sobie jej drobniutką twarzączkę. Twarzączkę dziecka, do którego się nie przyznał. — Nie mogę o tobie myśleć. Nie jestem w stanie tego znieść. Boże, Kiro, co ja zrobiłem? Kochanie, tak mi przykro. Tak strasznie cię przepraszam...

W samym środku złomowiska w Romford znajdował się duży plac, służący do rozbierania samochodów na części. Złomowiska zwykle strzegły dwa dobermany, Pixie i Dixie. Sypiały na miejscu i w zasadzie nie do pomyślenia była tam jakakolwiek kradzież. Dzisiaj jednak ich właściciel, staruszek o nazwisku Arnold Jigson, został wywleczony ze swej budki, zdezelowanego kempingu na kołach, i razem z psami wywieziony do domu.

Nie zadawał żadnych pytań, a kiedy dodatkowo ktoś mu włożył do kieszeni pięćdziesiąt funtów, nawet nie mrugnął okiem. Był przyzwyczajony do gwałtownych poczynań swojego szefa, Wielkiego Johna, z drugiej strony nie miał najmniejszej ochoty pakować się w coś, co odcisnęłoby się złym piętnem na nim albo na jego rodzinie. Gdyby później pytały go o coś gliny, miał mówić, że przebywał na złomowisku przez całą noc, zupełnie sam. Doskonale rozumiał, że lepiej wykonać to polecenie.

Kiedy nocni goście znaleźli się w budce Arnolda, Gerald

nalatł wszystkim po drinku. Jon Jon włączył laptopa i podłączył do niego dysk, który otrzymał od Wielkiego Johna.

Kiedy ekran ożył, zaczął obserwować reakcje Pippy'ego i Kierona. Pippy przynajmniej się zawstydził, natomiast Kieron wciąż był arogancki, jakby głęboko wierzył, że nie uczynił niczego złego.

Był głównym bohaterem wszystkich fotografii, a było ich znacznie więcej, niż wydrukował jego ojciec. Jon Jon szybko zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z osobistym dyskiem Kierona, trzymanym przez niego, by dostarczał mu prywatnych uciech. Gdzie jednak przechowywane były pozostałe? Takie, które Pippy i Kieron sprzedawali zboczeńcom, podobnym do nich?

Gerald i James sprawiali wrażenie chorych. Mieli białe twarze i strasznie się pocili.

James oderwał oczy od ekranu i popatrzył na najmłodszego brata. Chciał coś powiedzieć, brakowało mu jednak słów. Nie mógł mówić, nie mógł reagować, tak wielki przeżywał szok. Ojciec doskonale go rozumiał.

— Miłe rzeczy wam tutaj zapodałem, co, chłopcy? Patrzcie, kogo mamy, kurwa, w rodzinie! Spójrzcie tylko, jaki jest z siebie dumny! Nadal chcecie go zabrać do domu, do mamusi?

Wielki John złapał najmłodszego syna za włosy i niemal przyłożył jego twarz do ekranu laptopa.

— No, patrz, kurwa. Tam, dokąd zmierzasz, musisz zabrać ostatnie miłe wspomnienia.

Ojciec niemal łkał i cały się trząsał, jednak Kieron był spokojny, pasywny, pogodzony już ze swoim losem. Wiedział, że jest skończony. Nie mógł nic zrobić, nie istniały słowa, które mógłby powiedzieć, żeby się wydostać z tej sytuacji.

Wyrwał się ojcu i usiadł prosto, wygładzając ubranie, wciągając koszulę w spodnie i poprawiając włosy. Zawsze był elegantem.

— Gdzie jest moja siostra? — zapytał Jon Jon.

Kieron wyszczerzył zęby.

— Po co mnie pytasz?

— Och, na miłość boską, powiedz im wszystko, co chcą

usłyszeć, dobra? Miejmy to już za sobą! — zawołał Pippy wysokim głosem, drżącym z przerażenia. Chciał jak najszybciej zakończyć tę scenę, możliwie bezboleśnie.

Jon Jon skierował się ku niemu.

— Gdzie ona jest?

Pippy wzruszył ramionami.

— To jego sprawka. — Skinął głową w kierunku Kieron. — Nie pierwszy raz.

Nagle ogarnął go atak kaszlu. Jedno oko miał opuchnięte i przekrwione oraz krwawił z rozciętej wargi po laniu, jakie mu urządzili bracia McClellan.

Kieron roześmiał się pogardliwie, po czym popatrzył na Jamesa.

— Popatrz tylko na swoje knykcie, bracie — powiedział. — Są odrapane i krwawią. Chyba rozciął ci je zębami. To musi boleć. — Wyszczrzył zęby i kontynuował: — A on jest nosicielem HIV-a, chyba wiedziałeś?

Tego było za wiele.

Złapawszy za łom, wykorzystywany do otwierania skrzyń z kontrabandą regularnie dostarczaną na złomowisko, James trzasnął nim brata prosto w środek czaszki. Rozległ się okropny trzask i Kieron upadł na podłogę.

— Podnieś go i wyrzuć na zewnątrz. Ten dywan jest prawie nowy — odezwał się Wielki John tonem oburzonej gospodyni domowej.

Jon Jon nie potrafił się powstrzymać i wybuchnął śmiechem. Jego śmiech był tak zaraźliwy, że po chwili dołączył do niego Gerald.

— Z czego się, kurwa, śmiejecie? Przecież mogę mieć AIDS — zauważył James, urażony.

— Zamknij się, ty dziwko. — Kieron niespodziewanie uniósł się na łokciu i zaczął stękać. — Popatrzcie tylko na siebie, niby to praworzadni i śmiertelnie oburzeni głupcy. A przecież nie jesteście lepsi ode mnie. Te dzieci uwielbiały robić to, czego od nich chcieliśmy... Twoja mała siostrzyczka wciąż by żyła, gdy-

by nie była taka cholernie uparta. „Och, nie... Proszę... Ja chcę do mamy...”.

Wszyscy patrzyli na niego jak urzeczeni, kiedy odgrywał tę scenę. Nikt nie chciał wierzyć własnym uszom, gdy słyszał, jak oprawca, będący na progu śmierci, powtarza ostatnie słowa umierającego dziecka.

Kieron kontynuował, wiedząc, że skupił na sobie ich uwagę. Był świadom, że umrze tej nocy, wcześniej miał im jednak jeszcze coś do powiedzenia. Wciąż głęboko wierzył, że wszystko, co robił, było całkowicie usprawiedliwione.

— Cóż, wypadki się zdarzają. Taka Bethany nigdy nie miała dosyć. Wciąż piła, brała narkotyki, uwielbiała być w centrum zainteresowania... dzieci lubią nasze towarzystwo, a my je kochamy. Naprawdę je kochamy.

— Jezu Chryste! — zawołał Gerald. Jego głos i cała postawa świadczyły, że jest w szoku i nie dowierza temu, co słyszy. — Co tu się, kurwa, odbywa, tato?

Wiedział, że jego brat wierzy w to, co mówi, i to było dla niego najtrudniejsze.

— Zabierzcie go stąd. Zabierzcie go stąd, niech ja go tu, kurwa, nie widzę!

Kieron jęknął, kiedy zaczęli go podnosić z podłogi. Zatoczył się i popatrzył na ojca.

— Dzięki Internetowi nie jesteśmy sami. Są nas miliony na całym świecie i wkrótce nastąpi dzień, kiedy będziemy mogli mówić o sobie zupełnie otwarcie. A wy, zakichani ignoranci, dzień w dzień podniecacie się w myślach tym, co my robimy, ale nie macie dość jaj, żeby bawić się tak jak my.

— Nawet jeśli molestowanie dzieci zostanie zalegalizowane dzisiaj nad ranem, dla ciebie i tak będzie za późno, ty piździelcu — warknął Wielki John. — Wrzucie go do bagażnika któregoś samochodu. Zmiażdżymy go w zgniatarce jak sardynkę w puszce. Nie będzie pierwszy facetem, który tu w taki sposób zginie i ośmielam się twierdzić, że nie będzie ostatnim. — Popatrzył na Pippy'ego Lighta. — A ty gadaj, synu, co wiesz, to

może ci ułatwimy ostatnie chwile. Bo on — wskazał na Kieroną — on będzie umierał powoli i w pełni świadomy tego, co się dzieje.

Pippy wiedział, że jest pokonany. Skinął głową.

— Czy mogę jeszcze was o coś poprosić?

— Poprosić możesz. Ale to, czy twoją prośbę spełnimy, jest już zupełnie odrębnym zagadnieniem.

— Nie pozwólcie, żeby kiedykolwiek dowiedziała się moja mama. Zniszczcie wszystko, co było związane ze mną. To by ją zabiło...

Usłyszawszy słowa Pippy'ego, Jon Jon nie mógł sobie odmówić ironii.

— Poczująby się prawie tak jak moja matka, prawda? Złamana, zdruzgotana, poniżona, co? Masz czelność wyskakiwać z prośbami, żebyśmy chronili twoją rodzinę? A co z moją rodziną? A co z rodzinami tych wszystkich dzieciaków? Pomyślałeś o nich?

Pippy z trudem przełknął ślinę.

— Powiem ci za to wszystko, co wiem, że cię interesuje.

— Kurwa, pewnie, że powiesz.

James i Gerald wytaszczyli brata z przyczepy, kopiąc go i okładając pięściami, ponieważ podjął ostatnią rozpaczliwą próbę uwolnienia się.

— No, Jon Jon, skończmy już to przedstawienie, co?

Jon Jon pokiwał głową.

Wrzaski i błagania najmłodszego syna Wielkiego Johna nikt go nie wzruszyły. Ale dzięki nim Pippy mówił dużo chętniej, niż gdyby odpowiadał na pytania Jon Jona bez takiego wspomaganie. W końcu Jon Jon go zabił. Tak czy siak, Wielki John zamierzał zrobić go tej nocy mordercą. Kiedy pociągnął za spust pistoletu, nie czuł nic poza ulgą.

Paulie dokończył swoje dzieło i zapalił kolejnego papierosa. Earla wcześniej wysłał do domu. Teraz czekał niecierpliwie na

przybycie swojej nemezis. Był prawie świt, kiedy Jon Jon w końcu pojawił się w biurze nad Angel Girls.

— Wiedziałem, że tu cię znajdę — powiedział.

Klub stanowił najnowszą zabawkę Pauliego. Był z niego bardzo dumny, a przecież zawsze wyżej cenił rzeczy niż ludzi. W ciągu tej nocy jednak postarzał się, sprawiał wrażenie zrezygnowanego i Jon Jon poczuł, jak ogarnia go fala współczucia wobec tego człowieka. Szybko ją jednak w sobie zdusił.

Paulie posłał mu krzywy uśmiech.

— Myślę, że nie ma sensu, bym cię przeproszał. Ta historia z Kirą... To się nigdy nie powinno zdarzyć.

— Za późno, Paulie. Co wie Earl?

— Nic. Zamierzałem zostawić go tobie. Przełknij wszystko, co mu powiesz. Dla niego ty jesteś teraz wzorem.

Jon Jon poczuł ulgę. Bardzo niechętnie wtajemniczałby w ostatnie brudne sprawy również Earla.

— Rozumiem, że teraz wiesz już wszystko? — zapytał Paulie.

Jon Jon pokiwał głową. Nie potrafił powiedzieć wszystkiego, co by chciał. Zresztą słowa nie mogły wyrazić, jak głęboko czuł się zdradzony.

— Ja bardzo długo nie wiedziałem. Widzisz, chodziło tylko o pieniądze — wykrztusił Paulie.

— Zawsze chodzi o pieniądze, prawda? A przynajmniej wtedy, kiedy ty jesteś w coś zaangażowany. — Jon Jon nie zdołał ukryć zgorzknienia.

— Jak się ma Wielki John?

— Był załamany, kiedy go opuszczałem. Chciał tutaj przyjść, ale mu powiedziałem, że sam dam sobie radę z tobą.

Paulie roześmiał się.

— Zawsze wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. — Otworzył szufladę i wyciągnął z niej mały pistolet. Zobaczył, że Jon Jon sztywnieje na jego widok i szybko wyjaśnił: — Wszystko w porządku, stary, spokojnie, to dla mnie. Mam tylko jeden warunek: kiedy gównu mimo wszystko się rozbryźnie, nie pozwól, żeby wplątano w sprawę moje nazwisko, dobrze?

Jon Jon był tak napięty, że aż poszarzał na twarzy. Jego oczy zachodziły mgłą.

— Nie mogę ci tego zagwarantować, ale spróbuję, Paulie. Wielki John i jego chłopcy bardzo chcą, żeby o tej sprawie nie było głośno. Może się uda?

— Co powiesz Joanie?

Jon Jon wzruszył ramionami.

— Prawdę mówiąc, nie wiem.

Paulie przekrzywił głowę.

— Wszystkie ważne dla ciebie informacje są w tej niebieskiej teczce. — Wskazał na nią, po czym jednym łykiem dopił resztę brandy, która mu została w kieliszku.

— Dobrze. Zajmę się nią, Paulie.

— Porządny z ciebie chłopak. A przy okazji, od lat mam w kieszeni Baxtera. Jego komendanta także. Jeżeli będziesz czegoś potrzebował, są twoi. — Paulie uśmiechnął się ponuro. — Nigdy nie sądziłem, że to się tak właśnie skończy, synu, ale cóż... Życie ma taki zwyczaj, że kopie w zęby, kiedy się najmniej spodziewasz.

Jon Jon milczał. Wiedział o tym o wiele lepiej niż wrak człowieka, siedzący przed nim. Postanowił jednak tego mu nie udowadniać.

— Przypuszczam, że nie ma szansy, by Wielki John...

— Najmniejszej. Albo ty to zrobisz, albo ja, Paulie. Wybór należy do ciebie.

Paulie westchnął. Tego właśnie się spodziewał. Dlaczego więc opóźniać to, co nieuniknione?

— Do widzenia. Bądź szczęśliwy.

Jon Jon odwrócił się i podszedł do okna. Stał, patrząc, jak po ulicach chodzą normalni ludzie, którzy codziennie pracują, z trudem płacą swoje rachunki i mają nadzieję, że któregoś dnia pojedą na ciekawe wakacje.

Normalni ludzie, o normalnych życiorysach.

Huk wystrzału był głośny, ale hałas go nie zmartwił. Paulie

był właścicielem całego budynku. A poza tym, w końcu to on sam skończył ze sobą, czyż nie?

Można było to uznać za samobójstwo ze wspomaganiami, ale rozważania na ten temat były czysto akademickie. Paulie Martin nie żył, a Jon Jon musiał pozbierać wszystko, co po nim zostało. Nie czuł absolutnie nic.

Wytarł odciski swoich palców z klamki, następnie zabrał niebieską teczkę i zszedł na dół, do recepcji. Zaczął przeglądać papiery, które mu zostawił Paulie.

Pół godziny później go tam nie było. Zawołał taksówkę i wsiadł do niej, zastanawiając się, co, do diabła, powie matce.

Joanie nie zmrużyła oka przez całą noc, czekając na powrót Jon Jona. Była ósma nad ranem, a Bethany jeszcze spała. Joanie zostawiła kilka wiadomości na telefonie komórkowym Moniki, ale ta nie reagowała. Zresztą Joanie wcale się tego nie spodziewała. Monika wynurzy się z nory jak zwykle, mniej więcej w porze lunchu, i jak zwykle nie mając pojęcia, gdzie jest jej córka.

Zaczęła pić herbatę. Niespodziewanie otworzyły się drzwi i stanęła w nich Jeanette.

— Wszystko w porządku, kochanie?

Jeanette uśmiechnęła się nieśmiało.

— Przyszłaś bardzo wcześnie, córeczko. Napijesz się herbaty? — zapytała matka łagodnym tonem.

— Tak, proszę. A potem zaraz pójde do szkoły.

Joanie nie sądziła, że potrafi jeszcze się śmiać. Kiedy usłyszała oświadczenie Jeanette, przekonała się, że jest inaczej.

— Nabierasz mnie?

Dziewczyna westchnęła i przeszła do kuchni.

— Nie. Mam ochotę iść dzisiaj do szkoły.

Joanie była zadowolona. Dobry początek dnia.

— Aha, w twoim pokoju śpi Bethany. Nie budź jej, dobrze?

— Oczywiście. Jest ostatnią osobą, z którą chciałabym pogadać z samego rana.

Matka i córka wyszły do przedpokoju, słysząc, że do mieszkania wraca Jon Jon.

— Wszystko w porządku, dziewczyny?

— Cholera, wyglądasz strasznie, Jon Jon. Gdzie byłeś przez cały czas?

Widząc pogniecione ubranie i zmęczoną twarz brata, Jeanette bardzo głośno wyraziła swoje zdziwienie.

— Zbieraj się do szkoły -- odparł krótko.

Jeanette tym razem wykonała polecenie bez słowa sprzeciwu i po chwili wyszła z mieszkania, ku zdziwieniu brata i matki.

— Usiądź, mamó -- powiedział Jon Jon.

Joanie była zajęta przygotowywaniem dla niego tosta i herbaty.

— Paulie szukał cię dzisiaj w nocy. Wpadł tutaj jak niedźwiedź ze swędzącą dupą...

— Paulie umarł, mamó. Zabił się godzinę temu.

Joanie wypuściła wszystko z rąk i stanęła przed synem.

— Co takiego?

— Zastrzelił się. Myślę, że od dawna zanosilo się na coś takiego. Miał mnóstwo problemów... Rozwód, kłopoty w interesach... — Jon Jon był zadowolony, że kłamstwa tak łatwo przechodzą mu przez gardło.

Matka popatrzyła na niego uważnie. Zobaczyła zmarszczki wokół oczu i ust syna.

— Co się naprawdę stało, Jon Jon?

Wzruszył ramionami.

— O co ci chodzi?

Joanie wiedziała, że syn nie mówi prawdy. Znała swoje dzieci lepiej, niż one znały same siebie.

— Proszę, powiedz mi, co naprawdę się stało, Jon Jon. Nie jestem idiotką, wiem, że coś ukrywasz.

Kiedy to powiedziała, z sypialni wynurzyła się Bethany. Jon Jon popatrzył na nią jak na zjawę ze swego najbardziej koszmarnego snu.

Po tych wszystkich sytuacjach, w jakich widział ją na fotografiach, nie potrafił już na nią patrzeć jak na uczennicę o gładkiej twarzy. Przecież ona to wszystko robiła dobrowolnie. W przeciwieństwie do jego siostry, która sprzeciwiała się zaciekle, aż do swojego tragicznego końca.

Joanie zaobserwowała jego reakcję i zdała sobie sprawę, że on wszystko wie.

— Wracaj do łóżka, kochanie. Za chwilę przyniosę ci śniadanie.

Bethany nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Wyczuła napiętą atmosferę w mieszkaniu. Jon Jon przerażał ją, jak zawsze, jednak od odejścia Kiry bała się go podwójnie.

— Usiądźmy i porozmawiajmy, synu — rzekła Joanie.

Jon Jon pokiwał głową, po czym upił łyk herbaty. Cóż, matka zasługiwała na to, żeby poznać całą prawdę. Może, być może, jakoś oboje z tym sobie poradzą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Joanie zapakowała walizkę syna i teraz popijała poranną kawę, jak zwykle wzmocnioną wódką.

Odnosiła wrażenie, że cały świat oszalał i że jest jedyną osobą o zdrowych zmysłach, która na nim pozostała. Odpychała jednak od siebie tę myśl tak, jak się tego nauczyła wiele lat temu. Przez całe życie coś od siebie odpychała, pozwalając, żeby wszystkie sprawy toczyły się własnymi torami, a sama jedynie starała się odnosić z nich jak największe korzyści. Tak postępowała każda kobieta, która miała dzieci, a przecież nie miało to żadnych szans powodzenia. Nadal bieg wielu spraw zależał od niej i tylko od niej, nawet gdy sobie z tego nie zdawała sprawy.

Pragnęła znaleźć pocieszenie w nadziei, że Paulie mógł nie wiedzieć, co finansował, mimo że ta część umysłu, w której dominował rozsądek, podpowiadała jej, że specjalnie nie powinna na to liczyć.

Dlaczego więc nie potrafiła go nienawidzić?

Przypuszczała, że któregoś dnia osiągnie zdolność ukształtowania poprawnej oceny wszystkiego, co się zdarzyło, z właściwej perspektywy. Do tego czasu musi mentalnie od tych wydarzeń uciekać i grzebać w niepamięci to, co miało tak wielki wpływ na jej dotychczasowe życie. Życie, w którym starała się, ze wszystkich sił, zapewnić dzieciom jak najlepsze warunki i w pewnym stopniu odniosła sukces. Musiała uspokajać się tą wiarą; gdyby ją straciła, nie potrafiłaby przeżyć ani jednego dnia więcej.

Zaczęła przygotowywać śniadanie dla Jeanette. Smaczny omlet. Ostatnio córka sporo jadła i Joanie podejrzewała, że jest w ciąży, jednak nie zamierzała wyciągać z niej informacji na ten temat

siłą. Dosyć miała kłótni i nieporozumień. Z Jeanette nasprze-
czała się już tyle, że starczyłoby na całe życie. Dziewczyna po-
wie jej o ciąży, kiedy będzie do tego gotowa. Wtedy z pewnością
matka będzie jej potrzebna, a czegoś takiego, jak być użyteczną
dla własnej córki, Joanie bardzo potrzebowała.

Wrzuciła na grill trochę bekonu i postanowiła, że Jon Jon zje
śniadanie na ciepło, czy mu to się będzie podobało, czy nie.

Kiedy wyjdzie z domu, Joanie zacznie się przygotowywać do
pogrzebu Pauliego. Wciąż nie była pewna, czy weźmie w nim
udział, mimo że raczej czuła taką potrzebę. Musiała zrobić coś
jeszcze, ale na razie nie potrafiła zebrać w sobie odwagi. Kiedy
Jon Jon mówił jej na ten temat, jego głos też nie brzmiał zbyt
pewnie.

Wszedł do kuchni, jakby przywołały go myśli matki. Był taki
wspaniały i przystojny, że Joanie zachciało się płakać. Nawet
jego dredy wyglądały doskonale. Z takim wyglądem mógł po-
rwać się w życiu na wiele rzeczy.

— Och, mamó! — zawołał z wyrzutem, pociągawszy nosem.

Zapach bekonu robił swoje i Joanie nie miała już wątpliwo-
ści, że Jon Jon zje wszystko, co przygotowała.

— Czy rastafarianom na pewno wolno jeść bekon?

— A kogo to obchodzi, mamó? Rzucaj go na talerz.

Uwielbiała chwile, gdy zachowywali się, jakby wszystko w ich
życiu przebiegało normalnie. Niemal potrafiła wyobrazić sobie,
że za chwilę do kuchni wbiegnie Kira i zażąda do jedzenia to
samo, co dostał jej duży brat. Że Joanie zobaczy, jak Jon Jon do-
karmia siostrzyczkę małymi kawałkami bekonu. Zawsze był dla
niej bardzo dobrym bratem.

— Jesteś gotowy? — zapytała.

Pokiwał głową.

— Baxter będzie po mnie za jakieś dziesięć minut.

— Jesteś dobrym chłopcem, Jon Jon.

Uśmiechnął się i złapał ją za ramię.

— W końcu miałem dobrego nauczyciela, czyż nie?

Ujrzał, że łzy napływają do oczu matki, wstał więc i mocno ją

uścisnął. Nawet najmniejsze dobre słowo wywoływało ostatnio jej wzruszenie.

— Posłuchaj, mamó, to, co się stało, nie jest twoją winą, rozumiesz? Zrobiliśmy wszystko, co leżało w naszej mocy, absolutnie wszystko.

— Powiedz mi, że Paulie nie wiedział. Proszę, Jon Jon, przysięgnij, że opowiedziałeś mi całą prawdę.

— Nie wiedział, mamó. Klnę się na Boga. Nie możesz już się tym zadręczać.

Wiedziała, że Jon Jon ma rację i ze smutkiem pokiwała głową. On też nie mógł bez przerwy o tym rozmawiać, ponieważ wprawiało go to w parszywy nastrój.

Kiedy rozległo się głośnie pukanie do drzwi, pobiegł, żeby je szybko otworzyć. Po chwili Joanie usłyszała głośnie słowa Baxtera i niemal automatycznie zaczęła przygotowywać dla niego filiżankę herbaty.

— To wygląda znakomicie, Joanie — powiedział, wykonując ruch głową w kierunku śniadania Jon Jona.

Uśmiechnęła się.

— Jeśli ma pan czas, mogę się postarać o coś takiego także dla pana.

Usiadł naprzeciwko Jon Jona.

— Mam mnóstwo czasu, moja droga.

A więc jak zwykle przygotowała posiłek dla wszystkich. Baxter ostatnio pojawiał się u nich codziennie, a Joanie ze zdziwieniem stwierdzała, że w gruncie rzeczy jest bardzo miłym człowiekiem i da się go nawet polubić.

Cóż, cuda się zdarzają.

Wielki John jadł z żoną śniadanie niemal identyczne jak Jon Jon i Baxter. Kathy miała nadwagę, lecz wciąż tę samą ładną twarz, która zafascynowała go wiele lat temu. Była dobrą żoną, zawsze na niego cierpliwie czekała w domu i nigdy nie powiedziała mu złego słowa. Teraz jednak emanowała udręczoną miną

kobiety, której odebrano najbardziej ukochane dziecko. Wielki John wiedział, że nic nie może na to poradzić.

Kiedy postawiła przed nim kolejną filiżankę herbaty, objął jej pulchne ciało i przycisnął ją do siebie.

— Wszystko w porządku, dziecino?

Spróbowała się uśmiechnąć.

— Jakoś to przeżyję, John. Przecież nie mam wyboru, prawda?

W głębi serca wiedziała, że za zniknięciem syna kryje się znacznie więcej, niż pozwolono jej wiedzieć. Wielki John i pozostali chłopcy zachowywali pozory, udając, że się przejmują tym, co stało się z Kieronem, ona jednak знаła ich zbyt dobrze, by to przyjmować za dobrą monetę. Kathy McClellan już dawno się nauczyła, że nie może wtrącać się do ich interesów, a zniknięcie Kierona wiązało się przecież z interesami. Wiedziała o tym doskonale i oni w żaden sposób nie mogli jej tego wyperswadować.

Ogołocili pokój Kierona niemal ze wszystkiego, twierdząc, że poszukują wskazówek co do obecnego miejsca jego pobytu, wiedziała jednak, że szukają zupełnie czegoś innego. Cokolwiek to było, wkrótce doszła do wniosku, że znaleźli. Kieron był jej ostatnim dzieckiem, najukochańszym. Teraz odszedł, a Kathy odnosiła wrażenie, że nikt, poza nią, się tym nie przejmuje.

Ale nie zamierzała robić z tego afery w nieskończoność. Miała nieodparte wrażenie, że jeżeli pozna prawdę o Kieronie, poczuje się znacznie gorzej, niż czuje się teraz, żyjąc w stanie błogiej nieświadomości.

Kiedy wylądowali w Międzynarodowym Porcie Lotniczym Otopeni pod Bukaresztem, Baxter zaczął się zachowywać jak dziecko. Zafascynowany, nieustannie rozglądał się dookoła, niezdolny do okiełznania swojej fascynacji miejscem, o którym dotąd czytał jedynie w gazetach.

— Cóż, Jon Jon, wreszcie tu jesteśmy. Miejmy nadzieję, że Mały Tommy powiedział ci prawdę.

Jego głos emanował sceptycyzmem, ale Jon Jon wiedział, że

policjant zachowuje się po prostu wobec niego uczciwie. Na koniec mógł zrobić dla niego przynajmniej tyle i się nie zawahał.

Strach był na przestrzeni lat okropną bronią. Ojciec Tommy'ego przerażał i chłopaka, i jego matkę. Ale syn na koniec wydał ojca. To się liczyło i to należało na zawsze zapamiętać.

Tommy był wystarczająco rozsądny, aby wiedzieć, że jest ulepiony z tej samej gliny, a jego instynkt samozachowawczy był bardzo silny. Jon Jon rozumiał to lepiej niż ktokolwiek inny.

— Niech pan się weźmie w garść — rzekł do Baxtera. — Przed nami kilka długich dni.

Ale detektyw Baxter zachowywał się jak pies pomiędzy sześcioma latarniami. Wszystko tutaj było dla niego zupełnie nowe i nie potrafił zapanować nad zachwytem. Jon Jon właściwie musiał wyciągnąć go z terminalu i poprowadzić w kierunku czekającego na nich policjanta, Michaela Crasny.

Baxter uścisnął dłoń niepozornego mężczyzny, po czym przedstawił mu Jon Jona. Wszyscy trzej wypalili po papierosie i chwilę porozmawiali o tym, jak minął lot, po czym Michael zaprowadził Baxtera i Jon Jona do czekającego już na nich mercedesa. Miejsce za kierownicą zajmował zwalisty mężczyzna o imieniu Peter, który miał ich zawieźć do miejsca przeznaczenia.

— Macie tu wspaniałą przyrodę — skomentował Baxter jowialnie.

Usłyszawszy komplement, Michael pokiwał głową.

— Wciąż odradzamy się z niechlubnej przeszłości. Ale my, Rumuni, jesteśmy twardzi i damy sobie radę. — Wzruszył ramionami, a Jon Jon zaczął nabierać do niego szacunku za to ciche niedopowiedzenie.

— Dokąd teraz jedziemy?

— Zmierzamy do miejsca, które zwie się Rahova. Nie jest tam zbyt przyjemnie. Żałuję, że nie mogę wam pokazać gór albo tej części Bukaresztu, w której zachowały się historyczne budynki. Jednak mamy mało czasu. Może kiedyś, innym razem?

Jon Jon grzecznie skinął głową, ale przecież wszyscy w samochodzie wiedzieli, że ani on, ani Baxter nigdy tutaj nie wrócą.

Chłopak zamknął oczy, by nie dopuścić do dalszej rozmowy i spróbował trochę odpocząć. Spostrzegł, że Peter uważnie go obserwuje we wstecznym lusterku i zauważył w jego oczach współczucie.

— Załatwiłem wam dzisiaj nocleg w miejscowości Ferentari. Jest niewiele lepsza od Rahovy, ale biorąc pod uwagę okoliczności, tam będzie wam najlepiej.

Jon Jon skinął głową, nie otwierając oczu.

W samochodzie Baxter zupełnie się uspokoił. Zdawał sobie sprawę, że tym razem spalił za sobą mosty, lecz mimo wszystko się tym nie przejmował. Towarzysząc Jon Jonowi, postępował słusznie; nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Joanie wysiadła z samochodu i, nakazawszy kierowcy, żeby poczekał, weszła do krematorium dla wschodniego Londynu. Zauważyła, że niemal w ogóle nie było tu ludzi.

Wszedłszy do kaplicy, zobaczyła stojącą samotnie Sylwię oraz kilku mężczyzn, stojących dookoła, z niezbyt wyraźnymi minami.

Joanie podeszła do trumny i położyła na dywanie przy niej małą wiązanek kwiatów. Tania, sosnowa trumna spoczywała na dwóch kozłach i sprawiała wrażenie nagiej. Dekorował ją tylko mały krzyż i kilka chryzantem.

Do Joanie podeszła Sylvia. Joanie nie wiedziała, czego się po niej spodziewać, jednak na pewno nie była przygotowana na słaby uśmiech, którym została obdarzona.

— Możesz położyć je na wieku trumny, dobrze? — odezwała się, mając na myśli kwiaty.

Joanie potrząsnęła głową.

— Nie, dzięki. Przyszłam tu tylko na krótkie pożegnanie.

— Och, nie zostaniesz?

Wdowa po Pauliem wyraźnie z niej drwiła i Joanie poczuła, że ogarnia ją gniew.

— Nie dzisiaj, kochana. Widzę, że otaczają cię przyjaciele, mnie więc nie potrzebujesz.

Rzuciwszy tę złośliwą uwagę, Joanie sztywnym krokiem wyszła z kaplicy. Czowała się już trochę lepiej, ale wciąż było jej przykro, że Paulie opuszcza świat w taki sposób.

Lecz przecież, jak jej wielokrotnie powtarzał, człowiek zawsze dostanie to, za co zapłacił. A wdowa po nim najwyraźniej nie zamierzała wydać ani jednego pensa za dużo na jego pożegnanie z tym padłem.

— Oto Rahova, panowie.

Jon Jon otworzył oczy. Wyrzwał przez okno na betonowe bloki mieszkalne i brudne ulice.

— To są mieszkania dla ludzi o niskich dochodach. Przypuszczam, że też takie macie w Anglii?

Michael czuł się w obowiązku przeprosić za wygląd swojego kraju. Ale to Jon Jon poczuł się zakłopotany po jego wypowiedzi.

— Mamy. Dojeżdżamy już?

Michael pokiwał głową.

— Zatrzymaj samochód — polecił kierowcy.

Wysiedli z auta na wąskiej, bocznej ulicy.

— Jeżeli rozejrzycie się dookoła, panowie, zobaczycie, że w tych wszystkich domach okna zasłaniają niebieskie albo różowe firanki.

Baxter i Jon Jon zrobili to. Tak było rzeczywiście. W większości okien wisały niemal identyczne firanki, głównie niebieskie.

— To dziecięce burdele. Odrębne kolory oznaczają chłopców lub dziewczynki. Bardzo jasne kolory informują, że w środku są bardzo młodzi chłopcy albo bardzo młode dziewczynki.

Jon Jon i Baxter rozglądali się z niedowierzaniem. Powoli docierało do nich straszliwe znaczenie tego, co oglądali.

— Czy wy się z nas, kurwa, nabijacie? — Detektyw inspektor Baxter, który uważał, że po tym, co widział w życiu, już nikt i nic go nie zaszokuje, był roztrzęsiony.

— Chciałbym, żeby to był żart, przyjacielu. Właścicielami tych wszystkich budynków są Rosjanie, a my nie mamy nad nimi

prawie żadnej władzy. Jeśli zamkniemy chociaż jeden z takich domów, narazimy się na kłopoty ze strony zwierzchników, którzy przyjmują mnóstwo pieniędzy za to, że patrzą na wszystko przez palce, tak to się chyba mówi w waszym języku. Jednak was tutaj ochronimy, jasne? Poinformowaliśmy właścicieli, o co wam chodzi, i wyrazili na to zgodę. W zamian damy im kilka miesięcy absolutnego spokoju.

Minęła ich jakaś kobieta z małym chłopcem. Płakał, a ona go głośno wyzywała. Pociągnawszy malca za pasek od spodni, w końcu uderzyła go otwartą dłonią w twarz. Wtedy zniknęli w drzwiach jednego z budynków.

Michael westchnął ze smutkiem.

— Jeśli dzisiaj zamknęlibyśmy te burdele, jutro wyrosłyby inne, w innych miejscach. No, ale dość o naszych problemach.

Wskazał na szarobury budynek po drugiej stronie ulicy.

— Mieszkanie, o które wam chodzi, jest tutaj.

— Jaki numer?

— Zobaczycie na zewnątrz tabliczkę z napisem „Kindergarten”. To ma być niby dowcip, ale świadczy, do jakiego stopnia mają tu nas w nosie. Większość klientów to Niemcy albo Anglicy. Mężczyzna, o którego wam chodzi, jest w tej chwili środkiem. To ten, który przyjmuje zamówienia przez Internet i pilnuje, aby dzieci odpowiadały zapotrzebowaniom konkretnych klientów. Ale macie szczęście, bo Rumun pracujący dla niego chce, żeby stąd zniknął, nie mniej, niż wy tego chcecie. Facet przeszkadza w transakcjach finansowych. — Westchnął. — Honor pomiędzy złodziejami, co?

W jego głosie brzmiał wstyd przegranego człowieka i Jon Jon zrozumiał, że policjant podejmuje śmiertelne ryzyko już z powodu samego udostępnienia im tego adresu. Mimo że miał otrzymać za to trochę pieniędzy, Jon Jon odnosił wrażenie, iż kierują nim bardziej osobiste motywy.

A pieniądze przecież mu się należały. Wyświadczał im naprawdę wielką przysługę.

Michael bardzo chciał im pomóc. Jako że byli Anglikami,

mógł to robić nieoficjalnie. Rumuni bardzo potrzebowali turystów w swoim kraju, ale, niestety, takie wizyty jak dzisiejsza, tyle że odbywane w celu uprawiania seksu z dziećmi, były istotną częścią przemysłu turystycznego.

Baxter zgniótł obcasem niedopałek papierosa.

— Dalej, zabierzmy się wreszcie do roboty.

Pacjent z ogromną nadwagą jadł banana, a w przerwach między kolejnymi kęsami żuł tabliczkę czekolady. Obecnie była to jego ulubiona kombinacja smaków.

Ze swojego jednoosobowego pokoju wyjrzał przez okno na zielony ogród. W Essex było uroczo. Lubił ludzi, którzy byli przyjaźni i czasami zatrzymywali się u niego, żeby trochę pożartować. Zbliżała się godzina, kiedy podawano herbatę. Wiedział, że dziewczyna, która ją roznosi, jak zwykle pozwoli mu wziąć do herbaty tyle ciastek, ile będzie chciał. Znów żył od posiłku do posiłku. Wracał do starych przyzwyczajeń, ponieważ nie miał w życiu nikogo ani niczego innego.

Padł na niego cień człowieka i odwrócił się na krześle, spodziewając się zobaczyć sanitariuszkę z herbatą. Ale kiedy ujrzał przed sobą kobietę, którą kochał i której nienawidził, jego twarz stała się blada jak papier.

— Cześć — powiedziała.

Nie odpowiedział. Poczuł, że w gardle rośnie mu wielka gęła, a serce zachowuje się tak, jakby zaraz miało eksplodować.

Joanie zauważyła jego przerażenie. Pewnie myślał, że przyszła do niego, żeby dokończyć dzieło, które rozpoczęła. Ogarnęła ją litość.

— Nie martw się. Wiem, że widziałeś Jon Jona, powiedział mi, co dla niego zrobiłeś, kierując go do Rumunii. Jesteśmy ci za to wdzięczni. Bardzo wdzięczni.

Próbowała nie patrzeć na rany, jakie miał na twarzy. Wiedziała, że wciąż jest poddawany leczeniu, by zlikwidować poparzenia i wiedziała też, że taka terapia jest bardzo bolesna. Skórę

na prawym policzku miał czerwoną i pomarszczoną, znacznie bardziej niż po drugiej stronie. Włosy mu jednak zdołały odrosnąć i trochę już przypominał chłopaka, jakim był wcześniej. Bardzo się jednak zmieniły jego oczy.

Miał wzrok przerażonego, zaszczutego człowieka. Joanie wiedziała, co jest tego przyczyną, dlatego starała się odegnać jego strach.

— Przyszłam, żeby cię przeprosić.

Tommy skinął głową. Na jego księżycowej twarzy odmalował się jakby wyraz ulgi.

— Jon Jon ci wszystko powiedział?

— Tak.

— I nie masz już do mnie żadnego żalu?

Joanie usiadła na łóżku i uśmiechnęła się.

— Dawniej bardzo byłam na ciebie zła, ale teraz nie mam do ciebie ani żalu, ani pretensji. Jakżebym mogła mieć do ciebie pretensje? Wiem, jak straszliwie bałeś się swojego ojca. Tak mi przykro, że w porę się o tym nie dowiedzieliśmy. Dlaczego nam nie powiedziałaś?

— Nie mogłem, Joanie. Chyba to rozumiesz?

Widziała na jego twarzy czyste upokorzenie, niemal czuła jego zakłopotanie tym, co mu w życiu urządził własny ojciec. Rozumiała, że musiał trzymać to w tajemnicy, szczególnie tam, gdzie mieszkał. Gdyby wydał ojca, tylko by się to na nim zemściło. Już Joseph by mu nie przepuścił.

— Widzisz, kiedy został kierowcą ciężarówki, mieliśmy już z mamą trochę lżej. Ale wtedy zaczął właśnie nawiązywać wszystkie swoje kontakty. Zrobiłem jednak, co tylko mogłem, Joanie.

Znów pokiwała głową.

Biedny Mały Tommy nie był winien niczego, poza strachem przed Josephem Thompsonem, strachem, który trwał niemal przez całe jego życie. Strachem przed mężczyzną, który go zgwałcił, kiedy miał siedem lat i powtarzał to tak długo, dopóki chłopak nie wyrósł na przetłuszczzonego nastolatka. Wtedy było mu oszczędzone przynajmniej to najgorsze.

Okrucieństwo jednak trwało. Tommy i jego matka bywali bici za najdrobniejsze przewinienia, gdy Joseph miał taki kaprys. Zniewolona duchowo i słaba fizycznie jego żona zaczęła szukać ucieczki w najróżniejszych tabletkach, starając się jak najrzadziej widywać męża i nie odzywać się do niego. Wiedziała, co robił synowi i ta świadomość była nie do zniesienia. A miało przyjść coś jeszcze gorszego.

Tommy przestał się rozwijać jak normalny nastolatek. Wszystko wskazywało na to, że pod wieloma względami zawsze będzie dzieckiem, co szczerze cieszyło Josepha. Pracował nad tym bezlitośnie, podtrzymując zainteresowanie Tommy'ego zabawkami i grami dla dzieci, ciesząc się, że jedną z ofiar, na której może rozładowywać swoje upodobania seksualne, ma właściwie pod bokiem. Ale kiedy któregoś dnia rozwścieczony rodzic molestowanej przez niego dziewczynki zadzwonił na policję i do opieki społecznej, o wszystko oskarżony został Tommy. W końcu wyglądał i zachowywał się jak dziwoląg. Był otyłym nastolatkiem, który bawił się lalkami i mówił dzieciennym głosem. A kiedy władze przesłuchały jego matkę, otumanioną valium i dżinem, nakłamała, jak jej kazał mąż. Tak, jej biedny chłopiec jest trochę zboczony. Ale nie robi nikomu krzywdy. Właściwie to nie jest w stanie nic zrobić.

W przeciwieństwie do potwora, za którego wyszła, normalnego członka rodziny, który zbiłby ją na kwaśne jabłko, gdyby nie wykonała jego polecenia. Nie miała więc wyboru.

Od tego czasu sześciokrotnie zmienili adres, a pięć razy nazwisko. Jednak po tym, jak opuścili Bermondsey, już się niczym nie martwili. Pippy i Kieron poratowali ich gotówką, gdyż potrzebowali zagranicznych kontaktów Josepha, a Leigh Rowe uznała, że nie warto puszczać pary z ust.

Mały Tommy wcale nie miał na imię Tommy. Naprawdę nazywał się Darren Weeks. I tak go teraz nazywali w szpitalu, nowym, lepszym, za który płacił Jon Jon. Pielęgniarki opiekowały się nim doskonale, ponieważ nie miały żadnego powodu, żeby postępować inaczej. Wszyscy tutaj lubili Darrena Weeksa, który dla każdego miał i uśmiech, i miłe słowo.

— Rozumiem, że Jon Jon zamierza się rozprawić z moim ojcem — powiedział teraz.

Joanie pokiwała tylko głową, nie chcąc odpowiadać. Powiedziała coś zupełnie innego.

— Bardzo tutaj miło, a ten ogródek to naprawdę śliczne miejsce.

Zobaczyła, że wielka ulga zastępuje na twarzy Darrena czujność. Nie potrzebował już żadnych dodatkowych wyjaśnień, tak było najlepiej. Joanie go przeprosiła i to mu wystarczało. Przecież bardzo jej potrzebował, bardzo ją kochał, ponieważ była jedyną dorosłą osobą, która kiedykolwiek zwróciła na niego uwagę. Dała mu zresztą znacznie więcej i oboje o tym wiedzieli.

A on zdradził jej zaufanie i o tym wiedzieli także. Ale to tylko dlatego, że nawet w najbardziej mrocznych koszmarach nie przyszło mu do głowy, że jego ojciec lub któryś z jego kumpli śmie tknąć kogoś z rodziny Brewerów.

Och, jak bardzo się mylił.

— Żałuję, Joanie, że nie powiedziałem ci wszystkiego na samym początku.

— Ja też żałuję. Ale skoro tego nie zrobiłeś, to już o tym zapomnijmy, dobrze? W końcu oddałeś nam wielką przysługę.

Darren pokiwał głową i otarł łzy z oczu.

Weszła dziewczyna z herbatą. Była zaskoczona, ujrawszy wielkiego, grubego Darrena, jak o nim myślała, z gościem.

— Herbatki?

Chłopak pokiwał głową, a dziewczyna popatrzyła na Joanie. Rozpoznała ją ze zdjęć w gazetach i zapytała cicho:

— Także dla pani?

Joanie pokiwała głową.

— Dziękuję, z przyjemnością wypiję.

Joanie wyciągnęła rękę do Darrena, a ten po krótkim wahaniu złapał ją i przycisnął do piersi. Rozplakał się, a ona pocieszała go, jak mogła.

Jego poparzona twarz, lśniąca od łez... poczuła taki wstyd, że zapragnęła stąd uciec, jednak tego nie zrobiła. Została i spędziła

z nim całe popołudnie. Darren Weeks wydał jej rodzinie własnego ojca i chociażby za to — wiedziała — zawsze mu będzie wdzięczna.

Drzwi budynku otworzyły się i mężczyźni szybko weszli do środka.

Jon Jon miał na sobie długi płaszcz. Podczas gdy rozglądali się po holu, rozpiął guziki. Było tu czworo drzwi, w tym jedno otwarte. W pokoju za nimi znajdowały się dwie dziewczynki w wieku około dziewięciu lat i jeden chłopiec, trochę starszy. Cała trójka miała podkrążone oczy i żadne dziecko nie odpowiedziało uśmiechem na uśmiechy Jon Jona i Baxtera, a jedynie powbijały spojrzenia w ziemię. Po pokoju porozrzucane były zabawki, jednak dzieci się nimi nie bawiły. Siedziały na starej, zniszczonej kanapie, w absolutnym milczeniu.

Jon Jon poczuł, że w gardle rośnie mu wielka kula.

Jeżeli w tym biznesie można było szybko zarabiać duże pieniądze, on ich nie chciał. Paulie musiał wiedzieć, jak to wygląda. Jon Jon zdawał sobie sprawę, że Paulie zawsze bardzo ostrożnie inwestował pieniądze i sprawdzał kontrahentów, wspólników, bez wyjątku. Wiedza, czemu służy jego forsa, musiała więc go bardzo boleć.

A Jon Jon tak długo myślał, że Paulie jest kimś lepszym, kimś znacznie większego pokroju.

Jedna z dziewczynek oparła głowę o poręcz fotela i zaczęła ssać kciuk. Bez wątplenia była bardzo śpiąca. Wszystkie te dzieci wyglądały na zmęczone.

Baxter ruszył w kierunku jednych z zamkniętych drzwi, a Jon Jon poszedł za nim. Otworzywszy je, zobaczyli kobietę w wieku około dwudziestu lat, rozbierającą małą dziewczynkę. Kobieta miała na sobie tylko pasek do pończoch i brudny, biały stanik. Odwróciła się, zaskoczona, po czym uśmiechnęła się do obu mężczyzn.

Dopiero przyjrząwszy się jej uważniej, Jon Jon stwierdził, że

zapewne nie osiągnęła jeszcze pełnoletności. Życie bardzo szybko postarzyło jej twarz.

Baxter uśmiechnął się zachęcająco.

— Joseph?

Westchnęła.

— Josef? — powtórzyła za nim.

Baxter pokiwał głową. Był niezwykle zakłopotany jej strojem i widokiem sinych szram na chudym, słabo rozwiniętym ciele. Czuł się wstrętnie. Całe to miejsce śmierdziało niemytymi dziećmi i absolutną degradacją.

Kobieta wskazała na kolejne drzwi, prowadzące z tego pokoju, i Baxter z Jon Jonem wyminęli ją. Przycisnęła małą dziewczynkę do siebie, Jon Jon zdał sobie sprawę, że jest z nią spokrewniona. Podobieństwo między nimi było bardzo silne.

Za następnymi drzwiami znajdowała się łazienka. Tam, w żelaznej wannie, w towarzystwie nastoletniej dziewczyny, brał kąpiel mężczyzna, którego Baxter i Jon Jon znali jako Josepha Thompsona. Kiedy drzwi otworzyły się, Joseph się odwrócił, a na jego twarzy wykwitł wyraz całkowitego osłupienia. Ten widok był dla Jon Jona warty każdej godziny poszukiwań Josepha Thompsona.

— Zabierz ją stąd — rozkazał.

Baxter szybko wyciągnął dziewczynę z wody. Owinąwszy brudnym ręcznikiem, wyprowadził ją z łazienki. Jon Jon zatrzasnął drzwi.

Rozsunąwszy płaszcz, wydobył spod niego ołowianą rurkę, którą Michael Crasna dał mu, kiedy jechali do Rahovy.

Uderzył nią teraz kilka razy w swoją dłoń i powiedział łagodnie:

— No i co, pewnie nie przypuszczałeś, że się jeszcze kiedykolwiek spotkamy?

Joseph próbował wstać, ale szybkie uderzenie rurką w piszczole już mu na to nie pozwoliło. Pocił się ze strachu, ponieważ wiedział, że nie wyjdzie stąd żywy. Mógł jedynie z powrotem położyć się w ciepłej wodzie i czekać na to, co nieuniknione.

— Jak mnie znalazłeś?

Jon Jon splunął.

— Syn cię wsypał — odpowiedział. — Wiemy już wszystko. O tobie, Jesmondzie, Pippym i wszystkich szmaciarzach, których nazywasz przyjaciółmi.

— Co chcesz ze mną zrobić?

Jon Jon popatrzył mężczyźnie w oczy i wiedział już, że ten zapragnął Kiry tego samego dnia, kiedy po raz pierwszy ją zobaczył. Wiedział, że facet zaplanował sobie jej zdobycie, tak czy siak. Był poza tym brytyjskim kontaktem tej piekielnej dziury, osobnikiem, którego Jesmond i Pippy wykorzystywali jako kurliera, ponieważ przez długie lata przyjeżdżał tutaj ciężarówką. Dzięki znajomości tego kraju Joseph zarobił fortunę. W końcu uciekł tutaj, czując się bezpiecznie, bo był przekonany, że nikt nigdy go tutaj nie znajdzie.

Ale się pomylił.

— Musiałeś dojść do wniosku, że nastąpił twój najwspanialszy dzień, kiedy Kieron przywiózł ją do domu w Deptford. Oto zjawiała się dziewczynka z twoich snów. Mieliście z Kieronem ubaw, co? Ale cóż, w końcu zajął się nim jego własny ojciec. Uprzedzając twoje pytanie, zrobił z nim to samo, co ja zrobię z tobą. Jak myślisz, co?

Jon Jon jakby przez chwilę miał jeszcze zamiar głośno odpowiedzieć na pytanie, które postawił, ale się rozmyślił. Podszedł do drżącego, nagiego mężczyzny i znów trzasnął rurką w jego nogi. Tym razem trafił w kolana, rozbijając rzepekki.

Joseph wrzeszczał w agonii, a Jon Jon szeptał:

— Poczekaj, to dopiero początek.

Joanie wróciła do mieszkania i jak zwykle najpierw nastawiła na gaz czajnik z wodą. Gdy woda się dogotowywała, zapaliła papierosa i wyjrzała przez kuchenne okno. W każdej chwili miała przyjść Monika z małą Bethany. Dziewczynka w gruncie rzeczy już tutaj pomieszkiwała. Pomagało to Joanie znosić samotność po tym, jak Jon Jon na jakiś czas wyprowadził się do Sippy'ego.

Ale właściwie był to już dla niego najwyższy czas na wyprawę z domu Joanie. Opuścił ją pod koniec minionego tygodnia i szczerze rozumiał jej potrzebę zaopiekowania się dziewczynką, o którą nikt poza nią nie chciał dbać.

Wiedziała, dlaczego Jon Jon nie może patrzeć na Bethany. Po tym, jak opowiedział Joanie, co zobaczył na fotografiach, ona sama czasami z trudem kierowała wzrok w kierunku dziewczynki. Ale, w przeciwieństwie do syna, widziała w Bethany ofiarę. Wiedza, że to ona dostarczyła Kirę oprawcom, nie pomagała jej i Joanie musiała dzień po dniu zmagać się ze sobą, by odpychać od siebie tę świadomość.

Kira stoczyła walkę, żeby uciec z domu w Deptford, walczyła nawet po tym, jak została otumaniona alkoholem i środkami uspokajającymi. Pippy przed śmiercią wszystko Jon Jonowi powiedział.

Joanie była dumna, że jej dziecko nie poddało się swojemu losowi nawet wtedy, gdy praktycznie nie miało już wyjścia. Kira była wtedy pewnie strasznie przerażona, ale też, jak to ona, do ostatniej chwili uparta. Ponieważ była taka, jaka była, nie miała szansy, żeby wypuścili ją z tego domu żywą i musiała to rozumieć. Joanie na moment zamknęła oczy i mocniej zaciągnęła się papierosem.

Zwłoki Kiry zostały znalezione tam, gdzie się miały znajdować według Pippy'ego. Przynajmniej to przyniosło Joanie ulgę. Mogła pochować swoje dziecko.

Biedna Kira znalazła się w złym miejscu w złym czasie. Gdyby nie spędzała tamtego popołudnia z Bethany, tragedia by się nie wydarzyła.

Ale Joanie nie zamierzała winić Bethany. To dziecko było ofiarą, tak jak jej własna córka. Bethany była zbyt przerażona, aby komuś opowiedzieć o molestowaniu, którego padała ofiarą. Teraz musiała już do końca żyć z tym, co się jej stało i co niechcący sprowadziła na przyjaciółkę.

Taka kara byłaby z pewnością wystarczająca dla każdego w jej sytuacji.

Monika, ciągle niczego nieświadoma, chętnie przyprowadzała kłopotliwą córkę do swojej najlepszej przyjaciółki. Oczywiście, za pieniądze.

Ale nawet to nie zmieniło uczuć Joanie wobec dziewczynki. Jej rany były świeże, niewiarygodnie bolesne i mogła liczyć tylko na to, że czas je zaleczy. Bethany ich jednak nie spowodowała.

Zaparzyła herbatę i wzmocniła ją wódką. Zdołała pogodzić się z Małym Tommym, ciągle o nim myślała. Był wielką przeszkodą na drodze do osiągnięcia jako takiego spokoju sumienia. Jednak wiedziała, że jeśli przetrwa kilka najbliższych miesięcy, w końcu ten spokój uzyska.

Jeanette wróciła ze szkoły dwadzieścia po czwartej i zaraz zniknęła w swojej sypialni, co teraz było u niej normą.

Joanie weszła do córki.

— Jak minął dzień? Dobrze? — zapytała wesoło.

Jeanette uśmiechnęła się bez radości.

— Przecież byłam jedynie w szkole, mamó. Jak więc mogłam mieć dobry dzień?

Joanie roześmiała się.

— Wiem, że byłeś w szkole. Za każdym razem, kiedy się tam zjawiasz, nauczyciele telefonują do mnie i mówią, jacy są zaskoczeni.

Jeszcze pół roku temu Jeanette obraziłaby się na te słowa. Teraz tylko się uśmiechnęła.

— Nawet podoba mi się w szkole. Tylko nikomu tego nie mów!

— Nie powiem. Napijesz się herbaty?

Jeanette roześmiała się.

— Ech... Nie, dzięki.

— Zachowywałam się tak samo, kiedy nosiłam ciebie w brzuchu — powiedziała Joanie łagodnie.

Jeanette, opróżniająca właśnie na łóżko zawartość szkolnego plecaka, nagle zamarła w bezruchu.

— Och, mamó...

Zaczęła płakać. Od dawno zastanawiała się, jak przekazać mamie tę informację. Uroczej mamie, którą zaczęła doceniać dopiero w ciągu kilku ostatnich miesięcy.

— Przepraszam... — dodała dziewczyna.

Joanie przytuliła zbłąkaną córkę, zadowolona, że wreszcie może trochę poprawić jej nastrój, że może ją wreszcie uspokoić.

— Damy sobie radę, kochanie. W skali od jednego do dziesięciu, po tym wszystkim, co ostatnio przetrwaliśmy, to przecież nie jest żadna katastrofa, prawda?

Jeszcze czulej objęła córkę i teraz sama też się rozplakała.

Bóg jest dobry. Ile razy Joanie to słyszała? Ale czasami, tylko czasami, Bóg naprawdę był dobry.

Jon Jon siedział w barze w Ferentari. Była to śmierdząca speluna, pełna miejscowych łachmytów i wywracających oczami kobiet o obwisłych cyckach.

Baxter rozmawiał z jakąś kobietą o wyblakłych włosach, ale za to z oczyma wymalowanymi na niebiesko, a Jon Jon zastanawiał się, kiedy mu powiedzieć, że ma do czynienia z mężczyzną w damskim przebraniu. Baxter był już jednak tak pijany, że pewnie i tak nie zauważyłby różnicy.

Michael i Peter trzymali się blisko nich. Jon Jon uśmiechał się, kiedy stawiali każdą następną kolejkę alkoholu. Otrzymali pięć tysięcy funtów, żeby na ich komisariacie zrobiło się trochę weselej. Były to z jego strony dobrze wydane pieniądze. Policjanci w raporcie napiszą o śmierci Josepha Thompsona: „Pobity na śmierć, sprawca nieznany”.

Jon Jon bardzo chciał, żeby o końcu łajdaka dowiedziano się w Anglii.

Przez cały wieczór pili, jednak Jon Jon nie czuł się ani trochę pijany. Był raczej otumaniony, lecz w końcu przecież zrobił, co do niego należało i to był powód do świętowania.

Zamówił dla siebie kolejną dużą whisky i wypił jednym haustem. Cieszył się, że jutro wraca do domu. Po raz pierwszy na

coś długo i niecierpliwie czekał. Odczuwał ulgę, że wciąż potrafi z siebie wykrzesać uczucie tęsknoty.

Peter podał mu kolejnego drinka.

— Na zdrowie — powiedział Jon Jon.

Peter i Michael roześmieli się, podnosząc kieliszki i powtarzając jego pozdrowienie.

Z jakiegoś powodu uparcie wołali „na zdrowie” przy każdym kieliszku. A może mieli odświętny nastrój, jak Baxter?

Jon Jon wypił za dobrze wykonaną robotę, a potem zaczął liczyć godziny do powrotu do domu. Potrzebował swojej rodziny bardziej niż kiedykolwiek dotąd, chociaż pewnie nigdy by się do tego nie przyznał głośno. A jednak taka była prawda: pragnął być teraz z matką i siostrą, być pewien, że są zdrowe i mają wszystko, czego im potrzeba.

Pragnął także odczuwać tę miłość, którą wszyscy troje obdarzają siebie. Bowiem tylko ta miłość utrzymywała go przy zdrowych zmysłach.

EPILOG

Joanie, wraz z dwójką pozostałych dzieci, siedziała jeszcze przez chwilę cicho w karawanie, nawet gdy pojazd już zatrzymał się na cmentarzu. Był zimny, wietrzny dzień, dlatego, wyszedłszy z auta i stanąwszy wśród innych żałobników, cała trójka otuliła się płaszcami.

Wzrok Joanie co chwilę zatrzymywał się na małej, białej trumience, w której znajdowały się szczątki jej córki, znalezione przez policję w jakimś garażu w Plaistow po „anonimowym” telefonie. Policja znalazła tam także szczątki dwojga innych dzieci. Badania uzębienia dowiodły, że pochodzą z Europy Wschodniej, ale do tej pory ich nie zidentyfikowano.

Na cmentarzu zjawiała się Monika; uśmiechnęła się smutno do przyjaciółki. Jon Jon odszedł od nich. Nie mógł znieść widoku ani Moniki, ani jej córki. Monika jednak w ogóle nie zdawała sobie z tego sprawy. Była pod wrażeniem nowego domu Jon Jona i właśnie rozprawiała o tym głośno, zwracając się do Joanie; nigdy nie miała właściwego wyczucia sytuacji. Joanie jedynie uśmiechała się i kiwała głową.

Tak, to był uroczy dom, oczywiście, ale Joanie była szczęśliwa w swoim starym mieszkaniu, gdzie odnosiła wrażenie, że w każdej chwili może zobaczyć, jak do pokoju wbiega Kira.

Zabawne, ale kiedy wreszcie uzyskała sposobność zamieszkania w domu, o jakim marzyła, i naprawdę wydawania wspańiałych przyjęć, stwierdziła, że nie ma na to ochoty. Oczywiście, kiedyś będzie się musiała do niego wprowadzić, ale na razie nie miała nawet siły, by o tym myśleć.

Msza pogrzebowa była bardzo uroczysta. Wzięło w niej udział

mnóstwo koleżanek Kiry ze szkoły i wszyscy sąsiedzi. Trumnę udekorowano wspaniałymi kwiatami.

Joanie wsunęła rękę pod ramię Jeanette i powoli ruszyły w kierunku Jon Jona czekającego na nie przy grobie. Przyjęli kondolencje od Wielkiego Johna McClellana i jego dwóch najstarszych synów.

Syn Joanie był już dobrze zbudowanym i poważanym mężczyzną, mimo że miał dopiero osiemnaście lat. Paulie, zanim ze sobą skończył, przepisał na niego salony masażu. Początkowo Jon Jon nie chciał ich przyjąć, mówiąc, że na pieniądzach, które przynoszą, jest krew, jednak Joanie wyperswadowała mu odmowę. W końcu Paulie był im coś winien.

Ostatnio wspominała go tylko jako swojego alfonsa, mężczyznę, który wykorzystywał jej tyłek tak długo, dopóki miał z tego dochód. Jako koszmar. Nic.

W ten sposób było jej łatwiej.

Jasper także przyszedł na cmentarz. Trzymał teraz Jeanette za wolną rękę. Joanie zaakceptowała jego obecność. Po wydarzeniach ostatnich miesięcy czuła, że nie wolno odpychać żadnej miłości, a przecież skoro wokół ciężarnej Jeanette nie zakręci się żaden chłopak, wołała, by był przy niej chociaż Jasper. Tym bardziej, że to on był ojcem dziecka. Oczywiście, Jon Jon jeszcze o niczym nie wiedział. Joanie musiała mu o tym powiedzieć we właściwym momencie.

Kątem oka Joanie dostrzegła Baxtera w najlepszym czarnym garniturze. Zauważyła to przez lata także u innych policjantów: potrafili stroić się na pogrzeby. Dzięki temu mogli obserwować uczestników ceremonii, jednocześnie oddając szacunek zmarłym. Dzisiaj nie było niczego do obserwowania, ale przecież Baxter oddał Brewerom wielką przysługę w Rumunii. Jego przełożeni popatrzyli na to przez palce. Zapewne dzięki duchowi Pauliego, przypuszczała Joanie.

Jak dotąd opinia publiczna dowiedziała się, że policyjne poszukiwania zabójcy Kiry Brewer i dwojga dzieci o nieustalonych nazwiskach postępują naprzód, jednak wszyscy policjanci i sąsie-

dzi Joanie znali prawdę. Sylvia pochowała męża w nieoznaczonym grobie. Pippy Light i Kieron McClellan nie mieli nawet grobów, żeby zapomniano o nich jeszcze szybciej. Policja, oczywiście, wiedziała doskonale, kto z kim wyrównał rachunki, ale Wielki John wypłacił ważnym ludziom tyle pieniędzy, że już nie odbijało się to czkawką.

Joanie prowadziła salon masażu w Ilford, wciąż związana z panienkami i ich życiem. Starła się jak najmniej pić i jak najlepiej opiekować się Bethany.

Dziewczynka miała już dwanaście lat i powoli wyrastała na kobietę równie dobrze zbudowaną jak jej matka. To, w połączeniu z przedwcześnie uzyskaną wiedzą, czyniło z niej niezłego nieletniego gagatka, ale Joanie miała na nią oko. Bethany, na swój sposób, kochała przecież Kirę.

Jon Jon pilnował matki. Dobrze się jej powodziło i chłopak był z niej dumny. Od odnalezienia szczątków Kiry do dnia dzisiejszego minął długi, bolesny okres. Dociekanie przyczyn śmierci siostry było jednym wielkim koszmarem. Jon Jon zabronił matce i Jeanette interesować się tym i dziękował Bogu, że go posłuchały. McClellanowie czuwali, aby informacje nie przedostały się na zewnątrz. W spadku po Pauliem przejęli komendanta Davida Smitha i teraz to oni mu płacili.

W dniu, w którym wszyscy żegnali Kirę, proces psychicznego odradzania się Brewerów postąpił już tak daleko, że w najbardziej śmiałych przypuszczeniach wcześniej się tego nie spodziewano.

Jon Jon rozejrzał się dookoła. Nawet obecność Jaspera na cmentarzu nie denerwowała go tak jak dawniej. W ciągu ostatnich miesięcy dużo go nauczył Wielki John, chociażby tego, żeby nie przejmować się drobiazgami i cenić wartość własnej powściągliwości. A także tego, że gdy problem wymaga drastycznego rozwiązania, mężczyzna o pozycji Jon Jona zawsze może komuś zapłacić, żeby tego drastycznego rozwiązania dokonał w jego imieniu. Na razie Jon Jon postanowił obserwować, jak się sprawy toczą i dać siostrze szansę na szczęście. Bóg wiedział, jak bardzo tego potrzebowała.

Zobaczył Sippy'ego z Earlem i kilkoma innymi kumplami, wypalających na uboczu po szybkim skręcie. Jon Jon uśmiechnął się. Z pewnością nie była to oznaka braku szacunku. Dla nich wypalenie trawki było niemalże sakramentem, zupełnie na miejscu także na cmentarzu.

Wciąż miał kilka rachunków do uregulowania, kilka długów do odebrania, ale teraz już mu się z tym nie spieszyło. Miał czas.

Zaczął padać deszcz, zimny kapuśniaczek, który szybko zmoczy ubrania żałobników. Jeden z nich wciąż był chory, jednak zignorował sprzeciwy lekarzy i przyszedł na cmentarz. Jon Jon otworzył parasol i podszedł do samotnie stojącego Darrena Weeksa. Ludzie z okolicy ciągle znali go jako Małego Tommy'ego i nikt nie chciał się skalać jego towarzystwem. To musiał załatwić Jon Jon.

Trzymał parasol nad sobą i nad nim. Potężna postać Darrena i tak w połowie wystawała spod przykrycia, gest Jon Jona był więc raczej symboliczny. Ale dla Darrena miał ogromną wartość.

— Dzięki, Jon Jon.

— Do usług, przyjacielu.

Jon Jon wiedział, że są obserwowani i o to mu chodziło. Chciał, żeby wszyscy się dowiedzieli, iż Darren Weeks ma takie samo prawo tu być jak każdy inny. A właściwie jeszcze większe prawo.

Jon Jon mocno przytulił matkę do siebie, kiedy żegnali Kirę po raz ostatni. Jeanette głośno płakała, a Joanie wspominała własną matkę, która mawiała, że ciężarna kobieta nie powinna płakać, ponieważ łzy kapiące z oczu to płyn, który potrzebny jest dziecku noszonemu w brzuchu. Teraz niemal powtórzyła to głośno, jednak w porę powstrzymała siebie samą.

Miała nadzieję, że Jen urodzi dziewczynkę. Joanie potrzebowała kogoś niezepsutego i niczym niezbrukanego, żeby ulokować swoją miłość. Wnuczka doskonale by się do tego nadawała.

Popatrzyła na białą trumienkę swojego dziecka i w myślach wypowiedziała słowa pożegnania. Niespodziewanie deszcz przestał padać i przez chmury przebiły się słabe promienie słońca.

Według Joanie było to błogosławieństwo Kiry dla wszystkich ludzi, którzy wzięli udział w jej pogrzebie.

Popatrzyła na dziewczyny z salonu, wszystkie ubrane na czarno, o poważnych twarzach. Na cmentarzu zjawiała się nawet Leniwa Caroline. Było pełno ludzi; na ostatnie pożegnanie Kiry zjawily się ich setki.

Sprawdzały się słowa Jon Jona: nigdy się nie zapomina czegoś tak strasznego jak to, ale radość i szczęście również pozostawiają długotrwałe wspomnienia. Joanie prawie więc nie rozpałmiętywała okropnej śmierci Kiry, lecz koncentrowała swoje myśli na jej życiu, mimo że było przecież bardzo krótkie.

Wspominała jej śmiech i wielką miłość.

Tym niemniej życie biegło dalej. Należało sprawiać sobie nowe wspomnienia z nadzieją, że będą równie cenne jak te, które już trwają.

I tak też Joanie zamierzała postąpić.